

HANS FALLADA

KAŻDY UMIERA
W SAMOTNOŚCI

Tłumaczenie Daria Kuczyńska-Szymała

Tytuł oryginału:

JEDER STRIBT FÜR SICH ALLEIN

Wydarzenia opisane w tej powieści oparte są zasadniczo na aktach Gestapo dotyczących nielegalnej działalności pary berlińskich robotników w latach 1940-1942. Ale tylko zasadniczo – powieść rządzi się bowiem swoimi prawami i nie może dokładnie odzwierciedlać rzeczywistości. Dlatego jej autor nie starał się poznać faktów dotyczących prywatnego życia dwójki bohaterów. Musiał przedstawić ich tak, jak ich widział. Są to więc dwie postaci zrodzone w jego wyobraźni, podobnie jak wymyśleni są wszyscy inni bohaterowie tej powieści. Mimo to autor wierzy w „wewnętrzną prawdę” swojej opowieści, nawet jeśli niektóre szczegóły nie do końca odpowiadają rzeczywistym faktom.

Niektórzy czytelnicy uznają, że w tej książce jest dużo tortur i śmierci. Autor pozwala sobie zwrócić uwagę, że w tej powieści mowa jest niemal wyłącznie o ludziach, którzy walczyli z hitlerowskim reżimem, o nich i o ich prześladowcach. W tych kręgach w latach 1940-1942, a także wcześniej i później, faktycznie dużo się umierało. Mniej więcej jedna trzecia powieści rozgrywa się w więzieniach i zakładach dla obłąkanych, a i tam sporo było umierania. Autorowi też czasami niezbyt się podobało, że tworzy tak ponury obraz, lecz dodawanie jaśniejszych barw byłoby kłamstwem.

Berlin, 26 października 1946

CZĘŚĆ PIERWSZA
PAŃSTWO QUANGLOWIE

ROZDZIAŁ I.

Poczta przynosi złą wiadomość

Listonoszka Ewa Kluge wchodzi powoli po stopniach klatki schodowej domu przy Jablonskistraße 55. Idzie powoli nie tylko dlatego, że zmęczył ją obchód, lecz także z powodu jednego z listów, który tkwi w jej torbie, a ona wcale nie ma ochoty go doręczyć, choć właśnie zaraz, dwa piętra wyżej, będzie go musiała oddać Quangłom. Pani Quangel z pewnością już na nią czeka, od ponad dwóch tygodni wyczekuje na listonoszkę, czy nie ma dla niej przypadkiem pisma poczty polowej.

Zanim listonoszka Kluge odda wystukany na maszynie list poczty polowej, musi jeszcze na tym piętrze doręczyć Persickom „Völkischer Beobachter”^[1]. Pan Persicke jest administratorem czy kierownikiem politycznym, czy kimś tam w partii – choć Ewa Kluge, odkąd pracuje na poczcie, też jest członkiem partii, wciąż jeszcze myślą się jej te wszystkie

[1] „Völkischer Beobachter” (Obserwator Ludowy) – niemiecka gazeta, najpierw tygodnik, od roku 1923 gazeta codzienna, od roku 1920 organ prasowy NSDAP, po roku 1933 gazeta państwowo-urzędowa, symbol narodowosocjalistycznej propagandy (podtytuł: „Organ bojowy narodowosocjalistycznego ruchu Wielkich Niemiec”).

stanowiska^[2]. W każdym razie u Persicków trzeba się przywitać „Heil Hitler!”^[3] i dobrze uważać na to, co się mówi. Właściwie wszędzie trzeba na to uważać, prawie nie ma ludzi, którym Ewa Kluge mogłaby powiedzieć, co tak naprawdę myśli. W ogóle nie interesuje się polityką, jest po prostu kobietą i jako kobieta uważa, że nie po to sprowadza się na ten świat dzieci, żeby je potem zastrzelono. A i dom bez mężczyzny niewiele wart, ona teraz nie ma już nic, ani obu chłopców, ani męża, ani domu. Zamiast tego ma trzymać buzię na kłódkę, być bardzo ostrożna i roznosić te okropne pisma poczty polowej, których nie napisała ludzka ręka, lecz maszyna, a ich nadawcami są pułkowi adiutanci.

Dzwoni do Persicków, mówi „Heil Hitler!” i daje staremu pijaczynie jego gazetę. Persicke ma już na wyłogach marynarki wpięte odznaki przynależności i zwierzchności partyjnej – ona zawsze zapomina przypiąć partyjną odznakę – i pyta:

– Cóż tam nowego?

Listonoszka odpowiada ostrożnie: – Nie wiem. Francja chyba skapitulowała. – I szybko dodaje: – U Quangłów w domu ktoś jest?

Persicke nie zwraca uwagi na jej pytanie. Otwiera gazetę. – Przecie

-
- [2] Partia, czyli NSDAP – Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników (Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei), zwana potocznie partią nazistowską, założona w roku 1919 jako Niemiecka Partia Robotników (DAP), w 1920 nazwa zmieniona na NSDAP. Od roku 1920 jej przewodniczącym był Adolf Hitler, który zgodnie z zasadą wodzowską decydował o partyjnych wytycznych. Symbolem partii była swastyka. Od roku 1933 sprawowała totalitarną władzę w Trzeciej Rzeszy, podzielona na okręgi (gaue), powiaty, gminy, komórki i bloki. Podlegało jej wiele organizacji (w tym SA, SS, Hitlerjugend, Związek Kobiet, NSV). W roku 1945 została rozwiązana przez aliantów i zakazana wraz ze wszystkimi podległymi organami jako organizacja przestępcza
- [3] Heil Hitler! (Niech żyje Hitler!) – powitanie obowiązujące w Trzeciej Rzeszy, wypowiedane wraz z uniesieniem wyprostowanej prawej ręki.

pisze: Francycja skapitulowała. No, panienko, i pani to mówi, jakby sprzedawała pani bułeczki! Musi to pani mówić dziarsko! Musi to pani powiedzieć każdemu, do kogo pani zajdzie, to przekona nawet ostatnie zrzędy! Drugi *blitzkrieg*, tyż nam się udało, a teraz jazda na Angliję! Za kwartał załatwim Angoli, a potem zobaczymy, jak nam da pożycz nasz Führer!^[4] Niech ta inni się wykrwawiają, my bedziem panami świata! Wnijdź do sierodka, dziewczyno, napij się z namy! Amalie, Erna, August, Adolf, Baldur^[5] – wszyscy do mnie! Dzisiej opijamy, dzisiej nie bierzem się za żadna robota! Dzisiej się uchlejem, dzisiej skapitulowała Francycja, a po południu pójdziem może do ty stary Żydówy na czwartem piętrze i to ścierwo będzie musiało dać nam kawę i ciasto! Mówię wam, ta stara będzie musiała, jak tera Francycja tyż leży pokonana, tera nie bede mieć litości! Tera żeśmy panami świata i wszyscy muszą przed nami kulic ogony!

Podczas gdy pan Persicke w otoczeniu rodziny wciąż peroruje, coraz bardziej podniecony, nie wylewając przy tym za kołnierz, listonoszka dociera już piętro wyżej i dzwoni do drzwi państwa Quangłów. List trzyma w dłoni, gotowa od razu ruszyć dalej. Ale ma szczęście. Otwiera jej nie kobieta, z którą zwykle wymienia kilka uprzejmych słów, lecz mężczyzna o ostrej ptasiej twarzy, wąskich ustach i zimnych oczach. Bez

[4] Adolf Hitler (1889-1945, samobójstwo) – dyktator Trzeciej Rzeszy, od roku 1921 przewodniczący NSDAP, od 30 stycznia 1933 roku kanclerz Rzeszy, od roku 1934 „Führer i kanclerz Rzeszy”.

[5] Imię Baldur, prawdopodobnie od Baldura von Schiracha (1907-1974), w latach 1933-1940 przywódcy Hitlerjugend, odpowiedzialnego za pozaszkolne wychowanie młodzieży w Rzeszy, od roku 1940 Reichsstatthaltera (Namiestnika Rzeszy) i Gauleitera (naczelnika okręgu, tytuł nadawany przywódcom NSDAP) Wiednia, w roku 1946 oskarżonego w głównym procesie norymberskim zbrodniarzy wojennych i skazanego na 20 lat więzienia, zwolnionego w roku 1966.

słowa wyjmując jej list z dłoni i zamyka drzwi przed nosem, jakby była złodziejką, przed którą trzeba się pilnować.

Ale Ewa Kluge wzrusza tylko ramionami i zaczyna schodzić po schodach. Niektórzy ludzie tacy są. Odkąd roznosi pocztę na Jablonskistraße, ten człowiek nigdy nie powiedział do niej jednego słowa, nawet „Heil Hitler” czy „Dzień dobry”, a ona przecież wie, że on też zajmuje stanowisko we Froncie Pracy^[6]. Co tam, nie zwracaj uwagi, przecież nie możesz go zmienić, tak jak nie mogłaś zmienić swojego własnego męża, który przepuszcza pieniądze na knajpy i wyścigi i pojawia się w domu tylko wtedy, gdy jest całkiem splukany.

Persickowie z przejścia zapomnieli zamknąć drzwi, z głębi mieszkania dobiega brzęk szkła i odgłosy świętowania zwycięstwa. Listonoszka ostrożnie zamyka drzwi, rusza dalej w dół schodów. Myśli sobie przy tym, że to właściwie dobra wiadomość, bo szybkie zwycięstwo nad Francją przybliży pokój. Wtedy obaj chłopcy wrócą, a ona znów stworzy im dom.

Nadziejom tym towarzyszy jednak nieprzyjemne uczucie, że wtedy tacy ludzie jak Persickowie będą górą. A mieć ich za panów i cały czas musieć trzymać buzię na kłódkę, i nigdy nie móc powiedzieć, co człowiekowi leży na sercu, to również nie wydaje jej się właściwe.

Przelotnie myśli też o mężczyźnie o zimnym sępiim obliczu, któremu przed chwilą oddała list pocztą polową i który wtedy też pewnie dostanie wyższe stanowisko w partii. I myśli o starej Żydówce, pani Rosenthal

[6] Front Pracy (Niemiecki Front Pracy, Deutsche Arbeitsfront – DAF) – masowa organizacja pracobiorców i pracodawców podległa NSDAP, założona w maju 1933 roku po wydaniu zakazu działania związków zawodowych. Do Frontu Pracy należały także przedsiębiorstwa (m.in. Volkswagen, banki, stocznie, wydawnictwa). Organizacja ta odegrała istotną rolę podczas przestawiania niemieckiej gospodarki na produkcję wojenną.

z czwartego piętra, której męża dwa tygodnie temu zabrało Gestapo^[7]. Tej kobiety to naprawdę żal. Rosenthalowie mieli wcześniej sklep z bielizną przy Prenzlauer Allee. Został im odebrany w ramach aryzacji, a teraz wzięli jej męża, który ma z siedemdziesiąt lat. Oboje starszankowie z pewnością nigdy nikomu nie zrobili nic złego, za to zawsze dawali na kreskę, Ewie Kluge też, gdy brakowało pieniędzy na bieliznę dla dzieci, a towary u Rosenthalów nie były ani gorsze, ani droższe niż w innych sklepach. Nie, w głowie Ewy Kluge nie mieści się, dlaczego taki człowiek jak Rosenthal miałby być gorszy od Persicków tylko przez to, że jest Żydem. A teraz ta stara kobieta siedzi na górze w swoim mieszkaniu samiuteńka jak palec i boi się choćby wyjść na ulicę. Dopiero gdy robi się ciemno, wychodzi na zakupy z przyczepioną gwiazdą Dawida, a poza tym prawdopodobnie głoduje. Nie, myśli sobie Ewa Kluge, nawet gdybyśmy dziesięć razy pokonali Francję, nie będzie u nas sprawiedliwości...

Z tą myślą wchodzi do kolejnej kamienicy, gdzie kontynuuje swój obchód.

W tym czasie majster Otto Quangel wszedł do pokoju z listem poczty polowej i położył go na maszynie do szycia. – Proszę – mówi tylko. Zawsze daje żonie pierwszeństwo przy otwieraniu tych listów, przecież wie, jak bardzo zależy jej na ich jedynaku Ottonie. Stoi teraz naprzeciwko, zagryzł zęby na wąskiej dolnej wardze i czeka, aż na jej twarzy pojawi się blask radości. Kocha tę kobietę bardzo, na swój cichy, zupełnie niedelikatny i pozbawiony wielkich słów sposób.

[7] Gestapo (Tajna Policja Państwowa, Geheime Staatspolizei) – policja polityczna utworzona w roku 1933, która służyła wykrywaniu i prześladowaniu osób niepożądanych politycznie lub rasowo. W 1936 roku szefem całej policji został Himmler, a Gestapo stało się podległe SS i włączone do NSDAP. W roku 1946 Gestapo zostało oskarżone przed Międzynarodowym Trybunałem w Norymberdze i uznane za organizację przestępczą.

Rozerwała list, przez chwilę rzeczywiście promieniała, lecz światło to zaraz zgasło, gdy zobaczyła, że jest napisany na maszynie. Na jej twarzy pojawił się lęk, czytała coraz wolniej i wolniej, jakby się bała każdego kolejnego słowa. Mężczyzna pochylił się i wyjął ręce z kieszeni. Mocno zaciska zęby na wardze, przeczuwa coś niedobrego. W pokoju panuje całkowita cisza. Nagle kobieta zaczyna głęboko wciągać powietrze...

Wydaje z siebie cichy krzyk, dźwięk, jakiego jej mąż nigdy dotąd nie słyszał. Głowa opada jej do przodu, uderza najpierw o szpulki nici na maszynie i zawisa pomiędzy fałdami materiału, zasłaniając złowrogie pismo.

Po dwóch krokach stoi tuż za nią. Z niezwykłym u niego pośpiechem kładzie swoją dużą, spracowaną dłoń na jej plecach. Czuje, że żona drży na całym ciele. – Anno! – mówi. – Anno, proszę! – Odczekuje chwilę, a potem odważa się zapytać: – Coś się stało z Ottonem? Jest ranny, tak? Ciężko?

Ciałem kobiety wciąż wstrząsają dreszcze, lecz z jej ust nie dobywa się żaden dźwięk. Nie próbuje nawet podnieść głowy, żeby na niego spojrzeć.

Patrzy z góry na jej włosy, które przerzedziły się przez te wszystkie lata, odkąd się pobrali. Są już przecież starzy. Gdyby Ottonowi faktycznie coś się stało, nie miałyby już nikogo, kogo mogłaby kochać, tylko jego, a on zawsze czuł, że u niego nie bardzo jest co kochać. Nigdy żadnymi słowami nie potrafił wyrazić, jak bardzo mu na niej zależy. Nawet teraz nie potrafi jej pogłaskać, okazać odrobiny czułości, pocieszyć. Kładzie tylko ciężką, silną dłoń na jej cienkich włosach, delikatnie unosi jej głowę do góry, obraca w swoją stronę i mówi półgłosem: – Co oni nam tam napisali, powiesz mi wreszcie, Anno?

I choć teraz ich oczy są tak blisko siebie, ona nie patrzy na niego, tylko mocno zaciska powieki. Ma bladożółtą cerę, kolory gdzieś zniknęły. Skóra wydaje się rozciągnięta na kościach, zdaje mu się, jakby patrzył

na trupa czaszkę. Tylko policzki i usta drżą, tak jak całe ciało, ogarnięte tajemniczymi wewnętrznymi wstrząsami.

Gdy Quangel wpatruje się w tę doskonale mu znaną, lecz teraz tak obcą twarz, gdy słyszy, że jego serce bije coraz mocniej i mocniej, kiedy czuje swoją całkowitą niezdolność, by dać jej choć odrobinę pociechy, ogarnia go głęboki lęk. Właściwie to śmieszny lęk wobec ogromnego bólu jego żony, jest to mianowicie lęk, że mogłaby zacząć krzyczeć jeszcze głośniej i bardziej dziko niż teraz. Zawsze wolał spokój, nie wolno dawać powodu, by ktoś interesował się tym, co się dzieje u Quangelów w domu, a cóż dopiero dawać upust emocjom, o nie! Lecz nawet ogarnięty tym lękiem, nie potrafi powiedzieć nic więcej jak to, co już wcześniej powiedział: – Co oni tam napisali? Powiedz w końcu, Anno!

Choć list leży otwarty, nie ma odwagi, żeby po niego sięgnąć. Musiałby wtedy puścić głowę żony, a wie, że ta głowa, na której czole pojawiły się już dwie krwiste plamy, znów opadłaby na maszynę. Przemaga się, pyta jeszcze raz: – Co się stało Ottonkowi?

Wydaje się, że to zdrobienie, którego jej mąż prawie nigdy nie używa, przywołuje kobietę z powrotem ze świata bólu do życia. Kilka razy przelęka ślinę, a nawet otwiera oczy, które zwykle są intensywnie niebieskie, a teraz jakby przygasły. – Ottonkowi? – szepcze pośpiesznie. – Co miałoby mu się stać? Nic mu się nie stało, nie ma już żadnego Ottonka i tyle!

Mężczyzna wypowiada jedynie „Och!”, głębokie „Och!” z samej głębi swego serca. Nie zwracając uwagi na to, że puszcza głowę żony, sięga po list. Jego oczy wpatrują się w linijki tekstu, nie potrafiąc ich odczytać.

Kobieta wyrywa mu list z dłoni. Jej nastrój zmienił się, w gniewie drze pismo na strzępy, strzępki, skraweczki, a przy tym rzuca mu w twarz wypowiedane w pośpiechu słowa: – Po co chcesz czytać te brednie, te

podłe kłamstwa, które wypisują do wszystkich? Że zginął bohaterską śmiercią za Führera i za naród? Że był wzorem żołnierza i towarzysza? Chcesz, żeby ci to wmawiali, choć oboje wiemy, że Ottonek najchętniej dłubałby przy tych swoich radioodbiornikach i że płakał, gdy musiał iść do wojska! Kiedy był rekrutem, ciągle mi mówił, jacy oni są tam okropni i że wolałby stracić prawą rękę, żeby tylko się od nich uwolnić! A teraz wzór żołnierza i bohaterska śmierć? Kłamstwa, same kłamstwa! Ale to wy to spowodowaliście tą waszą gównianą wojną, ty i ten twój Führer!

Stoi teraz przed nim, jego żona, dużo od niego niższa, lecz jej oczy ciskają gromy gniewu.

– Ja i mój Führer? – mamrocze, jakby obezwładniony tym atakiem. – Odkąd to nagle jest *mój* Führer? Przecież ja nawet nie jestem w partii, tylko we Froncie Pracy, a do niego muszą należeć wszyscy. Przecież zawsze oboje na niego głosowaliśmy, a ty masz jeszcze to stanowisko w Związku Kobiet^[8].

Mówi to wszystko na swój rozwlekły, powolny sposób, nawet nie po to, żeby się bronić, lecz by jasno przedstawić fakty. Wciąż nie rozumie, dlaczego żona nagle zaczęła go atakować. Przecież zawsze byli tacy jednomyślni...

Ona jednak mówi zapalczywie: – I po co jesteś mężczyzną w tym domu i decydujesz o wszystkim, i wszystko musi być po twojemu, i nawet jak chcę mieć w piwnicy komórkę na ziemniaki, to musi być taka, jak ty chcesz, a nie jak ja chcę. I w takiej ważnej sprawie podejmujesz złą decyzję? Tyle że ty jesteś cykor, najważniejsze żeby mieć święty spokój

[8] Związek Kobiet (Narodowosocjalistyczny Związek Kobiet, NS-Frauenschaft) – organizacja kobieca w ramach NSDAP, założona w roku 1931 przez połączenie wielu kobiecych stowarzyszeń, zajmowała się ideologicznym i praktycznym szkoleniem gospodyń wiejskich i gospodyń domowych (pracujące Niemki należały do Frontu Pracy, a dziewczęta do Związku Dziewcząt Niemieckich).

i nie zwracać na siebie uwagi. Robisz to co wszyscy, a gdy oni krzyczą: „Führerze, rozkazuj, pójdziemy za tobą!”, biegniesz za nimi jak jakiś baran. A my jak zwykle musieliśmy pobiec za tobą! Ale teraz mój Ottonek nie żyje i żaden Führer na świecie, ani ty, nie oddacie mi go z powrotem!

Słuchał tego wszystkiego bez słowa sprzeciwu. Nigdy nie był skory do kłótni, a do tego czuł, że przemawia przez nią wyłącznie ból. Niemal się cieszył, że gniewa się na niego, że jeszcze nie w pełni daje ujście swojemu smutkowi. Na jej oskarżenia odpowiedział tylko: – Trzeba będzie powiedzieć to Trudel.

Trudel była dziewczyną Ottonka, prawie jego narzeczoną. Do jego rodziców zwracała się „mameczko” i „ojcze”. Często przychodziła do nich wieczorami, nawet teraz, gdy Ottonka nie było, i gawędziła z nimi. W ciągu dnia pracowała w fabryce mundurów.

Wzmianka o Trudel natychmiast skierowała myśli Anny Quangel na inny tor. Rzuciła okiem na błyszczący zegar z wahadłem na ścianie i zapytała: – Zdasz się to zrobić przed zmianą?

– Mam dzisiaj zmianę od pierwszej do jedenastej – odpowiedział. – Zdasz.

– Dobrze – powiedziała. – To idź i powiedz, żeby tu przyszła, ale nie mów jej na razie nic o Ottonku. Chcę jej to sama powiedzieć. Jedzenie będziesz miał gotowe na dwunastą.

– To pójdę i powiem, żeby przyszła dziś wieczorem – powiedział, lecz nie wyszedł, tylko popatrzył na jej bladożółtą, niezdrową twarz. Ona odwzajemniła spojrzenie i przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, tych dwoje ludzi, którzy spędzili ze sobą w zgodzie trzydzieści lat, on milczący i cichy, ona wnosząca odrobinę życia do ich wspólnego mieszkania.

I choć się w siebie tak mocno wpatrywali, nie mieli sobie nic do powiedzenia. Skinął więc w końcu tylko głową i wyszedł.

Usłyszała trzaśnięcie drzwi na korytarz. Gdy tylko miała pewność, że wyszedł, odwróciła się z powrotem do maszyny i wygładziła skrawki fatalnego listu. Próbowała je do siebie dopasować, lecz szybko zrozumiała, że trwałoby to zbyt długo, musiała przede wszystkim przygotować mu jedzenie. Wsunęła więc ostrożnie strzępki listu do koperty i włożyła ją do śpiewnika. Po południu, gdy Ottona już nie będzie, znajdzie czas, żeby uporządkować strzępki i je posklejać. Nawet jeśli są to same głupie, podłe kłamstwa, to przecież to wszystko, co zostało po Ottonku! Mimo wszystko zachowa list i pokaże go Trudel. Może wtedy uda jej się zapłakać, teraz jej serce nadal wypełniał ogień. Jak dobrze będzie móc się wypłakać! Rozgniewana potrząsnęła głową i podeszła do kuchenki.

ROZDZIAŁ 2.

Co miał do powiedzenia Baldur Persicke

Gdy Otto Quangel mijają drzwi mieszkania Persicków, właśnie rozbrzmiewały za nimi pochwalne ryki przemieszane z okrzykami „Siegheil”^[9]. Quangel przyspieszył kroku, żeby przypadkiem nie natknąć się na nikogo z tego towarzystwa. Już od dziesięciu lat mieszkali w tej samej kamienicy, lecz Quangel zawsze starannie unikał spotkań z Persickiem, nawet wtedy, gdy ten był jeszcze drobnym, podupadającym szynkarzem. Teraz Persickowie to ważni ludzie, stary zajmuje mnóstwo stanowisk w partii, dwaj najstarsi synowie są w SS^[10], a o pieniądze w ogóle nie muszą się martwić.

Tym bardziej trzeba na nich uważać, bo wszyscy o takim statusie muszą się cieszyć poparciem partii, a to jest możliwe tylko wtedy, jeśli coś dla tej partii robią. Coś robią dla partii, czyli wydają innych, na przykład zgłaszają, że ten czy tamten słuchał zagranicznej stacji. Quangel wolał więc już dawno zapakować i schować do piwnicy radia z pokoju
[9] Siegheil – nazistowski okrzyk, dosłownie: „Chwała zwycięstwu!”.

[10] SS (Schutzstaffel, Eskadra Ochronna) – paramilitarna organizacja w ramach NSDAP, założona w roku 1925 dla osobistej ochrony Adolfa Hitlera oraz zgromadzeń NSDAP, początkowo podlegała SA, od roku 1934 samodzielna. Od roku 1929 pod dowództwem Reichsführera Himmlera stała się rodzajem policji partyjnej i „egzekutywy wodzowskiej”, stanowiła m.in. straż obozów koncentracyjnych, a Grupy Operacyjne SS (SS Einsatzgruppen) dokonywały zbrodni wojennych (masowych egzekucji cywilów w okupowanych krajach, wypędzania osób narodowości innej niż niemiecka) oraz uczestniczyły w Holocauście. Podczas głównego procesu zbrodniarzy wojennych w Norymberdze została uznana za organizację przestępczą.

Otona. Nigdy za wiele ostrożności w takich czasach, gdy każdy szpieguje każdego, Gestapo na wszystkim trzyma łapę, więźniów w kaciecie^[11] w Sachsenhausen przybywa, a gilotyna w więzieniu Plötze^[12] codziennie opada. On sam nie potrzebował radia, lecz Annie wcale się nie spodobało, że je chowa. Powiedziała, że wciąż sprawdza się stare przysłowie: „Najlepiej śpi ten, kto ma czyste sumienie”. A przecież ono już dawno się nie sprawdza, jeżeli w ogóle kiedykolwiek się sprawdzało.

Zatopiony w myślach Quangel pośpieszył schodami w dół i wyszedł przez podwórze na ulicę.

Głośne krzyki u Persicków rozlegały się dlatego, że beniaminek rodziny, Baldur, który uczy się teraz w gimnazjum i jeśli ojcu uda się to załatwić dzięki swoim znajomościom, pójdzie być może do szkoły Napola^[13] – a więc Baldur odkrył w „Völkischer Beobachter” zdjęcie. Na

[11] Kacet – potoczna nazwa hitlerowskiego obozu koncentracyjnego (od KZ – Konzentrationslager).

[12] Plötze – potoczna nazwa aresztu karnego w dzielnicy Plötzensee w Berlinie, który w latach 1933-1945 był miejscem wykonywania wyroków narodowosocjalistycznego wymiaru sprawiedliwości, stracono tam w tym okresie ponad 2,5 tysiąca osób.

[13] Napola (Nationalpolitische Lehranstalten, Narodowo-Polityczne Zakłady Wychowawcze) – elitarne szkoły średnie z internatem, przygotowujące do zajmowania głównych pozycji w państwie narodowosocjalistycznym. Pierwsi absolwenci trafiali w większości do Wehrmachtu i Waffen-SS. Pod koniec wojny były 43 szkoły Napola, w tym trzy dla dziewcząt.

zdjęciu tym widać było Führera i marszałka Rzeszy Göringa^[14], a pod spodem napisano: „Właśnie dotarła wiadomość o kapitulacji Francji”. Tak też obaj wyglądali na zdjęciu: Göring śmiał się całą swoją tłąstą twarzą, a Führer z zadowolenia aż się klepał dłonią po udzie.

Persickowie też się cieszyli i śmiali jak ci na zdjęciu, lecz jasnowłosy Baldur zapytał: – Nie widzicie w tej fotografii nic szczególnego?

Wpatrują się w niego z oczekiwaniem, są tak przekonani o duchowej wyższości szesnastolatka, że nikt nie waży się wypowiedzieć głośno jakiegokolwiek przypuszczenia.

– No – mówi Baldur. – Zastanówcie się dobrze! Tę fotografię zrobił przecież fotograf prasowy. Czy on stał tam akurat w tym momencie, gdy doszła wiadomość o kapitulacji? Przecież musiała dotrzeć przez telefon, kuriera albo nawet jakiegoś francuskiego generała, a nic takiego na tym zdjęciu nie widać. Stoją sobie we dwóch w ogrodzie i się cieszą...

Rodzice i rodzeństwo Baldura wciąż siedzą w milczeniu i wpatrują się w niego. Napięta uwaga nadaje ich twarzom nieco głupkowaty wygląd. Stary Persicke najchętniej nalałby sobie kolejny kieliszek, lecz nie ma odwagi, dopóki Baldur nie skończy. Wie z doświadczenia, że Baldur potrafi być bardzo niemiły, gdy ktoś nie poświęca wystarczającej uwagi jego politycznym wywodom.

A syn kontynuuje: – To zdjęcie jest więc ustawione, wcale nie zrobiono

[14] Hermann Göring (1893-1945) – działacz nazistowski, jeden z twórców Trzeciej Rzeszy, od roku 1933 premier Prus i minister lotnictwa, od roku 1935 naczelny dowódca Luftwaffe, od roku 1938 feldmarszałek, od 1940 marszałek Rzeszy, w roku 1939 oficjalnie wyznaczony na następcę Hitlera, w kwietniu 1945 roku został pozbawiony wszystkich urzędów i aresztowany za próbę współpracy z aliantami, w roku 1946 skazany na śmierć w głównym procesie norymberskim przeciw zbrodniarzom wojennym jako współodpowiedzialny za agresję na inne państwa, prześladowanie Żydów i system pracy przymusowej, tuż przed straceniem popełnił samobójstwo, zażywając truciznę.

go w chwili dotarcia wiadomości o kapitulacji, tylko kilka godzin później, a może nawet następnego dnia. I przypatrzcie się, jak Führer się cieszy, klepie się nawet z radości po udzie. Naprawdę wierzycie, że taki wielki człowiek jak Führer cieszyłby się tak z tej wiadomości jeszcze następnego dnia? On już dawno myśli o Anglii, o tym, jak dopaść Brytyjczyków. Nie, to zdjęcie to tylko udawanie, od samego ujęcia aż po klepanie dłonią. Tak się właśnie mydli oczy głupcom!

Teraz najbliżsi Baldura wpatrują się w niego, jakby to oni byli głupcami, którym zamydłono oczy. Gdyby to nie był Baldur, tylko ktoś obcy, za taką uwagę donieśliby na niego na Gestapo. Baldur jednak kontynuuje: – To, widzicie, jest właśnie wielkość naszego Führera. Nikomu nie zdradza swoich planów. Wszyscy myślą sobie teraz, że on się cieszy ze zwycięstwa we Francji, a on tymczasem gromadzi już pewnie okręty do inwazji na Anglię. Tego właśnie musimy się nauczyć od naszego Führera: nie powinniśmy każdemu wykladać kawę na łąwę, kim jesteśmy i jakie mamy zamiary! – Pozostali pilnie kiwiają głowami. Wydaje im się, że w końcu zrozumieli, do czego zmierza Baldur. – Tak, kiwacie głowami – mówi poirytowany Baldur – ale sami robicie całkiem na odwrót! Ledwie przed półgodziną słyszałem, jak ojciec mówił listonoszce, że stara Rosenthalowa ma nam zafundować kawę i ciastka...

– Och, ta stara żydowska świnia! – rzuca ojciec Persicke, lecz przepraszającym tonem.

– No cóż – przyznaje syn. – Wielkiego larum nie będzie, nawet jak jej się coś stanie. Ale po co to ludziom opowiadać? Zawsze lepiej uważać. Przyjrzyj się takiemu człowiekowi jak ten Quangel, co mieszka nad nami. Słowa z niego nie wyciągniesz, ale jestem pewien, że widzi i słyszy wszystko, i na pewno gdzieś to melduje. A jak zgłosi, że Persickowie nie potrafią trzymać gęby na kłódkę, że nie można na nich polegać, że nie można im ufać, to jesteśmy załatwieni. A już z pewnością ty, ojczy, a ja

nie ruszę palcem, żeby znowu wyciągnąć cię z kacetu, z Moabitu^[15] czy z Plötze, czy gdzie tam wylądujesz.

Wszyscy umilkli i nawet zadufany w sobie Baldur wyczuwa, że to milczenie nie u wszystkich oznacza zgodę. Mówi więc szybko, żeby chociaż rodzeństwo przeciągnąć na swoją stronę: – Chcemy wszyscy zejść dalej niż ojciec, a w jaki sposób można coś osiągnąć? Przecież tylko dzięki partii! I dlatego musimy postępować tak jak Führer. Mydlić ludziom oczy, zachowywać się tak, jakbyśmy mieli przyjazne zamiary, a potem, gdy nikt się tego nie spodziewa, załatwić sprawę i już nas nie ma. W partii muszą wiedzieć, że z Persickami można zrobić wszystko, po prostu wszystko!

Znów patrzy na zdjęcie z roześmianymi Hitlerem i Göringiem, kiwa głową i rozlewa wódkę na znak, że jego polityczny wykład dobiegł końca. Mówi ze śmiechem: – Nie krzyw się, ojcze, tylko z tego powodu, że ci trochę przygadałem!

– Masz dopiero szesnaście lat i jesteś moim synem – zaczyna wciąż urażony ojciec.

– A ty jesteś moim staruszkiem, którego zbyt często widziałem pijanego, żebyś mógł mi jakoś szczególnie zaimponować – mówi prędko Baldur Persicke, przeciągając tym samym na swoją stronę roześmiane towarzystwo, nawet zawsze wystraszoną matkę. – Nie, zostawmy to, tato, pewnego dnia wszyscy będziemy jeździć własnymi autami, a ty codziennie będziesz pić tyle szampana, aż będziesz mieć dość!

Ojciec chce coś powiedzieć, lecz teraz już tylko na temat szampana, od którego zdecydowanie woli żytniówkę. Lecz Baldur mówi dalej, szybko i już ciszej: – Pomysły masz całkiem niezłe, ojcze, tylko że powinienes

[15] Moabit – rejon w Berlinie, w którym znajduje się kompleks budynków obejmujących największy w Europie sąd kryminalny oraz zakład penitencjarny, będący podczas II wojny światowej miejscem kaźni.

o nich mówić wyłącznie nam. Od Rosenthalowej możemy chyba dostać więcej niż tylko kawę i ciastka. Pozwólcie, że się nad tym zastanowię, do sprawy trzeba podejść ostrożnie. Może inni też wyczuli już pismo nosem, a mogą cieszyć się lepszą opinią niż my.

Ściszył głos tak bardzo, że pod koniec niemal nie było go słychać. Baldur Persicke znów tego dokonał, znów przeciągnął wszystkich na swoją stronę, nawet ojca, który z początku był obrażony. Mówi więc: – Za francuską kapitulację! – A ponieważ klepie się przy tym ze śmiechem po udzie, rozumieją, że ma na myśli coś całkiem innego, a mianowicie starą Rosenthalową.

Śmieją się wszyscy donośnie, stukają kieliszkami i opróżniają jeden za drugim. Nie ma co, potrafią wypić ów były szynkarz i jego dziatwa.

ROZDZIAŁ 3.

Człowiek o nazwisku Barkhausen

Majster Quangel wyszedł na Jablonskistraße i spotkał sterczącego pod bramą kamienicy Emila Barkhausena. Wydawało się, że jedynym zajęciem Emila Barkhausena jest sterczenie gdzieś, gdzie można się na coś pogapić albo coś podsłuchać. Wojna nic tu nie zmieniła, choć na wszystkich nałożyła obowiązek służby albo przymus pracy^[16]. Emil Barkhausen sterczał dalej.

Stał tam, wysoka, chuda postać w znoszonym garniturze, o bezbarwnej twarzy, i z ponurą miną patrzył na niemal całkowicie opustoszałą o tej godzinie Jablonskistraße. Gdy zauważył Quangla, natychmiast ruszył, podszedł do niego i wyciągnął dłoń. – Dokąd to się wybieracie, Quangel? – zapytał. – Przecie jeszcze za wcześnie na waszą zmianę w fabryce?

Quangel zlekceważył wyciągniętą dłoń i wymamrotał niewyraźnie: – Spiesz się!

I już szedł dalej w kierunku Prenzlauer Allee. Akurat teraz musiał się natknąć na tego namolnego gadułę.

Ten jednak nie dał się tak łatwo zbyć. Roześmiał się przypominającym beczenie kozy śmiechem i zawołał: – No to mamy po drodze, Quangel! – A gdy ten, patrząc prosto przed siebie, uparcie i pośpiesznie szedł dalej, dodał: – Doktor zaordynował mi dużo ruchu ze względu na obstrukcję, a bieganie samemu okropnie mnie nudzi!

[16] Służba Pracy Rzeszy (Reichsarbeitsdienst) – obowiązujący od czerwca 1935 roku obowiązek pracy na rzecz państwa przez sześć miesięcy dla młodych mężczyzn, od początku II wojny światowej obejmujący także kobiety. Wynagrodzenie na poziomie zasiłku dla bezrobotnych.

Zaczął teraz obszernie i szczegółowo opisywać, czegoż to jeszcze nie robi w związku ze swoją obstrukcją. Quangel w ogóle go nie słuchał. Pochłaniały go dwie myśli, przy czym jedna z nich coraz częściej wypierała tę drugą: nie ma już syna, a Anna powiedziała: ty i ten twój Führer. Quangel sam przed sobą przyznawał, że nigdy nie kochał tego chłopca tak, jak ojciec powinien kochać swego syna. Od samych jego narodzin odczuwał, że dziecko odbiera mu spokój i psuje relację z Anną. Jeśli więc teraz odczuwał ból, to dlatego, że z niepokojem myślał o Annie, jak ona zniesie tę śmierć, co się przez nią może zmienić. Przecież Anna już mu powiedziała: ty i ten twój Führer!

A to nieprawda. Hitler wcale nie był jego Führerem, czy też wcale nie był bardziej jego Führerem niż Anny. Zawsze się zgadzali, że gdy w 1930 zbankrutował jego mały warsztat stolarski, to właśnie Führer wszystko naprawił. Po czterech latach bez pracy Quangel został majstrem w wielkiej fabryce mebli i teraz co tydzień przynosił do domu czterdzieści marek. Na wszystko im wystarczało. I to dzięki Führerowi, bo to on rozruszał na nowo gospodarkę. Co do tego zawsze się zgadzali.

Ale do partii z tego powodu nie wstąpili. Szkoda im było płacić składkę partyjną, przecież już i tak wszędzie trzeba było się zrzucać, na Zimową Pomoc^[17], na różne zbiórki, na Front Pracy. Owszem, w ramach Frontu Pracy przydzielili mu stanowisko w fabryce i to był właśnie kolejny powód, dla którego żadne z nich nie wstąpiło do partii. Bo przy każdej okazji widział, że zawsze robią różnicę między towarzyszem narodowym

[17] Niemiecka Pomoc Zimowa (Winterhilfswerk des Deutschen Volkes) – od przełomu lat 1932 i 1933 prowadzona ze szczególnym rozmachem propagandowym zbiórka na rzecz wspierania potrzebujących.

a partyjnym^[18]. Nawet najgorszy towarzysz partyjny był dla nich więcej wart niż najlepszy towarzysz narodowy. Gdy ktoś był w partii, mógł sobie pozwolić właściwie na wszystko, nic mu się w zasadzie nie mogło stać. Nazywali to „wierność za wierność”.

On jednak, majster Otto Quangel, był za sprawiedliwością. Każdy człowiek to dla niego człowiek, a to, czy jest w partii, czy nie, nie ma nic do rzeczy. Kiedy w warsztacie ciągle obserwował, że jednemu nie darowano najdrobniejszego błędu przy pracy, a innemu pozwalano oddawać fuszerkę za fuszerką, wciąż na nowo go to oburzało. Wsuwał dolną wargę pod zęby i z wściekłością ją przygryzał – gdyby tylko mógł, już dawno zrezygnowałby z tej swojej posady we Froncie Pracy!

Anna dobrze o tym wiedziała i dlatego nigdy nie powinna była tego powiedzieć: „ty i ten twój Führer”! Z Anną było całkiem inaczej, ona zupełnie dobrowolnie przyjęła posadę w Związku Kobiet, w przeciwieństwie do niego nie musiała. Och, Boże, tak, on przecież rozumiał, jak to było w jej przypadku. Przez całe życie była tylko służącą, najpierw na wsi, a potem tutaj, w mieście. Przez całe życie musiała ciężko pracować, a inni wciąż jej rozkazywali. W małżeństwie też miała niewiele do powiedzenia, nie dlatego, by on nią za bardzo komenderował, lecz po prostu dlatego, że wszystko musiało się kręcić wokół niego, tego, który utrzymywał rodzinę.

Teraz jednak miała tę posadę w Związku Kobiet i nawet jeśli także tutaj otrzymywała polecenia z góry, to miała za to pod sobą mnóstwo dziewcząt, kobiet, a nawet dam, którym mogła rozkazywać. To po prostu sprawiało jej przyjemność, gdy znajdowała kolejną leniwą próżniaczkę z

[18] Towarzysz partyjny (Parteigenosse) – członek NSDAP; towarzysz narodowy (Volksgenosse) – określenie stosowane przez narodowych socjalistów, oznaczające osoby należące do „niemieckiej lub pokrewnej krwi”.

polakierowanymi na czerwono paznokciami i mogła ją wysłać do fabryki. Jeśli o którymś z państwa Quangel w ogóle można było powiedzieć „ty i ten twój Führer”, to w pierwszym rządzie właśnie o Annie.

Oczywiście, oczywiście, i jej to wszystko już dawno obrzydło, bo na przykład zauważyła, że niektórych z tych eleganckich damulek nie da się posłać do pracy, gdyż mają na górze przyjaciół. Oburzało ją też, że przy rozdzielaniu ciepłej bielizny zawsze pojawiały się te same kobiety, i to właśnie te z książeczkami partyjnymi. Anna też uważała, że Rosenthalowie to przyzwoici ludzie i nie zasłużyli sobie na taki los, ale z tego powodu nie rozważała przecież rezygnacji z posady. Niedawno stwierdziła, że Führer nie ma pojęcia, jakie świństwa robią jego ludzie na dole. Führer nie może wszystkiego wiedzieć, a jego ludzie go po prostu okłamują.

Lecz teraz przysłała śmierć Ottonka i Otto Quangel z zaniepokojeniem przeczuwał, że od teraz wszystko będzie już inaczej. Widzi przed sobą niezdrową, bladożółtą twarz Anny, znów słyszy jej oskarżenie, o niezwyklej porze jest poza domem z gadułą Barkhausenem u boku, dziś wieczór przychodzi do nich Trudel, będzie płacz, niekończące się gadanie – a on, Otto Quangel, tak bardzo ceni w życiu równowagę, codziennie taki sam dzień pracy, podczas którego najlepiej, żeby nic szczególnego się nie wydarzyło. Już sama niedziela jest dla niego rodzajem zakłócenia. Teraz na jakiś czas zapanuje chaos, a Anna prawdopodobnie już nigdy nie będzie tą, którą była kiedyś. To wyszło z samej jej głębi, to „ty i ten twój Hitler”. W tych słowach brzmiała nienawiść.

Musi sobie to wszystko jeszcze raz dokładnie przemyśleć, tylko ten Barkhausen mu nie pozwala. Nagle mężczyzna u jego boku mówi: – Podobno dostaliście list poczty polowej, nie pisali w nim czasem o waszym Ottonie?

Quangel kieruje na niego ostry wzrok swoich ciemnych oczu i mruczy: – Papła! – Lecz ponieważ nie chce się z nikim kłócić, nawet

z takim nikim jak sterczący po bramach Barkhausen, dodaje na wpół niechętnie: – Ludzie o wiele za dużo plotkują!

Emil Barkhausen nie czuje się urażony, Barkhausena nie tak łatwo urazić, pilnie przytakuje: – Jest tak, jak pan mówi, panie Quangel! Dlaczego ta Kluge, ta gadzina listonoszka, nie trzyma języka za zębami? Ale nie, od razu musi wszystkim rozpowiadać, że Quanglowie dostali list poczty polowy napisany na maszynie! Przecie wystarczy, jak będzie opowiadać o kapitulacji Francji! – Robi pauzę, a potem pyta nietypowym dla niego półgłosem i współczującym tonem: – Ranny, zaginiony czy...?

Milczy. Jednak Quangel – po dłuższej pauzie – odpowiada pośrednio na jego pytanie: – A więc Francja skapitulowała? No cóż, szkoda, że nie zrobili tego dzień wcześniej, wtedy mój Otto jeszcze by żył...

Barkhausen odpowiada niezwykle ożywionym tonem: – Ale przecie właśnie dlatego, że bohaterską śmiercią zginęło tyle tysięcy, Francja tak szybko się poddała. Dzięki temu uratowano miliony. Z takiej ofiary ojciec musi być bardzo dumny!

Quangel pyta: – Wasi są jeszcze wszyscy za mali, żeby iść na front, sąsiedzie?

Barkhausen, niemal urażony, stwierdza: – Przecie wiecie, Quangel! Ale gdyby wszyscy naraz zginęli przez bombę albo coś takiego, to tylko byłbym z tego dumny. Nie wierzy mi pan, Quangel?

Lecz majster nie odpowiada na to pytanie, tylko myśli: Nawet jeśli nie jestem prawdziwym ojcem i nigdy nie kochałem Ottona tak, jak powinienem – to twoje bachory są dla ciebie wyłącznie ciężarem. Wierzę, że ucieszyłbyś się, gdybyś pozbył się ich wszystkich za sprawą bomby, w to wierzę bez cienia wątpliwości!

Nie mówi jednak nic takiego, a Barkhausen, któremu znudziło się już czekanie na odpowiedź, ciągnie: – Niech pan pomyśli, Quangel, najpierw Sudety, Czechosłowacja i Austria, a teraz Polska, Francja i połowa

Bałkanów – będziemy najbogatszym narodem na świecie! Cóż znaczą setki tysięcy zabitych? Wszyscy będziemy bogaci!

Quangel odpowiada niespodziewanie szybko: – A co zrobimy z tym bogactwem? Można je zjeść? Będę lepiej spać, gdy będę bogaty? Czy jako bogaty człowiek nigdy już nie pójde do fabryki, i co będę wtedy robić przez cały dzień? Nie, Barkhausen, *ja* nie chcę stać się bogaty, a już na pewno nie w ten sposób. Takie bogactwo nie jest warte nawet jednego zabitego!

Nagle Barkhausen chwyta go za ramię, oczy mu płoną, potrząsa Quanglem, szepcze pośpiesznie: – Jak możesz tak mówić, Quangel? Przecie wiesz, że za takie gadanie mogię cie posłać do kacetu? Przecie właśnie wprost sprzeciwiłeś sie naszemu Führerowi! A gdybym tylko był taki i to zameldował...?

Quangla także przeraziły własne słowa. Ta sprawa z Ottonem i Anną wytrąciła go z równowagi bardziej, niż sądził, inaczej nie opuściłyby go jego wrodzona czujność i ostrożność. Lecz ten drugi nie dostrzega jego strachu. Quangel swoimi silnymi, spracowanymi dłońmi uwalnia ramię z niedbałego uchwytu Barkhausena i mówi powoli, obojętnym tonem: – Co się pan tak denerwuje, panie Barkhausen? Co takiego powiedziałem, co moglibyście zgłosić? Zupełnie nic nie powiedziałem. Jestem smutny, bo poległ mój syn Otto, a moja żona ma wiele trosk. To możecie zameldować, jeśli chcecie, a jeśli chcecie, zróbcie to! Mogę od razu pójść z wami i podpisać, że to właśnie powiedziałem!

Gdy Quangel tak niespodziewanie dużo mówi, w głębi duszy myśli sobie: Niech mnie kaczki zdepczą, jeśli ten Barkhausen nie jest szpiclem! Znowu kolejny, przed którym trzeba się mieć na baczności! Zresztą przed kim nie trzeba się mieć na baczności? Jak to będzie z Anną, też już nie wiem...

Tymczasem dotarli do bramy fabryki. Quangel znów nie wyciąga do

Barkhausena dłoni. Mówi tylko: – To na razie! – i chce iść dalej.

Lecz Barkhausen chwyta go mocno za poły i szepcze żarliwie: – Sąsiedzie, nie mówmy już o tym, co było. Nie jestem szpiclem i nie chce na nikogo sprowadzić nieszczęścia. Ale ja też poproszę cie o przysługę. Musze dać żonie trochi piniędzy na jedzenie, a ni mam ani feniga. Dzieci nic dzisiaj jeszcze nie jadły. Pożycz mi dychę, w przyszły piątek dostaniesz z powrotem, obiecuje na wszystkie świętości!

Quangel znów uwalnia się z uchwytu Barkhausena. Myśli: A więc taki jesteś, w taki sposób zarabiasz na życie! I: Nie dam mu nawet jednej marki. Lecz myśli też: Boję się go, a on już nigdy nie wypuści mnie ze swych łap. Głośno mówi: – Co tydzień przynoszę do domu tylko trzydzieści marek i potrzebuję każdej z nich. Nie mogę ci dać żadnych pieniędzy.

Bez jednego dodatkowego słowa, bez jednego spojrzenia wchodzi w bramę fabryki. Portier zna go i przepuszcza bez zbędnych pytań.

Barkhausen stoi na ulicy, patrzy za nim i zastanawia się, co powinien zrobić. Najchętniej poszedłby na Gestapo i złożył meldunek na Quangla, z pewnością dostałby parę papierosów. Ale lepiej tego nie robić. Dziś zadziałał zbyt pośpiesznie, powinien był dać się Quangelowi wygadać, po śmierci syna ten człowiek na pewno miał na to ochotę.

Jednak źle ocenił Quangla, ten nie da się podejść. Dziś większość ludzi się boi, właściwie wszyscy, bo wszyscy robią coś zakazanego i zawsze będą się lękać, że ktoś o tym wie. Trzeba tylko zaskoczyć ich w odpowiedniej chwili i wtedy już się ich ma, a oni płacą. Ale Quangel, ten mężczyzna o ostrej, przypominającej głowę drapieżnego ptaka twarzy, nie jest taki. Ten najprawdopodobniej niczego się nie boi, a już na pewno nie da się zaskoczyć. Nie, zrezygnuje z niego, może w nadchodzących dniach uda mu się coś osiągnąć z jego żoną. Śmierć jedynaka wpływa na kobietę zupełnie inaczej! Wtedy babom rozwiązują się języki.

A więc żona w nadchodzących dniach, ale co robić teraz? Naprawdę

musi dać Otti jakieś pieniądze, dziś rano w tajemnicy wyjadł resztki chleba z kuchennej szafki. Nie ma pieniędzy i skąd ma je tak szybko wytrzasnąć? Jego kobieta to prawdziwa ksantypa i umie zamienić mu życie w piekło. Kiedyś była dziwką na Schönhauser Allee i czasami potrafiła być miłą i kochana. A teraz ma z nią piątkę nieznośnych bachorów, to znaczy większość z nich jest chyba jego, a ona klnie jak sprzedawczyni ryb w hali targowej. Bić ta suka też lubi, głównie dzieci, a jak na niego trafi, to dochodzi do bijatyki, w której to ona zawsze oberwie, ale rozumu jej od tego nie przybywa.

Nie, nie może wrócić do Otti bez pieniędzy. Nagle przychodzi mu do głowy stara Rosenthalowa, która mieszka teraz zupełnie sama i bezbronna na czwartym piętrze przy Jablonskistraße 55. Że też ta stara Żydówka nie przysłała mu do głowy wcześniej, przecież to o wiele bardziej opłacalny interes niż ten stary sęp Quangel! Jest dobroduszną kobietą, Barkhausen wie to jeszcze z dawnych czasów, kiedy Rosenthalowie wciąż mieli ten swój sklep z bielizną, więc najpierw spróbuje po dobroci. Nie będzie chciała, to walnie ją po prostu w łeb! Wtedy na pewno coś znajdzie, biżuterię, pieniądze albo coś do jedzenia, cokolwiek, co udobrucha Otti.

Gdy Barkhausen tak się zastanawia i wciąż na nowo wyobraża sobie, czego tam też nie znajdzie – bo Żydzi mają przecież wszystko, ukrywają to tylko przed Niemcami, którym to ukradli – ogarnięty takimi myślami coraz szybszym krokiem wraca w kierunku Jablonskistraße. Na dole klatki schodowej długo nasłuchuje. Nie chciałby, żeby ktoś zobaczył go tutaj od frontu, skoro mieszka w tylnej oficynie, zwanej altaną, w suterenie, czyli ma po prostu mieszkanie w piwnicy. Jemu samemu to nie przeszkadza, tylko przez ludzi jest mu czasem przykro.

Na klatce schodowej panuje cisza, a Barkhausen zaczyna pośpiesznie, lecz nie robiąc hałasu, wchodzić po schodach. Z mieszkania Persicków dobiegają dzikie hałasy, jakieś okrzyki i śmiechy; znowu świętują.

Powinien nawiązać bliższą znajomość z takimi jak Persickowie, oni mają odpowiednie stosunki, wtedy i jemu zaczęłoby się powodzić. Ale tacy oczywiście nawet nie zauważają takiego okazjonalnego szpicla jak on. Nosa zadzierają szczególnie chłopcy w SS i ten Baldur. Stary jest trochę lepszy, czasem daje mu pięć marek, kiedy jest pijany...

W mieszkaniu Quangelów panuje cisza, a piętro wyżej, u Rosenthalowej, też nic nie słyhać, choć długo przykłada ucho do drzwi. Dzwoni więc prędko i energicznie, jakby robił to posłaniec, któremu się śpieszy, żeby ruszyć dalej.

Lecz nic nie słyhać, więc po minucie czy dwóch czekania Barkhausen decyduje się zadzwonić po raz drugi, a potem po raz trzeci. Tymczasem nasłuchuje, nic nie słyszy, szepcze jednak przez dziurkę od klucza: – Pani Rosenthal, niech pani otworzy! Przynoszę pani wiadomość od męża! Prędko, zanim ktoś mnie zobaczy! Pani Rosenthal, przecie ja panią słyszę, niech pani otwiera!

Dzwoni raz po raz, lecz daremnie. W końcu ogarnia go wściekłość. Przecież nie może stąd odejść, nic nie osiągnąwszy, będzie z Otti straszna awantura. Ta stara Żydówka ma mu oddać to, co mu ukradła! Dzwoni jak szalony, a w przerwach krzyczy do dziurki od klucza: – Otwieraj, ty stara żydowska świni, albo przemaluje ci gębę tak, że już nigdy nie przejrzysz na oczy! Jeszcze dziś wyśle cie do kacetu, jeśli nie otworzysz, przekłeta Żydówo!

Gdyby tylko miał przy sobie benzynę, od razu podpaliłby tej padlinie drzwi!

Nagle jednak Barkhausen zamiera. Usłyszał, że na dole otwarły się jakieś drzwi, przyciska się mocno do ściany. Nikt nie może go tu zobaczyć. Na pewno chcą wyjść na ulicę, musi tylko być cicho.

Kroki zmiierzają jednak w górę schodów, niepowstrzymanie, choć powoli i z potykaniem się. To na pewno któryś z Persicków, a pijany

Persicke to coś, czego Barkhausenowi akurat teraz najmniej potrzeba. Oczywiście chciałby uciec na strych, ale strych jest zabezpieczony zamkniętymi żelaznymi drzwiami, nie ma żadnej kryjówki. Pozostaje więc tylko nadzieja, że ten pijany ktoś przejdzie obok, nie zauważając go. Jeśli to stary Persicke, to może się udać.

Lecz nie jest to stary Persicke, tylko ten obrzydliwy nicpoń Baldur, najgorszy z całej bandy! Wszędzie biega w tym swoim mundurze przywódcy Hitlerjugend^[19] i czeka, żeby inni pozdrawiali go pierwsi, choć przecież jest zupełnie nikim. Baldur powoli pokonuje ostatnie schody, mocno trzymając się poręczy, tak jest pijany. Mimo szklanego wzroku już dawno zauważył Barkhausena przy ścianie, odzywa się jednak dopiero wtedy, gdy stoi tuż przed nim: – Co tutaj tak wężysz od frontu? Nie podoba mi się to, zjeżdżaj do piwnicy, do tej swojej kurwy! Już, zmiataj stąd!

Unosi stopę w podbitym gwoździami bucie, lecz zaraz potem stawia ją z powrotem na ziemi. Za bardzo się chwije, żeby móc kopnąć.

Z takim tonem Barkhausen po prostu sobie nie radzi. Kiedy ktoś tak na niego warczy, kuli się w sobie pełen lęku. Szepcze pokornie: – Proszę o wybaczenie, panie Persicke! Chciałem tylko zażartować sobie z tej starej Żydówki!

Baldur usilnie się namyśla, aż marszczy mu się czoło. Po chwili mówi: – Kraść chciałeś, ścierwo, taki żart ze starej Żydówki wymyśliłeś. No już, zmiataj stąd!

[19] Hitlerjugend – organizacja młodzieżowa w ramach NSDAP, założona w roku 1926, od roku 1933 jedyny państwowy związek młodzieży; służył szkoleniu ideologicznemu i krzewieniu tężyzny fizycznej, podzielony na Hitlerjugend dla chłopców i Związek Dziewcząt Niemieckich (BDM) dla dziewcząt. W roku 1936 przynależność do Hitlerjugend stała się obowiązkowa, choć niemal cała młodzież już wtedy do tej organizacji należała.

Choć słowa są grubiańskie, brzmią mimo wszystko bez wątpienia życzliwie, a na to Barkhausen jest wyczulony. Dodaje więc z przepraszającym uśmiechem żarcik: – Ależ ja nie kradnę, panie Persicke, ja tylko czasem coś sobie organizuję!

Baldur Persicke nie odpowiada na uśmiech. Nie zadaje się z takimi ludźmi, nawet jeśli niekiedy okazują się przydatni. Ostrożnie schodzi po schodach za Barkhausenem.

Obaj są zatopieni w swoich myślach i nie zauważają, że drzwi Quangłów są tylko przymknięte. I zostają znowu otwarte, gdy obaj już je minęli. Anna Quangel przemyka w stronę poręczy i wsłuchuje się w dochodzące z dołu odgłosy.

Przed drzwiami Persicków Barkhausen pręży ramię w niemieckim pozdrowieniu: – Heil Hitler, panie Persicke! I bardzo panu dziękuję!

Za co właściwie dziękuje, tego sam dokładnie nie wie. Może za to, że nie dostał kopniaka w tyłek i nie został zrzucony ze schodów. Taki byle kto jak on musiałby na to pozwolić.

Baldur Persicke nie odpowiada na pozdrowienie. Patrzy na Barkhausena szklanym wzrokiem, sprawiając, że ten po chwili zaczyna mrugać i wbija wzrok na podłogę. Baldur pyta: – A więc chciałeś zrobić starej Rosenthalowej figła?

– Tak – odpowiada Barkhausen cicho ze spuszczoneymi oczami.

– A jakiego figła? – pada kolejne pytanie. – Chyba pod firmą Złodziej i Spółka?

Barkhausen odważa się zerknąć na twarz przeciwnika. – Och! – mówi. – Przemalowałbym jej gębę!

– Ach tak! – odpowiada Baldur. – Ach tak!

Przez chwilę stoją w milczeniu. Barkhausen zastanawia się, czy może teraz odejść, lecz właściwie nie dostał jeszcze rozkazu odmaszerowania. Czeka więc dalej w milczeniu, znów ze spuszczoneym wzrokiem.

– Wejdz do środka! – mówi nagle bełkotliwie Persicke. Wyciągniętym palcem wskazuje na otwarte drzwi do mieszkania Persicków. – Może mam ci jeszcze coś do powiedzenia. Zobaczmy!

Barkhausen, kierowany wyciągniętym palcem, w milczeniu wmaszerowuje do mieszkania Persicków. Baldur Persicke idzie za nim chwiejnym krokiem, lecz z żołnierską postawą. Drzwi zamykają się za nimi.

Na górze Anna Quangel odrywa się od poręczy i zakrada do własnego mieszkania, powolutku zamykając drzwi. Sama nie wie, dlaczego podsłuchiwała rozmowę tych dwóch, najpierw pod mieszkaniem pani Rosenthal, a potem pod drzwiami Persicków. Dotąd przestrzegała zwyczaju męża, który uważa, że współmieszkańcy mogą robić, co tylko chcą. Twarz Anny wciąż jest chorobliwie blada, a powieki nerwowo drżą. Już kilka razy miała ochotę usiąść i zapłakać, ale nie potrafiła. Przez głowę przelatują jej takie powiedzenia, jak: „serce mi się kraje”, „jakbym dostała obuchem w łeb” czy „ściska mnie w żołądku”. Czuje to wszystko, a na dodatek jeszcze to: „Nie mogą mi tak bezkarnie zabić syna. Potrafię być inna”.

Sama nie wie, o co jej chodzi z tym byciem inną, lecz podsłuchiwanie przed chwilą było zdaje się właśnie tego początkiem. Otto nie może już dłużej o wszystkim decydować sam, myśli sobie jeszcze. Ja też chcę móc zrobić to, co chcę, nawet jeśli jemu to nie odpowiada.

Z zapaląm zabiera się do przygotowania jedzenia. Jemu oddaje większość żywności, którą oboje dostają na kartki. Nie jest już młody, a cały czas musi pracować ponad siły. Ona dużo siedzi, szyjąc, więc taki podział jest oczywisty.

Podczas gdy ona nadal zajmuje się garnkami, Barkhausen wychodzi z mieszkania Persicków. Gdy tylko schodzi ze schodów, jego postawa traci całą służalczość, którą im okazywał. Wyprostowany przemierza

podwórze, żołądka czuje przyjemne ciepło dwóch wypitych kieliszków wódki, a w kieszeni ma dwa dziesięciomarkowe banknoty. Jeden z nich wystarczy, by załagodzić zły humor Otti.

Lecz kiedy wchodzi do izby w suterenie, Otti wcale nie jest w złym humorze. Na stole leży biały obrus, a Otti siedzi na kanapie z jakimś nieznanym Barkhausenowi mężczyzną. Nieznajomy, całkiem niezłe ubrany, pośpiesznie cofa rękę, którą obejmował ramiona Otti. Choć wcale tego robić nie musiał, Barkhausen nigdy nie był na tym punkcie drażliwy.

Myśli sobie: Patrzcie, patrzcie, kogo to stare ścierwo potrafiło złowić! Ten tutaj to co najmniej jaki urzędnik bankowy albo nauczyciel...

W kuchni dzieci drą się i wyją. Barkhausen daje każdemu grubą pajdę chleba, który leży na stole. A potem sam je śniadanie, jest i chleb, i kiełbasa, i wódka. Dla takiego zalotnika wszystko, co dobre! Obdarza mężczyznę na kanapie zadowolonym spojrzeniem. Mężczyzna nie wydaje się czuć tak dobrze jak Barkhausen.

Dlatego Barkhausen wychodzi szybko, gdy tylko trochę się posilił. Boże broń, żeby spłoszył zalotnika! Dobrze się składa, bo może zachować całe dwadzieścia marek dla siebie. Barkhausen kieruje swe kroki ku Rollerstraße. Słyszał, że jest tam knajpa, w której ludzie pozwalają sobie na lekkomyślne rozmowy. Może tam coś zdziała. Teraz w Berlinie rybki można łowić wszędzie. Jeśli nie w dzień, to w nocy.

Gdy Barkhausen myśli o nocy, jego opadające wąsy drgają jak od śmiechu. Ten Baldur Persicke, wszyscy ci Persickowie, niezła z nich banda! Ale jego nie nabiorą, o nie, jego nie! Chyba nie myślą, że załatwili z nim sprawę za dwadzieścia marek i dwa kieliszki wódki. Jeszcze nadejdzie czas, gdy będzie mieć wszystkich tych Persicków w kieszeni. Musi tylko być teraz uległy i szczwany.

Przy okazji Barkhausenowi przypomina się, że jeszcze przed wieczorem musi znaleźć pewnego Enna. Enno będzie chyba odpowiednią

osobą. Ale bez obaw, na pewno go znajdzie. Enno codziennie robi rundkę po trzech czy czterech lokalach, gdzie przesiadują drobni hazardziści. Jak ten Enno naprawdę się nazywa, tego Barkhausen nie wie. Zna go tylko z paru knajp, w których wszyscy wołają na niego Enno. Już on go znajdzie, a ten być może okaże się właściwym człowiekiem.

ROZDZIAŁ 4.

Trudel Baumann zdradza tajemnicę

Otto Quangel wszedł do fabryki z łatwością, wywołanie Trudel Baumann okazało się natomiast dużo trudniejsze. Pracowali tutaj – dokładnie tak jak w fabryce Quangla – nie tylko na akord, lecz każda sala musiała wyrobić określoną normę, liczyła się często każda minuta.

Ostatecznie Quangel osiąga swój cel, w końcu jego rozmówca jest takim samym majstrem jak on. Nie wypada odmówić koledze, zwłaszcza gdy dopiero co poległ jego syn. Quangel musiał to powiedzieć, tylko po to, żeby móc zobaczyć się z Trudel. A z tego wynika, że będzie musiał powiedzieć także jej, wbrew prośbie żony, bo inaczej dowie się od swojego majstra. Miał nadzieję, że obędzie się bez krzyków, a przede wszystkim bez mdlenia. Właściwie to cud, jak Anna dobrze się trzymała – ale Trudel też przecież mocno stąpa po ziemi.

Idzie w końcu, a Quangel, którego nigdy nie interesowała inna kobieta niż własna żona, musi przyznać, że wygląda zachwycająco z potarganymi, gęstymi i ciemnymi włosami, okrągłą twarzą, której praca w fabryce nie pozbawiła jeszcze świeżości, z roześmianymi oczami i dużymi piersiami. Nawet teraz, gdy ma na sobie w pracy długie niebieskie spodnie i stary, wielokrotnie cerowany sweter, z którego zwisają resztki nici, nawet teraz wygląda zachwycająco. Najpiękniejszy jest w niej chyba jednak sposób, w jaki się porusza, cała tryska energią, każdy krok wykonuje z chęcią, wręcz kipi radością życia.

Właściwie to cud, myśli przelotnie Otto Quangel, że taki nieudacznik jak Otto, rozpuszczony przez matkę synalek, zdobył taką wspaniałą

dziewczynę. Lecz, od razu się poprawia, co ja wiem o Ottonie? Właściwie nigdy mu się dobrze nie przyjrzałem. Musiał być zupełnie inny, niż myślałem. A na tych radiach to chyba faktycznie się znał, majstrzy wyrywali go sobie z rąk.

– Dzień dobry, Trudel – mówi i wyciąga rękę, w którą natychmiast mocno wsuwa się jej ciepła, miękka dłoń.

– Dzień dobry, ojczy – odpowiada. – Co tam u was w domu słychać? Mateczka znowu się za mną stęskniła, a może Otto napisał? Postaram się jak najszybciej do was zajrzeć.

– Musisz przyjść dziś wieczorem, Trudel – powiedział Otto Quangel. – Chodzi o to, że...

Nie skończył jednak zdania. Trudel swoimi szybkimi ruchami już sięgnęła do kieszeni niebieskich spodni i wyjęła kieszonkowy kalendarz, który teraz kartkuje. Słucha go nieuważnie, to nie jest właściwy moment, żeby jej coś takiego powiedzieć. Quangel czeka więc cierpliwie, aż dziewczyna znajdzie to, czego szuka.

Ich spotkanie odbywa się w długim, pełnym przeciągów korytarzu, którego pobielone ściany całe zaklejone są plakatami. Spojrzenie Quangla mimowolnie pada na jeden z plakatów, który wisi krzywo za Trudel. Czyta kilka słów napisanego wytłuszczonym drukiem nagłówka: „W imieniu narodu niemieckiego”, potem trzy nazwiska i: „za zdradę kraju i zdradę stanu zostali skazani na śmierć przez powieszenie. Egzekucja odbyła się dziś rano w zakładzie karnym Plötzensee”.

Mimowolnie chwytą Trudel obiema rękami i przesuwają na bok, żeby nie stała przed tym plakatem. – Czemu...? – pyta najpierw zaskoczona, a potem jej spojrzenie biegnie za jego wzrokiem i też czyta nagłówek. Wydaje z siebie dźwięk, który może oznaczać wszystko: sprzeciw wobec tego, co przeczytała, niezgodę na to, co zrobił Quangel, obojętność, w każdym razie nie wraca jednak na swoje stare miejsce. Wkładając

kalendarz z powrotem do kieszeni, mówi: – Dzisiaj wieczorem nie mogę, tato, ale jutro będę u was koło ósmej.

– Ale musisz przyjść dzisiaj, Trudel! – protestuje Otto Quangel. – Dostaliśmy wiadomość o Ottonie. – Jego wzrok stał się jeszcze ostrzejszy, widzi, jak z jej oczu znika uśmiech. – On poległ, Trudel.

To dziwne, ten sam dźwięk, który wydał z siebie Otto Quangel na tę wiadomość, wydobywa się teraz z piersi Trudel, głębokie „Och...!”. Przez moment patrzy na Quangla zamglonym wzrokiem, jej wargi drżą. Potem odwraca twarz do ściany i opiera o nią czoło. Płacze, lecz bezgłośnie. Quangel widzi, jak trzęsą jej się ramiona, lecz nie słyszy żadnego dźwięku.

Dzielna dziewczyna! – myśli sobie. Jak bardzo była do niego przywiązana! Na swój sposób on też był dzielny, nigdy nie zadawał się z tymi gówniarzami, nie dał się podjudzić przez Hitlerjugend przeciwko rodzicom, zawsze był przeciwny zabawie w żołnierzy i wojnie. Ta przeklęta wojna!

Zamarł przerażony tym, co przed chwilą pomyślał. Czy on też już się zmienia? To było przecież prawie coś takiego jak to wypowiedziane przez Annę „ty i ten twój Hitler!”.

A potem widzi, że Trudel opiera się czołem akurat o ten plakat, od którego przed chwilą ją odciągnął. Nad jej głową widać wytłuszczone litery: „W imieniu narodu niemieckiego”, jej czoło przesłania nazwiska trzech powieszonych...

I niczym wizja ukazuje mu się, że pewnego dnia na ścianach może wisieć taki sam plakat z nazwiskami jego, Anny i Trudel. Niezadowolony potrząsa głową. Jest prostym robotnikiem, dla którego ważny jest spokój, i w ogóle nie interesuje go polityka. Anna dba o ich dom, a taka śliczna dziewczyna jak Trudel wkrótce znajdzie sobie nowego przyjaciela...

Lecz wizja jest uparta, wciąż tam tkwi. Nasze nazwiska na ścianie, myśli, zupełnie zbity z tropu. A właściwie to czemu nie? Zawisnąć na

szubienicy to przecież nie gorzej niż zostać rozerwanym przez granat czy zdychać po postrzale w brzuch!

To wszystko jest nieważne. Ważne jest tylko to, że muszę się dowiedzieć, jak to jest z tym Hitlerem. Na początku wszystko przecież wyglądało dobrze, a teraz nagle wszystko jest nie tak. Nagle widzę tylko ucisk, nienawiść, przymus, cierpienie, tyle cierpienia... Parę tysięcy, tak powiedział ten tchórzliwy szpicel Barkhausen. Jakby ważna była liczba! Jeśli tylko jeden człowiek cierpi niesprawiedliwie, a ja nie mogę tego zmienić i nie robię tego tylko dlatego, że jestem tchórzem i za bardzo kocham spokój, to wtedy...

Nie ma śmiałości dokończyć tej myśli. Boi się, naprawdę boi się tego, do czego może go doprowadzić ta myśl, jeśli pomyśli ją do końca. Musiałby chyba wtedy zmienić całe swoje życie!

Zamiast tego znów patrzy na dziewczynę, nad której głową widnieje napis „W imieniu narodu niemieckiego”. Nie powinna płakać oparta akurat o ten plakat. Nie potrafi oprzeć się pokusie, odwraca jej ramiona od ściany i mówi najdelikatniej, jak potrafi: – Chodź, Trudel, nie przy tym plakacie...

Przez chwilę jakby bez zrozumienia przygląda się wydrukowanym słowom. Oczy ma już suche, jej ramionami nie wstrząsa szloch. A potem w jej spojrzeniu znów pojawia się życie, nie ten dawny, wesoły blask, z którym wkroczyła na ten korytarz, lecz jakiś ciemny żar. Przykłada dłoń mocno, ale delikatnie do miejsca, gdzie widnieje słowo „powieszeni”. – Nigdy nie zapomnę, ojczcie – mówi – że właśnie pod takim plakatem płakałam nad Ottonem. Być może, nie chciałabym tego, ale być może i moje nazwisko pojawi się na takim świstku.

Wpatruje się w niego. Quangel ma wrażenie, że ona nie wie, co mówi. – Dziewczyno! – wykrzykuje przerażony. – Opamiętaj się! Jak miałabyś... Ty i taki plakat... Jesteś młoda, całe życie przed tobą. Znowu

będziesz się śmiać, będziesz miała dzieci...

Potrząsa przecząco głową. – Nie będę miała dzieci, dopóki nie będę miała pewności, że mi ich nie zastrzelą. Dopóki jakiś tam generał może powiedzieć: maszeruj i zdychaj! Ojczy – mówi dalej, mocno chwytając jego dłoń. – Ojczy, czy ty naprawdę możesz dalej żyć tak jak dotąd, skoro zastrzelili ci twojego Ottona?

Wpatruje się w niego usilnie, a on znowu broni się przed tym czymś obcym, co go przenika. – To Francuzi – mamrocze.

– Francuzi! – wykrzykuje oburzona. – Dajesz sobie to wmówić? A kto napadł na Francuzów? No kto, ojczy? Powiedz!

– Ale co my możemy zrobić? – zrozpaczony Otto Quangel broni się przed naciskiem. – Jest nas tak niewiele, a miliony ludzi są za nim, a co dopiero teraz, po zwycięstwie nad Francją. Nic nie możemy zrobić!

– Możemy zrobić bardzo dużo! – szepcze ona gorączkowo. – Możemy psuć maszyny, możemy pracować źle i powoli, możemy zrywać ich plakaty by rozwieszać inne, na których wytłumaczymy ludziom, jak są okłamywani i oszukiwani – szepcze coraz ciszej. – Ale najważniejsze jest, że jesteśmy inni niż oni, że nigdy nie staniemy się tacy jak oni, że nigdy nie będziemy myśleć tak jak oni. Nie będziemy nazistami, choćby oni pokonali cały świat!

– A co przez to osiągniemy, Trudel? – pyta cicho Otto Quangel. – Nie wiem, co mielibyśmy przez to osiągnąć.

– Ojczy – odpowiada. – Ja na początku też nie rozumiałam. I tak do końca nadal nie rozumiem. Ale wiesz, założyliśmy tutaj w zakładzie tajną komórkę komunistyczną, na razie małą, trzech kolegów i ja. Jeden z nich próbował mi to wytłumaczyć. Powiedział, że jesteśmy jak dobre ziarno na polu chwastów. Gdyby nie było dobrego ziarna, całe pole zarosłoby chwastami. A dobre ziarno może się rozplenić...

Milknie, jakby się czegoś bardzo przeraziła.

– Co się stało, Trudel? – pyta on. – To o dobrym ziarnie to całkiem niezła myśl. Pomyślę nad tym, mam tyle do przemyślenia w najbliższym czasie.

Lecz ona mówi przepełniona żalem i poczuciem wstydu: – Właśnie wygadałam o komórce, a przecież przysięgałam na wszystkie świętości, że nikomu tego nie zdradzę!

– Tym się nie martw, Trudel – mówi Otto Quangel, a jego spokój mimowolnie udziela się udręczonej dziewczynie. – Ottonowi Quanglowi takie rzeczy wpadają jednym uchem, a wypadają drugim. Już nic nie pamiętam. – Teraz on wpatruje się w plakat z ponurym zdecydowaniem. – Może przyjsć całe Gestapo, a ja i tak nic nie będę pamiętał. I – dodaje – jeśli chcesz, i jeśli da ci to spokój, to możesz nas już od tej chwili nie znać. Nie musisz też już przychodzić dziś wieczór do Anny, wytłumaczę jej to jakoś i nic jej nie powiem.

– Nie – odpowiada na to dziewczyna pewnym tonem. – Nie. Przyjdę dziś wieczór do mamy. Ale będę musiała powiedzieć pozostałym, że się wygadałam, i może któryś cię przesłucha, żeby się przekonać, czy można ci ufać.

– A niech przychodzą! – mówi groźnie Otto Quangel. – Ja o niczym nie wiem. Nigdy nie miałem nic wspólnego z polityką, przez całe życie. Do zobaczenia, Trudel. Nie zobaczę się z tobą już dzisiaj, prawie nigdy nie wracam z pracy przed dwunastą.

Podaje mu dłoń, a potem wraca korytarzem w głąb fabryki. Nie tryska już radością życia, lecz wciąż jest silna. Dobre dziecko! – myśli Quangel. – Dzielna dziewczyna!

A potem stoi sam na korytarzu wyklejonym plakatami, które cicho szeleszczą w wiecznym przeciągu. Zbiera się do odejścia. Lecz najpierw robi coś, co zaskakuje jego samego. Z ponurym zdecydowaniem kiwa głową do plakatu, przy którym płakała Trudel.

Już po sekundzie wstydzi się tego, co zrobił. Przecież to czyste błazeństwo! Rusza do domu. Najwyższy czas, będzie musiał wsiąść do tramwaju, a tego jego oszczędna, granicząca wręcz czasem ze skąpstwem natura nie znosi.

ROZDZIAŁ 5.

Enno Kluge wraca do domu

O drugiej po południu listonoszka Ewa Kluge skończyła obchód. Prawie do czwartej rozliczała jeszcze potem blankiety nadawcze i przekazy. Gdy była bardzo zmęczona, plątały jej się cyfry i wciąż myliła się w rachunkach. Z piekącymi stopami i bolesną pustką w głowie wyruszyła w drogę do domu; nawet nie chciała myśleć o tym wszystkim, co ma jeszcze do zrobienia, zanim w końcu będzie mogła położyć się do łóżka. Po drodze załatwiła sprawunki na kartki. U rzeźnika czekała dość długo, więc była już prawie szósta, gdy powoli wchodziła na schody do swojego mieszkania przy Friedrichshain.

Na schodku przed jej drzwiami stał drobny mężczyzna w jasnym płaszczu i sportowej czapce. Miał bezbarwną, pozbawioną wyrazu twarz, o lekko zaczerwienionych powiekach i bladych oczach, twarz, jaką od razu się zapomina.

– To ty, Enno? – zawołała przestraszona, mimowolnie zaciskając dłoń na kluczu do mieszkania. – Czego jeszcze u mnie szukasz? Nie mam już pieniędzy ani jedzenia, a do mieszkania też cię nie wpuszczę!

Niski mężczyzna wykonał uspokajający gest. – Ewo, po co się tak od razu denerwujesz? Po co się tak złościysz? Chcę ci tylko powiedzieć dzień dobry, Ewo. Dzień dobry, Ewo!

– Dzień dobry, Enno! – odpowiedziała, choć z niechęcią, bo znała swojego męża od wielu lat. Odczekała chwilę, a potem roześmiała się krótko i złośliwie. – Teraz powiedzieliśmy sobie dzień dobry, tak jak chciałeś, Enno, i możesz już iść. Ale jak widzę, wcale nie idziesz, więc

czego tak naprawdę chcesz?

– Widzisz, Ewuniu – powiedział, wciąż próbując ją przekonać. – Jesteś rozsądną kobietą i można z tobą pogadać... – Zaczął jej szczegółowo wyjaśniać, że kasa chorych już mu nie płaci, bo wykorzystał dwadzieścia sześć tygodni chorobowego. Musi znowu iść do pracy, inaczej wyślą go z powrotem do Wehrmachtu, jego fabryka oddała go do dyspozycji wojska, ponieważ jest mechanikiem precyzyjnym, a takich im brakuje. – Sprawa i okoliczność jest taka – zakończył swoje wyjaśnienia – że przez najbliższy czas muszę mieć stały adres zamieszkania. To pomyślałem sobie...

Energicznie potrząsnęła głową. Ledwo stała na nogach z wyczerpania i bardzo chciała wejść już do mieszkania, w którym czekało ją jeszcze tyle pracy. Ale jego nie wpuści, jego nie, nawet gdyby miała stać tutaj przez pół nocy.

On mówi szybko, ale wciąż brzmi tak samo bezbarwnie: – Nie mów od razu: nie, Ewuniu, jeszcze nie skończyłem. Przysięgam, że nic od ciebie nie chcę, ani pieniędzy, ani jedzenia. Po prostu pozwól mi spać na kanapie. Nawet pościeli nie potrzebuję. Nie chcę przysparzać ci pracy.

Ponownie potrząsnęła głową. Niech on już przestanie gadać, przecież powinien wiedzieć, że nie wierzy ani jednemu jego słowu. Nigdy dotąd nie dotrzymał żadnej ze swoich obietnic.

– Dlaczego nie załatwisz tego z jedną ze swoich przyjaciółek? – zapytała. – Przecież po to je chyba masz!

Pokręcił głową: – Z kobietami skończyłem, Ewuniu, nie zajmuję się już nimi, już mi wystarczy. Jak tak sobie pomyślę, to ty zawsze byłaś najlepsza ze wszystkich, Ewuniu. Przeżyliśmy razem dobre lata, wtedy gdy chłopcy byli jeszcze mali.

Jej twarz rozjaśniła się mimowolnie na wspomnienie pierwszych lat małżeństwa. Rzeczywiście, to były dobre lata, wtedy gdy pracował jeszcze jako mechanik precyzyjny i co tydzień przynosił do domu sześćdziesiąt

marek, i nie wiedział, co to wstręt do pracy.

Enno Kluge natychmiast wyczuł okazję. – Widzisz, Ewuniu, odrobinę mnie jeszcze lubisz i dlatego pozwolisz mi spać na kanapie. Obiecuję ci, bardzo szybko załatwię to z pracą, wcale nie chcę głodować. Tylko tak długo, aż znowu dostanę zasiłek chorobowy i nie będę musiał do woja. W dziesięć dni załatwię sobie znowu zwolnienie!

Umilkł na chwilę i patrzył na nią wyczekująco. Tym razem nie potrzęsła głową, lecz jej twarz miała nieprzenikniony wyraz. Ciągnął więc dalej: – Tym razem nie postawię na krwawienia z żołądka, wtedy w szpitalu nie dają człowiekowi nic do jedzenia. Tym razem pojedę na kolce wątrobowej. Wtedy nic nie mogą udowodnić, najwyżej zrobić rentgena, a człowiek wcale nie musi mieć kamieni, żeby mieć kolkę. Po prostu ją ma. Kazałem sobie wszystko dokładnie wyjaśnić. Na pewno się uda. Tylko że muszę przepracować te pierwsze dziesięć dni.

Znów nie odpowiada ani słowem, a on mówi dalej, bo wierzy, że słowami można ludziom wierceć dziurę w brzuchu tak długo, aż się w końcu poddadzą, tylko trzeba być wystarczająco wytrwałym. – Mam też adres jednego żydowskiego doktora z Frankfurter Allee, ten każdemu chętnemu wypisuje zwolnienie, nie chce mieć z ludźmi żadnych kłopotów. Z nim to załatwię. Za dziesięć dni będę z powrotem w szpitalu, a ty będziesz mnie mieć z głowy, Ewuniu!

A ona odpowiada, zmęczona całą tą jego paplaniną: – Nawet gdybyś stał tu i gadał aż do północy, to i tak nie przyjmę cię z powrotem, Enno. Nigdy tego nie zrobię, choćbyś nie wiem co mówił i robił. Już nigdy nie pozwolę, żebyś popsuł mi wszystko, ty i twoje lenistwo, i hazard, i te twoje łajdaczki. Przeżyłam to już trzy razy, a potem czwarty, i jeszcze raz, i jeszcze raz, i mnie już wystarczy raz na zawsze! Usiądę sobie tutaj na schodku, bo jestem zmęczona, od szóstej jestem na nogach. Jeśli chcesz, przysiądź się. Jak masz ochotę, gadaj, jak nie masz, to milcz, mnie to

obojętne. Ale do mieszkania nie wejdiesz!

I rzeczywiście usiadła na schodach, na tym samym stopniu, na którym on wcześniej czekał. A jej słowa zabrzmiały tak zdecydowanie, że poczuł, że tym razem na nic cała jego paplanina. Przekrzywił więc swoją dżokejkę i powiedział: – Cóż, Ewuniu, skoro naprawdę nie chcesz, skoro nie możesz wyświadczyć mi tak drobnej przysługi, chociaż wiesz, że twój mąż jest w potrzebie, mąż, z którym miałaś pięcioro dzieci, z czego troje leży na cmentarzu, a dwaj chłopcy walczą za Führera i naród... – Przerwał, mówił jak automat, bo był przyzwyczajony do ciągłego gadania w knajpach, choć rozumiał, że tutaj wszelkie gadanie jest bezcelowe. – W takim razie pójdę już, Ewuniu. I wiedz, że nie mam ci tego za złe, wiesz, że choć jestem, jaki jestem, nie chowam urazy.

– Bo wszystko jest ci obojętne oprócz hazardu – odpowiedziała. – Bo poza tym nic na tym świecie cię nie interesuje, bo na niczym i na nikim ci nie zależy, nawet na sobie samym, Enno. – Natychmiast umilkła, rozmowa z tym człowiekiem nie miała przecież sensu. Odczekała chwilę, a potem powiedziała: – Wydawało mi się, że chcesz już iść, Enno?

– Już idę, Ewuniu – powiedział ku jej zaskoczeniu. – Powodzenia. Nie chowam urazy. Heil Hitler, Ewuniu!

– Heil Hitler! – odpowiedziała mechanicznie, wciąż mocno przekonana, że to pożegnanie to tylko zwód z jego strony jedynie wprowadzenie do nowej niekończącej się przemowy. Lecz ku jej bezgranicznemu zdumieniu on naprawdę nic więcej nie powiedział, tylko zaczął schodzić po schodach.

Przez minutę czy dwie siedziała jeszcze oszołomiona na stopniu, nie mogąc uwierzyć w swoje zwycięstwo. A potem zerwała się na nogi i zaczęła nasłuchiwać. Wyraźnie słyszała jego krok na najniższym schodku, nie ukrył się, naprawdę poszedł! Właśnie trzasnęły drzwi wejściowe. Drżącą ręką otworzyła drzwi, była tak zdenerwowana, że w pierwszej

chwili nie mogła trafić kluczem do dziurki. Gdy była już w środku, założyła łańcuch i opadła na krzesło w kuchni. Jej członki zwiotczały, ta walka wypompuwała z niej resztki sił. Nie miała w sobie żadnej energii, wystarczyłoby teraz, żeby ktoś tknął ją palcem, a gładko zsunęłaby się z krzesła.

Lecz gdy tak siedziała, stopniowo wracały jej siły i życie. W końcu choć raz udało jej się pokonać siłą swej woli jego tępy upór. Zachowała swój dom dla siebie, tylko dla siebie. Nie będzie tu znowu przesiadywał, bez końca opowiadał o tych swoich koniach ani kradł jej, co się da, choćby ostatnią markę czy piętękę chleba.

Zerwała się na nogi, pełna nowej ochoty do życia. Uwielbiała tę porę dnia. Po niekończącej się służbie na poczcie potrzebowała tych kilku godzin tutaj dla siebie. Obchód był dla niej ciężki, bardzo ciężki, coraz cięższy. Już wcześniej miała kobiece problemy, nie bez powodu trzej najmłodszy leżeli na cmentarzu, wszyscy urodzili się przedwcześnie. Nogi też już nie te. Nie była kobietą stworzoną do pracy zarobkowej, tak naprawdę była gospodynią domową. Ale musiała zacząć zarabiać, gdy jej mąż nagle przestał pracować. Wtedy obaj chłopcy byli jeszcze mali. Zadbała o nich, stworzyła im ten dom: mieszkalną kuchnię i pokój. I do tego jeszcze wytrzymała z mężem, jeśli akurat nie spał kątem u jednej ze swoich kochanek.

Oczywiście, że już dawno mogła się z nim rozwieść, przecież wcale nie ukrywał swoich zdrad. Lecz rozwód nic by nie zmienił, rozwiedziony z nią czy nie, Enno i tak zawsze by się jej czepiał. Jemu było wszystko obojętne, nie miał za grosz honoru.

Z mieszkania tak do końca wyrzuciła go dopiero wtedy, gdy obaj chłopcy poszli na wojnę. Do tego momentu wciąż uważała, że musi zachować choćby pozór życia rodzinnego, choć oba wyrosnięte już łobuziaki doskonale się orientowały. W ogóle bała się tego, że

inni dowiedzą się o ich niesnaskach. Gdy pytano o jej męża, zawsze odpowiadała, że wyjechał na montaż. Jeszcze teraz zachodziła czasem do rodziców Enna, zanosząc im coś do jedzenia albo parę marek, poniekąd jako rekompensatę za pieniądze, które ich syn podstępnie wyłudzał z ich nędznej emerytury.

Lecz wewnątrznie całkiem już z nim skończyła. Nawet gdyby się zmienił, znowu zaczął pracować i być taki jak w pierwszych latach małżeństwa, nie przyjęłaby go z powrotem. Nie nienawidziła go nawet, był takim nikim, że nawet trudno byłoby go nienawidzić, był jej po prostu wstrętny, tak jak pająki czy węże. Miał ją tylko zostawić w spokoju, nie chciała go po prostu widzieć i to wystarczyło jej do szczęścia!

Tak rozmyślając, Ewa Kluge postawiła zupę na gaz i posprzątała kuchnię. Pokoik, w którym stało jej łóżko, zawsze doprowadzała do porządku wczesnym rankiem. Słyszając, że rosół zaczyna wrzeć, a jego zapach roznosi się po całej kuchni, sięgnęła po koszyczek do cerowania – z pończochami miała ciągle utrapienie, często w ciągu dnia darła więcej, niż była w stanie zacerować. Ale ta praca nie była przykra, uwielbiała te ciche pół godziny przed jedzeniem, gdy mogła posiedzieć sobie wygodnie w miękkich filcowych kapciach na wyplatanym krześle, wyciągnąć daleko obolałe stopy, wykręcając je nieco do środka – tak najlepiej odpoczywały.

Po jedzeniu chciała napisać do swojego ukochanego syna, najstarszego, chciała napisać do Karlemanna, który był w Polsce. Zupełnie go nie rozumiała, szczególnie odkąd wstąpił do SS. Ostatnimi czasy bardzo źle mówiło się o SS, podobno byli okropni zwłaszcza wobec Żydów. Ale ona nie wierzyła, żeby jej chłopak, którego kiedyś nosiła pod sercem, mógł gwałcić żydowskie dziewczęta, a zaraz potem je zabijać. Karlemann na pewno nic takiego nie robi! Skąd by mu to przyszło do głowy? Ona nigdy nie umiała być ostra ani surowa, a ojciec był po prostu fajtłapą. Mimo wszystko spróbuje w liście dać mu do zrozumienia, że musi postępować

przyzwocie. Oczywiście, taka uwaga musi być bardzo delikatna, żeby zrozumiał ją tylko Karlemann. W przeciwnym razie może mieć kłopoty, jeśli list trafi do rąk cenzora. Już ona coś wymyśli, może przypomni mu pewne wydarzenie z dzieciństwa, gdy ukradł jej dwie marki i nakupił za nie cukierków, albo jeszcze lepiej, jak mając trzynaście lat zalecał się do Walii, która była po prostu zwykłą dziwką. Ależ było wtedy ciężko go od tej kobiety oderwać – Karlemann czasami potrafił tak złościć!

Uśmiecha się jednak, wspominając te kłopoty. Wszystko, co związane z dzieciństwem chłopców, wydaje jej się dzisiaj piękne. Wtedy miała jeszcze w sobie siłę, była w stanie obronić swoich łobuziaków przed całym światem, pracować dzień i noc tylko po to, żeby nie brakowało im niczego, co mają dzieci przywoitych ojców. Lecz w ostatnich latach ma coraz mniej sił, szczególnie odkąd obaj musieli pójść na wojnę. Nie, do tej wojny nie powinno być dojsć. Gdyby Führer rzeczywiście był takim wielkim człowiekiem, nie dopuściłby do niej. Niewielki Gdańsk i wąski korytarz – i po to miliony ludzi codziennie narażają swe życie – takich rzeczy wielcy ludzie nie robią!

Co prawda ludzie gadają, że był nieślubnym dzieckiem. I pewnie nigdy nie miał matki, która właściwie by o niego zadbała. Więc nie wie też nic o tym, jak czują się matki, które żyją w wiecznym, nigdy nieustającym lęku. Gdy przyjdą listy z frontu, przez dzień, dwa jest lepiej, a potem zaczyna się odliczać, ile czasu minęło od ich wysłania, i lęk pojawia się na nowo.

Już dawno opuściła cerowaną pończochę i tylko siedziała zamyślona. Teraz wstaje niczym automat, przesuwa rosół z większego płomienia na mniejszy, a na większym chce postawić garnek z ziemniakami. I w tym momencie słyszy dzwonek do drzwi. Natychmiast zamiera. „Enno! – myśli w duchu – Enno!”.

Cicho odstawia garnek i w filcowych kapciach bezgłośnie zakrada się

do drzwi. W sercu odczuwa ulgę. Przed drzwiami, w pewnej odległości, żeby lepiej ją było widać, stoi jej sąsiadka, pani Gesch. Na pewno znowu chce coś pożyczyć, mąkę, odrobinę tłuszczu, którego zawsze zapomina oddać. Mimo to Ewa Kluge pozostaje nieufna. Rozgląda się na tyle, na ile pozwala na to judasz w drzwiach, po całym korytarzu i nasłuchuje najłżejszego dźwięku. Ale wszystko jest w porządku, tylko pani Gesch szura niecierpliwie stopami i spogląda na judasz.

Ewa Kluge podejmuje decyzję. Otwiera drzwi, ale tylko na tyle, na ile pozwala łańcuch, i pyta: – Tak, o co chodzi, pani Gesch?

Pani Gesch, wychudła, sterana niemal na śmierć kobieta, której córki żyją wygodnie na koszt matki, natychmiast zalewają potokiem skarg na niekończące się pranie, że ciągle pierze brudną bieliznę innych ludzi i nigdy nie może najeść się do syta, a Emmi i Lili nie robią zupełnie nic. Po kolacji po prostu wychodzą, zostawiając matce zmywanie. – I tak, pani Kluge, chciałam panią poprosić, bo mam coś na plecach, chyba czyraka albo jakiegoś ropnia. Nie mamy nawet lustra, a i mój wzrok nie najlepszy. Gdyby zechciała pani zerknąć – przecież nie mogę z czymś takim iść do lekarza, skąd miałabym mieć czas na lekarza? Ale może mogłaby to pani od razu wycisnąć, jeśli się pani nie brzydzi, niektórzy się brzydzą...

Podczas gdy pani Gesch dalej się uskarżała, Ewa Kluge niewiele myśląc zdejmując łańcuch, a sąsiadka wchodzi do kuchni. Ewa chce z powrotem zamknąć drzwi, lecz uniemożliwia jej to czyjaś stopa, i tak Enno Kluge znajduje się w jej mieszkaniu. Twarz ma jak zawsze pozbawioną wyrazu. To, że mimo wszystko jest trochę zdenerwowany, poznaje tylko po tym, jak mocno drżą mu niemal pozbawione rzęs powieki.

Ewa Kluge stoi z opuszczonymi ramionami, kolana trzęsą jej się tak bardzo, że najchętniej opadłaby na podłogę. Potok słów pani Gesch nagle zamiera, w milczeniu patrzy na twarz obojga. W kuchni panuje całkowita cisza, tylko rosół wrze cicho w garnku.

W końcu pani Gesch mówi: – No to wyświadczyłam panu przysługę, panie Kluge. Ale powiadam panu: jeden raz i nigdy więcej. A jeśli nie dotrzyma pan obietnicy i znowu zacznie się próżniactwo, latanie po knajpach i wyścigach... – przerywa, patrzy w twarz pani Kluge i mówi: – A jeśli zrobiłam głupstwo, to zaraz pomogę pani wyrzucić stąd pani mężulka, pani Kluge. We dwie damy sobie z nim radę jak nic!

Ewa Kluge wykonuje obronny gest. – Ach, nie, już pani da spokój, pani Gesch, przecież to wszystko jedno!

Idzie powoli i ostrożnie do plecionego krzesła i opada na nie. Z powrotem bierze do ręki pończochę do zacerowania, ale wpatruje się w nią, jakby nie wiedziała, co to jest.

– W takim razie dobranoc albo Heil Hitler, jak państwo wolą! – mówi nieco urażona pani Gesch.

Enno Kluge pośpiesznie mówi: – Heil Hitler!

A Ewa Kluge odpowiada powoli, jakby budziła się ze snu: – Dobranoc, pani Gesch. – Przypomina sobie coś. – A jeśli rzeczywiście ma pani coś na plecach... – dodaje.

– Nie, nie – odpowiada szybko pani Gesch, która jest już pod drzwiami. – Nic tam nie mam, tak tylko powiedziałam. Ale na pewno już więcej nie będę się wtrącać w nie swoje sprawy. Widać przecież, że nikt mi za to nie podziękuje.

Z tymi słowami wychodzi, ciesząc się, że może zostawić te dwie milczące postaci; sumienie ją trochę gryzie.

Gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, do działania przystępuje drobny człowieczek. Jakby to było oczywiste, otwiera szafę, zwalnia jeden wieszak, umieszczając dwie suknie żony jedna na drugiej, i wieszka na nim swój płaszcz. Sportową czapkę kładzie na szafie. Zawsze bardzo uważnie obchodzi się ze swoimi rzeczami, nie znosi być źle ubrany, a wie, że nie kupi sobie nic nowego.

Teraz pociera sobie dłonie z pełnym zadowolenia „No, no!”, podchodzi do kuchenki i węża garnki. – Doskonale! – mówi. – Kartofelki z rosółku z wołowiną – wyśmienicie!

Milknie, kobieta siedzi bez ruchu, odwrócona do niego plecami. Cicho odkłada z powrotem pokrywkę garnka, staje obok niej i mówi do niej z góry: – No, nie siedź tak, Ewo, jakbyś była marmurowym pomnikiem! Cóż się takiego stało? Przez kilka dni będziesz mieć znowu męża w domu, na pewno nie sprawię ci żadnych kłopotów. A co ci obiecałem, tego dotrzymam. Nawet nie chcę tych kartofelków, chyba żeby została jakaś resztką. I to tylko jeśli dasz mi je z własnej woli – ja cię prosić nie będę.

Kobieta nie odpowiada ani słowem. Odkłada koszyk do cerowania z powrotem do szafki, stawia na stole głęboki talerz, napełnia go jedzeniem z garnków i zaczyna powoli jeść. Mężczyzna usiadł po drugiej stronie stołu, wyciągnął z kieszeni kilka sportowych czasopism i robi jakieś notatki w grubym, brudnym notatniku. Rzucił przy tym od czasu do czasu szybkie spojrzenie na jedzącą. Ona je bardzo wolno, ale wzięła już sobie dwie dokładki, dużo dla niego na pewno nie zostanie, a on jest głodny jak wilk. Nic nie jadł przez cały dzień, nie, nawet od poprzedniego wieczoru. Mąż Lotte, który przyjechał z frontu na urlop, wywlókł go z łóżka, racząc kopniakami zamiast śniadaniem.

Nie ma jednak odwagi powiedzieć Ewie, że jest głodny, boi się tej milczącej kobiety. Zanim poczuje się tutaj znowu naprawdę jak w domu, musi się jeszcze trochę wydarzyć. W to, że ten moment nadejdzie, nie wątpi ani przez chwilę. Każdą kobietę można zdobyć, tylko trzeba być wytrwałym i na wiele pozwalać. W końcu, zwykle niespodziewanie, poddają się, po prostu dlatego, że nie mają już ochoty dłużej się bronić.

Ewa Kluge wygrzebuje resztki z garnka. Udało jej się, zjadła jedzenie na dwa dni w jeden wieczór, ale teraz on nie będzie mógł żebrać o resztki! Potem pośpiesznie zmywa naczynia i zaczyna wielkie przemeblowanie.

Na jego oczach przenosi wszystko, co ma dla niej jakąkolwiek wartość, do sypialni. W drzwiach jest solidny zamek, do jej sypialni jeszcze nigdy nie wszedł. Przenosi do sypialni zapasy jedzenia, swoje sukienki i płaszcz, przybory do szycia, poduszki z kanapy, tak, nawet fotografię obu chłopców – wszystko to robi na jego oczach. Jest jej zupełnie obojętne, co on myśli czy mówi. Do jej mieszkania dostał się podstępem, ale wiele na tym nie zyska.

W końcu zamyka drzwi do sypialni i przynosi sobie na stół przybory do pisania. Jest wykończona, najchętniej położyłaby się do łóżka, ale przecież postanowiła, że dziś wieczorem napisze do Karlemanna, więc zrobi to. Skoro potrafi być twarda dla swojego męża, to potrafi też być twarda dla siebie.

Gdy napisała kilka zdań, mężczyzna przechyla się przez stół i pyta: – A do kogo to piszesz, Ewuniu?

Mimowolnie odpowiada, choć powzięła mocne postanowienie, że nie będzie z nim więcej rozmawiać. – Do Karlemanna...

– Ach tak – mówi on i odkłada gazety. – Więc do niego piszesz i może jeszcze wysyłasz mu paczki, ale dla jego ojca to nie masz nawet jednego kartofla i skrawka mięsa, choć jest taki głodny.

Jego głos jakby stracił obojętne brzmienie, brzmi teraz, jakby był bardzo urażony i pokrzywdzony w swych prawach, ponieważ ona daje synowi coś, czego odmówiła ojcu.

– Daj spokój, Enno – mówi ona spokojnie. – To moja sprawa, Karlemann to dobry chłopak...

– Tak? – mówi on. – Tak? A ty oczywiście zapomniałaś, jaki był dla swoich rodziców, gdy został Scharführerem?^[20] Jak w żaden sposób nie mogłaś mu dogodzić i jak wyśmiewał nas jako starych, głupich

[20] Scharführer – paramilitarny stopień podoficerski w SS i SA (odpowiednik starszego plutonowego).

mieszczuchów, wszystko to już zapomniałaś, co, Ewuniu? Naprawdę dobry chłopiec z tego Karlemanna!

– Mnie nie wyśmiewał! – broni się słabym głosem.

– Nie, oczywiście, że nie! – drwi on. – I o tym też oczywiście zapomniałaś, że nie poznał własnej matki, gdy szła z ciężką torbą listonosza Prenzlauer Allee? Jak razem z tą swoją dziewczyną odwracał wzrok, elegant jeden!

– Czegoś takiego nie można młodemu mężczyźnie brać za złe – odpowiada. – Chcą jak najlepiej wypaść przed swoją dziewczyną, wszyscy są tacy. To się potem znowu zmienia, wracają do matek, które trzymały ich przy piersi.

Przez chwilę przygląda się jej, jakby wahając się, czy jej to powiedzieć. Zwykle naprawdę nie jest pamiętliwy, lecz tym razem za mocno go uraziła, najpierw nie dając mu jedzenia, a potem wynosząc na jego oczach do sypialni wszystkie wartościowe przedmioty. Więc jednak mówi: – Gdybym ja był matką, nigdy nie wziąłbym w ramiona takiego syna, takiej świni, jaką on się stał! – Patrzy w jej rozszerzone strachem oczy i bezlitośnie mówi jej to prosto w woskową twarz. – Podczas ostatniego urlopu pokazał mi swoje zdjęcie, zrobił mu je kolega. Jeszcze się chwalił tą fotografią. Widać na niej Karlemanna, jak trzyma gdzieś trzyletnie żydowskie dziecko za nogę i uderza jego głową o zderzak auta...

– Nie! Nie! – krzyczy. – Kłamiesz! Wymyśliłeś to sobie z zemsty, bo nie dałam ci jeść! Karlemann nie zrobiłby czegoś takiego!

– Jak mogłem sobie coś takiego wymyślić? – pyta, znów spokojny, skoro już wymierzył cios. – Nie potrafiłbym czegoś takiego wymyślić! A poza tym, jeśli mi nie wierzysz, to możesz pójść do lokalu Senftenberga, tam pokazywał wszystkim to zdjęcie. Gruby Senftenberg i jego stara też je widzieli...

Przestaje mówić. Dalsza rozmowa z tą kobietą nie ma sensu. Siedzi z

głową na stole i wyje. Tyle z tego ma, a przecież też jest w partii i zawsze popierała Führera i wszystko, co robił. To teraz nie może się przecież dziwić, że Karlemann się taki zrobił.

Przez chwilę Enno Kluge stoi i niepewnie zerka na kanapę – ani koca, ani poduszki! To będzie piękna noc! Ale może to jest właśnie odpowiedni moment, żeby zaryzykować? Stoi niezdecydowany, zerka na zamknięte drzwi do sypialni, a potem się decyduje. Sięga po prostu do kieszeni fartucha szlochającej bez opamiętania kobiety i wyjmuje z niej klucz. Otwiera drzwi, zaczyna przeszukiwać sypialnię, a nie robi tego wcale po cichu...

Ewa Kluge, zmęczona, udreńczona listonoszka, wszystko to słyszy. Wie, że on ją teraz okrada, ale jest jej to obojętne. Jej świat legł w gruzach, jej świat nigdy już nie będzie taki sam. Po co człowiek w ogóle żyje na tym świecie, po co daje dzieciom życie, po co cieszy się z ich uśmiechów, zabaw, skoro stają się potem bestiami? Ach, Karlemann – był takim słodkim, jasnowłosym chłopczykiem! Gdy była z nim w cyrku Buscha i konie kładły się jeden za drugim na piasku, jak on wtedy współczuł biednym konikom. – Czy one są chore? – pytał. Musiała go uspokajać, że koniki tylko śpią.

A teraz pojechał tam i robi coś takiego czymś dzieciom! Ewa Kluge ani przez chwilę nie wątpiła, że opowieść o zdjęciu jest prawdziwa, Enno rzeczywiście nie byłby w stanie wymyślić sobie czegoś takiego. Nie, właśnie straciła syna. To było o wiele gorsze, niż gdyby umarł, bo wtedy mogłaby go przynajmniej opłakiwać. A teraz nie może go już wziąć w ramiona i przed nim też musi zamknąć swój dom.

Mężczyzna przeszukujący sypialnię znalazł tymczasem coś, o czym od dawna przypuszczał, że jest w posiadaniu jego żony: pocztową książeczkę oszczędnościową. A na niej 632 marki, dzielna kobieta, ale właściwie po co jest taka dzielna? Przecież pewnego dnia dostanie swoją

emeryturę, a tu tyle oszczędziła... On w każdym razie postawi jutro 20 marek na Adebara i z 10 na Hamilkara... Przegląda książeczkę dalej. Nie tylko dzielna kobieta, ale też porządna. Wszystko trzyma razem. Z tyłu w książeczce jest odcinek kontrolny, a blankietów wypłaty też nie brakuje...

Właśnie chce wsunąć książeczkę do kieszeni, gdy nagle obok niego pojawia się Ewa. Tak po prostu wyjmuje mu ją z ręki i kładzie na łóżku. – Wynoś się! – mówi tylko. – Wynoś się!

A on, który jeszcze przed chwilą sądził, że ma zwycięstwo w ręku, wychodzi pod jej wściekłym spojrzeniem z sypialni. Drżącymi dłońmi, nie ważąc się powiedzieć jednego słowa, wyjmuje z szafy płaszcz i czapkę, bez słowa przechodzi obok niej przez otwarte drzwi na ciemną klatkę schodową. Drzwi zostają za nim zamknięte, włącza światło na schodach i schodzi na dół. Na szczęście ktoś zostawił otwartą bramę. Pójdzie do swojej ulubionej knajpy; w razie potrzeby, jeśli nikt mu się nie trafi, właściciel pozwoli mu się przespać na sofie. Maszeruje przed siebie pogodzony z losem, przyzwyczajony do znoszenia razów. O kobiecie na górze już prawie całkiem zapomniał.

Ona zaś stoi przy oknie i wpatruje się w ciemność wieczoru. Pięknie. Niepięknie. Straciła też Karlemanna. Spróbuje jeszcze z Maksem, młodszym synem. Maks zawsze był taki jakiś bezbarwny, bardziej jak ojciec niż jak cudowny brat. Może w Maksie odnajdzie syna. A jeśli nie, to trudno, wtedy będzie żyć po prostu tylko dla siebie. Zachowa jednak przyzwoitość. Bo to właśnie w swoim życiu osiągnęła, że zachowała przyzwoitość. Od razu jutro zacznie myśleć, jak to zrobić, żeby się wypisać z partii i nie trafić do kacetu. To nie będzie łatwe, ale może jej się uda. A jeśli nie będzie się dało inaczej, pójdzie do kacetu. Będzie to poniekąd mała pokuta za to, co zrobił Karlemann.

Zgniata rozpoczęty i zalany łzami list do starszego syna. Kładzie nowy arkusz papieru i zaczyna pisać:

„Kochany Maksie, synu! Znów piszę do Ciebie liścik. U mnie na razie wszystko dobrze, mam nadzieję, że u Ciebie też. Był tu właśnie ojciec, ale pokazałam mu drzwi, chciał mnie tylko naciągnąć. Twojego brata Karla wyrzekłam się z powodu okropieństw, które uczynił. Teraz Ty jesteś moim jedynym synem. Proszę, zawsze zachowuj się przyzwoicie. Zrobię dla Ciebie wszystko, co będę mogła. Napisz do mnie wkrótce choćby mały liścik.

Pozdrawia Cię i całuje.

Twoja Matka”.

ROZDZIAŁ 6.

Otto Quangel rezygnuje ze stanowiska

Zatrudniający około osiemdziesięciu robotników i robotnic warsztat fabryki mebli, którym jako majster kierował Otto Quangel, do wybuchu wojny produkował tylko pojedyncze sztuki mebli według rysunków, inne natomiast działy fabryki od zawsze zajmowały się masową produkcją mebli. Wraz z początkiem wojny cały zakład przestawiono na produkcję dla wojska, a warsztatowi Quangla przypadło w udziale zadanie produkowania wielkich i ciężkich skrzyń, które służyły ponoć do transportu ciężkich bomb.

Jeśli chodzi o Ottona Quangla, to jemu było zupełnie obojętne, do czego służyły te skrzynie. Dla niego ta nowa, bezduszna praca była bezwartościowa i godna pogardy. Był prawdziwym stolarzem artystą, którego mazerowanie drewna^[21] czy wykonanie pięknie rzeźbionej szafy napełniało głębokim zadowoleniem. Przy takiej pracy odczuwał tyle szczęścia, ile mógł odczuwać człowiek o jego chłodnym usposobieniu. A teraz zdegradowano go do roli poganiacza i nadzorcy, który musi tylko uważać, żeby jego warsztat wyrabiał normę, a najlepiej więcej niż normę. Zgodnie ze swą naturą nigdy nie powiedział ani słowa na temat swoich odczuć, a jego ostra, ptasia twarz nigdy nie zdradziła nawet śladu pogardy, jaką odczuwał wobec żalosego kłecenia świerczyny. Gdyby ktoś dokładniej mu się przyjrzał, zauważyłby, że niewiele mówiący Quangel nie mówi już w zasadzie nic i że w tym systemie ciągłego poganiania gotów jest raczej przymykać oko.

[21] Mazerunek – wzbogacenie usłojenia lub imitacja szlachetnych gatunków drewna poprzez polichromowanie tańszych gatunków (sosna, brzoza).

Ale kto by tam zwracał uwagę na takiego nudnego, sztywnego człowieka jak Otto Quangel? Wyglądał na takiego, który całe życie zajmuje się tylko pracą, nie interesując się niczym innym jak tylko robotą, którą ma do wykonania. Nigdy nie miał tu żadnego przyjaciela, nigdy nie powiedział nikomu miłego słowa. Praca i tylko praca, nieważne, czy to ludzie, czy maszyny, ważne tylko, żeby wykonywali swoją robotę!

A przy tym wcale nie był nie lubiany, mimo że nadzorował warsztat i popędzał do pracy. Ale nikomu nie wymyślał i nigdy nikogo nie oczerniał u kierownictwa. Jeśli widział, że praca gdzieś idzie niewłaściwie, podchodził tam i bez słowa poprawiał usterkę własnymi zręcznymi rękoma. Albo stawał przy gadułach i stał tak, wbijając w nich swoje ciemne, nieruchome oczy, stał tak długo, aż przechodziła im ochota na pogaduszki. Zawsze roztaczał wokół siebie aurę chłodu. Podczas krótkich przerw robotnicy starali się siadać jak najdalej od niego, cieszył się więc okazywanym mu w naturalny sposób szacunkiem, jakiego komuś innemu nie udało się zdobyć ciągłym gadaniem i zachętami.

Kierownictwo fabryki też potrafiło docenić Ottona Quangla. Jego warsztat zawsze miał najlepsze wyniki, nigdy nie było tam kłopotów z pracownikami, a sam Quangel był uczynny. Już dawno by awansował, gdyby w końcu zdecydował się wstąpić do partii. Ale on wciąż odmawiał. – Nie mam na to ani grosza – mówił wtedy. – Potrzebuję każdej marki. Muszę wyżywić rodzinę.

Po cichu śmiano się z tego, co nazywano obrzydliwym sknerstwem z jego strony. Ten Quangel zdawał się popadać w bezdenną rozpacz nad każdym groszem, który musiał oddać na jakąś zbiórkę. W ogóle nie myślał o tym, że wstępując do partii, zyskałby o wiele większy dodatek do pensji, niż straciłby na partyjną składkę. Lecz ten pilny majster był politycznie beznadziejnym idiotą, w związku z czym nie obawiano się pozostawić go na podrzędnym kierowniczym stanowisku, pomimo że nie

był członkiem partii.

Tak naprawdę to wcale nie skąpstwo Ottona Quangla nie pozwalało mu wstąpić do partii. Z całą pewnością był bardzo skrupulatny w sprawach finansowych i tygodniami potrafił się złościć z powodu jakiegoś drobnego nieprzemysłanego wydatku. Lecz właśnie dlatego, że wobec siebie był taki skrupulatny, był też skrupulatny wobec innych, a ta partia w najmniejszym stopniu nie była skrupulatna pod względem realizacji swoich zasad. To, co obserwował podczas wychowywania jego syna przez szkołę i Hitlerjugend, to, co słyszał od Anny, to, czego sam doświadczał, że dobrze płatne stanowiska w fabryce są obsadzone partyjnymi towarzyszami, którym najlepsi niepartyjni zawsze muszą ustępować – to wszystko utwierdzało go w przekonaniu, że partia nie jest skrupulatna, co znaczy, że nie jest sprawiedliwa, a z czymś takim nie chciał mieć nic wspólnego.

Dlatego to poranne zawołanie Anny „ty i ten twój Führer” tak bardzo go uraziło. To prawda, że do tej pory wierzył w dobrą wolę Führera, w jego wielkość i szlachetne intencje. Trzeba by tylko usunąć z jego otoczenia tych wszystkich nierobów i karierowiczów, którym chodzi wyłącznie o nabijanie kabzy i wygodne życie, a wszystko byłoby lepiej. Lecz jak dotąd on się nie przyłączył, on nie, i Anna, jedyna osoba, z którą on w ogóle rozmawiał, bardzo dobrze o tym wiedziała. Cóż, powiedziała to w chwili zdenerwowania, on z czasem o tym zapomni, nie potrafił się na nią gniewać.

O co tak naprawdę chodzi z tym Führerem i z tą wojną, to musi sobie jeszcze dokładnie przemyśleć. Wszystkie takie rzeczy przetrawiał powoli. Inni natychmiast poddawali się zaskakującym wydarzeniom, rozgadywali się, krzyczeli, działali, u niego zawsze wszystko trwało długo, bardzo długo.

Gdy stoi tak pośród szumów i skrzypień swego warsztatu, z lekko

uniesioną głową, wędrując powoli spojrzeniem z heblarki na piłę taśmową, a potem na gwoździarzy, wiertaczy i przenoszących deski, zauważa, że wiadomość o śmierci Ottona, a szczególnie zachowanie Anny i Trudel, wciąż na niego wpływają. Nie zastanawia się nad tym właściwie, raczej dokładnie wie, że ten hultaj, stolarz Dollfuß, wyszedł z warsztatu już siedem minut temu i że robota w jego rzędzie utknęła dlatego, że idąc do wychodka, zawsze musi zapalić albo wygłosić mowę. Daje mu jeszcze trzy minuty, a potem sam osobiście przyprowadzi go z powrotem!

A gdy jego spojrzenie przesuwają się na wskazówkę zegara ściennego i stwierdza, że faktycznie za trzy minuty Dollfuß nie będzie już dziesięć minut, przypomina mu się nie tylko ten okropny plakat nad głową Trudel, myśli nie tylko o tym, co właściwie znaczy zdrada stanu i zdrada kraju i gdzie się tego można dowiedzieć, lecz myśli też o tym, że nosi w kieszeni marynarki list przekazany mu przez portiera, w którym majster Quangel proszony jest zwięźle o punktualne stawienie się o godzinie siedemnastej w stołówce dla kierownictwa.

Nie żeby go ten list jakoś zdenerwował czy zaniepokoił. Wcześniej, gdy jeszcze produkowali meble, często musiał się stawiać u kierownictwa fabryki, żeby omówić wykonanie jakiegoś mebla. Stołówka to coś nowego, ale jemu to obojętne, tyle że do piątej brakuje już tylko sześciu minut, a do tej pory wolałby widzieć stolarza Dollfuß na jego stanowisku przy pile. Wychodzi więc minutę wcześniej, niż planował, żeby poszukać Dollfuß.

Nie znajduje go jednak ani w toalecie, ani na korytarzach, ani w przyległych warsztatach, a gdy wraca do swojego warsztatu, zegar pokazuje za minutę piątą i to już na niego najwyższa pora, jeśli nie chce się spóźnić. Otrzepuje pośpiesznie marynarkę z najgrubszych trocin i przechodzi szybko do budynku zarządu, w którego piwnicy znajduje się stołówka dla kierownictwa.

Widać, że przygotowano ją do jakiegoś odczytu, ustawiono mównicę, długi stół dla prezydium, a całą salę wypełniają rzędy krzeseł. Zna to wszystko z zebrań Frontu Pracy, w których często musi uczestniczyć, tylko że tamte zebrania odbywają się zawsze po drugiej stronie, w stołówce pracowniczej. Jedyna różnica polega na tym, że tam stoją ławy z surowego drewna, zamiast wyplatanych trzcina krzeseł, i tam wszyscy siedzą w ubraniach roboczych, tak jak on, podczas gdy tutaj więcej jest brunatnych i szarych mundurów, a cywilni członkowie kierownictwa nikną pomiędzy nimi.

Quangel siada na jednym z krzeseł niedaleko drzwi, żeby na koniec przemowy jak najszybciej móc wrócić do warsztatu. Gdy Quangel przyszedł, sala była już w większości zapełniona, część ludzi siedzi na krzesłach, inni stoją jeszcze w grupkach na korytarzach i przy ścianach i rozmawiają ze sobą.

Wszyscy jednak, którzy się tutaj zgromadzili, noszą swastykę. Quangel wydaje się jedyną osobą bez partyjnej odznaki (pomijając oczywiście mundury Wehrmachtu, ci jednak mają zamiast niej swoje dystynkcje). To chyba jakaś pomyłka, że go tutaj zaprosili. Quangel rozgląda się ostrożnie tu i tam. Kilka twarzy jest mu znajomych. Tam gruby Bleiche, który siedzi już przy stole prezydijskim, tam dyrektor generalny Schröder, zna go z widzenia. A ten drobny ze spiczastym nosem i binoklami to kasjer, u którego co sobotę pobiera kopertę z wypłatą i z którym już kilka razy mocno się pokłócił z powodu wysokich potrąceń. Śmieszne, że gdy stoi przy kasie, nigdy nie nosi partyjnej odznaki! – myśli przelotnie Quangel.

Większość jednak twarzy, które widzi, jest mu zupełnie nieznaną, na sali siedzą prawie sami panowie z biur. Nagle wzrok Quangla ostro i wyraźnie odkrywa w jednej z grupek mężczyznę, którego przed chwilą nadaremnie szukał w toalecie, stolarza Dollfuša. Stolarz Dollfuš nie ma jednak teraz na sobie roboczego uniformu, lecz elegancki letni garnitur,

i rozmawia z dwoma panami w partyjnych mundurach, zupełnie jakby byli sobie równi. Stolarz Dollfuß też ma swastykę, człowiek, którego lekkomyślna gadanina w warsztacie już nieraz zwróciła jego uwagę! A więc to tak! – myśli Quangel. – A więc to prawdziwy szpicel. Możliwe, że ten człowiek wcale nie jest prawdziwym stolarzem i może nawet nie nazywa się Dollfuß. Czy Dollfuß to nie jest nazwisko kanclerza Austrii, którego zamordowano?^[22] Wszystko oszustwo – a ja nic nie zauważyłem, ale ze mnie trąba!

I zaczyna się zastanawiać nad tym, czy Dollfuß był już w jego warsztacie, gdy zwolniono Ladendorfa i Tritscha, a wszyscy szeptali, że trafili do kacetu.

Całe ciało Quangla napina się. Uwaga! – mówi mu. I dodaje: Siedzisz teraz przecież między mordercami! A potem myśli sobie: Już ja się nie dam załatwić przez tych wszystkich braciszków. Jestem przecież tylko starym, głupim majstrem, który nic nie rozumie. Ale współdziałać z nimi, nie, tego nie zrobię. Widziałem dziś przecież, jak Anna to przeżyła, a potem Trudel; nie będę w czymś takim uczestniczył. Nie chcę, żeby jakaś matka albo narzeczona przeze mnie tak się czuła. Niech nie wciągają mnie w swoje sprawy...

Tak sobie myśli. Tymczasem sala wypełniła się do ostatniego miejsca. Stół prezydialny ciasno obsiadły brunatne mundury i czarne marynarki, a przy mównicy stoi teraz jakiś major czy pułkownik (Quangel nigdy nie nauczył się rozróżniać mundurów i dystynkcji) i opowiada o sytuacji na

[22] Engelbert Dollfuß (1892-1934) – austriacki polityk, w latach 1932-1934 kanclerz Austrii, szukał oparcia w faszystowskich Włoszech, po obaleniu Rady Narodowej i zakazie działania partii opozycyjnych (w tym Komunistycznej Partii Austrii i austriackiego skrzydła NSDAP) ogłosił nową konstytucję, która znosiła demokrację parlamentarną; zamordowany podczas puczu przez austriackich narodowych socjalistów.

wojnie.

Oczywiście jest wspaniale, zwycięstwo nad Francją należycie się świętuje, a rzucenie także Anglii na kolana jest jedynie kwestią kilku tygodni. Potem mówca dochodzi stopniowo do punktu, który najbardziej leży mu na sercu: kiedy mianowicie na froncie osiągamy tak wielkie sukcesy, to spodziewamy się, że i ojczyzna spełni swój obowiązek. Potem brzmi to tak, jakby pan major (czy też pułkownik, czy kapitan) przyjechał prosto z kwatery głównej, żeby powiedzieć załodze Fabryki Mebli Krause i Sp. od Führera, że koniecznie musi zwiększyć swoje wysiłki. Führer oczekuje, że w ciągu trzech miesięcy fabryka zwiększy produkcję o pięćdziesiąt procent, a za pół roku ją podwoi. Czeką teraz na propozycje od zgromadzonych, jak osiągnąć ten cel. Kto się nie zaangażuje, zostanie uznany za sabotażystę i odpowiednio potraktowany.

Gdy mówca na koniec wykrzykuje „Siegheil” na cześć Führera, Otto Quangel myśli: oni są głupi, głupi jak but! Anglia podda się za kilka tygodni, wojna będzie skończona, a my w pół roku podwoimy produkcję zbrojeniową o sto procent! To kto to wtedy od nich kupi?

Odkrzykuje jednak dzielnie razem ze wszystkimi „Siegheil”, siada z powrotem i patrzy na kolejnego mówcę, który podchodzi do mównicy odziany w brunatny mundur, z piersią gęsto ozdobioną medalami, orderami i odznakami. Mówca partyjny to zupełnie inny typ niż jego wojskowy poprzednik. Od samego początku mówi ostro i energicznie o złej atmosferze, którą wciąż obserwuje się w zakładach, pomimo ogromnych wysiłków Führera i Wehrmachtu. Mówi tak energicznie i ostro, że w zasadzie ryczy, i mówi bez ogródek, gdy opowiada o defetystach i zrzędach. Teraz wytepi się ich do końca, zostaną potraktowani bezwzględnie, da się im po mordzie, i to tak, że pogubią wszystkie zęby! *Suutn cuique* – widniało na kłamrach pasów żołnierzy pierwszej wojny światowej, czyli: „Každemu to, co mu się należy”, teraz napis ten widnieje na bramach

obozów koncentracyjnych! Tam się czegoś nauczą, a kto przyczyni się do tego, żeby trafił tam taki mężczyzna czy kobieta, ten przysłuży się niemieckiemu narodowi i będzie człowiekiem Führera.

– A na was wszystkich, jak tutaj siedzicie – ryczy mówca na koniec – kierowników warsztatów, naczelników działów, dyrektorów – na was nakładam osobistą odpowiedzialność za czystość waszego zakładu! A czystość oznacza narodowosocjalistyczne myślenie! Tylko to! Kto nie pokaże jaj, tylko słabość, kto nie będzie wszystkiego meldować, nawet najmniejszej drobnostki, ten sam poleci do kacetu. Gwarantuję to wam, i majstrom, i dyrektorom, osobiście, już ja doprowadzę was do porządku, nawet gdybym miał własnymi buciorami wykopać z was mazgajowatość!

Stoi jeszcze przez chwilę przy mównicy, rozwścieczony wyrzucił ręce w górę, twarz ma purpurowosiną. Po jego wybuchu wśród zgromadzonych zapadła cisza, wszyscy mają dość niewyraźne miny, wszyscy ci, którzy tak nagle i bez osłonek stali się szpiegami własnych kolegów. Potem mówca ciężkim krokiem schodzi z mównicy, odznaki na jego piersi cichutko pobrzękują, a bładny dyrektor generalny Schröder wstaje i pyta miękkiem, cichym głosem, czy ktoś jeszcze zgłosił się do zabrania głosu.

Zgromadzeni wzdychają i poprawiają się na krzesłach – jakby wyśniono już koszmar, a dzień powrócił do normalności. Wygląda na to, że nie ma nikogo, kto chciałby jeszcze przemawiać, wszyscy mają raczej ochotę jak najszybciej opuścić tę salę, a dyrektor generalny właśnie chce zamknąć zebranie okrzykiem „Heil Hitler”, gdy nagle z tyłu wstaje jakiś mężczyzna w niebieskiej roboczej bluzie i mówi, że jeśli chodzi o zwiększenie wydajności w jego warsztacie, to sprawa jest prosta. Trzeba tylko jeszcze zmontować takie a takie maszyny, wymienia je i wyjaśnia, jak trzeba je zmontować. Tak, i do tego trzeba jeszcze wyrzucić z jego warsztatu sześciu czy ośmiu ludzi, bumelantów i partaczy. Wtedy dałby radę z tymi stoma procentami nawet w kwartał.

Quangel stoi opanowany i rozluźniony, podjął walkę. Czuje, że wszyscy się na niego gapią, na prostego robotnika, który tak naprawdę nie należy do tego eleganckiego towarzystwa. Ale on nigdy nie przejmował się ludźmi, jest mu obojętne, czy się na niego gapią. Teraz, gdy się wypowiedział, głowy przy stole prezydialnym pochylają się ku sobie. Mówcy dopytują się, kto to jest, ten człowiek w niebieskiej bluzie. A potem wstaje major czy pułkownik i mówi Quangelowi, że kierownictwo do spraw technicznych omówi z nim kwestię maszyn, ale jak wyobraża sobie wyrzucenie sześciu czy ośmiu ludzi z jego warsztatu?

Quangel odpowiada powoli i z uporem: – Cóż, niektórzy nie potrafią pracować, a niektórym się nie chce. Tam siedzi właśnie jeden z nich! – i otwarcie wskazuje dużym, wyprostowanym palcem wskazującym na stolarza Dollfußa, który siedzi kilka rzędów przed nim.

Rozlegają się pojedyncze śmiechy, pośród nich także śmiech stolarza Dollfußa, który odwrócił głowę w jego stronę i śmieje się do niego.

Lecz Quangel mówi zimnym tonem i z obojętnym wyrazem twarzy: – Tak, czcza gadanina, papierosy podczas wyjścia do toalety i zaniedbywanie pracy, tyle tylko umiesz, Dollfuß!

Głowy przy stole prezydialnym znów pochyliły się nad tym dziwakiem. Nic jednak nie powstrzyma teraz brunatnego mówcy, który zrywa się z miejsca i krzyczy: – Ty nie jesteś w partii, dlaczego nie jesteś w partii?

A Quangel odpowiada tak, jak zawsze odpowiadał na to pytanie: – Bo potrzebuję każdego grosza, mam rodzinę i nie mogę sobie na taki wydatek pozwolić!

Brunatny ryczy: – Bo jesteś skąpym psem! Bo za nic masz Führera i swój naród! To jak dużą masz rodzinę?

A Quangel odpowiada mu zimno prosto w twarz: – O mojej rodzinie dziś mi nie wspominajcie, dobry człowieku! Właśnie dziś dostałem

wiadomość, że poległ mój syn!

Na chwilę w sali zapada całkowita cisza, dostojnik partyjny i stary majster patrzą na siebie ponad rzędami krzesel. A potem Otto Quangel siada nagle, jakby wszystko zostało już załatwione, po chwili siada też brunatny mundur. Znów wstaje dyrektor generalny Schröder i woła na cześć Führera „Siegheil!”. Jego okrzyk brzmi jakoś słabo. Zebranie zostaje zamknięte.

Pięć minut później Quangel stoi z powrotem w swoim warsztacie; z lekko uniesioną głową wędruje powoli wzrokiem z heblarki na piłę taśmową, a potem na gwoździarzy, wiertaczy i przenoszących deski... Lecz człowiek, który tam stoi, to nie jest już ten stary Quangel. On to czuje, on to wie, przechytrzył ich wszystkich. Może w obrzydliwy sposób ich przechytrzył, wykorzystując śmierć syna, lecz czy wobec takich bestii należy zachowywać przyzwoitość? Nie! – odpowiada sam sobie niemal na głos. Nie, Quangel, tym dawnym Quanglem nigdy już nie będziesz. Ale ciekaw jestem, co na to wszystko powie Anna. Czy Dollfuß w ogóle wróci na swoje stanowisko pracy? Jeśli nie, będę musiał jeszcze dziś zażądać kogoś dodatkowego. Mamy zaległości...

Ale bez obaw, Dollfuß wraca. I do tego wraca w towarzystwie naczelnika działu, a majster Otto Quangel zostaje poinformowany, że choć zachowa techniczny nadzór nad warsztatem, to ma tu i teraz przekazać panu Dollfußowi swoje stanowisko we Froncie Pracy i wtedy już wcale nie będzie musiał zajmować się polityką. – Zrozumiano?

– Czy zrozumiano? Cieszę się, że zabierasz mi ten urząd, Dollfuß! Słuch mam coraz gorszy, a w takim hałasie tutaj to ja w ogóle nie mógłbym podsłuchiwać, tak jak to sobie wyobraża tamten pan z sali.

Dollfuß kiwa głową i mówi pośpiesznie: – A o tym, co tam widzieliście i słyszeliście, o tym nikomu ani słowa, bo inaczej...

Niemal urażony Quangel odpowiada: – Komu miałbym o tym mówić,

Dollfuß? Widziałeś, żebym kiedykolwiek z kimś rozmawiał? Mnie to nie interesuje, mnie interesuje tylko moja praca, i wiem przede wszystkim to, że mamy dzisiaj spore zaległości. Pora, żebyś z powrotem stanął przy swojej maszynie! – I dodaje, patrząc na zegar: – Zmarnowałeś już w sumie godzinę i trzydzieści siedem minut!

Po chwili stolarz Dollfuß faktycznie stoi przy swojej pile, a po warsztacie z prędkością wiatru roznosi się wieść, pochodząca nie wiadomo skąd, że Dollfuß dostał nauczkę za ciągłe palenie i gadulstwo.

Majster Otto Quangel przechodzi uważnie od maszyny do maszyny, interweniuje, wbija wzrok w jakiegoś gadułę i myśli sobie przy tym: – Mam ich z głowy – raz i na dobre! I oni nic nie podejrzewają, dla nich jestem tylko starym durniem! A ostatecznie przekonało ich to, że zwróciłem się do tego brunatnego ze słowami „dobry człowieku”! Ciekaw jestem tylko, co teraz zrobię. Bo że coś zacznę robić, tego jestem pewien. Tylko jeszcze nie wiem co...

ROZDZIAŁ 7.

Nocne włamanie

Późnym wieczorem, a właściwie już w nocy, właściwie gdy jest już za późno na to, co umówione, pan Emil Barkhausen trafia jednak na swojego Enna w knajpie Pod Przegranym Koniem. Przyczyniła się do tego listonoszka Ewa Kluge ze swoim świętym oburzeniem. Panowie usiedli nad kuflem piwa przy jednym z narożnych stolików i tam sobie szeptali, tam tak długo sobie szeptali – nad *jednym* kuflem piwa – aż właściciel zwrócił im uwagę, że już trzy razy ogłaszał godzinę policyjną i że mogliby zacząć się zbierać i wracać do swoich żon.

Kontynuowali konwersację na ulicy; najpierw poszli kawałek w stronę Prenzlauer Allee, a potem Enno chciał iść z powrotem, bo przyszło mu do głowy, że może jednak byłoby lepiej spróbować u takiej jednej, którą kiedyś miał i którą nazywają Tutti. Tutti Pawianica. To lepsze niż jakieś takie ciemne sprawy...

Emil Barkhausen mało ze skóry nie wyskoczył, widząc taką głupotę. Po raz dziesiąty, po raz setny zapewnił Enna, że tu nie może być mowy o żadnych ciemnych sprawkach. Chodzi raczej o – niemal legalną – konfiskatę, która odbędzie się pod pieczęcią SS, a poza tym to przecież tylko stara Żydówka, o którą nikt nie będzie pytać. Oni obaj urzędzą się na dłużej, a policja i sąd nie będą mieć nic do tego.

Na co Enno znowu odparł: nie, nie, do takich spraw to on się nie miesza, on się na tym ni w ząb nie zna. Kobiety tak, wyścigi po trzykroć tak, ale takimi przekrętami nigdy się nie zajmował. Tutti zawsze była całkiem miła, mimo przydomku „Pawianica”, na pewno nawet nie pamięta tego,

że wtedy wspomogła go odrobiną gotówki i kartkami żywnościowymi, wcale o tym nie wiedząc.

Tymczasem dotarli już do Prenzlauer Allee.

Barkhausen, ten nieustannie wahający się pomiędzy potulnością a grożeniem człowiek, stwierdził z irytacją, skubiąc przy tym rzadki, powiewający wąs: – Kto, do diaska, wymaga od ciebie, co byś się na tym znał? Ja to przecie sam załatwię, jak dla mnie możesz se tam stać z rękami w kieszeniach. Mogie ci nawet spakować walyzki, jeśli sobie zażyczysz! Zrozum w końcu, że biorę cie tylko po to, Enno, żeby ochronić się przed zarzutem ze strony SS, poniekąd jako świadka, że przy podziale wszystko przebiegło prawidłowo. Pomyśl jeszcze raz o tym, co można znaleźć u takiej bogatej żydowskiej kupcowej, nawet jeśli Gestapo, aresztując jej męża, już co nieco zabrało!

Znienacka Enno Kluge powiedział „tak”, nie broniąc się już, nie zastanawiając się, zupełnie niespodziewanie. Teraz nie może się już doczekać, kiedy dotrą do Jablonskistraße. Lecz do pokonania strachu i wypowiedzenia bezwzględnego „tak” wcale nie skłoniła go gadanina Barkhausena ani perspektywa bogatego łupu, tylko po prostu głód. Raptem pomyślał o spizarni Rosenthalów i o tym, że Żydzi zawsze lubili dobrze zjeść i że właściwie nic w życiu nie smakowało mu tak, jak nadziewana gęsia szyjka, na którą jeden jedyny raz zaprosił go kiedyś pewien bogaty Żyd handlujący starzyzną.

I oto w swej głodowej fantazji wmówił sobie, że w spizarni Rosenthalów znajdzie taką właśnie nadziewaną gęsią szyjkę. Wyraźnie widział przed sobą porcelanowy półmisek, a na nim leżącą w stężłym tłustym sosie szyjkę, grubo nafaszerowaną i na obu końcach związaną nicią. Weźmie półmisek i podgrzeje ją sobie na palniku, a wszystko inne jest mu obojętne. Barkhausen może robić, co chce, to go w ogóle nie interesuje. Umoczy chleb w ciepłym, tłustym i mocno przyprawionym

sosie, a gęsią szyjkę będzie jadł rękoma, a tłuszcz będzie przyskać na wszystkie strony.

– Pośpiesz się, Emil, mam mało czasu!

– Co ci tak nagle śpieszno? – zapytał Barkhausen, choć właściwie mu to pasuje i chętnie przyśpiesza. I on się ucieszy, gdy będzie już po sprawie, w zasadzie to też nie jego branża. Bał się nie ze względu na policję czy starą Żydówkę – co niby mogło go spotkać za aryzację jej własności? – lecz ze względu na Persicków. To przeklęta, zdradziecka banda łotrów, można ich nawet podejrzewać o taką podłość, że wywiną numer własnemu kumpłowi. Tylko ze względu na Persicków wziął tego idiotę Enna, to świadek, który nie jest ich znajomkiem, już on ich przyhamuje.

Na Jablonskistraße wszystko poszło już gładko. Było mniej więcej w pół do jedenastej, gdy otwierali drzwi wejściowe do kamienicy prawdziwym, legalnym kluczem. Potem przekradli się na klatkę schodową, a gdy tam nie zauważyli żadnego ruchu, pstryknęli światło i w jego blasku zdjęli buty. – Musimy przecież mieć wzgląd na nocny odpoczynek innych lokatorów – uśmiechnął się Barkhausen.

Kiedy światło zgasło, szybko i po cichu wspięli się po schodach, wszystko szło sprawnie i gładko. Nie popełnili żadnego błędu typowego dla początkujących, którzy z rumorem na coś wpadają albo z hukiem upada im but, nie, w całkowitej ciszy przemknęli na czwarte piętro. Tak więc na schodach wykonali doskonałą robotę, choć żaden z nich nie był przecież prawdziwym kanciarzem i obaj byli dość zdenerwowani, jeden głównie z powodu faszzerowanej gęsiej szyjki, drugi z powodu łupu i Persicków.

Barkhausen spodziewał się, że z drzwiami Rosenthalowej będzie sto razy trudniej, a one były tylko zamknięte, wystarczyło nacisnąć klamkę, zamek nie był przekreślony. Co za lekkomyślna kobieta, a przecież jako

Żydówka powinna być szczególnie ostrożna! I już obaj wchodzili do mieszkania, nawet nie wiedzieli jak, tak szybko to poszło.

Potem Barkhausen bez skrupowania zapalił światło w korytarzu. Zachował się bardzo bezceremonialnie i do tego oznajmił: – Jak ta stara żydowska świnią zacznie kwiczeć, walnę ją po prostu w łeb! – dokładnie tak, jak powiedział przed południem Baldurowi Persickemu. Ale ona nie kwiczała. Więc najpierw spokojnie rozejrzeli się po małym korytarzu, który był zastawiony meblami, kufkami i skrzyniami. No cóż, Rosenthalowie mieli przecież duże mieszkanie przy sklepie, a jak człowiek musi się tak nagle wyprowadzić i dostaje tylko dwa pokoje ze służbówką i kuchnią, to zaczyna być ciasno, prawda? Trzeba to zrozumieć.

Zaswędziało ich w palcach, żeby już od razu zacząć szperać, przeszukiwać i pakować, lecz Barkhausen uznał jednak za właściwsze rozejrzeć się najpierw za Rosenthalową, a potem zawiązać jej usta jakąś chustką, żeby nie było kłopotów. Pokój był tak gęsto zastawiony, że ledwo mogli się poruszać, i zaraz się zorientowali, że tego, co tu stoi, nie wyniosą we dwóch nawet w ciągu dziesięciu nocy, mogą tylko wyszukać to, co najbardziej wartościowe. W drugim pokoju było tak samo i w służbówce też. Tyle że nie znaleźli Rosenthalowej, łóżko było porządnie zasłane. Barkhausen dla porządku zajrzał jeszcze do kuchni i do toalety, ale kobiety tam nie było, i to właśnie nazywa się mieć szczęście, bo nie będzie żadnych krzyków, a i robota dużo prostsza.

Barkhausen wrócił do pierwszego pokoju i zaczął przeszukiwanie. Nawet nie zauważył, że gdzieś zgubił mu się jego towarzysz Enno. Ten stanął w spiżarni i doznał gorzkiego rozczarowania, bo nie było tam faszerowanej gęśiej szyjki, tylko kilka cebul i połówka chleba. Mimo to zaczął jeść, pokroił cebulę na plasterki i położył na chleb, a że był wygłodzony, nawet to mu bardzo smakowało.

Gdy Enno Kluge przeżuwał tak chleb z cebulą, jego wzrok padł na

dolną część regału i nagle spostrzegł, że choć Rosenthalowie nie mieli już nic do przegryzienia, to jednak mieli sporo do wypicia. Gdyż na dolnych półkach stała flaszka przy flaszcze, głównie wino, ale też wódka. Enno, który we wszystkim zachowywał umiar, o ile tylko nie chodziło o wyścigi konne, chwycił butelkę ze słodkim winem i zaczął pomalutku popijać nim swoje kanapki z cebulą. Bóg jeden wie, jak do tego doszło, lecz nagle ten mdły trunek wydał mu się wstrętny, jemu, Ennowi, który zwykle potrafił przesiedzieć nad jednym piwem nawet trzy godziny. Teraz otworzył sobie butelkę z koniakiem i szybko pociągnął kilka łyków, w pięć minut opróżniając połowę flaszki. Może to był głód, może zdenerwowanie, które tak go odmieniły. O jedzeniu w ogóle zapomniał.

Potem i wódka przestała go interesować. I poszedł szukać Barkhausena. Ten wciąż szperał w dużym pokoju, pootwierał szafy i walizki, a to, co w nich było, wyrzucał na podłogę, cały czas szukając czegoś lepszego.

– Chłopie, chłopie, oni przenieśli tu chyba cały ten swój sklep z bielizną! – stwierdził Enno z podziwem.

– Nie gadaj, tylko pomagaj! – odpowiedział Barkhausen.

– Na pewno są tu jeszcze poukrywane pieniądze i biżuteria – to byli przecież bogaci ludzie, ci Rosenthalowie, wręcz milionery – a ty się chciałeś wykręcić od taka robota, durniu jeden!

Przez chwilę obaj pracowali w milczeniu, to znaczy wyrzucali coraz więcej rzeczy na podłogę, która była już tak zarzucona ubraniami, bielizną i sprzętami, że deptali po wszystkich butami. Potem odurzony wódką Enno stwierdził: – Nie widzę na oczy. Muszę sobie najpierw wypić, żeby mieć jasny umysł. Emil, przynieś mi trochę koniaku ze spiżarki!

Barkhausen poszedł bez sprzeciwu i wrócił z dwiema butelkami wódki, po czym obaj usiedli zgodnie na porozrzucanej bieliźnie i popijali łyk za łykiem, omawiając z powagą i szczegółowo całą sprawę.

– To przecież jasne, Barkhausen, że tego całego kramu szybko nie

wyniesiem, a za długo tu siedzieć nie mogę. Myślę, że każdy z nas powinien wziąć sobie dwie walizki i z nimi się zmyjem. A jutro będzie przecie kolejna noc!

– Masz rację, Enno, nie chce tu za długo siedzieć, choćby ze względu na Persicków.

– A kim one są?

– Ach, takie tam... Ale jak pomyśle, że zwinę się stąd z dwiema walizkami bielizny, a zostawię walizkę pełną piniędzy i biżuterii, to mam ochotę sam odgryźć se głowę. Musze jeszcze trochę poszperać. Na zdrowie, Enno!

– Na zdrowie, Emil! Dlaczego nie miałbyś jeszcze poszperać? Noc jest długa, a to nie my płacimy tu za światło. Tylko chciałem cię zapytać: Dokąd pójdiesz z tymi swoimi walizkami?

– Jak to? O co ci chodzi, Enno?

– No, dokąd je zanieziesz? Pewnie do swojego mieszkania?

– A co, myślałeś, że oddam do biura rzeczy znalezionych? Oczywiście, że zabiorę je do swojego mieszkania, do mojej Otti. A jutro z samego rana jak nic na Münzstraße i opchnąć cały łup, aż wszystkie ptaszki zaćwierkają!

Enno pociera korkiem o szyjkę butelki. – Lepiej posłuchaj, jak ten ptaszek ćwierka! Na zdrowie, Emil! Ja, gdybym był tobą, zrobiłbym to inaczej, wcale nie do mieszkania i do kobiety. Czy twoja kobieta naprawdę musi wiedzieć o twoich dodatkowych dochodach? Nie, gdybym był tobą, zrobiłbym to po swojemu, to znaczy, oddałbym walizki do przechowalni na Szczecińskim^[23], a kwit wysłałbym sam do siebie, ale na poste restante. Wtedy nikt nic by u mnie nigdy nie znalazł i nikt nie mógłby mi nic

[23] Dworzec Szczeciński (Stettiner Bahnhof) – dworzec Kolei Szczecińskiej w Berlinie, otwarty w roku 1842, dziś noszący nazwę Dworca Północnego (Nordbahnhof).

udowodnić.

– Sprytnie to sobie wymyśliłeś, Enno – stwierdził Barkhausen z uznaniem. – A kiedy odebrałbyś ten kram z powrotem?

– No, jak już smród opadnie, Emilu, dopiero wtedy!

– A z czego żyłbyś przez ten czas?

– Przecie już ci mówiłem, że idę do Tutti. Jak jej opowiem, jaki numer wykręciłem, przyjmie mnie z otwartymi ramionami!

– Dobrze, bardzo dobrze! – przytakuje Barkhausen. – A jeśli ty idziesz na Dworzec Szczeciński, to ja na Anhalcki^[24]. Wiesz, lepiej nie zwracać na siebie uwagi.

– Też niezłe pomyslane, Emilu, ty też masz głowę na karku!

– Bywa się między ludźmi – mówi skromnie Barkhausen. – Słyszysz się to i tamto. Człowiek niczym bydle, uczy się całe życie.

– Dobrze mówisz! No to, Emil, na zdrowie!

– Na zdrowie, Enno!

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, z upodobaniem pociągając co chwila z butelki. A potem Barkhausen powiedział: – Jak się odwrócisz, Enno, nie musisz teraz, to za tobą stoi radio, ma przynajmniej dziesięć lamp. Chętnie je sobie wezmę.

– Jasne, zrób tak, Emil! Radio zawsze jest dobre, czy żeby je sobie zatrzymać, czy żeby sprzedać! Radio jest zawsze dobre!

– No, to sprawdzim, czy się zmieści do walizki, a potem obłożym go bielizną.

– Tak od razu, czy najpierw wypijemy jeszcze jednego?

– Na jednego mogę sobie jeszcze pozwolić, Enno. Ale tylko na jednego!

Uraczyli się więc następną kolejką, potem drugą i trzecią, a później

[24] Dworzec Anhalcki (Anhalter Bahnhof) – dworzec zamykający linię Kolei Berlińsko-Anhalckiej, otwarty w roku 1841.

powoli wstali i z trudem zaczęli upychać wielki dziesięciolampowy aparat radiowy do podręcznej walizki, w której zmieściłoby się najwyżej radio Goebbelsa^[25]. Po chwili usilnych starań Enno stwierdził: – Nie zmieści się i już! Zostaw to stare, gówniane radio, Emil, weź lepiej walizkę z garniturami!

– Ale moja Otti lubi słuchać radia!

– Myślałem, że nie chcesz mówić swojej starej o tem całym interesie?

Przecie jesteś pijany, Emil!

– A ty i twoja Tutti? Wy oboje jesteście zalani! Gdzie masz te swoje Tutti?

– Ta to zaćwierka! Mówię ci, jak ona zaćwierka! – i znowu potarł korkiem o szyjkę butelki. – Wypijmy jeszcze po jednym!

– Na zdrowie, Enno!

Piją, a potem Barkhausen kontynuuje: – Ale to radio, naprawdę chce je wziąć. Skoro ten stary rupieć nie mieści się do walizki, to powiesz se to pudło na sznurku na piersi. Wtedy bede mieć jeszcze wolne ręce.

– Dobry pomysł, Emil. No, to pakujem sie!

– Tak, pakujem sie. Już czas!

Obaj jednak tylko stoją, wpatrując się w siebie z uśmiechem.

– Jak tak pomyśleć – zaczyna znowu Barkhausen – to życie jest jednak piękne. Tyle tutaj dobrych rzeczy – kiwa głową – a my możemy se wziąć, co tylko chcemy, i jeszcze robim dobry uczynek, bo odbieramy to tej Żydowie, która wszystko przecie ukradła.

– Masz rację, Emil. Robim dobry uczynek dla niemieckiego narodu i dla naszego Führera. To są te dobre czasy, które nam obiecał.

– Bo nasz Führer dotrzymuje słowa, i to zawsze, Enno!

[25] Radio Goebbelsa (Volksempfänger) – mały i tani radioodbiornik zaprojektowany jako narzędzie propagandy nazistowskiej wewnątrz kraju (nazwa od nazwiska ministra propagandy Rzeszy).

Patrzą na siebie wzruszeni ze łzami w oczach.

– Wy dwaj, co wy tutaj robicie? – rozbrzmiewa od drzwi czyjś ostry głos.

Wzdrygają się i widzą małego chłopca w brunatnym mundurze.

A potem Barkhausen powoli i ze smutkiem kiwa głową do Enna:
– To jest pan Baldur Persicke, o którym żem ci opowiadał, Enno! Tera zaczynają się kłopoty.

ROZDZIAŁ 8.

Małe niespodzianki

Gdy obaj pijani tak rozmawiają, w pokoju gromadzi się cała męska część rodziny Persicków. Najbliżej Enna i Emila stoi mały, żyłasty Baldur, oczy skrzą mu się za ostro oszlifowanymi okularami, tuż za nim obaj jego bracia w czarnych mundurach SS, choć bez czapek, a tuż koło drzwi, jakby coś przeczuwając, były szynkarz, stary Persicke. Persickowie też są pod wpływem alkoholu, lecz u nich wódka wywołała zasadniczo odmienny skutek niż u obu włamywaczy: Persickowie nie stali się kłiwi, głupi i zapominalscy, tylko jeszcze ostrzejsi, jeszcze bardziej chciwi i jeszcze bardziej brutalni niż zwykle. – No, doczekam się? – pyta ostro Baldur Persicke. – Co wy tu obaj robicie? A może to wasze mieszkanie?

– Ależ, panie Persicke! – mówi Barkhausen ze skargą w głosie.

Baldur zachowuje się tak, jakby rozpoznał go dopiero teraz. – Przecież to Barkhausen z sutereny w oficynie! – woła zdumiony do braci. – Tylko, panie Barkhausen, co pan tutaj robi? – Jego zdumienie zamienia się w drwinę. – Czy nie byłoby lepiej, gdyby zatroszczył się pan, szczególnie w środku nocy, o własną żonę, naszą dobrą Otti? Słyszałem, że świętuje z jakimś wytwornym panem, a pańskie dzieci widziano późnym wieczorem, jak zataczają się pijane po podwórku. Niech pan odprowadzi dzieci do łóżka, panie Barkhausen!

– Kłopoty! – mamrocze Barkhausen. – Od razu wiedziałem, jak zobaczyłem tego okularnika: same kłopoty. – I ponownie kiwa ze smutkiem głową do Enna.

Enno Kluge stoi jak matoł. Kołysze się cicho do przodu i do tyłu,

trzyma butelkę koniaku w zwisającej bezwładnie dłoni i nie rozumie ani jednego słowa z tego, co mówią.

Barkhausen znowu zwraca się do Baldura Persickego. W jego głosie nie brzmi już skarga, lecz raczej oskarżenie, nagle poczuł się głęboko urażony. – Jeśli moja żona robi coś niewłaściwego – mówi – to *ja* za to odpowiadam, panie Persicke. To ja jestem mężem i ojcem – podług prawa. A jeśli moje dzieci są pijane, to są pijane i tyle, to są w końcu jeszcze dzieci, tak jest, tak jak i pan!

Patrzy na Baldura gniewnie, a Baldur odpowiada skrzącym się wzrokiem. A potem daje braciom niepostrzeżenie sygnał, żeby byli w gotowości.

– A co robi pan tutaj, w mieszkaniu Rosenthalowej? – pyta ostro najmłodszy Persicke.

– Przecież taka była umowa! – zapewnia pośpiesznie Barkhausen. – Wszystko zgodnie z umową. Ja i mój przyjaciel zaraz sobie pójdziem. Właściwie już żeśmy wychodzili. On na Dworzec Szczeciński, a ja na Anhalcki. Każden z dwiema walizkami, dla pana zostanie wystarczająco dużo.

Ostatnie słowa ledwo mamrocze, na wpół drzemie.

Baldur przygląda mu się uważnie. Może uda się bez przemocy, obaj są przecież kompletnie pijani. Lecz przezorność każe mu zachować ostrożność. Chwyta Barkhausena za ramiona i pyta ostro: – A co to za człowiek? Jak się nazywa?

– Enno! – odpowiada Barkhausen, choć język mu się płacze. – Mój przyjaciel Enno...

– A gdzie mieszka twój przyjaciel Enno?

– Nie wiem, panie Persicke. Znam go tylko z knajpy. Kumpel od kieliszka. Lokal Pod Przegranym Koniem...

Baldur podjął decyzję. Uderza nagle Barkhausena pięścią w brzuch,

tak że ten z cichym okrzykiem upada do tyłu na meble i bieliznę. – Przekłeta świnia! – wrzeszczy. – Jak śmiesz nazywać mnie okularnikiem? Już ja ci pokażę, jakie ze mnie dziecko!

Lecz jego groźby są niepotrzebne, obaj już go nie słuchają. Obaj bracia z SS już doskoczyli i zadali każdemu brutalny cios.

– No! – mówi zadowolony Baldur. – Za godzinę wydamy ich policji jako przyłapanych na gorącym uczynku włamywaczy. Tymczasem zabierzmy sobie wszystko, co może nam się przydać. Tylko cicho na schodach! Nasłuchiwałem uważnie, ale nie słyszałem, żeby stary Quangel wrócił już do domu z nocnej zmiany.

Obaj bracia kiwają głowami. Baldur patrzy najpierw na ogłuszone, zakrwawione ofiary, a potem na te wszystkie walizki, bieliznę, aparat radiowy. Nagle zaczyna się śmiać. Zwraca się do ojca: – No, ojczec, widzisz, jaki numer wykręciłem? Ty i te twoje wieczne obawy! Widzisz...

Nagle przerywa. W drzwiach nie stoi wcale jego ojciec, jak się spodziewał; ojca nie ma, nie ma po nim śladu. Zamiast niego stoi tam majster Quangel, mężczyzna o ostrej, obojętnej ptasiej twarzy i patrzy na niego w milczeniu tymi swoimi ciemnymi oczami.

Gdy Otto Quangel wracał do domu z nocnej zmiany – mimo że przez zaległości zrobiło się późno, nie wsiadł do tramwaju, trzeba oszczędzać każdy grosz – to gdy doszedł do kamienicy, zobaczył, że pomimo nakazu zaciemnienia w mieszkaniu pani Rosenthal pali się światło. A przyjrzawszy się uważniej, stwierdził, że i u Persicków, i niżej u Fromma świeci się światło, bo lśniło na brzegach rolet. U radcy sądowego berlińskiego Sądu Kamery^[26] Fromma, o którym nie wiadomo było, czy w trzydziestym trzecim przeszedł na emeryturę z powodu wieku, czy też przez nazistów, zawsze przez pół nocy świeciło się światło, u niego to nic dziwnego. A Persickowie pewnie dalej świętują zwycięstwo nad Francją. Ale że stara

[26] Sąd Kamery (Kammergericht) – wyższy sąd krajowy w Berlinie.

Rosenthalowa pali światło, i to tak otwarcie, we wszystkich oknach, tu się coś nie zgadza. Staruszka była taka lękliwa i zahukana, nigdy nie oświetliłaby tak swojego mieszkania.

Coś tu się nie zgadza! – pomyślał Otto Quangel, otwierając drzwi wejściowe kamienicy i powoli wchodząc po schodach. Jak zwykle nie zapalił światła, oszczędzał nie dla siebie, to znaczy nie tylko dla siebie. Oszczędzał za wszystkich, także za dozorcę. Coś tu się nie zgadza! Chociaż co mnie to obchodzi? Inni ludzie w ogóle mnie nie obchodzą! Żyję sam dla siebie. Z Anną. Tylko my dwoje. Poza tym może to Gestapo robi tam właśnie na górze przeszukanie. Pięknie byłoby, jakbym tam sobie nagle wpadł! Nie, idę spać...

Lecz jego wzmocniona zarzutem „ty i ten twój Hitler” skrupulatność, którą można by już niemal nazwać poczuciem sprawiedliwości, uznała efekt jego przemyśleń za zdecydowanie niedostateczny. Stał teraz, wyczekując, z kluczem w ręku, przed drzwiami swojego mieszkania, z głową uniesioną ku górze. Drzwi tam musiały być otwarte, na górze widać było przytłumione światło, słyszał też, że ktoś mówi coś ostrym głosem. Starsza pani, zupełnie sama, pomyślał nagle ku własnemu zdumieniu. Bez żadnej ochrony. Bez zmiłowania...

I w tym właśnie momencie drobna, lecz silna męska dłoń wysunęła się z ciemności i chwyciła go za poły, odwracając ku schodom. Bardzo uprzejmy i wytworny głos powiedział: – Proszę, niech pan pójdzie przodem, panie Quangel. Ja pójde za panem i ujawnię się w odpowiednim momencie.

Quangel bez wahania ruszył schodami na górę, tak przekonującą siłą miały ta dłoń i ten głos. To może być tylko stary radca Fromm – pomyślał sobie. Taki skryty. Myślę, że przez wszystkie te lata, odkąd tu mieszkam, widziałem go za dnia najwyżej dwadzieścia razy, a teraz kręci się po schodach o tak późnej porze!

Rozmyślając tak, wszedł bez wahania po schodach i dotarł do mieszkania Rosenthalów. Zauważył jeszcze, że na jego widok jakaś grubawa postać – zdaje się, że stary Persicke – pośpiesznie wycofała się do kuchni, usłyszał ostatnie słowa Baldura o wykręcaniu numeru i o tym, że nie można się ciągle bać... A teraz obaj, Quangel i Baldur, stanęli naprzeciwko siebie i w milczeniu patrzyli sobie w oczy.

Przez chwilę Baldur Persicke pomyślał nawet, że wszystko stracone. Lecz potem przypomniał sobie swoją życiową zasadę: „bezcelność zwycięża”, i powiedział wyzywającym tonem: – Tak, tego się pan nie spodziewał! Ale trochę się pan spóźnił, panie Quangel, *my* już złapaliśmy włamywaczy i unieszkodliwiliśmy ich. – Zawahał się, lecz Quangel cały czas milczał. Już słabszym głosem Baldur dodał: – Jeden z tych dwóch złodziejasków to zdaje się ten Barkhausen, który prowadzi stręczycielski interes w podwórzu.

Quangel przesunął spojrzenie za wskazującym palcem Baldura. – Tak – odparł sucho – jeden ze złodziei to Barkhausen.

– A tak w ogóle – odezwał się nieoczekiwanie Adolf Persicke, jeden z braci z SS – co pan tak tu stoi i się gapi? Może pan spokojnie pójść na policję i zgłosić włamanie, żeby nasi towarzysze zabrali tych tutaj! My tu wszystkiego przypilnujemy.

– Cicho bądź, Adolf! – syknął Baldur z irytacją. – Nie rozkazuj panu Quanglowi! Pan Quangel doskonale wie, co ma robić.

Ale tego akurat w tym momencie Quangel wcale nie wiedział. Gdyby był sam, natychmiast podjąłby decyzję. Lecz była jeszcze ta ręka na jego piersi, ten uprzejmy męski głos; nie miał pojęcia, co zamierza stary radca sądowy, i czego od niego oczekuje. Nie chciał zepsuć mu zabawy. Gdyby tylko wiedział...

Lecz właśnie w tej chwili starszy pan pojawił się na horyzoncie, wcale nie obok niego, tylko od strony wnętrza mieszkania. Nagle stanął

między nimi niczym duch, znów napędzając Persickom stracha, tym razem porządnego. Wyglądał zresztą bardzo dziwnie ów starszy pan. Delikatna postać, poniżej średniego wzrostu, cała otulona jedwabnym ciemnogramatowym szlafrokiem, którego brzegi obszyte były czerwoną lamówką, a przód zapięty na wielkie, czerwone drewniane guziki. Starszy pan miał siwą brodę i mocno przycięte białe wąsy nad górną wargą. Cieniutkie, wciąż brązowawe włosy na głowie były starannie ufryzowane na bladej czaszce, nie mogły jej jednak całkiem ukryć. Za wąskimi okularami w złotych oprawkach lśniły zadowolone, drwiące oczy otoczone tyśiącem zmarszczek.

– Nie, moi panowie – mówi swobodnie, jakby kontynuował dawno rozpoczętą i niezwykle przyjemną konwersację. – Nie, moi panowie, pani Rosenthal nie ma w domu. Ale może jeden z młodych panów Persicków pofatyguje się do toalety. Wasz pan ojciec chyba nie czuje się najlepiej. W każdym razie cały czas próbuje się tam powiesić na chusteczce do nosa. Nie potrafiłem go od tego odwieść...

Radca sądu uśmiecha się, lecz dwaj starsi Persickowie wybiegają z pokoju w takim pośpiechu, że wygląda to niemal komicznie. Młody Persicke jest teraz bardzo błądy i zupełnie trzeźwy. Starszy pan, który właśnie wszedł do pokoju i który wypowiada się z taką ironią, to mężczyzna, którego wyższość natychmiast uznaje nawet Baldur. On nie tylko zachowuje się, jakby miał przewagę, on ją faktycznie ma. Baldur Persicke mówi niemal prosiącym tonem: – Pan rozumie, panie radco, ojciec jest, mówiąc wprost, kompletnie pijany. Kapitulacja Francji...

– Rozumiem, rozumiem doskonale – mówi stary radca, wykonując lekceważący gest dłonią. – Wszyscy jesteśmy ludźmi, tyle że nie wszyscy od razu się wieszamy, jak jesteśmy pijani. – Milczy przez chwilę i uśmiecha się. Mówi: – Oczywiście opowiadał przeróżne historie, ale kto by tam zwracał uwagę na paplaninę pijanego? – Znów się uśmiecha.

– Panie radco! – mówi Baldur Persicke błagalnym tonem. – Proszę, niech pan się zajmie tą sprawą! Był pan sędzią, wie pan, co trzeba zrobić...

– Nie, nie – mówi radca, zdecydowanie odmawiając. – Jestem stary i schorowany. – Wcale na takiego nie wygląda. Wręcz przeciwnie, wygląda kwitnąco. – Wycofałem się już z życia, prawie nie mam kontaktu ze światem. Lecz pan, panie Persicke, pan i pańska rodzina, to przecież wy zaskoczyliście tych dwóch włamywaczy. To wy przekażecie ich policji, to wy zabezpieczycie majątek w tym mieszkaniu. Rzuciłem na niego okiem, przechodząc. Naliczyłem na przykład siedemnaście walizek i dwadzieścia jeden skrzyń. I mnóstwo innych rzeczy... Mnóstwo...

Mówi coraz wolniej. Coraz wolniej. A na koniec dodaje lekkim tonem: – Myślę sobie nawet, że złapanie tych dwóch włamywaczy przyniesie jeszcze panu i pańskiej rodzinie sławę i zaszczyty.

Radca sądowy milknie. Baldur stoi i intensywnie myśli. Tak też można to załatwić – ale szczwany lis z tego starego Fromma! Z pewnością wszystko przejrzał, ojciec na pewno się wygadał, ale on woli mieć spokój, nic nie chce wiedzieć. Z jego strony nie grozi żadne niebezpieczeństwo. A Quangel, ten stary majster? On nigdy nie interesował się nikim w tym domu, nigdy nikogo nie pozdrawia, z nikim nie rozmawia. Ten Quangel to prawdziwy stary robot, wychudzony, wycieńczony, nie potrafi już nawet samodzielnie myśleć. Ten z pewnością nie będzie robić niepotrzebnego zamieszania. Ten to dopiero jest niegroźny.

Zostali tylko ci dwaj cholerni pijacy na podłodze. Oczywiście, że można ich wydać policji i wyprzeć się wszystkiego, co Barkhausen będzie opowiadać o podżeganiu. Jemu z pewnością nie uwierzą, jeśli będzie zeznawać przeciwko członkom partii, SS i Hitlerjugend. A potem całą sprawę trzeba zgłosić na Gestapo. Może wtedy zupełnie legalnie dostanie się część tych rzeczy, których pozyskanie inaczej jest nielegalne i ryzykowne. I do tego jeszcze pochwała.

Kuszące rozwiązanie. Lecz może jeszcze lepiej będzie dać sobie na razie z tym wszystkim spokój. Barkhausenowi i temu Ennowi zamknąć gęby i wypuścić z paroma markami. Na pewno nie wygadają. Mieszkanie zamknąć tak jak jest, bez względu na to, czy Rosenthalowa wróci czy nie. Może później coś się uda zdziałać – ma wyraźne przeczucie, że kurs wobec Żydów jeszcze się zaostry. Poczekać i napić się herbaty. Za pół roku może będzie można robić rzeczy, które dziś jeszcze nie uchodzą. Teraz Persickowie trochę się zblamowali. Nie wdrożą co prawda przeciwko nim żadnego postępowania, ale w partii będzie się gadało. Nie będą już uchodzić za całkowicie godnych zaufania.

Baldur Persicke mówi: – Właściwie jestem skłonny puścić tych dwóch tutaj. Żal mi ich, panie radco, to przecież tylko drobni złodziejaszkwowie.

Rozgląda się, jest sam. Nie ma już ani radcy sądowego, ani majstra. Dokładnie tak, jak sobie pomyślał: nie będą chcieli mieć z tą sprawą nic wspólnego. To najmądrzejsze, co można zrobić. On, Baldur, postąpi dokładnie tak samo, nawet jeśli bracia będą pomstować.

Z głębokim westchnieniem odnoszącym się do tych wszystkich pięknych rzeczy, z których musi zrezygnować, Baldur zbiera się, żeby pójść do kuchni i namówić ojca i braci do rezygnacji z tego, co niemal już do nich należało.

W tym czasie na klatce schodowej radca sądowy mówi do majstra Quangla, który bez słowa wyszedł za nim z mieszkania: – Jeśli będzie pan miał jakiegokolwiek kłopoty z powodu Rosenthalowej, panie Quangel, proszę zwrócić się do mnie. Dobranoc.

– A co mnie obchodzi Rosenthalowa? W ogóle jej nie znam! – protestuje Quangel.

– A więc dobranoc, panie Quangel! – I radca sądowy Fromm znika, schodząc po schodach w dół.

Otto Quangel otwiera drzwi do swojego pogrążonego w ciemnościach

mieszkania.

ROZDZIAŁ 9.

Nocna rozmowa u Quanglów

Ledwo Quangel otworzył drzwi do sypialni, jego żona woła przestraszona: – Nie zapalaj światła, ojcze! Trudel śpi w twoim łóżku. Tobie posłałam na sofie w pokoju.

– Dobrze, Anno – odpowiada Quangel, dziwiąc się tej odmianie, że Trudel śpi w jego łóżku. Zawsze kładła się na sofie.

Lecz odzywa się ponownie dopiero wtedy, gdy już się rozebrał i położył pod kocem na sofie. Pyta: – Chcesz już spać, Anno, czy miałabyś ochotę chwilę porozmawiać?

Ona waha się przez chwilę, a potem odpowiada przez otwarte drzwi sypialni: – Jestem taka zmęczona i wykończona, Otto!

A więc wciąż jest na mnie zła – właściwie dlaczego? – myśli Otto Quangel, mówi jednak takim samym tonem: – A więc śpij, Anno. Dobranoc!

A od jej łóżka dobiega: – Dobranoc, Otto! – I Trudel także szepcze cicho: – Dobranoc, ojcze!

– Dobranoc, Trudel! – odpowiada Quangel i kładzie się na boku, marząc tylko o tym, by jak najszybciej zasnąć, bo jest bardzo zmęczony. Jest jednak zbyt zmęczony, tak jak czasem człowiek jest zbyt głodny, żeby coś zjeść. Sen nie chce do niego przyjść. Ma za sobą taki długi dzień z nieskończoną ilością zdarzeń, dzień, jaki jeszcze nigdy w życiu mu się nie przydarzył.

Lecz nie był to dzień, jakiego pragnął. Pomijając już to, że właściwie wszystkie te wydarzenia były nieprzyjemne, nawet usunięcie ze stanowiska

we Froncie Pracy, to on nie cierpi tego zamieszania, tej konieczności rozmawiania ze wszystkimi możliwymi ludźmi, których bez wyjątku nie znosi. I myśli o liście z frontu z wiadomością o śmierci Ottonka, który wręczyła mu pani Kluge, myśli o tym szpiclu Barkhausenie, który tak nieudolnie próbował go nabrać, o korytarzu w fabryce mundurów z powiewającymi w przeciagu plakatami, o które Trudel oparła głowę. Myśli o tajniaku stolarzu Dollfuście, tym wiecznym palaczu, medale i orderzy znów bręczą na piersi odzianego w brunatny mundur mówcy, teraz chwyta go w ciemnościach mocna, drobna dłoń radcy sądowego w stanie spoczynku Fromma i zwraca go w kierunku schodów. A tam młody Persicke stoi w wyglansowanych butach na białej dywanicy i robi się coraz bardziej bledy, a w kącie rżęzą i jęczą obaj zakrwawieni pijacy.

Zrywa się z powrotem, o mało właśnie nie zasnął. Lecz jest jeszcze coś, co go w tym dniu niepokoi, coś, co wyraźnie usłyszał, a potem o tym zapomniał. Siada na sofie i nasłuchuje długo i uważnie. Ma rację, nie przesłyszał się. Woła rozkazującym tonem: – Anno!

Odpowiada z narzekaniem, zupełnie nie jak ona: – Dlaczego znowu mi przeszkadzasz, Ottonie? Czy ja już w ogóle nie mogę mieć spokoju? Przecież powiedziałam ci, że nie chcę już gadać!

On nie ustępuje: – Dlaczego mam spać na sofie, skoro Trudel śpi w twoim łóżku? Przecież moje łóżko jest w takim razie wolne?

Na chwilę po drugiej stronie zapada głęboka cisza, a potem żona odpowiada niemal błagalnie: – Ależ ojczu, Trudel naprawdę śpi w twoim łóżku! Leżę sama, wszystko mnie tak boli...

Przerywa jej: – Nie powinnaś mnie okłamywać, Anno. Tam u was oddychają trzy osoby, doskonale słyszałem. Kto śpi w moim łóżku?

Cisza, długa cisza. A potem żona mówi zdecydowanie: – Nie dopytuj się tak. Czasem lepiej nie wiedzieć. Bądź lepiej cicho, Ottonie!

A on uparcie: – W tym domu to ja jestem panem. W tym mieszkaniu nie

będzie przede mną żadnych tajemnic. Bo to ja za wszystko odpowiadam i tyle. Kto śpi w moim łóżku?

Cisza, długa cisza. A potem stary, głęboki kobiecy głos mówi: – Ja, panie Quangel, Rosenthalowa. A pana żona i pan nie powinniście mieć przeze mnie żadnych kłopotów, już się ubieram. Zaraz idę na górę!

– Nie może pani teraz pójść do swojego mieszkania, pani Rosenthal. Persickowie są na górze i jeszcze paru ludzi. Niech pani zostanie w moim łóżku. A jutro z samego rana, bardzo wczesnie, o szóstej albo o siódmej, pójdzie pani na dół do starego radcy sądowego Fromma i zadzwoni do jego drzwi na wysokim parterze. On pani pomoże, tak mi powiedział.

– Bardzo panu dziękuję, panie Quangel.

– Podziękujecie pani radcy, nie mnie. Przecież wyrzucam panią ze swojego mieszkania. A jeśli chodzi o ciebie, Trudel...

– Ja też mam sobie pójść, ojcze?

– Tak, musisz. To była twoja ostatnia wizyta u nas, i ty już dobrze wiesz, dlaczego. Może Anna cię kiedyś odwiedzi, ale wątpię. Dopiero jak się opamięta, a ja porządnie z nią sobie porozmawiam...

Jego żona odpowiada niemal krzykiem: – Ja na to nie pozwolę, ja też sobie pójdę. I możesz sobie tutaj zostać sam w tym swoim mieszkaniu! Myślisz tylko o tym, żeby mieć święty spokój...

– Słusznie! – przerywa jej ostro. – Nie chcę tu niczego niebezpiecznego, a przede wszystkim nie chcę być wciągany w cudze niebezpieczne sprawy. Skoro mam nadstawiać karku, to nie chcę go nadstawiać z powodu cudzej bezmyślności, tylko dlatego, że zrobiłem coś, co chciałem zrobić. Nie mówię, że coś robię. Ale jeśli będę coś robić, to tylko z tobą, z nikim innym, nawet gdyby miała to być taka miła dziewczyna jak Trudel albo bezbronna starsza pani, jak pani, pani Rosenthal. Nie mówię, że robię słusznie. Ale inaczej tego zrobić nie mogę. Taki już jestem i wcale nie chcę być inny. No a teraz chcę spać!

Z tymi słowami Otto Quangel kładzie się z powrotem. W drugim pokoju szepczą jeszcze cicho, ale to mu nie przeszkadza. On wie, że stanie się jego wola. Jutro rano jego mieszkanie będzie znowu czyste, a Anna się dostosuje. Żadnych więcej szaleństw. I tylko on sam. On sam. Tylko on!

Zasypia, a gdyby ktoś widział go teraz śpiącego, to zauważyłby, że się złowieszczo uśmiecha, zauważyłby złowieszczy uśmiech na tej twardej, surowej ptasiej twarzy, złowieszczy, odważny uśmiech, lecz wcale nie jest to zły uśmiech.

ROZDZIAŁ 10.

Co się zdarzyło w środowy poranek

Wszystkie opisane wcześniej wydarzenia miały miejsce w pewien wtorek. Rankiem następnego dnia, czyli w środę, bardzo wcześnie, między piątą a szóstą, pani Rosenthal opuściła mieszkanie państwa Quangelów w towarzystwie Trudel Baumann. Otto Quangel mocno jeszcze spał. Trudel odprowadziła nieporadną, kompletnie przerażoną panią Rosenthal z żółtą gwiazdą na piersi aż do drzwi mieszkania pana Fromma. Potem cofnęła się do połowy schodów, zdecydowana bronić tej kobiety, choćby poświęcając swoje własne życie lub cześć, przed Persickami, którzy mogli zejść z góry.

Trudel obserwowała, jak pani Rosenthal naciska guzik dzwonka. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast, jakby ktoś już za nimi stał, wyczekując. Wymieniono kilka cichych słów, potem pani Rosenthal weszła do środka, drzwi się zamknęły, a Trudel Baumann wyminęła je, wychodząc na ulicę. Drzwi wejściowe kamienicy były już otwarte.

Obie kobiety miały szczęście. Choć było bardzo wcześnie i choć wczesne wstawanie było całkowicie sprzeczne z obyczajami Persicków, to obaj członkowie SS schodzili klatką schodową mniej niż pięć minut temu. Te pięć minut pozwoliło uniknąć spotkania, które biorąc pod uwagę tępą głupotę i brutalność obu młodzieńców, musiałyby się skończyć tragicznie, przynajmniej dla pani Rosenthal.

Panowie z SS nie wychodzili sami. Dostali od swojego brata Baldura rozkaz wyprowadzenia Barkhausena i Enna Klugego (Baldur wcześniej obejrzał sobie jego papiery) z kamienicy i odprowadzenia do ich kobiet. Obaj włamywacze amatorzy wciąż byli niemal zupełnie zamroczeni od

nadmiaru wypitego alkoholu oraz ciosów, które otrzymali. Baldurowi Persickemu udało się jednak dać im do zrozumienia, że zachowali się jak świnie, że tylko wielkiej miłości Persicków do ludzkości zawdzięczają to, że nie zostali natychmiast przekazani policji, i że jakakolwiek paplanina niechybnie ich tam jednak doprowadzi. Poza tym mają się już nigdy nie pokazywać u Persicków ani nie przyznawać, że ich znają. Jeśli natomiast kiedykolwiek odważą się znów pojawić w mieszkaniu Rosenthalów, zostaną natychmiast wydani Gestapo.

To wszystko Baldur powtórzył im tyle razy i dodając tyle gróźb i zniewag, aż zakonotowali to sobie dobrze w poobijanych głowach. Siedzieli naprzeciwko siebie przy stole w mieszkaniu Persicków, w półmroku, mając między sobą gadającego bez końca i ciskającego gróźbami i gromami Baldura. Na sofie rozsiedli się obaj członkowie SS, groźne, posępne postaci, pomimo nieustannego kopcenia papierosów. Mieli niejasne poczucie, jakby znajdowali się przed sądem, czekając na ostateczny wyrok, jakby groziła im śmierć. Kiwali się na krzesłach w tę i we w tę, próbując zrozumieć to, co powinni zrozumieć. Co jakiś czas przysypiali i byli natychmiast budzeni bolesnym ciosem pięści Baldura. Wszystko, co planowali, robili, wycierpieli, zdawało im się niczym nierzeczywisty sen, pragnęli już tylko snu i zapomnienia.

W końcu Baldur odesłał ich pod eskortą swoich braci. Barkhausen i Kluge, nie wiedząc o tym, mieli w kieszeniach po jakieś pięćdziesiąt marek w drobnych nominałach. Baldur zdecydował się na tę kolejną dotkliwą ofiarę, z powodu której przedsięwzięcie Rosenthal stało się tymczasowo dla Persicków czystą stratą. Ale przekonał sam siebie, że jeśli ci ludzie wrócą do swoich kobiet bez grosza, pobici i niezdolni do pracy, to będzie tam o wiele więcej krzyków i dopytywania się, niż jeśli obaj pijani przyniosą do domów trochę pieniędzy. Liczył na to, że ze względu na stan mężów to właśnie ich żony znajdą pieniądze.

Starszy Persicke, który miał odprowadzić do domu Barkhausena, załatwił swoje zadanie w dziesięć minut, podczas których pani Rosenthal dotarła do mieszkania pana Fromma, a Trudel wyszła na ulicę. Złapał po prostu niemogącego wręcz utrzymać się na nogach Barkhausena za kołnierz, przeciągnął go przez podwórze, posadził na podłodze przed mieszkaniem Barkhausenów i obudził jego żonę, waląc pięściami w drzwi. Gdy ta cofnęła się z lękiem przed groźną, ponurą postacią, wrzasnął do niej: – Przyprowadziłem ci twojego chłopca, stara świnio! Wywal tego absztyfikanta, co go masz w łóżku, i wsadź do niego swojego chłopca! Leżał sobie u nas pijany na klatce i wszystko obrzygał...!

Potem poszedł, zostawiając resztę Otti. Z trudem rozebrała Emila i położyła go do łóżka, w czym musiał pomóc jej wytworny starszy pan, który wciąż u niej gościł. Potem został bezlitośnie odesłany – pomimo tak wczesnej pory. Zabroniono mu także powrotu, może będą się mogli kiedyś spotkać w kawiarni, ale tutaj nie, nigdy więcej.

Otti ogarnęła bowiem paniczny lęk, gdy ujrzała w swoich drzwiach esesmana Persickego. Wiedziała o jednej koleżance, z której usług ci panowie w czarnych mundurach korzystali, ale potem zamiast jej zapłacić wysłali ją jako jednostkę społeczną i uchylającą się od pracy do kacetu. Sądziła, że w swojej ciemnej suterenie pędzi życie w ukryciu, a teraz dowiedziała się, że i ona – tak jak wszyscy w tych czasach – była stale szpiegowana. Ten Persicke wiedział nawet, że w jej łóżku jest obcy mężczyzna! Nie, Otti nie miała na razie ochoty widywać obcych mężczyzn. Po raz setny w życiu obiecała sobie poprawę.

Podjęcie tej decyzji ułatwiło jej to, że znalazła w kieszeni Emila czterdzieści osiem marek. Schowała pieniądze do pończochy i postanowiła poczekać, co Emil opowie o swoich przygodach, ona w każdym razie nic o żadnych pieniądzach nie wie!

Zadanie drugiego Persickego było zdecydowanie trudniejsze, przede

wszystkim dlatego, że miał do pokonania o wiele dłuższą drogę, gdyż państwo Kluge mieszkali po drugiej stronie Friedrichshain. Enno, tak jak Barkhausen, ledwo trzymał się na nogach, lecz Persicke nie mógł wlec go za sobą po ulicy za kołnierz czy za ramię. W ogóle było mu nieprzyjemnie, że pokazuje się w towarzystwie tego pobitego i pijanego człowieka, bo im niżej cenił swój własny honor i honor innych ludzi, tym wyżej stawiał honor swojego munduru.

Daremne było też nakazywanie Klugemu, żeby szedł tuż przed nim albo krok za nim, ciągle kusiło go, żeby usiąść na ziemi, potknąć się, przytrzymać drzewa czy ściany albo otrzeć się o jakiegoś przechodnia. Daremne było walenie pięścią czy wydawanie komend, ciało po prostu nie słuchało, a na udzielenie ostrej reprimendy, która może by go otrzeźwiła, na to panował już na ulicach zbyt duży ruch. Persickemu wystąpił pot na czoło, mięśnie szczęki napinały się kurczowo z wściekłości i poprzysięgł sobie, że w końcu gruntownie wyjaśni temu małemu złośnikowi Baldurowi, co myśli o takich zadaniach.

Musiał omijać główne ulice i nadkładał drogi, wybierając spokojniejsze boczne uliczki. Chwytał wtedy Klugego pod ramię i niósł go, często mijając dwie, trzy przecznice, aż już dalej nie mógł. Spory kłopot sprawiał mu przez pewien czas jeden szupo^[27], który zwrócił uwagę na ten nieco brutalny poranny transport i który szedł za nimi przez cały swój rewir, zmuszając przez to Persickego do delikatnego i ostrożnego zachowania.

Ale wziął za to odwet, gdy w końcu dotarli do Friedrichshain. Posadził Klugego na jakiejś ławce za krzakiem i tak go załatwił, że ten przez dziesięć minut leżał całkiem nieprzytomny. Ten mały hazardzista, którego tak naprawdę nie interesowało na tym świecie nic poza końskimi wyścigami, z którymi za swego życia miał w gruncie rzeczy do

[27] Szupo – potoczne określenie policjanta z policji prewencyjnej (Schupo od: Schutzpolizei, dosł. policja ochronna).

czynienia wyłącznie za pośrednictwem gazet, ta istota, która nie potrafiła odczuwać ani miłości, ani nienawiści, ten wymigujący się od pracy typek, który wszystkie zakamarki swego nędznego umysłu wykorzystywał do unikania jakiegokolwiek prawdziwego wysiłku, ów człowiek, Enno Kluge, blady, skromny, bezbarwny, od spotkania z Persickami czuł paniczny strach przed każdym partyjnym mundurem, strach, który od tej pory miał paraliżować jego duszę i umysł, gdy tylko napotykał członków partii, jak to się jeszcze później okaże.

Kilka kopniaków w żebra przywróciło mu przytomność, kilka uderzeń w plecy sprawiło, że zaczął iść i kroczył tak z trudem przed swoim prześladowcą, wystraszony niczym zbity pies, aż dotarli do mieszkania jego żony. Lecz drzwi były zamknięte: listonoszka Ewa Kluge, która jeszcze w nocy wątpiła w swego syna, a przez to we własne życie, rozpoczęła kolejny zwykły dzień, z listem do syna Maksa w kieszeni, lecz z niewielką nadzieją i wiarą w sercu. Dostarczała pocztę, tak jak robiła to od lat, zawsze lepsze to niż siedzieć beczynnienie w domu i zadrećcać się ponurymi myślami.

Persicke, gdy już się przekonał, że żony naprawdę nie ma w domu, zadzwonił do sąsiednich drzwi, przypadkiem były to drzwi owej pani Gesch, która poprzedniego wieczoru podstępem pomogła Ennowi wejść do mieszkania żony. Persicke wepchnął po prostu tę żalosalną figurę w jej ramiona, powiedział: – Proszę! Pani się nim zajmie, on tu przecież mieszka! – i poszedł.

Pani Gesch mocno sobie postanowiła, że nigdy więcej nie będzie się wtrącać w sprawy państwa Kluge. Lecz potęgą esesmana była tak wielka i tak ogromny był strach, jaki wzbudzał w każdym towarzyszu narodowym, że bez słowa sprzeciwu zabrała Klugego do swojego mieszkania, posadziła go przy stole w kuchni i postawiła przed nim kawę i chleb. (Jej mąż wyszedł już do pracy). Pani Gesch zorientowała się, jak

wykończony jest ten mały Kluge, dostrzegła na jego twarzy, na rozdartej koszuli, na pobrudzonym płaszczu ślady długotrwałego zęciana się. Ponieważ jednak Klugego przekazał jej esesman, pilnowała się, żeby nie zadawać żadnych pytań. Tak, wołałaby, żeby siedział pod jej drzwiami niż usłyszeć opowieść o tym, co mu się przydarzyło. Wołała nic nie wiedzieć. Jeśli nic nie będzie wiedzieć, to także nic nie będzie mogła powiedzieć, wygadać, wypaplać, a więc nie narazi się na niebezpieczeństwo.

Kluge jadł, powoli przeżuując chleb, napił się też kawy. Po twarzy spływały mu przy tym wielkie łzy bólu i wyczerpania. Milcząca pani Gesch od czasu do czasu rzucała mu uważne spojrzenie. A potem, gdy wreszcie skończył, zapytała: – I dokąd pan pójdzie? Żona na pewno pana nie przyjmie, przecież pan wie!

Nie odpowiedział, wpatrywał się tylko przed siebie.

– U mnie też nie może pan zostać. Po pierwsze, Gustaw się na to nie zgodzi, a poza tym nie mam ochoty wszystkiego przed panem zamykać. Dokąd więc pan pójdzie?

Znów nie odpowiedział.

Pani Gesch zaczynała się gorączkować: – W takim razie wystawię pana za drzwi na schody! I to zaraz! Chyba że...?

– Tutti – stara przyjaciółko... – mówi z trudem. I znowu płacze.

– Patrzcie, patrzcie, jaki bidulek! – stwierdza pani Gesch z pogardą. – Gdybym to ja mogła się tak mazgać, jak mi tylko coś nie wyjdzie! A więc Tutti – jak ona się naprawdę nazywa i gdzie mieszka?

Po dłuższym wypytywaniu i groźbach pani Gesch dowiedziała się, że Enno Kluge nie zna prawdziwego nazwiska Tutti, ufa jednak, że trafi do jej mieszkania.

– Niech będzie! – oświadczyła pani Gesch. – Ale sam nie może pan tak iść, zgarnie pana pierwszy lepszy szupo. Odprowadzę pana. Ale jeśli adres nie będzie się zgadzał, to zostawię pana na ulicy. Nie mam czasu na

dłuższe szukanie, muszę pracować!

On zaczął błagać: – Ale najpierw chwilka snu!

Po chwili wahania zdecydowała: – Ale nie dłużej niż godzinę! Punktualnie za godzinę! Proszę, pan się kładzie na kanapie, przykryję pana! Jeszcze nie dotarła do niego z kocem, gdy on już mocno spał.

Stary radca sądowy Fromm osobiście otworzył pani Rosenthal drzwi. Zaprowadził ją do swojego gabinetu, którego ściany pokrywały rzędy książek, i poprosił, żeby usiadła w fotelu. Paliła się lampka do czytania, a na biurku leżała otwarta książka. Starszy pan przyniósł na tacy dzbanek z herbatą i filizankę, do tego cukier i dwie cienkie kromki chleba i powiedział do wystraszonego gościa: – Najpierw zje pani śniadanie, pani Rosenthal, bardzo proszę, a dopiero potem porozmawiamy! – A gdy chciała wymówić choć słowo podziękowania, zauważył przyjacielskim tonem: – Nie, naprawdę, proszę, niech pani najpierw zje. Niech pani się tu czuje jak u siebie w domu, ja też tak będę robić!

To mówiąc, wziął leżącą pod lampką książkę i zaczął czytać. Wolną lewą ręką raz po raz mechanicznie gładził się po siwej brodzie. Wyglądało to tak, jakby zupełnie zapomniał o swoim gościu.

Przeżona stara Żydówka powoli odzyskiwała pewność siebie. Od miesięcy żyła w nieustannym strachu i nieładzie, pomiędzy spakowanymi rzeczami, ciągle spodziewając się brutalnego najścia. Od miesięcy nie pamiętała już, co to domowa atmosfera, poczucie spokoju, zgody, zadowolenia. A teraz siedzi sobie tutaj, u tego starszego pana, którego tylko z rzadka widywała na schodach; ze ścian spoglądają jasno i ciemnobrązowe skórzane oprawy licznych ksiąg, przy oknie stoi mahoniowe biurko, mebel, jaki sama posiadała w pierwszych latach małżeństwa, na podłodze leży nieco wydeptany dywan. A do tego ten pogrążony w lekturze mężczyzna, który nieprzerwanie gładzi kozią bródkę, dokładnie taką bródkę, jaką nosi wielu Żydów, i jeszcze ten długi

szlafrok, który przypomina trochę chałat jej ojca.

Było tak, jakby za sprawą czarodziejskiego zaklęcia zniknął cały świat brudu, krwi i łez, a ona znowu żyła w czasach, gdy wciąż jeszcze byli ludźmi poważanymi, szanowanymi, a nie zaszczytym robactwem, które należy wytępić.

Mimowolnie przyglądała włosy, jej twarz sama z siebie przybrała inny wyraz. A więc był jeszcze pokój na tym świecie, nawet tu, w Berlinie.

– Jestem panu bardzo wdzięczna, panie radco – powiedziała. Nawet jej głos brzmiał jakoś inaczej, mocniej.

Szybko spojrzała na nią znad książki. – Niech pani wypije, proszę, herbatę, dopóki jest ciepła, i zje chleb. Mamy dużo czasu, nie śpieszy nam się.

I znów zaczęła czytać. Posłusznie wypila herbatę i zjadła chleb, mimo że o wiele bardziej wolałaby porozmawiać ze starszym panem. Lecz chciała mu być we wszystkim posłuszna, nie chciała zakłócać spokoju jego domu. Ponownie rozejrzała się wokół. Nie, niech wszystko zostanie tutaj tak, jak jest teraz. Nie narazi tego na niebezpieczeństwo. (Trzy lata później mina rozetrze ten dom na proch, a zadbany starszy pan umrze w piwnicy, powoli i w bólu...)

Odstawiając pustą filiżankę na tacę, powiedziała: – Jest pan dla mnie bardzo łaskawy, panie radco, i bardzo odważny. Lecz ja nie będę bez potrzeby narażać pana i pańskiego domu na niebezpieczeństwo. To przecież i tak nic nie da. Wracam do swojego mieszkania.

Starszy pan przyglądał się jej uważnie, gdy mówiła, a potem posadził ją z powrotem na fotelu. – Bardzo proszę, niech pani posiedzi jeszcze chwilę, pani Rosenthal!

Uczyniła to z oporem. – Doprawdy, panie radco, ja mówię poważnie.

– Najpierw niech mnie pani wysłucha. Ja także traktuję poważnie wszystko, co pani powiem. Jeśli chodzi o niebezpieczeństwo, na jakie

mnie pani naraża, to przez całe życie, odkąd param się tym zawodem, znajdowałem się w niebezpieczeństwie. Długo byłem sędzią i w pewnych kręgach nazywano mnie „Krwawym Frommem” czy wręcz „Katem Frommem”. – Uśmiechnął się, widząc jej przerażenie. – Zawsze byłem cichym i łagodnym człowiekiem, lecz los sprawił, że w trakcie swojej sędziowskiej kariery wydałem lub zatwierdziłem dwadzieścia jeden wyroków śmierci. Mam panią, której muszę słuchać, ona mną rządzi, rządzi i panią, i światem, nawet tym światem tam teraz na zewnątrz, a panią tą jest sprawiedliwość. W nią zawsze wierzyłem i dziś wciąż jeszcze w nią wierzę, wyłącznie sprawiedliwość uczyniłem wytyczną swego postępowania...

Mówiąc to, chodził po pokoju tu i tam, z rękami na plecach, cały czas pozostając w polu widzenia pani Rosenthal. Słowa płynęły z jego ust spokojnie i beznamytnie, mówił o sobie jak o jakimś minionym, nieistniejącym już człowieku. Pani Rosenthal w napięciu słuchała każdego jego słowa.

– Jednakże – kontynuuje radca – mówię o sobie, zamiast mówić o pani, brzydki nawyk wszystkich tych, którzy żyją w samotności. Proszę mi wybaczyć, porozmawiajmy jeszcze trochę o niebezpieczeństwie. Dostawałem listy z pogrózkami, napadano na mnie, strzelano do mnie; było tak przez dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat... I proszę, pani Rosenthal, siedzę sobie tutaj, już stary, i czytam mojego Plutarcha. Niebezpieczeństwo nic dla mnie nie znaczy, nie przeraża mnie, nie zajmuje mego umysłu ani serca. Proszę nie mówić mi o niebezpieczeństwie, pani Rosenthal...

– Ale dziś to są przecież inni ludzie – protestuje pani Rosenthal.

– Nie powiedziałem pani, że te groźby padały ze strony przestępców i ich wspólników? A więc! – Uśmiecha się lekko. – To nie są inni ludzie. Zrobiło się ich trochę więcej, inni zrobili się troszkę bardziej tchórzliwi,

ale sprawiedliwość pozostała taka sama, a ja mam nadzieję, że oboje dożyjemy jeszcze jej zwycięstwa. – Przez chwilę stoi wyprostowany. A potem znów podejmuje wędrówkę. Mówi cicho: – A zwycięstwo sprawiedliwości to wcale nie będzie zwycięstwo niemieckiego narodu!

Milczy przez chwilę, potem znów zaczyna mówić lekkim tonem: – Nie, nie może pani wrócić do swojego mieszkania. Dziś w nocy byli w nim Persickowie, ci partyjni, co mieszkają nade mną, zna ich pani. Klucze do mieszkania są w ich posiadaniu, będą teraz nieustannie obserwować pani dom. Tam rzeczywiście wystawiałaby się pani zupełnie niepotrzebnie na niebezpieczeństwo.

– Ale ja muszę tam być, gdy wróci mój mąż! – mówi pani Rosenthal błagalnym tonem.

– Pani mąż – powiedział radca sądowy Fromm przyjaznym, uspokajającym tonem. – Pani mąż chwilowo nie będzie mógł pani odwiedzać. Obecnie znajduje się w areszcie śledczym Moabit pod zarzutem ukrywania majątku za granicą. Jest więc bezpieczny, dopóki uda się podtrzymać zainteresowanie adwokatury i urzędu podatkowego tym postępowaniem.

Stary radca uśmiechnął się cicho, popatrzył na panią Rosenthal zachęcająco, a potem na powrót podjął swoją wędrówkę po gabinecie.

– Ale skąd pan to wie? – wykrzyknęła pani Rosenthal.

Wykonał lekceważący gest dłonią. Powiedział: – Stary sędzia zawsze usłyszy coś tu, coś tam, nawet jeśli nie sprawuje już urzędu. Na pewno zainteresuje panią także to, że pani mąż ma solidnego adwokata i jest stosunkowo przyzwoicie zaopatrzony. Nazwiska i adresu tego adwokata pani nie podam, nie życzy sobie żadnych wizyt w związku z tą sprawą...

– Ale może mogłabym odwiedzić męża w więzieniu! – wykrzyknęła zdenerwowana pani Rosenthal. – Mogłabym zanieść mu czystą bieliznę. Czy ktoś tam dba o jego bieliznę? I przybory toaletowe, i może coś do

jedzenia...

– Droga pani Rosenthal – powiedział radca sądowy w stanie spoczynku, kładąc stanowczo swoją pokrytą starczymi plamami i grubymi błękitnymi żyłami dłoń na jej ramieniu. – Tak samo nie może pani odwiedzić męża, jak on nie może odwiedzić pani. Taka wizyta na nic mu się nie przyda, bo i tak się pani do niego nie dostanie, a pani tylko zaszkodzi.

Popatrzył na nią. Nagle jego oczy przestały się uśmiechać, a głos zabrzmiał surowo. Zrozumiała, że ten mały, łagodny, dobrotliwy człowiek, którego kiedyś nazywano „Krwawym Frommem”, „Katem Frommem”, że on sam z siebie przestrzega bezlitosnego prawa, owej sprawiedliwości, o której mówił.

– Pani Rosenthal – powiedział cicho Krwawy Fromm – jest pani moim gościem, dopóki będzie pani przestrzegać praw gościnności, o których za chwilę co nieco pani opowiem. Oto pierwsza zasada gościnności: Gdy tylko zacznie pani działać na własną rękę, gdy tylko jeden raz, jeden jedyny raz zamkną się za panią drzwi tego mieszkania, nigdy się już przed panią nie otworzą, a nazwisko pani i pani męża na zawsze zostanie wymazane z tej głowy. Zrozumiała mnie pani?

Lekko dotknął swojego czoła i popatrzył na nią przenikliwym wzrokiem.

– Tak – wyszeptała cicho.

Dopiero teraz zdjął dłoń z jej ramienia. Jego pociemniałe powagą oczy znów się rozjaśniły, z wolna rozpoczął znowu swoją wędrówkę. – Proszę – kontynuował lżejszym tonem – żeby nie opuszczała pani w ciągu dnia pokoju, który zaraz pani pokażę, i żeby nie podchodziła tam pani do okna. Mojej służącej można ufać, lecz... – przerwał niezadowolony, spoglądając na książkę pod lampką. Kontynuował: – Niech pani spróbuje, tak jak ja, zamienić noc w dzień. Na stoliku znajdzie pani lekki środek nasenny. Jedzenie przyniosę pani w nocy. Proszę teraz ze mną pójść.

Wyszła za nim na korytarz. Znów była nieco oszołomiona i wylękniona, jej gospodarz tak bardzo się zmienił. Ale całkiem słusznie przekonała siebie, że starszy pan nade wszystko kocha spokój i nie jest przyzwyczajony do kontaktów z ludźmi. Był nią już zmęczony, chciał wrócić do swojego Plutarcha, ktokolwiek to jest.

Radca otworzył przed nią drzwi, zapalił światło. – Żaluzje są opuszczone – powiedział. – Okna są tu zaciemnione, niech pani to tak zostawi, proszę, w przeciwnym razie mógłby zobaczyć panią ktoś z oficyny. Myślę, że znajdzie tu pani wszystko, czego może potrzebować.

Pozwolił jej rozejrzeć się przez chwilę po tym jasnym, wesołym pokoju z meblami z brzoźowego drewna, wysoką toaletką wypełnioną kosmetykami i łóżkiem, nad którym wisiał jeszcze baldachim z kwiecistego chintzu^[28]. On patrzył na ten pokój jak na coś, czego dawno nie widział i co na nowo rozpoznaje. A potem powiedział z głęboką powagą: – To pokój mojej córki. Umarła w roku 1933 – nie tutaj, nie, nie tutaj. Proszę się nie obawiać!

Szybko podał jej dłoń. – Nie będę zamykać tego pokoju, pani Rosenthal – powiedział – ale proszę, żeby pani natychmiast zaryglowała drzwi od środka. Ma pani zegarek? Dobrze! O dziesiątej wieczorem zastukam do pani. Dobranoc!

Wyszedł. W drzwiach odwrócił się jeszcze. – Przez następne dni będzie pani bardzo samotna sama ze sobą, pani Rosenthal. Niech się pani postara do tego przyzwycząić. Samotność może oznaczać coś dobrego. I niech pani nie zapomina: liczy się każdy ocalony, także pani, właśnie pani! I proszę się zamknąć na zasuwkę!

Wyszedł tak cicho, tak cicho zamknął za sobą drzwi, że dopiero gdy

[28] Chintz – mocna, zwykle powleczone warstwą wosku bawełniana tkanina, wielokolorowa, sztywna i błyszcząca, stosowana głównie do dekoracji wnętrz.

już było za późno, zorientowała się, że nie powiedziała mu dobranoc ani nie podziękowała. Szybko podeszła do drzwi, lecz opamiętała się, zanim do nich dotarła. Zasunęła tylko rygiel, a potem usiadła na najbliższym krześle, czując, jak drżą jej nogi. Z lustra ustawionej w niszy pokoju toaletki spoglądała na nią blada, opuchnięta od łez i niewyspania twarz. Skinęła do niej powoli i ponuro.

To jesteś ty, Saro, powiedział w niej jakiś głos. Lore, która teraz nazywa się Sara. Byłaś bardzo porządną kupcową, zawsze zajęta. Urodziłaś pięcioro dzieci, jedno mieszka teraz w Danii, jedno w Anglii, dwoje w USA, a jedno leży tutaj, na żydowskim cmentarzu przy Schönhauser Allee. Nie jestem zła, gdy nazywam cię Sarą. Z Lore coraz bardziej robi się Sara; mimowolnie uczynili ze mnie córę mego narodu, tylko jego córę. To dobry, wytworny starszy pan, ale jest taki obcy, taki obcy... Nigdy nie będę z nim mogła porozmawiać tak, jak rozmawiałam z Zygfydem. Myślę, że on jest zimny. Mimo że jest dobry, jest zimny. Nawet jego dobroć jest zimna. To kwestia tego prawa, któremu jest poddany, tej sprawiedliwości. Ja zawsze przestrzegałam tylko jednego prawa: kochać dzieci i męża i wspierać ich w życiu. A teraz siedzę tutaj, u tego starego człowieka, i wszystko, czym jestem, wszystko to ze mnie opadło. To jest ta samotność, o której mówił. Nawet nie ma jeszcze wpół do siódmej rano, a zobaczę go dopiero o dziesiątej wieczorem. Piętnaście i pół godziny sama ze sobą – czy dowiem się o sobie czegoś, czego jeszcze nie wiem? Boję się, tak bardzo się boję! Chyba będę krzyczeć, nawet przez sen będę krzyczeć ze strachu! Piętnaście i pół godziny! Te pół godziny mógł jeszcze przy mnie posiedzieć. Ale wolał czytać tę swoją starą księgę. Mimo całej jego dobroci ludzie nie znaczą dla niego nic, dla niego liczy się tylko ta jego sprawiedliwość. Robi to dlatego, że ona tego od niego wymaga, a nie ze względu na mnie. Dla mnie to by coś znaczyło, gdyby robił to ze względu na mnie!

Powoli kiwa głową do wykrzywionej troską twarzy Sary w lustrze. Szuka wzrokiem łóżka. Pokój mojej córki. Umarła w roku 1933. Nie tutaj! Nie tutaj! – przemyka jej przez głowę. Przechodzi ją dreszcz. Jak on to powiedział. Na pewno umarła przez nich ta jego córka, ale on nigdy o tym nie opowie, a ja nie odważę się nigdy zapytać. Nie, nie mogę spać w tym pokoju, jest straszny, nieludzki. Niech da mi służbówkę, łóżko jeszcze rozgrzane ciałem prawdziwego człowieka, który w nim spał. Tutaj nie mogę spać. Tutaj mogę tylko krzyczeć...

Dotyka puszczyk i pudełeczek na toaletce. Wyschnięte kremy, zbrylony puder, szminki z zielonym nalotem – a ona nie żyje od 1933. Siedem lat. Muszę coś zrobić. Ale mnie to popędza – ten strach. Teraz, gdy znalazłam się w tej oazie spokoju, wynurza się mój strach. Muszę coś zrobić. Nie mogę być taka samotna sama ze sobą.

Pogrzebała w torebce. Znalazła kawałek papieru i ołówek. Napiszę do dzieci, do Gerdy w Kopenhadze, do Ewy w Ilford, do Bernarda i Stefana na Brooklynie. Ale to nie ma sensu, poczta już nie wychodzi, jest wojna. Napiszę do Zygfrieda, już jakoś przeszmygluję list do więzienia. Skoro tej starej służącej faktycznie można ufać. Radca nie musi nic wiedzieć, mogę dać jej pieniądze albo biżuterię. Mam tego sporo...

Wyciągnęła z torebki jeszcze to, położyła przed sobą zapakowane w paczki pieniądze i biżuterię. Wzięła do ręki jedną z bransoletek. Podarował mi ją Zygfried, kiedy urodziłam Ewę. To był mój pierwszy poród, bardzo się naciępałam. Jak on się śmiał, gdy zobaczył dziecko! Aż brzuch trząsał mu się ze śmiechu. Wszyscy śmiali się na widok tego dziecka z czarnymi kręconymi loczkami na całej główce i obrzmiałymi ustami. Białe Murzyniátko, mówili. Dla mnie Ewa była piękna. To wtedy podarował mi tę bransoletkę. Była bardzo droga, wydał na nią wszystkie pieniądze, które zarobił podczas białego tygodnia. Byłam bardzo dumna z tego, że jestem matką. Ta bransoletka nic dla mnie nie znaczyła.

A teraz Ewa ma już trzy córeczki, a jej Harriet skończyła dziewięć lat. Ciekawe czy tam, w tym Ilford, choć czasem o mnie myśli. Ale co też miałyby myśleć, nie przyszłoby jej do głowy, że jej matka siedzi tutaj, w pokoju zmarłej u Krwawego Fromma, który kieruje się wyłącznie sprawiedliwością. Zupełnie sama, sama ze sobą...

Odłożyła bransoletkę, wzięła pierścionek. Cały dzień przesiedziała nad swoimi rzeczami, mamrocząc do siebie, chwytając się przeszłości, nie chciała myśleć o tym, kim jest dziś.

Chwilami miała napady dzikiego strachu. Raz była już przy drzwiach, powiedziała sobie: Gdybym tylko wiedziała, że nie męczą człowieka długo, że robią to szybko i bezboleśnie, poszłabym do nich. Nie zniosę już dłużej tego czekania, a ono i tak pewnie jest zupełnie bezcelowe. Pewnego dnia i tak mnie dostaną. Co to znaczy, że chodzi o każdego ocalonego, co to znaczy, że nawet o mnie? Dzieci będą myśleć o mnie coraz rzadziej, wnuki już w ogóle, a Zygfyrd tam w więzieniu i tak wkrótce umrze. Nie rozumiem, co radca miał na myśli, muszę go o to zapytać dziś wieczorem. Ale on pewnie tylko się uśmiechnie i powie coś, z czego nie będę mieć żadnego pożytku, bo jestem prawdziwym człowiekiem, dziś jeszcze, z ciałą i krwi, postarzałą Sarą.

Oparła się dłonią o toaletkę, ponurym wzrokiem patrzyła na pokrytą siateczką zmarszczek twarz. Zmarszczki, które wyżłobiły troski, strach, nienawiść i miłość. A potem wróciła do stołu, do swoich ozdób. Raz po raz przeliczała banknoty tylko po to, żeby zabić czas; potem próbowała poukładać je wszystkie według serii i numerów. Od czasu do czasu pisała też jakieś zdanie w liście do męża. Ale to nie był list, tylko kilka pytań: Gdzie go trzymają, co dostaje do jedzenia, może mogłaby mu wymienić bieliznę? Drobne, błahe pytania. I że u niej wszystko w porządku. Jest bezpieczna.

Nie, to żaden list, to bezsensowna, zbędna paplanina, a do tego

nieprawdziwa. Wcale nie była bezpieczna. Jeszcze nigdy w tych ostatnich strasznych miesiącach nie czuła się tak zagrożona jak w tym cichym pokoju. Wiedziała, że musi się tu zmienić, nie będzie mogła przed sobą uciec. I bała się tego, czym się może stać. Może będzie musiała przeżyć i wytrzymać coś jeszcze straszniejszego, ona, która nie z własnej woli przemieniła się z Lore w Sarę. Nie chciała, bała się.

Później położyła się jednak do łóżka, a gdy gospodarz o dziesiątej zastukał do drzwi, spała tak głęboko, że go nie usłyszała. Ostrożnie otworzył drzwi kluczem, który otwierał zasuwkę, a gdy zobaczył ją śpiącą, pokiwał głową i uśmiechnął się. Wniósł tacę z jedzeniem, a gdy przesuwiał biżuterię i pieniądze, żeby postawić ją na stole, znów pokiwał głową z uśmiechem. Po cichu wyszedł z pokoju i z powrotem zamknął drzwi na zasuwkę, nie budząc jej...

I tak pani Rosenthal przez pierwsze trzy dni swojego „aresztu prewencyjnego” nie ujrzała żywego człowieka. Przesypiała noc, żeby obudzić się na kolejny okropny, wypełniony lękiem dzień. Czwartego dnia, na wpół oszalała, coś jednak zrobiła...

ROZDZIAŁ II.

Wciąż jeszcze jest środa

Geschowa nie zdobyła się jednak na to, żeby po godzinie obudzić drobnego mężczyznę śpiącego na jej sofie. Wyglądał tak żałośnie, kiedy tak leżał i spał wykończony, siniaki na jego twarzy zaczęły się teraz robić fioletowe. Wysunął dolną wargę niczym zatroskane dziecko, od czasu do czasu drżały mu powieki, a jego pierś unosiła się w ciężkim westchnieniu, jakby zaraz miał zaszclochać przez sen.

Gdy miała już przygotowany obiad, obudziła go i dała mu jeść. Wymamrotał coś na kształt podziękowania. Miał apetyt jak wilk, jadł, rzucając na nią okiem, lecz ani słowem nie odniósł się do tego, co się wydarzyło.

W końcu powiedziała: – Więc tak, więcej nie mogę panu dać, bo inaczej zostałyby za mało dla Gustawa. Pan położy się jeszcze na sofie i prześpi się trochę. Ja sama pójdę do pańskiej żony...

Znów coś wymamrotał, nie wiadomo, czy był to wyraz zgody czy sprzeciwu. Lecz chętnie położył się na sofie, a po minucie znowu mocno spał.

Gdy późnym popołudniem pani Gesch usłyszała otwierające się drzwi mieszkania sąsiadki, zakradła się do nich po cichu i zapukała. Ewa Kluge otworzyła natychmiast, lecz tak stanęła w drzwiach, żeby nikt nie mógł wejść. – Co takiego? – zapytała wrogo.

– Przepraszam, pani Kluge – zaczęła Geschowa – jeśli znowu przeszkadzam. Ale pani mąż leży tam u mnie. Jakiś byczek z SS przywłókł go dziś rano, jak tylko pani wyszła.

Ewa Kluge tkwiła w pełnym wrogości milczeniu, a Geschowa mówiła dalej: – Porządnie go załatwili, właściwie nie ma miejsca na ciebie, gdzie by nie oberwał. Pani mąż jest, jaki jest, ale nie może go pani tak zostawić pod drzwiami. Niech pani go zobaczy, pani Kluge!

– Ja już nie mam męża, pani Gesch – odparła z uporem Kluge. – Już to pani mówiłam, nie chcę więcej rozmawiać na ten temat.

I już chciała wrócić do mieszkania. Geschowa rzuciła pośpiesznie: – Niech się pani tak nie śpieszy, pani Kluge. W końcu to pani mąż. Ma pani z nim dzieci...

– Z tego jestem szczególnie dumna, pani Gesch. Z tego szczególnie!

– Nie można być takim nieludzkim, pani Kluge, a to, co pani chce zrobić, jest nieludzkie. On nie może w takim stanie trafić na ulicę.

– A to, co on mi robił przez te wszystkie lata, to było ludzkie? Dręczył mnie, zniszczył całe moje życie, a w końcu zabrał mi mojego ukochanego synka – i wobec kogoś takiego miałabym być ludzka tylko dlatego, że SS spuściło mu manto? Ani myślę! Jego nie zmieniają nawet ciężkie razy!

Po tych mocnych i wypowiedzianych ze złością słowach pani Kluge zatrzasnęła Geschowej drzwi przed nosem, ucinając rozmowę. Po prostu nie zniosłaby ani słowa więcej. Właśnie po to, żeby uniknąć dalszego gadania, ciągle przyjmowała go z powrotem do mieszkania i zawsze bardzo tego żałowała!

Usiadła na krześle w kuchni, wpatrzyła się w błękitny płomień palnika i przypomniała sobie cały dzisiejszy dzień. Gadanie, nic tylko gadanie. Jak tylko poinformowała naczelnika urzędu, że chce wystąpić z partii, od tamtej pory nic tylko gadanie. Została zwolniona z obchodu, lecz za to nieustannie ją przesłuchiowano, przede wszystkim chcieli się od niej dowiedzieć, dlaczego chce wystąpić z partii. Jakie ma ku temu powody.

Uparcie i niezmiennie powtarzała: – To nikogo nie powinno obchodzić. Nie zamierzam mówić, dlaczego chcę się wypisać. I to wypisać się dzisiaj!

Lecz im bardziej się wzbraniała, tym bardziej oni się upierali. Nic innego ich nie interesowało, jedyne, co chcieli wiedzieć, to „dlaczego?”. W południe pojawili się do tego dwaj cywile z aktówkami i przepytывali ją bez końca. Miała im opowiedzieć całe swoje życie, o rodzicach, rodzeństwie, małżeństwie...

Najpierw nawet miała ochotę, nawet się ucieszyła, że skończyło się wypytywanie o przyczyny jej wystąpienia z partii. Potem jednak, gdy miała opowiedzieć o swoim małżeństwie, znowu się zaparła. Po małżeństwie przyjdzie pora na dzieci, a ona nie umiałaby opowiadać o Karlemannie tak, żeby te szczwane lisy nie zorientowały się, że coś jest nie tak.

Nie, o tym też nie będzie mówić. To też jest sprawa prywatna. Jej małżeństwo i jej dzieci nikogo nie powinny obchodzić.

Lecz ci ludzie byli wytrwali. Mieli swoje sposoby. Jeden sięgnął do aktówki i zaczął czytać jakiś dokument. Wolałaby wiedzieć, co tam czyta: policja kryminalna nie mogła mieć na nią żadnego dokumentu, bo że ci cywile mają coś wspólnego z policją, tego zdążyła się domyślić.

A potem znowu zaczęli pytać, i okazało się, że w tym dokumencie musiało być coś o Ennie. Bo zaczęli wypytywać o jego choroby, niechęć do pracy, zamięłowanie do wyścigów konnych i o jego kobiety. Zaczęło się znowu całkiem niewinnie, aż nagle dostrzegła niebezpieczeństwo, zamknęła usta i nie powiedziała nic więcej.

Nie, to też są sprawy prywatne. Nikogo to nie powinno obchodzić. To, co przeżyła ze swoim mężem, to tylko jej sprawa. Poza tym nie mieszkają już razem.

I znowu ją mieli. Od kiedy nie mieszkają razem? Kiedy widziała go ostatni raz? Czy jej chęć wystąpienia z partii ma coś wspólnego z mężem?

Potrząsnęła głową. Lecz potem z dreszczem pomyślała o tym, że prawdopodobnie przesłuchają Enna, a z tego mięczaka w pół godziny

wycisną wszystko! I wtedy ona będzie stać przed wszystkimi naga ze swą hańbą, o której dotąd wiedziała tylko ona sama. Wtedy wszędzie będą o niej pisać, a w partii bez końca będą gadać o matce, która urodziła takiego syna.

– To sprawa prywatna! Osobista!

Listonoszka, która w zamyśleniu wpatrywała się w drżący błękitny płomyczek gazu, zrywa się z miejsca. Popęliła przed chwilą poważny błąd, miała przecież okazję, żeby ukryć Enna na parę tygodni. Wystarczyłoby, żeby dała mu pieniądze na parę tygodni i kazała ukryć się u jednej z jego przyjaciółek.

Dzwoni do drzwi Geschowej. – Niech pani posłucha, pani Gesch, przemyślałam to sobie i chciałabym zamienić z moim mężem kilka słów!

Teraz, gdy tamta w końcu jej posłuchała, Geschowa się złości. – Trzeba było to sobie wcześniej przemyśleć. Pani mąż wyszedł dwadzieścia minut temu. Przyszła pani za późno!

– A dokąd poszedł, pani Gesch?

– Skąd mam to wiedzieć? Skoro pani go wyrzuciła! Pewnie do jednej z tych swoich bab!

– A nie wie pani, do której? Proszę, niech mi pani powie, pani Gesch! To naprawdę bardzo ważne...

– Teraz to ważne? – I niechętnie dodaje: – Mówił coś o jakiejś Tutti...

– Tutti? – pyta. – To pewnie znaczy Truda, Gertruda... Nie zna pani jej nazwiska, pani Gesch?

– Nawet on go nie zna! Nawet nie wiedział dokładnie, gdzie ona mieszka, mówił, że po prostu tam trafi. Ale w tym stanie, w jakim jest ten człowiek...

– Może jeszcze tu wróci – mówi Ewa Kluge z namysłem. – To wtedy niech go pani do mnie przyśle. W każdym razie bardzo pani dziękuję, pani Gesch. Dobranoc!

Lecz Geschowa nie odpowiada, zatrząskuje tylko drzwiami. Nie zapomniała, jak ta druga zamknęła jej drzwi przed nosem. Niedoczekanie, żeby przysłała go do niej, jeśli rzeczywiście jeszcze się tu pojawi. Ta kobieta powinna była się opamiętać we właściwym momencie, bo potem czasem jest już za późno.

Pani Kluge wróciła do swojej kuchni. To dziwne: choć jej rozmowa z Geschową nie przyniosła skutku, poczuła ulgę. Sprawy pójdą teraz swoim torem. Zrobiła, co mogła, żeby zachować czystość. Wyrzekła się zarówno ojca, jak i syna, wypleni ich ze swego serca. Zgłosiła wystąpienie z partii. A teraz stanie się to, co stać się musi. Nie zmieni tego, nawet najgorszego już tak bardzo się nie boi po tym, co przeżyła.

Nie przestraszyła się też, gdy obaj przesłuchujący ją cywile przeszli od bezcelowego przepytывania do gróźb. Chyba wie, że wystąpienie z partii może ją kosztować utratę posady na poczcie? A nawet o wiele więcej: gdyby chciała teraz wystąpić z partii, odmawiając podania powodów, stałaby się politycznie niewiarygodna, a dla takich właśnie osób są kacety! Chyba już o nich słyszała? Tam politycznie niewiarygodni raz-dwa robią się wiarygodni, i to na całe życie. Chyba rozumie!

Pani Kluge nie przestraszyła się. Upierała się, że sprawy prywatne to sprawy prywatne, a o sprawach prywatnych się nie mówi. W końcu ją puścili. Nie, jej wystąpienie z partii nie zostało na razie przyjęte, skontaktują się z nią jeszcze w tej sprawie. Ale zostaje tymczasowo zawieszona w czynnościach służbowych na poczcie. Ma jednak przebywać w miejscu zamieszkania...

Gdy Ewa Kluge w końcu przesuwają dawno zapomniany garnek z zupą na palnik, postanawia nagle, że i w tej sprawie nie posłucha. Nie będzie wечно przesiadywać beczynnnie w mieszkaniu, czekając na udręki ze strony tych panów. Nie, jutro z samego rana pojedzie pociągiem o szóstej do swojej siostry pod Ruppinem. Może tam mieszkać bez zameldowania

przez dwa, trzy tygodnie, jakoś ją wyżywią. Mają przecież krowę, świnie i pola ziemniaków. Będzie pracować w oborze albo na polu. Dobrze jej to zrobi, lepiej niż to ciągle roznoszenie listów: tup, tup, tup, tup, tup, tup!

Odkąd postanowiła o wyjeździe na wieś, jej ruchy stały się ożywione. Wyciąga walizkę i zaczyna się pakować. Przez moment zastanawia się, czy nie powinna przynajmniej powiedzieć pani Gesch, że wyjeżdża, dokąd, tego już nie musi jej mówić. Ale decyduje, że nie, że lepiej nie mówić. Wszystko, co zrobi, będzie robić wyłącznie dla siebie. Nie chce nikogo w to wciągać. Nic nie powie też ani siostrze, ani szwagrowi. Będzie teraz żyć tak samotnie, jak jeszcze nigdy dotąd. Do tej pory zawsze był ktoś, o kogo musiała się troszczyć: rodzice, mąż, dzieci. Teraz jest sama. W tym momencie wydaje jej się całkiem możliwe, że ta samotność jej się spodoba. Może, skoro jest już tylko sama ze sobą, jeszcze coś z niej będzie, teraz, gdy ma w końcu czas dla siebie i nie musi ze względu na wszystko inne nieustannie zapominać o własnym ja.

Tej nocy, gdy panią Rosenthal tak bardzo dręczy samotność, listonoszka Kluge po raz pierwszy od dawna znów uśmiecha się przez sen. We śnie widzi się na olbrzymim kartoflisku, z motyką w rękach. Gdziekolwiek spojrzy, tam rozciąga się kartoflane pole, a pośród niego ona sama: musi je całe okopać. Uśmiecha się, unosi motykę, jasno dźwięczy uderzony kamień, łądoga łobody upada, kopie dalej i dalej.

ROZDZIAŁ 12.

Enno i Emil wychodzą z szoku

Mały Enno Kluge trafił o wiele gorzej niż jego kumpel Emil Barkhausen, którego po przeżyciach tej nocy żona, choć była, jaka była, zapakowała mimo wszystko do łóżka, nawet jeśli zaraz potem go okradła. Słabowity hazardzista otrzymał też o wiele więcej razów niż wysoki, kościsty okazjonalny szpicel. Enna naprawdę potraktowano wyjątkowo źle.

I podczas gdy on biega po ulicach i wystraszony szuka swojej Tutti, Barkhausen wstał z łóżka, znalazł sobie w kuchni coś do jedzenia i je do syta zatopiony w ponurych myślach. Potem znajduje w szafie na ubrania pudełko papierosów, zapala jednego, wsuwa pudełko do kieszeni i znów siedzi przy stole zatopiony w ponurych myślach, z głową podpartą na rękę.

W takim stanie znajduje go Otti, gdy wraca ze sprawunków. Oczywiście od razu zauważa, że wziął sobie jedzenie, wie też, że gdy wychodziła, nie miał w kieszeniach papierosów, więc z miejsca odkrywa kradzież w szafie. Od razu też zaczyna kłótnię, choć sama jest wystraszona. – Tak jest, uwielbiam to, facet, który wyjada mi jedzenie i kradnie papierosy! Masz mi je oddać, masz mi je natychmiast oddać! Albo za nie zapłać! Dawaj pieniądze, Emilu!

Czeka w napięciu, co on odpowie, lecz jest właściwie pewna swego. Te czterdzieści osiem marek już prawie wydała, niewiele będzie mógł zrobić.

A po odpowiedzi, choć jego słowa brzmią groźnie, orientuje się, że

on naprawdę nic nie wie o tych pieniądzach. Czuje, jak bardzo góruje nad tym swoim głupim mężem, okradła go, a ten dureń nawet tego nie zauważył!

– Zamknij mordę! – warczy Barkhausen, nie podnosząc głowy. – I wyjdź z pokoju, bo inaczej porachuje ci wszystkie kości!

W drzwiach kuchni ona woła, po prostu dlatego, że zawsze musi mieć ostatnie słowo i dlatego, że czuje się od niego dużo lepsza (choć akurat w tym momencie się go boi): – Zadbaj lepiej o to, żeby SS tobie nie porachowało wszystkich kości! Niewiele brakowało!

Z tymi słowami idzie do kuchni, gdzie wyładowuje swoją złość z powodu wygnania na dzieciach.

Jej mąż wciąż siedzi w pokoju i rozmyśla. Niewiele pamięta z tego, co wydarzyło się tej nocy, ale to, co pamięta, wystarczy. I myśli o tym, że na górze jest mieszkanie Rosenthalowej, które pewnie zostało już wysprzątane przez Persicków, a on mógł sobie tyle wziąć, jeszcze to i tamto! I popsuł przez własne gapiostwo!

Nie, to Enno jest temu winien, to Enno zaczął z tą wódką, to Enno od samego początku był pijany. Gdyby nie Enno, miałby teraz stopy rzeczy, bielizny, ubrań; niewyraźnie przypomina mu się też radio. Gdyby Enno tu był, porachowałby mu wszystkie kości, temu tchórzliwemu mięczakowi, który spartolił całą sprawę!

Lecz już po chwili Barkhausen znowu wzrusza ramionami. W końcu któż to jest ten Enno? Tchórzliwa pluskwa żyjąca z krwi, którą utoczy babom! Nie, tak naprawdę winien jest ten Baldur Persicke! Ten pętał, ten uczeniak z Hitlerjugend od samego początku miał zamiar go oszukać! Wszystko było przygotowane, żeby mieć winnego, a samemu bezkarnie przejąć lup! Nieźle to sobie wymyśliła ta żmija w błyszczących okularkach! Tak go oszukać, przekłety smarkacz!

Barkhausen nie do końca rozumie, dlaczego nie jest teraz w celi na

Aleksie^[29], tylko siedzi we własnym pokoju. Coś im musiało przeszkodzić. Niewyraźnie przypomina sobie dwie postaci, lecz kto to był i skąd się wziął, tego wówczas, na wpół przytomny, nie pojął, a teraz to już zupełnie nie wiedział.

Ale jedno wie: nigdy tego Baldurowi Persickemu nie wybaczy. Persicke może się wspinać po szczeblach partyjnej kariery, ale Barkhausen będzie miała na niego oko. Barkhausen poczeka. Barkhausen niczego nie zapomina. Co za pętał – pewnego dnia jeszcze go dorwie, a wtedy tamten znajdzie się po uszy w gównie! Utkwi w nim głębiej niż Barkhausen i nigdy się już z niego nie wydobędzie. Zdradzić kumpla? Nie, tego się nigdy nie wybacza i nigdy się nie zapomina! Takie piękne rzeczy z mieszkania Rosenthalów, walizki, kufry i radio, mógł mieć to wszystko!

I Barkhausen dalej rozmyśla, cały czas o tym samym, a równocześnie bierze po kryjomu srebrne ręczne lustro Otti, ostatnie wspomnienie hojnego zalotnika z czasów kurewstwa, i ogląda sobie twarz, obmacując ją.

Także mały Enno Kluge odkrył tymczasem w witrynie sklepu z kapeluszami, jak wygląda jego twarz. To go jeszcze bardziej wystraszyło i doszczętnie pozbawiło rozumu. Boi się spojrzeć na kogokolwiek, ale czuje, że wszyscy patrzą na niego. Kręci się po bocznych uliczkach, jego poszukiwanie Tutti staje się coraz bardziej niedorzeczne, nie wie już, gdzie ona może mieszkać, teraz nie wie już nawet, gdzie sam się znajduje. Ale i tak wchodzi do każdej ciemnej bramy i spogląda wysoko w okna oficyn. Tutti... Tutti...

Szybko robi się ciemno, przed zapadnięciem nocy musi sobie znaleźć jakąś kwaterę, bo inaczej aresztuje go policja, a kiedy zobaczą, w jakim

[29] Alex – skrót od Alexanderplatz (plac Aleksandra, nazwany na cześć imperatora Rosji Aleksandra I), główny węzeł komunikacyjny i plac w centrum Berlina, przy którym mieściło się prezydium policji.

jest stanie, to zrobią z niego siekankę, aż do wszystkiego się przyzna. A jak opowie o Persickach, a ze strachu na pewno się wygada, to Persickowie utłuką go na amen.

Biegnie bez celu coraz dalej i dalej...

W końcu opada z sił. Siada na jakiejś ławce i siedzi na niej, bo po prostu nie może iść dalej i nie potrafi nic wymyślić. W końcu zaczyna szukać po kieszeniach czegoś do palenia – papieros na nowo wprawi go w ruch.

W kieszeni nie znajduje jednak papierosa, tylko coś, czego się zupełnie nie spodziewał, a mianowicie pieniądze. Ma tam czterdzieści sześć marek. Pani Gesch mogła mu już wiele godzin temu powiedzieć, że ma w kieszeni pieniądze, dodałaby temu drobnemu, przestraszonemu człowiekowi odrobinę pewności w jego poszukiwaniu noclegu. Lecz Geschowa oczywiście nie chciała zdradzić, że przeszukała jego kieszenie, gdy spał. Geschowa to przyzwoita kobieta, odłożyła pieniądze z powrotem, choć dopiero po krótkiej walce. Gdyby znalazła je u Gustawa – bez ceregieli by je zabrała, ale u obcego mężczyzny, nie, ona przecież taka nie jest! Oczywiście, Geschowa wzięła sobie trzy marki z czterdziestu dziewięciu, które znalazła. Ale to nie była kradzież, miała prawo odliczyć je sobie za jedzenie, które dała Klugemu. Dałaby mu i bez pieniędzy, ale czemu miałaby dawać za darmo jeść obcemu człowiekowi, który ma pieniądze? Taka też przecież nie jest.

W każdym razie czterdzieści sześć marek nadzwyczajnie wzmacnia wylęknionego Enna Klugego, wie już teraz, że zawsze znajdzie sobie jakąś stancję na tę noc. Także jego pamięć zaczyna ponownie funkcjonować. Choć wciąż nie może sobie przypomnieć, gdzie mieszka Tutti, nagle przychodzi mu na myśl, że poznał ją w takiej małej kawiarence, w której często bywała. Może tam będą znali jej adres.

Wstaje i znów biegnie. Orientuje się, gdzie jest, a gdy dostrzeżga

tramwaj, który może go zabrać w pobliże celu, odważa się nawet wskoczyć na ciemną przednią platformę pierwszego wagonu. Jest tam tak ciemno i tłoczno, że nikt nie zwróci specjalnej uwagi na jego twarz. A potem idzie do kawiarni. Nie, nie zwleka, idzie od razu do lady i pyta stojącą za nią dziewczynę, czy nie wie może, gdzie jest Tutti, czy Tutti jeszcze tutaj przychodzi?

Dziewczyna pyta ostrym, piskliwym głosem, który słyhać w całym lokalu, o jaką Tutti mu tak właściwie chodzi. W Berlinie jest mnóstwo Tuttich!

Nieśmiały drobny mężczyzna odpowiada zakłopotany: – Ach, o tę Tutti, która zawsze tu przesiadywała! Taka ciemnowłosa, trochę przykości...

Ach, o tę Tutti mu chodzi! Nie, tej Tutti to nie chcą znać! Niech się nie waży tutaj choćby raz pokazać! O niej nie chcą już słyszeć ani słowa!

To powiedziawszy, oburzona panna odwraca się od Enna. Kluge mamrocze jakieś przeprosiny i zbiera się do wyjścia. Stoi nadal bezradnie, nie wiedząc, co ma teraz począć na pogrążonej w mroku ulicy, gdy z kawiarni wychodzi inny mężczyzna, leciwy pan, dość obszarpany, jak zauważa Enno. Mężczyzna z wahaniem podchodzi do Enna, a potem przemaga się, ściąga kapelusz i pyta, czy nie jest on może tym panem, który przed chwilą pytał w kawiarni o niejaką Tutti.

– Być może – odpowiada ostrożnie Enno Kluge. – A dlaczego pyta?

– Och, tylko tak. Mogę panu ewentualnie powiedzieć, gdzie ona mieszka. Mogę też pana zaprowadzić do jej mieszkania, tylko że pan też musiałby mi wyświadczyć drobną przysługę!

– Jakąż to przysługę? – pyta Enno z jeszcze większą ostrożnością. – Nie mam pojęcia, jaką mógłbym panu wyświadczyć przysługę. Przecież ja pana w ogóle nie znam.

– Ach, dajmy już temu spokój! – woła starszy pan. – Nie, nie

nałożymy drogi, jeśli pójdziemy tędy. Sprawa jest mianowicie taka, że Tutti ma jeszcze moją walizkę z rzeczami. Może mógłby pan dostarczyć mi tę walizkę jutro rano, jak Tutti będzie spała albo wyjdzie po sprawunki?

(Leciwy pan jakby przyjmował za pewne, że Enno zostanie u Tutti na noc).

– Nie – mówi Enno. – Nie zrobię tego. Nie mieszam się w takie sprawy. Przykro mi.

– Ale ja mogę panu dokładnie powiedzieć, co jest w tej walizce. To naprawdę jest moja walizka!

– To dlaczego sam nie poprosi pan o nią Tutti?

– No, skoro pan tak mówi – oświadcza urażony starszy pan – to znaczy, że wcale nie zna pan Tutti. Przecież co to jest za baba, musi pan wiedzieć! Ma ostry język, i to jaki ostry, jak nóż! Gryzie i pluje jak małpa – dlatego nazywają ją Pawianicą!

I podczas gdy leciwy mężczyzna odmalowuje ten przemiły obraz Tutti, Enno Kluge z przerażeniem konstatuje, że Tutti naprawdę taka jest i że ostatni raz zniknął razem z jej portmonetką i kartkami żywnościowymi. Ona naprawdę gryzie i pluje jak pawian, gdy jest wściekła, i prawdopodobnie całą swoją wściekłość natychmiast wyładuje na Ennie, jeśli się teraz u niej pojawi. Wszystko to, co wyobrażał sobie na temat noclegu u niej, to było tylko jego wyobrażenie...

I nagle Enno Kluge ni stąd, ni zowąd postanawia, że od tej chwili będzie żyć inaczej, żadnych historii z kobietami, żadnych drobnych kradzieży i żadnych wyścigów. Ma w kieszeni czterdzieści sześć marek, przeżyje za to do następnej wypłaty. Jutro pozwoli sobie na dzień odpoczynku, jest przecież taki rozbity, a pojutrze znowu zacznie naprawdę pracować. Już oni go docenią, nie wyślą go znowu na front. On naprawdę nie może po tym wszystkim, co przeżył przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, ryzykować takiego małpiego powitania przez Tutti.

– Tak – mówi Enno Kluge z namysłem do starszego pana. – Zgadza się: taka właśnie jest Tutti. I ponieważ taka właśnie jest, postanowiłem, że do niej nie pójdę. Przenocuję w tamtym małym hoteliku naprzeciwko. Dobranoc panu... Przykro mi...

Mówi to i odchodzi, poruszając ostrożnie poobijanymi członkami i pomimo swojego żałosnego wyglądu i całkowitego braku bagaży wybląguje od obszarpanego portiera łóżko za trzy marki. W wąskiej, cuchnącej norze wpełza do łóżka, na którym pościel służyła już wielu przed nim; wyciąga się i mówi sobie: od teraz chcę żyć zupełnie inaczej. Byłem podłym łajdakiem, zwłaszcza wobec Ewy, ale od tej chwili będę inny. Słusznie dostałem lanie, ale od teraz chcę być inny...

Leży cicho w wąskim łóżku, z rękoma poniekąd przepisowo wzdłuż nogawek spodni, i wpatruje się w sufit. Drży z zimna, z wyczerpania, z bólu. Lecz wcale tego nie czuje. Myśli o tym, jakim był kiedyś poważanym i lubianym pracownikiem, a teraz jest tylko małym obdartusem, któremu wszyscy spluwają pod nogi. Nie, u niego razy pomogły, teraz wszystko będzie inaczej. I wyobrażając sobie to inne życie, zasypia.

O tej porze śpią też wszyscy Persickowie, śpi pani Gesch i pani Kluge, śpią państwo Barkhausen – bez słowa pozwolił Otti wpełznąć do niego do łóżka.

Śpi wystraszona, ciężko oddychająca pani Rosenthal. I mała Trudel Baumann też śpi. Po południu udało jej się szepnąć jednemu ze spiskowców, że koniecznie musi o czymś powiedzieć i że koniecznie wszyscy muszą się spotkać następnego wieczoru w Elysium, tam nie będą zwracać na siebie uwagi. Trochę się boi, bo musi się przyznać do swojego gadulstwa, ale teraz i jej udało się zasnąć.

Pani Anna Quangel leży w ciemności w łóżku, podczas gdy jej mąż, jak zwykle o tej porze, stoi w warsztacie i uważnie obserwuje przebieg pracy. Kierownictwo techniczne nie wezwało go w sprawie ulepszenia

produkcji, tam też uważają go za kompletnego idiotę. Tym lepiej!

Anna Quangel, która leży w łóżku, ale nie może jeszcze zasnąć, wciąż uważa swojego męża za człowieka zimnego i pozbawionego serca. Jak on przyjął wiadomość o śmierci Ottonka, jak wyrzucił z mieszkania tę biedną Trudel i panią Rosenthal: chłodno, bez serca, zawsze myśląc tylko o sobie. Nigdy nie będzie już dla niego taka dobra jak kiedyś, gdy myślała, że on czuje coś przynajmniej do niej. Teraz się przekonała. Tylko obrażony przez rzucone pochopnie słowa „ty i ten twój Führer”, tylko urażony. Teraz już nie będzie mogła go tak łatwo urazić, teraz nie będzie już mogła tak łatwo zacząć z nim rozmowy. Dziś nie zamienili ze sobą nawet słowa, nie powiedzieli sobie nawet dzień dobry.

Radca sądowy w stanie spoczynku Fromm nie śpi, jak zwykle w nocy. Pisze swoim drobnym, wyraźnym pismem list, którego nagłówek brzmi:

„Wielce Szanowny Panie Prokuratorze Rzeszy...”

Pod lampką czeka na niego otwarty Plutarch.

ROZDZIAŁ 13.

Zwycięska potańcówka w Elysium

Sala w Elysium, dużym lokalu z tańcami w północnym Berlinie, przedstawiała tego piątkowego wieczoru widok, który musiał cieszyć oczy każdego normalnego Niemca: mundury, mundury, mundury. Nawet nie tyle mundury Wehrmachtu, których szarości i zielenie tworzyły mocne tło dla tego barwnego obrazu, co o wiele liczniejsze mundury partii i jej przybudówek, których brązy, jasne brązy, złote brązy, ciemne brązy i czernie nadawały mu intensywny koloryt. Obok brunatnych koszul SA^[30] widać było o wiele jaśniejsze koszule Hitlerjugend, Organizacje Todta^[31] reprezentowano równie licznie jak Służbę Pracy Rzeszy, dostrzec było

[30] SA (Sturmabteilung – Oddział Szturmowy) – związek zbrojny założony w roku 1921, od roku 1925 podległy NSDAP; jego członkowie nosili charakterystyczne brunatne mundury. Organizowali marsze propagandowe, terror uliczny oraz prowokacje wobec przeciwników politycznych, od roku 1933 działali w Prusach jako „policja pomocnicza” z państwowymi uprawnieniami. Pod kierownictwem SA powstały pierwsze obozy koncentracyjne. Spory pomiędzy przywódcami Rzeszy a SA na temat roli „milicji ludowej”, konkurującej z wojskiem Rzeszy, zakończyły się w roku 1934 likwidacją przywództwa SA (tzw. noc długich noży). Potem SA straciło na znaczeniu na rzecz SS, wzięło jeszcze udział w ogólnokrajowych pogromach w listopadzie 1938 roku.

[31] Organizacja Todta (Organization Todt) – organizacja paramilitarna założona w roku 1938, mająca za zadanie m.in. budowę obiektów wojskowych w Niemczech i na terenach zajętych przez oddziały niemieckie. Stała się najważniejszą organizacją wojenną obok Wehrmachtu i SS, posiadała własne obozy pracy, od roku 1943 wykorzystywała także więźniów obozów koncentracyjnych i jeńców wojennych; nazwa pochodzi od nazwiska jej przywódcy Fritza Todta.

można bardziej żółtawe mundury Sonderführerów^[32], których nazywano złocistymi bażantami, obok członków obrony powietrznej zgromadzili się aktywiści partyjni. I nie tylko stroje mężczyzn cieszyły serca, także wiele młodych dziewcząt miało na sobie mundury: Związek Niemieckich Dziewcząt^[33], Służba Pracy, Organizacja Todta, wszystkie chyba przysłały swoje przewodniczące, zastępczynie przewodniczących i zwykle członkinie.

Nieliczni cywile ginęli pośród tego mrowia, byli pozbawieni znaczenia, bezbarwni na tle tych wszystkich mundurów. Podobnie jak cywile na zewnątrz, na ulicach i w fabrykach, nigdy nie mieli wobec partii żadnego znaczenia. Partia była wszystkim, a lud niczym.

Nie zwracano więc też żadnej uwagi na stół z brzegu sali, przy którym siedziała dziewczyna i trzech młodych mężczyzn. Żadna z tych czterech osób nie nosiła munduru, nie widać było nawet partyjnych odznak.

Najpierw przysłała para, dziewczyna i młody mężczyzna. Później inny młodzieniec zapytał, czy może się dosiąść, a na koniec o to samo zapytał czwarty cywil. Para młodych próbowała nawet zatańczyć pośród tłoku. W tym czasie dwaj pozostali mężczyźni zaczęli rozmawiać, a do ich rozmowy dołączyła po chwili potargana i rozgrzana para, która wróciła z parkietu.

Jeden z mężczyzn, po trzydziestce, z wysokim czołem i już przerzedzonymi włosami, oparł się głęboko w krzesło i przez chwilę w

[32] Sonderführer – stopień oficera specjalisty, który nie posiadał odpowiedniego przeszkolenia wojskowego, wyróżniał się natomiast kompetencjami niezbędnymi np. w jednostkach medycznych czy propagandowych.

[33] Związek Niemieckich Dziewcząt (Bund Deutscher Mädel – BDM) – żeńska sekcja Hitlerjugend, od roku 1932 jedyna oficjalna organizacja partyjna NSDAP dla dziewcząt, a od 1938 także młodych kobiet. Od roku 1936 przynależność do związku była obowiązkowa.

milczeniu mierzył wzrokiem tłum na parkiecie oraz sąsiednie stoliki. A potem powiedział, nie patrząc na towarzystwo: – Fatalnie wybrane miejsce spotkania. Jesteśmy chyba jedynym stołem na tej sali, przy którym siedzą sami cywile. Zwracamy na siebie uwagę.

Towarzysz młodej dziewczyny zwrócił się do niej z uśmiechem, choć jego słowa przeznaczone były dla mężczyzny z wysokim czołem: – Wręcz przeciwnie, Grigoleit, nikt nie zwraca na nas uwagi, najwyżej nami gardzą. To towarzystwo myśli tylko o tym, że przez to tak zwane zwycięstwo nad Francją pobawią się przez parę tygodni.

– Bez nazwisk! W żadnych okolicznościach! – powiedział ostro mężczyzna z wysokim czołem.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Dziewczyna rysowała coś palcem na stole, nie podnosiła wzroku, choć czuła, że wszyscy na nią patrzą.

– W każdym razie, Trudel – powiedział trzeci mężczyzna o twarzy niewinnego niemowlęcia – teraz jest odpowiedni moment na przekazanie twojej wiadomości. O co chodzi? Sąsiednie stoły są prawie puste, wszyscy tańczą. Dalej!

Milczenie pozostałych dwóch mężczyzn mogło oznaczać tylko przyzwolenie. Trudel Baumann powiedziała, zacinając się i nie podnosząc wzroku: – Wydaje mi się, że popełniłam błąd. W każdym razie nie dotrzymałam słowa. Według mnie to właściwie nie jest błąd...

– Och, przestań! – wykrzyknął z pogardą mężczyzna z wysokim czołem. – Będiesz się teraz zachowywać jak jakaś gaska? Przestań paplać, tylko mów od razu, o co chodzi!

Dziewczyna podniosła wzrok. Powoli popatrzyła kolejno na każdego z trzech mężczyzn, którzy jak jej się zdawało, patrzyli na nią zimnym, okrutnym wzrokiem. W oczach stanęły jej łzy. Chciała coś powiedzieć, ale nie potrafiła. Zaczęła szukać chusteczki...

Mężczyzna z wysokim czołem oparł się o krzesło. Wydał z siebie

cichy, przeciągły gwizd. – I ona nie będzie paplać? Przecież już wypaplała! Popatrzcie na nią!

Kawaler u boku Trudel żwawo zaprotestował: – To niemożliwe! Trudel jest szczerą jak złoto. Powiedz im, że nie wygadałaś, Trudel! – i zachęcająco uściśnął jej dłoń.

Niemowlak wyczekująco skierował na dziewczynę swe okrągłe, intensywnie niebieskie, niemal pozbawione wyrazu oczy. Ten z wysokim czołem uśmiechnął się pogardliwie. Zdusił papierosa w popielniczce i powiedział z drwiną: – No, moja panno?

Trudel zebrała się w sobie i szepnęła odważnie: – Ależ tak, on ma rację. Wygadałam. Mój teść przyniósł mi wiadomość o śmierci mojego Ottona. To mną wstrząsnęło. Powiedziałam mu, że należę do komórki komunistycznej.

– Podałaś nazwiska? – Nikt się nie spodziewał, że niegroźny Niemowlak może zadawać pytania tak ostrym tonem.

– Oczywiście, że nie. W ogóle nic więcej nie powiedziałam. A mój teść to stary robotnik, który nie powie ani słowa.

– Twój teść to inny rozdział, najpierw ty! Mówisz, że nie podałaś żadnych nazwisk...

– I możesz mi wierzyć, Grigoleit! Ja nie kłamię. Dobrowolnie się przyznałam.

– Znowu użyła pani nazwiska, panno Baumann!

Niemowlak powiedział: – Ale nie widzicie, że to zupełnie obojętne, czy użyła teraz nazwiska czy nie? Powiedziała, że pracuje w komórce, raz wypaplała i będzie paplać dalej. Wiadomi panowie wezmą ją w obroty, pomęczą trochę, to zaczną gadać bez względu na to, ile dotąd zdradziła.

– Nie będę z nimi rozmawiać, choćbym miała umrzeć! – wykrzyknęła Trudel z rozpalonymi policzkami.

– Och! – powiedział ten z wysokim czołem. – Umieranie jest bardzo

proste, panno Baumann, tylko że czasem przed śmiercią dzieją się bardzo nieprzyjemne rzeczy!

– Nie macie litości – powiedziała dziewczyna – Popęliłam błąd, ale...

– Też tak uważam – rozległ się głos obok niej na sofie. – Przyjrzymy się pani teściowi, a jeśli okaże się godny zaufania...

– W łapach tamtych nikt nie jest godny zaufania – stwierdził Grigoleit.

– Trudel – powiedział Niemowlak z delikatnym uśmiechem. – Trudel, mówiłaś, że nie podałaś jeszcze żadnych nazwisk?

– I nie zrobiłam tego!

– I stwierdziłaś, że byłabyś gotowa raczej umrzeć niż to zrobić?

– Tak! Tak! Tak! – wykrzyknęła z pasją.

– W takim razie – powiedział Niemowlak ze zwyczajnym uśmiechem – w takim razie, Trudel, to może umarłabyś już dziś wieczorem, zanim wypalasz coś jeszcze? To dałoby nam niejako pewność i oszczędziło sporo trudu...

Pośród czwórki siedzących przy stole zapadła śmiertelna cisza. Twarz dziewczyny była biała jak ściana. Jej towarzysz wypowiedział tylko jedno „nie” i położył dłoń na jej ręce. Lecz zaraz potem ją zabrał.

A potem tańczący wrócili do swoich stołów, uniemożliwiając na razie kontynuowanie rozmowy.

Mężczyzna z wysokim czołem zapalił kolejnego papierosa, Niemowlak uśmiechnął się niepostrzeżenie, gdy dostrzegł, że temu drugiemu drży ręka. A potem powiedział do ciemnowłosego młodzieńca siedzącego obok milczącej i bladej dziewczyny: – Mówi pan „nie”. Ale właściwie dlaczego? Przecież to zadowalające rozwiązanie tej sytuacji, do tego rozwiązanie, które o ile zrozumiałem, pana sąsiadka sama zaproponowała.

– To rozwiązanie nie jest zadowalające – odparł wolno ciemnowłosey.

– I tak już umarło zbyt wielu. Nie jesteśmy po to, żeby powiększać liczbę zmarłych.

– Mam nadzieję – powiedział ten z wysokim czołem – że przypomni pan sobie to zdanie, gdy Trybunał Ludowy pana, mnie i tę tam...

– Cisza! – powiedział Niemowlak. – Idźcie chwilę potańczyć. To chyba przyjemny taniec. Porozmawiacie sobie w tym czasie, a my obaj porozmawiamy sobie tutaj...

Ciemnowłosa młodzieniec wstał z ociąganiem i uklonił się lekko przed swoją damą. Z niechęcią położyła dłoń na jego ramieniu i dołączyli do tłumu zmierzającego na parkiet. Tańczyli z powagą, w milczeniu, miał wrażenie, jakby tańczył z trupem. Przeszedł go dreszcz. Te mundury wokół niego, opaski ze swastykami, na ścianach krwistoczerwone flagi ze znienawidzonym znakiem, udekorowany zielenią portret Führera, rytmiczne dźwięki swinga: – Nie zrobisz tego, Trudel – powiedział. – To szaleństwo wymagać czegoś takiego. Obiecuj mi...

Tańczyli niemal w miejscu pośród coraz bardziej gęstniejącego tłumu. Może dlatego, że ciągle ocierali się o inne pary, może dlatego nic nie mówiła.

– Trudel! – poprosił jeszcze raz. – Obiecuj mi to! Możesz przecież przenieść się do innej fabryki i tam pracować, żeby zejść im z oczu. Obiecuj mi...

Próbował ją zmusić, żeby na niego spojrzała, lecz jej oczy uparcie patrzyły ponad jego ramieniem.

– Jesteś z nas najlepsza – stwierdził nagle. – Ty jesteś człowieczeństwem, a on tylko dogmatem. Musisz żyć dalej, nie ulegaj mu!

Potrząsnęła głową, co mogło oznaczać zarówno tak, jak i nie. – Chcę już wracać – powiedziała. – Nie mam już ochoty na taniec.

– Trudel – powiedział Karl Hergesell pośpiesznie, gdy wydostali się z tłumu tańczących – twój Otto umarł dopiero wczoraj, dopiero wczoraj

dostałaś wiadomość. Jest jeszcze za wcześnie. Ale wiesz przecież, że zawsze cię kochałem. Nigdy niczego od ciebie nie oczekiwałem, ale teraz oczekuję przynajmniej tego, że będziesz dalej żyć. Nie dla mnie, nie, tylko żebyś żyła!

Lecz ona znów jedynie poruszyła głową, znów nie wiadomo było, co odpowiedziała na jego miłość, na jego pragnienie, by widzieć ją żywą. Dotarli do stolika. – I?- zapytał Grigoleit z wysokim czołem. – Jak wam się tańczy? Trochę tłoczno, co?

Dziewczyna nie usiadła. Powiedziała: – To ja już pójdę. Powodzenia. Żałuję, że nie będę z wami współpracować...

Odwróciła się w stronę wyjścia.

Nagle jednak tuż za nią znalazł się ów gruby, niegroźny Niemowlak, chwycił ją za nadgarstek i powiedział: – Jeszcze chwileczkę, proszę! – Powiedział to niby grzecznie, ale w jego wzroku pałała groźba.

Wrócili do stolika. Niemowlak zapytał: – Czy dobrze rozumiem, Trudel, co znaczyło twoje pożegnanie?

– Na pewno doskonale rozumiałeś – powiedziała dziewczyna, patrząc mu hardo w oczy.

– Proszę więc, abyś pozwoliła mi towarzyszyć sobie przez resztę wieczoru.

Przerażona dziewczyna wzdrygnęła się w obronnym geście.

On powiedział bardzo grzecznie: – Nie chcę się narzucać, lecz poddamę pod rozważę, że przy przeprowadzaniu takiego zamiaru znowu mogą zostać popełnione błędy. – Szepnął groźnym tonem: – Nie chcę, żeby wyłowił cię z wody jakiś idiota albo żebyś jutro trafiła do szpitala jako odratowana samobójczyni. Chcę przy tym być!

– Słusznie! – powiedział ten z wysokim czołem. – Zgadzam się. To jedyna gwarancja...

– Będę u jej boku – powiedział z naciskiem ciemnowłósy młodzieniec

– dziś i jutro, i każdego następnego dnia. Zrobię wszystko, żeby udaremnić przeprowadzenie tego zamiaru. Sprowadzę pomoc, jeśli mnie zmusicie, nawet policję!

Ten z wysokim czołem zagwizdał znowu, długo i przeciągle, cicho i ze złością.

Niemowlak powiedział: – Aha, teraz mamy przy stole kolejną paplę. Zakochany, co? Już dawno się domyślałem. Chodźcie, Grigoleit, komórka zostaje rozwiązana. Nie ma już komórki. I wy to nazywacie dyscypliną, mięczaki!

– Nie, nie! – wykrzyknęła dziewczyna. – Niech pan go nie słucha! To prawda, on mnie kocha. Ale ja jego nie. Pójdę dziś wieczorem z wami...

– Nic! – powiedział teraz już naprawdę rozgniewany Niemowlak. – Nie rozumiecie, że teraz nie możecie zrobić już nic, skoro on... – Wskazał głową na ciemnowłosego. – Też coś! – stwierdził potem krótko. – Skończyło się! Chodź, Grigoleit!

Ten z wysokim czołem już wstał. Razem skierowali się do wyjścia. Nagle na ramieniu Niemowlaka spoczęła czyjaś dłoń. Spojrzał w gładką, nieco obrzmiałą twarz człowieka w brunatnym mundurze.

– Chwileczkę! Co pan tam powiedział o rozwiązaniu komórki? Byłbym bardzo ciekaw...

Niemowlak gwałtownie uwolnił ramię. – Niech mnie pan zostawi w spokoju! – powiedział bardzo głośno. – Jeśli chce pan wiedzieć, o czym rozmawialiśmy, to niech pan zapyta tamtą młodą damę! Zaledwie wczoraj poległ jej narzeczony, a dziś już przygruchała sobie innego! Przekłęte baby!

Coraz bardziej zbliżał się do wyjścia, do którego dotarł już Grigoleit. Teraz i on wyszedł. Tłuścioch patrzył za nim przez chwilę. A potem odwrócił się do stolika, przy którym wciąż siedzieli z pobladyłymi twarzami dziewczyna i ciemnowłosy chłopak. To go uspokoiło. Może nie

popeniłem błędu, pozwalając im odejść. Zaskoczył mnie. Mimo to...

Powiedział grzecznie: – Pozwolą państwo, że przysiądę się do was na chwilę i zadam kilka pytań?

Trudel Baumann odpowiedziała: – Nie mogę panu powiedzieć nic więcej ponad to, co powiedział tamten pan. Wczoraj dostałam wiadomość o śmierci mojego narzeczonego, a dziś ten pan chciałby się ze mną zaręczyć.

Jej głos brzmi mocno i pewnie. Teraz, gdy niebezpieczeństwo zasiadło przy ich stole, strach i niepokój zniknęły.

– Czy mogłaby pani podać nazwisko poległego narzeczonego? I jego formację? – Uczyniła to. – A pani nazwisko? I adres? Miejsce pracy? Ma pani może przy sobie jakiś dowód tożsamości? Dziękuję! A teraz pan, młodzieńcze.

– Pracuję w tej samej fabryce. Nazywam się Karl Hergesell. To moja książeczka pracy.

– A tamci dwaj panowie?

– Nie znamy ich. Przysiedli się do naszego stolika i nagle wtrącili się do naszej sprzeczki.

– A dlaczego się państwo sprzeczali?

– Nie chcę go.

– To dlaczego tamten pan był na panią taki oburzony, skoro go pani nie chce?

– Skąd mam to wiedzieć? Może mi nie uwierzył. Złościł się też, że z nim tańczę.

– No dobrze! – stwierdził mężczyzna z obrzmiałą twarzą, zatrzasnął notatnik i popatrzył na nich oboje. Rzeczywiście wyglądali raczej na skłóconych zakochanych niż przyłapanych na gorącym uczynku przestępców. Już sam sposób, w jaki lekliwie unikali swoich spojrzeń... A do tego te ich ręce niemal bez ruchu leżące na blacie stołu. – No dobrze.

Państwa dane zostaną oczywiście sprawdzone, myślę jednak, że... W każdym razie mimo wszystko życzę miłego wieczoru...

– Ja nie! – powiedziała młoda dziewczyna. – Ja nie! – Wstała jednocześnie z nim. – Idę do domu.

– Odprowadzę cię.

– Nie, dziękuję, wolę pójść sama.

– Trudel! – poprosił. – Pozwól, że zamienię z tobą dwa słowa!

Mężczyzna w mundurze patrzył z uśmiechem to na jedno, to na drugie. To naprawdę są zakochani. Wystarczy pobieżna weryfikacja ich danych.

Nagle zdecydowała się. – No dobrze, ale tylko dwie minuty!

Wyszli. W końcu wydostali się z tej koszmarnej sali, tej atmosfery przeciwieństw i nienawiści. Rozejrzeli się wokół.

– Nie ma ich.

– Nigdy ich już nie spotkamy.

– A ty możesz żyć. Nie, ty musisz żyć, Trudel! Nieprzemyślany krok z twojej strony naraziłby na niebezpieczeństwo innych, wielu innych. Zawsze o tym pamiętaj, Trudel!

– Tak – powiedziała – teraz muszę żyć. – I jakby podejmując pośpieszną decyzję: – Żegnaj, Karl!

Na chwilę oparła się na jego piersi, jej wargi musnęły jego usta. Zanim zdążył podjąć jakąś decyzję, przebiegła przez tory do zatrzymującego się tramwaju. Tramwaj odjechał.

Zrobił krok, jakby miał zamiar za nią pobiec. Ale się opamiętał.

Od czasu do czasu będę ją widywać w fabryce, pomyślał. Mamy przed sobą całe życie. Mam czas. Teraz już przecież wiem, że mnie kocha.

ROZDZIAŁ 14.

Sobota: Niepokój u Quanglów

Przez cały piątek państwo Quanglowie też nie zamienili ze sobą ani słowa – trzy dni milczenia między nimi, nawet bez pytania o godzinę, czegoś takiego nie było dotąd w ich małżeństwie. Choć Quangel był bardzo oszczędny w słowach, od czasu do czasu mówił jakieś zdanie, coś o jakimś robotniku w warsztacie albo przynajmniej o pogodzie, albo że mu tego dnia obiad wyjątkowo smakował. A tu nic!

Im dłużej to trwało, tym mocniej Anna Quangel odczuwała, że głęboki smutek, który przeżywa po utracie syna, rozprasza się z powodu niepokoju, jaki wzbudza w niej tak odmieniony małżonek. Chciała myśleć tylko o chłopcu, lecz nie mogła, patrząc na tego mężczyznę, swojego wieloletniego małżonka Ottona Quangla, bądź co bądź człowieka, któremu poświęciła większość swojego życia, swoje najlepsze lata. Co w nim zaszło? Co się z nim dzieje? Co go tak odmieniło?

W piątek koło południa Annie Quangel minęła cała złość i wszystkie pretensje wobec Ottona. Gdyby mogła spodziewać się choćby najmniejszego sukcesu, poprosiłaby go nawet o wybaczenie jej owych pochopnych słów „ty i ten twój Führer”. Ale wyraźnie było widać, że Quangel nie myśli już wcale o tym zarzucie, tak, prawdopodobnie w ogóle nie myślał też już o niej. Omijał ją wzrokiem albo patrzył na nią, jakby była przezroczysta, stał przy oknie z rękami w kieszeniach roboczej kurтки i pogwizdywał sobie powoli zamyślony, robiąc długie przerwy, nigdy dotąd się tak nie zachowywał.

O czym ten człowiek myśli? Co go tak w duchu niepokoi? Postawiła

mu jedzenie na stole, a on zaczął jeść. Przez chwilę obserwowała go z kuchni. Pochylił swoją ostrą twarz nad talerzem, lecz łyżkę prowadził do ust mechanicznie, a jego ciemne oczy wpatrywały się w coś, czego nie było widać.

Odwróciła się w stronę kuchni, żeby podgrzać resztkę kapusty. Lubił podgrzewaną kapustę. Postanowiła, że zagadnie go zaraz, jak tylko wejdzie z kapustą. Niech odpowie jej choćby najostrzej, musiała przerwać to niezdrowe milczenie.

Lecz gdy weszła z powrotem do pokoju z podgrzaną kapustą, Ottona już nie było, na stole stał opróżniony do połowy talerz. Albo Quangel wyczuł jej zamiar i wymknął się niczym przekorne dziecko, albo z powodu tego, co wzbudzało w nim ów wewnętrzny niepokój, po prostu zapomniał dokończyć jedzenie. W każdym razie go nie było, a ona będzie musiała na niego czekać aż do nocy.

Lecz w nocy z piątku na sobotę Otto wrócił z pracy tak późno, że pomimo swego mocnego postanowienia już spała, gdy on kładł się do łóżka. Obudziła się dopiero później, słysząc jego kaszel; zapytała ostrożnie: – Otto, śpisz już?

Kaszel ustał, leżał w milczeniu. Zapytała jeszcze raz: – Otto, śpisz już?

I nic, żadnej odpowiedzi. Oboje bardzo długo leżeli w milczeniu. Każde wiedziało, że to drugie wcale nie śpi. Nie śmieli zmienić pozycji, żeby się nie zdradzić. W końcu oboje zasnęli.

Sobota zaczęła się jeszcze gorzej. Otto Quangel wstał wyjątkowo wcześniej. Zanim zdążyła postawić mu na stole zbożową kawę, wyszedł na pośpieszną, niepojętą przechadzkę, czego nigdy wcześniej nie robił. Wrócił, słyszała z kuchni, jak chodzi po pokoju tam i z powrotem. Gdy weszła z kawą, złożył ostrożnie wielki biały arkusz, który czytał przy oknie, i schował go.

Anna była pewna, że to nie była żadna z gazet. Za dużo było tam bieli, a i czcionka była większa niż w gazetach. Co też on mógł czytać?

Znowu się na niego rozzłościła, za tę jego tajemniczość, za całą tę odmianę, która przydawała tyle niepokoju i nowych trosk, jakby starych nie było dosyć. Mimo to powiedziała: – Kawa, Ottonie!

Na dźwięk jej głosu odwrócił twarz i popatrzył na nią, jakby się dziwił, że nie jest w mieszkaniu sam, jakby się dziwił, kto też do niego mówi. Patrzył na nią, a jakby na nią nie patrzył. Nie patrzył na swoją żonę Annę Quangel, tylko na kogoś, kogo kiedyś znał, a teraz z trudem go sobie przypominał. Miał na twarzy uśmiech, także w oczach; na całej jego twarzy rozpościerał się uśmiech, jakiego nigdy u niego nie widziała. Już miała zawołać: Otto, ach, Otto, tylko ode mnie nie odchodź!

Lecz zanim zdołała się naprawdę zdecydować, już ją minął i wyszedł z mieszkania. Znowu bez kawy, znowu musiała odnieść ją do kuchni do podgrzania. Zaszlochała przy tym cicho: Co za człowiek! To już nic jej nie zostanie? Po synu straci także jego ojca?

Quangel tymczasem ruszył pośpiesznie w stronę Prenzlauer Allee. Pomyślał sobie, że lepiej, żeby wcześniej obejrzał sobie taki dom, sprawdził, czy jego wyobrażenie takiego domu jest właściwe. W przeciwnym razie będzie musiał wymyślić coś innego.

Wzdłuż Prenzlauer Allee szedł już wolniej, jego oczy przesuwały się po bramach kamienic, jakby szukał czegoś konkretnego. Przy narożnym domu dostrzegł pośród wielu szyldów tabliczki dwóch adwokatów i lekarza.

Popchnął drzwi kamienicy. Otworzyły się od razu. Słusznie: w tak często odwiedzanym domu nie ma portiera. Powoli, z dłonią na poręczu, szedł do góry po schodach, po niegdyś wielkopańskiej „klatce schodowej z dębowym parkietem”, której intensywne użytkowanie i wojna odebrały już jednak wszelki ślad wielkopańskości. Teraz parkiet był brudny i

wydeptany, dywaniki naturalnie już dawno zniknęły, prawdopodobnie zwinęto je, gdy wybuchła wojna.

Otto Quangel minął szyld adwokata na wysokim parterze, skinął głową i powoli szedł dalej. To nie było tak, że tylko on korzystał z tej klatki, nie, wciąż mijali go jacyś ludzie, wychodzili mu naprzeciwko albo go pośpiesznie wyprzedzali. Wciąż słyszał rozbrzmiewające dzwonki, zamykane drzwi, dzwoniące telefony, stukające maszyny do pisania, toczące rozmowy głosy.

Lecz raz po raz nastawał moment, w którym Otto Quangel miał całą klatkę schodową dla siebie albo miał dla siebie przynajmniej odcinek schodów, gdzie całe życie jakby wycofało się do pomieszczeń biurowych. To byłaby odpowiednia chwila, żeby to zrobić. Wszystko było tak, jak trzeba, dokładnie tak, jak to sobie wyobrażał. Śpieszący się ludzie, którzy nie patrzą sobie w twarze, brudne szyby okienne, przez które ledwo przesącza się szare światło dnia, żadnego portiera, w ogóle nikogo, kto interesowałby się innymi.

Gdy Otto Quangel na pierwszym piętrze przeczytał szyld drugiego adwokata, a wskazująca rączka na nim pouczyła go, że lekarz mieszka piętro wyżej, pokiwał głową przytakująco. Zawrócił, znów przeszedł obok adwokata i wyszedł z kamienicy. Nie musiał się tu wcale rozglądać, to był dokładnie taki dom, jakiego potrzebował, a takich kamienic są w Berlinie tysiące.

Majster Otto Quangel jest z powrotem na ulicy. Podchodzi do niego jakiś ciemnowłosy młody mężczyzna z bardzo jasną cerą.

– Pan Quangel, nieprawdaż? – pyta. – Pan Otto Quangel z Jablonskistraße, tak?

Quangel burczy wyczekujące – Co takiego? – dźwięk, który może oznaczać zarówno potwierdzenie, jak i zaprzeczenie.

Młody mężczyzna traktuje to jako potwierdzenie. – Mam panu

przekazać prośbę od Trudel Baumann – mówi – żeby pan o niej całkiem zapomniał. I żeby pana żona już jej nie odwiedzała. Lepiej będzie, panie Quangel, jeśli...

– Pan przekazuje – mówi Otto Quangel – że nie znam żadnej Trudel Baumann i nie życzę sobie, żeby mnie nagabywano...

Jego pięść trafia młodego człowieka prosto w podbródek, ten opada na ziemię niczym mokra szmata. Quangel niedbale przechodzi między ludźmi, którzy zaczynają się zbiegać, mija jakiegoś szupo, zmierzając na przystanek tramwajowy. Tramwaj nadjeżdża, on wsiada, jedzie dwa przystanki dalej. A potem jedzie w przeciwnym kierunku, tym razem na przedniej platformie doczepianego wagonu. Jest tak, jak myślał: większość ludzi rozeszła się tymczasem, dwunastu ciekawskich stoi wciąż przed kawiarnią, do której niechybnie zanesiono pobitego.

Odzyskał przytomność. Po raz drugi w ciągu dwóch godzin Karl Hergesell musiał się wylegitymować przed osobą urzędową.

– To naprawdę nic takiego, panie wachmistrzu – zapewniał. – Przez nieuwagę nadepnąłem mu na stopę, a on od razu się odwinął. Nie mam pojęcia, kto to był, nawet nie zdążyłem przeprosić, a on już mnie uderzył.

I znów Karl Hergesell może odejść nie niepokoiony, o nic nie jest podejrzewany. Lecz dla niego jest jasne, że nie może już dłużej wystawiać swojego szczęścia na próbę. Podszedł do tego byłego teścia Trudel, Ottona Quangla, tylko dlatego, żeby się upewnić w kwestii jej bezpieczeństwa. No, jeśli chodzi o tego Ottona Quangla, to może się zupełnie nie martwić. Twardy z niego ptaszek i do tego agresywny. I na pewno nie żaden gaduła, pomimo wymierzonego haka. A jak szybko i mocno uderzył!

I dlatego, że taki człowiek mógłby się wygadać, omal nie zaszczuli Trudel na śmierć. On nigdy się nie wygada – nawet przed nimi! A Trudel nie będzie się już interesował, wygląda na to, że w ogóle nie chce już nic o niej wiedzieć. Jak też taki szybki hak może człowieka oświecić!

Karl Hergesell idzie więc rozluźniony do fabryki, a gdy ostrożnie wypytując, dowiaduje się, że Grigoleit i Niemowlak zrezygnowali z pracy, oddycha z ulgą. Teraz już wszystko wiadomo. Nie ma już komórki, ale on nawet nie bardzo żałuje. Za to Trudel będzie żyła!

Tak naprawdę ta polityczna robota nigdy go szczególnie nie interesowała, za to Trudel jak najbardziej!

Quangel jedzie tramwajem z powrotem do swojego mieszkania, ale gdy powinien wysiąść, mija jednak Jablonskistraße. Lepiej się upewnić. Gdyby ktoś faktycznie go śledził, wolałby rozprawić się z nim sam, a nie wprowadzić za sobą do mieszkania. Anna nie czuje się teraz na tyle dobrze, żeby ją narażać na nieprzyjemną niespodziankę. Musi najpierw z nią porozmawiać. Na pewno to robi, Anna odgrywa ważną rolę w jego zamierzeniach. Ale najpierw musi załatwić inną sprawę.

Quangel postanowił, że tego dnia w ogóle nie wróci z pracy do domu. Zrezygnuje nawet z kawy i obiadu. Anna będzie się trochę niepokoić, ale poczeka i nie zrobi nic pochopnego. On musi coś dzisiaj załatwić. Jutro jest niedziela, wszystko musi być gotowe.

Znowu się przesiada i jedzie do centrum. Nie, Quangel nie martwi się tym młodym człowiekiem, którego tak szybko uciszył uderzeniem pięścią. Nie bardzo wierzy też w innych prześladowców, raczej w to, że tego młodzieńca rzeczywiście przysłała Trudel. Już coś takiego sugerowała, że musi się przyznać, że złamała przysięgę. Po tym oczywiście zabronili jej się z nim kontaktować, a ona wysłała tego młodego chłopaka jako posłańca. Wszystko to jest niegroźne. Czysta dziecinada, to naprawdę są dzieciaki, które zaczęły się bawić w grę, o której nie mają najmniejszego pojęcia. On, Otto Quangel, rozumie z tego trochę więcej. Wie, w co się pakuje. Ale on nie będzie się bawić jak dziecko, przemyśli każdy krok.

Znów widzi przed sobą Trudel, jak opiera się w wietrznym korytarzu o plakat Trybunału Ludowego – nieświadomie. Znów ogarnia go to

niepokojące uczucie, gdy nad głową dziewczyny niczym korona układa się napis: „W imieniu narodu niemieckiego”, znów odczytuje zamiast obcych nazwisk ich własne – nie, nie, to jest sprawa tylko dla niego. I dla Anny, dla Anny oczywiście też. Już on jej pokaże, kim jest ten „jego” Führer!

Dotarłszy do śródmieścia, Quangel robi małe zakupy. Kupuje za niewielkie kwoty kilka pocztówek, obsadkę, kilka stalówek, buteleczkę atramentu. I nawet te zakupy dzieli między dom towarowy, filię Woolwortha i sklep papierniczy. W końcu po długim namyśle nabywa jeszcze parę zwykłych, cienkich rękawiczek z materiału, które dostaje bez talonu.

A potem siada w dużej piwiarni przy Alexanderplatz, wypija kufel piwa, dostaje nawet jakiś darmowy poczęstunek. Jest rok 1940, rozpoczęło się plądrowanie napadniętych krajów, naród niemiecki nie cierpi niedostatku. Właściwie można dostać wszystko, i do tego wcale nie tak drogo.

A jeśli chodzi o samą wojnę, to toczy się ona w obcych krajach, daleko od Berlina. Owszem, nad miastem zaczęły się już od czasu do czasu pojawiać angielskie samoloty. Zrzucają parę bomb, a na drugi dzień ludność robi dalekie wyprawy, żeby zobaczyć zniszczenia. Większość śmieje się i mówi: – Jak oni chcą nas załatwić w ten sposób, to będą potrzebować na to stu lat, a i tak niewiele to da. A my tymczasem zrównamy ich miasta z ziemią!

Tak mówią niektórzy ludzie, a jak teraz Francja poprosiła o zawieszenie broni, to ich liczba znacznie wzrosła. Ludzie w większości idą za sukcesem. Człowiek taki jak Otto Quangel, który w połowie sukcesu występuje z szeregu, to wyjątek.

Siedzi tak sobie. Ma jeszcze czas, nie musi na razie do fabryki. Teraz opadł z niego cały niepokój ostatnich dni. Gdy odwiedził tamten dom,

gdy załatwił te drobne sprawunki, wszystko zostało już postanowione. Nie musi się już zastanawiać nad tym, co ma jeszcze do zrobienia. Teraz to się już samo robi, ma przed sobą prostą drogę. Musi tylko nią pójść, pierwsze decydujące kroki w głąb siebie już wykonał.

Potem, gdy nadchodzi jego czas, płaci i rusza do fabryki. Choć to kawał drogi z Alexanderplatz, idzie na piechotę. Wydał dzisiaj już dość pieniędzy, na przejazdy, na zakupy, najedzenie. Dość? O wiele za dużo! Choć Quangel zdecydował się teraz na zupełnie inne życie, nie chce zmieniać swoich dotychczasowych przyzwyczajzeń. Nadal będzie oszczędny i nadal będzie trzymać innych na dystans.

W końcu stoi z powrotem w swoim warsztacie, uważny i czujny, taki jak zawsze. Nie widać po nim tego, co w nim zaszło. Taki ktoś jak ten ciągle kurzący papierosy fałszywy stolarz Dollfuß nic nie zauważy. Wizerunek Quangla jest dla niego niezmienny: stary dureń, obrzydliwie skąpy, zainteresowany wyłącznie pracą. Taki to wizerunek i taki niech pozostanie.

ROZDZIAŁ 15.

Enno Kluge znów pracuje

Gdy Otto Quangel rozpoczął pracę w warsztacie stolarskim, Enno Kluge już od sześciu godzin stał przy tokarce. Tak, ten drobny człowieczek nie mógł już wytrzymać w łóżku, pomimo osłabienia i bólu pojechał do fabryki. Przyjęto go tam co prawda niezbyt miło, ale niczego innego nie mógł się spodziewać.

– No, znowu nas odwiedzasz, Enno? – zapytał go majster. – Jak długo zamierzasz tym razem z nami pracować, tydzień czy dwa?

– Już całkiem wyzdrowiałem, panie majstrze – zapewnił pośpiesznie Enno Kluge. – Znowu mogę pracować i będę pracować, sam się pan przekona!

– No, no! – stwierdził majster raczej z niedowierzaniem i zamierzał odejść. Ale zatrzymał się, spojrzął z namysłem w twarz Enna i zapytał: – A cóż ty zrobiłeś ze swoją facjatą, Enno? Przemaglowali ci ją trochę, co?

Enno spuszcza wzrok na obrabiany element i nie patrzy na majstra, gdy w końcu odpowiada: – Tak jest, panie majstrze, przemaglowali...

Majster stoi przed nim zamyślony i cały czas mu się przygląda. W końcu dochodzi do wniosku, że rozumie, w czym rzecz, i mówi: – Cóż, może to faktycznie poskutkuje, może rzeczywiście nabierzesz zapachu do pracy, Enno!

To powiedziawszy, majster odszedł, a Enno Kluge ucieszył się, że tak zinterpretowano jego razy. Niech sobie spokojnie myśli, że dostał taki łomot z powodu niechęci do pracy, tym lepiej! Nie chciał z nikim o tym rozmawiać. A jak będą tu tak myśleć, darują sobie wszelkie pytania.

Najwyżej będą się z niego śmiać za plecami, a to mogą sobie spokojnie robić, jemu to obojętne. Teraz chciał pracować, jeszcze się wszyscy zdziwią!

Z nieśmiałym uśmiechem, a jednocześnie z dumą Enno Kluge kazał się zapisać na dobrowolną niedzielną zmianę. Kilku starszych kolegów, którzy znali go z dawnych czasów, wygłosiło parę drwiących uwag. Roześmiał się tylko i z zadowoleniem zauważył, że majster też się uśmiecha.

Poza tym błędne założenie majstra, że oberwał z powodu swojej niechęci do pracy, przydało mu się także u dyrekcji. Wezwano go tam zaraz po południowej przerwie. Stał niczym oskarżony, a jego strach pogłębiało to, że jeden z jego sędziów odziany był w mundur Wehrmachtu, drugi w mundur SA, a tylko jeden był w cywilu, choć z przypiętymi odznakami.

Oficer Wehrmachtu kartkował jakieś akta i odczytywał Ennowi Klugemu jego grzechy głosem jednocześnie obojętnym i pełnym obrzydzenia. Tego a tego dnia zwolniony z wojska w celu pracy dla przemysłu zbrojeniowego, dopiero wtedy a wtedy zgłosił się do wskazanego zakładu, przepracował jedenaście dni, zwolnienie chorobowe z powodu krwawienia z żołądka, odwiedził trzech lekarzy i dwa szpitale. Tego a tego dnia wypisany jako zdrowy i zdolny do pracy, przepracował pięć dni, trzy dni nieusprawiedliwionej nieobecności, jeden dzień pracy, znowu krwawienia z żołądka i tak dalej, i tak dalej.

Oficer Wehrmachtu odłożył akta, spojrzał na Klugego z odrazą, to znaczy skierował wzrok nieco powyżej najwyższego guzika kurtki Enna, i powiedział podniesionym głosem: – Co ty sobie właściwie myślisz, ty świniu? – Nagle zaczął krzyczeć, ale widać było, że krzyczy tak z przyzwyczajenia, bez jakiegokolwiek wewnętrznego wzburzenia. – Myślisz, że możesz kogokolwiek tutaj wodzić za nos tymi swoimi durnymi krwawieniami z żołądka? Wyślę cię do kompanii karnej, tam

wyrwą ci te twoje cuchnące jelita z brzucha, tam się dopiero dowiesz, co to są krwawienia z żołądka!

Oficer krzyczał tak jeszcze dłuższą chwilę. Enno przyzwyczał się do tego w wojsku, tym nie mogli go przestraszyć. Słuchał karnego kazania, z dłońmi przepisowo wzdłuż szwów cywilnych spodni, ze wzrokiem z uwagą utkwionym w łającego go oficera. Gdy oficer robił przerwy, żeby zaczerpnąć powietrza, Enno rzucał przepisowym tonem, jasno i wyraźnie, lecz ani pokornie, ani bezczelnie, tylko rzeczowo: – Tak jest, panie poruczniku! Na rozkaz, panie poruczniku! – W którymś momencie udało mu się nawet, choć bez jakiegokolwiek widocznego efektu, wtrącić zdanie: – Melduję posłusznie, że jestem zdrowy, panie poruczniku! Melduję posłusznie, że będę pracować!

Równie nagle jak zaczął krzyczeć, oficer przestał. Zamknął usta, przesunął wzrok z najwyższego guzika Klugego na swojego sąsiada w brązach. – Coś jeszcze? – zapytał z odrazą.

Tak jest, i ten pan miał coś do powiedzenia, a raczej do wykrzyczenia, wszyscy ci panowie przełożeni umieli chyba tylko krzyczeć na swoich ludzi. Ten krzyczał o zdradzie stanu i sabotażu, o Führerze, który nie ścierpi żadnych zdrajców w swoich własnych szeregach, o kacetach, gdzie dostanie to, na co zasłużył.

– I w jakim stanie ty do nas przychodzisz? – wykrzyknął nagle oficer w brązowym mundurze. – Gdzie się tak załatwiłeś, ty świniu? Z taką gębą przychodzisz do pracy? Po dziwkach się kurwiłeś, ty sutenerze! Tam marnujesz siły, a my mamy ci tu płacić!? Gdzie ty byłeś, gdzie się tak załatwiłeś, ty żałosny alfonsie?

– Przemaglowali mnie – powiedział Enno nieśmiało pod jego spojrzeniem.

– Kto, kto cię tak załatwił, pytam! – wykrzyknął brunatna koszula. Zaczął wymachiwać pięścią przed nosem Klugego i tupać nogą.

I teraz nadszedł moment, w którym w głowie Enna Klugego zapanowała kompletna pustka. Pod groźbą nowych cięgów wyparowały wszelkie postanowienia i zasady ostrożności, wyszeptał lękliwie: – Melduję posłusznie, że to SS tak mnie załatwiło.

W nedorzecznym przerażeniu tego człowieka było coś tak przekonującego, że trzej mężczyźni przy stole natychmiast mu uwierzyli. Na ich twarzach pojawiły się pełne zrozumienia, aprobujące uśmiechy. Ten w brązowym mundurze wykrzyknął jeszcze: – Załatwiło, tak to nazywasz? Oćwiczyło, mówi się, słusznie ukarało! Jak się mówi?

– Melduję posłusznie, mówi się: słusznie ukarało!

– No, mam nadzieję, że sobie to zapamiętasz. Następnym razem nie wywiniesz się tak łatwo! Odejść!

Jeszcze pół godziny później Enno Kluge trząśł się tak, że nie mógł skończyć pracy przy tokarce. Kręcił się koło toalety, gdzie w końcu nakrył go majster i krzykami zagonił do pracy. Majster stanął obok niego i przeklinając, patrzył, jak Enno Kluge psuje jeden element za drugim. Temu drobnemu człowieczkowi wciąż kręciło się w głowie: łajany przez majstra, wyśmiewany przez kolegów, straszony obozem koncentracyjnym i karną kompanią nie był w stanie jasno myśleć. Zwykle tak zręczne dłonie odmawiały mu posłuszeństwa. Nie był w stanie pracować, ale musiał, inaczej byłby zgubiony.

W końcu i majster zrozumiał, że nie chodzi tu tylko o złą wolę i niechęć do pracy. – Gdybyś nie był dopiero co chory, powiedziałbym ci, żebyś się położył na parę dni do łóżka i wykurował – powiedział majster na odchodnym. I dodał: – Ale ty dobrze wiesz, co by wtedy z tobą było!

Tak, wiedział to. Pracował dalej, próbując nie myśleć o bólu, o nieznośnym ucisku w głowie. Przez chwilę w jakiś magiczny sposób przyciągało go do siebie obracające się w blasku żelazo. Wystarczyło przytrzymać tam palce i miałyby spokój, położyłyby się do łóżka, mogłyby

leżeć, wypoczywać, spać, zapomnieć! Ale zaraz potem pomyślał o tym, że kto celowo się okalecza, ten jest karany śmiercią, i ręka sama się cofnęła...

I tak było: śmierć w kompanii karnej, śmierć w kacecie, śmierć na więziennym dziedzińcu, to były rzeczy, które groziły mu codziennie, przed którymi musiał się chronić. A miał tak mało sił...

Jakoś minęło to popołudnie, jakoś tuż po piątej znalazł się w tłumie powracających do domów. Tak bardzo pragnął spokoju i snu; lecz gdy stanął potem w swoim wąskim hotelowym pokoiku, nie zdobył się na to, żeby położyć się do łóżka. Znów wybiegł, kupił sobie coś do jedzenia.

I znów w pokoju, jedzenie na stole przed nim, łóżko obok – ale on po prostu nie może tu zostać. Był jak zaszczuty, nie mógł ścierpieć tego pokoju. Musiał kupić sobie jeszcze przybory toaletowe i sprawdzić, czy u handlarza starzyzną dostanie niebieską koszulę.

Znów wybiegł i gdy stał w drogerii, przyszło mu do głowy, że zostawił całkiem sporą walizkę ze wszystkimi swoimi rzeczami u Lotte, której przybyły na urlop małżonek tak zniecierpliwiony go wyrzucił. Wybiegł z drogerii, wszedł do tramwaju. Zaryzykował, po prostu do niej pojechał. Przecież nie mógł zrezygnować ze wszystkich swoich rzeczy! Bał się lania, ale gnało go, musiał do Lotte.

I miał szczęście, Lotte była w domu, a jej męża nie było. – Twoje rzeczy, Enno? – zapytała. – Od razu wstawiłam je do piwnicy, żeby ich nie znalazł. Poczekaj, przyniosę ci klucz!

Lecz on ją obejmuje, opiera głowę o jej potężny biust. Napięcie ostatnich tygodni to dla niego zbyt wiele, po prostu zaczyna płakać.

– Ach, Lotte, Lotte, nie mogę bez ciebie wytrzymać! Tak bardzo za tobą tęsknię!

Całym jego ciałem wstrząsa szloch. Ona jest naprawdę przerażona. Umie się obchodzić z mężczyznami, także z tymi mazgajowatymi, ale

zwykle są pijani, a ten tutaj zupełnie trzeźwy... I jeszcze to gadanie o tęsknocie za nią i o tym, że nie może bez niej wytrzymać, od stu lat nikt tak do niej nie mówił! Jeśli kiedykolwiek ktoś tak do niej mówił!

Uspokajała go, najlepiej jak umiała. – On będzie na urlopie tylko trzy tygodnie, potem możesz do mnie wrócić, Enno! Pozbieraj się teraz i zabierz swoje rzeczy, zanim on wróci. Przecież wiesz!

Och, wiedział, doskonale wiedział, czym mu to wszystko grozi!

Wsadziła go jeszcze do tramwaju, pomogła z walizką.

Enno Kluge pojechał do swojego hotelu; choć trochę mu ulżyło. Jeszcze tylko trzy tygodnie, z których cztery dni już minęły. A potem tamten znowu pojedzie na front, a on będzie mógł leżeć w jego łóżku! Enno myślał, że wytrzyma bez kobiet, ale tak się nie dało, po prostu nie potrafił. Zajrzy też w tym czasie jeszcze raz do Tutti. Wiedział przecież teraz, że jak się im trochę popłacze, to wcale nie są takie złe. To od razu pomagają! Może będzie mógł zostać te trzy tygodnie u Tutti, ten pusty hotelowy pokój był okropny!

Ale pomimo kobiet będzie pracował, pracował i pracował! Nie będzie już robił numerów, nie on, już nigdy! Jest zdrowy!

ROZDZIAŁ 16.

Koniec pani Rosenthal

W niedzielny poranek pani Rosenthal obudziła się z głębokiego snu z okrzykiem przestachu. Znowu śniło jej się coś strasznego, ten sen nawiedzał ją teraz niemal każdej nocy: ucieczka z Zygfydem. Ukrywali się, prześladowcy mijali ich, lecz zdawało się, że dostrzegają ich kątem oka, szydząc z ich kiepskiej kryjówki.

Nagle Zygfyd zaczynał biec, a ona za nim. Nie mogła biec tak szybko jak on. Wołała: – Nie tak szybko, Zygfydzie! Nie nadążam! Nie zostawiaj mnie samej!

Odrywał się od ziemi, leciał. Leciał trochę nad chodnikiem, a potem unosił się coraz wyżej, aż zniknął ponad dachami. Stała sama na Greifswalder StraÙe. Łzy płynęły jej z oczu. Wielka, cuchnąca dłóń zasłaniała jej twarz, dusząc ją, czyjś głos szeptał jej do ucha: – Stara żydowska świnio, w końcu cię dorwałem!

Wpatrywała się w zaciemnione okna, przez szpary przenikało do środka dzienne światło. Nocne koszmary ustępowały lękom stojącego przed nią dnia. Znowu jest dzień! Znowu przespała wizytę radcy sądownego, jedyne go człowieka, z którym mogła porozmawiać! Mocno postanowiła sobie, że będzie czuwać, a jednak znowu zasnęła! Znowu cały dzień sama, dwanaście godzin, piętnaście! Och, nie wytrzyma już tego dłużej! Ściany tego pokoju jakby się miały na nią zawalić, w lustrze wciąż ta sama blada twarz, ciągle liczenie tych samych pieniędzy – nie, tak dalek być nie może! Najgorsze nie może być gorsze niż to beczynne przebywanie w zamknięciu.

Pani Rosenthal ubiera się w pośpiechu. A potem podchodzi do drzwi, odsuwa zasuwę, otwiera cicho i wygląda na korytarz. W mieszkaniu panuje cisza, w całej kamienicy panuje cisza. Dzieci nie hałasują na ulicy – musi być bardzo wcześnie. Może radca jest jeszcze w swojej bibliotece? Może zdąży jeszcze powiedzieć mu dzień dobry, zamienić dwa, trzy zdania, które dodadzą jej otuchy, by wytrzymać niekończący się dzień?

Odważa się na to, pomimo jego zakazu ryzykuje. Przechodzi szybko korytarzem i wchodzi do jego pokoju. Wzdryga się z powodu jasnego światła, które wpada do środka przez otwarte okna, z powodu ulicy, z powodu jawności, która panuje tutaj razem z napływającym powietrzem. Ale jeszcze bardziej wzdryga się z powodu kobiety, która czyści dywan mechanicznym odkurzaczem. To chuda starsza kobieta; chustka na głowie i odkurzacz świadczą, że jest tu sprzątaczką.

Gdy pani Rosenthal wchodzi do pokoju, sprzątaczką przerywa pracę. Przez chwilę wpatruje się w niespodziewanego gościa, kilka razy mrugając oczami, jakby nie do końca wierzyła w to, co widzi. A potem opiera odkurzacz o stół i zaczyna wykonywać rękami szerokie obronne gesty, sycząc od czasu do czasu ostro: – Szs! Szs! – jakby odpędzała kury.

Pani Rosenthal, cofając się, mówi błagalnie:

– Gdzie jest radca? Muszę z nim chwilę porozmawiać!

Kobieta mocno zaciska usta i gwałtownie kręci głową. A potem znowu zaczyna te swoje odpędzające gesty i to swoje „Szs! Szs!” – aż pani Rosenthal całkiem wycofuje się do swojego pokoju. Tam, podczas gdy sprzątaczką cicho zamyka drzwi, opada na krzesło przy stole i zalewa się łzami. Wszystko na darmo! Znowu przez cały dzień będzie skazana na samotne, bezsensowne czekanie! Tyle się dzieje na świecie, może Zygfryd akurat teraz umiera, a może niemiecka bomba lotnicza zabija jej Ewę – lecz ona wciąż musi siedzieć tu w ciemnościach i nic nie robić.

Zniechęcona kręci głową: nie będzie już po prostu więcej w tym uczestniczyć. Nie będzie i już! Jeśli ma być nieszczęśliwa, jeśli ma już zawsze żyć zaszczuca i w strachu, to chce zrobić to po swojemu. Niech te drzwi zamkną się za nią na zawsze, nic na to nie poradzi. Ta gościnność wynika z dobrych intencji, ale jej nie służy.

Gdy znowu staje pod drzwiami, opamiętuje się. Wraca do stołu i bierze grubą złotą bransoletkę z szafirami. Może w ten sposób...

W gabinecie nie ma już jednak tamtej kobiety, okna są znowu pozamykane. Pani Rosenthal czeka na korytarzu, w pobliżu drzwi wyjściowych. A potem słyszy brzęk talerzy i idzie za tym dźwiękiem, aż odnajduje tę kobietę w kuchni przy zmywaniu.

Błagalnym gestem wyciąga w jej stronę bransoletkę i mówi z wahaniem: – Naprawdę muszę porozmawiać z radcą. Proszę, bardzo proszę!

Służąca marszczy czoło, że znowu jej przeszkadzają. Rzuca jedynie przelotne spojrzenie na wyciągniętą w jej stronę bransoletkę. A potem znowu zaczynają przeganiać, szerokimi gestami ramion, i znowu: „Ssz! Ssz!” – a pani Rosenthal ucieka przed tym odpędzaniem do swojego pokoju. Rzuca się od razu do nocnego stolika, wyjmując z szuflady zalecone jej przez radcę środki nasenne.

Wysypuje wszystkie tabletki, dwanaście czy czternaście, na skuloną dłoń, podchodzi do toaletki i połyka je, popijając szklanką wody. Musi dziś spać, chce przespać cały dzień... Potem, wieczorem, porozmawia z radcą o tym, co trzeba zrobić. Kładzie się w ubraniu do łóżka, lekko przykrywa się narzutą. Wciąż leżąc na plecach, ze wzrokiem utkwionym w sufit, czeka na sen.

A on, zdaje się, nadchodzi. Dręczące myśli, wciąż te same koszmarnie obrazy, które rodzą się w jej głowie ze strachu, rozmazują się. Zamyka oczy, jej ciało się rozluźnia, członki wiotczeją, już prawie przeszła

szczęśliwie na stronę snu...

Lecz oto jakby jakaś ręka zrzuciła ją z fali niosącej ją do snu z powrotem w jawę. Naprawdę się wystraszyła, tak mocno poczuła w sobie to pchnięcie. Jej ciało drgnęło jak w jakimś nagłym skurczu...

I znów leży, wpatrując się w sufit, na plecach, ten sam młynek kręci w jej głowie wciąż te same dręczące myśli i koszmarnie obrazy. A potem – stopniowo – to słabnie, oczy się zamykają, sen jest blisko. I znów strącenie z fali, pchnięcie, skurcz, w którym kuli się całe jej ciało. Znowu została wygnana z ciszy, spokoju, zapomnienia...

Gdy to się powtórzyło trzy czy cztery razy, rezygnuje z czekania na sen. Wstaje, idzie powoli do stołu, lekko się potykając, ze zwisającymi ramionami, i siada. Patrzy przed siebie. W leżącej przed nią bieli rozpoznaje list do Zygryda, który zaczęła trzy dni temu, ale napisała tylko kilka pierwszych linijek. Patrzy dalej: rozpoznaje banknoty, biżuterię. A tam dalej stoi taca z jedzeniem. Zwykle rano rzucała się na nie wygłodzona, teraz patrzy obojętnym wzrokiem. Nie ma ochoty na jedzenie...

Gdy tak siedzi, uświadamia sobie niewyraźnie, że tabletki wywołały w niej jednak jakąś przemianę: nawet jeśli nie mogły zapewnić jej snu, to jednak uratowały od prześladowającego ją niepokoju poranka. Siedzi sobie, czasami niemal zapada w drzemkę na fotelu, lecz zaraz się zrywa. Mija trochę czasu, czy dużo, czy mało, tego nie wie, lecz jakiś czas tego koszmarnego dnia już jednak upłynął...

Potem, później, słyszy czyjeś kroki na klatce. Wzdryga się – w chwili pełnej świadomości próbuje się zastanowić nad tym, czy to możliwe, by z tego pokoju słyszała kogoś idącego po schodach. Lecz ten krytyczny moment już minął, a ona znów w napięciu nasłuchuje kroków na klatce schodowej, kroków człowieka, który z trudem wlecze się po schodach, raz po raz się zatrzymując, a potem, pokasławszy, znów chwyta się poręczy.

Teraz już nie tylko słyszy, teraz też widzi. Wyraźnie widzi Zygryda,

jak wlecze się po cichej jeszcze klatce schodowej do ich mieszkania. Oczywiście znowu go poturbowali, głowę ma owiniętą kilkoma pośpiesznie założonymi bandażami, które już nasiąkły krwią, a twarz poranioną i posiniaczoną od ciosów pięścią. I tak wlecze się Zygfryd z trudem po schodach w górę. W jego piersi skrzeczy i gra, w piersi, która nosi ślady kopniaków. Widzi, jak Zygfryd znika na podeście...

Przez chwilę jeszcze tak siedzi. Z pewnością nie myśli o niczym, nawet o radcy i zawartej z nim umowie. Ona musi na górę do mieszkania – co sobie Zygfryd pomyśli, jak zobaczy, że jest puste? – Ale jest tak strasznie zmęczona, niemal nie może podnieść się z fotela!

Potem jednak wstaje. Wyjmuje pęk kluczy z torebki, sięga po bransoletę z szafirami, jakby to był talizman, który ją ochroni, i powoli, chwiejąc się, wychodzi z mieszkania. Drzwi zatrząskują się za nią.

Radca, obudzony jednak w końcu przez swoją służącą, która długo się nad tym zastanawiała, przybywa zbyt późno, by powstrzymać swojego gościa od wyprawy w ten zbyt niebezpieczny świat.

Radca stoi przez chwilę w cicho otwartych na powrót drzwiach i nasłuchuje w górę, nasłuchuje w dół. Nic nie słyszy. A potem, gdy jednak coś słyszy, a mianowicie szybki, energiczny stukot oficerek, cofa się do swojego mieszkania. Lecz nie opuszcza punktu obserwacyjnego przy drzwiach. Jeśli tylko będzie możliwość, żeby uratować tę nieszczęsną istotę, pomimo wszelkich niebezpieczeństw jeszcze raz otworzy przed nią swoje drzwi.

Pani Rosenthal nawet nie zauważyła, że minęła kogoś, wchodząc po schodach. Myślała tylko o tym, żeby jak najszybciej dotrzeć do mieszkania i do Zygfryda. Lecz przywódca Hitlerjugend Baldur Persicke, który właśnie wybierał się na poranny apel, kompletnie zdumiony zatrzymuje się z otwartymi ustami na schodach, gdy mija go ta kobieta, niemal go potracając. Rosenthalowa, ta zaginiona od wielu dni Rosenthalowa, idzie

sobie tego niedzielnego ranka w ciemnej, gęsto tkanej bluzce bez gwiazdy Dawida, ściskając w jednej ręce pęk kluczy i jakąś bransoletkę, a drugą przytrzymując się z trudem poręczy – taka jest zalana! Wcześniej rano w niedzielę jest zupełnie zalana!

Przez chwilę Baldur stoi tak jeszcze w kompletnym zdumieniu. Lecz gdy pani Rosenthal znika za zakrętem schodów, powraca mu trzeźwość umysłu, a usta się zamykają. Czuje, że teraz nadszedł odpowiedni moment, że teraz nie wolno mu już popełnić żadnego błędu! Nie, tym razem załatwi tę sprawę sam, ani bracia, ani ojciec, ani tamten Barkhausen niczego mu nie zepsują.

Baldur czeka jeszcze, aż jest pewien, że pani Rosenthal dotarła już do mieszkania Quanglów, a potem wchodzi po cichu do mieszkania rodziców. Wszyscy jeszcze śpią, a telefon wisi w korytarzu. Unosi słuchawkę, kręci tarczą, a potem prosi o konkretny numer. Ma szczęście: mimo że jest niedziela, zostaje połączony, i to z właściwą osobą. Mówi krótko, co ma do powiedzenia, a potem przysuwa sobie krzesło do drzwi, uchyła je odrobinę i nastawia się na konieczność cierpliwego czuwania przez pół godziny czy nawet całą godzinę, żeby ptaszek znowu nie wyfrunął...

U Quanglów wstała na razie tylko Anna, cicho krząta się po mieszkaniu. Co jakiś czas zagląda do Ottona, który wciąż mocno śpi. Wygląda na zmęczonego i udręczonego, nawet teraz, we śnie. Jakby coś nie dawało mu spokoju. Stoi tak i wpatruje się zamyślona w twarz męża, z którym przeżyła blisko trzydzieści lat, dzień za dniem. Oczywiście już dawno przyzwyczała się do tej twarzy, do jej ostrego, ptasiego profilu, do wąskich, niemal zawsze zamkniętych ust – to już jej tak nie przeraża. Tak właśnie wygląda mężczyzna, któremu poświęciła całe swoje życie. Tu nie chodzi przecież o wygląd...

Lecz tego ranka wydaje jej się, jakby ta twarz zrobiła się jeszcze ostrzejsza, usta jeszcze węższe, jakby zmarszczki przy nosie jeszcze

bardziej się pogłębiły. On ma zmartwienie, ciężkie zmartwienie, a ona nie dopilnowała, żeby w odpowiednim momencie z nim o tym porozmawiać, pomóc mu nieść ten ciężar. Tego niedzielnego poranka, cztery dni po otrzymaniu wiadomości o śmierci syna, Anna Quangel znów jest mocno przekonana nie tylko o tym, że dalej będzie musiała trwać przy tym mężczyźnie, lecz także o tym, że nie miała racji, w ogóle zaczynając tamtą sprzeczkę. Powinna lepiej go znać: wołał milczeć niż mówić. Zawsze musiała go zachęcać, ciągnąć za język – sam z siebie ten człowiek nie mówił nigdy.

Cóż, dziś będzie mówił. Obiecał jej to dziś w nocy, gdy wrócił z pracy. Anna miała za sobą kiepski dzień. Gdy wyszedł całkiem bez śniadania, gdy daremnie czekała na niego godzinami, gdy nie pojawił się na obiedzie, kiedy zrozumiała, że zaczął już pracę i że teraz już na pewno nie przyjdzie – wtedy całkiem zwątpiła.

Co w tym człowieku zaszło, odkąd wypowiedziała te pochopne, nieprzemyślane słowa? Co wpędzało go w taki niepokój? Przecież go znała: odkąd to powiedziała, myślał tylko o tym, jak jej pokazać, że to nie jest „jego” Führer. Jakby mówiła to wtedy poważnie! Musi mu powiedzieć, że powiedziała tak tylko w pierwszym, pełnym żalu gniewie. Mogła powiedzieć zupełnie inne rzeczy na tych przestępców, którzy tak bezsensownie pozbawili jej syna życia – a akurat wyrwało jej się to!

Ale jak tylko to właśnie powiedziała, on zaczął biegać po świecie i narażać się na nie wiadomo jakie niebezpieczeństwa, żeby mieć rację, żeby udowodnić jej namacalnie niesprawiedliwość, którą mu uczyniła! Może on już w ogóle nie wróci. Powiedział coś albo zrobił coś, przez co naraził się kierownictwu zakładu albo Gestapo – może już siedzi w pace! Jaki niespokojny był ten spokojny człowiek już z samego rana!

Anna Quangel nie wytrzyma, tak beczynn timer nie może dłużej na niego czekać. Robi parę kanapek i wyrusza w drogę do jego fabryki. I w

tym jest jego wierną małżonką, że nawet teraz, gdy zależy jej na każdej minucie, zanim będzie mieć pewność, nie korzysta z tramwaju. Nie, idzie na piechotę – oszczędza każdy grosz, tak jak on.

Od portiera w fabryce mebli dowiaduje się, że majster Quangel dotarł na stanowisko pracy punktualnie jak zawsze. Posyła mu przez posłańca „zapomniane” kanapki i czeka na jego powrót.

– No i co powiedział?

– A co miał powiedzieć...? Przecież on nigdy nic nie mówi!

Teraz może uspokojona wrócić do domu. Jeszcze nic się nie stało, pomimo całego jego niepokoju tego ranka. A dziś wieczorem ona z nim porozmawia...

Wraca w nocy. Widzi po jego twarzy, jak bardzo jest zmęczony.

– Otto – mówi z prośbą w głosie. – Ja tak wcale nie myślę. Wyrwało mi się tylko tak w pierwszej chwili rozpacz. Nie bądź na mnie zły!

– Ja – zły – na ciebie? Za coś takiego? Nigdy!

– Ale ty chcesz coś zrobić, ja to czuję! Otto, nie rób tego, nie sprowadzaj na siebie nieszczęścia przez coś takiego! Nigdy bym sobie tego nie wybaczyła.

Patrzy na nią przez chwilę niemal z uśmiechem. A potem szybko kładzie obie ręce na jej ramionach. I zaraz je cofa, jakby wstydził się tej pośpiesznej czułości.

– Wiesz, co zrobić? Pójdę spać! A jutro powiem ci, co zrobimy *my!*

Ranek już nadszedł, a Quangel wciąż jeszcze śpi. Ale co tam pół godziny mniej czy więcej. Jest przy niej, nie może zrobić nic niebezpiecznego, śpi.

Odwraca się od jego łóżka i z powrotem zabiera się za drobne prace domowe.

Tymczasem pani Rosenthal dotarła już do drzwi swojego mieszkania, mimo że wchodziła po schodach bardzo powoli. Nie jest zaskoczona, gdy zastaje drzwi zamknięte. Otwiera je. A i w mieszkaniu wcale nie szuka

długo Zygfyda ani go nie woła. Nie zwraca też uwagi na szalony bałagan, jakby już zapomniała, że weszła do mieszkania, idąc śladem swojego męża.

Jej oszołomienie nasila się powoli i niepowstrzymanie. Nie można powiedzieć, że śpi, ale nie jest też przytomna. Tak jak powoli i nieporadnie porusza swoimi ociężałymi członkami, bo są niczym odrętwiałe, tak samo odrętwiały jest jej umysł. Obrazy pojawiają się jak płatki śniegu i rozplývają się od razu, zanim zdąży je wyraźnie zobaczyć. Siedzi w kącie kanapy, ze stopami na pobrudzonej bieliźnie, rozgląda się powoli i apatycznie. W dłoni wciąż trzyma klucze i bransoletę z szafirami, którą Zygfyd podarował jej z okazji narodzin Ewy. Dochód z całego białego tygodnia... Uśmiecha się leciutko.

A potem słyszy, jak ktoś ostrożnie otwiera drzwi wejściowe i już wie: to Zygfyd. Idzie teraz. Dlatego przecież przyszedłam tutaj na górę. Żeby wyjść mu naprzeciw.

Lecz wciąż siedzi, z szerokim uśmiechem na zupełnie poszarzałej twarzy. Przyjmie go tak tutaj na siedząco, jakby nigdy nie wychodziła, jakby cały czas siedziała tutaj, czekając na niego.

W końcu drzwi się otwierają, lecz zamiast oczekiwanego Zygfyda stają w nich trzech mężczyźni. Gdy tylko dostrzega pośród nich znieawidzony brunatny mundur, już wie: to nie jest Zygfyd, Zygfyda tutaj nie ma. Odczuwa odrobinę strachu, ale naprawdę odrobinę. W końcu to się stało!

Uśmiech powoli znika z jej twarzy, która zmienia kolor z szarego na zielonkawożółty.

Ci trzech stoją teraz tuż przed nią. Słyszy, jak wysoki, masywny mężczyzna w czarnym płaszczu mówi: – Nie jest pijana, mój chłopcze. Prawdopodobnie zatrula się środkami nasennymi. Zaraz wyciśniemy z niej, co się da. Proszę posłuchać, czy nazywa się pani Rosenthal?

Kiwa głową. – Tak jest, moi panowie, jestem Lore, a właściwie Sara

Rosenthal. Mój mąż siedzi w więzieniu Moabit, dwóch synów jest w Ameryce, jedna zamężna córka w Danii, a druga w Anglii...

– A ile pieniędzy im pani wysłała? – pyta szybko komisarz kryminalny Rusch.

– Pieniądze? A po co pieniądze? Oni wszyscy mają dość pieniędzy! Po co miałabym im wysłać?

Z powagą kiwa głową. Wszystkie jej dzieci żyją w dobrych warunkach. Mogłyby jeszcze bez trudu utrzymać rodziców. Nagle przychodzi jej do głowy coś, co koniecznie musi powiedzieć tym panom. – To moja wina – mówi nieporadnie, język jej się płacze, coraz trudniej jej mówić, zaczyna bełkotać. – To tylko moja wina. Zygfryd już dawno chciał wyjechać z Niemiec. Ale ja mu mówiłam: „Po co zostawiać te wszystkie piękne rzeczy, po co sprzedawać dobry interes za grosze? Nigdy nikomu nic nie zrobiliśmy, nic nam nie zrobią”. To ja go przekonałam, inaczej już dawno by nas tu nie było!

– I gdzie zostawili państwo swoje pieniądze? – pyta komisarz nieco zniecierpliwiony.

– Pieniądze? – ona próbuje oprzytomnieć. Faktycznie coś tam jeszcze było. Tylko gdzie to trafiło? Lecz intensywne myślenie męczy ją, do głowy przychodzi jej coś innego. Wyciąga bransoletkę z szafirami w stronę komisarza. – O! – mówi po prostu. – O!

Komisarz Rusch rzuca na nią szybko okiem, a potem ogląda się na swoich dwóch towarzyszy, tego dziarskiego przywódcę Hitlerjugend i stałego kompana Friedricha, grubego drągala, który wygląda niczym pomocnik kata. Dostrzega, że obaj obserwują go w napięciu. Odpycha więc niecierpliwie rękę z bransoletką na bok, chwytą tę masywną kobietę za ramiona i porządnie nią potrząsa. – Niech pani w końcu oprzytomnieje, pani Rosenthal! – wrzeszczy. – Rozkazuję pani! Ma się pani obudzić!

A potem ją puszcza. Jej głowa uderza o oparcie kanapy, a ciało zapada

się w sobie, bełkocze coś niezrozumiałego. Ten sposób, żeby ją obudzić, nie wydaje się skuteczny. Przez chwilę wszyscy trzej patrzą w milczeniu na staruszkę, gdy tak siedzi zapadnięta, nie wygląda na to, by wracała jej świadomość.

Nagle komisarz szepcze cicho: – Zabierz ją tam, do kuchni, i postaraj się, żeby się obudziła!

Katowski pacholek Friedrich kiwa głową. Bierze otyłą kobietę na ręce niczym dziecko i ostrożnie omija leżące na podłodze przeszkody.

Gdy jest już w drzwiach, komisarz woła jeszcze: – Postaraj się, żeby była cicho! Nie chcę w tej czynszówce awantury w niedzielny poranek! Jeśli nie, załatwimy to na Prinz-Albrecht-Straße^[34]. I tak ją tam zabieram.

Drzwi zamykają się za nimi obojgiem, komisarz i przywódca Hitlerjugend zostają sami.

Komisarz Rusch stoi przy oknie i wygląda na ulicę.

– Spokojna ta uliczka – mówi. – Prawdziwy plac zabaw, co?

Baldur Persicke potwierdza, że Jablonskistraße to spokojna ulica.

Komisarz jest trochę zdenerwowany, nie tyle tym, co Friedrich wyrabia z tą starą Żydówką w kuchni. Skądże, takie rzeczy, i jeszcze gorsze, odpowiadają jego naturze. Rusch był prawnikiem, zbankrutował, ale jakoś dostał się do policji kryminalnej. Ci oddali go potem Gestapo. Chętnie wykonuje swoją służbę. Służyłby każdemu rządowi, lecz energiczne metody tego rządu podobają mu się szczególnie. – Tylko żadnych sentymentalnych bzdur – mówi czasem jakiemuś nowicjuszowi. – Spełniamy swój obowiązek tylko wtedy, gdy osiągamy nasz cel. Wszystko jedno jaką drogą.

Nie, komisarz w najmniejszym stopniu nie zaprzęta sobie głowy starą Żydówką, on jest wolny od wszelkich sentymentalnych bzdur.

[34] Prinz-Albrecht-Straße – ulica w Berlinie, przy której znajdowały się siedziba centrali Gestapo oraz Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy.

Lecz ten młody przywódca Hitlerjugend, Persicke, nie za bardzo mu tutaj pasuje. Nie lubi przy takich sprawach mieć kogoś z zewnątrz, nigdy nie wiadomo, jak to przyjmą. Co prawda ten wygląda na właściwy typ, ale to zawsze wiadomo dopiero po fakcie.

– Widzieliście, panie komisarzu? – pyta gorliwie Baldur Persicke. Nie chce słyszeć odgłosów dobiegających z kuchni, to ich sprawa! – Widzieliście, że ona nie miała na sobie gwiazdy Dawida?

– Widziałem więcej – odpowiada komisarz z namysłem. – Widziałem na przykład, że ta kobieta ma na sobie czyste buty, a na zewnątrz jest paskudna pogoda.

– Tak – potwierdza Baldur Persicke, nie do końca pojmując.

– A więc ktoś w tym domu musiał ją ukrywać, od środy, jeśli rzeczywiście od tamtej pory nie była w mieszkaniu, jak twierdzicie.

– Jestem niemal pewien – zaczyna Baldur, który stracił nieco pewności siebie pod tym zamyślnym, nieodrywającym się od niego spojrzeniem.

– Niemal pewien to nic nie znaczy, mój chłopcze – mówi komisarz z pogardą. – Nie ma czegoś takiego jak „niemal pewien”!

– Jestem całkiem pewien! – mówi szybko Baldur. – Mogę w każdej chwili przysiąc, że pani Rosenthal od środy nie była w swoim mieszkaniu!

– Dobra, dobra – mówi od niechcenia komisarz. – Wiecie oczywiście, że nie mogliście sami od środy obserwować jej mieszkania. W to nie uwierzy żaden sędzia.

– Mam dwóch braci w SS – zapewnia gorliwie Baldur Persicke.

– No dobrze – komisarz Rusch wydaje się zadowolony. – Jakoś ujdzie. Poza tym chciałem wam jeszcze powiedzieć, że dopiero wieczorem będę mógł zrobić tu przeszukanie. Może poobserwujecie to mieszkanie do tej pory? Klucze chyba macie?

Baldur Persicke z zadowoleniem zapewnia, że chętnie to zrobi. W jego oczach widać głęboką radość. No proszę – tak też się da, od razu

wiedział, i to całkiem legalnie!

– Byłoby dobrze – mówi znużony komisarz i ponownie wygląda przez okno – gdyby wszystko zostało tu tak, jak jest. Oczywiście za to, co jest w szafach i walizkach, nie odpowiadacie, ale reszta...

Zanim Baldur zdążył odpowiedzieć, z wnętrza mieszkania dochodzi ostry, wysoki okrzyk przerażenia.

– Cholera! – mówi komisarz, ale nie robi ani kroku.

Błady Baldur o ostrym nosie wpatruje się w niego z miękkimi kolanami.

Okrzyk strachu zostaje natychmiast zduszony, słychać tylko przekleństwa Friedricha.

– Co ja chciałem powiedzieć... – komisarz zaczyna powoli kontynuować.

Nie mówi jednak dalej, tylko nasłuchuje. Nagle w kuchni rozlega się głośne przekleństwo, dreptanie, ciężkie kroki tu i tam. Naraz Friedrich ryczy bardzo głośno: – Zaraz zechcesz! Zaraz zechcesz!

A potem głośny krzyk. I jeszcze wścieklejsze przekleństwa. Drzwi zostają gwałtownie otwarte, tupot na korytarzu i do pokoju wpada wrzask Friedricha: – I co pan powie, panie komisarzu? Jak tylko doprowadziłem ją do tego, że mogła zacząć gadać do rzeczy, to ta świnia wyskoczyła mi przez okno!

Komisarz z wściekłością uderza go w twarz: – Przeklęty idioto, flaki ci powyrywam! Już, szybko!

I wybiega z pokoju, zbiega po schodach...

– Na podwórze! – woła Friedrich błagalnie, biegnąc za nim. – Upadła przecież na podwórze, nie na ulicę! Nie będzie żadnego zamieszania, panie komisarzu!

Nie otrzymuje odpowiedzi. Wszyscy trzej zbiegają po schodach, starając się robić jak najmniej hałasu w ogarniętym niedzielnym

spokojem domu. Ostatni biegnie, w odstępnie pół piętra, Baldur Persicke. Nie zapomniał zamknąć drzwi mieszkania Rosenthalów na klucz. Choć ogarnia go teraz strach, wie przecież, że to on odpowiada za wszystkie te piękne rzeczy w środku. Nic stamtąd nie może zginąć!

Przebiegają we trzech obok mieszkania Quangelów, Persicków, radcy sądowego w stanie spoczynku Fromma. Jeszcze tylko dwa półpiętra i będą na podwórzu.

Otto Quangel tymczasem wstał, umył się i przyglądał, jak żona przygotowuje śniadanie. Po śniadaniu mieli porozmawiać, na razie powiedzieli sobie tylko dzień dobry, ale było to przyjazne powitanie.

Nagle oboje się wzdrygają. W kuchni nad nimi słychać krzyk, nasłuchują, patrząc na siebie w napięciu i z troską. A potem w oknie kuchni miga jakiś cień, coś ciężkiego chyba spada – i już słyszą, jak ciężko upada na podwórze. Na dole ktoś krzyczy – jakiś mężczyzna. I zapada śmiertelna cisza.

Otto Quangel otwiera gwałtownie kuchenne okno, cofa się jednak, słysząc łoskot na schodach.

– Wyjrzyj na zewnątrz, Anno! – mówi. – Sprawdź, czy coś widać. Kobieta mniej się rzuca w oczy – chwytają za ramię i bardzo mocno ściska. – Nie krzycz! – mówi rozkazującym tonem. – Nie wolno ci krzyczeć! Tak, a teraz zamknij okno!

– Boże, Otto! – wzdycha pani Quangel i patrzy na swojego męża z pobladłą twarzą. – Rosenthalowa wypadła przez okno. Leży na dole na podwórzu. Obok niej stoi Barkhausen i...

– Cicho! – mówi Otto. – Teraz cicho! O niczym nie wiemy. Nic nie widzieliśmy i nic nie słyszeliśmy. Przynies kawę do pokoju!

A w środku jeszcze raz, z naciskiem: – Nic nie wiemy, Anno. Prawie w ogóle nie widywaliśmy Rosenthalowej. A teraz jedz! Jedz, mówię ci. I pij kawę! Gdy ktoś tu wejdzie, nic nie powinien po nas poznać!

Radca sądowy Fromm wciąż tkwił na swoim posterunku obserwacyjnym. Widział, jak dwóch cywili wchodziło po schodach, a teraz zbiegli po nich trzej mężczyźni – między nimi ten chłopak od Persicków. Coś się więc wydarzyło, a już służąca przynosi mu z kuchni wiadomość, że pani Rosenthal właśnie spadła z góry na podwórze. Popatrzył na nią przerażony.

Przez chwilę stoi bez ruchu. A potem kiwa powoli głową, kilka razy.

– Tak, Lizo – mówi. – Nie inaczej. Nie wystarczy tylko chcieć ratować. Ten ktoś musi się na ten ratunek jeszcze zgodzić. – A potem dodaje szybko: – Czy zamknęłaś okno w kuchni? – Liza kiwa głową. – Szybko, Lizo, doprowadź pokój panienki do porządku; nikt nie może zobaczyć, że ktoś z niego korzystał. Zabierz naczynia! Zabierz pościel!

Liza znowu kiwa głową.

A potem pyta: – A te pieniądze i biżuteria, co są na stole, panie radco?

Przez chwilę stoi tak nieco nieporadnie, wygląda żałośnie z bezradnym uśmiechem na twarzy. – Tak, Lizo – mówi w końcu. – Z tym będzie ciężko. Na pewno nie zgłoszą się żadni spadkobiercy. A dla nas to tylko kłopot...

– Wrzucę to do kubła na śmieci – zaproponowała Liza.

On potrząsa głową. – Są za sprytni na kubel na śmieci, Lizo – mówi.

– Od razu mogą zacząć grzebać w śmieciach! Cóż, pomyślę, co z tym zrobić. Sprzątnij szybko pokój! Mogą przyjść w każdej chwili!

Na razie stali jeszcze na podwórzu, razem z Barkhausenem.

Barkhausen najpierw się wystraszył, i to porządnie. Kręcił się po podwórzu od wczesnego rana, dręczony nienawiścią do Persicków i żądzą utraconych przedmiotów. Chciał przynajmniej wiedzieć, więc cały czas obserwował klatkę schodową, okna od podwórza...

Nagle coś upadło bardzo blisko niego, tak blisko i z tak dużej wysokości, że aż go musnęło. Ogarnął go taki strach, że oparł się o ścianę podwórza, a zaraz potem musiał usiąść na ziemi, zrobiło mu się ciemno

przed oczami.

A później zerwał się na nogi, bo nagle zauważył, że siedzi na podwórzu obok pani Rosenthal. Boże, więc ta stara kobieta wypadła przez okno, a on wie, kto jest temu winien.

Barkhausen od razu się zorientował, że kobieta nie żyje. Z ust pociekła jej odrobina krwi, ale to wcale jej nie oszpeciło. Na twarzy miała wyraz tak głębokiego spokoju, że nawet żaloszny mały szpicel odwrócił wzrok. Przy okazji spojrzął na jej ręce i zobaczył, że w jednej z nich coś trzyma, ozdobę z błyszczącymi kamieniami.

Barkhausen rozejrzał się wokół nieufnie. Jeśli miał coś zrobić, to musiał to zrobić szybko. Pochylił się i odwrócony od zmarłej, żeby nie musieć patrzeć jej w twarz, wyciągnął jej z dłoni bransoletkę z szafirami i schował do kieszeni swoich spodni. Ponownie rozejrzał się wokół podejrzliwie. Wydawało mu się, że u Quangelów ktoś ostrożnie zamknął okno.

I już biegną przez podwórze, trzech mężczyzn, a kim są tamci dwaj, to od razu się zorientował. Teraz chodzi tylko o to, żeby od początku odpowiednio się zachować.

– Pani Rosenthal właśnie rzuciła się z okna, panie komisarzu – powiedział, jakby meldował jakieś zupełnie zwyczajne zdarzenie. – Mała nie spadła mnie na głowę.

– A skąd pan mnie zna? – zapytał mimochodem komisarz, pochylając się razem z Friedrichem nad zmarłą.

– Nie znam pana, panie komisarzu – powiedział Barkhausen. – Tak sobie tylko pomyślałem. Bo mianowicie czasem robie jakąś robotkę dla pana komisarza Eschericha.

– Ach tak! – powiedział komisarz. – Ach tak. No to niech pan tutaj jeszcze postoi. Pan, młody człowieku – zwrócił się do Persickego – przypilnuje troszkę, żeby ten młodzieniec nam się nie zgubił. Friedrich,

zadbaj o to, żeby nikt nie wszedł na podwórze. Powiedz kierowcy, żeby uważał na bramę wjazdową. Ja pójdę teraz do jej mieszkania zatelefonować!

Gdy pan komisarz Rusch wrócił od telefonu na podwórze, sytuacja nieco się zmieniła. W oknach oficyny wszędzie widać było twarze, kilkoro ludzi stało na podwórzu – ale daleko. Ciało było przykryte prześcieradłem, nieco przykrótkim, nogi pani Rosenthal wystawały spod niego aż po kolana.

Pan Barkhausen natomiast położył nieco na twarzy i miał teraz na rękach kajdanki. Z boku podwórza obserwowała go w milczeniu żona i pięcioro dzieci.

– Panie komisarzu, ja protestuję! – wołał teraz Barkhausen żałośnie. – Ja na pewno nie wrzuciłem tej bransoletki do okienka piwnicy. Młody pan Persicke mnie nie cierpi...

Okazało się, że Friedrich, wróciwszy z wykonania swoich zadań, od razu zaczął szukać bransoletki. Pani Rosenthal miała ją przecież w kuchni w ręku – to właśnie z powodu tej bransoletki, której za nic nie chciała wypuścić, Friedrich trochę się zezłościł. I przez tę złość nie uważał jak trzeba, i ta paniusia mogła mu wywinąć numer z oknem. Bransoletka musiała więc leżeć gdzieś na podwórzu.

Gdy Friedrich zaczynał szukać, Barkhausen stał przy ścianie domu. Nagle Baldur Persicke spostrzegł, że coś błysnęło, a zaraz potem w okienku piwnicy rozległ się chrzęst. Od razu tam zajrzał i – patrzcie! – w okienku leży bransoletka!

– Ja jej tam na pewno nie wrzuciłem, panie komisarzu! – zapewnia wystraszony Barkhausen. – Musiała wypaść pani Rosenthal i wpaść do tej piwnicy!

– Więc to tak! – powiedział komisarz Rusch. – Więc to taki z ciebie ptaszek! Więc taki ptaszek pracuje dla mojego kolegi Eschericha! To się

dopiero mój kolega Escherich ogromnie ucieszy, jak o tym usłyszy!

Gderając tak, komisarz przesuwał jednak spojrzeniem od Barkhausena do Baldura Persiciego i z powrotem, tam i z powrotem. A potem powiedział: – Cóż, myślę, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby potowarzyszyć nam na małym spacerku? Prawda?

– Ależ oczywiście! – zapewnił Barkhausen, drżąc przy tym, a jego twarz pobladła jeszcze bardziej. – Oczywiście, że chętnie z wami pójdę! Przecie najbardziej zależy mi na tym, żeby wszystko zostało dokładnie wyjaśnione, panie komisarzu!

– No, to w takim razie pięknie! – odparł sucho komisarz. I zerknąwszy na Persiciego: – Friedrich, zdejmij mu kajdanki. Bez nich też pójdzie. Prawda?

– Oczywiście, że pójdę! Oczywiście, bardzo chętnie! – zapewnił gorliwie Barkhausen. – Nie ucieknę. A nawet gdyby, to i tak mnie przecie złapiecie, panie komisarzu!

– Słusznie! – odparł ten znów sucho. – Takiego ptaszka jak ty zawsze złapiemy! – Zmienił temat. – Jest już karetka. I policja. Postarajmy się szybko to załatwić. Dziś rano mam jeszcze sporo do roboty.

Później, gdy już „szybko to załatwili”, komisarz Rusch i młody Persicke weszli jeszcze raz na górę, do mieszkania Rosenthalów. – Idziemy tylko zamknąć okno w kuchni! – powiedział komisarz.

Na schodach młody Persicke nagle się zatrzymał. – Czy coś nie zwróciło pana uwagi, panie komisarzu? – zapytał szeptem.

– Różne rzeczy zwróciły moją uwagę – odparł komisarz Rusch. – Ale co też na ten przykład zwróciło twoją uwagę, mój chłopcze?

– Nie dziwi pana, jak cicho jest w kamienicy? Nie zwrócił pan uwagi, że w oknach nie pojawiła się ani jedna głowa, a w oficynie aż się roiło od gapiów! To przecież podejrzanе. Ci tutaj, w kamienicy, musieli przecie coś zauważyć. Tylko nie chcieli tego zauważyć. Powinien pan natychmiast

zarządzić u wszystkich rewizję, panie komisarzu!

– A zacząłbym od Persicków – odpowiedział komisarz, wchodząc spokojnie po schodach. – U nich też nikt nie wyjrzał przez okno.

Baldur roześmiał się zakłopotany. – Moi bracia, co są w SS – wyjaśnił – obaj wczoraj wieczorem kompletnie się upili...

– Mój kochany synu – kontynuował komisarz, jakby nic nie usłyszał. – To, co robię, to moja sprawa, a co ty robisz, to twoja sprawa. Nie życzę sobie od ciebie żadnych porad. Jesteś na to zbyt zielony. – Spojrzał przez ramię, rozbawiony w duchu, na strapioną twarz chłopca. – Chłopcze – powiedział potem – jeśli nie robię tutaj rewizji, to tylko dlatego, że mieli o wiele za dużo czasu, żeby usunąć wszystko, co mogło ich obciążać. I po co tyle zamieszania o jedną martwą Żydówkę? Mam dość roboty z żywymi.

Tymczasem dotarli do mieszkania Rosenthalów. Baldur otworzył. Zamknęli okno w kuchni i podnieśli krzesło, które się przewróciło.

– No! – powiedział komisarz Rusch, rozglądając się. – I wszystko w najlepszym porządeczku!

Przeszedł do pokoju i usiadł na kanapie, dokładnie w tym miejscu, gdzie godzinę wcześniej potrząsnął starą panią Rosenthal tak, że całkiem straciła przytomność. Wyciągnął się wygodnie i powiedział: – A więc, mój synu, przynieś no nam butelkę koniaku i dwa kieliszki!

Baldur poszedł, wrócił i nalał koniak. Unieśli ku sobie kieliszki.

– Pięknie, mój synu – powiedział komisarz uprzejmie, zapalając papierosa – a teraz opowiedz mi, co wyście tu wcześniej kombinowali z tym mieszkaniem razem z Barkhausenem?

Gdy dostrzegł oburzoną minę młodego Baldura Persickego, dodał pośpiesznie: – Dobrze się zastanów, mój synu! Możliwe, że na Prinz-Albrecht-Straße zabiorę też przywódcę Hitlerjugend, jeśli będzie mi bezwstydnie wciskać jakiś kit. Zastanów się, czy nie wolisz powiedzieć

prawdy. Może prawda pozostanie tylko między nami, zobaczymy, co masz do powiedzenia. – A gdy dostrzegł, że Baldur się waha: – Poczynilem mianowicie parę spostrzeżeń, nazywamy je obserwacjami. Na ten przykład tam z tyłu na pościeli są ślady twoich podeszew. A przecież w tamten kąt wcale dziś nie wchodziłeś. I skąd od razu wiedziałeś, że tu jest koniak i gdzie stoi? I jak myślisz, co opowie mi ten wystraszony Barkhausen? Nie, czy ty sądzisz, że ja muszę tu siedzieć i pozwalać ci się okłamywać? Na to jesteś zbyt zielony!

Zrozumiał to też Baldur i wszystko opowiedział. – Ach tak! – stwierdził na koniec komisarz.

– Ach tak. No cóż, każdy robi, co może. Głupi głupoty, a mądrzy czasem jeszcze większe głupoty. No, mój synu, na koniec nabrałeś jednak rozumu i nie okłamałeś ojczulka Ruscha. Należy ci się nagroda. Co chciałbyś sobie stąd wziąć?

Oczy Baldura zaślniły. Przed chwilą był zupełnie zniechęcony, lecz teraz dostrzegł światełko w tunelu.

– Radio z gramofonem i płyty, panie komisarzu! – szepnął pożądliwie.

– No dobrze! – stwierdził komisarz łaskawie. – Powiedziałem ci, że nie wrócę tu przed szóstą. Jeszcze coś?

– Może jedną albo dwie walizki z bielizną! – poprosił Baldur. – Moje matce bardzo brakuje bielizny!

– Boże, jakie to wzruszające! – zadrwił komisarz. – Co za czuły synek! Prawdziwy, wzruszający synek mamusi! Jeśli o mnie chodzi, proszę bardzo! Ale na tym koniec! Za wszystko inne odpowiadasz przede mną! A ja mam cholernie dobrą pamięć, gdzie co stoi i leży, i mnie tak łatwo nie oszukasz! I jak już powiedziałem, w przypadku jakiegokolwiek wątpliwości rewizja w mieszkaniu Persicków. Bo przecież na pewno znajdziemy tam radio z gramofonem i dwie walizki z bielizną. Ale nie bój się, synu, dopóki będziesz uczciwy, ja też będę.

Podszedł do drzwi. Przez ramię rzucił jeszcze: – Poza tym, gdy ten Barkhausen się tu znowu pojawi, to żadnych rozrób. Nie życzę sobie, zrozumiano?

– Tak jest, panie komisarzu – odparł posłusznie Baldur Persicke i obaj panowie rozstali się po owym jakże owocnie spędzonym poranku.

ROZDZIAŁ 17.

Anna Quangel także się uwalnia

Dla państwa Quangelów ten poranek nie był tak owocny, a przynajmniej nie doszło do upragnionej przez panią Annę rozmowy.

– Nie – odparł Quangel na jej ponaglenia. – Nie, matko, nie dziś. Ten dzień źle się zaczął, w taki dzień nie mogę zrobić tego, co zamierzałem. A jeśli nie mogę tego zrobić, to nie chcę też o tym mówić. Może w następną niedzielę, zgodzisz się? Tak, znowu któryś z Persicków wlecze się po schodach, nie, zostaw! Żeby tylko dali nam w końcu spokój!

Lecz Otto Quangel był tej niedzieli wyjątkowo łagodny. Anna mogła mówić o poległym synu, ile chciała, nie kazał jej się zamknąć. Przejrzał z nią nawet te nieliczne fotografie z synem, które miała, a gdy przy tym znowu zaczęła płakać, położył jej rękę na ramieniu i powiedział: – Daj spokój, matka, daj spokój. Kto wie, może to dobrze, że tyle zostało mu oszczędzone.

Tak więc ta niedziela nawet bez rozmowy była udana. Anna Quangel już dawno nie widziała swojego męża takiego delikatnego, jakby słońce jeszcze raz zaświeciło nad ziemią, ostatni raz, zanim nadejdzie zima, która skryje wszelkie życie pod pokrywą z lodu i śniegu. W kolejnych miesiącach, podczas których Quangel robił się coraz bardziej chłodny i milczący, często wspominała tamtą niedzielę, była dla niej jednocześnie pociechą i zachętą.

Potem zaczął się kolejny tydzień pracy, jeden z tych zawsze identycznych tygodni pracy, które są takie same bez względu na to, czy na zewnątrz kwitną kwiaty, czy sypie śnieg. Robota zawsze była taka sama, a

i ludzie pozostawali tacy, jacy byli.

W tym tygodniu Otto Quangel miał tylko jedną przygodę, bardzo małą. Gdy szedł do fabryki, na Jablonskistraße spotkał idącego w przeciwną stronę radcę sądowego w stanie spoczynku Fromma. Quangel pozdrowiłby go, ale bał się, że zobaczą ich Persickowie. Nie chciał też, żeby Barkhausen, którego według opowieści Anny zabrało Gestapo, coś zobaczył. Barkhausen był już z powrotem w domu, jeśli w ogóle dłużej go nie było, i kręcił się przed kamienicą.

Tak więc Quangel minął radcę, nawet na niego nie patrząc. Ten widocznie nie miał tylu wątpliwości, w każdym razie uniósł lekko kapelusz przed sąsiadem, uśmiechnął się oczami i wszedł do kamienicy.

Bardzo słusznie! – pomyślał. – Kto to widział, ten pomyśli: Ten Quangel zawsze już będzie nieokrzesanym gburem, a radca sądowy to kulturalny człowiek. Ale że ci dwaj mają ze sobą coś wspólnego, na to nikt nie wpadnie!

Anna Quangel miała natomiast w tym tygodniu ciężkie zadanie do wykonania. Gdy zasypiali w niedzielę, jej mąż powiedział przecież: – Postaraj się wypisać ze Związku Kobiet. Ale tak, żeby nikt nie zwrócił na to uwagi. Ja już się uwolniłem od stanowiska we Froncie Pracy.

– Och, na Boga! – wykrzyknęła. – Otto, jak ty to zrobiłeś? Dlaczego pozwolili ci odejść?

– Z powodu wrodzonej durnowatości – odparł Quangel niezwykle pogodnie, kończąc tym samym rozmowę.

Ona jednak miała swoje zadanie dopiero przed sobą. Za durnowatość jej nie puszcza, za dobrze ją znali, musiała wymyślić coś innego. Anna Quangel myślała nad tym w poniedziałek i we wtorek, a w środę uznała, że w końcu już wie. Jeśli w jej przypadku durnowatość nie zadziała, to może w takim razie przemądrzałość. Gdy ktoś jest przemądrzały, za dużo wie, jest zbyt sprytny, to będzie przeszkadzać im jeszcze bardziej niż

lekkodurnowaty. Przemądrzałość w połączeniu z nadmiarem zapału, tak, tak właśnie musi być.

Nie zwlekając, Anna Quangel wyruszyła w drogę. Chciała mieć tę sprawę z głowy jak najszybciej, chciała, jeśli jej się jakoś uda, jeszcze dziś w nocy zameldować Ottonowi, że załatwiła to tak jak on, to znaczy, nie stając się osobą niepożądaną ze względów politycznych. Musiała zniechęcić ich na zawsze do zajmowania się jej osobą. Nawet jak sobie przypomną o Quangelowej, to mają pomyśleć tylko: Ach, ona w ogóle się do tego nie nadaje! Co też jej się w głowie roi!

Do głównych obowiązków Anny Quangel należało w owym czasie, gdy nie zaczęto jeszcze właściwie importować przymusowych robotników i nie mianowano nawet specjalnego pełnomocnika Führera w randze ministra odpowiedzialnego za ów niewolniczy biznes – a więc do jej głównych obowiązków należało wykrywanie pośród niemieckich towarzyszek ludowych tych, które wymigiwały się od pracy w zakładach zbrojeniowych, stając się tym samym, podług zwyczajowej terminologii partyjnej, zdrajczyniami Führera i własnego narodu. Minister Goebbels^[35] w pewnym złośliwym artykule dopiero co zwrócił uwagę na owe uszmkowane damy, które już niedługo nie zdołają uchronić swoich polakierowanych na czerwono paznokci przed pracą dla narodu – i to nie tylko przed pracą biurową!

Co prawda w kolejnym artykule, wymuszonym przez damy z jego kręgów, minister pośpieszył dodać, że czerwone paznokcie i zadbane

[35] Józef Goebbels (1897-1945) – działacz nazistowski, członek NSDAP od roku 1924, od 1926 gauleiter Berlina, od roku 1933 szef Ministerstwa Oświecenia Publicznego i Propagandy Rzeszy, przewodniczący Izby Kultury Rzeszy (nadzorującej wszelkie obszary życia kulturalnego), należał do najwęższego kręgu przywódców, jako poplecznik Hitlera uczestniczył w realizacji nazistowskich zbrodni, po samobójstwie Hitlera odebrał sobie życie.

wygląd wcale nie są oznakami osobników aspołecznych i niechętnych do pracy. Wyraźnie ostrzegł przed zaczepianiem kogokolwiek tylko z ich powodu! Partia w swej sprawiedliwości zweryfikuje dokładnie każdy zgłoszony przypadek. Otworzył tym samym drzwi do wyraźnie zaplanowanej powodzi donosów.

Tak jak to się zdarzało i wcześniej, i później, minister swoim pierwszym artykułem pobudził najniższe instynkty gawiedzi, a Anna Quangel dostrzegła w tym swoją szansę. Choć w jej rejonie mieszkali w większości tylko prości ludzie, to znała jednak pewną damę, do której opis ministra pasował idealnie. Anna Quangel uśmiechnęła się na samą myśl, jakie skutki może mieć jej wizyta.

Wytypowana przez nią dama mieszkała w wielkim domu przy Friedrichshain, a pani Quangel zwróciła się do otwierającej drzwi pokojówki z opryskliwością, chcąc pokryć swą własną niepewność, która nagle ją ogarnęła: – Och, też coś, „sprawdzę, czy łaskawa pani przyjmuje”! Przychodzę w imieniu Narodowosocjalistycznego Związku Kobiet, muszę z nią porozmawiać i rozmawiam! – Poza tym, panienko – dodała nagle ściszym głosem – dlaczego „łaskawa pani”? W Trzeciej Rzeszy nie ma już czegoś takiego! Wszyscy pracujemy dla naszego ukochanego Führera – każdy na swoim stanowisku! Chcę się widzieć z panią Gerich!

Nie wiadomo, dlaczego pani Gerich przyjęła wysłanniczkę Narodowosocjalistycznego Związku Kobiet, czy dlatego, że była lekko zaniepokojona reakcją pokojówki, czy też po prostu z nudów, żeby skrócić ciągnące się bez końca popołudnie choćby o pół godziny. W każdym razie przyjęła panią Quangel.

Wyszła z rozkosznym uśmiechem na środek swego zbytkownego salonu, a pani Quangel wystarczyło jedno spojrzenie, żeby stwierdzić, że pani Gerich rzeczywiście jest osobą, jakiej szuka: długonogą blondynką,

wymalowaną i wyperfumowaną, z górą loków i loczków nad czołem. Z czego połowa to sztuczne! – uznała natychmiast Anna Quangel. To stwierdzenie przywróciło jej nieco pewności siebie, która zaczęła się chwiać na widok tego naprawdę wspaniałego pokoju, pokoju pełnego jedwabnych dywanów, kanap, foteli i fotelików, stolików i stoliczków, gobelinów i niezliczonej liczby lśniących lamp i lampek, jakiego Anna Quangel jeszcze nigdy w swoim życiu nie widziała, nawet u pewnych naprawdę eleganckich państwa, u których pracowała przed ponad dwudziestu laty.

Dama powitała Annę jak należy, choć tylko z lekkim uniesieniem ręki: – Heil Hitler! – Anna Quangel z powagą i dokładnością skorygowała tę niedbałość swoim energicznym „Heil Hitler!”.

– Przychodzi pani w imieniu Narodowosocjalistycznego Związku Kobiet, dobrze zrozumiałam, pani...? – Dama odczekała chwilę, ale ponieważ nie podano jej nazwiska, uśmiechnęła się lekko i powiedziała: – Ależ proszę, niech pani siada! Na pewno chodzi o jakąś zbiórkę. Chętnie się dokładam, jeśli tylko mogę.

– Tu nie chodzi o żadną zbiórkę! – Anna Quangel wyrzuciła z siebie te słowa niemal z gniewem. Nagle poczuła głęboką niechęć do tej pięknej istoty, która była tylko kobietą, a nigdy nie będzie żoną ani matką, jaką była i wciąż jest Anna Quangel. Nienawidziła i pogardzała tą drugą, bo ta nigdy nie uznałaby więzi, które Annie Quangel zawsze wydawały się święte i nienaruszalne. To wszystko tutaj to tylko gierka, ona nie była zdolna do prawdziwej miłości i zależało jej tylko na tych sprawach, które Anna uważała za nieistotny element jej małżeństwa z Ottonem. – Nie, to żadna zbiórka! – rzuciła jeszcze raz niecierpliwie. – Tu chodzi o to...

Przerwano jej po raz kolejny. – Ależ proszę, naprawdę, niech pani usiądzie! Nie mogę siedzieć, gdy pani tu tak stoi, a ponieważ jest pani starsza...

– Nie mam czasu! – powiedziała Anna Quangel. – Jeśli pani chce, niech pani wstanie, może sobie pani też dalej siedzieć. Mnie to nie robi żadnej różnicy!

Pani Gerich zmrużyła nieco oczy i w zdumieniu przyjrzała się tej pocziwej kobiecie z ludu, która traktowała ją tak obcesowo. Wzruszyła lekko ramionami i powiedziała, wciąż rozkosznym tonem, ale już nie tak bardzo uprzejmie: – Jak pani sobie życzy! Będę więc siedzieć. Mówiła pani...

– Chcę panią zapytać – rzekła pani Quangel zdecydowanie – dlaczego pani nie pracuje. Na pewno czytała pani wezwania, że każdy, kto jeszcze nie ma zatrudnienia, powinien pracować dla przemysłu zbrojeniowego. Dlaczego więc pani nie pracuje? Jakie ma pani ku temu powody?

– Mam jeden bardzo dobry powód – powiedziała pani Gerich spokojnie i pogodnie, spoglądając bez ironii na spracowane, przebarwione od szorowania warzyw dłonie swojego gościa. – A mianowicie taki, że nigdy w życiu nie pracowałam fizycznie. W żaden sposób nie nadaję się do pracy fizycznej.

– A czy kiedykolwiek pani próbowała?

– Nie mam zamiaru rozchorować się przez takie próby. W każdej chwili mogę przynieść zaświadczenie lekarskie, że...

– Wierzę! – przerwała jej Anna Quangel. – Zaświadczenie za dziesięć albo dwadzieścia marek! Ale w tej sprawie nie obowiązują zaświadczenia usłużnych lekarzy prywatnych. O pani zdolności do pracy zdecyduje lekarz zakładowy w fabryce, do której zostanie pani skierowana!

Pani Gerich przez chwilę wpatruje się w zagniewaną twarz tej kobiety. A potem wzrusza ramionami. – Już dobrze, niech mnie pani skieruje do jakiegoś zakładu! Przekona się pani, co z tego wyjdzie!

– To pani się przekona! – Anna Quangel wyjęła zeszyt, zeszyt oprawiony w woskowane płótno, taki, jakich używają dzieci w szkole.

Podeszła do stolniczka, z irytacją odsunęła misę z kwiatami i zanim zaczęła pisać, zwilżyła ołówek czubkiem języka. Robiła to wszystko świadomie, chciała tę drugą zdenerwować. Nie mogła osiągnąć celu swej wizyty, zanim nie zburzy pełnego ironii spokoju gospodyni i nie wzbudzi jej gniewu.

Kim był ojciec? Mistrzem ciesielskim, ta... – i niby nigdy w życiu nie pracowała fizycznie! To się jeszcze zobaczy. Ile osób liczy gospodarstwo domowe? Trzy osoby? Razem z pomocą domową? A więc właściwie dwie osoby...

– Naprawdę nie może pani sama zadbać o swojego męża? Kolejna osoba odebrana przemysłowi zbrojeniowemu, zanotuję to sobie! Dzieci oczywiście pani nie ma?

Gospodyni krew napłynęła nagle do twarzy, dostrzec to można było jednak tylko tuż przy skroniach, tak mocno była umalowana. Lecz żyłka idąca przez czoło do nasady nosa zaczęła nabrzmiwać i pulsować.

– Nie, dzieci oczywiście nie mam! – powiedziała pani Gerich, teraz już ostrym tonem. – Ale może sobie pani zanotować, że trzymam dwa psy!

Anna Quangel wyprostowała się sztywno i popatrzyła na tę drugą lśniącem ponuro wzrokiem. (W tym momencie zupełnie zapomniała, po co składa tę wizytę).

– Co też pani powie! – wykrzyknęła, celowo nadając swojemu głosowi prostacki ton. – Czy pani chce sobie zadrwić ze mnie i ze Związku Kobiet? Chce się pani może pośmiać z przepisów o zatrudnieniu i z naszego Führera? Ostrzegam panią!

– A ja ostrzegam panią! – wykrzyknęła na to pani Gerich. – Pani chyba nie zdaje sobie sprawy, u kogo pani gości! Ja miałabym się śmiać z

przepisów! Mój mąż jest Obersturmbannführerem!^[36]

– Ach tak! – powiedziała Anna Quangel. – Ach tak! – mówiła teraz nagle zupełnie opanowanym głosem. – No cóż, mam już pani dane, zostanie pani powiadomiona! Chyba że ma pani jeszcze jakieś inne obowiązki? Na przykład opiekuje się pani chorą matką?

Pani Gerich tylko lekceważąco wzruszyła ramionami. – Zanim pani wyjdzie – powiedziała – chciałabym jednak zobaczyć pani dowód tożsamości. Chętnie też zanotuję sobie pani nazwisko.

– Proszę! – odpowiedziała pani Quangel, wręczając jej swój dowód. – Wszystko tam jest. Kart wizytowych niestety nie posiadam.

Dwie minuty później pani Quangel wyszła, a trzy minuty później wytrącona z równowagi i zalana łzami dama zadzwoniła do Obersturmbannführera Gericha i opowiedziała mu, szlochając i od czasu do czasu tupiąc z wściekłości nogami, o niesłychanej zniewadze, jaką uczyniła jej pewna wysłanniczka Związku Kobiet.

– Nie, nie, nie – Obersturmbannführerowi udało się w końcu wtrącić uspokajającym tonem. – Oczywiście sprawdzimy to w ramach partii. Ale musisz pamiętać, że kontrole są niezbędne. Oczywiście, że to głupota przychodzić do ciebie z czymś takim. Zadbam o to, żeby to się już nigdy więcej nie powtórzyło!

– Nie, Ernście! – rozległ się wrzask po drugiej stronie linii. – Nic takiego nie zrobisz! Zadbasz o to, żeby ta kobieta błagała mnie o wybaczenie. Już sam ton, jakim się do mnie zwracała! „Dzieci oczywiście nie ma!” – tak powiedziała. Ona obraziła przez to także ciebie, Ernście, nie rozumiesz tego?

Obersturmbannführer musiał to w końcu zrozumieć, obiecał swojej „słodkiej Claire” wszystko, żeby tylko ją uspokoić. Tak jest, będzie cię

[36] Obersturmbannführer – paramilitarny stopień oficerski w SS i SA, odpowiadający randze podpułkownika w siłach zbrojnych Rzeszy.

blała o wybaczenie. Tak jest, jeszcze dzisiaj. Oczywiście, że załatwi bilety do opery, a potem może pójdą do Feminy, żeby się troszkę rozerwała i uspokoiła? Tak jest, natychmiast zarezerwuje dla nich stolik, a może jej uda się skrzyknąć telefonicznie kilkoro przyjaciół i przyjaciółek?

Zapewniwszy w ten sposób żonie jakieś odwracające jej uwagę zajęcie, kazał połączyć się z głównym kierownictwem Związku Kobiet i ostrym tonem zganił je za uczynioną mu zniewagę. Czy naprawdę do takich zadań nie mogą wyznaczyć nikogo lepszego niż tego rodzaju pospolita kobieta? To będzie prawdopodobnie wymagać dokładnego sprawdzenia! Tak jest, ta Quangel, Quingel, Quongel czy jak jej tam ma prosić jego żonę o wybaczenie! Jeszcze dziś wieczór, bardzo mu na tym zależy! Czeka na natychmiastowe powiadomienie o postępach w tej sprawie!

Gdy Obersturmbannführer w końcu się rozłączył, był nie tylko purpurowy na twarzy, lecz także stanowczo przekonany, że został w sposób niewybaczalny ciężko znieważony. Natychmiast zadzwonił do swojej słodkiej Claire, lecz próbował co najmniej dziesięć razy, zanim udało mu się uzyskać połączenie, ponieważ ona właśnie informowała szczegółowo swoje przyjaciółki o doznanej zniewadze.

Przeprowadzona przez jej męża rozmowa telefoniczna przesiąkała w berlińską sieć, rozprzestrzeniała się, biegła to tu, to tam, zasięgano informacji, dopytywano się, poszeptowano w ścisłej tajemnicy. Momentami wydawało się, że zupełnie odbiega od swego pierwotnego celu, lecz dzięki doskonałości i niezawodności systemu samodzielnego wybierania numerów zawsze jakoś znajdowała drogę z powrotem, aż w końcu nabrzmiała do rozmiarów lawiny i trafiła do owego małego biura Związku Kobiet, któremu podlegała Anna Quangel. Miały w nim w tym momencie służbę (honorową) dwie damy, jedna siwowłosa i chuda z Krzyżem Matki, a druga pulchna i jeszcze młoda, lecz po męsku obcięta i z odznaką partyjną na wypiętej piersi.

Oberwało się tej siwowłosej, to ona pierwsza sięgnęła po telefon, to na nią spadła najpierw ta lawina. Została całkowicie zasypana, wymachiwała bezradnie ramionami, rzucała błagalne spojrzenia na pulchną, próbowała wtrącić choć parę słów: – Ale ta Quangel to kobieta godna zaufania. Znam ją od lat...

Nadaremnie, nic nie mogło jej uratować! Nikt nie będzie niczego owijać w bawełnę, nawet w ramach Związku Kobiet, jednoznacznie dano jej do zrozumienia, jaki bałagan panuje w jej biurze. Będzie sobie mogła pogratulować, jeśli wyjdzie z tego obronną ręką. A jeśli chodzi o tę Quangel – to oczywiście dziś jeszcze ma zostać raz na zawsze zwolniona i do tego ma prosić o wybaczenie, jeszcze dziś! Tak jest, Heil Hitler!

I gdy tylko siwowłosa odłożyła słuchawkę, i zaczęła, wciąż drżąc na całym ciele, zdawać pulchnej relację, telefon znów się rozdzwonił, bo jakaś kolejna zwierzchnia jednostka poczuła się powołana do wrzeszczenia, łajania i rzucania gróźb.

Tym razem trafiło na pulchną. I ona zachwiała się pod atakiem, ona również cała się trzęsła, gdyż choć należała do partii, to jej mąż uchodził za politycznie niegodnego zaufania, ponieważ jako adwokat przed rokiem 1933 często bronił przed sądem „czerwonych”. Taka sprawa mogła im poprzetrzącać karki. Próbowała okazać poddańczość, usłużność, najgłębsze oddanie.

– Tak jest, to pożałowania godne przeoczenie... Ta kobieta chyba oszalała... Oczywiście wszystko zostanie załatwione, jeszcze dziś wieczór. Osobiście udam się...

Daremnie, wszystko to daremnie! Lawina przetoczyła się po niej, gruchocząc wszystkie kości. Czowała się jak wyżęta ścierka.

A po jednym telefonie następował kolejny. Zupełnie jakby rozpętało się piekło! Ledwo nadązały złapać oddech przed odebraniem kolejnego telefonu. W końcu uciekły z biura, niezdolne po prostu dalej wysłuchiwać

wciąż tych samych obelg. Nawet gdy zamykały drzwi, wciąż słyszały, że telefon nadal domaga się głośno ofiary, ale już nie wróciły. Nie ma mowy, za żadne skarby świata! Wystarczy im na dziś, na jutro i na najbliższe lata!

Przez chwilę w milczeniu maszerowały w kierunku swego celu, czyli mieszkania Quangłów. A potem jedna z nich powiedziała: – Już ja jej dam, żeby sprowadzić na nas takie kłopoty!

Na to ta z odznaką partyjną: – Tak jest. Ta Quangel może nas nic nie obchodzić! Ale przecież pani wie, człowiek i bez tego ma dość kłopotów...

– Oczywiście! – odparł krótko Krzyż Matki, myśląc o synu, tym który walczył w Hiszpanii, tyle że po tej zlej, czyli czerwonej stronie.

Rozmowa z panią Anną Quangel przebiegała jednak zupełnie inaczej, niż obie oczekiwały. Pani Quangel nie dała się ani skrzyczeć, ani zastraszyć.

– Niech mi panie najpierw wyjaśnią, co takiego źle zrobiłam. Tu są moje notatki. Pani Gerich podlega ustawie o obowiązku pracy...

– Ależ najdroższa – to powiedziała ta pulchna – tu w ogóle nie o to się rozchodzi. Ona jest żoną Obersturmbannführera. Chyba pani rozumie?

– Nie! Co to ma do rzeczy? Gdzie jest napisane, że żony wyższych dowódców są zwolnione? Nic mi na ten temat nie wiadomo!

– Niech pani nie będzie taka nierozumna! – rzekła surowo siwowłosa.
– Jako żona wyższego dowódcy pani Gerich ma więcej obowiązków. Musi dbać o swojego zapracowanego męża.

– Ja też.

– Ma spore obowiązki reprezentacyjne.

– A cóż to takiego?

Nic się nie da zrobić z tą kobietą, nic z tego nie będzie, w ogóle nie widzi swojego błędu. Nie potrafi pojąć, że wyżsi dowódcy wraz ze wszystkimi swoimi krewnymi i powinowatymi są zwolnieni z wszelkich obowiązków wobec państwa i społeczeństwa.

To ta pulchna ze swastyką odkrywa w swoim mniemaniu prawdziwy powód uporu Anny Quangel. Zauważa na ścianie zdjęcie bladego, wyglądającego na niedożywionego chłopca, ozdobione wiankiem i żałobną wstążką.

– Pani syn? – pyta.

– Tak – odpowiada Anna Quangel krótko i oschle.

– Pani jedynak, on poległ?

– Tak.

Siwowłosa z Krzyżem Matki mówi łagodnie: – Nie powinno się sprowadzać na świat tylko jednego syna!

Anna Quangel ma na końcu języka ciętą ripostę. Lecz się powstrzymuje. Nie chce wszystkiego zepsuć.

Obie panie wymieniają spojrzenia. Wszystko jest już dla nich jasne. Ta kobieta straciła jedynego syna, a potem widzi taką damę i sądzi, że ta chce się wymigać od najdrobniejszego obowiązku, nie chce ponieść najmniejszej ofiary... To musiało się źle skończyć.

Pulchna mówi: – Zdobędzie się więc pani na małe przeprosiny?

– Jak tylko mi panie udowodnią, że nie mam racji.

Siwowłosa: – Przecież przed chwilą to pani udowodniłam!

– W takim razie nie zrozumiałam. Najwyraźniej jestem za głupia.

– No pięknie. Wobec tego spróbujemy załatwić to same. Nie będzie to łatwe.

– *Ja* o to pań wcale nie proszę!

– A poza tym, pani Quangel, przede wszystkim musi pani pomyśleć o tym, jak się chronić. Ciągła bieranina, a do tego jeszcze ten kłopot. Przecież była pani naszą najpracowitszą członkinią.

– A więc mnie wyrzucacie! – stwierdza Anna Quangel. – Bo raz powiedziałam jakiejś damulce prawdę!

– Ależ nie, na miłość boską, niech pani tego tak nie odbiera! Na

razie na wszelki wypadek będzie pani na urlopie. Ściągniemy panią z powrotem...

Drogę powrotną do Friedrichshain obie panie pokonały w milczeniu. Każda zagłębiła się w swoich myślach. Chyba powinny były być ostrzejsze wobec tej Quangel, też ją zgromić i na nią powrzeszczyć. Lecz to nie było im dane – należą do tych, którzy zawsze są potulni i bezbronni. A ponieważ to wiedzą, są popychadłami dla każdego, kto umie wrzeszczyć. Żeby tylko dobrze im poszło z wizytą u tej ważnej damy, żeby tylko udało im się osiągnąć jakiś w miarę zadowalający efekt (mimo że nie przyprowadziły głównej winowajczyni).

Mają jednak szczęście. Przez te wszystkie telefony, wrzaski, wizyty zrobiło się już dość późno. Łaskawa pani właśnie się ubiera, łaskawa pani wybiera się do opery. Ale mogą poczekać na taboretach w hallu.

Po piętnastu minutach pokojówka pyta je, o co tak właściwie chodzi. Opowiadają służącej z ubolewaniem o sprawie, a ona im przekazuje, żeby czekały dalej.

Lecz właściwie ta sprawa już pani obersturmbannführerowej Gerich nie interesuje. Rozmawiała z przyjaciółkami przez telefon trzy godziny, wykapała się, czekają opera, a potem przyjemny wieczór w Feminie – czy jakaś kobiecina z ludu może interesować damę z towarzystwa? Tak więc po kolejnym kwadransie Claire mówi do swojego Ernsta: – Ach, pójdź tam, pokrzycz na nie trochę i odeślij je! Nie chcę sobie tym popsuć wieczoru.

Obersturmbannführer schodzi więc na chwilę do hallu i krzyczy na gości. Nie orientuje się przy tym wcale, że żadna z kobiet nie jest właściwą winowajczynią. Jest mu to zupełnie obojętne, wrzeszczy, a potem je wyrzuca. Sprawa zostaje ostatecznie załatwiona.

Obie panie idą do domu. Pulchna mówi: – Właściwie to ja trochę rozumiem tę Quanglową.

Siwowłosa myśli o swoim synu i mocno zaciska usta.

Pulchna kontynuuje: – Czasem niemal żałuję, że nie jestem tylko prostą robotnicą, że nie mogę zniknąć w tłumie. Człowiek jest wykończony tą ciągłą ostrożnością, tym nigdy nieodpuszczającym lękiem...

Krzyż Matki potrząsa głową. – Ja bym tak nie mówiła – stwierdza krótko. I dodaje, gdy ta druga milknie urażona: – W każdym razie załatwiłyśmy tę sprawę najlepiej jak się dało, nawet bez Quanglowej. Wyraźnie powiedział, że dla niego ta sprawa jest załatwiona, i to właśnie prześlemy gorze.

– I że ta Quangel została zwolniona!

– Oczywiście, to też! Nigdy więcej nie chcę jej widzieć w naszym biurze!

I nigdy jej już nie zobaczyły. A Anna Quangel mogła zameldować mężowi o swoim sukcesie, i choć dokładnie ją wypytywał, wyglądało na to, że faktycznie jej się udało. Oboje Quanglowie pozbyli się swoich stanowisk, nie narażając się na niebezpieczeństwo.

ROZDZIAŁ 18.

Pierwsza kartka zostaje napisana

Reszta tygodnia minęła bez żadnych szczególnych wydarzeń i znów nadeszła niedziela, niedziela, podczas której miała nastąpić tak bardzo wyczekiwana przez Annę Quangel i od tak dawna odkładana rozmowa z Ottonem na temat jego zamierzeń. Wstał późno, ale był w dobrym humorze i spokojny. Gdy pili kawę, od czasu do czasu zerkąła na niego z boku zachęcająco, lecz on zdawał się tego nie dostrzegać, jadł chleb, żując powoli, i mieszał jednocześnie kawę łyżeczką.

Anna z trudem zdecydowała się na sprzątniecie naczyń. Lecz tym razem naprawdę nie do niej należało powiedzenie pierwszego słowa. Obiecał jej rozmowę w tę niedzielę i z pewnością dotrzyma słowa, jakiegokolwiek przypomnienia z jej strony wyglądałyby na ponaglanie.

Wstała więc z cichutkim westchnieniem i zaniósła filiżanki i talerze do kuchni. Gdy wróciła, żeby zabrać koszyk na chleb i dzbanek, klęczał przed komodą, grzebiąc w jednej z szuflad. Anna Quangel nie mogła sobie przypomnieć, co w tej szufladzie trzymają. Tam mogły być tylko jakieś stare, dawno zapomniane świstki. – Szukasz czegoś konkretnego, Otto? – zapytała z typową dla berlińczyków ironią.

Lecz on tylko coś mruknął, więc wycofała się do kuchni, żeby pozmywać i przygotować obiad. Nie chciał. On znowu nie chciał! A ona była coraz mocniej przekonana, że coś w nim dojrzewa, coś, o czym ona wciąż nic nie wie, a powinna!

Później, gdy z powrotem weszła do pokoju, żeby usiąść obok niego do obierania kartofli, odkryła, że siedzi przy odkrytym stole, na blacie leży

pełno ośników stolarskich^[37], a drobne wióry sypią się już na podłogę. – Co ty robisz, Ottonie? – zapytała niezmiernie zdumiona.

– Zobaczymy, czy jeszcze pamiętam, jak się struga w drewnie – odparł.

Była niezmiernie rozczarowana i nawet odrobinę rozdrażniona. Mimo że Otto nie był znawcą ludzkiej duszy, to jednak musiał się zorientować, jak ona się czuje, z jakim napięciem czeka na jakikolwiek komunikat z jego strony. A on wygrzebał te swoje ośniki z pierwszych lat ich małżeństwa i wycinał w drewnie zupełnie jak wtedy, gdy doprowadzał ją do rozpaczony tym swoim wiecznym milczeniem. Wtedy nie była jeszcze tak przyzwyczajona do jego małomówności jak dziś, lecz dziś, akurat dziś, kiedy jest do tego przyzwyczajona, wydawała się jej ona kompletnie nie do zniesienia. Wycinanie w drewnie, o Boże najdroższy, jeśli to wszystko, co przyszło do głowy temu człowiekowi po takich przeżyciach! Jeśli zamierzał wielogodzinnym rzeźbieniem w ciszy odzyskać swój tak zazdrośnie strzeżony spokój – nie, to oznaczałoby dla niej głębokie rozczarowanie. On już nieraz głęboko ją rozczarował, lecz tym razem nie potrafiłaby przyglądać się temu w milczeniu.

Myśląc o tym wszystkim z niepokojem i zwątpieniem, z pewną ciekawością przyglądała się podłużnym, grubym kawałkom drewna, które zamyślony obracał w dłoniach, z których zamyślony odcinał ośnikiem kolejne wióry. Nie, tym razem nie będzie to skrzynia na pościel, tyle przynajmniej było wiadomo.

– Co to będzie, Ottonie? – zapytała z lekką niechęcią. Przyszła jej do głowy dziwna myśl, że może wycina jakiś element do pracy, na przykład część zapalnika do bomby. Ale żeby coś takiego w ogóle pomyśleć, to absurd, cóż Otto miał wspólnego z bombami?! Poza tym drewna pewnie

[37] Ośnik – nóż o dwóch rękojeściach, używany do korowania, strugania i wygładzania powierzchni drewna.

nie można używać do bomb. – Co to będzie, Ottonie? – zapytała więc trochę niechętnie.

Odniosła wrażenie, że najpierw zamierzał odpowiedzieć jakimś burknięciem, ale może przyszło mu do głowy, że tego ranka wymaga od swojej Anny trochę za wiele, a może był już po prostu gotowy, żeby coś powiedzieć. – Główkę – powiedział. – Zobaczymy, czy pamiętam, jak się wycina główki. Kiedyś wycinałem dużo główek do fajek.

I dalej obracał i wycinał.

Główki do fajek! Annie wyrwał się okrzyk oburzenia. Powiedziała ze złością: – Główki do fajek! Ależ Ottonie! Opamiętaj się! Świat się wali, a ty myślisz o główkach do fajek! Jak słyszę coś takiego...

Wyglądało na to, że nie zwraca większej uwagi ani na jej złość, ani na jej słowa. Powiedział: – To oczywiście nie będzie główka do fajki. Chcę sprawdzić, czy potrafiłbym wyrzeźbić naszego Ottonka, takiego, jaki był!

Od razu odmienił jej się nastrój. A więc myślał o Ottonku, a jeśli myślał o Ottonku i chciał wyrzeźbić jego głowę, to myślał też o niej i chciał jej tym sprawić radość. Wstała z krzesła i powiedziała, pośpiesznie odstawiając miskę z ziemniakami: – Poczekaj, Otto, przyniosę ci zdjęcia, żebyś sobie przypomniał, jak naprawdę wyglądał Ottonek.

Sprzeciwił się, kręcąc głową. – Nie chcę oglądać żadnych zdjęć – powiedział. – Chcę wyrzeźbić Ottona takiego, jakiego mam tutaj, w sobie. – Postukał się w swoje wysokie czoło. A po chwili dodał jeszcze: – Jeśli tylko potrafię!

Znów poczuła wzruszenie. Ottonek był więc też w nim, miał w sobie wyraźny obraz ich syna. Teraz była ciekawa, jak będzie wyglądała ta główka, gdy będzie już gotowa. – Ta na pewno ci się uda, Ottonie! – powiedziała.

– Cóż! – odparł tylko, ale zabrzmiało to nie jak wątpliwość, lecz raczej jak potwierdzenie.

Na tym na razie zakończyła się ich rozmowa. Anna musiała wrócić do kuchni do obiadu i zostawiła go tam przy stole, jak obracał powoli w palcach klocek lipowego drewna i cicho, ostrożnie i cierpliwie wycinał z niego wiórek za wiórkiem.

Była jednak bardzo zaskoczona, gdy tuż przed obiadem wróciła, żeby nakryć do stołu, a stół był już uprzątnięty i przykryty obrusem. Quangel stał przy oknie i patrzył w dół na Jablonskistraße, gdzie głośno bawiły się dzieci.

– I jak, Ottonie? – zapytała. – Skończyłeś rzeźbienie?

– Na dzisiaj fajrant – odpowiedział i w tym momencie ona wiedziała już, że ta rozmowa jednak zaraz nastąpi, że Otto coś jednak zamierza, ten niepojęcie uparty człowiek, którego nic nie mogło zmusić, żeby zrobić coś pochopnie, który zawsze umiał poczekać na odpowiedni moment.

Obiad zjedli w milczeniu. A potem ona znowu poszła do kuchni, żeby posprzątać, i zostawiła go siedzącego w rogu kanapy i patrzącego się wprost przed siebie.

Gdy wróciła pół godziny później, wciąż tak siedział. Lecz ona nie chciała już dłużej czekać, aż on się zdecyduje; jego cierpliwość i jej własna niecierpliwość wzbudzały w niej niepokój. Może o czwartej też będzie tak siedział i może jeszcze po kolacji też! Nie mogła już dłużej czekać!

– No, Ottonie – zapytała – o co chodzi? Nie będzie dzisiaj popołudniowej drzemki jak w każdą niedzielę?

– Dzisiaj nie jest każda niedziela. Tamte wszystkie niedziele już się skończyły. – Nagle wstał i wyszedł z pokoju.

Lecz ona tego dnia nie zamierzała pozwolić mu znowu tak po prostu uciec na jego tajemnicze przechadzki, o których nic się dotąd nie dowiedziała. Pobieгла za nim. – Nie, Ottonie... – zaczęła.

Stał w drzwiach wyjściowych, przy których właśnie założył łańcuch.

Unióśł rękę, by nakazać ciszę i zaczął nasłuchiwać dźwięków z głębi kamienicy. A potem skinął głową i minął ją, wchodząc z powrotem do pokoju. Gdy ona też tam weszła, siedział już na swoim miejscu na kanapie, a ona usiadła obok niego.

– Gdy ktoś zadzwoni, Anno – powiedział – nie otwieraj, dopóki ja...

– A kto miałby zadzwonić, Ottonie? – zapytała niecierpliwie. – Kto miałby do nas przyjść? No powiedz wreszcie to, co chcesz powiedzieć!

– Powiem, Anno – odpowiedział z niezwykłą łagodnością. – Ale jeśli będziesz mnie poganiać, to jeszcze bardziej mi to utrudnisz.

Szybko dotknęła jego dłoni, dłoni mężczyzny, któremu zawsze z trudem przychodziło mówienie o tym, co się dzieje w jego duszy. – Nie będę cię już ponaglać, Ottonie – powiedziała uspokajającym tonem. – Nie śpiesz się!

Lecz on zaraz potem zaczął mówić i mówił bez przerwy niemal przez pięć minut, powolnymi, krótkimi, urywanymi, ale dobrze przemyślanymi zdaniami, a po każdym z nich mocno zaciskał wąskie usta, jakby nic więcej nie zamierzał powiedzieć. A gdy tak mówił, trzymał wzrok utkwiony w coś, co znajdowało się w pokoju, gdzieś z boku za Anną.

Anna Quangel przez cały czas, gdy mówił, wpatrywała się w jego twarz i była mu niemal wdzięczna, że na nią nie patrzy, tak trudno było jej ukryć rozczarowanie, które ją ogarniało z coraz większą siłą. Mój Boże, cóż ten człowiek sobie wymyślił! Ona myślała o wielkich czynach (jednocześnie się ich w gruncie rzeczy bojąc), o jakimś zamachu na Führera, a przynajmniej o czynnej walce przeciwko bonzom i partii.

A co on zamierzał zrobić? Zupełnie nic, coś śmiesznie małego, coś bardzo w jego stylu, coś cichego, na uboczu, coś, co zapewniłoby mu jego spokój. Zamierzał pisać kartki. Pocztówki z odezwaniami przeciwko Führerowi i partii, przeciwko wojnie, dla oświecenia współobywateli, i to wszystko. I tych kartek nie zamierzał wysyłać do konkretnych ludzi czy

naklejać na ściany jak plakaty, nie, zamierzał rozkładać je na schodach licznie uczęszczanych kamienic, zostawiać je tam ich własnemu losowi, nie mając pojęcia, kto je podniesie, czy nie zostaną od razu podeptane i podarte... Wszystko w niej oburzało się przeciwko takiej pozbawionej ryzyka wojnie z ukrycia. Ona chciała działać, powinno się zrobić coś, czego efekty będzie widać!

Quangel jednak, gdy już skończył mówić, nie wydawał się oczekiwać żadnej odpowiedzi od żony, która siedziała w swoim rogu kanapy, tocząc w milczeniu wewnętrzną walkę. Może jednak powinna mu coś powiedzieć?

Wstał i znów poszedł nasłuchiwać pod drzwi wejściowe. Gdy wrócił, zdjął obrus ze stołu, porządnie go poskładał i powiesił na oparciu krzesła. A potem podszedł do starego mahoniowego sekretarzyka, wyjął z kieszeni pęk kluczy i otworzył go.

Podczas gdy on wciąż grzebał w przegródkach, Anna się zdecydowała. Z wahaniem powiedziała: – Czy to nie trochę za mało, to, co chcesz zrobić, Ottonie?

Przerwał grzebanie i wciąż pochylony odwrócił głowę w stronę żony. – Dużo czy mało, Anno – powiedział – jeśli nas na tym złapią, zapłacimy głowami...

W tych słowach było coś tak straszliwie przekonującego, w tym ciemnym, niezgłębionym ptasim wzroku, jakim ten człowiek w tym momencie na nią popatrzył, że aż się wzdrygnęła. I przez chwilę wyraźnie widziała przed sobą szary kamienny dziedziniec więzienia, z ustawioną gilotyną, w szarym świetle poranka jej ostrze wcale nie lśniło, to była taka niema groźba.

Anna Quangel poczuła, że drży. A potem szybko popatrzyła znowu na Ottona. Może miał rację, dużo czy mało, nikt nie mógł zaryzykować więcej niż własne życie. Każdy podług swych sił i predyspozycji – najważniejsze, że stawia się opór.

Quangel wciąż patrzył na nią w milczeniu, obserwując walkę, którą toczyła wewnątrz siebie. Nagle jego wzrok pojaśniał, wyjął dłonie z sekretarzyka, wyprostował się i powiedział niemal z uśmiechem: – Ale tak łatwo nas nie dostaną! Skoro oni są sprytni, my też możemy być sprytni. Sprytni i ostrożni. Ostrożni, Anno, zawsze mający się na baczności, im dłużej będziemy walczyć, tym dłużej będziemy działać. Nie opłaca się szybko umierać. Chcemy żyć, dożyć tego, że upadną. Chcemy móc potem powiedzieć, że też byliśmy przy tym, Anno!

Powiedział te słowa lekkim tonem, niemal jakby żartował. I gdy znów pochylił się nad sekretarzykiem, Anna z ulgą oparła się o oparcie kanapy. Zdjęto z jej ramion ciężar, teraz i ona była przekonana, że Otto planuje coś wielkiego.

Przyniósł na stół buteleczkę atramentu, włożone do koperty pocztówki i białe, olbrzymie rękawiczki. Wyjął korek z buteleczki, opalił zapalką pióro i włożył je do atramentu. Syknęło cicho, przyjrzał mu się uważnie, a potem skinął głową. Ceremonialnym gestem włożył rękawiczkę, wyjął z koperty jedną z kartek i położył przed sobą. Powoli skinął głową w stronę Anny. Uważnym wzrokiem obserwowała wszystkie te ostrożne, dobrze przygotowane ruchy. Teraz wskazał na rękawiczkę i powiedział: – Ze względu na odciski palców, rozumiesz!

A potem wziął do ręki pióro i powiedział cicho, lecz z naciskiem: – Pierwsze zdanie na naszej kartce będzie brzmiało tak: „Matko! Führer zamordował mojego syna”...

A ona znowu się wzdrygnęła. W tych słowach, które Otto wypowiedział, było coś tak złowieszczonego, ponurego i zdecydowanego. Natychmiast zrozumiała, że on tym pierwszym zdaniem raz na zawsze wypowiadał wojnę, i pojęła też niejasno, co to oznacza: wojnę pomiędzy nimi dwojgiem, biednymi, małymi, pozbawionymi znaczenia robotnikami, którzy z powodu jednego słowa mogli zostać zniszczeni raz na zawsze, a

po drugiej stronie Führerem, partią, tym całym olbrzymim aparatem z całą jego potęgą i blaskiem, i trzema czwartymi, tak, czterema piątymi całego niemieckiego narodu za nimi. I oni dwoje, tu, w tym małym pokoju przy Jablonskistraße, zupełnie sami!

Zerka na swojego męża. Podczas gdy ona o tym wszystkim myśli, on dotarł dopiero do drugiego słowa tego pierwszego zdania. Z nieskończoną cierpliwością pisze F w słowie „Führer”. – Pozwól, że ja będę pisać, Ottonie! – prosi. – Mnie pójdzie o wiele szybciej!

Znów tylko coś odburkuje. A potem jej jednak wyjaśnia. – Twoje pismo – mówi. – Prędzej czy później złapią nas z powodu twojego pisma. To jest sztuczne pismo, pismo blokowe – widzisz, coś jakby drukowane litery...

Milknie ponownie i pisze dalej. Ach tak, tak to sobie wymyślił. Wydaje mu się, że o niczym nie zapomniał. To sztuczne pismo zna z projektów mebli rysowanych przez architektów wnętrz, nikt po takim piśmie nie rozpozna autora. Oczywiście, wykonane nieprzyszycją do pisania ręką Ottona Quangla wygląda bardzo topornie i niezgrabnie. Ale to nie szkodzi, to go nie zdradzi. Nawet lepiej, w ten sposób w pocztówce jest coś z plakatu, od razu przyciąga wzrok. Cierpliwie pisze dalej.

Ona też jest już cierpliwa. Zaczyna sobie myśleć, że to będzie długa wojna. Jest w niej teraz spokój, Otto wszystko przemyślał, na Ottonie można polegać, jak zawsze. Jak on to wszystko przemyślał! Pierwsza kartka na tej wojnie ma źródło w poległym synu, mówi o nim. Kiedyś mieli syna, Führer go zamordował, a teraz piszą kartki. To nowy rozdział w ich życiu. Z zewnątrz nic się nie zmieniło. Wokół Quangłów zawsze panował spokój. Ale wewnątrz jest zupełnie inaczej, tam trwa wojna...

Przynosi swój koszyczek do szycia i zaczyna cerować pończochy. Od czasu do czasu zerka na Ottona, który powoli, nie przyśpieszając tempa, rysuje litery. Niemal po każdej literze odsuwa kartkę na odległość

ramienia i przygląda się jej, mrużąc oczy. A potem kiwa głową.

W końcu pokazuje jej pierwsze gotowe zdanie. Zajmuje półtorej bardzo szerokiej linijki na kartce.

Ona mówi: – Dużo na takiej kartce nie zmieścisz!

On odpowiada: – Wszystko jedno! Napiszę jeszcze wiele takich kartek!

– Ale napisanie takiej kartki długo trwa.

– Będę pisać w każdą niedzielę jedną, a później może dwie kartki. Wojna jeszcze się nie skończyła, mordowanie wciąż trwa.

Nic nim nie zachwieje. Podjął decyzję i będzie podług niej działać. Nic nie pokrzyżuje mu planów, nikt nie powstrzyma Ottona Quangla na jego drodze.

Mówi: – Drugie zdanie: „Matko! Führer zamorduje także twoich synów, nie skończy, dopóki nie sprowadzi żałoby do każdego domu na tym świecie”...

Ona powtarza: – Matko, Führer zamorduje także twoich synów!

Myśli o przewodniczącej biura Związku Kobiet, o siwowłosej z Krzyżem Matki, która powiedziała jej, że nie powinno się mieć jednego syna, tylko wielu. Miała na końcu języka ciężą ripostę: „Żeby wrywano mi serce kawałek po kawałku, tak? Nie, wolę stracić od razu wszystko”. Powstrzymała się wtedy od odpowiedzi, teraz udziela jej Otto: „Matko! Führer zamorduje także twoich synów!”.

Kiwa głową i mówi: – Napisz to! – Zastanawia się: – Trzeba położyć te kartki w miejscu, gdzie przechodzą kobiety!

On się zamyśla, a potem potrząsa głową: – Nie. Z kobietami jest tak, że jak się przestraszą, to nie wiadomo, co zrobią. Mężczyzna szybko wsunie taką kartkę do kieszeni, od razu na schodach. A potem dokładnie ją przeczyta. Poza tym wszyscy mężczyźni są synami matek.

Milknie znowu i zaczyna rysować dalej. Popołudnie mija, nie myślą

o podwieczorku. W końcu, gdy nastaje wieczór, kartka jest gotowa. Otto wstaje. Jeszcze raz się jej przygląda.

– No! – mówi. – I gotowe. W następną niedzielę druga.

Ona przytakuje.

– Kiedy je zaniesiesz? – szepcze.

Patrzy na nią. – Jutro przed południem.

Prosi go: – Pozwól mi przy tym być, ten pierwszy raz!

Potrząsa głową. – Nie – mówi. – Właśnie ten pierwszy raz nie. Najpierw muszę sprawdzić, jak to będzie.

– Ależ proszę! – nalega. – To moja kartka! To jest kartka od matki!

– Dobrze! – postanawia Otto. – Pójdiesz ze mną. Ale tylko do kamienicy. W środku chcę być sam.

– Zgoda.

A potem kartka zostaje ostrożnie wsunięta do jakiejś książki, przybory do pisania schowane, rękawiczka włożona do kurtki.

Jedzą kolację, prawie nie rozmawiając. Ale nawet nie zauważają, że są tacy milczący, nawet Anna tego nie zauważa. Oboje są zmęczeni, jakby wykonali jakąś ciężką pracę albo odbyli daleką podróż.

On mówi, wstając od stołu: – Zaraz się kładę.

A ona: – Ja jeszcze posprzątam w kuchni. Potem też się kładę. Boże, jaka jestem zmęczona, a przecież nic nie robiliśmy!

Patrzy na nią z półuśmiechem, a potem idzie szybko do sypialni i zaczyna się rozbierać.

Lecz potem, gdy już oboje leżą w łóżkach, gdy jest już ciemno, żadne z nich nie może zasnąć. Przekręcają się z boku na bok, nasłuchują oddechu drugiego, a w końcu zaczynają rozmawiać. Po ciemku lepiej się gada.

– Jak myślisz – pyta Anna – co się stanie z naszymi kartkami?

– Wszyscy najpierw się wystraszą, jak zobaczą te leżące kartki i przeczytają pierwsze słowa. Ale dziś przecież wszyscy się boją.

– Tak – mówi ona. – Wszyscy...

Ale ich dwojga, Quangelów, to stwierdzenie nie obejmuje. Prawie wszyscy się boją, myśli. My nie.

– Ci, którzy je znajdują – powtarza to, co przemyślał już sobie sto razy – będą się bać, że ktoś ich obserwuje na schodach. Szybko schowają kartkę i uciekną. Albo odłożą ją z powrotem i zwieją, a gdy przyjdzie następna osoba...

– Tak będzie – mówi Anna i widzi przed sobą klatkę schodową w jakiejś berlińskiej kamienicy, źle oświetloną, a każdy, kto weźmie do ręki taką kartkę, poczuje się nagle jak przestępca. Bo właściwie każdy myśli tak jak autor pocztówki, a jednak nie wolno tak myśleć, bo za takim myśleniem stoi śmierć...

– Niektórzy – kontynuuje Quangel – od razu zanoszą kartkę partyjnemu dozorczy albo na policję, byle się jej pozbyć! Ale to też nie szkodzi, partyjny czy nie, kierownik polityczny czy policjant, wszyscy przeczytają kartkę, a ona pozostawi w nich swój ślad. Nawet jeśli sprawi tylko to, że dowiedzą się, że wciąż istnieje opór, że nie wszyscy popierają tego Führera...

– Nie – mówi ona. – Nie wszyscy My nie.

– I będzie ich więcej, Anno. Dzięki nam będzie ich więcej. Może podsuniemy komuś myśl, żeby samemu pisać takie kartki, tak jak ja to robię. W końcu tuziny, setki ludzi będą siedzieć tak jak ja i pisać. Zasypiemy Berlin tymi kartkami, zablokujemy maszyny, obalimy Führera, zakończymy wojnę...

Milknie zdumiony własnymi słowami, tymi marzeniami, które tak późno nawiedziły jego chłodne serce.

Lecz Anna Quangel mówi zachwycona jego wizją: – A my będziemy pierwszymi! Nikt nie będzie o tym wiedzieć, ale my to wiemy.

On mówi nagle trzeźwo: – Może już teraz wielu myśli tak jak my,

zginęły już przecież pewnie tysiące ludzi. Może już teraz ktoś pisze takie kartki. Ale to nieważne, Anno! Co nas to obchodzi? My robimy swoje!

– Tak – mówi ona.

Aon, ponownie porwany perspektywami rozpoczętego przedsięwzięcia: – Uruchomimy policję, Gestapo, SS, SA. Wszędzie będzie się mówić o tajemniczych autorach kartek, będą szukać, podejrzewać, obserwować, przeprowadzać rewizje – na próżno! Będziemy pisać dalej, już zawsze!

A ona: – Może nawet samemu Führerowi pokażą te kartki – sam je przeczyta, a my go oskarżamy! Wścieknie się! On ponoć zawsze się wścieka, gdy coś nie idzie po jego myśli. Wyda rozkaz, żeby nas znaleźli, ale oni nas nie znajdą! Będzie musiał czytać kolejne nasze oskarżenia!

Milkną oboje, oboje oślepieni ową perspektywą. I kim oni do niedawna byli? Nieznanymi indywiduami, od jakich roi się w tym wielkim, ciemnym roju. A teraz są oboje całkiem sami, odseparowani, wyniesieni ponad innych, nie do pomylenia z nikim. Wokół nich panuje lodowaty chłód, tak są samotni.

I Quangel widzi siebie, jak stoi w warsztacie, zawsze w tych samych trybach, popędzany i popędzający, z głową uważnie przesuwającą się od maszyny do maszyny. Dla nich zawsze będzie starym, durnym Quanglem, opętanym pracą i obrzydliwie skąpym. W jego głowie rodzą się jednak myśli, jakich nie zna żaden z nich. Każdy z nich umarłby ze strachu, gdyby tak myślał. A on, durnowaty stary Quangel, on tak myśli. Stoi tam i zwodzi ich wszystkich.

Anna Quangel myśli natomiast o drodze, którą pójda jutro oboje, żeby puścić w obieg pierwszą kartkę. Jest trochę z siebie niezadowolona, że nie uparła się, żeby wejść z Quanglem do kamienicy. Zastanawia się, czy nie powinna poprosić go o to jeszcze raz. Być może. Tak w ogóle Otto Quangel nie ulega prośbom. Ale może dziś wieczorem, gdy zdaje się być w tak niezwykle pogodnym nastroju? Może akurat teraz?

Lecz za długo to trwało, zanim podjęła decyzję. Zauważyła, że Quangel już zasnął. Więc i ona szykuje się do snu, zobaczy, czy jutro będzie okazja. Jeśli tak, na pewno go zapyta.

A potem i ona zasypia.

ROZDZIAŁ 19.

Pierwsza kartka zostaje wyłożona

Tego przedpołudnia Otto był tak małowówny, że odważyła się go zapytać dopiero, gdy byli już na ulicy. – Ottonie, dokąd chcesz zanieść tę kartkę?

Opowiada mrukliwie: – Nie mów teraz o tym. Nie na ulicy.

A potem dodaje niechętnie: – Wybrałem jedną kamienicę przy Greifswalder StraÙe.

– Nie – mówi ona zdecydowanym tonem. – Nie, nie ró6b tego, Ottonie. To, co chcesz zrobić, to błąd!

– Chodź! – odpowiada rozeźlony, bo ona stanęła. – Mówię ci przecież, nie tutaj na ulicy!

Idzie dalej, ona idzie za nim, upierając się, że ma tu coś do powiedzenia. – Nie tak blisko naszego mieszkania – nalega. – Jak ta sprawa wpadnie im w ręce, od razu zwrócą uwagę na okolice. Lepiej pójdźmy aż do Alexa...

On myśli, zastanawia się. Może ona ma rację, nie, na pewno ma rację. Trzeba o wszystkim pomyśleć. A jednak ta nagła zmiana w jego planach mu nie odpowiada. Jeśli teraz pójdą aż do Alexa, będą mieć bardzo mało czasu, a on przecież musi zdążyć do pracy. I nie zna też żadnego odpowiedniego domu przy Aleksie. Na pewno jest ich tam wiele, ale najpierw trzeba wybrać ten odpowiedni, a to wolałby zrobić sam, a nie z żoną, która przeszkadza.

I wtedy, zupełnie nagle, postanawia. – Dobrze – mówi. – Masz rację, Anno. Pójdziemy do Alexa.

Zerka na niego z boku z wdzięcznością. Jest szczęśliwa, że choć raz

przyjął jej radę. A ponieważ właśnie ją tak uszczęśliwił, nie chce już prosić go o to, żeby mogła wejść razem z nim do środka. Już dobrze, niech idzie sam. Będzie się trochę bała, czekając na jego powrót – ale tak właściwie dlaczego? Ani przez chwilę nie wątpi, że on wróci. Jest taki spokojny i opanowany, nie da się zaskoczyć. Nawet będąc w ich rękach, nie zdradziłby się, uwolniłby się.

Gdy idzie zamyślona obok milczącego męża, przechodzą z Greifswalder Straße na Neue Königstraße. Jest tak zatopiona w myślach, że nie zwraca uwagi, jak czujnie Otto przygląda się mijanym domom.

Nagle zatrzymuje się, a mają jeszcze spory kawałek do Alexanderplatz, i mówi: – Tutaj, pooglądaj tę wystawę, a ja zaraz wrócę.

I już przechodzi przez jezdnię w kierunku wysokiego, jasnego biurowca.

Serce zaczyna jej mocno bić. Ma ochotę za nim zawołać: Nie, nie, ustaliliśmy, że idziemy aż do Alexa! Choć ten kawałek zostaniemy jeszcze razem! I: Powiedz mi chociaż „do zobaczenia”! Ale drzwi kamienicy już się za nim zamknęły.

Z głębokim westchnieniem odwraca się do wystawy. Ale wcale jej nie widzi. Opiera czoło o zimną szybę, ta migocze jej przed oczami. Serce wali tak mocno, że niemal nie może oddychać, czuje, że cała krew uderza jej do głowy.

A jednak się boję, myśli. Na miłość boską, on nie może zauważyć, że ja się boję! Bo wtedy nigdy mnie już ze sobą nie zabierze. Ale to nie jest taki prawdziwy strach, myśli dalej. Nie boję się o siebie. O niego się boję. A gdyby tak nie wrócił!

Nie może się powstrzymać, musi się odwrócić w stronę biurowca. Drzwi się otwierają, ludzie wchodzi i wychodzą. Dlaczego Quangel nie wychodzi? Nie ma go już pięć, nie, dziesięć minut. Dlaczego ten człowiek, który właśnie wyszedł, tak się śpieszy? Może chce wezwać

policję? Czyżby złapali Quangla już przy pierwszym razie?

Och, nie wytrzymam tego! Na co on się porywa?! A ja myślałam, że to coś małego! Raz w tygodniu, a jak zaczniesz pisać po dwie kartki, to dwa razy w tygodniu narażać życie! I nie zawsze będzie chciał mnie zabrać! Zauważyłam to dzisiaj już wcześniej, tak naprawdę nie pasowało mi, że też idę. Będzie chodził sam, sam będzie roznosił te kartki, a potem będzie szedł od razu do fabryki (albo już nigdy do niej nie pójdzie!), a ja będę siedzieć w domu, siedzieć i czekać na niego cała w strachu. Czuję, że ten lęk nigdy się nie skończy, nigdy się do niego nie przyzwyczaję. Idźcie Otto! W końcu! Nie, to nie on. To znowu nie on! Teraz już muszę za nim pójść, nawet jeśli będzie bardzo zły! Na pewno coś się stało, nie ma go już chyba cały kwadrans, tak długo to nie może trwać! Zaraz go znajdę!

Robi trzy kroki w stronę kamienicy – i zawraca. Staje przed wystawą, wpatruje się w nią.

Nie, nie pójdę za nim, nie będę go szukać. Nie mogę go tak zawieść już przy pierwszym razie. Tylko sobie wmawiam, że tam się coś stało; ludzie po prostu wchodzi i wychodzi, tak jak zawsze. I Ottona nie ma nie dłużej niż kwadrans. Przyjrę się teraz, co jest na tej wystawie. Biustonosze, pasy...

W tym czasie Quangel wszedł do biurowca. Tylko dlatego się tak szybko zdecydował, że miał u boku żonę. Wzbudzała w nim niepokój, w każdej chwili mogła znowu zacząć o „tym” mówić. W jej obecności nie mógł długo szukać. Na pewno znowu zaczęłyby o tym mówić, proponować jedną kamienicę, odrzucać inną. Nie, dość już tego! To już lepiej wejdzie do pierwszej lepszej z brzegu, choćby miał to być najgorszy wybór.

I to był najgorszy wybór. To był jasny, nowoczesny biurowiec, z wieloma biurami, ale też z portierem w szarym uniformie. Quangel mijają go, patrząc na niego obojętnie. Jest przygotowany na to, że zostanie zapytany, dokąd idzie, zapamiętał, że na czwartym piętrze ma swoje biuro adwokat

Toll. Lecz portier o nic go nie pyta, rozmawia z jakimś panem. Zerka tylko pobieżnie na przechodzących obojętnym wzrokiem. Quangel kieruje się na lewo, zaczyna wchodzić po schodach, ale nagle słyszy pomruk windy. No patrzcie, tego nie przewidział, że w takim nowoczesnym budynku może być winda i że schody są prawie nieużywane.

Ale Quangel dalej wspina się po schodach. Chłopak w windzie pomyśli: To starszy człowiek, pewnie nie ma zaufania do windy. Albo pomyśli sobie, że idzie tylko na pierwsze piętro. A może w ogóle nic nie pomyśli. W każdym razie tych schodów nikt nie używa. Jest już na drugim piętrze, a dotąd napotkał tylko chłopca na posyłki, który zbiegał w pośpiechu z plikiem listów w ręku. Nawet nie spojrział na Quangla. A ten mógłby położyć swoją kartkę gdziekolwiek, ale nie zapomina ani przez chwilę, że jest tam ta winda i że przez jej migoczące szyby ktoś może go obserwować. Musi wejść jeszcze wyżej, a winda musi być na samym dole, wtedy to zrobi.

Zatrzymuje się przy jednym z wysokich okien na półpiętrze i wygląda na ulicę. Wyjmuje przy tym, tak żeby nikt nie widział, rękawiczkę z kieszeni i naciągając na prawą dłoń. Potem wsuwa prawą rękę z powrotem do kieszeni i ostrożnie przesuwając ją wzdłuż czekającej tam kartki, ostrożnie, żeby nie pognieść. Chwyta ją dwoma palcami...

Podczas gdy Otto Quangel wykonuje te wszystkie czynności, zauważa, że Anna nie czeka na swoim miejscu przed oknem wystawowym, tylko stoi na skraju jezdni i z bardzo bladą twarzą wpatruje się w biurowiec, zwracając na siebie uwagę. Nie patrzy tam wysoko, gdzie on jest, pewnie obserwuje drzwi na parterze. Niezadowolony potrząsa głową z mocnym postanowieniem, że nigdy więcej nie zabierze żony na taką wyprawę. Ona się oczywiście o niego boi. Ale dlaczego boi się o niego? Powinna raczej bać się o siebie, skoro tak źle się zachowuje. To ona najprędzej sprowadzi na nich oboje zagrożenie!

Wchodzi wyżej po schodach. Gdy mija kolejne okno, jeszcze raz wygląda na ulicę, ale teraz Anna znowu patrzy na wystawę. Dobrze, bardzo dobrze, opanowała swój strach. To dzielna kobieta. Nie będzie z nią o tym rozmawiał. I nagle Quangel wyjmuje kartkę, kładzie ją ostrożnie na parapecie, zsuwa, już odchodząc, rękawiczkę z dłoni i chowają do kieszeni.

Schodząc po pierwszych stopniach, ogląda się jeszcze za siebie. Leży tam w jasnym świetle dnia, jeszcze stąd ją widać, jakim dużym, wyraźnym pismem zapisana jest ta jego pierwsza kartka! Każdy będzie mógł ją przeczytać! I zrozumieć! Quangel uśmiecha się ponuro.

Jednocześnie słyszy jednak, że na piętrze nad nim otwierają się drzwi. Przed minutą winda zjechała na dół. Jeśli temu komuś na górze, kto właśnie wyszedł z biura, znudzi się czekanie na powrót windy, jeśli zacznie schodzić po schodach, jeśli zobaczy kartkę: Quangel jest tylko piętro niżej. Jeżeli ten ktoś zacznie biec, dogoni go, może dopiero na samym dole, ale złapie go, bo Quangelowi nie wolno biec. Starszy mężczyzna, który niczym ucniak zbiega po schodach – nie, to zwróciłoby uwagę. A on nie może zwracać na siebie uwagi, nikt nie powinien sobie przypomnieć, że w ogóle widział w tym budynku mężczyznę o takim a takim wyglądzie.

Mimo wszystko schodzi stosunkowo szybko po schodach, a pomiędzy dźwiękami swoich kroków nasłuchuje do góry, czy tamten ktoś rzeczywiście korzysta ze schodów. Wtedy na pewno zobaczy kartkę, nie da się jej przeoczyć. Ale Quangel nie jest pewien. Czasem wydaje mu się, że słyszy kroki. Ale potem długo nie słyszy nic. A teraz zszedł już za daleko w dół, żeby cokolwiek usłyszeć. Jadąca w górę winda mija go, błyskając światłem.

Quangel kieruje się do wyjścia. Akurat z podwórza nadchodzi chmara ludzi, robotnicy z jakiejś fabryki, Quangel wsuwa się pomiędzy nich. Tym razem, jest tego całkowicie pewien, portier nawet na niego nie spojrział.

Przechodzi przez jezdnię i staje obok Anny.

– Załatwione! – mówi.

A gdy dostrzega blask w jej oczach i drżenie warg, dodaje: – Nikt mnie nie widział! – I na koniec: – Chodź, pójdźmy już. Akurat starczy czasu, żebym dotarł do fabryki na piechotę.

Idą. Lecz odchodząc, oboje rzucają jeszcze okiem na biurowiec, w którym pierwsza kartka Quangelów rozpoczęła swoją drogę w świat. Kiwiają głowami, jakby się z tą kamienicą zegnali. To dobry budynek i choć w tym samym celu odwiedzą w kolejnych miesiącach i latach tak wiele domów – tego jednego nigdy nie zapomną.

Anna Quangel chciałaby szybko pogłodzić męża po ręce, ale nie ma odwagi. Muska ją więc niby przypadkowo i mówi wystraszona: – Przepraszam, Ottonie!

Patrzy na nią z boku zdumiony, ale nic nie mówi.

Idą dalej.

CZĘŚĆ DRUGA
GESTAPO

ROZDZIAŁ 20.

Droga kartek

Aktor Maks Harteisen już w czasach przed nazistami miał, jak lubił mawiać jego przyjaciel i adwokat pan Toll, mocno obciążone konto. Grał w filmach reżyserowanych przez żydowskich reżyserów, grał w filmach pacyfistycznych, a jedną z jego głównych ról teatralnych był ten przeklęty mięczak, księżę Homburg^[38], na którego każdy prawdziwy narodowy socjalista mógł tylko splunąć. Maks Harteisen miał więc wszelkie powody, żeby zachowywać ostrożność; już od dawna było wątpliwe, czy za brunatnych panów w ogóle będzie mógł grać.

Ale jednak w końcu się udało. Oczywiście ten poczciwy chłopak musiał nauczyć się powściągliwości i przede wszystkim ustępować aktorom o prawdziwie brunatnym ubarwieniu, nawet jeśli daleko im było do jego umiejętności. Ale właśnie tę powściągliwość powinien był sobie darować; nieświadomy niczego młodzieniec grał tak, że zwrócił na siebie uwagę samego ministra Goebbelsa. Tak, minister wręcz zwiariował na jego punkcie. A o tym, co wiązało się z sympatią ze strony ministra, wiedziało każde dziecko, gdyż nie było bardziej kapryśnego i nieobliczalnego człowieka niż doktor Józef Goebbels.

Wszystko potoczyło się więc tak, jak musiało. Na początku wydawało się, że to sama radość i chwała, gdyż jeśli minister raczył kogoś wielbić, nie robił różnicy, czy to kobieta czy mężczyzna. Doktor Goebbels dzwonił do aktora Harteisena niczym do kochanki każdego ranka, pytał, jak mu się spało, przesyłał niczym jakiejś diwie kwiaty i czekoladki i właściwie nie

[38] Tytułowy bohater dramatu romantycznego pisarza Heinricha von Kleista (1777-1811).

było dnia, żeby minister nie spędził z Harteisenem choćby krótkiej chwili. Tak, zabrał nawet aktora do Norymbergi na zjazd partii, wyjaśniał mu, na czym polega narodowy socjalizm – ten prawdziwy – a Harteisen rozumiał wszystko, co rozumieć powinien.

Nie rozumiał jednak czegoś, co stanowiło podstawowy element prawdziwego narodowego socjalizmu, a mianowicie tego, że prosty towarzysz ludowy nie sprzeciwia się ministrowi. Gdyż minister już przez sam fakt, że jest ministrem, jest dziesięć razy mądrzejszy od innych. Przy jakiejś zupełnie nieistotnej kwestii dotyczącej filmów Harteisen nie zgodził się ze swoim ministrem i stwierdził wręcz, że pan Goebbels gada bzdury. Nie wnikajmy, czy to rzeczywiście jakaś błaża i do tego czysto teoretyczna kwestia filmowa doprowadziła aktora do pełnej gniewu śmiałości, czy też miał po prostu dosyć przesadnej adoracji ze strony ministra i chciał doprowadzić do zerwania. W każdym razie pomimo napomnień pozostał przy swoim stanowisku, bzdury to bzdury, z ust ministra czy nie, wszystko jedno!

Och, jak bardzo odmienił się wtedy świat Maksa Harteisena! Żadnych porannych wypytywań o jego sen, żadnych pralinek, żadnych kwiatów, żadnych wizyt u pana doktora Goebbelsa, żadnych wykładów o prawdziwym narodowym socjalizmie! Ach, to wszystko byłoby jeszcze do zniesienia, tak, nawet było może i upragnione, lecz nagle dla Harteisena zabrakło także angaży, zawarte już umowy na filmy spełzały na niczym, gościnne występy odwoływano, aktor Harteisen nie miał już żadnego zajęcia.

A ponieważ Harteisen był człowiekiem, który nie traktował swego zawodu tylko jako sposobu na zarabianie pieniędzy, lecz był prawdziwym aktorem, którego życie musiało się toczyć na scenie albo przed kamerą, to był tą przymusową beczczynnością po prostu zrozpaczony. Nie mógł i nie chciał uwierzyć, że minister, który przez półtora roku był jego najlepszym

przyjacielem, stał się tak bezwzględny, wręcz podłym wrogiem, że wykorzystywał władzę swojego stanowiska do tego, aby odebrać komuś radość życia tylko z powodu jakiejś sprzeczki. (Poczcziwy Harteisen w roku 1940 nie pojmował jeszcze, że każdy nazista w każdej chwili jest gotów każdemu Niemcowi, który ma odmienne od niego zdanie, odebrać nie tylko radość życia, lecz nawet samo życie).

Ale gdy czas płynął i nie pojawiała się żadna oferta pracy, Maks Harteisen musiał w końcu w to uwierzyć. Przyjaciele donieśli mu, że na jakiejś konferencji filmowej minister ogłosił, że Führer nie chce już nigdy więcej widzieć tego aktora na ekranie w mundurze oficerskim. Zaraz potem mówiono, że Führer nie chce w ogóle nigdy więcej go widzieć, a potem już całkiem oficjalnie ogłoszono, że aktor Harteisen jest „niepożądany”. Koniec, kropka, mój drogi, w wieku trzydziestu sześciu lat na czarnej liście – obowiązującej w całej tysiącletniej Rzeszy!

Teraz aktor Harteisen już faktycznie miał mocno obciążone konto. Lecz nie ustępował, wiercił dziury i dopytywał się, chciał się za wszelką cenę dowiedzieć, czy te niszczące wyroki naprawdę wyszły od Führera, czy też ten mały człowieczek wymyślił je sobie, żeby załatwić swojego wroga. A w ów poniedziałek przekonany o zwycięstwie Harteisen wpadł do biura swojego adwokata i zawołał: – Już wiem! Już wiem, Erwinie! Ten łajdak skłamał. Führer w ogóle nie widział filmu, w którym gram pruskiego oficera i nigdy nie wypowiedział przeciwko mnie jednego słowa.

I pośpiesznie dopowiedział, że ta wiadomość jest całkowicie pewna, gdyż pochodzi od samego Göringa. Przyjaciółka jego żony ma ciotkę,

której kuzynka została zaproszona do Göringów do Karinhall^[39]. Wspomniała o jego sprawie, a Göring wypowiedział się w taki właśnie sposób.

Adwokat popatrzył na podekscytowanego aktora nieco ironicznie. – Cóż, Maks, i co to zmienia?

Aktor wymamrotał osłupiały: – Przecież Goebbels skłamał, Erwinie!

– I? A czy ty kiedykolwiek wierzyłeś, że wszystko, co mówi ten kuternoga^[40], to prawda?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale jeśli ktoś wciąga do sprawy Führera... Przecież on nadużył jego imienia!

– Tak, a ponieważ to zrobił, Führer wyrzuci swojego wieloletniego towarzysza partyjnego i przyjaciela, bo ten narobił kłopotów Harteisenowi!

Aktor popatrzył błagalnie na wyniosłego, ironicznego adwokata. – Ale przecież coś musi się stać w mojej sprawie, Erwinie! – powiedział w końcu. – Przecież ja chcę pracować! A Goebbels niesłusznie mi to utrudnia!

– Tak – powiedział adwokat. – Tak! – I zamilkł. Ponieważ jednak Harteisen wpatrywał się w niego wyczekująco, kontynuował: – Jesteś jak dziecko, Maksie, jak niezłe wyrosnięte dziecko!

Aktor, który zawsze wysoko cenił swe obycie w świecie, gniewnie potrząsnął głową.

– Jesteśmy tu sami, Maks – kontynuował adwokat. – Te drzwi są porządnie obite, możemy więc rozmawiać otwarcie. Z pewnością orientujesz się, przynajmniej trochę, jak wiele krzyczącej, krwawej,

[39] Karinhall – posiadłość marszałka Rzeszy Hermanna Göringa na północny wschód od Berlina, z okazałym pałacykiem myśliwskim, w którym gromadził rabowane z okupowanych krajów dzieła sztuki (nazwa majątku pochodziła od imienia jego pierwszej żony).

[40] Józef Goebbels od dziecka utykał na jedną nogę.

rozdzierającej serca niesprawiedliwości dzieje się dziś w Niemczech – i nikogo to nie obchodzi. Wręcz przeciwnie, głośno chwala się swoją hańbą. Lecz ponieważ aktor Harteisen ma pewną drobną bolączkę, nagle odkrywa, że na świecie panuje niesprawiedliwość i domaga się sprawiedliwości. Maksie!

Harteisen odpowiedział przybity: – Ale to co ja mam zrobić, Erwinie? Przecież coś trzeba zrobić!

– Co masz zrobić? No przecież to jasne! Przeprowadzisz się z żoną w jakieś ładne miejsce na wsi i będziesz siedzieć cicho. A przede wszystkim skończysz z tym bezsensownym gadaniem o „twoim” ministrze i przestaniesz rozpowiadać, co powiedział Göring. W przeciwnym razie może się zdarzyć, że minister zaszkodzi ci jeszcze bardziej.

– Ale jak długo mam tak beczynnie siedzieć na wsi?

– Humory ministra są zmienne. Minie mu, Maks, możesz być pewien. Pewnego dnia znowu znajdziesz się w pełni blasku i chwały.

Aktor wdrygnął się. – O, nie! – zawołał. – Tylko nie to! – Wstał. – I naprawdę uważasz, że nic nie możesz zrobić w mojej sprawie?

– Zupełnie nic! – stwierdził adwokat z uśmiechem. – Chyba że chciałbyś za swojego ministra trafić jako męczennik do kacetu.

Trzy minuty później aktor Maks Harteisen stał skonfundowany na klatce schodowej biurowca, trzymając w dłoni kartkę: „Matko! Führer zamordował mojego syna...”.

Na litość boską! – pomyślał. Kto coś takiego napisał? Chyba oszalał! Przecież zapłaci za to głową! Mimowolnie odwrócił kartkę. Lecz nie napisano tam ani adresu nadawcy, ani odbiorcy, tylko: „Przekaż tę kartkę dalej, żeby wielu ją przeczytało! Nie dokładaj się na Pomoc Zimową! Pracuj wolno, coraz wolniej! Wsypuj piach między tryby! Każdy wasz powolniejszy ruch to szybszy koniec tej wojny!”.

Aktor podniósł wzrok. Minęła go rozświetlona winda. Wydawało mu

się, że obserwuje go wiele par oczu.

Szybko wsunął kartkę do kieszeni i jeszcze szybciej wyciągnął ją z powrotem. Już miał odłożyć ją z powrotem na parapet, lecz zaczął się zastanawiać. Może ci w windzie widzieli, jak stoi tu z kartką w dłoni – a przecież jego twarz jest znana. Kartka zostanie znaleziona i znajdą się tacy, którzy przysięgną, że to on ją położył. A on faktycznie ją położył, to znaczy odłożył. Ale kto mu uwierzy, akurat teraz, gdy jest w konflikcie z ministrem? Miał już tak obciążone konto, a teraz jeszcze to!

Pot wystąpił mu na czoło, pojawił nagle, że nie tylko autor kartki ryzykuje życie, lecz także on, może najbardziej właśnie on. Dłoń mu drżała. Chciał odłożyć kartkę, wołał ją jednak zabrać, chciał ją podrzeć, tu, zaraz, na miejscu... Ale może ktoś stoi na schodach na górze i obserwuje go? Przez ostatnie dni miał już parę razy wrażenie, że ktoś go obserwuje, przypisał to swemu podenerwowaniu spowodowanemu złośliwością ministra Goebbelsa...

A może to wszystko to pułapka zastawiona na niego przez tego człowieka, żeby już całkiem podpadł? Żeby całemu światu udowodnić, że minister miał rację, wydając wyrok na aktora Harteisena? Och, Boże, on już chyba traci rozum, widzi duchy! Przecież minister tego nie zrobił! A może jednak?

Nie mógł jednak tak tu stać bez końca. Musiał się zdecydować; nie miał teraz czasu myśleć o Goebbelsie, musiał myśleć o sobie! Wbiega z powrotem pół piętra do góry, nie ma tam nikogo, kto by go obserwował. Ale już dzwoni do adwokata Tolla.

Mija w biegu recepcjonistkę, rzuca kartkę na stół adwokata i woła: – Proszę! Zobacz, co właśnie znalazłem na klatce schodowej!

Adwokat rzuca okiem na kartkę. A potem wstaje i dokładnie zamyka podwójne drzwi prowadzące do jego biura, które zdenerwowany aktor zostawił otwarte. Wraca do biurka. Ponownie bierze kartkę, czyta ją długo

i uważnie, podczas gdy Harteisen chodzi tam i z powrotem, rzucając mu niecierpliwie spojrzenia.

Toll odkłada kartkę i pyta: – Jak powiedziałaś, gdzie znalazłeś tę kartkę?

– Tu na klatce, pół piętra niżej.

– Na klatce! Czyli na schodach?

– Nie czepiaj się słówek, Erwinie! Nie, nie na schodach, tylko na parapecie!

– A wolno mi spytać, po co przywlokłeś do mojego biura ten cudowny upominek?

Głos adwokata brzmi ostro, aktor mówi błagalnym tonem: – Ale co innego miałem zrobić? Ta kartka tam leżała, podniosłem ją, w ogóle się nie zastanawiając.

– A dlaczego nie odłożyłeś jej z powrotem? To byłoby przecież najbardziej oczywiste!

– Jak czytałem, to minęła mnie winda. Miałem wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Wszyscy mnie przecież znają.

– Jeszcze lepiej! – stwierdził gorzko adwokat. – A potem pewnie z tą kartką w dłoni przybiegłeś do mnie? – Aktor ponuro pokiwał głową. – Nie, mój przyjacielu – powiedział zdecydowanym głosem Toll, podając mu kartkę z powrotem. – Proszę, zabierz to. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Notabene, nie będziesz mógł się na mnie powołać. Ja tej kartki nie widziałem. Zabierz ją wreszcie!

Harteisen wpatrywał się w przyjaciela z pobladłą twarzą. – Myślałem – powiedział potem – że jesteś nie tylko moim przyjacielem, ale też moim adwokatem i dbasz o moje interesy!

– O ten nie, albo powiedzmy raczej: już nie. Jesteś pechowcem, masz niewiarygodny talent do pakowania się w najgorsze tarapaty. A za sobą pociągniesz w nieszczęście innych. Zabierz więc w końcu tę swoją kartkę!

Znów wysunął ją w stronę aktora.

Lecz Harteisen wciąż stał z pobladłą twarzą i rękoma wciśniętymi do kieszeni.

Po długim milczeniu powiedział cicho: – Nie ufam sobie. Przez ostatnie dni nieraz zdawało mi się, że ktoś mnie obserwuje. Uczyni mi tę przysługę i podrzyj tę kartkę. Wrzuć ją pod inne papiery do kosza!

– To zbyt niebezpieczne, mój drogi! Chłopiec na posyłki albo wścibska sprzątaczką i jestem załatwiony!

– Spal ją!

– Zapomniałeś, że mamy tu centralne ogrzewanie?

– Weź zapalną, spal ją nad popielniczką. Nikt nie będzie wiedział.

– Ty będziesz wiedział.

Patrzyli na siebie z pobladłymi twarzami. Byli przyjaciółmi od dawna, już od czasów szkolnych, lecz teraz pojawił się między nimi strach, a strach wywołał nieufność. Przyglądali się sobie w milczeniu.

To przecież aktor – myślał adwokat. – Może coś tu przede mną odegrał, chce mnie w to wciągnąć. Ktoś kazał mu wystawić moją wiarygodność na próbę. Ostatnio, podczas tej nieszczęsnej obrony przed Trybunałem Ludowym, ledwo się wywinąłem. Ale od tamtej pory mi nie ufają...

Czy Erwin naprawdę jest moim adwokatem? – myślał w tym czasie ponuro aktor. – W sprawie z ministrem nie chce mi pomóc, a teraz gotów jest nawet twierdzić niezgodnie z prawdą, że nie widział tej kartki. On nie dba o moje interesy. Działa przeciwko mnie. Kto wie, czy nie za pomocą tej właśnie kartki – wszędzie słyszy się o pułapkach zastawianych na ludzi. Ale to bez sensu, zawsze był moim przyjacielem, człowiekiem godnym zaufania...

I obaj się opamiętują. Patrzą na siebie i zaczynają się uśmiechać.

– Chyba oszaleliśmy, żeby sobie nawzajem nie ufać!

– My, którzy znamy się od ponad dwudziestu lat!

– Przez całą budę razem!
– Tak, i świetnie sobie razem radziliśmy!
– I jak teraz wyglądamy? Syn zdradza matkę, siostra brata, przyjaciel przyjaciela...

– Ale my siebie nie!
– Zastanówmy się, co najlepiej zrobić z tą kartką. To byłoby naprawdę nierozsądne, gdybyś wyszedł z nią w kieszeni na ulicę, skoro czujesz, że ktoś cię obserwuje.

– Może to tylko z nerwów. Daj mi tę kartkę, jakoś się jej pozbędę!
– Ty z tą swoją zgubną skłonnością do nieprzemysłanych działań! Nie, kartka zostaje tutaj!

– Masz żonę i dwoje dzieci, Erwinie. Swojemu personelowi też chyba nie możesz tak do końca ufać. Komu zresztą dzisiaj można jeszcze ufać? Daj mi tę kartkę. Zadzwoń do ciebie za kwadrans i zamelduję, że się jej pozbyłem.

– Na miłość boską! To właśnie cały ty, Maksie! Prowadzić na taki temat rozmowy telefoniczne! Dlaczego nie zadzwonisz od razu do Himmlera?^[41] Wtedy wszystko pójdzie szybciej!

I znów patrzą na siebie, odrobinę pocieszeni, że nie są jeszcze zupełnie sami, że wciąż jeszcze mają godnego zaufania przyjaciela.

Nagle adwokat gniewnie uderza w kartkę. – Co ten idiota sobie

[41] Heinrich Himmler (1900-1945) – od roku 1929 Reichsführer SS, od roku 1933 szef policji w Monachium, od roku 1936 szef policji niemieckiej, a od 1943 minister spraw wewnętrznych Rzeszy i generalny pełnomocnik ds. administracji w Rzeszy. Po zamachu na Hitlera z 20 lipca 1944 roku głównodowodzący wojsk na terenie Niemiec, organizator Volkssturmu, czyli pospolitego ruszenia w ostatniej fazie wojny. Odpowiedzialny za organizację i prowadzenie ludobójstwa na europejskich Żydach, politykę osadniczą, zwalczanie partyzantów, program pracy przymusowej. W maju 1945 roku popełnił samobójstwo w brytyjskim więzieniu.

myślał, kiedy to pisał i kładł tutaj na klatce! Żeby ot tak narażać innych ludzi na szafot!

– I to z jakiego powodu? Co on tam takiego napisał? Nic, czego każdy z nas już nie wie! To musi być jakiś szaleniec!

– Cały ten naród stał się narodem szaleńców, jeden zaraża się od drugiego!

– Żeby tak złapali tego człowieka, który sprowadza na innych takie kłopoty! Bardzo bym się ucieszył...

– Ach, przestań! Na pewno wcale byś się nie ucieszył z tego, że znowu ktoś zginał. Ale jak wybrniemy z tych tarapatów?

Adwokat znów popatrzył z namysłem na kartkę. A potem sięgnął po telefon. – Mamy tu w budynku takiego jednego kierownika politycznego – wyjaśnił przyjacielowi. – Oficjalnie przekażę mu tę kartkę, przedstawię wszystko tak, jak się faktycznie odbyło, lecz nie przypisując tej sprawie większego znaczenia. Jesteś pewien swoich zeznań?

– Całkowicie.

– A swoich nerwów?

– Ależ oczywiście, mój drogi. Na scenie nigdy nie miałem tremy. Zawsze przed spektaklem! A co to za człowiek, ten kierownik polityczny?

– Nie mam pojęcia. Nie przypominam sobie, żebym go kiedykolwiek spotkał. Prawdopodobnie jakiś mały bonza. W każdym razie dzwonię do niego.

Lecz człowieczek, który przyszedł, nie wyglądał na bonzę, raczej na lisa, któremu pochlebilo jednak, że poznaje słynnego aktora, którego tak często widział w filmach. Od razu wymienił sześć filmów; w żadnym z nich aktor nie występował. Maks Harteisen skomplementował doskonałą pamięć człowieczka, a potem przeszli do przedmiotowej sprawy jego wizyty.

Lisek przeczytał kartkę, a z jego twarzy nie dało się odczytać, co przy

tym odczuwa. Wyrażała wyłącznie spryt. Potem wysłuchał opowieści o znalezieniu kartki i dostarczeniu jej do biura.

– Bardzo dobrze. Prawidłowo! – pochwalili kierownik. – A kiedy to było?

Adwokat zawahał się przez chwilę, rzucił szybkie spojrzenie na przyjaciela. Lepiej nie kłamać, pomyślał sobie. Widzieli, jak wzburzony wchodzi tutaj z kartką w rękę.

– Dobre pół godziny temu – stwierdził adwokat.

Człowieczek wysoko uniósł brwi. – Tak długo? – zapytał z lekkim zdziwieniem.

– Mieliśmy jeszcze coś do omówienia – wyjaśnił adwokat. – Nie przywiązywaliśmy do tej sprawy szczególnej wagi. A może to jednak ważne?

– Wszystko jest ważne. Ważne jest, żeby złapać tego, kto tę kartkę położył. Ale teraz po półgodzinie jest już oczywiście o wiele za późno.

W każdym jego słowie pobrzmiwał lekki wyrzut z powodu owego „za późno”.

– Przykro mi z powodu tego opóźnienia – powiedział aktor Harteisen łagodzącym tonem. – Powstało z mojej winy. Uznałem, że moje sprawy są ważniejsze niż ta – bazgranina!

– Powinienem być wiedzieć – stwierdził adwokat.

Lisek uśmiechnął się łagodnie. – Cóż, moi panowie, jak za późno, to za późno. W każdym razie cieszę się, że w ten sposób miałem przyjemność poznać pana Harteisena osobiście. Heil Hitler!

Odpowiedzieli głośno, zrywając się z miejsc: – Heil Hitler!

A gdy zamknęły się za nim drzwi, obaj przyjaciele popatrzyli po sobie.

– Dzięki Bogu, pozbyliśmy się tej nieszczęsnej kartki!

– A on o nic nas nie podejrzewa!

– Na pewno nie z powodu kartki! Ale chyba się domyślił, że wahaliśmy

się, czy ją oddać czy nie.

– Myślisz, że jeszcze coś z tego wyniknie?

– Nie, właściwie to nie. W najgorszym przypadku jakieś błahe przesłuchanie, jak, gdzie i kiedy znalazłeś tę kartkę. A pod tym względem nie ma nic do ukrycia.

– Wiesz, Erwinie, właściwie to bardzo się cieszę, że na trochę wyjadę z tego miasta.

– Widzisz!

– Tu jest coraz gorzej!

– To prawda! Żebyś wiedział! I to jak!

Tymczasem lisek udał się do swojej lokalnej komórki partyjnej. Teraz kartkę trzymał w ręku ktoś w brunatnej koszuli.

– To sprawa dla Gestapo – stwierdził brunatna koszula. – Najlepiej sam tam z tym pojedź, Heinz. Czekał, dopiszę parę słów. A ci dwaj panowie?

– To na pewno nie oni! Oczywiście obaj nie są politycznie wiarygodni. Mówię ci, pocili się jak myszy, że muszą zgłosić tę kartkę.

– Harteisen popadł ponoć w niełaskę u ministra Goebbelsa – stwierdził brunatna koszula w zamyśleniu.

– Mimo wszystko! – powiedział lisek. – Nigdy nie odważyłby się na coś takiego. Za bardzo się boi. Rzuciłem mu prosto w twarz tytuły sześciu filmów, w których nie występował, chwając jego mistrzowską grę. Kłaniał się raz za razem i aż promieniał z wdzięczności. A ja wprost czułem zapach jego strachu!

– Każdy się czegoś boi! – zauważył z pogardą brunatna koszula. – I właściwie to czemu? Przecież mają tak łatwo, wystarczy, że będą robić to, co im powiemy.

– To dlatego, że nie potrafią przestać myśleć. Wciąż wierzą, że dzięki myśleniu coś osiągną.

– Lepiej żeby słuchali. Myśleniem zajmuje się Führer.

Brunatna koszula postukał palcem w kartkę: – A to tutaj? Co o tym myślisz, Heinz?

– Co mam powiedzieć? Prawdopodobnie rzeczywiście stracił syna...

– Gdzie tam! Ci, co piszą i robią takie rzeczy, to zawsze są zwykli podżegacze. Chcą coś osiągnąć dla siebie. Synowie i całe Niemcy, to wszystko jest im zupełnie obojętne. To jakiś stary socjalista albo komunista...

– Nie wierzę. I w życiu nie uwierzę. Oni zawsze używają tych samych słów: faszyzm, reakcja, solidarność, proletariat – a na tej kartce nie ma ani jednego z tych wszystkich haseł. A zresztą komunistów i socjalistów wyczuwam na dziesięć kilometrów, i to pod wiatr!

– A ja tak właśnie uważam! Oni się teraz wszyscy świetnie maskują...

Lecz panowie z Gestapo też nie zgadzali się z opinią brunatnej koszuli. Poza tym raport liska został przyjęty z pogodnym spokojem. Nie do takich rzeczy byli tam przyzwyczajeni.

– No cóż – stwierdzili. – Wszystko pięknie. Zobaczymy. Jakby pan raczył jeszcze udać się do komisarza Eschericha, powiadomimy go telefonicznie, on się zajmie tą sprawą. Niech pan złoży mu jeszcze raz dokładny raport, jak zachowywali się tamci dwaj panowie. Oczywiście na razie nie będziemy nic przeciwko nim przedsiębrać, może nam się to przydać tylko jako materiał do ewentualnych spraw w przyszłości, rozumie pan...?

Komisarz Escherich, wysoki, chudawy mężczyzna z potarganymi wąsami o barwie piasku i w jasnoszarym garniturze – wszystko w tym człowieku było tak bezbarwne, że można by go spokojnie uznać za istotę zrodzoną z pokrywającego akta kurzu – a więc komisarz Escherich w kółko obracał w dłoniach kartkę.

– Nowa płyta – stwierdził. – Takiej nie mam jeszcze w swojej kolekcji. Ciężka ręka, niewiele pisał w swoim życiu, zawsze pracował rękami.

– Kapedowiec?^[42] – zapytał lisek.

Komisarz Escherich zachichotał: – Niech pan sobie nie żartuje! Coś takiego i kapedowiec! Widzi pan, gdybyśmy mieli prawdziwą policję, a sprawa byłaby tego warta, autor tej kartki w ciągu dwudziestu czterech godzin byłby pod kluczem.

– A jak by pan to zrobił?

– Przecież to całkiem proste! Kazałbym sprawdzić, komu w Berlinie w ostatnich dwóch, trzech tygodniach poległ syn, notabene jedyny syn, bo ten, kto to napisał, miał tylko jednego syna!

– A skąd pan to wie?

– Przecież to oczywiste! W pierwszym zdaniu, gdy pisze o sobie, tak właśnie mówi. W drugim i w kolejnych pisze o synach. Więc na takich koncentrujemy śledztwo, nie może być ich znowu tak wielu w Berlinie, na nich mamy oko i raz, dwa – nasz pisarz siedzi!

– To dlaczego pan tego nie zrobi?

– Już panu powiedziałem, że nie mamy do tego odpowiedniego aparatu i dlatego że sprawa nie jest tego warta. Widzi pan, są dwie możliwości. Albo napisze jeszcze dwie, trzy kartki i potem będzie mieć dość. Bo to go kosztuje zbyt wiele trudu albo ryzyko jest za duże. Wtedy nie wyrządzi wiele szkody, a my też się nie napracujemy.

– Sądzi pan, że wszyscy będą oddawać te kartki?

– Wszyscy nie, ale większość – owszem. Na niemieckim narodzie

[42] KPD (Kommunistische Partei Deutschlands) – Komunistyczna Partia Niemiec, założona na przełomie lat 1918/1919, po zjednoczeniu rozmaitych lewicowych ugrupowań (m.in. Związku Spartakusa), po pożarze Reichstagu w roku 1933 mandaty posłów KPD zostały anulowane, oficjalnie partia nie została przez reżim narodowosocjalistyczny zakazana, jej struktury zostały jednak zniszczone, a członkowie aresztowani, zesłani do obozów koncentracyjnych, emigrowali albo schodzili do podziemia.

można polegać...

– Bo wszyscy się boją!

– Nie, tego nie powiedziałem. Nie sędzę na przykład, żeby ten człowiek – postukał kostkami pięści w kartkę – żeby ten człowiek się bał. Sędzę raczej, że wystąpi tutaj druga możliwość: ten człowiek wciąż będzie pisać. I niech tak będzie, im więcej pisze, tym bardziej się zdradza. Teraz zdradził o sobie zaledwie odrobinę, mianowicie to, że stracił syna. Ale z każdą kolejną kartką zdradzi o sobie trochę więcej. Nie będę się wcale musiał napracować. Wystarczy, że będę tu siedzieć, troszkę uważać i – cap – mam go! My tutaj, w naszym wydziale, potrzebujemy tylko cierpliwości. Czasem trwa to rok, czasem jeszcze dłużej, ale w końcu łapiemy wszystkie nasze ptaszki. Albo prawie wszystkie.

– A co potem?

Mężczyzna w kolorze kurzu wyjął mapę Berlina i przykleił ją do ściany. Potem wbił czerwoną chorągiewkę dokładnie w miejscu, gdzie stał biurowiec przy Neue Königstraße.

– Widzi pan, to wszystko, co mogę w tej chwili zrobić. Ale przez następne tygodnie dojdą kolejne chorągiewki, a tam, gdzie będzie ich najwięcej, tam będzie mój Klabaternik^[43]. Bo z czasem zobojętnieje i nie będzie mu się chciało zbyt daleko chodzić zjedną kartką. Widzi pan, o tej kartce mój Klabaternik w ogóle już nie będzie pamiętać. Takie to proste! A ja cap! I już go mam!

– A co potem? – zapytał lisek pchany niezdrawą ciekawością.

Komisarz Escherich popatrzył na niego z lekką ironią.

– Chciałby pan wiedzieć? Cóż, oddam panu tę przysługę: Trybunał Ludowy i główka leci! I cóż mnie to obchodzi? Co go zmusza, żeby

[43] Klabaternik (niem. Klabautermann) – postać z folkloru germańskiego, opiekuńczy duch statku, który potrafił być też złośliwy. Ukazywał się pod postacią karzełka lub błędnego ognika.

wypisać taką cholerną kartkę, której nikt nie przeczyta i nikt nie chce czytać! Nie, to mnie nie obchodzi. Dostaję pensję, a czy za nią sprzedaję znaczki, czy wbijam chorągiewki, to wszystko jedno. Ale będę o panu pamiętać, nie zapomnę, że to pan przyniósł pierwszy meldunek, a jak go złapię i sprawa się zakończy, wyślę panu zaproszenie na egzekucję.

– Nie, naprawdę dziękuję. Nie o to mi chodziło!

– Oczywiście, że o to. Dlaczego się pan przede mną wstydzi?! Przede mną nikt nie musi się wstydzić, wiem, jak to z ludźmi jest! Gdybyśmy my tutaj tego nie wiedzieli, to kto by to wiedział? Nawet sam Bóg miłosierny by nie wiedział! A więc, ustalone, prześlę panu kartkę z zaproszeniem na egzekucję. Heil Hitler!

– Heil Hitler! I proszę nie zapomnieć!

ROZDZIAŁ 21.

Pół roku później: Quanglowie

Pół roku później niedzielne pisanie pocztówek stało się dla obojga Quanglów nawykiem, wręcz świętym nawykiem, który stanowił część ich codziennego życia, podobnie jak głęboki spokój, jaki ich otaczał, tudzież żelazna oszczędność dotycząca każdego grosza. To były najpiękniejsze godziny tygodnia, gdy oboje siedzieli razem w niedzielę, ona w rogu kanapy, zajęta jakimś łataniem czy cerowaniem, a on sztywno na krześle przy stole, z obsadką w wielkiej dłoni, powoli pisząc słowo za słowem.

Quangel podwoił teraz swoją początkową wydajność jednej kartki na tydzień. Jak dobrze szło, dochodził nawet do trzech sztuk w jedną niedzielę. Nigdy jednak nie pisał takiej samej treści. Im więcej Quanglowie pisali, tym więcej odkrywali błędów Führera i jego partii, rzeczy, które kiedy się wydarzały, nie wydawały im się naganne, jak tłumienie wszystkich innych partii, albo które oceniali jako zbyt daleko posunięte lub zbyt brutalnie przeprowadzane, jak prześladowania Żydów (gdyż podobnie jak większość Niemców Quanglowie w głębi ducha wcale nie byli sympatykami Żydów, akceptowali więc podejmowane środki) – te wszystkie rzeczy nabierały teraz, gdy stali się wrogami Führera, zupełnie nowego znaczenia i ciężaru. Udowadniały im zakłamanie partii i jej przywódcy. I jak wszyscy świeżo nawróceni – starali się nawracać innych, więc ton, w jakim pisali kartki, nigdy nie stał się monotony, a tematów nie brakowało.

Anna Quangel już od dawna nie tkwi na swym posterunku w milczeniu, siedzi na sofie ożywiona, rozmawia, proponuje tematy i układa zdania.

Pracują w pięknej harmonii, a ta głęboka wewnętrzna wspólnota, którą po tylu latach małżeństwa dopiero teraz poznają, jest dla nich ogromnym szczęściem, które promieniuje światłem na cały tydzień. Zerkali na siebie, uśmiechali się, jedno wiedziało o drugim, że myśli właśnie o kolejnej kartce albo o efektach tych kartek, na które czekała wciąż rosnąca liczba ich czytelników, niecierpliwie wyglądających kolejnej wiadomości.

Oboje Quanglowie ani przez chwilę nie wątpili w to, że ich kartki przechodzą teraz ukradkiem w fabrykach z rąk do rąk, że Berlin zaczął mówić o przeciwnikach partii. Było dla nich oczywiste, że część kartek trafiła w ręce policji, ale zakładali, że dotyczy to najwyżej co piątej, co szóstej kartki. Tak często myśleli i rozmawiali o efektach swoich działań, że przekazywanie ich wiadomości dalej, poruszenie, jakie wzbudzały, to wszystko wydawało im się oczywiste, to był fakt, w który nie można było wątpić.

A przy tym Quanglowie nie mieli na to najmniejszego choćby dowodu. Choć Anna Quangel wystawała w kolejkach pod sklepami z żywnością, majster w milczeniu i ze swoim czujnym spojrzeniem dołączał do grup plotkujących, a wtedy jego nadejście natychmiast ucinało rozmowy – nigdy nie usłyszeli ani słowa o nowym przeciwniku Führera, o wiadomościach, które wysyłał w świat. Lecz to milczenie na temat ich pracy nie mogło zachwiać ich głębokim przekonaniem, że jeszcze będą o niej mówić, że jeszcze przyniesie efekty. Berlin to takie wielkie miasto, kartki podkładali w dużych odległościach, potrzeba czasu, żeby wiedza o nich dotarła wszędzie. Krótko mówiąc, Quanglowie robili to, co wszyscy: wierzyli w to, na co mieli nadzieję.

Jeśli chodzi o środki ostrożności, które Quangel na początku swoich działań uważał za niezbędne, to zrezygnował tylko z rękawiczek. Po dokładnym przemyśleniu sprawy uznał, że na nic się nie przydadają, a tylko przeszkadzają i spowalniają jego pracę. Jego kartki prawdopodobnie

przechodziły przez tyle rąk, że nawet jeśli któraś wylądowała na policji, to najbardziej doświadczony funkcjonariusz nie mógłby rozpoznać, które odciski należą do autora. Oczywiście Quangel nadal zachowywał najwyższą ostrożność. Przed pisaniem zawsze mył ręce, brał kartki delikatnie i tylko za krawędzie, a gdy pisał, zawsze pod piszącą ręką miał bibułkę.

Samo rozkładanie kartek w dużych biurach już dawno straciło urok nowości. To, co na początku wydawało im się takie niebezpieczne, z biegiem czasu okazało się najłatwiejszą częścią zadania. Człowiek wchodził do takiego pełnego życia budynku, czekał na odpowiedni moment i zaraz schodził z powrotem po schodach, z poczuciem ulgi i już bez uścisku w żołądku, myśląc sobie „I znów się udało”, choć bez szczególnego zdenerwowania.

Najpierw Quangel rozkładał kartki tylko sam, towarzystwo Anny wydawało mu się wręcz niepożądane. Lecz potem tak jakoś wyszło, że Anna stała się aktywną pomocniczką. Quangel bardzo pilnował tego, żeby kartki, bez względu na to, czy napisali jedną, dwie czy nawet trzy, zawsze opuszczały ich dom następnego dnia. Lecz czasami z powodu bólów reumatycznych w nodze nie mógł chodzić, a poza tym ostrożność wymagała, żeby kartki rozkładać w oddalonych od siebie rejonach miasta. To wymagało czasochłonnych podróży tramwajem, którym jedna osoba w jedno przedpołudnie nie mogła podołać.

Więc Anna zaczęła uczestniczyć także w tej części zadania. Ku swemu zdumieniu odkryła, że o wiele bardziej denerwujące i stresujące było stanie przed budynkiem i czekanie na męża niż rozkładanie ich samej. Przy tym zawsze była niezwykle opanowana. Gdy tylko weszła do odpowiedniego budynku, czuła się pewnie w wirze osób wchodzących i schodzących po schodach, czekała cierpliwie na sposobność, a potem szybko kładła kartki. Była pewna, że nikt na nią przy tym nie patrzył, że

nikt jej nie zapamiętał i nie mógłby podać opisu jej osoby. Właściwie to o wiele mniej zwracała na siebie uwagę niż jej mąż o ostrej ptasiej twarzy. Była niepozorną mieszkanką miasta, która właśnie biegnie do lekarza.

Tylko jeden jedyny raz przeszkodzono Quanglom w ich niedzielnym pisaniu. Lecz i ta przeszkoda nie wywołała nawet najmniejszego zamieszania czy zdenerwowania. Tak jak to wielokrotnie omówili, Anna Quangel po usłyszeniu dzwonka zakradła się cicho do drzwi wejściowych, żeby wyjrzeć przez wizjer, kto przyszedł. W tym czasie Otto Quangel schował przybory do pisania, a rozpoczętą kartkę wsunął do książki. Napisał na niej dopiero pierwsze słowa: „Führerze, rozkazuj – my posłuchamy! Tak jest, posłuchamy, staliśmy się stadem owiec, które nasz Führer może zapędzić na rzeź, gdzie chce. Zrezygnowaliśmy z myślenia.”

Kartkę z tymi słowami Otto Quangel włożył do poradnika dla radioamatorów swego poległego syna, a gdy Anna Quangel wróciła do pokoju z obojgiem gości, niskim garbusem i ciemnowłosą, wysoką, zmęczoną kobietą, siedział już z narzędziami do drewna i rzeźbił popiersie chłopca, w którym zrobił znaczne postępy i które zdaniem Anny Quangel coraz bardziej przypominało oryginał. Okazało się, że mały garbus to brat Anny, rodzeństwo nie widziało się od prawie trzydziestu lat. Mały garbus od zawsze pracował w zakładach optycznych w Rathenow i dopiero niedawno został ściągnięty do Berlina, żeby jako specjalista pracować w fabryce, która produkowała jakieś urządzenia do łodzi podwodnych. Zmęczona ciemnowłosa kobieta była szwagierką Anny, której ta jeszcze nie знаła. Otto Quangel dopiero teraz poznał krewnych żony.

Tej niedzieli nie było już dalszego pisania, niedokończona kartka została w poradniku dla radioamatorów Ottonka. Choć Quanglowie byli przeciwni wszelkim wizytom, przyjaciołom i krewnym ze względu na spokój, w jakim chcieli żyć, ów brat i jego żona, którzy pojawili się tak niespodziewanie, całkiem im się spodobali. Państwo Heffke też byli na

swój sposób spokojnymi ludźmi, należeli do jakiejś sekty religijnej, która po nakazie likwidacji była prześladowana przez nazistów. Ale prawie o tym nie mówili, podobnie jak w ogóle na żaden politycznie niebezpieczny temat.

Lecz Quangel słuchał w zdumieniu, jak oboje, Anna i jej brat, Ulrich Heffke, wspominają dzieciństwo. Po raz pierwszy dotarło do niego, że Anna też kiedyś była dzieckiem, i to dzieckiem hardym, niesfornym i psotnym. Poznał swoją żonę, gdy była już dorosłą kobietą i nigdy nie myślał o tym, że kiedyś wyglądała zupełnie inaczej, zanim ciężka, mozolna, przykra służba nie pozbawiła jej sił i nie odebrała nadziei.

A teraz, gdy rodzeństwo tak sobie gawędziło, widział przed sobą małą, biedną wioskę w Brandenburgii; dowiedział się, że pasła gęsi, że zawsze chowała się przed wykopkami, bo ich nienawidziła, i że dostawała za to porządne ciągi, usłyszał, że była we wsi bardzo lubiana, bo przekorna i odważna zawsze sprzeciwiała się temu, co wydawało jej się niesprawiedliwe. Ponoć kiedyś nawet niesprawiedliwemu nauczycielowi trzy razy strąciła śnieżką kapelusz z głowy – i nigdy nie odkryli, że to ona. Tylko ona i Ulrich o tym wiedzieli, ale Ulrich nie naskarżył.

Nie, to nie była niemiła wizyta, choć napisali dwie kartki mniej niż zwykle. Quanglowie szczerze mówili, gdy żegnając Heffków, obiecywali odwzajemnić wizytę. I dotrzyмали obietnicy. Pięć czy sześć tygodni później odwiedzili Heffków w małym tymczasowym mieszkaniu, które udostępniono im w pobliżu Nollendorfplatz na zachodzie miasta. Quanglowie skorzystali z tej wizyty, by w końcu położyć kartkę także w zachodniej części miasta. Choć była to niedziela i w biurowcu panował mały ruch, wszystko się powiodło.

Od tej pory kolejne wzajemne wizyty następowały mniej więcej w sześciotygodniowych odstępach. Nie były już tak porywające, ale wносиły jakiś świeży powiew do życia Quangelów. Zwykle Otto i jego szwagierka

siedzieli w milczeniu przy stole i słuchali cichej rozmowy obojga rodzeństwa, którzy nigdy nie mieli dość paplaniny o swoim dzieciństwie. Quangel cieszył się, że poznał też tamtą inną Annę, choć właściwie nie potrafił połączyć kobiety żyjącej dziś u jego boku z tamtą dziewczynką, która znała pracę na roli, wyprawiała figle i psoty, a mimo to uchodziła za najlepszą uczennicę w małej wiejskiej szkole.

Dowiedzieli się, że rodzice Anny wciąż mieszkają w ich rodzinnej miejscowości, byli już bardzo starzy – szwagier napomknął mimochodem, że przesyła im co miesiąc dziesięć marek. Anna Quangel już miała powiedzieć bratu, że ona odtąd też będzie tak robić, ale w ostatniej chwili dostrzegła ostrzegawcze spojrzenie męża i umilkła.

Dopiero w drodze do domu powiedział: – Nie, lepiej nie, Anno. Po co rozpieszczać starych ludzi? Mają przecież emerytury, a jeśli do tego szwagier posyła im jeszcze co miesiąc dziesięć marek, to na pewno im wystarcza.

– Mamy przecież tyle pieniędzy w kasie oszczędnościowej! – prosiła Anna. – Nigdy tego nie zużyjemy. Wcześniej myśleliśmy, że to będzie kiedyś dla Ottonka, ale teraz... Zróbmy to, Ottonie! Choćby pięć marek miesięcznie!

Niewzruszony Otto Quangel odpowiedział: – Teraz, gdy zaangażowaliśmy się w tę wielką sprawę, nie wiadomo, na co mogą się nam te pieniądze pewnego dnia przydać. Możemy potrzebować każdej marki, Anno. A staruszkowie jakoś żyli bez naszej pomocy do tej pory, czemu nie miałyby być tak dalej?

Zamilkła nieco urażona, może nie tyle w swej miłości do rodziców, gdyż prawie nigdy o nich nie myślała i tylko raz do roku, na Boże Narodzenie, pisała do nich z obowiązku list. Ale czuła, że kompromituje się przed bratem przez to skąpstwo. Brat nie powinien sobie myśleć, że ona nie może tego, co on może.

Powiedziała więc z uporem: – Ulrich pomyśli sobie, że nas na to nie stać, Ottonie. Będzie nisko oceniać twoją pracę, skoro ona tak niewiele przynosi.

– Przecież to wszystko jedno, co inni o mnie myślą – stwierdził Quangel. – Na coś takiego nie będę wyciągał pieniędzy z kasy.

Anna czuła, że to zdanie jest ostateczne. Zamilkła, dostosowała się, jak zawsze, gdy Otto wypowiadał tego rodzaju zdanie, ale mimo wszystko czuła się nieco urażona, że mąż nie uwzględni jej uczuć. Jednak Anna Quangel, pracując przy wielkim dziele, szybko zapomniała o owej urazie.

ROZDZIAŁ 22.

Pół roku później: komisarz Escherich

Pół roku po otrzymaniu pierwszej kartki komisarz Escherich stał, gładząc się po swoich szaroburych włosach, przy mapie Berlina, na której czerwonymi chorągiewkami oznaczył miejsca znalezienia kartek Quanglów. W mapie tkwiły już czterdzieści cztery chorągiewki. Z czterdziestu ośmiu kartek, które Quanglowie napisali i wyłożyli przez te pół roku, tylko cztery nie trafiły na Gestapo. A i te cztery wcale nie przechodziły w zakładach z rąk do rąk, jak mieli nadzieję Quanglowie, tylko ledwo przeczytane, zostawały z lękiem podarte, spuszczone z wodą lub spalone.

Drzwi otwierają się i do środka wchodzi przełożony Eschericha, SS-Obergruppenführer Prall^[44]: – Heil Hitler, Escherich! No, czemuż to tak przygryza pan wosa?

– Heil Hitler, panie Obergruppenführer! To przez tego autora kartek, Klabaternika, jak go nazywam.

– O! A dlaczego Klabaternik?

– Nie wiem. Tak mi przyszło do głowy. Może dlatego, że chce ludzi nastraszyć.

– I co wiemy, Escherich?

– Taa! – odparł komisarz przeciągle. Znów w zamyśleniu popatrzył na mapę. – Sądząc po rozmieszczeniu, musi mieszkać gdzieś na północ od Alexanderplatz, bo tam znaleziono ich najwięcej. Ale na wschodzie i w centrum też jest całkiem gęsto. Na południu prawie nic, a na zachodzie,

[44] Obergruppenführer – paramilitarny stopień obowiązujący w SS i SA, odpowiednik rangi generała broni w Wehrmachcie.

trochę na południe od Nollendorfplatz, znaleziono dwie – musiał mieć tam okazyjnie coś do załatwienia.

– Mówiąc po ludzku, z tej mapy nic a nic nie wynika! Z tym nie zrobimy ani kroku dalej!

– Trzeba czekać! Za pół roku, jeśli mój Klabaternik do tej pory nie popełni jakiegoś błędu, ta mapa powie nam o wiele więcej.

– Pół roku! Pan jest naprawdę cudowny, Escherich! Jeszcze przez pół roku pozwoli pan tej świni tarzać się i chrząkać i nie zrobi pan nic, tylko będzie sobie spokojnie wbijać kolejne chorągiewki!

– Wnaszejpracycierpliwośćjestniezbędna, panie Obergruppenführerze. To tak, jakby stał pan na stanowisku i czekał na kozła. Po prostu musi pan czekać. Zanim nie podejdzie, nie może pan strzelać. Ale gdy podejdzie, już ja wystrzelę, może pan być spokojny!

– Wciąż mówi pan o cierpliwości, Escherich! Sądzi pan, że ci na górze mają jej tak dużo? Obawiam się, że wkrótce dostaniemy taki ochrzan, że długo się nie pozbieramy. Niech pan pomyśli, przez pół roku czterdzieści cztery kartki, to prawie dwie kartki na tydzień, które do nas trafiają, oni to przecież wiedzą. A potem pytają mnie: No i? Wciąż niezłapany? Dlaczego jeszcze niezłapany? Co wy właściwie robicie? Wbijamy chorągiewki i kręcimy młynka kciukami, odpowiadam. A potem dostaję ochrzan i rozkaz, żeby przymknąć tego człowieka w ciągu dwóch tygodni.

Komisarz Escherich uśmiechnął się pod swoim szaroburym wąsem. – A potem ochrzani pan mnie, panie Obergruppenführerze, i wydaje mi służbowe polecenie, żebym przymknął go w ciągu tygodnia!

– Niech się pan tak głupio nie uśmiecha, Escherich! Taki przypadek, jeśli na przykład dojdzie do uszu Himmlera, może zepsuć najpiękniejszą karierę i być może pewnego dnia będziemy w obozie w Sachsenhausen smętnie wspominać, jakie to były piękne czasy, gdy mogliśmy sobie jeszcze wbijać chorągiewki.

– Bez obaw, panie Obergruppenführerze! Od lat jestem funkcjonariuszem policji kryminalnej i wiem, że nikt nie może zrobić nic lepszego niż my, czyli czekać. Niech nam zdradzą lepszy sposób, ci mądrale, jak dorwać mojego Klabaternika. Ale oni oczywiście żadnego nie znają.

– Escherich, niech pan pomyśli: jeśli do nas spłynęły czterdzieści cztery, to znaczy, że przynajmniej drugie tyle, a może i ponad sto kartek jest dziś w Berlinie w obiegu, siejąc niezadowolenie, podlegając do sabotażu. Przecież temu nie wolno się tak spokojnie przyglądać!

– Sto kartek w obiegu! – roześmiał się Escherich. – Nie ma pan pojęcia o niemieckim narodzie, panie Obergruppenführerze! Po tysiącokroć proszę o wybaczenie, panie Obergruppenführerze, nie powinienem był się tak wyrażać, tak mi się tylko wyrwało! Oczywiście pan Obergruppenführer doskonale zna niemiecki naród, prawdopodobnie o wiele lepiej niż ja, ale ludzie tak bardzo się dziś boją! Wszystko nam przynoszą. W obiegu na pewno nie ma więcej jak dziesięć kartek!

Po gniewnej gestykulacji wywołanej obraźliwą odzywką Eschericha (ci z Kripo^[45] są naprawdę głupi i zachowują się zbyt swobodnie!), a więc po tym, jak Obergruppenführer Prall zganił obraźliwą odzywkę Eschericha gniewnym spojrzeniem i wściekłym wymachem ramion, powiedział: – Ale nawet dziesięć to za dużo! Nawet jedna to za dużo! Ani jedna nie powinna być w obiegu! Musi pan złapać tego człowieka, Escherich, i to szybko!

Komisarz stał, nic nie mówiąc. Nie odrywał wzroku od lśniących czubków oficerek Obergruppenführera, gładził się w zamyśleniu po wąsach i uparcie milczał.

– Tak, stoi pan tak i milczy! – wykrzyknął rozzłoszczony Prall. – A ja wiem, co pan myśli. Myśli pan mianowicie o tym, że ja też jestem

[45] Kripo (skrót od Kriminalpolizei) – policja kryminalna.

takim mądrą, który potrafi udzielić nagany, ale nic lepszego nie umie zaproponować.

Czerwienił się komisarz Escherich już od dawna nie potrafił. Lecz w tym momencie, gdy został przyłapany na tym, co dokładnie w skrytości ducha myślał, był naprawdę bardzo bliski spłonięcia rumieńcem. I był też zakłopotany, co nie zdarzyło mu się od niepamiętnych czasów.

Obergruppenführer Prall wszystko to zauważył. Rzekł pogodnie: – Cóż, nie chciałbym wprawiać pana w zakłopotanie, Escherich, z całą pewnością! I nie chciałbym także udzielać panu dobrych rad. Wie pan, nie jestem policjantem, zostałem tu tylko odkomenderowany. Ale niech mnie pan trochę oświeci. W najbliższych dniach z pewnością będę musiał złożyć w tej sprawie raport, więc chciałbym wszystko dokładnie wiedzieć. Nigdy nie zaobserwowano go przy rozkładaniu kartek?

– Nigdy.

– I nikt nikogo nie podejrzewa w budynkach, w których je znaleziono?

– Podejrzewa? Dziś każdy każdego podejrzewa! I to wszędzie. Ale nie stoi za tym nic poza odrobiną złości na sąsiada, szpiclowaniem i denuncjatorską gorączką. Nie, w ten sposób nie trafimy na żaden trop!

– A ci, którzy je znaleźli? Wszyscy poza podejrzeniem?

– Poza podejrzeniem? – Escherich skrzywił się. – Ach Boże, panie Obergruppenführerze, dzisiaj nikt nie jest poza podejrzeniem. – A rzuciwszy okiem na twarz swojego przełożonego: – Albo wszyscy. Ale przesialiśmy nie raz i nie dwa wszystkich znalazców. Z autorem tych kartek żaden z nich nie ma nic wspólnego.

Obergruppenführer westchnął. – Powinien pan zostać pastorem. Świetnie umie pan pocieszyć, Escherich! – powiedział. – A więc zostały już tylko kartki. Dają jakieś punkty zaczepienia?

– Marne. Bardzo marne! – stwierdził Escherich. – Nie, lepiej nie będę jak pastor, tylko powiem panu całą prawdę, panie Obergruppenführerze!

Po tej pierwszej jego wpadce, tej z jedynym synem, myślałem, że sam podstawi mi się pod nóż. Ale to szczwany lis.

– Niech pan powie, Escherich – wykrzyknął nagle Prall – czy kiedykolwiek pomyślał pan, że to równie dobrze może być kobieta? Właśnie o tym pomyślałem, gdy wspomniał pan o jedynaku.

Zaskoczony komisarz patrzył przez chwilę na przełożonego. Myślał. A potem stwierdził, z troską potrząsając głową: – To też na nic, panie Obergruppenführerze. To akurat jeden z tych punktów, które uważam za absolutny pewnik. Mój Klabaternik jest wdowcem, a w każdym razie mężczyzną, który żyje całkiem sam. Gdyby w tę sprawę była zamieszana kobieta, już dawno by się komuś wygadała. Niech pan pomyśli: pół roku, tyle nie wytrzyma żadna baba!

– Ale jakaś matka, która straciła jedyne syna?

– Też nie. Właśnie to nie! – zdecydował Escherich. – Kto ma zmartwienie, szuka pocieszenia, a żeby je uzyskać, trzeba gadać. Nie, w tę sprawę na pewno nie jest zamieszana żadna kobieta. O niej wie tylko jeden człowiek, i to taki, który potrafi milczeć.

– A nie mówiłem: pastor! Są jeszcze jakieś inne punkty zaczepienia?

– Marnie z tym, panie Obergruppenführerze, bardzo marnie. Z pewną dozą pewności można stwierdzić, że ten człowiek jest skąpy albo ma na pieńku z Pomocą Zimową. Bo na kartkach wypisuje różne rzeczy, ale nigdy nie zapomina o napomnieniu: Nie dokładaj się do Pomocy Zimowej!

– Cóż, jeśli mamy szukać w Berlinie kogoś, kto nie chce się składać na Pomoc Zimową, Escherich...

– Też tak uważam, panie Obergruppenführerze. To za mało. Za mało.

– A poza tym?

Komisarz wzruszył ramionami. – Niewiele, nic – powiedział. – Być może da się jeszcze ze sporą dozą pewności założyć, że ten, kto rozkłada kartki, nie ma stałego zajęcia, bo znajdowano je o różnych porach dnia,

między ósmą rano a dziewiątą wieczorem. A biorąc pod uwagę ruch na klatkach schodowych, które wybiera Klabaternik, można też przyjąć, że każda kartka została odnaleziona w miarę szybko po położeniu. Poza tym? Pracownik fizyczny, niewiele w życiu pisał, ale po niezłej szkole prawie nie robi błędów, wyraża się całkiem sprawnie...

Escherich zamilkł, obaj milczeli dość długo, wpatrując się przy tym bezmyślnie w mapę z czerwonymi chorągiewkami.

A potem Obergruppenführer Prall powiedział: – Twardy orzech do zgryzienia, Escherich. Twardy dla nas obu.

Komisarz odparł tonem pocieszenia: – Nie ma takiego orzecha, który byłby aż tak twardy, żeby dziadek do orzechów nie dał mu rady!

– Ktoś może sobie przy tym zmiażdżyć palce, Escherich!

– Tylko cierpliwość, panie Obergruppenführerze, po prostu odrobina cierpliwości!

– Nie ode mnie zależy, czy będą ją mieć ci na górze, Escherich. No, pomęczcie jeszcze trochę swoją mózgowicę, Escherich, może wpadnie wam do głowy coś lepszego niż to durne czekanie. Heil Hitler, Escherich!

– Heil Hitler, panie Obergruppenführerze!

Gdy komisarz został sam, stał jeszcze chwilę przed mapą, w zamyśleniu gładząc się po jasnych włosach. Wcale nie było tak, jak starał się to przedstawić swojemu przełożonemu. Wobec tej sprawy nie był zubożniałym starym policjantem, którego nic już nie rusza. Nie, ten milczący, wciąż niestety zupełnie mu nieznan autor kartek, który tak otwarcie, a jednocześnie z taką ostrożnością, tak mądrze kalkulując, rzucił się do niemal beznadziejnej walki, wzbudził w nim zainteresowanie. Z początku sprawa Klabaternika była jedną z wielu. Ale potem go zaintrygował. Musiał znaleźć tego człowieka, który siedział gdzieś tam pośród tysięcy berlińskich dachów, musiał spotkać twarzą w twarz człowieka, który co tydzień z regularnością maszyny, w poniedziałkowy

wieczór, a najpóźniej wtorkowe przedpołudnie, przysyłał komisarzowi na biurko dwie, trzy pocztówki.

Escherich już od dawna był bardzo daleki od owej cierpliwości, którą przed chwilą tak mocno zalecał Obergruppenführerowi. Escherich polował – ten stary policjant z Kripo był prawdziwym myśliwym. Miał to we krwi. Polował na ludzi, tak jak inni myśliwi polują na dziki. To, że dziki i ludzie umierają na końcu polowania, wcale go nie poruszało. Taka śmierć była przeznaczeniem dzika, podobnie jak człowieka, który pisze takie kartki. Od dawna łamał sobie głowę nad tym, jak mógłby szybciej podejść Klabaternika – Obergruppenführer Prall naprawdę nie musiał mu o tym przypominać. Ale nie znalazł żadnego innego sposobu, tu mogła pomóc tylko cierpliwość. Z powodu tak nieistotnej sprawy nie można było uruchamiać całego aparatu policyjnego ani kazać przeszukać każde mieszkanie w Berlinie – pomijając już to, że nie mógł siał w mieście niepokoju. Musiał nadal wykazywać się cierpliwością...

A jeśli człowiek ma wystarczająco dużo cierpliwości, to zawsze coś się nagle wydarzy, prawie zawsze coś się zdarzało. Przestępca popełniał jeden błąd albo przypadek płatał mu psikusa. I na jedną z tych dwóch rzeczy trzeba było czekać, na przypadek albo na błąd. Zawsze albo prawie zawsze następowała któraś z nich. Escherich miał nadzieję, że w tym wypadku nie będzie żadnego „prawie”. Był zaintrygowany, och, bardzo zaintrygowany. W zasadzie było mu zupełnie obojętne, czy uniemożliwi przestępcyego szkodliwą działalność, czy też nie. Escherich, jak już powiedziano, polował. Nie tylko ze względu na pieczone, lecz dla samej przyjemności polowania. Wiedział, że w momencie, gdy zwierzyna zostanie upolowana, przestępca złapany, a jego przestępstwa w wystarczający sposób udowodnione – w tym samym momencie skończy się jego zainteresowanie tym przypadkiem. Zwierzyna upolowana, człowiek w areszcie śledczym – polowanie skończone. I ruszamy na

nowe!

Escherich odwrócił swoje bezbarwne spojrzenie od mapy. Siedzi teraz przy biurku, jedząc powoli i w zamyśleniu kanapki na śniadanie. Gdy dzwoni telefon, sięga po słuchawkę z wahaniem. Jeszcze całkiem obojętnie wysłuchuje zgłoszenia: – Tu komisariat przy Frankfurter Allee. Komisarz Escherich?

– Przy aparacie.

– Pan pracuje nad sprawą „Anonimowa kartka”?

– Tak. O co chodzi? Szybciej proszę!

– Jesteśmy prawie pewni, że go złapaliśmy.

– Przy kolportażu?

– Prawie. Oczywiście zaprzecza.

– Gdzie go macie?

– Jest wciąż u nas na komisariacie.

– Zatrzymajcie go tam, samochodem będę u was za dziesięć minut.

I nie przesłuchujcie go już! Zostawcie go w spokoju! Sam chcę z nim porozmawiać. Zrozumiano?

– Rozkaz, panie komisarzu!

– Zaraz będę!

Przez chwilę komisarz Escherich stał niemal nieruchomo przy telefonie. Przypadek – co za cudowny, łaskawy przypadek! Wiedział przecież, że wystarczy sama cierpliwość!

Szybko wyruszył na pierwsze przesłuchanie kolportera kartek.

ROZDZIAŁ 23.

Pół roku później: Enno Kluge

Pół roku później mechanik precyzyjny Enno Kluge siedział, niecierpliwie czekając, w przedpokoju lekarza. Znajdował się tam razem z trzydziestoma czy czterdziestoma innymi pacjentami. Nieustannie poirytowana recepcjonistka wywołała właśnie numer 18, Enno miał dopiero numer 29. Będzie tu musiał siedzieć jeszcze ponad godzinę, a Pod Przegranym Koniem już przecież na niego czekają.

Enno Kluge nie mógł już dłużej wytrzymać tego siedzenia. Dobrze wiedział, że nie wolno mu wyjść, dopóki lekarz w gabinecie nie wypisze zwolnienia, inaczej w fabryce będzie chryja. Ale naprawdę nie mógł już dłużej czekać, bo inaczej będzie za późno, żeby obstawić zakłady w wyścigach.

Enno chce przespacerować się po poczekalni. Ale jest zbyt ciasno, ofukują go. Wychodzi więc na korytarz, a gdy odkrywa go tam recepcjonistka i bardzo rozdrażniona żąda, żeby wrócił do poczekalni, pyta ją o toaletę.

Wskazuje mu ją z wyraźną niechęcią i zamierza poczekać, aż ten człowiek wyjdzie. Lecz potem dzwonek na korytarzu dzwoni kilkakrotnie raz po raz, a ona musi przyjąć pacjenta numer 43, 44 i 45, wypytać o dane, wypełnić kartotekę, podbić zwolnienia.

I tak jest od piątej rano do późnej nocy. Jest ledwie żywa, lekarz jest ledwie żywy, a jej ani na chwilę nie opuszcza ten nieszczęsny stan nieustannego rozdrażnienia, w którym znajduje się już od wielu tygodni. W tym stanie odczuwa prawdziwą nienawiść wobec coraz szerszego

strumienia pacjentów, którzy nigdy nie zostawiają jej w spokoju, którzy już o ósmej rano, gdy przychodzi, cierpliwie stoją pod drzwiami, a wieczorem o dziesiątej wciąż sterczą w poczekalni, wypełniając ją swoimi obrzydliwymi woniami. A wszystko to sami bumelanci, którzy uchylają się od pracy albo służby wojskowej, albo ludzie, którzy chcą dzięki zaświadczeniu lekarskiemu wyłudzić lepsze artykuły żywnościowe albo dostawać ich więcej. Wszyscy ci ludzie chcą się wykręcić od swoich obowiązków, tylko ona nie może tego zrobić. Musi tu wytrzymać, nie może zachorować (co począłby bez niej doktor?) i do tego jeszcze musi być uprzejma dla tych obłudników, którzy wszystko brudzą, zaplują i obrzygują! W toalecie zawsze jest pełno popiołu z papierosów.

Przy okazji przypomina jej się ten mały obłudnik, któremu musiała wskazać toaletę. Na pewno wciąż tam siedzi i kopci papierosy. Zrywa się, wybiega i szarpie za drzwi.

– Zajęte! – woła głos z środka.

– Niech pan natychmiast wychodzi! – zaczyna go gniewnie łąać. – Myśli pan, że może sobie tam tak siedzieć godzinami? Inni też potrzebują skorzystać z toalety!

Rzuca gniewnie za przemykającym obok niej Klugem: – Oczywiście wszystko zakopcone! Już ja powiem panu doktorowi, jaki to pan jest chory! Przekona się pan!

Zrezygnowany Enno Kluge opiera się o ścianę w poczekalni, jego krzesło tymczasem ktoś już zajął. Lekarz dotarł do numeru 22. Dalsze czekanie tutaj chyba nie ma żadnego sensu. Ten potwór na korytarzu faktycznie może nastawić lekarza przeciwko niemu i nie wypisze mu zwolnienia. I co wtedy? Nieźle zaiskrzy w fabryce! Już czwarty dzień nie pojawił się w pracy; a oni naprawdę mogą go wysłać do kompanii karnej albo do kacetu, te typki naprawdę są do tego zdolne! Tak, jeszcze dziś musi zdobyć zwolnienie lekarskie i najrozsądniej będzie, jeśli tu dalej

poczeka, skoro czekał już tak długo. U innego lekarza będzie taki sam tłok, będzie musiał siedzieć do nocy, a o tym tutaj słyszał przynajmniej, że nie robi problemu ze zwolnieniami. Dziś nie obstawi koni, dziś wszystko odbędzie się bez Enna, nic się na to nie poradzi...

Pokaszając, opiera się o ścianę, słabeusz. Czy raczej nieudacznik. Nigdy naprawdę nie wydobrzył po ciągach otrzymanych od esesmana Persickego. Owszem, z pracą było po paru dniach lepiej, choć jego dłonie już nie osiągnęły dawnej sprawności. Mógł być teraz tylko przeciętnym robotnikiem. Nigdy już nie odzyska dawnej biegłości, nigdy już nie będzie kimś szanowanym w swoim fachu.

Może to właśnie sprawiło, że praca mu zubożniała, a może jednak wynikało to z tego, że w dłuższej perspektywie on już wcale nie chciał pracować. Nie dostrzegał już sensu ani celu pracy. Po co się właściwie tak wysilać, skoro i bez pracy można żyć na wystarczającym poziomie? Z powodu wojny? Niech sobie sami prowadzą tę gównianą wojnę, jego to w ogóle nie interesuje. Niech wyślą na front tych swoich wszystkich tłustych bonzów, to wtedy wojna skończy się raz-dwa!

Nie, to wcale nie pytanie o sens pracy obrzydziło mu wszelką aktywność. Przyczyną była okoliczność, że w owym czasie Enno mógł przeżyć, nie pracując. Tak, był słaby, przyznawał to sam przed sobą, znowu zaczął chodzić do kobiet, najpierw do Tutti, potem do Lotte, a one były jak najbardziej chętne, by przygarnąć na jakiś czas tego drobnego, przymilnego mężczyznę. A jak tylko człowiek zaczął zadawać się z kobietami, to koniec z regularną pracą. Już z samego rana beształy go, gdy o szóstej rano domagał się kawy i śniadania, że co to ma znaczyć? O tej porze wszyscy śpią i czy on naprawdę musi? Niech lepiej spokojnie wróci do ciepłego łóżka!

A gdy człowiek był Ennem Klugem, to jeden raz albo dwa razy udawało mu się wygrać taką potyczkę, ale trzeci raz już nie. Poddawał

się, wpełzał z powrotem pod kołdrę do baby i spał jeszcze godzinę, dwie albo nawet trzy.

Jak robiło się późno, to już wcale nie szedł do fabryki, tylko zapijał dzień. A jeśli było jeszcze wcześniej, przychodził do pracy odrobinę spóźniony, z jakąś kiepską wymówką, rugano go (ale do tego człowiek już dawno się przyzwyczaił, nawet nie słuchał), robił coś przez parę godzin i wracał do domu, gdzie znów witano go połajanką: Po co trzymać mężczyznę w domu, skoro cały dzień go nie ma? I to z powodu paru marek! Na pewno można je zarobić w łatwiejszy sposób! Nie, jeśli miał pracować, to musiałyby zostać w tamtym wąskim pokoiku hotelowym, baby i praca, tego nie da się pogodzić. Z jedną tak, z Ewą – i naturalnie Enno Kluge ponownie próbował schronić się u swojej żony listonoszki. Ale wtedy dowiedział się od pani Gesch, że Ewa wyjechała. Geschowa dostała od niej list, przebywała u krewnych gdzieś pod Ruppinem. Owszem, ona, Geschowa, ma teraz klucze do mieszkania, ale ani myśli wręczyć ich Ennowi Klugemu.

Kto regularnie opłacał czynsz: on czy jego żona? W takim razie mieszkanie najeży do niej, a nie do niego! Ona narobiła już sobie z jego powodu dosyć kłopotów i ani myśli przekazać mu mieszkanie.

Poza tym, jeśli chce coś zrobić dla swojej żony, to niech zajdzie na pocztę. Oni już parę razy przysyłali po panią Kluge, a niedawno przyszło też wezwanie przed jakiś tam sąd partyjny; Geschowa odesłała je po prostu z dopiskiem „Odbiorca wyjechał w nieznanne miejsce”. Ale z pocztą powinien wszystko wyjaśnić. Jego żona na pewno miała tam jeszcze jakieś należności.

To z należnościami chwyciło. W końcu mógł się przedstawić jako jej prawowity małżonek, należności dla Ewy były też jego należnościami. Ale okazało się, że to fałszywa droga, a na poczcie od razu wzięli go w obroty. Ewa musiała wykręcić partii jakiś numer, bo byli na nią wściekli!

Już nie śpieszyło mu się tak, żeby przedstawić się jako jej prawowity małżonek – wręcz przeciwnie, bardzo starał się udowodnić, że już od dawna żyją w separacji i nie ma pojęcia o jej poczynaniach.

W końcu pozwolili mu odejść. Cóż można było wydobyć z takiego małego człowieczka, który zaraz gotów był płakać, a przy najmniejszej burze cały zaczynał się trząść? Tak więc mógł odejść, miał sobie pójść, a gdyby jednak zobaczył się z żoną, to ma ją natychmiast przysłać tutaj, do urzędu. A najlepiej niech da znać, gdzie ona mieszka, to już oni zajmą się resztą.

W drodze powrotnej do Lotte Enno Kluge znowu się uśmiechał. A więc zaradna Ewa też ma kłopoty, wyjechała do krewnych koło Ruppina i nie ma odwagi pokazać się w Berlinie! Taki znowu głupi, żeby zdradzić pocziarcom, dokąd Ewa wyjechała, to Enno oczywiście nie był; był równie sprytny jak pani Gesch. Została mu ostatnia furtka. Jeśli tu w Berlinie będzie z nim już bardzo źle, to zawsze będzie mógł się pojawić u Ewy, może mimo wszystko go przyjmie. Będzie się wstydziła przed krewnymi i nie potraktuje go zbyt ostro. Ewie zależało na szacunku i dobrej opinii. I w końcu dzięki bohaterskim czynom Karlemanna może jej przykręcić śrubę. Ona za nic nie pozwoli, żeby opowiedział o nich jej krewnym, to już będzie wołała się z nim pogodzić.

Ostatnia furtka, gdyby naprawdę było z nim bardzo źle. Na razie ma swoją Lotte. Ona jest naprawdę całkiem miła poza tym, że ani na chwilę nie zamyka gęby i poza tym swoim cholernym przyzwyczajeniem ciągłego sprowadzania facetów do chałupy. Wtedy musiał pół nocy, a czasem i całą noc, siedzieć w kuchni – a następnego dnia znowu nici z roboty.

Z pracą nie był w porządku i pewnie już nigdy nie będzie, wiedział o tym. Ale może ta wojna skończy się szybciej, niż wszyscy sądzą, a jemu przecież i tak udało się tak długo pracę utrzymać. Więc znowu powoli popadał w bumelanctwo i pijaństwo. Majster na sam jego widok

purpurowiał z gniewu. Potem była druga bura od kierownictwa, lecz tym razem nie trwała długo. Enno Kluge widział przecież, co się dzieje, że potrzebują każdej pary rąk, tak łatwo go nie wyrzucą!

A potem zdarzyły się te trzy dni nieobecności pod rząd. Poznał taką jedną atrakcyjną wdowę, już nie taką młodą, trochę przechodzoną, ale zdecydowanie coś lepszego niż jego dotychczasowe kobiety. W końcu miała dobrze prosperujący sklep zoologiczny w pobliżu Königstor! Sprzedawała ptaki i rybki, i psy, miała jedzenie dla nich, obroże, piasek, ciasteczka i robaki. Miała żółwie, rzekotki, salamandry, koty... To był interes, który naprawdę przynosił zyski, a ona była zaradną kobietą, prawdziwą kupcową.

Przedstawił się jej jako wdowiec, sprawił, że uwierzyła, że Enno to jego nazwisko, nazywała go Jasieczkiem. Z pewnością miał u niej szanse, miał okazję przekonać się o tym w trakcie trzech dni nieobecności w pracy, podczas których pomagał jej w sklepie. Pasował jej taki mały człowieczek, który pragnie odrobiny czułości. Była w wieku, w którym kobieta zaczyna się bać, czy na stare lata znajdzie sobie jeszcze faceta. Oczywiście, że chciałyby za niego wyjść, ale on już tak jakoś zakręci sprawę, żeby się dało. W końcu są teraz te wojenne rozwody, bo przecież nie da się dokładnie sprawdzić wszystkich akt, a o Ewę nie musiał się martwić. Ucieszyłyby się, pozbywając się go na zawsze, na pewno nie pisnęłyby ani słówka!

I wtedy nagle pojawiło się w nim palące pragnienie uwolnienia się od fabryki raz na zawsze. I tak przecież musiał udawać chorego, bo przez trzy dni nie był w pracy bez usprawiedliwienia. No to niech już będzie porządnie chory! A podczas tej choroby jakoś posunie sprawę z wdową Hete Häberle. Obrzydło mu już u Lotte, nie mógł dłużej znosić tego jej bajdurzenia i tych jej facetów, a już szczególnie jej czułości, gdy była podchmielona. Nie, za trzy, cztery tygodnie chce być po ślubie i mieć

porządny interes! A w tym musi mu pomóc lekarz.

Dopiero numer 24, to potrwa jeszcze z pół godziny, zanim będzie jego kolej. Niewiele myśląc, depcze innym po nogach i znowu stoi na korytarzu. Mimo tej złośliwej recepcjonistki machnie sobie jeszcze jednego papieroska w ustępie. Ma szczęście, niezauważony przemyka do toalety, lecz ledwo zaciągnął się parę razy, ten babsztyl znowu szarpie za drzwi.

– Znowu jest pan w toalecie! I znowu pan pali! – wrzeszczy. – Doskonale wiem, że to pan! Wyjdzie pan sam, czy mam przyprowadzić pana doktora?

Jak ona wrzeszczy, jak ona obrzydliwie wrzeszczy! To on już lepiej ustąpi, tak jak zawsze ustępuje, zamiast dawać odpór. Pozwala, by zapędziła go do poczekalni, nie próbując się usprawiedliwić nawet jednym słowem. A potem znów opiera się o ścianę i czeka, aż przyjdzie kolej na jego numerek. Już ona obsmaruje go przed lekarzem, ta wstrętna żmija, ta...!

Recepcjonistka zapędziła Enna Klugego na jego miejsce, wraca na korytarz. No to mu pokazała!

I wtedy spostrzega, że na podłodze pod otworem na listy w drzwiach leży jakaś kartka. Pięć minut temu, gdy otwierała ostatniemu pacjentowi, jeszcze jej tam nie było, jest tego pewna. A przecież nikt nie dzwonił i to w ogóle nie jest pora listonosza.

Recepcjonistka wszystko to sobie błyskawicznie pomyślała, kiedy pochylała się po kartkę, a potem pamiętała też dokładnie, co czuła już wtedy, zanim wzięła ją do ręki, zanim się jej przyjrzała, że już wtedy miała przeczucie, że ten mały, skradający się człowieczek musi mieć z tym coś wspólnego.

Rzuca jedno spojrzenie na tekst, czyta kilka słów i wzburzona wpada do gabinetu lekarza. – Panie doktorze! Panie doktorze! Niech pan zobaczy,

co właśnie znalazłam u nas na korytarzu!

Przerywa badanie, sprawia, że na w pół rozebrany pacjent zostaje wysłany do sąsiedniego pomieszczenia, a potem podaje kartkę lekarzowi, żeby ją przeczytał. Nie może się doczekać, kiedy on skończy, i od razu donosi mu o swoich podejrzeniach: – To naprawdę nie mógł być nikt inny, tylko ten mały krętać! Od razu wydał mi się podejrzany z tym swoim płochliwym spojrzeniem! A ono świadczy o nieczystym sumieniu, ani chwili nie mógł usiedzieć spokojnie, ciągle wychodził na korytarz, dwa razy wyganiałam go z toalety! A jak to zrobiłam drugi raz, to wtedy podrzucił tę kartkę na korytarzu! Z zewnątrz na pewno nikt jej nie wrzucił, leżała za daleko od drzwi! Panie doktorze, niech pan od razu dzwoni po policję, zanim on się wymknie! Och, Boże, on już mógł uciec, muszę to zaraz sprawdzić...

Z tymi słowami wypada z gabinetu, zostawiając za sobą szeroko otwarte drzwi.

Lekarz stoi, wciąż trzymając kartkę w dłoni. Jest mu niezwykle przykro, że musiało się to wydarzyć akurat w czasie jego godzin przyjęć! Dzięki Bogu, że to recepcjonistka znalazła tę kartkę, a on może udowodnić, że od dwóch godzin nie wychodził z gabinetu, nawet nie był w toalecie. Ta dziewczyna ma rację, najlepiej będzie od razu zadzwonić na policję. Zaczyna szukać w książce telefonicznej numeru do najbliższego komisariatu.

Recepcjonistka zagląda przez otwarte drzwi. – Wciąż tu jest, panie doktorze! – szepcze. – Myśli oczywiście, że w ten sposób udowodni swoją niewinność. Ale ja jestem całkowicie pewna...

– Już dobrze – przerywa lekarz wzburzonej dziewczynie. – Niech pani zamknie drzwi. Rozmawiam właśnie z policją.

Składa zgłoszenie, każe mu koniecznie zatrzymać tego mężczyznę do czasu, aż przyjdzie ktoś z komisariatu, przekazuje ten nakaz recepcjonistce,

mówi jej, że ma go natychmiast zawołać, gdyby ten człowiek zaczął się szykować do wyjścia. A potem siada z powrotem w fotelu przy biurku. Nie, nie jest w stanie kontynuować badania pacjentów, jest zbyt wzburzony. Że też jemu musiało się przydarzyć coś takiego, dlaczego akurat jemu? Ten ktoś, kto pisze te kartki, to chyba nie ma sumienia, że sprowadza na ludzi takie kłopoty! Czy on nie wie o problemach, jakie robi ludziom tymi swoimi przeklętymi pocztówkami?

Naprawdę, tylko tej kartki brakowało mu do szczęścia! Policja jest w drodze do niego, może zostanie podejrzanym, zrobią mu rewizję i nawet gdy się okaże, że podejrzenie było niesłuszne, to z tyłu w służbówce znajdują...

Lekarz wstał, powinien ją przynajmniej powiadomić...

I usiadł z powrotem. Dlaczego mieliby go podejrzewać? A poza tym, nawet gdyby ją znaleźli, to jest przecież jego gospodynią domową, tak ma w papierach. Wszystko to przemyśleli po stokroć, omówili po stokroć, odkąd przed ponad rokiem musiał pod naciskiem nazistów rozwieść się ze swoją żoną, Żydówką. Zrobił to, głównie na jej prośbę, żeby zapewnić byt przynajmniej dzieciom. Później, po przeprowadzce, sprowadził swoją byłą żonę z powrotem jako gospodynię domową z fałszywymi papierami. Właściwie nic nie mogło się stać, nie wyglądała tak bardzo na Żydówkę...

Ta nieszczęsna kartka! Że też musiała trafić do niego! Choć prawdopodobnie wywołuje przerażenie i strach wszędzie tam, dokąd dociera. W tych czasach każdy ma coś do ukrycia!

Ale może celem tej kartki było właśnie wywoływanie strachu i przerażenia? Może tę kartkę z diabelskim rozmysłem podrzuca się podejrzanym, żeby sprawdzić, jak się zachowują? Może już od jakiegoś czasu jest obserwowany, a to jest jedynie sposób, by sprawdzić, czy podejrzany się nie skompromituje?

Cóż, on w każdym razie zachował się właściwie. Pięć minut po

znalezieniu kartki powiadomił policję. I mógł im nawet wskazać podejrzanego, choć być może ten biedak nie ma z tą sprawą nic wspólnego. Trudno, on nic na to nie poradzi, tamten musi sam jakoś z tego wybrnąć! Najważniejsze, żeby jemu dali spokój.

I choć te rozważania nieco uspokoiły doktora, wstaje, szybko i sprawnie wstrzykuje sobie małą dawkę morfiny. To pozwoli mu przyjąć tych panów, którzy już do niego zmierzają, na spokojnie, a nawet w nieco znudzonej pozie. Ta mała strzykawka to środek pomocniczy, z którego doktor coraz częściej korzysta od czasu swojego haniebnego rozvodu, jak w duchu wciąż nazywa ten krok. Nie jest jeszcze morfinistą, jest od tego daleki, czasem wytrzymuje bez morfiny pięć, sześć dni, ale gdy na jego życiowej drodze pojawiają się trudności, a teraz podczas wojny zdarza się to coraz częściej, bierze morfinę. Tylko to mu jeszcze pomaga, bez tego sztucznego wspomagania traci panowanie nad sobą. Nie, wcale nie jest morfinistą! Choć jest na najlepszej drodze, żeby się nim stać. Ach, żeby ta wojna wreszcie się skończyła, żeby można było wyjechać z tego nieszczęsnego kraju! Za granicą zadowoliliby go najskromniejsza posada asystenta.

Kilka minut później błądy, nieco znużony lekarz przyjmuje obu panów z posterunku. Jeden z nich to tylko umundurowany wachmistrz, który zostaje odkomenderowany do pilnowania drzwi wejściowych. Natychmiast zastępuje recepcjonistkę.

Drugi to cywil, asystent kryminalny Schröder. Lekarz w swoim gabinecie przekazuje mu kartkę. Co może powiedzieć? Cóż, właściwie to nic, od ponad dwóch godzin bez przerwy przyjmował tutaj pacjentów, dwudziestu albo dwudziestu pięciu, jeden za drugim. Ale już woła recepcjonistkę.

Recepcjonistka przychodzi i ma dużo do powiedzenia. Bardzo dużo. Opisuje tego krętacza, jak go nazywa, z nienawiścią, która wydaje się

zupełnie niepojęta na tle dwóch niewinnych papierosków w toalecie. Lekarz uważnie się jej przygląda, jak opowiada wzburzona, a głos często jej się łamie. Myśli sobie: Muszę zadbać o to, żeby naprawdę zrobiła coś z tym swoim Basedowem. Z nią jest coraz gorzej. Mówi teraz w takim wzburzeniu, jakby nie była w pełni poczytalna.

Asystent kryminalny zdaje się być podobnego zdania. Przerywa jej wypowiedź krótkim: „Dziękuję! Na razie wiem wystarczająco dużo”. – Proszę mi jeszcze, panienko, pokazać, gdzie na podłodze leżała ta kartka. Tylko proszę jak najdokładniej!

Panienska, czyli recepcjonistka, kładzie kartkę na miejscu, w które nie mogłaby, jak się wydaje, dotrzeć pocztówka wrzucona przez szparę w drzwiach. Lecz asystent kryminalny przy pomocy wachmistrza tak długo ponawia próby, aż wrzucona przez drzwi kartka upada niemal we wskazanym przez recepcjonistkę miejscu. Niemal, brakuje około dziesięciu centymetrów...

– A może leżała tutaj, panienko? – pyta asystent.

Recepcjonistka jest wyraźnie oburzona, że asystentowi powiódł się jego eksperyment. Wyjaśnia zdecydowanym tonem: – Nie, tak blisko drzwi z pewnością nie leżała! Była nawet bardziej w głębi korytarza, niż to pokazałam. Teraz myślę, że leżała tuż przy krześle. – I wskazuje miejsce oddalone od drzwi o kolejne pół metra. – Jestem niemal pewna, że podnosząc ją, potrąciłam to krzesło.

– Rozumiem – mówi asystent, mierząc rozwścieczoną recepcjonistkę chłodnym wzrokiem. W duchu przekreśla wszystkie jej wypowiedzi. To jakaś histeryczka, myśli sobie. Z pewnością brakuje jej faceta. No cóż, skoro wszyscy są na froncie, a ona nie wygląda szczególnie pojętnie.

Głośno zwraca się do lekarza: – Chciałbym teraz posiedzieć trzy minuty w poczekalni jako przypadkowy pacjent i najpierw przyjrzeć się temu podejrzanemu osobnikowi tak, żeby on nie wiedział, kim jestem.

Chyba da się to zrobić?

– Oczywiście, że to się da zrobić. Panna Kiesow powie panu, gdzie on siedzi.

– Stoi! – wyjaśnia poirytowana recepcjonistka. – Ktoś taki przecież nie usiądzie! Woli deptać innym po nogach! Nieczyste sumienie nie daje mu przecież spokoju! Ten krętacz...

– A więc gdzie on stoi? – asystent przerywa jej ponownie i niezbyt grzecznie.

– Wcześniej stał przy lustrze koło okna – odpowiada mu urażona. – Ale oczywiście nie mam pojęcia, gdzie stoi teraz, skoro się bez przerwy kręci!

– Jakoś go znajdę – stwierdza asystent Schröder. – Przecież mi go pani opisała.

I idzie do poczekalni.

A tam panuje pewne zamieszanie. Od ponad dwudziestu minut żaden pacjent nie został wezwany do gabinetu. Jak długo mają tu jeszcze siedzieć? Naprawdę mają co innego do roboty! Doktor pewnie załatwia wytwornych, dobrze płacących prywatnych pacjentów, a pacjenci z kasy chorych mogą sobie tutaj siedzieć, aż szczeną! Ale tak robią przecież wszyscy ci lekarze, dobry Boże, człowiek może sobie iść, gdzie chce! Wszędzie pierwszeństwo ma pieniądź!

Podczas gdy opowieści o przekupności lekarzy przybierają na sile, asystent w milczeniu przygląda się swojemu podejrzanemu. Od razu go rozpoznał, choć nie jest ani tak niespokojny, ani tak skryty, jak przedstawiła to recepcjonistka. Stoi zupełnie spokojnie pod lustrem, nie uczestniczy w rozmowie. Wygląda nawet na to, że nie przysłuchuje się temu, co mówią inni, a to przecież często się robi, żeby skrócić czas nudnego oczekiwania. Wygląda na trochę tępego i nieco wystraszonego. Drobny robotnik, stwierdza asystent. Nie, ktoś trochę lepszy, jego ręce wyglądają

na zręczne, noszą ślady pracy, ale nie ciężkiej pracy... Garnitur i płaszcz bardzo zadbane, a jednak wyraźnie znoszone. Ogólnie nie wygląda na człowieka, jakiego można by się spodziewać po tonie tych kartek. Pisze przecież w bardzo mocnym stylu, a tu taki zmartwiony króliczek...

Lecz asystent już od dawna wie, że ludzie często są inni, niż się wydają. A tego mężczyznę zeznania świadka obciążają tak bardzo, że przynajmniej trzeba to sprawdzić. Autor kartek najwyraźniej trochę napsuł krwi tym na górze, bo dopiero co znowu dostali rozkaz z zastrzeżeniem „Tajne! Ściśle tajne!”, że w tej sprawie nawet najdrobniejszy ślad ma zostać niezwłocznie zbadany.

Byłoby całkiem miło, gdybym odniósł jakiś drobny sukces! – myśli sobie asystent. Najwyższa pora na mały awansik.

Pośród ogólnego psioczenia niemal niezauważony podchodzi do drobnego człowieczka przy lustrze, dotyka jego ramienia i mówi: – Wyjdźmy na chwilę na korytarz. Chciałbym pana o coś spytać.

Enno Kluge idzie za nim posłusznie, on każdy rozkaz wykonuje posłusznie. Lecz gdy już idzie za tym nieznanym sobie panem, ogarnia go strach: Co to ma być? Czego on ode mnie chce? Wygląda jak gliniarz i mówi jak gliniarz. Co Kripo może do mnie mieć – przecież ja nic nie zrobiłem!

W tym samym momencie przypomina mu się włamanie do Rosenthalów. To na pewno Barkhausen się wkurzył i go wyspał. I ogarnia go coraz większy strach, przecież przysiągł, że nic nie powie, a jeśli powie, to ten facet z SS znowu weźmie go na spytaki i złozi mu skórę, i tym razem będzie o wiele gorzej! Nie wolno mu nic powiedzieć, ale jeśli nic nie powie, to ten tutaj glina weźmie go w obroty, a wtedy się przecież wygada. I tu zguba, i tam zguba... Och, jak ja się boję!

Gdy wychodzi na korytarz, wpatrują się w niego wyczekująco cztery pary oczu, lecz on wcale ich nie dostrzega, widzi tylko mundur szupo i

wie, że miał rację z tym swoim strachem, że naprawdę czeka go zguba.

A ów strach nadaje Ennowi Klugemu cechy, których zwykle nie posiada, mianowicie zdecydowanie, siłę i szybkość. Popycha zaskoczonych asystenta, który nigdy nie spodziewałby się czegoś podobnego po takim chuchrze, prosto na wachmistrza, przebiega obok lekarza i recepcjonistki, otwiera drzwi wyjściowe i już jest na schodach...

Lecz za nim już wibruje gwizdek policjanta i Enno nie jest w stanie uciec przed tym długonogim młodym człowiekiem. Policjant dogania go na najniższym schodku, zadaje mu jeden cios, który powala Enna na ziemię, a gdy przed oczami przestają mu migotać wirujące słońca i ogniste koła, wachmistrz mówi z przyjaznym uśmiechem: – No, podaj tu swoją słodką łapkę! Lepiej założyć ci kajdanki. Następnym razem taki spacerek zrobimy sobie razem, zgoda?

I już na jego nadgarstku klika stalowa obręcz, i z powrotem wchodzi po schodach między milczącym gliną o ponurym spojrzeniu i uśmiechającym się z zadowolenia wachmistrzem, którego ten mały uciekinier tylko rozbawił.

Na górze, gdzie pacjenci stoją teraz na korytarzu i nie są już wcale źli z powodu długiego oczekiwania na lekarza, gdyż aresztowanie to zawsze coś ciekawego, a według słów recepcjonistki chodzi tu o politycznego, o komunistę, a takim to się naprawdę należy – na górze więc przechodzą na oczach wszystkich do gabinetu lekarza. Panna Kiesow zostaje natychmiast odesłana przez asystenta kryminalnego, lekarz natomiast może zostać przy aresztowaniu i słyszy, jak asystent mówi: – A więc, mój synu, usiądź sobie tutaj na krześle i odpocznij po tej przebieżce. Sprawiasz wrażenie naprawdę zmęczonego! Wachmistrzu, może pan na razie zdjąć temu panu kajdanki. Nie będzie nam już uciekał, prawda?

– Nie, nie! – zapewnia zrozpaczony Enno Kluge, a łzy już toczą mu się po policzkach.

– Tak też bym ci radził! Następnym razem będę strzelać, a strzelać to ja, synu, naprawdę umiem! – Asystent kryminalny wciąż zwraca się do starszego o dwadzieścia lat Klugego per „synu”. – No, nie płacz już tak! To, co przeskrobałeś, nie może być aż tak straszne, co?

– Ja zupełnie nic nie przeskrobałem! – wydusza z siebie przez łyżę Enno Kluge. – Zupełnie nic!

– Ależ oczywiście, synu! – przytakuje asystent. – I dlatego zmykasz niczym zajęć na sam widok munduru wachmistrza! Doktorze, ma pan może coś, co postawiłoby tego nieszczęśnika z powrotem na nogi?

Teraz, gdy lekarz czuje, że jego osoba nie jest zagrożona, patrzy na tego żalostnego człowieczka z serdecznym współczuciem. To też taka ofiara losu, którą powala każda przeciwność. Doktora kusi, żeby temu człowieczkowi także podać strzykawkę morfiny, najmniejszą dawkę. Nie odważa się jednak ze względu na obecność urzędnika policji kryminalnej. Lepiej dać mu trochę bromu...

Gdy jednak lekarz rozpuszcza sól bromu w wodzie, Enno Kluge mówi: – Ja niczego nie potrzebuję. Nie chcę nic przyjmować. Nie pozwolę się otruć. To już wolę zeznawać...

– No proszę! – mówi asystent kryminalny. – Od razu wiedziałem, że będziesz rozsądny, synu! No to opowiadaj...

Enno Kluge ociera sobie łyżę z policzków i zaczyna opowiadać...

Gdy zaczął płakać, to płakał prawdziwymi łzami, po prostu dlatego, że puściły mu nerwy. Lecz nawet jeśli były to najprawdziwsze łzy, to Enno już od dawna dzięki swoim doświadczeniom z kobietami wiedział, że płacząc, można się dobrze zastanowić. I podczas tego zastanawiania się doszedł do wniosku, że to bardzo mało prawdopodobne, żeby aresztowali go tutaj, w gabinecie lekarza, z powodu włamania. Gdyby go faktycznie obserwowali, to mogli go aresztować na ulicy albo na klatce schodowej, nie musieli kazać mu siedzieć dwie godziny w poczekalni...

Nie, ta sprawa na pewno nie ma nic wspólnego z włamaniem do pani Rosenthal. Prawdopodobnie przyczyną jego aresztowania jest jakaś pomyłka, a Enno Kluge niejasno przeczuwa, że ma ona coś wspólnego z złośliwą recepcjonistką.

Ale próbował uciec i nigdy nie uda mu się przekonać takiego gliny, że uciekał tylko ze strachu, po prostu dlatego, że na widok munduru traci rozum. Taki glina nigdy w to nie uwierzy. Jego zeznanie musi więc być wiarygodne, łatwe do sprawdzenia, i wie już, co to powinno być. Niedobrze jest o tym mówić, nie wiadomo, jakie będą skutki, ale z dwójga złego na pewno lepiej przyznać się do tego.

Więc gdy każą mu teraz mówić, wyciera łyzy i zaczyna w miarę pewnym głosem opowiadać o swojej pracy mechanika precyzyjnego, o tym, że tak dużo choruje, że w fabryce są na niego źli, a teraz chcą go wysłać albo do kacetu, albo do kompanii karnej. Oczywiście Enno Kluge ani słowem nie wspomina o swojej niechęci do pracy, ale przypuszcza, że glina i tak się domyśli.

I ma rację, glina doskonale się domyśla, co z tego Enna Klugego za szelma. – Tak, panie komisarzu, więc jak tak zobaczyłem pana i ten mundur pana wachmistrza, a właśnie siedziałem u lekarza, żeby dostać zwolnienie, to pomyślałem, że to koniec, że zaraz zabiorą mnie do kacetu, i dlatego uciekłem...

– Rozumiem – mówi asystent. – Rozumiem! – Zastanawia się chwilę, a potem mówi: – Ale zdaje mi się, synu, że teraz już wcale nie jesteś przekonany, że to z tego powodu tu jesteście.

– Nie, teraz już nie – przyznaje Kluge.

– A czemu już tak nie myślisz, synu?

– Bo przecież łatwiej byłoby wam mnie aresztować w zakładzie albo w mieszkaniu.

– A, to mieszkanie też, synu, masz?

– Ależ oczywiście, panie komisarzu. Jestem żonaty, a moja żona pracuje na poczcie. Moi obaj chłopcy walczą na froncie, jeden jest w SS, w Polsce. Mam tutaj papiery, mogę udowodnić wszystko, co powiedziałem, o mieszkaniu, o miejscu pracy.

Enno Kluge wyciąga swój wytarty, znoszony portfel i zaczyna szukać w nim dokumentów.

– Schowaj sobie na razie te swoje papiery, synu – mówi odmownie asystent. – Będziesz miał na to jeszcze czas...

Zatapia się w myślach, a wszyscy wokół milczą.

Siedzący za biurkiem lekarz zaczyna jednak coś skrętnie pisać. Może będzie miał okazję, żeby wsunąć temu prześladowanemu przez strach małemu człowieczkowi zwolnienie chorobowe. Bóle woreczka żółciowego, powiedział, więc proszę bardzo. Teraz takie czasy, że człowiek musi pomagać innym, jak się tylko da!

– Co pan tam pisze, doktorze? – pyta asystent kryminalny, budząc się nagle z zamyślenia.

– Historię choroby – wyjaśnia lekarz. – Chciałbym wykorzystać czas z pożytkiem, w poczekalni czeka na mnie jeszcze tłum ludzi.

– Słusznie, doktorze – mówi asystent i wstaje. Podjął już decyzję: – Nie będziemy pana dłużej zatrzymywać.

Opowieść Enna Klugego może być prawdziwa, a nawet z ogromnym prawdopodobieństwem jest prawdziwa, lecz asystenta kryminalnego nie opuszcza poczucie, że coś jeszcze się za tym kryje, że nie usłyszał całej historii. – No to chodź, mój synu! Odprowadzisz nas kawałek, prawda? O nie, nie na Alexa, tylko tutaj, do naszego komisariatu. Chciałbym jeszcze z tobą trochę porozmawiać, mój synu, taki z ciebie wesoły chłopak, a wujaszki doktorowi nie możemy już dłużej przeszkadzać. – Zwraca się do wachmistrza: – Nie, bez kajdanek. Pójdzie grzecznie z nami, to mądry dzieciak. Heil Hitler, panie doktorze, i bardzo dziękujemy!

Są już przy drzwiach, naprawdę wygląda to tak, jakby mieli rzeczywiście wyjść. Lecz asystent kryminalny nagle wyciąga z kieszeni kartkę, kartkę Quaglów, podstawią ją zaskoczonemu Ennowi Klugemu pod nos i mówi do niego ostrym tonem: – No, przeczytaj nam to, synu! Tylko szybko, gładko i bez jąkania się!

Mówi teraz zupełnie jak glina.

Lecz już gdy asystent kryminalny widzi, w jaki sposób Kluge bierze kartkę, jak jego wybałuszony wzrok robi się coraz bardziej zdumiony, jak zaczyna bełkotać: – Niemcy, nie zapomnijcie! Zaczęło się od przyłączenia Austrii. Potem były Sudety i Czechosłowacja. Napadnięto na Polskę, Belgię, Holandię... – już wtedy asystent kryminalny wie z dużą dozą pewności: Ten człowiek nigdy wcześniej nie miał tej kartki w ręku, nigdy wcześniej nie czytał jej treści, nie wspominając o tym, że mógłby ją napisać – jest na to o wiele za głupi!

Poirytowany wrywa kartkę z ręki Enna Klugego, rzuca krótkie „Heil Hitler!” i wychodzi z gabinetu razem z policjantem i aresztantem.

Lekarz powoli rwie na kawałki przygotowane dla Enna Klugego zwolnienie. Nie było okazji, żeby mu je przekazać. Szkoda! Ale prawdopodobnie i tak by mu nie pomógł, może ten człowiek, który zupełnie nie dorósł do trudności dzisiejszych czasów, i tak skazany jest na zagładę. Być może nie pomogłaby mu żadna pomoc z zewnątrz, bo w nim samym nie ma nic solidnego.

Szkoda...

ROZDZIAŁ 24.

Przesłuchanie

Gdy asystent kryminalny mimo silnego przekonania, że Enno Kluge nie wchodzi w rachubę ani jako autor, ani jako kolporter kartek, gdy mimo to w rozmowie telefonicznej z komisarzem Escherichem dał do zrozumienia, że Kluge mógł rozpowszechnić owe pamflety, uczynił tak dlatego, że rozsądny podwładny nigdy nie powinien uprzedzać zamiarów swojego przełożonego. Na Klugego wskazuje donos panny Kiesow, recepcjonistki, a to, czy jest on uzasadniony czy nie, to niech już pan komisarz sam sobie rozsądzi.

Jeśli donos okaże się uzasadniony, to asystent zostanie uznany za zdolnego i może być pewien przychylności komisarza. Jeśli natomiast okaże się nieuzasadniony, to komisarz pokaże, że jest mądrzejszy od asystenta, a takie przekonanie u przełożonego często służy podwładnemu lepiej niż najlepsze umiejętności.

– No? – powiedział wysoki, szary Escherich, wkraczając bocianim krokiem do komisariatu. – No, kolego Schröder? Gdzie macie tę swoją zdobycz?

– W ostatniej celi po lewej, panie komisarzu.

– Czy Klabaternik się przyznał?

– Kto? Klabaternik? Ach, rozumiem. Nie, panie komisarzu, po naszej rozmowie od razu kazałem go odprowadzić.

– Dobrze! – pochwalił go Escherich. – I co on wie na temat kartek?

– Kazałem mu – powiedział ostrożnie asystent – przeczytać tę znalezionej kartkę. To znaczy sam początek.

– I jakie wrażenie?

– Nie chciałbym wysnuwać pochopnych wniosków, panie komisarzu
– powiedział ostrożnie asystent.

– Bez obaw, kolego Schröder! Jakie wrażenie?

– Mnie się w każdym razie wydaje nieprawdopodobne, żeby to on był autorem tej kartki.

– Dlaczego?

– Nie jest zbyt bystry. A poza tym jest okropnie wystraszony.

Komisarz Escherich z niezadowolaniem pogładził się po piaskowych wąsach. – Niezbyt bystry i okropnie wystraszony – powtórzył. – No, mój Klabaternik jest bystry i na pewno nie jest wystraszony. Dlaczego więc uważa pan, że złapał właściwego człowieka? Proszę zdać mi raport!

Asystent Schröder uczynił to. Przede wszystkim powtórzył z naciskiem oskarżenia recepcjonistki i podkreślił próbę ucieczki. – Nie mogłem zrobić inaczej, panie komisarzu. Po rozkazach, jakie otrzymaliśmy, musiałem go zatrzymać.

– Słusznie, kolego Schröder. Bardzo słusznie pan postąpił. Sam zrobiłbym tak samo.

Ta relacja na powrót dodała Escherichowi nieco otuchy. To brzmiało lepiej niż: niezbyt bystry i mocno wystraszony. Może to kolporter kartek, mimo że komisarz do tej pory zdecydowanie zakładał, że Klabaternik nie ma żadnych współników.

– Przejrzał pan już jego papiery?

– Leżą tutaj. W ogólności potwierdzają to, co mówi. Odnoszę wrażenie, panie komisarzu, że to po prostu obibok, który boi się trafić na front, nie ma ochoty pracować, a do tego obstawia wyścigi – znalazłem u niego cały plik gazetek z wyścigów i obrachunków. A poza tym zupełnie zwyczajne listy od prostych kobiet, niezły z niego gagatek, rozumie pan, panie komisarzu. A przecież zbliża się do pięćdziesiątki.

– Dobrze, dobrze – powiedział komisarz, choć wcale nie uważał, że jest dobrze. Ani autor kartek, ani ich ewentualny roznosiciel nie mogli mieć wiele wspólnego z kobietami. Tego był pewien.

Jego na powrót ożywiona nadzieja znów zaczęła słabnąć. Lecz potem Escherich pomyślał o swoim przełożonym, Obergruppenführerze Prallu, i o postawionych jeszcze wyżej przełożonych aż do samego Himmlera. Oni wszyscy w najbliższym czasie cholernie utrudnią mu życie, jeśli nie będzie żadnego tropu. Tu jednak mieli trop, mieli przynajmniej poważne oskarżenia i podejrzanę zachowanie. Można pójść tym tropem, nawet jeśli w skrytości ducha uważa się go za fałszywy.

Zyska się dzięki temu czas na dalsze cierpliwie czekanie. Nikomu nie stanie się przez to krzywda. Co kogo obchodzi taki mały nicpoń!

Escherich wstał. – Idę do celi, Schröder. Dajcie mi tę nową kartkę i poczekajcie tu na mnie.

Komisarz szedł cicho, trzymając klucze w zaciśniętej dłoni, żeby nie grzechotały. Ostrożnie odsunął przesłonę judasza i zajrzał do wnętrza celi.

Zatrzymany siedział na stołku. Oparł głowę na rękę i wpatrywał się w drzwi. Sprawiało to wrażenie, jakby patrzył prosto w zmrużone oczy komisarza. Lecz wyraz twarzy Klugego zdradzał, że właściwie nie widzi nic. Nie wzdrygnął się, gdy odsunięto przesłonę, na jego twarzy nie było napięcia charakterystycznego dla kogoś, kto czuje się obserwowany. Patrzył tak po prostu przed siebie, nie tyle nawet zatopiony w myślach, ile na wpół drzemiący i pełen ponurych przeczuć.

Komisarz przy judaszu wiedział już teraz na pewno. To nie jest ani Klabatarnik, ani nawet pomocnik jego pomocnika. To była po prostu pomyłka – oskarżenia mogły brzmieć, jak chciały, a jego podejrzanę zachowanie nie miało żadnego znaczenia.

Lecz Escherich znów pomyślał o swoich przełożonych, przygryzł wąsa, zastanawiał się, jak długo można będzie przeciągać tę sprawę,

zanim wyjdzie na jaw, że to nie ten człowiek. Przecież nie wolno mu się przy tym zblamować.

Szybkim ruchem otworzył drzwi do celi i wszedł do środka. Aresztowany drgnął na dźwięk przekręcanego zamka i najpierw popatrzył na wchodzącego zdumiony, a potem zaczął się podnosić. Lecz Escherich od razu popchnął go z powrotem na stołek.

– Niech pan siedzi, panie Kluge, niech pan siedzi. W naszym wieku nie tak łatwo się człowiek podnosi!

Roześmiał się, a Kluge starał się uśmiechnąć, z czystej grzeczności zmusił się do żalospnego półuśmiechu.

Komisarz ściągnął w dół podnoszoną pryczę przy ścianie i usiadł. – No, panie Kluge – powiedział i spojrzał uważnie w bladą twarz z delikatnym podbródkiem, czerwonymi ustami o zadziwiająco grubych wargach i jasnymi oczami, które nieustannie mrugały. – No, panie Kluge, niech no mi pan opowie, co panu leży na sercu. Jestem komisarz Escherich z Tajnej Policji Państwowej. – Kontynuował łagodniej, gdy spostrzegł, że aresztant wzdyga się już na samo wspomnienie Gestapo: – Niech się pan nie boi. Nie pożeramy dzieci. A pan zresztą nie jest już małym dzieckiem, przecież widzę...

Odrobina współczucia, którą dało się wyczuć w jego słowach, natychmiast sprawiła, że oczy Klugego na powrót napęłniły się łzami, jego twarz zaczęła drżeć, a mięśnie policzkowe intensywnie pracować.

– No, no! – powiedział Escherich, kładąc dłoń na rękę drobnego aresztanta. – Aż tak źle to nie może być. Chyba że jest aż tak źle?

– Wszystko stracone! – zawołał z rozpaczą Enno Kluge. – Przecież jestem tutaj! Nie mam zwolnienia lekarskiego, a powinienem być w pracy. A ja siedzę tutaj, potem wyślą mnie do kacetu i już po mnie, nie wytrzymam tam nawet dwóch tygodni!

– Już, już! – powiedział komisarz znowu jak do dziecka. – Jeśli chodzi

o fabrykę, to się da jakoś załatwić. Jeśli kogoś aresztujemy i okazuje się, że to porządny człowiek, dbamy też o to, żeby nie poniósł szkód z powodu aresztowania. A przecież pan jest porządnym facetem, panie Kluge, prawda?

Twarz Klugego znów zaczęła drżeć, a potem zdecydował się na częściowe wyznanie wobec tego sympatycznego człowieka.

– Ale ja według nich za mało pracuję!

– No, a co pan sam o tym myśli, panie Kluge? Pracuje pan pańskim zdaniem wystarczająco dużo, co?

Kluge się zastanowił. – Przecież ja tyle choruję – powiedział w końcu żałośnie. – Ale oni mówią, że teraz nie pora na chorowanie.

– Przecież nie cały czas jest pan chory? No, a jak nie jest pan chory i pan pracuje, to pracuje pan wtedy wystarczająco? Jak pan sądzi, panie Kluge?

Kluge ponownie się zdecydował. – Ach, na Boga, panie komisarzu – poskarżył się – Te kobiety nie dają mi spokoju!

W jego głosie zabrzmiała zarówno skarga, jak i próżność. Komisarz potrząsnął głową z politowaniem, sugerując tym samym, że jest faktycznie źle.

– To niedobrze, panie Kluge – stwierdził. – W naszym wieku nie przepuszcza się żadnej okazji, prawda?

Kluge patrzył na niego ze słabym uśmiechem zadowolony, że znalazł u tego człowieka zrozumienie.

– Tak – powiedział komisarz. – A jak pan stoi finansowo?

– Czasami trochę obstawiam – wyznał Kluge. – Niedużo i niewysokie stawki, panie komisarzu. Nie więcej jak pięć marek, jeśli koń jest pewniakiem, przysięgam panu, panie komisarzu!

– A z czego pan to opłaca, panie Kluge, te kobiety i te zakłady? Skoro tak niewiele pan pracuje?

– Ale to kobiety płacą mnie, panie komisarzu! – powiedział Kluge, niemal urażony takim niezrozumieniem. Uśmiechnął się zarozumiale. – Taki jestem zdolny! – dodał.

W tym momencie komisarz Escherich ostatecznie odłożył *ad acta* wszelkie podejrzenia, że Enno Kluge mógłby mieć cokolwiek wspólnego z pisaniem lub kolportowaniem kartek. Ten Kluge nie byłby po prostu do tego zdolny, brakowało ku temu jakichkolwiek przesłanek. Mimo wszystko trzeba go przesłuchać w tej sprawie, bo musiał sporządzić protokół z tego przesłuchania, protokół dla swoich szacownych przełożonych, żeby ci dali mu na razie spokój, protokół, który sprawi, że Kluge nadal będzie podejrzanym i który uzasadni podejmowane wobec niego kroki...

Wyciągnął więc z kieszeni kartkę, położył ją przed Klugem i powiedział zupełnie obojętnym tonem: – Widział pan tę kartkę, panie Kluge?

– Tak – powiedział Enno Kluge bez zastanowienia, lecz zaraz zadrżał i poprawił się: – To znaczy, oczywiście, że nie. Musiałem ją wcześniej przeczytać, to znaczy sam początek. A poza tym jej nie widziałem! To święta prawda, panie komisarzu!

– No, no! – stwierdził Escherich z powątpiewaniem. – Panie Kluge, skoro wyjaśniliśmy sobie tak poważną sprawę jak pańska praca i kacet, skoro osobiście udam się do pana przełożonych i ureguluję tę sprawę dla pana, to może jednak dojdziemy do porozumienia w tak drobnej sprawie jak tak pocztówka!

– Ja nie mam z tym nic wspólnego, panie komisarzu, zupełnie nic!

– Ja nie posuwam się tak daleko, panie Kluge – powiedział komisarz niewzruszony jego zapewnieniami – nie posuwam się tak daleko jak mój kolega, który uważa pana za autora tej kartki i chce pana zaciągnąć przed Trybunał Ludowy, a tam: rach-ciach, panie Kluge!

Drobny człowieczek zadrżał, a jego twarz przybrała barwę popiołu.

– Nie – powiedział komisarz uspokajającym tonem i znów położył rękę na dłoni aresztanta. – Nie, nie uważam pana za autora tych kartek. Ale ponieważ ta kartka leżała tam u lekarza na podłodze, a pan podejrzenie dużo się kręcił po tym korytarzu, i do tego ten pański niepokój i ucieczka. A na wszystko mamy dobrych świadków. Nie, panie Kluge, już lepiej będzie, jeśli powie mi pan prawdę. Nie chciałbym, żeby pan sam siebie wpędził w nieszczęście!

– Ktoś musiał wrzucić tę kartkę z zewnątrz, panie komisarzu. Ja nie mam z nią nic wspólnego, przysięgam na wszystkie świętości, panie komisarzu!

– Sądząc po tym, gdzie leżała, nie mogła zostać wrzucona z zewnątrz! A pięć minut wcześniej jej tam nie było, recepcjonistka to poświadczy. W międzyczasie to właśnie pan wychodził do toalety. Czy też twierdzi pan, że jeszcze ktoś inny wyszedł z poczekalni do ustępu?

– Nie, nie sędzę, panie komisarzu. Nie, na pewno nie. Jeśli chodzi o te pięć minut, to na pewno nie. Już od dłuższego czasu miałem ochotę zapalić i dlatego obserwowałem, czy ktoś nie idzie do toalety.

– A więc! – powiedział komisarz wyraźnie zadowolony. – Niech pan sam to powie. Tylko pan, tylko i wyłącznie pan, mógł położyć tę kartkę na podłodze!

Kluge wpatrywał się w niego z szeroko otwartymi i ponownie pełnymi przerażenia oczami.

– Skoro już pan się przyznał...

– Ja się do niczego nie przyznałem, do niczego! Powiedziałem tylko, że przez ostatnie pięć minut przede mną nikt inny nie był w kiblu!

Kluge prawie to wykrzyczał.

– Ależ, ależ! – powiedział komisarz, z niedowierzaniem kręcąc głową. – Chyba nie chce pan tak od razu odwołać złożonego przed chwilą zeznania, na to jest pan zbyt rozsądnym człowiekiem. Musiałbym takie

odwołanie także uwzględnić w protokole, panie Kluge, a to nigdy nie wygląda dobrze.

Kluge popatrzył na niego z rozpaczą. – Przecież ja do niczego się nie przyznałem... – wyszeptał niemal bezgłośnie.

– Dogadamy się jakoś w tej sprawie – stwierdził Escherich uspokajającym tonem. – Ale najpierw niech mi pan powie. Kto dał panu tę kartkę do położenia? Czy to jakiś dobry znajomy, przyjaciel, czy też ktoś zagadnął pana na ulicy i dał za to parę marek?

– Nie! Nie! – wykrzyknął znowu Kluge. – Nie miałem tej kartki w ręku, na oczy jej nie widziałem, zanim nie dał mi jej pański kolega!

– Ależ, ależ, panie Kluge! Przecież sam pan przed chwilą przyznał, że to pan położył tę kartkę na podłodze...

– Ja do niczego się nie przyznałem! Nic takiego nie powiedziałem!

– Prawda – powiedział Escherich i pogładził się po wąsach, skrywając uśmiech. Dręczenie tego tchórzliwego i jęczącego psa zaczęło sprawiać mu sporą przyjemność. To będzie całkiem dobry protokół z mocnym podejrzeniem – dla przełożonych. – Prawda – powiedział. – W takiej formie pan tego nie powiedział. Powiedział pan jedynie, że tylko pan mógł położyć tam tę kartkę, że nikogo poza panem tam nie było, a to znaczy dokładnie to samo.

Enno wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami. A potem powiedział nagle mrukliwym tonem: – Tego też nie powiedziałem. A poza tym do toalety mógł przyjść ktoś inny, niekoniecznie z poczekalni.

Usiadł z powrotem, bo wzburzony fałszywymi oskarżeniami zerwał się z miejsca.

– Ale już nic więcej nie powiem. Żądam adwokata. I protokołu też nie podpiszę.

– Ależ, ależ – powiedział Escherich. – Czy ja pana prosiłem, panie Kluge, o podpisanie protokołu? Czy w ogóle notowałem to, co pan

mówił? Siedzimy sobie przecież tutaj niczym dwaj starzy przyjaciele, a to, o czym rozmawiamy, nikogo nie powinno obchodzić.

Wstał i szeroko otworzył drzwi do celi.

– Widzi pan, nie ma na korytarzu nikogo, kto by podsłuchiwał. A pan robi mi takie trudności z powodu jednej głupiej pocztówki? Niech pan zrozumie, mnie na niej nie zależy. Ten, kto ją napisał, to jakiś idiota! Ale skoro recepcjonistka i mój kolega robią taką wrzawę, to po prostu muszę zająć się tą sprawą! Niech się pan nie wzbrania, panie Kluge, niech pan mi po prostu powie: jakiś pan na Frankfurter Allee dał mi ją, chciał zrobić dowcip doktorowi, tak powiedział. I dał panu za to dziesięć marek. Sam widziałem, że miał pan w kieszeni całkiem nową dychę. Zrozum pan, jak pan mi to teraz powie, to pan jesteś mój człowiek. Wtedy nie robi mi pan żadnych trudności, a ja mogę spokojnie iść do domu.

– A ja? Dokąd ja pójdę? Do Plötze! A potem rach-ciach! Nie, panie komisarzu, nigdy, ale to nigdy tak nie zeznam!

– Gdzie pan pójdzie, panie Kluge, gdy ja pójdę do domu? Też pan pójdzie do domu, jeszcze pan tego nie rozumiał? Jest pan wolny tak czy siak, wypuszczam pana...

– Naprawdę, panie komisarzu, naprawdę? Mogę iść bez złożenia zeznania, bez protokołu?

– Ależ oczywiście, że może pan iść, panie Kluge, może pan od razu sobie pójść. Tylko zanim pan pójdzie, niech pan przemyśli jedną rzecz...

I postukał w ramię aresztanta, który podekscytowany już zerwał się z miejsca i zwrócił w stronę drzwi.

– Widzi pan, załatwię dla pana pańskie sprawy w fabryce, oddam panu tę przysługę. Obiecałem to panu i dotrzymam słowa. Ale niech pan też pomyśli przez chwilę o mnie, panie Kluge. Niech pan pomyśli o tych wszystkich nieprzyjemnościach, jakie spotkają mnie ze strony mojego kolegi, gdy pana wypuszczę. Na pewno naskarzy na mnie do

przełożonych, mogę mieć przez to naprawdę poważne kłopoty. Byłoby naprawdę miło z pana strony, panie Kluge, gdyby podpisał mi pan to zeznanie o mężczyźnie na Frankfurter Allee, przecież z tym nie wiąże się dla pana żadne ryzyko. Tego mężczyzny może nigdy nie znajdziemy, a więc, panie Kluge!

Enno Kluge nigdy nie potrafił się oprzeć tego rodzaju delikatnej, a jednocześnie natarczywej perswazji. Był pełen wątpliwości. Kusiła go wolność, a i w fabryce wszystko by się ułożyło, gdyby nie uraził tego człowieka. Straszliwie się bał, że urazi tego miłego komisarza. Wtedy tamten glina może dalej pracować nad sprawą i pewnie w końcu doprowadzi go do przyznania się do włamania do Rosenthalowej. A wtedy Enno Kluge będzie zgubiony, a esesman Persicke...

Faktycznie mógłby wyświadczyć komisarzowi przysługę – przecież to nic wielkiego. Jakaś bzdurna kartka, coś politycznego, z czym nigdy nie miał nic wspólnego i w ogóle się na tym nie znał. A mężczyzny z Frankfurter Allee rzeczywiście nigdy nie znajdują, bo go po prostu nie ma. Tak, wyświadczy komisarzowi tę przysługę i podpisze.

Lecz wtedy znów odezwała się w nim wrodzona ostrożność i lękliwość. – Tak – powiedział – a jak już podpiszę, to pan mnie wcale nie wypuści.

– Ależ! Ależ! – powiedział komisarz Escherich, domyślając się, że tę rozgrywkę może już uznać za wygraną. – Z powodu jakiejś durnej kartki i kiedy wyświadczył mi pan przysługę? Daję panu słowo honoru, panie Kluge, jako komisarz kryminalny i jako człowiek: jak tylko podpisze pan protokół, będzie pan wolny.

– A jeśli nie podpiszę?

– To też będzie pan, oczywiście, wolny!

Enno Kluge podjął decyzję. – To ja podpiszę, panie komisarzu, żeby nie miał pan żadnych nieprzyjemności, ja też wyświadczę panu przysługę.

Ale nie zapomni pan załatwić mojej sprawy w fabryce?

– Załatwię to jeszcze dziś, panie Kluge. Jeszcze dziś! Niech się pan tam jutro pokaże i niech pan już zapomni o tych głupich zwolnieniach lekarskich! Jeden dzień na kacu od czasu do czasu, powiedzmy raz na tydzień, o tym nikt nie powie panu już słowa, jak z nimi porozmawiam. Czy tak będzie dobrze, panie Kluge?

– Ależ oczywiście! Jestem panu bardzo wdzięczny, panie komisarzu!

Tak rozmawiając, przeszli przez korytarz z celami z powrotem do pokoju, w którym siedział asystent Schröder, czekając w napięciu, jak wypadnie przesłuchanie, gotowy poddać się losowi, gdyby miał oberwać. Zerwał się, gdy obaj weszli do środka.

– No, Schröder – powiedział komisarz z uśmiechem i wskazał głową na Klugego, który stał przy nim mały i wystraszony, bo gliniarz znowu patrzył na niego przerażającym wzrokiem.

– Oto nasz przyjaciel. Właśnie przyznał mi się, że to on położył kartkę na podłodze u doktora, dostał ją od jakiegoś mężczyzny na Frankfurter Allee...

Z piersi asystenta wyrwało się coś na kształt jęku. – Do pioruna! – powiedział. – Przecież on nie mógł...

– A teraz – kontynuował niewzruszony komisarz – a teraz napiszemy sobie tutaj razem mały protokolik, a potem pan Kluge pójdzie do domu. Jest wolny. Zgadza się, panie Kluge, czy nie?

– Tak – odpowiedział Kluge, lecz bardzo cicho, gdyż obecność gliniarza wzbudziła w nim na nowo wątpliwości i lęki.

Asystent stał jednak jak głupi. Ten Kluge nie położył tam tej kartki, nigdy w życiu, był tego całkowicie pewien. Ale jest teraz gotów podpisać zeznanie stwierdzające coś przeciwnego.

Co za szczwany lis z tego Eschericha! Jak on to osiągnął? Schröder musiał sam przed sobą przyznać – nie bez zawiści – że ten Escherich

jest od niego o wiele lepszy. A potem, po takim zeznaniu, jeszcze tego człowieka wypuści! Tego się nie da zrozumieć, tego się nie da ogarnąć! Cóż, jak widać zawsze są mądrzejsi, choćby się człowiekowi wydawało, że jest całkiem sprytny.

– Posłuchajcie, kolego – powiedział Escherich, nasyciwszy się najpierw zdumieniem asystenta. – Mógłby pan załatwić dla mnie jedną sprawę, teraz zaraz, w prezydium?

– Rozkaz, panie komisarzu!

– Wie pan, że prowadzę tę sprawę... Jak ona się nazywa? Ach tak, sprawę Klabaternika. Pewnie pan sobie przypomina, kolego?

Wymienili porozumiewawcze spojrzenie.

– A więc, panie Schröder, pójdzie pan w moim imieniu do prezydium i powie koledze Linkemu... Ależ niech pan siada, panie Kluge, proszę mi wybaczyć, zamienię z kolegą jeszcze tylko kilka słów.

Podszedł z asystentem do drzwi. Szepnął: – Zażąda pan tam dwóch zręcznych ludzi. Mają tu natychmiast przyjść, żeby go śledzić. Od momentu opuszczenia komisariatu Kluge ma być obserwowany na okrągło. Meldunki o tym, co robi, co dwie, trzy godziny, w zależności od okoliczności, telefonicznie do mnie, na Gestapo. Hasło: Klabaternik. Pokaże im pan tego człowieka, mają się zmieniać. A pan wejdzie tu do środka dopiero, gdy oni będą już gotowi. Dopiero wtedy puszcze wolno naszego zajęczka.

– Wszystko będzie załatwione, panie komisarzu. Heil Hitler!

Drzwi się zatrzasnęły, gliniarz wyszedł. Komisarz usiadł obok Enna Klugego i powiedział: – No to się go pozbyliśmy! Chyba niezbyt go pan lubi, panie Kluge?

– Nie tak bardzo jak pana, panie komisarzu!

– Widział pan, jakie zrobił oczy, gdy usłyszał, że pana wypuszczam? Nieźle się w nim zagotowało! I dlatego właśnie go odesłałem, niepotrzebny

nam do spisania naszego małego protokółiku. Tylko by nam przeszkadzał. Nie będę nawet wzywał maszynistki, wolę sam naskrobać tych parę linijek. W końcu to tylko umowa między nami, żebym był choć trochę kryty przed moim przełożonymi za to, że pana wypuszczam.

I po tym, jak uspokoił nieco małego tchórza, wziął pióro i zaczął pisać. Czasem mówił głośno i wyraźnie, co pisze (o ile pisał to, co głośno mówił, bo z takimi cwanyimi policjantami kryminalnymi jak ten Escherich to nigdy nie można mieć pewności), a czasem tylko coś mamrotał. Kluge nie rozumiał, co mówi.

Widział tylko, że to wcale nie kilka linijek, tylko trzy, prawie cztery strony akt. Lecz to go w tym momencie tak bardzo nie interesowało, interesowało go tylko to, czy teraz faktycznie będzie mógł sobie pójść. Zerknął na drzwi. Podjąwszy raptowną decyzję, wstał, podszedł do nich i uchylił je nieco...

– Kluge! – rozległo się za nim, lecz nie był to rozkaz. – Panie Kluge, bardzo proszę!

– Tak? – zapytał i odwrócił się. – To jednak nie mogę wyjść? – uśmiechnął się lękliwie.

Komisarz z piórem w dłoni popatrzył na niego z uśmiechem. – A więc znowu żałuje pan, panie Kluge, naszej umowy? Tego, co mi pan obiecał? No dobrze, w takim razie nabazgrałem się na darmo! – Energicznym gestem odłożył pióro. – Ale niech pan już idzie, panie Kluge – naprawdę, teraz wiem, że nie jest pan człowiekiem słownym. Niech więc pan już idzie, przecież wiem, że pan tego nie podpisze! Trudno, jeśli o mnie chodzi...

I w taki właśnie sposób komisarz sprawił, że Enno Kluge jednak podpisał protokół. Tak, Kluge nawet nie zażądał, żeby mu go najpierw głośno i wyraźnie odczytać. Podpisał, nie znając jego treści.

– A teraz mogę już iść, panie komisarzu?

– Oczywiście. Bardzo dziękuję, panie Kluge, świetnie się pan spisał. Do widzenia. To znaczy, najlepiej nie tutaj, nie w tym pokoju. Ach, jeszcze chwileczkę, panie Kluge...

– To jednak nie mogę pójść?

Twarz Klugego znów zaczęła drżeć.

– Ależ oczywiście, że tak! Znowu mi pan nie ufa? Ależ z pana podejrzliwy człowiek, panie Kluge! A ja mimo wszystko myślę, że chętnie zabierze pan swoje dokumenty i pieniądze, co? No, widzi pan! Sprawdźmy jeszcze tylko, czy wszystko tam jest, panie Kluge...

I zaczynają sprawdzać: książeczka pracy, książeczka wojskowa, świadectwo urodzenia, akt małżeństwa...

– Po co właściwie nosi pan ze sobą te wszystkie papiery, Kluge? A jakby tak panu zginęły!

...meldunek policyjny, cztery koperty z wypłatą...

– Dużo to pan nie zarabia, panie Kluge! Ach tak, zgadza się, widzę, w każdym tygodniu pracował pan tylko trzy, cztery dni, niezły z pana dekwonnik!

...trzy listy...

– Nie, zostawmy to, to mnie zupełnie nie interesuje!

...37 marek w banknotach i 65 fenigów...

– Widzi pan, i tu mamy ten dziesięciomarkowy banknot, który dostał pan od tego mężczyzny, lepiej odłóż to do akt. Ale chwileczkę, pan nie powinien być na tym stratny, sam dam panu w zamian dziesięć marek...

I tak komisarz kontynuował, aż wrócił asystent Schröder: – Rozkaz wykonany, panie komisarzu. I mam zameldować, że komisarz Linke chciałby z panem porozmawiać o sprawie Klabaternika.

– Dobrze, dobrze. Bardzo dziękuję, kolego. Tak, my już tutaj skończyliśmy. A więc do zobaczenia, panie Kluge. Schröder, niech pan wskaże panu Klugemu drogę. Pan Schröder wyprowadzi pana

z komisariatu. Jeszcze raz do widzenia, panie Kluge. O fabryce nie zapomnę. Na pewno nie! Heil Hitler!

– No to bez urazy, panie Kluge – powiedział Schröder, stanąwszy na Frankfurter Allee i potrząsnąwszy dłonią zatrzymanego.

– Rozumie pan, praca to praca i czasami musimy zadziałać trochę ostrzej. Ale ja od razu kazałem zdjąć panu kajdanki. Po tym szturchańcu od wachmistrza to chyba już nic pana nie boli?

– Nie, zupełnie nic. I wszystko rozumiem... Proszę mi raczej wybaczyć kłopot, jaki panom sprawiłem, panie komisarzu.

– A więc: Heil Hitler, panie Kluge!

– Heil Hitler, panie komisarzu!

I mały, chuderlawy Enno Kluge podreptał w swoją stronę. Popędził szybkim truchtem pośród przechodniów na Frankfurter Allee, a asystent Schröder odprowadził go wzrokiem.

Upewnił się jeszcze tylko, czy dwaj wyznaczeni przez niego ludzie podążają jego śladem, a potem skinął głową i wrócił do komisariatu.

ROZDZIAŁ 25.

Komisarz Escherich pracuje nad sprawą Klabaternika

– Proszę, niech pan czyta! – powiedział komisarz Escherich do asystenta Schrödera, wręczając mu protokół.

– Taa... – rzekł Schröder, oddając kartki z powrotem. – A więc jednak już się przyznał, a to wystarczy na Trybunał Ludowy i kata. Nie pomyślałbym. – Zamyślił się i dodał: – I coś takiego biega sobie swobodnie po ulicy!

– Tak jest! – powiedział komisarz, włożył protokół do okładki, a okładkę schował do swojej skórzanej teczki. – Tak jest, coś takiego biega sobie swobodnie po ulicy, choć przecież pod skrupulatną obserwacją naszych ludzi?

– Oczywiście! – pośpieszył z zapewnieniem Schröder. – Osobiście to sprawdziłem, obaj ruszyli tuż za nim.

– No i on sobie tak biega – kontynuował komisarz Escherich, gładząc się w zamyśleniu po wąsach – biega sobie i biega, a nasi ludzie biegają sobie za nim! I pewnego dnia, dziś, za tydzień albo za pół roku, nasz mały paskudny pan Kluge pobiegnie do autora kartek, do człowieka, który powiedział mu: Połóż ją tam a tam. Doprowadzi nas do niego jak amen w pacierzu. I wtedy ja zrobię cap!, a oni obaj będą gotowi, żeby trafić do Plötze i tak dalej, i tak dalej.

– Panie komisarzu – powiedział asystent Schröder – wciąż nie mogę do końca uwierzyć, że ten Kluge podłożył kartkę. Widziałem przecież, gdy wkładałem mu ją do ręki, że nic o niej wcześniej nie wiedział! To wszystko wymyśliła sobie przecież ta rozhisteryzowana baba, ta

recepjonistka.

– Przecież w protokole stoi, że to on ją podłożył – wtrącił komisarz, choć bez szczególnego nacisku. – Poza tym chciałbym panu doradzić, żeby w swoim raporcie nie wspominał pan o rozhisteryzowanej babie. Żadnych osobistych uprzedzeń, same konkrety. Jeśli pan chce, może pan podpytać tego lekarza o wiarygodność jego asystentki. Ach nie, niech pan to lepiej zostawi. To też byłaby osobista ocena, zostawmy ocenę poszczególnych zeznań sędziemu śledczemu. My pracujemy wyłącznie na konkretach, bez jakichkolwiek uprzedzeń, zgadza się, Schröder?

– Oczywiście, panie komisarzu.

– Skoro mamy zeznanie, to znaczy, że mamy zeznanie, i jego się trzymamy. Jak powstało i dlaczego, to nas nie obchodzi. Nie jesteśmy przecież psychologami, zajmujemy się kryminalistyką. *Crimen*, czyli zbrodnia, tylko to nas interesuje, Schröder. A jeśli ktoś się przyznaje, że popełnił przestępstwo, to na razie nam wystarczy. Taki przynajmniej ja mam pogląd na ten temat, chyba że pan jest odmiennego zdania, Schröder?

– Ależ oczywiście, że nie, panie komisarzu! – wykrzyknął asystent Schröder. Zabrzmiało to tak, jakby był niezmiernie przerażony myślą, że mógłby cokolwiek rozumieć inaczej niż jego przełożony. – Myślę dokładnie tak samo! Zawsze przeciwko zbrodni!

– Wiedziałem – powiedział komisarz Escherich i poglądził się po brodzie. – My, starzy kryminalni, zawsze jesteśmy jednego zdania. Wie pan, Schröder, teraz w naszym zawodzie pracuje wielu laików, lecz my mimo wszystko ciągle trzymamy się razem, i często wychodzi nam to na dobre. A więc, Schröder, teraz już czysto służbowo: jeszcze dziś otrzymam od pana pański raport z zatrzymania Klugego oraz protokół z zeznaniami recepcjonistki i lekarza. A tak, Schröder, był tam z panem jeszcze ten wachmistrz...

– Starszy wachmistrz Dubberke z tego komisariatu...

– Nie znam. Ale też ma sporządzić raport z próby ucieczki Klugego. Krótko, rzeczowo, żadnej paplaniny, żadnych osobistych uprzedzeń, rozumiano, panie Schröder?

– Na rozkaz, panie komisarzu!

– A więc, Schröder! Po złożeniu raportów nie będzie się pan już zajmował tą sprawą, najwyżej złoży pan kiedyś zeznanie przed sędzią albo u nas na Gestapo... – Popatrzył na swojego podwładnego w zadumie.

– Od jak dawna jest pan asystentem, panie Schröder?

– Już trzy i pół roku, panie komisarzu.

W skierowanym teraz na komisarza wzroku gliniarza było coś rozczulającego.

Lecz komisarz powiedział tylko: – Tak, no to byłaby już pomału pora – i opuścił komisariat.

Na Prinz Albrecht Straße od razu kazał się zameldować u swojego bezpośredniego przełożonego, SS-Obergruppenführera Pralla. Musiał czekać prawie godzinę; nie żeby Herr^[46] Prall był bardzo zajęty, czy też może właśnie był *bardzo* zajęty. Escherich słyszał brzęk szkła, strzelanie korków, słyszał śmiechy i krzyki: a więc jedno z częstych zebrań wyższych rangą. Towarzystwo, wypitka, atmosfera niewymuszonej wesołości i swobody oraz wypoczynek po ciężkim trudzie dręczenia bliźnich i wysyłania ich na szubienicę.

Komisarz czekał cierpliwie, choć tego dnia miał jeszcze dużo planów. Znał przełożonych w ogólności, a tego w szczególności. Tu nie pomogą żadne ponaglenia i nawet gdyby pół Berlina stanęło w ogniu, to jak ten ma ochotę się napić, to pije i już. Tak to jest!

Po godzinie Escherich został jednak przyjęty. Pokój z wyraźnymi śladami popijawy wyglądał dość okropnie, Herr Prall, z twarzą lśniąca i purpurową od armaniaku, też wyglądał dość okropnie. Powiedział jednak

[46] Herr (niem.) – pan.

przyjaźnie: – Proszę, Escherich! Niech pan też naleje sobie kieliszeczek! To owoce naszego zwycięstwa nad Francją: prawdziwy armaniak, dziesięć razy lepszy od koniaku. Dziesięć? Sto razy lepszy! Dlaczego pan nie pije?

– Proszę o wybaczenie, panie Obergruppenführerze, mam dzisiaj jeszcze sporo do zrobienia, chciałbym zachować trzeźwy umysł. Poza tym nie jestem przyzwyczajony do picia.

– Ach, co też, nieprzyzwyczajony! Trzeźwy umysł, nonsens! Po co panu trzeźwy umysł? Niech pan każe komuś innemu wykonać robotę, a sam się wyśpi. Na zdrowie, Escherich, za naszego Führera!

Escherich wznosił toast, bo musiał. Wznosił i drugi toast, i trzeci, myśląc sobie przy tym, jak towarzystwo kamratów i alkohol odmieniły tego człowieka. Prall był zwykle właściwie dość znośny, nie był nawet w połowie tak zły jak setki jego kolegów, którzy w swoich czarnych mundurach panoszyli się w tym budynku. Był raczej sceptyczny, „posłuszny rozkazom”, jak sam to kiedyś określił, a w żadnym razie przekonany do tego wszystkiego.

Jednak pod wpływem kamratów i alkoholu stał się taki jak oni: nieobliczalny, brutalny, niespokojny i gotów natychmiast doszczętnie tępić każdą odmienną opinię, choćby była to jedynie opinia dotycząca picia winiaku. Gdyby Escherich faktycznie odmówił mu wzniesienia toastu, z pewnością byłby zgubiony, byłoby tak, jakby wypuścił najgorszego zbrodniarza. Na dobrą sprawę to byłoby jeszcze bardziej niewybaczalne, gdyż graniczyłoby z osobistą obrazą, gdyby podwładny nie wznosił toastu z przełożonym tyle razy, ile ten sobie życzył.

Escherich pił więc z Prallem, raz po raz wznosząc toast.

– A więc, Escherich, o co chodzi? – powiedział Prall, starając się stać przy biurku w miarę prosto, przy nim i dzięki niemu. – Co pan tam ma?

– Protokół – wyjaśnił Escherich. – Spisany przeze mnie w sprawie mojego Klabaternika. Będzie jeszcze kilka innych raportów i protokołów,

ale ten jest najważniejszy. Proszę, panie Obergruppenführerze.

– Klabaternik? – zapytał Prall, intensywnie się namyślając. – To przecież ten facet od kartek. No, czyżby wpadł pan jednak na coś, Escherich, tak jak panu zaleciłem?

– Wedle rozkazu, panie Obergruppenführerze. Czy pan Obergruppenführer zechce przeczytać protokół?

– Przeczytać? Nie, teraz nie. Może później. Niech pan go teraz głośno przeczyta, Escherich!

Lecz przerwał odczytywanie protokołu po pierwszych trzech zdaniach. – Najpierw się jeszcze napijmy. Na zdrowie, Escherich! Heil Hitler!

– Heil Hitler, panie Obergruppenführerze!

Gdy Escherich wypił, zaczął czytać dalej.

Pijany Prall wpadł jednak na pomysł przekornej zabawy. Za każdym razem gdy Escherich przeczytał trzy, cztery zdania, przerywał mu, mówiąc „Na zdrowie!”, a Escherich po wzniesieniu toastu musiał zaczynać od początku. Prall nie pozwolił mu skończyć nawet pierwszej strony, od razu przerywał kolejnym „Na zdrowie!”. Pomimo stanu upojenia widział doskonale, jak w jego podwładnym się gotuje, jak nie pasuje mu mocny trunek, jak dziesięć razy miał ochotę odłożyć protokół i wyjść (pocałuj mnie w dupę!), ale się nie odważył, bo on był jego przełożonym, więc musiał się podporządkować, nie mógł pokazać po sobie złości...

– Na zdrowie, Escherich!

– Dziękuję posłusznie, panie Obergruppenführerze! Na zdrowie!

– No, to niech pan czyta dalej, Escherich! Nie, niech pan zacznie jeszcze raz od samego początku. Nie do końca zrozumiałem jedno miejsce. Zawsze wolno myślałem...

I Escherich czytał. Tak, teraz dręczono go tak samo, jak on przed dwiema godzinami dręczył chuderlawego Klugego, tak samo jak tamtego męczyło go teraz pragnienie, żeby stąd wyjść. Lecz musiał czytać, czytać

i pić, pić i czytać tak długo, jak tamtemu to odpowiadało. Czuł już, jak umysł zasnuwa mu się chmurami – cała dobra robota, żegnaj! Ta cholerna dyscyplina!

– Na zdrowie, Escherich!

– Na zdrowie, panie Obergruppenführerze!

– No to niech pan przeczyta jeszcze raz od początku!

I tak do momentu, gdy zabawa nagle się Pralowi znudziła i rzucił grubiańskim tonem: – Ach, niech pan zostawi to durne czytanie! Przecież pan widzi, że jestem pijany, jak mam skapować, o co w tym wszystkim chodzi? Chciał się pan chyba pochwalić tym swoim błyskotliwym protokołem, co? Będą inne raporty, ale nie tak ważne jak protokół wielkiego komisarza kryminalnego Eschericha! Jak mnie coś takiego irytuje! Bez ceregieli: złapał pan autora tych kartek?

– Na rozkaz, panie Obergruppenführerze, nie. Ale...

– To w takim razie po co pan do mnie przychodzi? Dlaczego kradnie mi pan mój cenny czas i wypija mój pyszny armaniak? – Teraz to już był prawdziwy ryk. – Czy pan już całkiem oszalał, panie? Ale ja porozmawiam z panem innym tonem, panie! Byłem o wiele za łagodny, pozwoliłem, żeby pan się zrobił bezczelny, zrozumiano?

– Na rozkaz, panie Obergruppenführerze! – I Escherich wyrzuca z siebie prędko, zanim wrzaski rozpoczną się na nowo: – Ale złapałem kogoś, kto podkładał kartki. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Ta wiadomość udobruchała nieco Pralla. Popatrzył na komisarza dzikim wzrokiem i powiedział: – Przyprawdźcie tego człowieka! Zaraz mi powie, kto mu dał te kartki. Już ja mu dam popalić, akurat jestem w odpowiednim nastroju!

Escherich wahał się przez chwilę. Mógł powiedzieć, że tego człowieka nie ma jeszcze na Prinz Albrecht StraÙe, że go przyprowadzi – a potem rzeczywiście by go przyprowadził, to znaczy z ulicy czy z jego mieszkania,

z pomocą tych dwóch, którzy go śledzili. Albo raczej spokojnie poczeka, aż Obergruppenführer wyśpi się po kacu. Do tej pory prawdopodobnie o wszystkim zapomni.

Lecz ponieważ Escherich był Escherichem, to znaczy zatwardziałym w swych grzechach policjantem kryminalnym, czyli nie tchórzem, lecz człowiekiem odważnym, to z tej odwagi powiedział (będzie, co będzie): – Wypuściłem tego człowieka na wolność, panie Obergruppenführerze!

Co za wrzask, nie, na litość boską, co za zwierzęcy ryk! Ten zwykle tak dystyngowany wyższy dowódca Prall zapomniał się tak dalece, że chwycił swojego komisarza za pierś i potrząsając nim raz po raz, wrzeszczał: – Wypuściłem? Wypuściłem? Wiesz, co ja teraz z tobą zrobię, ty świnię? Teraz to ja wsadzę cię, teraz to ty sobie posiedzisz! Czekaj, powieszę ci pod wąsem tyśiącwatową żarówkę, niczym psie gówno, a jak tylko zaśniesz, to natychmiast każę cię obić, ty padalcu...

I tak to trwało przez chwilę. Escherich pozwalał sobą potrząsać i się znieważać, zachował spokój. Teraz to może i dobrze, że pił alkohol. Lekko oszołomiony armaniakiem odczuwał wszystko, co się działo, niewyraźnie, jakby był to raczej jakiś sen.

A krzycz sobie! – myślał. Im głośniejsz krzyczysz, tym szybciej ochrypniesz. Dalej, dołóż porządnie staremu Escherichowi!

I rzeczywiście, gdy Prall ochrypl od krzyków, zostawił swojego podwładnego w spokoju. Nalał sobie kolejny kieliszek armaniaku, zmierzył Eschericha gniewnym spojrzeniem i wychrypił: – No, meldujcie natychmiast, dlaczego popełniliście takie totalne głupstwo!

– Najpierw chciałbym zameldować – odparł Escherich cicho – że ten człowiek jest stale obserwowany przez dwóch naszych najlepszych ludzi z prezydium. Uważam, że prędzej czy później odwiedzi swojego zleceniodawcę, czyli autora kartek. Teraz zaprzecza, twierdzi, że go nie zna. Wiadomego nieznajomego.

– Już ja bym wycisnął z niego to nazwisko. A ci śledzący to jeszcze mogą go zgubić!

– Ci nie! To najzdolniejsi ludzie z Alexa!

– No, no! – Najwyraźniej Pralla ogarnął jednak lepszy humor. – Wie pan, nie życzę sobie takich samowolek! Wolałbym mieć tego człowieka w swoich rękach!

Chciałbyś! – pomyślał Escherich. I po półgodzinie wiedziałbyś, że on nie ma nic wspólnego z kartkami i znowu zacząłbyś mnie szczuć...

Na głos powiedział jednak: – To wystraszony mały człowieczek, panie Obergruppenführerze. Szczerze mówiąc, tchórzliwy jak zając. Jak go pan przycisnie, wysra kłamstwo za kłamstwem, powie panu wszystko, co pan będzie chciał, a my będziemy się kręcić wokół setek kłamstw. A tak gładko doprowadzi nas prosto do autora kartek.

Obergruppenführer roześmiał się: – No cóż, stary lis z pana, wypijmy jeszcze jednego!

Wypili więc jeszcze jednego.

Obergruppenführer zmierzył komisarza badawczym wzrokiem. Wybuch gniewu najwyraźniej dobrze mu zrobił, bo nieco otrzeźwiał.

Zastanowił się, a potem powiedział: – A z tego protokołu, to pan wie...

– Na rozkaz, panie Obergruppenführerze!

– ...z tego protokołu każe mi pan zrobić kilka kopii. Niech pan schowa swoje błyskotliwe dzieło z powrotem. – Obaj się uśmiechnęli. – Tutaj jeszcze mógłby wpaść do armaniaku...

Escherich włożył protokół z powrotem do okładki, a okładkę do teczki.

W tym czasie jego przełożony pogrzebał w jednej z szuflad biurka i wrócił z ręką schowaną za plecami.

– Niech pan powie, Escherich, ma pan już Wojenny Krzyż Zasługi?

– Nie, panie Obergruppenführerze.

– Błąd, Escherich! To już pan ma! – I z zaskoczenia wyciąga ukrytą dotąd dłoń, w której spoczywa odznaczenie.

Komisarz jest – tak zdumiony, że występuje tylko pojedyncze słowa: – Ależ, panie Obergruppenführerze! Nie zasłużyłem... Nie wiem, co powiedzieć...

Wszystkiego się spodziewał w trakcie udzielonej mu pięć minut temu reprimendy, sądził nawet, że czeka go kilka dni i nocy w bunkrze, ale że zaraz potem wręczą mu Krzyż Zasługi...

– ...W każdym razie najuniżeniej dziękuję.

Obergruppenführer Prall napawał się zaskoczeniem odznaczonego.

– No cóż, Escherich – powiedział. – Wie pan przecież, że ja wcale taki nie jestem. I w końcu jest pan przecież całkiem zdolnym urzędnikiem. Trzeba tylko czasem troszkę popędzić pana do roboty, bo mógłby mi pan całkiem przysnąć. Poczestujmy się jeszcze. Na zdrowie, Escherich, za pański Krzyż!

– Na zdrowie, panie Obergruppenführerze! I jeszcze raz najuniżeniej dziękuję!

Obergruppenführer rozgadał się: – Tak właściwie to ten krzyż wcale nie był przeznaczony dla pana, Escherich. Właściwie miał go dostać pański kolega Rusch, za taki jeden sprytny numer, który wykręcił starej Żydówce. Ale pan przyszedł pierwszy.

Gadał tak jeszcze przez chwilę, a potem włączył czerwoną lampkę nad swoimi drzwiami, co oznaczało: Ważna rozmowa! Nie przeszkadzać! – i położył się spać na sofie.

Gdy Escherich wchodził do swojego biura, wciąż trzymając w dłoni Krzyż Zasługi, jego zastępca siedział przy telefonie i wrzeszczał: – Co takiego? Sprawa Klabaternika? Czy to nie jakaś pomyłka? Nie mamy tu żadnej sprawy Klabaternika!

– Daj mi pan to! – powiedział Escherich, chwytając za słuchawkę. – I

natychmiast odmaszerować!

Krzyknął do aparatu: – Tak, tutaj komisarz Escherich! Co z tym Klabaternikiem? Chcecie złożyć meldunek?

– Melduję posłusznie, panie komisarzu, że niestety straciliśmy z oczu tego człowieka, tego...

– Co takiego?

Escherich o mało nie pozwolił sobie na podobny wybuch gniewu, jaki kwadrans wcześniej zademonstrował jego przełożony. Lecz opanował się: – Jak to się mogło stać? Wydaje mi się, że jest pan solidnym człowiekiem, a obserwowany to przecież frajer!

– Tak, tak pan mówi, panie komisarzu. Ale potrafi biegać jak łasica, a w tłumie na stacji metra na Alexanderplatz nagle zniknął. Musiał zauważyć, że go śledzimy.

– I na dodatek jeszcze to! – jęknął Escherich. – Zauważył! Tępaki, zepsuliście mi całą obstawę! Teraz nie mogę was znowu posłać, bo on już was zna. A nowi nie będą znać jego! – Zastanowił się: – A więc jak najszybciej z powrotem do prezydium! Każdy z was znajdzie sobie zmiennika. Jeden z nich zajmie stanowisko w pobliżu jego mieszkania, tylko ma się dobrze kryć, zrozumiano?! Żeby wam nie zwał kolejny raz! Waszym zadaniem jest wskazanie Klugego temu zmiennikowi, a potem się ulatniacie. Drugi zmiennik idzie do fabryki, gdzie tamten pracuje, i zgłasza się do jego kierownictwa. Czekać, wielki bohaterze, przecież nie dostaliście jeszcze adresu mieszkania! – Odszukał go i podał przez telefon. – No, to jak najszybciej na stanowiska! Do fabryki zmiennik może pójść sam, i to dopiero jutro z samego rana. Tam już mu go wskażą! Upprzedzę ich. A za godzinę sam będę w jego mieszkaniu...

Miał jednak tak dużo do podyktowania i omówienia przez telefon, że do mieszkania Ewy Kluge dotarł o wiele później. Nie zauważył swoich ludzi, a i do drzwi dzwonił na próżno. Została mu już więc tylko sąsiadka,

pani Gesch.

– *Ten Kluge?* Ma pan na myśli *tego Klugego*? Nie, on tutaj nie mieszka. Tutaj mieszka tylko jego żona, drogi panie, a ona od dawna nie wypuszcza go do mieszkania. Tylko że ona wyjechała. Gdzie *on* mieszka? Skąd miałabym to wiedzieć, drogi panie? Ten ciągle się gdzieś pałęta, zwykle u jakichś bab. Tak przynajmniej kiedyś słyszałam, ale ja nic nie powiedziałam. Jego żona już miała do mnie wystarczające pretensje, bo raz pomogłam mu się dostać do jej mieszkania.

– Pani Gesch, niech pani posłucha – powiedział Escherich, wchodząc do przedpokoju, ponieważ zamierzała zatrzaskać mu drzwi przed nosem.

– Niech mi pani opowie po prostu wszystko, co pani wie o państwie Kluge!

– Jak bym mogła, drogi panie, i jak pan może tak po prostu wchodzić do mojego mieszkania...

– Jestem komisarz Escherich z Tajnej Policji Państwowej, a jeśli chciałaby pani zobaczyć moją legitymację...

– Nie, nie! – wykrzyknęła w swojej obronie Geschowa i przerażona cofnęła się aż pod ścianę kuchni. – Nie chcę niczego oglądać ani niczego słuchać! A o tych Kluge to już panu powiedziałam wszystko, co wiem!

– Cóż, myślę, że jeszcze się pani zastanowi, pani Gesch, bo jeśli nie zechce mi pani tego opowiedzieć tutaj, to będę musiał zaprosić panią na porządne przesłuchanie na Gestapo przy Prinz Albrecht Straße. A to na pewno nie sprawi pani przyjemności. Tutaj tylko rozmawiamy sobie w miłych warunkach, nikt niczego nie spisuje...

– Oczywiście, panie komisarzu. Ale ja naprawdę nie mam nic więcej do powiedzenia. Ja przecież prawie nic o nich nie wiem.

– Jak pani chce, pani Gesch. Niech się więc pani przygotuje, mam na dole paru ludzi, będzie pani mogła zaraz z nami pójść. I niech pani zostawi karteczkę mężowi, bo ma pani męża, prawda? Oczywiście, że pani ma! Tak więc niech pani zostawi mężowi karteczkę: Jestem na Gestapo. Nie

wiem, kiedy wrócę!”. No dalej, pani Gesch! Niech pani pisze tę karteczkę!

Geschowa zbladła, nogi i ręce zaczęły jej drżeć, a zęby szczerkać.

– Pan nie zrobi przecież czegoś takiego, drogi, drogi panie! – błagała.

Odpowiedział z udawaną surowością: – Naturalnie, że coś takiego zrobię, pani Gesch, jeśli dalej będzie pani odmawiać udzielenia mi zwykłych informacji. Niech więc pani będzie rozsądna, usiądzie sobie tutaj i opowie mi wszystko, co pani wie o państwu Kluge. Jaka jest ta jego żona?

Pani Gesch naturalnie nabrała rozumu. Właściwie to był bardzo miły człowiek, ten pan z Gestapo, całkiem inny niż sobie wyobrażała takich panów. I naturalnie komisarz Escherich dowiedział się wszystkiego, czego można się było od Geschowej dowiedzieć. Opowiedziała mu nawet o esesmanie Karlemannie, bo jeśli o czymś wiadano w knajpie na rogu, to Geschowa też o tym oczywiście wiedziała. Tej dzielnej byłej listonoszce Ewie Kluge serce by się krajało, gdyby dowiedziała się, że ona i jej były ukochany syn Karlemann nie schodzą z ludzkich języków.

Gdy komisarz Escherich żegnał się z Geschową, nie tylko zostawił kilka cygar dla jej męża, lecz pozyskał także dla Gestapo pilnego, darmowego i nieocenionego szpiega. Będzie miała stale na oku mieszkanie państwa Kluge, ale też wszystkich w kamienicy i będzie nadstawiać ucha w kolejkach przed sklepami, i natychmiast zadzwoni do drogiego komisarza, jeśli tylko dowie się czegoś, co mogłoby mu się przydać.

Wskutek owej rozmowy komisarz Escherich odwołał obu swoich ludzi. Doświadczenie mówiło mu, że prawdopodobieństwo złapania Klugego w mieszkaniu jego żony jest bardzo niewielkie, a poza tym Geschowa będzie mieć oko na to mieszkanie. Potem komisarz Escherich poszedł jeszcze na pocztę i do biura partii i zasięgnął dalszych informacji o pani Kluge. Nigdy nie wiadomo, kiedy okażą się przydatne.

Escherich mógł swobodnie powiedzieć tym na poczcie i w partii,

że domyśla się związku pomiędzy wystąpieniem pani Kluge z partii a haniebnymi czynami jej syna w Polsce. Mógł też zdradzić adres pani Kluge pod Ruppinem, przepisał go sobie z listu od pani Kluge do pani Gesch, gdy ta szukała kluczy. Escherich nie uczynił tego jednak, zadawał dużo pytań, lecz sam nie udzielał żadnych informacji. Co prawda chodziło tu o partię i o pocztę, a więc ważne urzędy, ale Gestapo nie jest od tego, żeby pomagać innym w ich sprawach. Na to tajna policja jest za dobra i przynajmniej pod tym względem komisarz Escherich w pełni ucieleśniał ogólne wyobrażenie o Gestapo.

Przekonali się o tym także panowie w fabryce. Nosili mundury, a sądząc po stopniach i poborach, z pewnością zajmowali w hierarchii o wiele wyższą pozycję niż bezbarwny komisarz. On jednak upierał się przy swoim: – Nie, moi panowie, co mamy przeciwko Klugemu, to jest sprawa tylko i wyłącznie Tajnej Policji Państwowej. Na ten temat nie powiem nic. Oznajmiam tylko panom, że macie tego Klugego bez żadnych trudności wpuszczać i wypuszczać, kiedy będzie mu się podobało, że nie będzie już żadnego besztania ani straszenia i że zapewnicie panowie bezproblemowy wstęp do państwa zakładu wyznaczonym przeze mnie funkcjonariuszom oraz będziecie wspierać ich działania, o ile będzie to w waszej mocy. Zrozumieliśmy się?

– Proszę o pisemne potwierdzenie tych zarządzeń! – wykrzyknął oficer. – I to jeszcze dziś!

– Jeszcze dziś? Trochę już późno. Może jutro. Do jutra Kluge na pewno się nie pojawi. Jeśli w ogóle się tu jeszcze pojawi! A więc, Heil Hitler, moi panowie!

– Tam do kata! – zazgrzytał zębami oficer. – Oni się robią coraz bardziej aroganccy! Do diabła z tym całym Gestapo! Myślą sobie, że wszystko im wolno, bo mogą wsadzić każdego Niemca. Ale ja jestem oficerem, jestem zawodowym oficerem...

– Co ja jeszcze chciałem powiedzieć... – w szparze drzwi na powrót ukazała się głowa Eschericha – Czy on ma tutaj jeszcze jakieś dokumenty, listy, przedmioty osobiste?

– O to musi pan spytać jego majstra! On ma klucz do jego szafki...

– A więc dobrze – powiedział Escherich, opadając na krzesło. – W takim razie niech pan spyta o to majstra, panie poruczniku! I jeśli nie byłby to dla pana kłopot, to proszę jak najszybciej, dobrze?

Nastąpiła wymiana spojrzeń. Oczy ironicznego, bezbarwnego Eschericha i ciemne od gniewu oczy porucznika toczyły ze sobą walkę. A potem oficer stuknął obcasami i w pośpiechu opuścił pokój, żeby zdobyć żądane informacje.

– Śmieszny z niego człowiek! – powiedział Escherich do partyjnego bonzy, który nagle zainteresował się papierami na biurku. – Posyła Gestapo do diabła. Chciałbym wiedzieć, jak długo siedzielibyście sobie tutaj bezpiecznie, gdyby nie my. W końcu całe państwo to my, Gestapo. Bez nas wszystko by się zawaliło – i to was wzięłyby diabeł!

ROZDZIAŁ 26.

Pani Hete podejmuje decyzję

Komisarz Escherich, podobnie jak jego dwaj szpiedzy z Alexa, byłiby chyba bardzo zdziwieni, gdyby się dowiedzieli, że mały Enno Kluge wcale nie miał pojęcia o tym, że jest śledzony. Od momentu, w którym asystent Schröder w końcu wypuścił go na wolność, myślał tylko o jednym: zwiać stąd i iść prosto do Hete!

Biegł ulicami i nikogo nie widział, nie zwracał uwagi na to, kto idzie obok niego czy za nim. Nie podnosił nawet wzroku, myślał tylko: Byle do Hete!

Pochłonął go szyb metra. Wsiadł do wagonu i tym razem umknął komisarzowi Escherichowi, panom z Alexa i całemu Gestapo.

Enno Kluge postanowił, że najpierw pojedzie do Lotte, żeby zabrać swoje rzeczy. Chciał pojawić się u Hete od razu z walizką, wtedy się przekona, czy ona naprawdę go kocha, a on udowodni jej jednocześnie, że chce skończyć ze swoim dawnym życiem.

I stało się tak, że w tłoku i słabym oświetleniu metra śledzący stracili go z oczu. Ten chuderlawy Enno wyglądał przecież niczym cień! Gdyby od razu poszedł do Hete – a z Alexa mógł spokojnie dojść do Königstor na piechotę, nie musiał wsiadać do metra – nie zgubiliby go i zyskaliby doskonały punkt do dalszych obserwacji w postaci sklepiku zoologicznego.

Z Lotte miał szczęście. Nie było jej w domu, więc szybko zapakował swoje rzeczy do podręcznej walizki. Oparł się nawet pokusie przeszukania jej rzeczy, czy nie znalazłoby się tam coś przydatnego do zabrania – nie,

tym razem ma być inaczej. Nigdy więcej nie będzie już tak jak wtedy, gdy wprowadził się do wąskiego pokoju w hoteliku, nie, od tej pory naprawdę chciał prowadzić inne życie – jeśli tylko Hete go przyjmie.

Im bliżej był sklepu, tym wolniej szedł. Coraz częściej stawiał walizkę na ziemi, choć aż tak ciężka wcale nie była. Coraz częściej ocierał sobie pot z czoła, choć aż tak gorąco też wcale nie było.

A potem stanął w końcu przed drzwiami sklepu i zajrzał przez lśniące pręty klatek dla ptaków do środka. Tak, Hete była w pracy. Właśnie obsługiwała klientów. Było ich w sklepie czterech czy pięciu. Stanął na końcu kolejki i z dumą i drżącym sercem obserwował, jak zręcznie załatwia klientów, jak uprzejmie z nimi rozmawia.

– Nie ma już indyjskiego prosa, szanowna pani. Powinna to pani wiedzieć, skoro Indie należą do imperium brytyjskiego. Ale mam jeszcze bułgarskie proso, prawdę mówiąc, jest o wiele lepsze.

I w trakcie obsługiwania klientki rzuciła: – Ach, panie Enno, jak miło, że chce mi pan pomóc. Walizkę niech pan postawi w pokoju. A potem proszę przynieść mi z piwnicy piasek dla ptaków. Żwirku dla kotów też potrzebuję. A potem mrówcze jaja...

Wykonując pilnie kolejne polecenia, Enno myślał sobie: Od razu mnie zobaczyła i od razu zauważyła, że mam ze sobą walizkę. To, że mogłem ją zostawić w pokoju, to dobry znak. Ale na pewno najpierw mnie wypyta, jest przecież taka drobiazgowa pod każdym względem. Będę musiał opowiedzieć jej jakąś historyjkę.

I ten około pięćdziesięcioletni mężczyzna, ten podstarzały hultaj, próżniak i lowelas zaczął się modlić niczym uczeń: Ach, dobry Boże, pozwól, żeby i tym razem sprzyjało mi szczęście, ten jeden, ostatni raz! Naprawdę chcę rozpocząć teraz inne życie, tylko spraw, żeby Hete mnie przyjęła!

I tak się modlił i błagał. A jednocześnie pragnął, żeby jeszcze

długo nie zamykali sklepu, żeby jeszcze długo nie musiała nastąpić ta wyczerpująca rozmowa i to jego wyznanie, bo coś Hete wyznać musiał, to było oczywiste. Jak inaczej miał jej wytłumaczyć, dlaczego pojawił się u niej z całym dobytkiem, i do tego z tak skromnym dobytkiem! Przecież zawsze udawał przed nią ważnego człowieka.

A potem nagle nadszedł ten moment. Drzwi sklepu już dawno zamknięto, półtorej godziny trzeba było na zaopatrzenie wszystkich jego mieszkańców w świeżą wodę i pokarm oraz posprzątanie. A teraz siedzieli oboje naprzeciwko siebie przy okrągłym stolczku, zjedli, pogawędzili, wciąż lękliwie pomijając najważniejszy temat, aż nagle ta nalana, przekwitła kobieta uniosła głowę i zapytała: – No, Jasieczku? O co chodzi? Co ci się przydarzyło?

Gdy tylko wypowiedziała te słowa zatroskanym po matczynemu tonem, Ennowi łzy zaczęły płynąć z oczu; zrazu powoli, a potem coraz obficiej spływały po jego wychudłej, pozbawionej kolorów twarzy, a jego nos wydawał się coraz ostrzejszy.

Jęknął: – Ach, Hete, ja już nie mogę! Jest bardzo źle! Gestapo mnie przesłuchiwało...

I głośno szlochając, wtulił głowę w jej obfity, matczyiny biust.

Po tych słowach Hete Häberle uniosła głowę, w jej oczach mignął ostry błysk, szyja napięła się, a ona zapytała pośpiesznie: – Czego oni od ciebie chcieli?

Mały Enno Kluge – z instynktowną pewnością – trafił swoimi słowami najlepiej, jak tylko mógł. Żadna inna historia, z którą zwróciliby się o jej współczucie czy miłość, nie zadziałałaby tak dobrze, jak to jedno słowo: „Gestapo”. Gdyż wdowa Hete Häberle nie znosiła nieładu i nigdy nie dopuściłaby do swego domu, do swych matczynych ramion jakiegoś obrzydliwego powsinogi i obiboka. Lecz to jedno słowo otwierało szeroko drzwi do jej matczynego serca, ktoś prześladowany przez Gestapo mógł

być z góry pewien jej współczucia i pomocy.

Albowiem jej pierwszego męża, komunistycznego funkcjonariusza niskiego szczebla, Gestapo zabrało do kacetu już w roku 1934, a ona nigdy potem go nie zobaczyła. Dostała tylko paczkę zawierającą kilka sztuk podartej i brudnej odzieży. Na wierzchu leżał akt zgonu wystawiony przez II Urząd Stanu Cywilnego w Oranienburgu, przyczyna zgonu: zapalenie płuc. Lecz później od innych więźniów, którzy zostali zwolnieni, dowiedziała się, co w Oranienburgu i położonym w pobliżu obozie koncentracyjnym Sachsenhausen rozumiano przez zapalenie płuc.

A teraz znów miała w ramionach mężczyźnę, mężczyźnę, wobec którego już wcześniej odczuwała sympatię ze względu na jego nieśmiałą, przymilną i spragnioną miłości naturę, i ten człowiek był znów prześladowany przez Gestapo.

– Spokojnie, Jasieczku! – rzekła pocieszającym tonem. – Opowiedz mi wszystko. Kogo dręczy Gestapo, ten może dostać ode mnie wszystko!

Te słowa spływały niczym balsam do jego uszu, z takiej okazji skorzystałby każdy, nawet nie mając takiego doświadczenia z kobietami jak Enno Kluge. To, co wy dobył z siebie pośród szlochów i łez, było dziwną mieszanką prawdy i kłamstw. Udało mu się nawet przemycić w opisie swoich najnowszych przygód złe traktowanie ze strony esesmana Persickego.

Lecz nawet jeśli jego opowieść mogła wydawać się nieco nieprawdopodobna, to nienawiść odczuwana przez Hete Häberle wobec Gestapo przesłoniła wszystko. Jej miłość już zaczęła otaczać wtulonego w jej pierś próżniaka promiennym blaskiem i powiedziała: – A więc podpisałeś protokół i w ten sposób zabezpieczyłeś prawdziwego sprawcę, Jasieczku. To było bardzo odważne z twojej strony, podziwiam cię. Na dziesięciu mężczyzn chyba tylko jeden by się na coś takiego odważył. Ale wiesz przecież, że jeśli cię złapią, to będzie niedobrze, bo przez ten

protokół mają cię już na zawsze w ręku, chyba to rozumiesz?

Odarł na w pół już pocieszony: – Och, jeśli tylko ty będziesz przy mnie, to nigdy mnie nie złapią!

Lecz ona w milczeniu i zamyśleniu potrząsnęła głową. – Nie rozumiem, dlaczego oni cię w ogóle wypuścili. – Nagle przyszło jej do głowy coś strasznego: – O Boże, a jeśli cię śledzili, jeśli chcieli wiedzieć, dokąd pójdziesz?

Pokręcił głową. – Nie sądzę, Hete. Najpierw byłem u... Najpierw byłem w innym miejscu, żeby zabrać swoje rzeczy. Zauważyłbym, gdyby ktoś za mną szedł. I po co zresztą? Przecież wtedy w ogóle by mnie nie wypuścili.

Lecz ona już to sobie przemyślała: – Oni uważają, że znasz autora kartek i że naprowadzisz ich na jego trop. I może rzeczywiście go znasz, i to faktycznie ty położyłeś tam tę kartkę. Ale ja wcale nie chcę tego wiedzieć, nic mi nie mów! – Pochyliła się nad nim i szepnęła: – Wyjdę teraz na pół godzinki, Jasieczku, poobserwuję dom, sprawdzę, czy gdzieś nie sterczy jakiś szpicel. Będziesz tu sobie spokojnie czekać, tak?

Powiedział jej, że to sprawdzanie jest zupełnie niepotrzebne, nikt za nim nie szedł, z całą pewnością.

Lecz w niej obudziło się straszliwe wspomnienie tego, jak już raz zabrali mężczyznę z jej domu i z jej życia. Niepokoiła się, musiała wstać i wyjść, żeby się rozejrzeć.

I gdy tak powoli obchodzi kamienicę – wzięła ze sklepu Blacky’ego na smyczy, przeuroczego teriera szkockiego, a dzięki niemu ten wieczorny obchód wygląda całkiem niewinnie – więc gdy tak spaceruje powoli tam i z powrotem dla jego bezpieczeństwa, pozornie zajęta wyłącznie psem, lecz uważnie wkoło obserwując i nasłuchując – w tym czasie Enno ostrożnie dokonuje pierwszej i pośpiesznej inwentaryzacji zawartości jej pokoju. To działanie pobieżne, a poza tym większość mebli jest pozamykana. Ale już

ten pierwszy przegląd zdradza mu, że jeszcze nigdy w całym swoim życiu nie miał takiej kobiety, kobiety z kontem w banku, a nawet z pocztowym kontem czekowym, bo jej imię wyraźnie wydrukowano na wszystkich blankietach!

I Enno Kluge znów postanawia sobie, że naprawdę rozpocznie nowe życie, że w tym mieszkaniu zawsze będzie się zachowywać poprawnie, nigdy nie weźmie sobie niczego, czego ona mu z dobrej woli nie podaruje.

Ona wraca i mówi: – Nie, nie zauważyłam niczego podejrzanego. Ale może jednak przyszli tutaj za tobą i wrócą jutro rano. Wyjdę z samego rana jeszcze raz, nastawię budzik na szóstą.

– Nie trzeba, Hete – powtarza Enno. – Na pewno nikt za mną nie szedł.

A potem szykuje mu posłanie na sofie, a sama kładzie się do łóżka. Drzwi między oboma pokojami zostawia jednak otwarte i nasłuchuje, jak on się wierci, stęka i jak niespokojnie śpi, kiedy już w końcu zasypia. A potem, gdy już sama właśnie zaczyna zapadać w sen, budzi się, słysząc, że on znów płacze. Znów płacze, czy to na jawie czy przez sen. Pani Hete wyraźnie widzi w ciemnościach przed sobą jego twarz, twarz, która mimo jego pięćdziesięciu lat wciąż ma w sobie coś dziecinnego – może przez cofnięty podbródek i te pełne, czerwone usta.

Przez chwilę słucha w milczeniu jego płaczu, który ciemna noc przyjmuje bez skargi, jakby sama żaliła się nad całą zgryzotą panującą teraz na świecie.

Wtedy pani Häberle podejmuje decyzję, wstaje i po ciemku wyszukuje drogę do sofy.

– Nie płacz już tak, Jasieczku! Przecież jesteś bezpieczny jesteś u mnie. Hete ci pomoże...

I tak go pociesza, ale płacz wcale przez to nie ustaje, pochyla się nad nim, wsuwa ramię pod jego plecy, prowadzi go płaczącego do swojego

łóżka, a tam obejmuje go i przytula do swojej piersi...

Podstarzała kobieta, starszawy mężczyzna spragniony miłości niczym dziecko, odrobina pociechy, odrobina namiętności, odrobina blasku chwały wokół głowy ukochanego – i pani Hete ani przez myśl nie przejdzie, żeby się zastanowić, czy ten pozbawiony charakteru, płaczliwy człowieczek nadaje się na wojownika i bohatera.

– Teraz już wszystko dobrze, prawda, Jasieczku?

Ależ nie, to pytanie sprawia, że dopiero co wygasły strumień łez zaczyna płynąć na nowo, a on aż drży w jej ramionach.

– Ale o co chodzi, Jasieczku? Masz jeszcze jakieś zmartwienia, o których mi nie powiedziałeś?

I to jest ten moment, do którego stary podrywacz dążył od wielu godzin, gdyż uznał, że to byłoby zbyt niebezpieczne i na dłuższą metę niemożliwe, gdyby zostawił ją w całkowitej niewiedzy na temat jego prawdziwego nazwiska oraz małżeństwa. Skoro tyle jej wyznał, to trudno, przyzna się jeszcze do tego, ona to jakoś przyjmie, nie przestanie go przez to kochać. Przecież akurat teraz, gdy dopiero co wzięła go w ramiona, nie wyrzuci go z powrotem na ulicę!

Zapytała Jasieczka, czy ma jakieś zmartwienia, o których jej nie powiedział. Więc wyznaje jej, zapłakany i zrozpaczony, że wcale nie nazywa się Jan Enno, tylko Enno Kluge, że jest żonaty i ma dwóch dorosłych synów. Tak, jest draniem, okłamał ją i chciał ją oszukać, lecz nie miałby serca tego uczynić po tym, jak okazała mu tyle dobroci.

Jak zawsze jego wyznanie jest tylko częściowym wyznaniem, odrobiną prawdy wymieszaną z mnóstwem kłamstw. Pokazuje zdjęcie swojej żony, tej surowej, złej nazistki z urzędu pocztowego, która wyrzuciła męża, bo nie chciał się zapisać do partii. Tej kobiety, która jego najstarszego syna zmusiła do wstąpienia do SS – i tu opowiada o okropnych czynach Karlemanna. Przedstawia obraz tego złego, pełnego

przeciwieństw małżeństwa, cichy, cierpliwy, wszystko znoszący mąż i zła, ambitna, nazistowska żona. Nie mogą żyć razem, przecież muszą się nienawidzić. I w końcu wypędziła go z mieszkania! Więc okłamał swoją Hete, z tchórzostwa, bo za bardzo ją kocha, bo nie chciał sprawić jej bólu!

Teraz powiedział już wszystko. Nie, teraz już nie płacze. Wstanie, spakuje swoje rzeczy i odejdzie od niej – na ten zły świat, tam na zewnątrz. Ukryje się jakoś przed Gestapo, a jeśli mimo wszystko go złapią, to też nie szkodzi. Teraz, gdy utracił miłość Hete, jedynej kobiety, którą w swoim życiu naprawdę kochał!

Tak, z tego starego Enna Klugego to naprawdę podstępny uwodziciel. On wie, jak należy postępować z kobietami. Miłość i kłamstwa zawsze idą w parze. Tylko musi w nich być odrobina prawdy, ona musi choć trochę uwierzyć w to wszystko, co on opowiada, a przede wszystkim zawsze trzeba mieć na podorędziu łzy i własną bezradność...

Pani Hete tym razem słuchała jego wyznania z prawdziwym przerażeniem. Dlaczego ją tak okłamał? Gdy się poznali, nie miał przecież żadnego powodu, żeby ją tak okłamywać! Czy on już wtedy miał wobec niej jakieś zamiary? W takim razie mogły to być tylko najgorsze zamiary, skoro doprowadziły do takich kłamstw.

Instykt podpowiadał jej, że powinna go odesłać, że człowiek, który jest zdolny od samego początku tak bezwzględnie oszukiwać kobietę, już zawsze będzie gotów ją okłamywać. A ona nie może żyć z kłamcą. Z pierwszym mężem prowadziła uczciwe życie, a te parę drobnych przygód po jego śmierci to coś, co może jedynie wywołać uśmiech na twarzy doświadczonej kobiety.

Nie, kazałaby mu odejść, i to prosto ze swych objęć – gdyby tylko nie wpędziła go wtedy prosto w ręce wroga, znenawidzonego Gestapo. Bo jest mocno przekonana, że to właśnie uczyni, jeśli teraz każe mu odejść. To całe prześladowanie przez Gestapo traktuje zupełnie poważnie od

momentu jego wieczornej opowieści. Nawet nie przychodzi jej na myśl, żeby wątpić w jej prawdziwość, choć właśnie dowiedziała się, jaki z niego kłamca.

I do tego jeszcze tamta kobieta... To niemożliwe, żeby wszystko, co o niej powiedział, było nieprawdą. Czegoś takiego nikt nie potrafiłby wymyślić, musi w tym tkwić ziarno prawdy. Wydaje jej się, że zna mężczyznę u swego boku. To słaba istota, dziecko, w głębi ducha dobrotliwy. Wystarczy kilka miłych słów, żeby nim pokierować. Lecz tamta kobieta, surowa, ambitna, ta nazistka, która chce awansować dzięki partii, dla niej taki mąż był oczywiście nikim, mąż, który nienawidził partii, być może potajemnie działał przeciwko niej, mąż, który wzbraniał się wstąpić do partii!

Czy ona mogła wypędzić go z powrotem do takiej kobiety? Wpędzić prosto w ramiona Gestapo?

Nie mogła. I nie wolno też jej było tego zrobić.

Zapala światło. On stoi przy łóżku w o wiele za krótkiej niebieskiej koszulce, ciche łzy spływają po jego bladej twarzy. Pochyla się nad nią i szepcze: – Żegnaj, Hete! Byłaś dla mnie bardzo dobra, lecz ja na to nie zasłużyłem, jestem złym człowiekiem. Żegnaj! Już wychodzę...

Zatrzymuje go. Szepcze: – Nie, zostajesz u mnie. Obiecałam ci to, a ja dotrzymuję obietnic. Nie, nic nie mów. Idź teraz, proszę, na kanapę i spróbuj się trochę przespać. Zastanowię się, jak to najlepiej urządzić.

On powoli i ze smutkiem kręci głową. – Hete, jesteś dla mnie zbyt dobra. Zrobię wszystko, co powiesz, ale naprawdę, Hete, lepiej będzie, jak pozwolisz mi odejść.

Ale oczywiście nie odchodzi. Oczywiście daje się jej przekonać, żeby został. Ona wszystko przemyśli, wszystko jakoś poukłada. A on oczywiście sprawia, że wygnanie na sofę zostaje odwołane i wolno mu znowu spać w jej łóżku. Szczelnie otulony jej matczynym ciepłem szybko

zasypia, tym razem już bez żadnych szlochów.

Ona jednak długo leży, nie śpiąc. Właściwie nie śpi całą noc. Wsłuchuje się w jego oddech, pięknie jest znowu słyszeć przy sobie oddech mężczyzny, mieć go w łóżku tak blisko siebie. Tak długo była bardzo samotna. A teraz znów ma kogoś, o kogo może się troszczyć. Jej życie nie jest już pozbawione wszelkiej treści. O tak, on z pewnością przysporzy jej więcej trosk niż potrzeba. Ale takie troski, troski o człowieka, którego się kocha, to są dobre troski.

Pani Hete postanawia, że będzie silna za dwoje. Pani Hete postanawia, że ochroni go przed wszelkimi niebezpieczeństwami grozącymi ze strony Gestapo. Pani Hete postanawia, że go wychowa, że uczyni z niego prawdziwego człowieka. Pani Hete postanawia, że Jasieczka... Ach, nie, on ma przecież na imię Enno. Pani Hete postanawia uwolnić Enna od tamtej kobiety, tej nazistki. Pani Hete postanawia, że zaprowadzi w tym życiu, które leży teraz obok niej, czystość i porządek.

I pani Hete nie ma pojęcia, że ten słaby człowiek u jej boku okaże się wystarczająco silny, żeby wprowadzić do jej życia nieporządek, cierpienie, wyrzuty sumienia, łzy i niebezpieczeństwo. Pani Hete nie ma pojęcia, że cała jej siła legła w gruzach w momencie, w którym postanowiła zatrzymać przy sobie Enna Klugego i bronić go przed całym światem. Pani Hete nie ma pojęcia, że sama sprowadziła największe zagrożenie na malutkie królestwo, które sobie stworzyła.

ROZDZIAŁ 27.

Trwoga i lęk

Od tamtej nocy minęły dwa tygodnie. Pani Hete i Enno Kluge lepiej się poznali, żyjąc tak blisko siebie. Przecież z obawy przed Gestapo Ennowi nie wolno było wychodzić z domu. Żyli jak na jakiejś wyspie, tylko oni dwoje. Nie mogli schodzić sobie z drogi, nie mogli spotykać się z innymi ludźmi. Byli zdani tylko sami na siebie.

Przez pierwsze dni nie pozwalała Ennowi nawet pomagać w sklepie, przez te pierwsze dni nie była jeszcze pewna, czy wokół domu nie kręci się jakiś agent Gestapo. Powiedziała mu, że musi siedzieć cicho w pokoju. Nikt nie powinien go widzieć. Była trochę zaskoczona, z jakim spokojem przyjął tę decyzję. Dla niej byłoby to straszne, gdyby została skazana na takie beczynne siedzenie w ciasnym pokoju. Ale on powiedział tylko: – No dobrze, w takim razie będę odpoczywać!

– I co będziesz robić, Enno? – zapytała. – Dzień jest długi, ja nie będę się mogła tobą zajmować, a rozmyślanie nic nie daje.

– Robić? – zapytał zdumiony. – Jak to, robić? Ach, masz na myśli pracę? – Już miał powiedzieć, że jego zdaniem już się dosyć napracował, ale wciąż zachowywał wobec niej ostrożność, więc zamiast tego powiedział: – Oczywiście, że chętnie popracuję. Ale co mogę robić tu, w pokoju? No, gdyby stała tu tokarka! – I roześmiał się.

– Ale ja ma pomysł na pracę dla ciebie! Spójrz tutaj, Enno!

Wniosła wielkie tekturowe pudło pełne rozmaitych ziaren. A potem postawiła przed nim deseczkę, typową deszczułkę z obramowaniem, jaką kładzie się na ladzie, żeby klienci kładli na niej odliczone pieniądze.

Wzięła do ręki obsadkę z zatkniętą na wspak stalówką. Używając jej jako łopatki, zaczęła sortować garść ziaren, które wysypała na deseczkę, na rozmaite rodzaje. Obsadka migąła szybko i zręcznie, rozdzielając, przesuając w kąt i znowu rozdzielając ziarna, a Hete wyjaśniła: – To wszystko resztki karmy wymiecione z kątów, z rozerwanych torebek, wszystko to zbieram już od lat. A teraz, gdy tak bardzo brakuje karmy, akurat się przyda. Sortuję te ziarna...

– Ale po co je sortujesz? Przecież to syzyfowa praca! Daj to po prostu ptakom do zjedzenia, one sobie same posortują!

– I zmarnują przy okazji trzy czwarte karmy! Albo zjedzą karmę, której im nie wolno, i padną! Nie, tę małą robótkę trzeba wykonać. Zwykle robiłam to wieczorami i w niedziele, zawsze jak tylko miałam chwilę czasu. Pewnej niedzieli przebrałam prawie pięć funtów, i to nie zalegając z pracami domowymi! No to zobaczymy, czy pobijesz mój rekord. Masz przecież teraz dużo czasu, a przy tej pracy dobrze się myśli. Na pewno masz wiele do przemyślenia. No, spróbuj, Enno!

Wsunęła mu do ręki małą łopatkę i patrzyła, jak bierze się do pracy.

– Całkiem niezłe ci idzie! – pochwaliła go. – Masz zręczne dłonie!

A chwilę później: – Ale musisz uważać, Jasieczku... To znaczy Enno. Muszę się do tego przyzwyczaić! Popatrz, to spiczaste lśniące ziarno to proso, a to okrągłe, tępo zakończone i ciemne to rzepak. Nie możesz ich ze sobą mieszać. Ziarna słonecznika najlepiej wybrać najpierw palcami, idzie szybciej niż za pomocą stalówki. Poczekaj, przyniosę ci jeszcze miseczki, do których będziesz odkładał przebrane ziarna!

Była podekscytowana tym, że znalazła mu zajęcie na długie, nudne dni. A potem dzwonek w sklepie zadzwonił po raz pierwszy i od tego momentu to już tylko klient za klientem, mogła zaglądać do niego tylko na chwilę. I wtedy znajdowała go marzącego na jawie nad deseczką z ziarnami. Ale jeszcze gorzej było, gdy wystraszony dźwiękiem

otwieranych drzwi pośpiesznie przekradał się do swojego miejsca pracy, niczym dzieciak przyłapany na nieróbstwie.

Wkrótce wiedziała już, że nie pobije jej rekordu pięciu funtów, że nie dojdzie nawet do dwóch funtów. I jeszcze sama będzie musiała wszystko przejrzeć, bo pracował bardzo niedbale.

Była trochę rozczarowana, ale przyznała mu rację, gdy powiedział: – Nie jesteś tak całkiem zadowolona, Hete, co? – Roześmiał się zakłopotany. – Ale wiesz, to nie jest odpowiednia robota dla mężczyzny. Daj mi prawdziwą pracę dla mężczyzny, a zobaczysz, jak się rozkręcę!

Miał naturalnie rację i następnego dnia nie postawiła już przed nim deseczek z ziarnami. – Jakoś musisz spędzić tu cały dzień, biedaku! – powiedziała pocieszającym tonem. – To musi być dla ciebie okropne. Może troszkę sobie poczytasz? Mam tam w szafie jeszcze sporo książek po mężu. Poczekaj, zaraz ci otworzę.

Stał tuż za nią, gdy przeglądała rzędy książek. – Był funkcjonariuszem KPD. O, proszę, Lenina^[47] uratowałam podczas rewizji. Włożyłam go do pieca, a gdy ten człowiek z SA chciał otworzyć drzwiczki, szybko podałam mu papierosa, a potem już zapomniał. – Spojrzała mu w twarz. – Ale to chyba nie są książki dla ciebie, co, kochany? Muszę przyznać, że od śmierci męża nawet tu nie zaglądałam. Może to błąd, może jednak każdy powinien zajmować się polityką. Gdybyśmy wszyscy zrobili to na czas, nie doszłoby do tego, do czego doszło teraz przez nazistów, Walter zawsze to powtarzał. Ale ja przecież jestem tylko kobietą...

Przerwała, gdy zauważyła, że on już jej wcale nie słucha.

– A tam niżej stoi parę moich powieści.

[47] Władimir Iljicz Lenin (właśc. Uljanow, 1870-1924) – rosyjski polityk, przywódca rewolucji październikowej, założyciel Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego oraz Międzynarodówki Komunistycznej, teoretyk komunizmu.

– Najchętniej przeczytałbym jakiś prawdziwy kryminał, coś o przestępcach i morderstwie – wyznał Enno.

– Chyba nic takiego tam nie mam. Ale tutaj mam piękną książkę, czytałam ją już wiele razy. Raabe, *Kronika Wróblego Zaułka*^[48]. Spróbuj, spodoba ci się...

Lecz gdy wróciła do pokoju, zobaczyła, że wcale nie czytał. Książka leżała otwarta na stole, a potem została odłożona. – Nie podoba ci się?

– Ach, wiesz, że sam nie wiem... To wszystko tacy strasznie dobrzy ludzie, to przecież bardzo nudne. To taka bardzo nabożna książka. To nie jest powieść dla mężczyzny. Wolimy coś bardziej ekscytującego, rozumiesz...

– Szkoda – odparła. – Szkoda. – I odstawiła książkę z powrotem do szafy.

Irytowało ją, że gdy wraca do pokoju, widzi go, jak tylko tak siedzi, zawsze w tej samej rozlazłej pozycji, i przysypia. Albo wręcz śpi z głową na stole. Albo stoi przy oknie, patrząc na podwórze i wciąż gwizdże tę samą melodyjkę. Bardzo ją to irytowało. Zawsze była kobietą czynu, wciąż była aktywna, życie bez pracy wydawałoby jej się pozbawione sensu. Najbardziej lubiła, gdy sklep był pełen klientów, a ona najchętniej by się roztroiła.

A ten człowiek tylko stał, stał, siedział, kuczał, leżał dziesięć godzin, dwanaście godzin, czternaście godzin i nie robił nic, zupełnie nic! Marnował cały boży dzień! Czego mu było trzeba? Spał wystarczająco długo, jadł z apetytem, na niczym mu nie zbywało, a mimo to nie pracował! Raz zabrakło jej cierpliwości i powiedziała wzburzona: – Może przestałbyś w kółko gwizdać tę samą melodię, Enno! Od sześciu czy ośmiu godzin gwizdziesz tę samą kołysankę...

[48] Wilhelm Raabe, pseud. Jacob Corvinus (1831-1910) – pisarz, przedstawiciel realizmu, zwany niemieckim Dickensem.

Roześmiał się zakłopotany. – Przeszkadza ci moje gwizdanie? Mogę zagwizdać coś innego. Zagwizdać ci pieśń Horsta Wessela? – I zaczął: „Chorągiew wznies! Szeregi mocno zwarte. SA to marsz: spokojny, równy krok...”^[49].

Bez słowa wyszła do sklepu. Tym razem nie tylko ją zirytował, tym razem poważnie ją zranił.

Ale jej minęło. Nie była pamiętliwa, a poza tym on też zauważył, że zrobił coś nie tak, i w ramach niespodzianki zrobił jej nową lampkę nad łóżko. Tak, to też potrafił. Gdy chciał, potrafił być bardzo zręczny, ale zwykle nie chciał.

Poza tym okres zamknięcia w pokoju minął dość szybko. Pani Hete szybko się przekonała, że faktycznie wokół ich domu nie kręci się żaden szpicel i Enno znowu mógł pomagać w sklepie. Na razie co prawda nie mógł wychodzić na ulicę, bo zawsze mógł go zauważyć ktoś znajomy. Ale pomagać w sklepie mógł i w tym okazał się całkiem zręczny i przydatny. Zorientowała się szybko, że wykonywana przez dłuższy czas jednostajna praca prędko go nuży, więc zasypywała go urozmaiconymi poleceniami.

Wkrótce pozwalała mu też pomagać w obsłudze klientów. Sprawnie załatwiał kupujących, był grzeczny, celnie dobierał słowa, czasem okazywał się nawet dowcipny na swój ospały sposób.

– Z tym panem to miała pani szczęśliwą rękę, pani Häberle – mówili wszyscy klienci. – To pewnie jakiś pani krewny?

– Tak, to mój kuzyn – kłamała pani Hete, szczęśliwa z komplementu pod adresem Enna.

Pewnego razu powiedziała do niego: – Enno, chciałam dziś pojechać do Dahlem. Wiesz, Löbe zamyka tam swój sklep zoologiczny, bo idzie do Wehrmachtu. Może odkupię jego zapasy. Ma tego sporo, a to byłaby dla

[49] Pieśń Horsta Wessela (Horst-Wessel-Lied) – hymn niemieckich nazistów, w tłumaczeniu Andrzeja Lama.

nas gratka, bo przecież towaru coraz mniej. Jak myślisz, dałbyś sobie radę sam ze sklepem?

– Ależ oczywiście, Hete, oczywiście! Chętnie się tym zajmę. Jak długo cię nie będzie?

– Cóż, wyjechałabym zaraz po obiedzie, ale nie sądzę, żebym wróciła przed zamknięciem sklepu. Chciałam potem od razu zajrzeć do mojej krawcowej...

– To zrób tak, Hete. Jeśli o mnie chodzi, masz urlop do północy. O sklep nic się nie martw, sprawię się pierwsza klasa.

Odprowadził ją jeszcze do metra. Trwała przerwa obiadowa, sklep był zamknięty.

Uśmiechała się sama do siebie, gdy wagon już ruszył. Życie we dwoje to było jednak zupełnie inne życie! Pięknie było tak sobie razem pracować. Dopiero wtedy wieczorem można było poczuć prawdziwe zadowolenie. A on starał się, zdecydowanie starał się ją zadowolić. Robił, co mógł. Z pewnością nie był ani człowiekiem energicznym, ani robotnym, musiała to przyznać. Gdy było za dużo bieżączki, chętnie wycofywał się do pokoju, choćby sklep był pełen klientów, zostawiał wszystko na jej głowie. Albo po długim i daremnym wołaniu znajdowała go w piwnicy, siedział na brzegu skrzyni z piaskiem i drzemał. Do połowy napełnione piaskiem wiaderko stało tuż przed nim, a ona czekała na nie od dziesięciu minut!

Wzdrygał się, gdy nieco ostrym tonem wołała: – Enno, gdzie ty jesteś? Nigdy się chyba ciebie nie doczekam!

Zrywał się niczym przerażony uczeń. – Zdrzemnąłem się troszkę – mamrotał zakłopotany i zaczynał powoli nasypywać piasek. – Już idę, szefowo, to się już więcej nie powtórzy.

Takimi drobnymi żarcikami próbował ją potem ułagodzić.

Nie, ten Enno zdecydowanie nie był zbyt bystry, to było już dla niej oczywiste, ale starał się, jak mógł. Był przyjemny w obejściu, grzeczny,

miły, potrafił się dostosować i nie miał widocznych przywar. A że palił trochę za dużo papierosów, to mogła mu wybaczyć. Sama chętnie paliła od czasu do czasu, gdy czuła zmęczenie...

Lecz tego dnia pani Hete nie miała szczęścia do sprawunków. Sklep Löbego w Dahlem był zamknięty, gdy tam dotarła, i nie potrafili jej powiedzieć, kiedy pan Löbe wróci. Nie, jeszcze go nie powołali, ale miał dużo do załatwienia przez to swoje powołanie. Przed południem sklep jest zwykle otwarty od dziesiątej – może spróbuje jutro przed południem?

Podziękowała i pojechała do krawcowej. Przed jej kamienicą stała jednak przerażona. W nocy spadła na nią bomba lotnicza i z budynku zostały tylko ruiny. Ludzie przechodzili obok pośpiesznie, niektórzy celowo odwracali twarze, żeby nie patrzeć na okropne zniszczenie albo obawiając się, że nie będą w stanie ukryć swego rozgoryczenia, inni szli bardzo wolno (policja pilnowała, żeby nikt się nie zatrzymywał), przyglądając się zniszczeniom albo z beztrosko uśmiechniętymi i zaciekawionymi twarzami, albo z ponurym, niemal groźnym spojrzeniem.

Tak, Berlin często był teraz zapędzany do piwnic, a bomby i wzbudzające przerażenie kanistry z fosforem^[50] spadały coraz częściej. Coraz częściej cytowano też słowa Göringa, który twierdził, że prędzej będzie się nazywać Meier, niż pozwoli wrogiemu samolotowi pojawić się nad Berlinem. Poprzedniej nocy pani Hete też siedziała w piwnicy, sama, bo nie chciała, żeby już teraz widziano Enna jako jej oficjalnego przyjaciela i współlokatora. Słyszała nad sobą warkot samolotów, rujnujący nerwy dźwięk, podobny do brzęczenia natrętnego komara. Odgłosów wybuchów nie słyszała, jej okolica nie została jeszcze zniszczona. Ludzie opowiadali przecież, że Anglicy nie chcą skrzywdzić robotników, chcą tylko załatwić wytworne familie w zachodniej dzielnicy...

Krawcowa nie była bogata, a jednak trafili w jej dom. Pani Hete

[50] Bomby zapalające wypełnione płynną mieszaniną benzyny i fosforu.

Häberle próbowała dowiedzieć się od członka straży przeciwlotniczej, gdzie może przebywać krawcowa, czy coś jej się nie stało. Członek straży żałował, ale nie potrafił jej udzielić żadnej informacji. Może powinna pójść na komisariat albo zapytać w następnej placówce ochrony przeciwlotniczej?

Ale pani Hete nie miała już do tego głowy. Choć żal jej było krawcowej i choć chętnie dowiedziałyby się, czy jej się coś nie stało, ciągnęło ją do domu. Zawsze gdy człowiek widzi coś takiego, ciągnie go do domu. Musi się natychmiast przekonać, że tam wszystko w porządku. To naiwne, wiadomo, ale człowiek i tak pędzi. Musi na własne oczy sprawdzić, czy tam nic się nie stało.

Lecz niestety, w małym sklepie zoologicznym przy Königstor coś się jednak stało. Nic tragicznego, co to, to nie, lecz pani Häberle i tak przeżyła głęboki wstrząs, najgłębszy od wielu lat. Pani Häberle zastała rolety w sklepie opuszczone, a do nich przyczepiona była karteczka, karteczka z durnym napisem, który zawsze ją oburzał: – Zaraz wracam. – I pod spodem: – Hedwig Häberle.

To, że pod tą karteczką widniało na dodatek jej nazwisko, że swoim dobrym imieniem firmowała to niedbalstwo i lekceważenie obowiązków, uraziło ją niemal tak samo głęboko, jak nadużycie zaufania, którego dopuścił się Enno. Wymknął się za jej plecami i za jej plecami otworzyłyby sklep z powrotem, i nie powiedziałyby jej ani słowa o tym, że ją okłamał. I jakie to było głupie, bezdennie głupie, bo przecież było niemal pewne, że któraś ze stałych klientek zapyta ją: – Wczoraj po południu miała pani zamknięte. Wyjeżdżała pani gdzieś, pani Häberle?

Wchodzi do mieszkania od strony kamienicy. A potem podnosi roletę na drzwiach sklepu i otwiera drzwi. Czeka, aż przyjdzie pierwszy klient, nie, właściwie teraz wcale nie chce, żeby przyszedł. Taka zdrada za jej plecami – w ciągu całego jej małżeństwa z Walterem nigdy nic takiego się

nie zdarzyło. Zawsze mieli do siebie pełne zaufanie i żadne z nich nigdy by tego zaufania nie zawiodło. A tu coś takiego! Przecież nie dała mu ku temu najmniejszego pretekstu!

Nadchodzi pierwsza klientka, zostaje obsłużona. Lecz gdy Hete chce jej wydać resztę z dwudziestomarkowego banknotu i wyciąga szufladę kasy, okazuje się, że jest ona pusta. Kiedy wychodziła, w kasie było mnóstwo drobnych do wydawania, w sumie ze sto marek. A teraz kasa jest pusta. Opanowuje się, przynosi pieniądze ze swojej torebki, wydaje i gotowe! Rozlega się dzwonek przy drzwiach.

Tak, teraz najchętniej zamknęłyby sklep i została całkiem sama. Przypomina sobie – cały czas obsługując klientów – że w ostatnich dniach już kilka razy wydawało jej się, że kasa nie do końca się zgadza, że dzienny utarg powinien być większy. Wtedy gniewnie przeganiała z głowy takie myśli. Cóż niby Enno zrobiłby z tymi pieniędzmi? Przecież w ogóle nie wychodził z domu, cały czas miała go na oku!

Ale teraz myśli o tym, że toaleta znajduje się na półpiętrze i że on wypala o wiele więcej papierosów, niż mógł przynieść w tej swojej walizeczce. Na pewno znalazł w kamienicy kogoś, kto przynosi mu papierosy z czarnego rynku, bez kartek, za jej plecami! Jakie to podłe i okropne! Z największą przyjemnością zaopatrzyłaby go w papierosy, gdyby tylko o to poprosił!

W ciągu tej półtorej godziny do powrotu Enna pani Häberle stacza ze sobą ciężką walkę. Przez ostatnie dni przyzwyczała się do tego, że w jej domu znowu jest mężczyzna, że nie jest już sama, tylko ma się o kogo troszczyć, że ma przy sobie kogoś, kogo lubi. Ale skoro on jest taki, jakim się teraz okazał, to ona musi wyrwać sobie tę miłość z serca! Lepiej być samą, niż żyć w nieustannej podejrzliwości i w takim okropnym lęku! Nie mogłaby już nawet pójść za róg do straganu z warzywami, żeby nie bać się, że on znów ją oszuka!

A potem Hete przypomina sobie, że już wcześniej zauważyła, że w komodzie z bielizną nie wszystko leży tak, jak trzeba. Nie, musi tak być, musi go odesłać jeszcze dziś, choćby przyszło jej to z wielkim trudem. Później byłoby jej jeszcze trudniej.

Lecz potem zaczyna myśleć o tym, że jest starzejącą się kobietą, że być może to jej ostatnia szansa, żeby uniknąć samotnego schyłku życia. Po doświadczeniu z Ennem Klugem na pewno nie zdecyduje się spróbować od nowa z jakimś innym mężczyzną. Po tym przerażającym, druzgocącym doświadczeniu z Ennem!

– Tak, mamy już larwy mączników. Ile ma być, szanowna pani?

Pół godziny przed zamknięciem sklepu wraca Enno. O stanie jej uczuć świadczy to, że dopiero teraz pomyślała o tym, że on w ogóle nie powinien pokazywać się na ulicy, biorąc pod uwagę zagrożenie ze strony Gestapo! Do tej pory wcale o tym nie myślała, tak bardzo była zajęta zdradą, którą popełnił. Lecz na cóż wszystkie środki ostrożności, jeśli on po prostu wychodzi sobie, gdy jej nie ma? A może to wszystko o Gestapo to tylko kłamstwo i oszustwo? Z tym człowiekiem wszystko jest możliwe!

On oczywiście już po podniesionych żaluzjach domyślił się, że jest w sklepie. Wchodzi z ulicy, ostrożnie i uważnie przeciska się pomiędzy klientami, uśmiecha się do niej, jakby nic się nie wydarzyło, i mówi, znikając w pokoju: – Zaraz wrócę i pomogę, szefowo!

I rzeczywiście wraca bardzo szybko, a ona, zmuszona do zachowania pozorów przed klientami, musi z nim rozmawiać, wydawać mu polecenia, zachowywać się tak, jakby nic się nie stało – a przecież jej świat się zawalił! Ale nie daje tego po sobie poznać, odpowiada nawet na jego kiepskie żarciki, którymi tego dnia wręcz szafuje, i tylko gdy chce podejść do kasy, mówi ostro: – Bardzo proszę, sama zajmę się kasą!

Wzdryga się lekko i zerka na nią nieśmiało z boku – niczym zбитy pies, tak, dokładnie jak zбитy pies, myśli ona. A potem jego ręka trafia do

kieszoni, na twarzy pojawia się uśmiech, tak jest, przeboleje i ten cios.

– Na rozkaz, szefowo! – odkrzykuje i trzaska obcasami.

Klienci śmieją się z tego małego komicznego człowieczka, który udaje żołnierza, ale jej wcale nie jest do śmiechu.

A potem sklep zostaje zamknięty. Przez pięć kwadransów pracują jeszcze razem, zajęci karmą, wodą i sprzątaniami, niemal w całkowitym milczeniu, bo ona nie reaguje na jego nieustanne żarty.

Pani Hete stoi w kuchni, przygotowuje kolację. Na patelni smaży ziemniaki, prawdziwe, piękne ziemniaki przysmażane z boczkiem. Boczek dostała od jednej z klientek w zamian za kanarka harceńskiego. Cieszyła się, że będzie mogła zaskoczyć go taką wspaniałą kolacją, bo on lubi dobrze zjeść. Ziemniaki są już złotożółte.

Lecz nagle gasi płomień pod patelnią. Nagle nie może już dłużej czekać na tę rozmowę. Idzie do pokoju, ciemna i masywna opiera się plecami o piec i pyta groźnym tonem: – No?

On siedzi przy stole, swoim zwyczajem bawiąc się nakryciami, które przygotował dla nich obojga do kolacji.

Na to groźnie „No?” wzdryga się, wstaje i spogląda na ciemną postać naprzeciwko.

– Tak, Hete? – mówi. – Kiedy kolacja? Umieram z głodu.

Z wściekłości ma ochotę go uderzyć, tego człowieka, który myśli, że ona mogłaby przemilczeć taką zdradę! Już czuje się pewnie siebie to panisko, bo przespał się z nią w jednym łóżku! Ogarniają niespotykany gniew, najchętniej potrząsałaby nim i biła go raz po raz.

Lecz opanowuje się i powtarza to swoje „No?”, tyle że jeszcze groźniejszym tonem.

– Ach tak, Hete! – mówi on. – Chodzi ci o te pieniądze? – Sięga do kieszeni i wyciąga plik banknotów. – Proszę, Hete, tu jest dwieście dziesięć marek, a z kasy wzięłem dziewięćdziesiąt dwie. – Śmieje się

niewo zakłopotany. – Chciałbym się dołożyć do wydatków!

– A skąd masz tyle pieniędzy?

– Dziś po południu odbywał się w Karlshorst wielki bieg kłusaków. Akurat zdążyłem na czas, żeby obstawić Adebara. Adebar wygrał. Chętnie obstawiam konie. Nieźle znam się na wyścigach, Hete. – Mówi to z niezwykłą jak na niego dumą. – Nie postawiłem całych dziewięćdziesięciu dwóch marek, tylko pięćdziesiąt. Ta kwota...

– A co byś zrobił, gdyby ten koń nie wygrał?

– Ależ Adebar musiał wygrać, nie było innej możliwości!

– A gdyby jednak nie wygrał?

Teraz to on czuje się lepszy od niej. Uśmiecha się, mówiąc: – Posłuchaj, Hete, ty się nie znasz na wyścigach, ale ja znam się na nich doskonale. I jeśli mówię, że Adebar wygra, i do tego ryzykuję 50 marek...

Przerywa mu, mówiąc ostro: – Ryzykowałeś moje pieniądze! Ja sobie tego nie życzę! Jeśli potrzebujesz pieniędzy, to powiedz, nie musisz u mnie pracować tylko w zamian za wyżywienie. Ale bez mojego pozwolenia nie wolno ci brać żadnych pieniędzy z kasy, rozumiesz?

Na ten niezwykle ostry ton on znowu całkiem traci pewność siebie. Mówi głosem pełnym żalości (a ona wie, że on zaraz się rozpłacze, i już się boi tych łez), mówi więc głosem pełnym żalości: – Ale dlaczego ty tak do mnie mówisz, Hete? Jakbym był tylko twoim pracownikiem! Oczywiście, że nie wezmę już nigdy pieniędzy z kasy. Myślałem po prostu, że sprawię ci radość, w tak łatwy sposób zarabiając pieniądze. Przecież wygrana była zupełnie pewna!

Wcale nie przekonuje jej ta paplanina. Pieniądze nigdy nie były istotne, ważne jest zawiedzione zaufanie. On myśli sobie teraz, że ona jest zła z powodu pieniędzy, co za dureń! Mówi: – I z powodu tych wyścigów konnych tak po prostu zamknąłeś sklep?

– Tak – odpowiada. – Przecież i tak musiałabyś go zamknąć, gdyby

mnie nie było!

– I wiedziałeś, że go zamkniesz, już kiedy wyjeżdżałam?

– Tak – odpowiada z głupia frant. I pośpiesznie się poprawia: – Nie, oczywiście, że nie, przecież wtedy poprosiłbym cię o pozwolenie. Wpadłem na to, dopiero gdy przechodziłem koło tego małego bukmachera przy Neue Königstraße, wiesz. Rzuciłem okiem na faworytów, a gdy zobaczyłem Adebara jako fuksa^[51], to dopiero wtedy się zdecydowałem.

– Ach, tak! – mówi ona. Nie wierzy mu. Zaplanował to sobie już wcześniej, zanim odprowadził ją do metra. Zwróciła dziś rano uwagę, że bardzo długo szeleścił gazetą, a potem długo obliczał coś na kartce papieru, robił to nawet wtedy, gdy do sklepu przyszli pierwsi klienci. – Ach, tak! – powtarza. – I tak po prostu wychodzisz sobie na miasto na spacer, choć ustaliliśmy, że z powodu Gestapo nie powinieneś pokazywać się na ulicy?

– Przecież pozwoliłaś, żebym odprowadził cię do metra!

– Wtedy byliśmy razem. A ja wyraźnie powiedziałam, że to tylko na próbę! To nie znaczy jeszcze, że możesz przez pół dnia biegać sobie po mieście. To gdzie ty byłeś?

– Ach, tylko w takim jednym małym lokalu, który znam od lat. Tam nigdy nie przychodzi nikt z Gestapo, tam bywają tylko bukmacherzy i obstawiający.

– I oni wszyscy cię znają! I mogą potem wszędzie opowiadać: widzieliśmy Enna Klugego tu i tam!

– Przecież Gestapo wie, że gdzieś muszę być. Nie wiedzą tylko gdzie. Ten lokal jest daleko stąd, w Wedding^[52]. I nie było tam nikogo znajomego, kto mógłby na mnie donieść!

.....
Mówi żarliwie i z zapałem. Gdy się go tak słucha, to wydaje się

[51] Fuks – koń wyścigowy bez szans na zwycięstwo.

[52] Dzielnica Berlina w środkowo-zachodniej części miasta.

całkiem przekonany o swojej racji. Zupełnie nie rozumie, jak bardzo zawiódł jej zaufanie jaką walkę toczy sama ze sobą z jego powodu. Wziął pieniądze – żeby jej sprawić radość. Zamknął sklep – ona też by to zrobiła. Poszedł do lokalu – ale tak daleko, w Wedding. A że ona bała się o swego ukochanego, tego to on zupełnie nie rozumie, to mu się nie mieści w głowie!

– A więc, Enno – pyta ona – czy to wszystko, co masz mi na ten temat do powiedzenia? Na pewno?

– Tak, bo co jeszcze miałbym powiedzieć, Hete? Przecież widzę, że jesteś ze mnie okrutnie niezadowolona, ale ja naprawdę nie wiem, co takiego złego zrobiłem! – Teraz pojawiły się wreszcie łzy, których się obawiała. – Ach, Hete, proszę, bądź dla mnie znowu dobra! Teraz na pewno o wszystko będę cię najpierw pytał! Bądź dla mnie znowu kochana! Ja tego nie zniosę...

Lecz tym razem ani łzy, ani błagania nie działają. Jest w nich coś fałszywego. Czuje niemal odrazę do tego płaczącego mężczyzny.

– Muszę to sobie wszystko najpierw dobrze przemyśleć, Enno – broni się. – Wydaje mi się, że ty w ogóle nie rozumiesz, jak bardzo zawiódłeś moje zaufanie.

I mija go, wychodząc do kuchni, żeby dalej smażyć kartofle. No to odbyła już tę rozmowę. I co jej ona dała? Przyniosła ulgę, wyjaśniła ich relacje, ułatwiła podjęcie decyzji?

Nic z tego! Pokazała tylko, że ten człowiek w ogóle nie czuje się winny. Że bez opamiętania kłamie, jeśli sytuacja zdaje się tego wymagać, a przy tym nie sprawia mu żadnej różnicy, kogo okłamuje.

Nie, taki człowiek to nie jest właściwy mężczyzna dla niej. Musi z nim skończyć. Co prawda jedno jest pewne, dziś wieczorem nie może go wyrzucić na ulicę. On nawet nie wie, co zbroił. Jest jak młody pies, który pogryzł parę butów i nie ma pojęcia, dlaczego pan sprawia mu lanie.

Nie, musi dać mu dzień albo dwa dni czasu, żeby znalazł sobie nową kwaterę. Jeśli przy okazji wpadnie w łapy Gestapo – trudno, zaryzykuje. On też przecież ryzykuje – i to z powodu końskich wyścigów! Nie, musi się od niego uwolnić, nigdy już nie będzie mogła mu zaufać. Musi żyć sama dla siebie, odtąd aż do śmierci! I ta myśl wzbudza w niej lęk.

Lecz mimo tego lęku po kolacji mówi do niego: – Wszystko sobie przemyślałam, Enno, musimy się rozstać. Jesteś miłym człowiekiem, jesteś kochany, ale patrzysz na świat zupełnie innymi oczyma, w dłuższej perspektywie nie moglibyśmy ze sobą wytrzymać.

Wpatruje się w nią bez ruchu, gdy ona dla wzmocnienia swoich słów szykuje mu posłanie na sofie. Najpierw nie wierzy własnym uszom, a potem zaczyna skamleć: – O Boże, Hete, ty tego nie mówisz poważnie! Przecież my tak bardzo się kochamy! Przecież ty nie możesz chcieć wyrzucić mnie na ulicę i wpędzić w ramiona Gestapo!

– Ach! – mówi ona, pragnąc własnymi słowami uspokoić samą siebie. – Z Gestapo nie może być tak źle, inaczej nie biegabyś dzisiaj przez pół dnia po mieście!

Lecz on pada na kolana. Naprawdę przesuwa się ku niej na kolanach. Ze strachu stracił panowanie nad sobą. – Hete! Hete! – krzyczy i szlocha. – Chyba nie chcesz mnie zabić? Musisz pozwolić mi zostać! Dokąd mam pójść? Ach, Hete, kochaj mnie choć odrobinę, jestem taki nieszczęśliwy...

Jęki i krzyki, mały, skowyczący ze strachu pies!

Chce ją objąć za nogi, chwytą jej dłonie. Ucieka przed nim do sypialni, zamyka się od środka. Lecz całą noc słyszy, jak on wciąż puka do drzwi, naciska klamkę, skamle i błaga...

Leży w milczeniu. Zbiera w sobie wszystkie siły, żeby się nie poddać, żeby nie zmięknąć pod wpływem własnego serca i tej jego żebraniny! Mocno trzyma się swego postanowienia, że nie będzie już żyła razem z nim.

Przy śniadaniu siedzą naprzeciw siebie z bladymi, niewyspanymi twarzami. Prawie się do siebie nie odzywają. Zachowują się tak, jakby nic się nie wydarzyło.

Lecz on już teraz wie, myśli ona, a jeśli dziś nie poszuka sobie jakiegoś pokoju, to jutro wieczorem i tak będzie musiał się wynieść z mojego domu. Jutro w południe powiem mu to jeszcze raz. Musimy się rozstać!

O tak, pani Hete Häberle jest kobietą równie nieustraszoną, co porządną. I to, że jednak nie realizuje swojego postanowienia, że jednak nie odpycha od siebie Enna, to nie zależy od niej, lecz od ludzi, których ona jeszcze wcale nie zna. Na przykład od komisarza Eschericha i pana Barkhausena.

ROZDZIAŁ 28.

Emil Barkhausen na coś się przydaje

Podczas gdy Enno Kluge i pani Häberle tworzyli swoje wspólne życie, które tak szybko się rozpadło, komisarz Escherich przeżywał trudne chwile. Wzgardził możliwością zatajenia przed swoim przełożonym Prallem faktu, że Enno Kluge znowu błyskawicznie zwiął obstawie i nie zostawiając żadnego śladu, zniknął w otchłaniach wielkiego miasta.

Komisarz Escherich pokornie wysłuchał gradu obelg, które słusznie spadły na niego na skutek owego wyznania. Był idiotą, nieudacznikiem, zamkną go w piwnicy, tego ciamajdę, który przez niemal rok nie zdołał znaleźć jednego głupiego autora kartek!

A miał przecież trop i wypuścił tego człowieka na wolność, bęcwał i tyle! Właściwie to komisarz Escherich wsparł zdradę stanu i jemu też wytoczą w tej sprawie postępowanie, jeśli dziś, a najpóźniej w ciągu tygodnia nie przyprowadzi owego Enna Klugego przed oblicze Obergruppenführera Pralla.

Tak, komisarz Escherich z pokorą słuchał tych wszystkich obelg. Miały one jednak na niego przedziwny wpływ. Choć dobrze wiedział, że Enno Kluge nie ma nic wspólnego z kartkami pocztowymi, że nie mógł nawet o krok posunąć poszukiwań ich rzeczywistego autora, mimo to komisarz skupił nagle niemal całą swoją uwagę na znalezieniu drobnego, nic nieznaczącego Enna Klugego. Bo faktycznie było irytujące, że ta pluskwa, za pomocą której miał zamiar tak pięknie zwodzić swego przełożonego, prześlizgnęła mu się przez palce. W tym tygodniu Klabaternik był wyjątkowo pracowity i aż trzy jego kartki wyłądownyły

na biurku komisarza. Lecz po raz pierwszy, odkąd zaczął prowadzić tę sprawę, Eschericha nie interesowały ani kartki, ani ich autor. Zapomniał nawet zaznaczyć chorągiewkami miejsca ich znalezienia na mapie Berlina.

Nie, najpierw chciał mieć z powrotem tego Enna Klugego, i komisarz Escherich naprawdę niezwykle się starał, żeby go dopaść. Pojechał nawet w okolice Ruppina, do Ewy Kluge, zaopatrzonej na wszelki wypadek w nakaz zatrzymania i jej, i jego. Ale zaraz się zorientował, że ta kobieta naprawdę nie ma już nic wspólnego ze swoim mężem i że niewiele wie o tym, co się działo w jego życiu przez ostatni rok.

To, co wiedziała, opowiedziała komisarzowi niezbyt chętnie, ale też bez wielkich oporów, zrobiła to po prostu z całkowitą obojętnością. Tej kobiecie naprawdę było zupełnie wszystko jedno, co się stanie z jej mężem, co zrobił albo czego nie zrobił. Komisarz uzyskał od niej tylko nazwy dwóch czy trzech lokali, w których Enno Kluge wcześniej bywał, dowiedział się o jego namiętności do wyścigów, a także otrzymał adres niejakiej Tutti Hebekreuz, od której na adres mieszkania pani Kluge przyszedł kiedyś list. W liście tym oskarżała Enna Klugego, że ukradł jej pieniądze i kartki na żywność. Nie, pani Kluge nie przekazała tego listu mężowi, gdy widziała go ostatni raz, ani mu o nim nie powiedziała. Zapamiętała tylko przypadkiem adres, ponieważ jako listonoszka ma do adresów wyjątkowo dobrą pamięć.

Wyposażony w tę wiedzę komisarz Escherich powrócił do Berlina. Oczywiście zgodnie ze swoją zasadą, by zadawać pytania, ale na żadne nie odpowiadać i nie przekazywać żadnych informacji, a więc zgodnie z tą zasadą komisarz Escherich ani słowem nie wspomniał pani Ewie Kluge, że w Berlinie toczy się wobec niej postępowanie. To go nic nie obchodziło. Wiele nie przywiózł więc z powrotem do Berlina, ale był to jakiś początek, poniekąd ślad jakiegoś tropu – i mógł pokazać Prallowi,

że coś robi, a nie tylko czeka. A o to tylko chodziło tym na górze, żeby coś zrobić, choćby szło się fałszywym tropem, jakim była ta cała sprawa Klugego. Bo czekania ci na górze nie tolerowali.

Wypytywanie owej Hebekreuz nic nie dało. Poznała Klugego w jakiejś kawiarni, wiedziała, gdzie pracuje. Dwa razy pomieszkiwał u niej po parę tygodni, tak jest, zgadza się, napisała do niego o tych pieniądzach i kartkach żywnościowych. Ale podczas swojej drugiej wizyty wyjaśnił sprawę, to inny sublokator je ukradł, nie Enno.

A potem znowu zwiął bez słowa, pewnie do jakiejś innej kobiety, Enno zawsze tak robił. Nie, jej oczywiście nigdy nic z nim nie łączyło. Nie, nie ma pojęcia, dokąd się przeniósł. Ale w tej okolicy na pewno nie mieszka, bo do tej pory coś by o nim usłyszała.

W obu knajpach znany był pod nazwiskiem Enno, tak jest. Od dawna się już nie pokazywał, nie, ale on zawsze wraca. Tak jest, panie komisarzu, nie damy po sobie nic poznać. Prowadzimy porządne knajpy, u nas bywają tylko przyzwoici ludzie, którzy interesują się szlachetnym sportem wyścigowym. Natychmiast damy panu znać, jak tylko się pojawi. Heil Hitler, panie komisarzu!

Komisarz Escherich wyznaczył dziesięciu ludzi, którzy mieli wypytać o Enna Klugego wszystkich bukmacherów i właścicieli knajp w północnym i wschodnim Berlinie. A gdy Escherich czekał na efekty tej akcji, znowu stało się z nim coś dziwnego. Teraz nie uważał już za całkowicie wykluczone, że ten Enno Kluge może mieć coś wspólnego z pocztówkami. Zbyt osobliwe sploty okoliczności pojawiały się wokół tego faceta: kartka znaleziona u lekarza, a do tego ta żona, najpierw zapalona nazistka, a potem nagle wniosek o pozwolenie na wystąpienie z partii, przypuszczalnie dlatego, że syn, który jest w SS, zrobił coś, co nie spodobało się matce. Wszystko wokół tego małego człowieczka jakimś cudem wiązało się z polityką, a Escherich akurat jego uważał za

całkowicie politycznie obojętnego. Być może ten Enno Kluge jest o wiele cwańszy, niż komisarz myślał, może ma na sumieniu coś gorszego niż te pocztówki, a że ma coś do ukrycia, to wydawało się niemal pewne.

Potwierdził to też asystent Schröder, z którym komisarz dla odświeżenia pamięci ponownie i bardzo dokładnie omówił całą sprawę. Asystent Schröder też czuł, że z tym Klugem coś jest nie tak, że on coś ukrywa. No, zobaczymy, w tej sprawie na pewno niedługo coś się wydarzy. Komisarz to przeczuwał, a w takich sprawach intuicja rzadko go zawodziła.

I tym razem rzeczywiście go nie zawiodła. Zdarzyło się tak, że w owych dniach zagrożenia i irytacji komisarzowi zameldowano, że niejaki Barkhausen prosi o rozmowę.

Barkhausen? – zapytał komisarz Escherich sam siebie. – Barkhausen? A co to za jeden, ten Barkhausen? Ach tak, już wiem, to ten mały szpicel, gotów sprzedać własną matkę za trzy grosze.

A głośno powiedział: – Niech wchodzi! – Gdy Barkhausen wszedł do środka, komisarz z miejsca powiedział mu: – Jeśli przyszedł pan tylko po to, żeby powiedzieć mi coś o Persickach, to może pan od razu wyjść!

Barkhausen patrzył komisarzowi prosto w oczy i milczał. Zachowywał się tak, jakby mimo wszystko zamierzał mówić o Persickach.

– No więc, Barkhausen? – powiedział komisarz. – Dlaczego pan nie wychodzi?

– Persicke ma przecie radio Rosenthalowej, panie komisarzu – odparł ten z wyrzutem. – Wiem to tera na pewno, ja...

– Rosenthalowa? – zapytał Escherich. – To przecież ta stara Żydówka, która wyskoczyła z okna przy Jablonskistraße?

– Właśnie ta! – potwierdził Barkhausen. – A on to radio jej po prostu buchnął, to znaczy, jak już była nieżywa, ale z jej mieszkania...

– Cóż, coś panu powiem, panie Barkhausen – wyjaśnił Escherich.

– Omówiłem już sobie tę sprawę z komisarzem Ruschem. Jeśli pan nie przestanie ciągle obsmarowywać Persicków, to ostro się do pana zabierzemy. Nie chcemy już słyszeć o tej historii ani słowa, a już szczególnie od pana! Jest pan ostatnią osobą, która powinna grzebać w tej sprawie. Tak jest, właśnie pan, panie Barkhausen!

– Ale przecie on to radio zwinął... – zaczął Barkhausen na nowo z owym tępym uporem, który rodzi się wyłącznie ze ślepej nienawiści. – I ja mogię to bezpośrednio udowodnić...

– Wyjdźcie natychmiast, Barkhausen, albo każę was odprowadzić do naszej piwnicy!

– W takim razie pójdę do prezydium przy Alexanderplatz! – oznajmił głęboko urażony Barkhausen. – Prawo to prawo, a kradzież to kradzież...

Lecz Escherichowi przypomniało się coś innego, mianowicie sprawa Klabaternika, która niemal cały czas zajmowała jego myśli. Nie słuchał już tego idioty. – Powiedzcie mi, Barkhausen – rzekł. – Znacie pewnie mnóstwo ludzi i pewnie często bywacie w knajpach? Znacie może niejakiego Enna Klugego?

Barkhausen, który zwęszył interes, odparł wciąż kwaśnym tonem: – Jednego Enna znam. Czy nazywa się Kluge, tego nie wiem. Zawsze myślałem raczej, że Enno to jego nazwisko.

– Drobny, chuderlawy człowieczek, błydy, cichy i nieśmiały?

– To by się zgadzało, panie komisarzu.

– Jasne palto, brązowa cyklistówka w dużą kratę?

– Dokładnie tak.

– Ciągle jakieś historie z babami?

– O historiach z babami mojego Enna nic mi nie wiadomo. Tam, gdzie go widywałem, kobiety nie bywają.

– Mały hazardzista?

– Zgadza się, panie komisarzu.

– Lokale: Pod Przegranym Koniem i Przed Startem?

– Te same, panie komisarzu. Pański Enno Kluge to mój Enno!

– Musicie mi go znaleźć, Barkhausen! Zostawcie tę całą durną historię z Persickami, bo jeszcze zaprowadzi was prosto do kacetu! Dowiedźcie się lepiej dla mnie, gdzie się podziewa ten Enno Kluge!

– Ale przecie to dla pana żadna zdobycz, panie komisarzu! – wykrzyknął zdumiony Barkhausen. – Przecie to mały lalusz! Totalny pechowiec! Czego pan może chcieć od takiego idioty, panie komisarzu?

– A to już moja sprawa, panie Barkhausen! Jeśli dzięki panu dopadnę Enna Klugego, zarobi pan pięćset marek!

– Pięć stów? Panie komisarzu, mój Enno nie jest wart nawet dziesięć razy mniej! To musieć być jakaś pomyłka.

– Być może to faktycznie jest pomyłka, ale to pana nie powinno obchodzić, panie Barkhausen. Dostanie pan swoje pięć stówek – tak czy siak!

– No proszę! Skoro pan tak mówi, panie komisarzu, to zobaczę, czy uda mi się złapać Enna. Ale tylko go wam pokażę, nie przyprowadzę go tutaj. Nie rozmawiam z nim...

– A cóż wy razem zakombinowaliście? Zwykle nie jesteś taki wrażliwy, Barkhausen! Z pewnością ukrywacie jakąś śmierdzącą sprawę. Ale ja nie chcę wnikać w wasze delikatne tajemnice, zmywaj się, Barkhausen, i znajdź mi tego Klugego!

– Chciałbym jeszcze poprosić o małą zaliczkę, panie komisarzu. Nie, nie o zaliczkę – poprawił się – tylko o zadatek na moje wydatki.

– A cóż ty masz za wydatki, Barkhausen? Jestem bardzo ciekaw.

– Musze przecie jeździć tramwajem, musze sterczeć w przeróżnych knajpach, tu wypić kufła, tam postawić kolejkę, a to wszystko kosztuje, panie komisarzu! Ale myślę, że pięć dych w zupełności wystarczy.

– Ta, jak wielmożny pan Barkhausen tylko wchodzi, to już wszyscy

czekają, że coś postawi! No, dam ci dziesięć marek i naprawdę zmykaj. Myślisz, że nie mam co robić, tylko sobie z tobą gawędzić?

Barkhausen faktycznie uważał, że taki komisarz nie ma nic innego do roboty, jak wiercić ludziom dziury w brzuchach, a swoją robotę kazać odwalać innym. Ale oczywiście powstrzymał się od wyrażenia tego poglądu. Ruszył w stronę drzwi, mówiąc: – Ale jak dostarczę panu tego Klugego, to musi mi pan pomóc z Persickami. Te typki napsuły mi za dużo krwi...

Escherich jednym ruchem znalazł się tuż za nim, chwycił go za ramię i przystawił mu pięść do nosa.

– Widzisz to? – wrzasnął z wściekłością. – Chcesz powąchać ten kwiatek, ty dumny psie? Jeszcze jedno słowo o Persickach, a posłę cię do bunkra, nawet gdyby wszyscy Ennowie Kluge świata mieli sobie biegać wolno!

Jednocześnie kopnął zaskoczonego Barkhausena kolanem w tyłek, aż ten wystrzelił na korytarz niczym kula armatnia. Trafił prosto na jakiegoś ordynansa SS, który poczęstował go kolejnym mocnym kopniakiem...

Hałas, jaki spowodowały te dwa kopniaki, zwrócił uwagę dwóch wartowników SS na podeście schodów. Przejęli zataczającego się jeszcze Barkhausena i zrzucili go ze schodów niczym worek ziemniaków, głową w dół czy nogami, wszystko jedno, jak leci.

A gdy Barkhausen leżał na dole, jęcząc i odrobinę krwawiąc, ale tylko odrobinę, jeszcze całkiem oszołomiony upadkiem, kolejny wartownik chwycił go za kołnierz i wrzasnął: – Ty świnię, chcesz nam tu zapaskudzić piękną podłogę? – pociągnął go do wyjścia i wyrzucił na ulicę.

Komisarz Escherich z zadowoleniem obserwował początek jego upadku, aż przesłoniły mu go schody.

Przechodnie na Prinz Albrecht StraÙe łętkliwie unikali patrzenia na leżącego na ulicy nieszczęśnika. Wiedzieli przecież, z którego straszliwego

budynku został wyrzucony. Samo patrzeć ze współczuciem na takiego pechowca mogło się okazać przestępstwem, a już na pewno nie wolno mu było pomóc. Jednak wartownik, który ciężkim krokiem znowu podszedł do wyjścia, powiedział: – Jeśli za trzy minuty dalej będziesz plugawić naszą fasadę, ty świnio, już ja cię przepędzę, i to porządnie!

Pomogło. Barkhausen podniósł się i zataczając, powlókł ociężałe i obolałe członki do domu. W duchu płonął jednak z bezradnej nienawiści i gniewu, a ta paląca nienawiść bolała go bardziej niż odniesione obrażenia. Był zdecydowany, że dla tego drania komisarza nie kiwnie nawet palcem, niech sam sobie szuka tego swojego Klugego!

Następnego dnia jednak, gdy gniew nieco złagodniał, a głos rozsądku znów zaczął do niego przemawiać, powiedział sobie, że po pierwsze dostał od komisarza Eschericha dziesięć marek i musi je odpracować, bo inaczej niechybnie oskarżą go, że jest oszustem. A po drugie wcale nie jest dobrze narażać się takim ważnym personom. To one mają władzę, a ten, kto nic nie znaczy, musi się dostosować. To wyrzucenie wczoraj przecież stało się tak samo z siebie. Gdyby nie wpadł na ordynansa, obeszliby się z nim łagodniej. Dla nich to było jak kawał, a gdyby Barkhausen widział, jak traktują tak kogoś innego, też serdecznie by się uśmieł, na przykład z Enna Klugego wystrzelonego kopniakiem jak z armaty.

Tak, to był trzeci powód, dla którego Barkhausen uznał, że raczej wykona to zlecenie. Mógł się w ten sposób zemścić na Ennie Klugem, który przez swoje głupie pijaństwo spartolił mu taki dobry interes.

Tak więc Barkhausen udał się pełen dobrych chęci, choć bolały go poobijane kości, do tych dwóch lokali, które odwiedził także komisarz Escherich, a potem do kilku innych. Nie pytał właścicieli o Enna, stawał tylko albo siadał, pił powoli, jeden kufel na ponad godzinę, rozmawiał trochę o koniach, na których znał się odrobine, bo tyle się już nasłuchiwał (choć nie podzielał pasji obstawiania), a potem szedł do następnej knajpy,

żeby robić tam to samo. Barkhausen był cierpliwy, mógł tak spędzać całe dnie, nie przeszkadzało mu to.

Ale wcale nie potrzebował tak wiele cierpliwości, bo już drugiego dnia zobaczył Enna w lokalu Pod Przegranym Koniem. Był świadkiem triumfu chuderlaka z powodu zwycięstwa Adebara i poczuł silną zawiść z powodu szczęścia, które sprzyjało temu idiocie. Poza tym zdziwił go pięćdziesięciomarkowy banknot, który Kluge dał bukmacherowi. To nie były pieniądze zarobione w pracy, Barkhausen od razu to wyczuł. Ten mały cwaniak musiał się gdzieś niezłe urządzić!

Oczywiście panowie Barkhausen i Kluge się nie znali, nawet na siebie nie spojrzeli.

Już nie tak oczywiste było to, że właściciel lokalu wcale nie zadzwonił do komisarza Eschericha, pomimo solennej obietnicy. Ale tak to już było, że choć ludzie bali się tajnej policji i żyli w ciągłym strachu przed jej agentami, to zupełnie czymś innym byłoby świadczenie na rzecz Gestapo usług pomocniczych. Nie, tak daleko w drugą stronę też nie było, żeby ktoś ostrzegł Enna Klugego, ale w każdym razie nie został wydany.

Zresztą komisarz Escherich nie zapomniał o tym zaniechanym telefonie. Poinformował o nim pewien wydział, w którym w kartotece pod nazwiskiem właściciela lokalu założono kartę z dopiskiem „niewiarygodny”. Pewnego dnia, wcześniej czy później, właściciel tej knajpy odczuje, co to znaczy uchodzić na Gestapo za „niewiarygodnego”.

To Barkhausen pierwszy wyszedł z lokalu. Nie odszedł jednak daleko, tylko stanął za słupem ogłoszeniowym i spokojnie czekał na wyjście chuderlaka. Barkhausen był szpiegiem, który tak łatwo nie spuścił swojej ofiary z oczu, a już szczególnie tej ofiary. Zdołał nawet wcisnąć się w metrę do tego samego wagonu i choć Barkhausen był wysoki, to Enno Kluge go nie zauważył.

Enno Kluge myślał tylko o swoim triumfie z Adebarem, o pieniądzach,

których gruby plik nareszcie znów szeleścił mu w kieszeni, a potem myślał o Hete, u której było mu przecież w gruncie rzeczy bardzo dobrze. Z miłością i wzruszeniem myślał o dobrej, starzejącej się tłuszczoszce, wcale natomiast nie myślał o tym, że przed paroma godzinami okłamała ją i okradła.

Co prawda gdy doszedł do sklepu i zobaczył, że rolety są podniesione, a ona już obsługuje klientów i na pewno jest zła za jego ucieczkę, wtedy stracił dobry humor. Lecz z fatalizmem, z którym ludzie jego pokroju poddawali się nawet najgorszemu, wszedł do sklepu, gotów stawić czoła razem. I trudno się dziwić, że zajęty tymi myślami nieszczególnie zwracał uwagę na to, czy ktoś nie depcze mu po piętach.

Barkhausen widział, że Kluge wchodzi do sklepu. Stał w pewnej odległości w jakiejś bramie wjazdowej, gdyż zakładał oczywiście, że Kluge chce tam coś kupić i zaraz wyjdzie. Lecz klienci wchodziłi i wychodzili, wchodziłi i wychodzili, aż Barkhausen zaczął się niepokoić. Czy przegapił moment, w którym Kluge wyszedł? A już czuł w kieszeni te pięć stówek, liczył na nie jeszcze tego wieczoru.

W tym momencie rolety zasunięto i było już pewne, że Enno jakoś się ulotnił. Może jednak wyczuł, że ktoś go śledzi, i pod jakimś pretekstem przeszedł przez sklep do wnętrza kamienicy i wyszedł przez jej bramę. Barkhausen przeklął własną głupotę, że nie obserwował jednocześnie wyjścia z kamienicy. Cały czas gapił się na drzwi sklepu, dureń z niego i tyle!

Cóż, zawsze zostaje możliwość, że jutro albo pojutrze znowu spotka Enna w knajpie. Po tym, jak się obłowił na Adebarze, pociąg do hazardu go nie opuści. Będzie przychodzić codziennie i tak długo obstawiać, aż straci wszystkie pieniądze. Taki fuks jak Adebar nie startuje co tydzień, a jeśli startuje, to nikt na niego nie stawia. Enno szybko pozbędzie się swoich pieniędzy.

W drodze do domu Barkhausen minął ów niewielki sklep zoologiczny. Nagle zauważył przez okno wystawowe (rolety opuszczono tylko na drzwiach), że wewnątrz pali się pojedyncze światło, a gdy przycisnął nos do szyby i łypnął okiem ponad akwariami, ujrzał przez klatki z ptakami, że w sklepie kręcą się jeszcze dwie osoby: jakaś stara klucha w najbardziej niebezpiecznym wieku, jak natychmiast słusznie ocenił, a oprócz niej jego przyjaciel Enno. Enno z podwiniętymi rękawami i w niebieskim fartuchu, Enno pilnie napełniający miseczki pokarmem, nalewający wody i czeszący teriera.

Dlaczego taki idiota jak ten Enno ma tyle szczęścia? Co te baby w nim widzą? On, Barkhausen, ugrzązł z Otti i piątką bachorów, a taki stary dziadyga przychodzi i od razu ma sklep zoologiczny w komplecie z kobietą, rybkami i ptaszkami.

Barkhausen splunął z pogardą. Co to za durny świat, który jemu odmawia wszystkiego co dobre, a takiego idiotę obdarza wszelkimi łaskami!

Lecz im dłużej Barkhausen się na nich gapił, tym wyraźniej widział, że pary wewnątrz sklepu nie otacza czar miłości. Prawie ze sobą nie rozmawiali, prawie na siebie nie patrzyli i bardzo możliwe, że ten mały Enno Kluge był niczym więcej jak pracownikiem, który pomaga tamtej kobiecie w sprzątaniu sklepu. W takim razie wkrótce powinien stamtąd wyjść.

Barkhausen wycofał się więc z powrotem na swoje stanowisko obserwacyjne w bramie wjazdowej. Ponieważ żaluzja jest spuszczone, Kluge wyjdzie przez bramę kamienicy, więc to na niej Barkhausen skupił wzrok. Ale światło w sklepie zgasło, a Kluge wcale nie wychodził. Barkhausen podjął więc śmiałą decyzję. Narazając się na ryzyko, że napotka Enna na klatce schodowej, wślizgnął się do kamienicy, której brama nie została jeszcze zamknięta. Była to jednak czynszówka z dwoma

czy nawet trzema podwórzami, której brama zwykle nie była zamykana, ponieważ mieszkało tu zbyt wiele osób.

Barkhausen zakonotował sobie najpierw w pamięci nazwisko „H. Häberle”, a potem prześlizgnął się na podwórze. I patrzcie, trafiło mu się, nie zaciemnili jeszcze okien, mimo że było już po ósmej, a zerkając przez krzywo wiszącą zasłonę, miał doskonały widok na wnętrze pokoju. Lecz to, co tam zobaczył, tak go zaskoczyło, że niemal się przestraszył.

Gdyż jego przyjaciel Enno klęczał na podłodze, na kolanach przesuwając się za ową grubą kobietą, która lekliwym gestem zgarniając spódnice, odsuwała się od niego krok po kroku. Ennuś uniósł jednak ramiona, wyglądało na to, że płacze i wydaje z siebie żalosne jęki.

No, moje drogie! – pomyślał Barkhausen na swoim stanowisku obserwacyjnym, przestępując w zdumieniu z nogi na nogę. Moje drogie, jeśli w taki sposób robicie sobie apetyt na nockę, to życzę smacznego, niezłe z was dziwadła! To ja mogię tu stać i pół nocki, chętnie się pogapię.

Lecz wtedy drzwi zatrzasnęły się za starą, a Enno stał przed nimi, raz po raz naciskał klamkę, dalej się mazgając i zaklinając.

Może to wcale nie był wstęp do upojnej nocy – pomyślał Barkhausen. Może one się pokłócili, albo Enno chciał od niej czegoś, czego ona nie chce mu dać, albo w ogóle nie chce mieć nic wspólnego z tym starym zakochanym kogutem... Co mnie to obchodzi? W każdym razie on zostaje tu na noc, bo w przeciwnym razie po co byłoby przygotowane to piękne posłanko na sofie?

Enno Kluge stanął tuż przy sofie. Barkhausen wyraźnie widział twarz swojego dawnego kumpla. A był to widok zdumiewający. Dopiero co łzy i żale, a teraz uśmiecha się, zerka na drzwi i znowu się uśmiecha...

A więc odgrywał tylko przed starą przedstawienie. W takim razie, mój chłopcze, powodzenia! Obawiam się tylko, że Escherich popsuje ci szyki!

Kluge zapalił papierosa. A potem podszedł prosto do okna, przez które

zaglądał Barkhausen. Ten odsunął się wystraszony na bok, w ciemność – roleta do zaciemniania śmignęła w dół, a Barkhausen mógł na tę noc spokojnie opuścić swój punkt obserwacyjny. Wielkich namiętności nie można się już tu było spodziewać, a przynajmniej on i tak teraz nic by nie zobaczył. Najważniejsze, że wiedział, gdzie przebywa Enno...

Właściwie Barkhausen umówił się z komisarzem Escherichem, że gdy znajdzie Enna, natychmiast do niego zadzwoni, czy to w dzień, czy w nocy. Lecz gdy Barkhausen oddalał się tego wieczora od Königstor, nabierał coraz więcej wątpliwości, czy wykonanie takiego natychmiastowego telefonu na pewno byłoby dla niego korzystne. Zrozumiał, że w tej sprawie są przecież dwie strony, a on mógłby ciągnąć korzyści od obu.

Pieniądze od Eschericha były pewne, dlaczego nie miałyby spróbować wyciągnąć jeszcze trochę od Enna? Przecież ten facet miał w rękę pięćdziesięciomarkowy banknot, który dzięki zwycięstwu Adebara pomnożył do ponad dwustu marek. Dlaczego on, Barkhausen, nie miałyby dostać także tych pieniędzy? Escherichowi nie stanie się przez to żadna krzywda, i tak dostanie swojego Enna, a Ennowi też nie stanie się żadna krzywda, bo ci na Gestapo i tak odbiorą mu wszystkie pieniądze. A więc?

A do tego jest jeszcze ta grubaska, za którą Enno tak komicznie czołgał się na kolanach. Ta tłuściocha na pewno ma pieniądze, możliwe, że ma ich całkiem sporo. Interes chyba nieźle się kręci, ma dużo towaru, a klientów jej najwyraźniej nie brakuje. Nie, to mazgajstwo i czołganie się Klugego nie wskazują na to, by żyli w zgodzie i miłości, co to, to nie, trzeba przyznać, ale kto wyda kochanka, choćby odrzuconego, Gestapo? Fakt, że ta stara toleruje u siebie Enna, mimo że go odrzuciła, że przygotowała mu posłanie na sofie, dowodzi, że jeszcze jej na nim trochę zależy. A jeśli jej choć trochę na tym siwym staruchu zależy, to zapłaci, może niedużo, ale zawsze coś. A tego czegoś Barkhausen w żadnym razie nie zamierzał odpuścić.

Gdy Barkhausen tak sobie rozmyślał – a w drodze do domu i leżąc w nocy obok Otti, dużo rozmyślał – ogarniał go lekki strach, gdyż rozumiał, że zamierza zagrać w dość niebezpieczną grę. Ten Escherich z pewnością nie jest człowiekiem, który toleruje samowolę, ci z Gestapo nigdy tacy nie są, a wysłanie człowieka do kacetu to dla nich najprostsza rzecz pod słońcem. A kacetu Barkhausen bał się okropnie.

Był jednak tak skażony przestępczymi myślami i przestępczą moralnością, że uparcie powtarzał sobie, że przekręt, który da się zrobić, trzeba zrobić, tak się po prostu należy. A z Ennem bez wątpienia da się wykręcić ten numer. Barkhausen prześpi się jeszcze z tą sprawą, a jak przyjdzie jutro, to będzie wiedział, czy pójdzie od razu do Eschericha, czy też najpierw zajrzy do Klugego. Teraz pośpi...

Lecz nie zasnął, tylko myślał o tym, że jeden to do tej sprawy za mało. On, Barkhausen, musi mieć zapewnioną swobodę ruchów. Będzie musiał na przykład pójść szybko do Eschericha, a w tym czasie Enno Kluge zostanie bez obstawy. Albo jak weźmie tę grubaskę w obroty, to Enno może uciec. Niejeden to za mało. Lecz nie było nikogo, komu mógłby zaufać, a poza tym ten drugi zażądałby swojego udziału. A Barkhausen bardzo nie lubił się dzielić.

W końcu Barkhausen doszedł do wniosku, że pośród piątki jego nedorostków jest trzynastoletni syn, możliwe nawet, że jego własny. Zawsze czuł, że ten pętał o eleganckim imieniu Kuno-Dieter może być faktycznie jego, chociaż Otti ciągle twierdziła, że jest synem jakiegoś hrabiego, wielkiego właściciela ziemskiego z Pomorza. Ale Otti zawsze była chwaliپیęta, czego dowodziło już samo imię chłopca – rzekomo po ojcu.

Barkhausen z ciężkim westchnieniem postanowił, że weźmie chłopaka jako rezerwowego do pilnowania. To będzie go kosztować najwyżej małą pyskówkę z Otti i parę marek dla chłopaka. A potem myśli Barkhausena

znowu zaczęły krążyć wokół tego wszystkiego, powoli stawały się niewyraźne i w końcu jednak zasnęły.

ROZDZIAŁ 29.

Piękny mały szantażyk

Jak już wspomniano, tego ranka pani Hete Häberle i Enno Kluge zjedli śniadanie, a potem pracowali w sklepie, nie zamieniając ze sobą niemal jednego słowa, oboje bladzi po nieprzespanej nocy i głęboko zatopieni we własnych myślach. Pani Häberle myślała o tym, że Enno jutro koniecznie musi się wynieść, a Enno o tym, że w żadnym wypadku nie da się wyrzucić.

W ową ciszę jako pierwszy klient wkroczył wysoki mężczyzna, który powiedział do pani Häberle: – Pani posłucha, pani ma tam w oknie taką jedną parkę papużek falistych. Ile kosztowałaby taka parka? Ale to musi być parka, bo ja bardzo lubię parki... – I Barkhausen odwrócił się w udawanym zdumieniu, w celowo źle udawanym zdumieniu, i wykrzyknął do Klugego, który właśnie chciał powolutku wycofać się do pokoju na tyłach sklepu: – Ależ to ty, Enno! No, no, mówię sobie, patrzę sobie, myślę sobie, to przecież nie może być Enno, co Enno robiłby w takiej menażerii? A to jednak ty, stary kumplu! No, co ty tu robisz, stary?

Enno zamarł bez ruchu z dłońią na kłamce niczym zaczarowany, niezdolny ani do ucieczki, ani do udzielenia odpowiedzi.

Pani Hete wpatrywała się natomiast w tego wysokiego mężczyznę, który tak przyjaźnie zagadał do Enna, wielkimi oczami, usta zaczęły jej drzeć, a kolana zmiękły. A więc jednak to niebezpieczeństwo jest prawdziwe, to, co Enno opowiadał o prześladowaniu przez Gestapo, to nie były tylko kłamstwa. Bo że ten mężczyzna o twarzy jednocześnie tchórzliwej i brutalnej jest szpiclem Gestapo, co do tego nie miała żadnych

wątpliwości.

Lecz gdy zagrożenie stało się prawdziwe, drżało już tylko ciało pani Hete. Jej umysł był opanowany. I ten umysł mówił jej: Teraz, w tym niebezpieczeństwie, nie możesz porzucić Enna, bez względu na to, jaki jest.

I pani Hete powiedziała do tego człowieka, człowieka o palącym spojrzeniu, które ciągle uciekało gdzieś w bok, powiedziała do tego człowieka, który wyglądał jak prawdziwy szpicel: – Może napije się z pan z nami kawy, panie – jak się pan właściwie nazywa?

– Barkhausen. Emil Barkhausen – przedstawił się szpicel. – Jestem starym przyjacielem Enna, też interesuje się sportem. Co pani powie, pani Häberle, na ten jego wczorajszy wspaniały wyczyn z Adebarem? Spotkaliśmy się w takim jednym lokalu. Nie wspomniał pani?

Pani Hete rzuciła Ennowi pośpieszne spojrzenie. Wciąż tam stał z dłonią na klamce, dokładnie w pozie, w której zaskoczyła go poufała odzywka Barkhausena. Obraz bezradnego przerażenia. Nie, nic nie mówił o spotkaniu ze starym znajomym, twierdził wręcz, że nikogo znajomego nie widział. A więc ponownie ją okłamał – i to ku swojej własnej zgubie, bo było oczywiste, w jaki sposób ten szpicel dowiedział się, gdzie teraz mieszka. Gdyby wczoraj wieczorem wspomniał coś o tym znajomym, to jeszcze można by go było gdzieś ukryć...

Ale to nie był właściwy moment, żeby kłócić się z Ennem Klugem albo zarzucać mu kłamstwo. To był moment, w którym trzeba było działać. Tak więc powtórzyła: – W takim razie napijmy się kawy, panie Barkhausen. O tej porze nie ma jeszcze tak wielu klientów, Enno, zajmij się sklepem. Ja porozmawiam chwilę z twoim przyjacielem...

Teraz pani Hete opanowała także drżenie ciała. Myślała tylko o tym, jak to wtedy było z jej Walterem, a te wspomnienia dodawały jej sił. Wiedziała, że wobec tych ludzi nie pomogą ani drżenie, ani skargi,

ani wołanie o litość, oni nie mają serc, katowscy pomocnicy Hitlera i Himmlera. Jeśli coś mogło pomóc, to tylko odwaga, brak tchórzostwa, brak lęku. Oni uważali, że wszyscy Niemcy to tchórze, tak jak teraz Enno. Ale ona nie była tchórzem, pani Hete, wdowa Häberle, nie była tchórzem.

Swoim spokojnym zachowaniem sprawiła także, że obaj mężczyźni posłuchali jej bez oporu. Wychodząc do pokoju, powiedziała jeszcze: – I żadnych głupstw, Enno! Żadnych głupich ucieczek! Pomyśl o tym, że twój płaszcz wisi w pokoju, a pieniędzy przy sobie też nie masz.

– Mądra z pani kobita – stwierdził Barkhausen, gdy usiadł do stołu i patrzył, jak stawia przed nim filiżankę z kawą. – I do tego energiczna, wcale bym nie pomyślał, gdy widziałem panią po raz pierwszy wczoraj wieczorem.

Ich spojrzenia się spotkały.

– No cóż – dodał pośpiesznie Barkhausen – właściwie wczoraj wieczorem tyż była pani energiczna, jak on tak się czołgał przed panią na kolanach, a pani zatrasnęła mu drzwi przed nosem. Chyba w nocy już mu ich pani nie otworzyła, prawda?

Odrobina czerwieni pojawiła się na policzkach pani Hete na tę bezwstydną aluzję, ta hańbiąca, wstrętna scena wczoraj wieczorem miała więc swego świadka, i do tego tak obrzydliwego! Lecz szybko się opanowała i powiedziała: – Zakładam, że pan również jest mądrym człowiekiem, panie Barkhausen, nie zamierzamy chyba teraz mówić o nieistotnych sprawach, tylko wyłącznie o interesach. Zakładam, że chodzi o interes?

– Być może... Pewnie tak... – pośpieszył z zapewnieniami Barkhausen, mocno wstrząśnięty narzuconym przez tę kobietę tempem.

– Chce pan więc – kontynuowała pani Hete – nabyć parkę papużek falistych. Zakładam, że po to, żeby je potem wypuścić. Bo jeśli one mają dalej tkwić zamknięte w klatce, to nic na tym nie skorzystają...

Barkhausen podrapał się po głowie. – Pani Häberle – powiedział – to z tymi papużkami, to dla mnie zbyt skomplikowane. Jestem prosty człowiek, prawdopodobnie jest pani ode mnie o wiele sprytniejsza. Mam nadzieje, że mnie pani nie oszuka.

– A pan mnie!

– Bez obaw! Chce mówić z panią otwarcie, nie o papużkach i tak dalej. Powiem pani wszystko, jak jest, całą prawdę. Dostałem mianowicie od Gestapo zlecenie, od komisarza Eschericha, jeśli pani coś to nazwisko mówi? – Pani Hete potrząsnęła głową. – Otrzymałem więc zlecenie, by dowiedzieć się, gdzie przebywa Enno. I nic więcej. Dlaczego i po co, o tym nie mam zielonego pojęcia. I chce pani powiedzieć, pani Häberle, że jestem prostym, otwartym człowiekiem...

Przechylił się ku niej, a ona popatrzyła mu w oczy, oczy o palącym spojrzeniu. Jego wzrok uciekł w bok, wzrok prostego, otwartego człowieka.

– Dziwiłem się właściwie temu zleceniu, pani Häberle, powiem to pani szczerze. Bo przecie oboje wiemy jakim człowiekiem jest Enno, a mianowicie jest nierobem, w głowie mu tylko wyścigi końskie i amory. I tego Enna ściga teraz Gestapo, i to jeszcze wydział polityczny, a tam przecie tylko zdrada stanu i lecą łby. Nie rozumiem tego, a pani to rozumie? – spojrzał na nią wyczekująco. Ich spojrzenia znów się spotkały i znów stało się to, co wtedy. Musiał spuścić wzrok.

– Niech pan opowiada dalej, panie Barkhausen – powiedziała. – Ja słucham...

– Mądra kobita! – skinął głową Barkhausen. – Cholernie mądra kobita, i do tego energiczna. To wczoraj wieczorem z tymi kłęzciami...

– Mieliśmy rozmawiać tylko o interesach, panie Barkhausen!

– Ależ oczywiście! Bo ja jestem zacny, naprawdę szczerzy Niemiec, a pani się może dziwić, że jestem w Gestapo. Tak może sobie pani myśli.

Nie, pani Häberle, nie jestem w Gestapo, tylko czasem dla nich pracuje. Człowiek musi jakoś żyć, prawda, a ja mam w domu piątkie bachorów, najstarszy ma dopiero trzynaście lat. A ja muszę ich wszystkich wyżywić...

– Interesy, panie Barkhausen!

– Nie, pani Häberle, nie jestem w Gestapo, jestem uczciwym człowiekiem. A jak mi powiedzieli, że szukają mojego przyjaciela Enna i wyznaczyli nawet za niego wysoką nagrodę, a ja przecież znam Enna od dawna i jestem jego prawdziwym przyjacielem, nawet jeśli się czasem żeśmy pokłócili, to tak sobie pomyślałem, pani Häberle: no popatrz, Enna szukają! Tego małego nicponia. Gdybym go tylko znalazł, pomyślałem sobie, rozumie pani, pani Häberle, to mógłbym mu może dać cynk, żeby zniknął, póki jeszcze czas. I powiedziałem komisarzowi Escherichowi: „Jeśli chodzi o Enna, to proszę się nie martwić, złapie go panu, bo to mój stary przyjaciel”. I dostałem to zlecenie i pieniądze na wydatki, i siedzę teraz tu u pani, pani Häberle, a Enno krząta się po sklepie i wszystko jest w najlepszym porządeczku...

Przez chwilę milczą oboje, Barkhausen wyczekująco, pani Häberle zamyślona.

A potem ona mówi: – Gestapo nie otrzymało więc jeszcze od pana żadnej wiadomości?

– Gdzie tam, wcale mi do nich nie pilno, nie chce popsuć sobie interesu! – Poprawił się: – Najpierw chciałem dać znać mojemu staremu przyjacielowi Ennowi...

I znów milczą. I znów to pani Hete pyta w końcu: – A co Gestapo obiecało panu w nagrodę?

– Tysiąc marek! To przecie kupa pieniędzy za takie nic, muszę przyznać, pani Häberle, że sam byłem zdumiony. Ale komisarz Escherich powiedział mi: „Przyprowadź mi pan tego Klugego, to zapłacę panu tysiąc marek”. Tak powiedział Escherich. I przyznał mi też sto marek

na wydatki, jużem je dostał, one należom sie dodatkowo do tego patyka nagrody.

Długo siedzieli w zamyśleniu.

A potem pani Hete znowu podjęła rozmowę: – Nie bez powodu powiedziałam panu wcześniej to o papużkach, panie Barkhausen. Bo jak zapłacę panu tysiąc marek...

– Dwa tysiące, pani Häberle, między przyjaciółmi to będzie dwa tysiące. I do tego jeszcze sto marek na wydatki...

– A więc, nawet gdybym je panu zapłaciła, a pan przecież wie, że pan Kluge nie ma pieniędzy, a mnie nic z nim nie łączy...

– No, no, pani Häberle! Pani, taka przyzwoita kobita! Chyba z powodu krzty piniędzy nie wyda pani swojego przyjaciela, który czołgał sie za panią na kolanach? A mogie pani powiedzieć, że tu chodzi o najgorsze, o zdradę stanu i szubienice. Z pewnością pani tego nie robi, pani Häberle!

Mogła mu odpowiedzieć, że on, prosty, uczciwy Niemiec, jak najbardziej był w stanie zrobić to, czego ona jako przyzwoita Niemka w żadnym wypadku robić nie powinna, a mianowicie sprzedać swojego przyjaciela. Lecz wiedziała przecież, że tego rodzaju uwagi nie miały żadnego sensu, tego rodzaju ludzie ich nie rozumieją.

Powiedziała więc: – A więc gdybym zapłaciła te dwa tysiące sto marek, kto mi zagwarantuje, że papużki mimo wszystko nie zostaną w klatce? – Widząc, że on znowu drapie się po głowie zakłopotany, postanowiła też być bezczelna: – A więc kto mi zagwarantuje, że nie weźmie pan moich dwóch tysięcy stu marek i nie pójdzie potem do tego Eschericha, i nie weźmie od niego jeszcze tysiąca?

– Ależ ja to pani gwarantuje, pani Häberle! Daje pani moje słowo. Jestem prosty, szczerzy człowiek, i jeśli coś obiecuje, to dotrzymuje słowa. Przecie widzi pani, zem przybiegł od razu do Enna i zem go ostrzegł o niebezpieczeństwie, coby dał drapaką ze sklepu. A przecie wtedy cały

interes były do chrzanu.

Pani Hete popatrzyła na niego z delikatnym uśmiechem. – Wszystko to bardzo pięknie, panie Barkhausen – powiedziała. – Ale właśnie dlatego, że jest pan takim dobrym przyjacielem Enna, to zrozumie pan, że muszę być pewna jego bezpieczeństwa. O ile w ogóle uda mi się zdobyć tyle pieniędzy.

Barkhausen wykonał lekceważący gest, którym sugerował, że takiej kobiecie jak ona na pewno ich nie brakuje.

– Nie, panie Barkhausen – kontynuowała pani Hete, gdyż zorientowała się, że on nie rozumie ironii, i musi mówić z nim zupełnie otwarcie – kto mi zagwarantuje, że nie weźmie pan teraz moich pieniędzy...

Barkhausena podnieciła myśl, że mogłby tę oszałamiającą, nigdy niewidzianą na oczy kwotę dwóch tysięcy marek otrzymać już teraz, zaraz...

– ...a tam, pod drzwiami, nie będzie czekać agent Gestapo, który zamknie Enna? Muszę otrzymać od pana inne gwarancje!

– Ale pod drzwiami nikogo nie ma, przysięgam pani, pani Häberle! Ja naprawdę jestem uczciwy człowiek, po co miałbym panią kłamać?! Przeszedłem tutaj prosto z domu, może pani spytać moją Otti!

Przerwała podekscytowanemu rozmówcy: – Niech się pan zastanowi, jaką gwarancję może mi pan jeszcze dać, poza pańskim słowem?

– Ale przecie nie ma innej gwarancji! Przecie to taki właśnie interes, że cały opiera się wyłącznie na zaufaniu. A przecie ma pani do mnie zaufanie, pani Häberle, skoro ja tak otwarcie z panią rozmawiam?

– Tak, zaufanie... – odpowiedziała pani Häberle w roztargnieniu, po czym oboje popadli w długie milczenie, on po prostu czekając, co ona postanowi, a ona łamiąc sobie głowę, w jaki sposób mogłaby uzyskać choć minimum pewności.

W tym czasie Enno Kluge krzątał się po sklepie. Obsługiwał

pojawiających się coraz liczniej klientów szybko i całkiem zrećnie, zdobywał się nawet na żarciki. Pierwszy lęk, który poczuł na widok Barkhausena, już wywietrzył. Hete siedziała w pokoju i rozmawiała z Barkhausenem, już ona uporządkuje jakoś tę sprawę. A ponieważ to robiła, to znaczyło, że wcale nie mówiła poważnie, gdy groziła mu wyrzuceniem. Poczł z tego powodu ulgę i dlatego stać go było znowu na żarciki.

W pokoju na tyłach sklepu pani Häberle przerwała trwające od dłuższego czasu milczenie: – A więc, panie Barkhausen, ja już się zastanowiłam. Zrobię z panem interes tylko na następujących warunkach...

– Tak? Niech pani mówi! – naciskał chciwie Barkhausen. Czł, że nagroda jest już blisko.

– Dam panu dwa tysiące marek, ale nie dam ich panu tutaj. Dam je panu w Monachium.

– W Monachium? – wytrzeszczył głupkowato oczy. – Ale ja sie nie wybieram do Monachium! Co miałym tam robić?

– Pójdziemy teraz razem na pocztę – kontynuowała – a ja wypiszę na pana przekaz pocztowy na dwa tysiące marek: poste restante Monachium. A potem odprowadzę pana na dworzec. Pojedzie pan najbliższym pociągiem do Monachium i odbierze tam pieniądze. Na Dworcu Anhalckim dam panu jeszcze dwieście marek na podróż, oprócz biletu...

– Nie! – wykrzyknął rozgoryczony Barkhausen. – Nie zrobię tego! Nie zgadzam sie! Jak tylko pojedę do Monachium, to pani wycofa przekaz na pocztę!

– Przy odjeździe pociągu dam panu dowód wpłaty, wtedy nie będę mogła tego zrobić.

– Ale Monachium? – wykrzyknął znowu. – Po co Monachium? Przecie jesteśmy uczciwymi ludźmi! Dlaczego nie tutaj, tera zara, w tym sklepie, i gotowe! Do Monachium i z powrotem, na to potrzeba co najmniej dwóch dni i jednej nocy, a tymczasem Enno oczywiście stąd zwieje!

– Ależ, panie Barkhausen, przecież tak się właśnie umówiliśmy i dlatego daję panu te pieniądze! Papużka nie może zostać w klatce. To znaczy Enno musi się ukryć, za to przecież zapłacę panu te dwa tysiące marek!

Barkhausen, który nie wiedział, co na to odpowiedzieć, mruknął ponuro: – Ale sto marek na wydatki tyż dostane!

– Dostanie pan. W gotówce. Na dworcu.

Lecz i to zapewnienie nie poprawiło Barkhausenowi humoru. Wciąż miał kwaśną minę. – Monachium! Jeszcze nie słyszałem większej bzdury! A wszystko mogłoby być tak pięknie proste. A tu Monachium! Akurat Monachium! A czemu nie od razu Londyn, mógłbym tam pojechać po wojnie! I wszystko zepsute! To mogło być takie proste, ale nie, trzeba wszystko skomplikować! A dlaczego? Bo pani nie ma zaufania do swoich bliźnich, bo jest pani podejrzliwym człowiekiem, pani Häberle! A ja byłem wobec pani taki szczerzy...

– I ja jestem wobec pana szczerzy! Albo robimy taki interes, albo żaden!

– No cóż! – powiedział. – W takim razie mogę sobie pójść. – Wstał, wziął swoją cyklistówkę. Ale nie poszedł. – Jak dla mnie Monachium w ogóle nie wchodzi w rachubę...

– To może być dla pana całkiem interesująca wycieczka – przekonywała go pani Häberle. – Trasa jest piękna, a w Monachium wciąż można dobrze zjeść i dobrze wypić. Tam jest o wiele mocniejsze piwo niż u nas, panie Barkhausen!

– Nie interesuje mnie picie – odparł, ale już nie tak ponuro, tylko w zamyśleniu.

Pani Hete patrzyła na niego, jak łamie sobie głowę nad tym, jak to zrobić, żeby wziąć pieniądze i mimo wszystko wydać Enna. Ponownie przemyślała swoją propozycję. Wydawała się dobra. Mieliby Barkhausena z głowy przez co najmniej dwa dni i jeśli dom rzeczywiście nie był pod

obserwacją (o czym przekonaliby się wystarczająco szybko), to byłoby dość czasu, żeby Enna gdzieś ukryć.

– No cóż – powiedział w końcu Barkhausen i popatrzył na nią. – Inaczej się pani nie zgodzi, pani Häberle?

– Nie – odparła pani Hete. – Takie są moje warunki i nie odstąpię od nich.

– W takim razie muszę się zgodzić – powiedział Barkhausen. – Nie mogię przecie tak po prostu zlekceważyć dwóch patoli.

Powiedział to bardziej do siebie, chcąc się sam przed sobą usprawiedliwić.

– W takim razie pojedę do Monachium. A pani pójdzie tera zara ze mną na pocztę.

– Teraz zaraz – powiedziała zamyślona pani Häberle. Mimo że się zgodził, wciąż nie była zadowolona. Była absolutnie przekonana, że on szukuje jakąś podłość. Musiała się dowiedzieć jaką...

– Tak, zaraz pójdziemy – powtórzyła. – To znaczy najpierw muszę się trochę ogarnąć, no i zamknąć sklep.

Rzucił szybko: – A po co chce pani zamykać sklep, pani Häberle? Przecież Enno tam jest!

– Enno idzie z nami – stwierdziła.

– A to po co znowu? Enno przecie nie ma z naszym interesem nic wspólnego!

– Bo ja tak chcę. Mogłoby się mianowicie zdarzyć tak – dodała – że zostanie aresztowany dokładnie w tym momencie, gdy będę wpłacać dla pana pieniądze. Takie pomyłki się zdarzają, panie Barkhausen.

– Ale kto miałby go aresztować?

– Cóż, na przykład ten szpicel pod drzwiami...

– Pod drzwiami nie ma żadnego szpicla! – Uśmiechnęła się. – Może sie pani sama przekonać, pani Häberle. Niech pani sie przejdzie, niech

pani sie wszystkim przyjrzy. Nie mam żadnego szpicla pod drzwiami!
Jestem uczciwy człowiek...

Powtórzyła z uporem: – Chcę mieć Enna przy sobie. Tak będzie bezpieczniej.

– Jest pani uparta jak stary osioł! – wymknęło mu się z wściekłości.
– No, dobrze już, niech Enno też idzie. Ale nie sie pani trochi pośpieszy!

– Aż tak bardzo nam się nie śpieszy – odparła. – Pociąg do Monachium odjeżdża dopiero o dwunastej. Mamy czas. Niech pan mi wybaczy na kwadrans, chciałabym się przyszykować. – Spojrzała na niego badawczo, gdy tak siedział przy stole, cały czas uważnie wpatrzony w szybę, przez którą mógł obserwować wnętrze sklepu. – I mam jeszcze jedną prośbę, panie Barkhausen. Niech pan teraz nie rozmawia z Ennem, ma sporo roboty w sklepie. A tak w ogóle...

– A o czym ja miałbym rozmawiać z takim idiotą! – odparł poirytowany Barkhausen. – Z tym głędą nie mam zamiaru zamienić ani słowa!

Ale posłusznie usiadł inaczej i miał teraz na widoku drzwi do pokoju i okno na podwórze.

ROZDZIAŁ 30.

Wygnanie Enna

Dwie godziny później wszystko było już załatwione. Pociąg pośpieszny do Monachium wytoczył się z hali Dworca Anhalckiego z Barkhausenem w przedziale klasy drugiej, z komicznie dumnym i napsuszonym Barkhausenem, który po raz pierwszy w życiu korzystał z przedziału drugiej klasy. Tak, pani Häberle, która też potrafiła się puszyć, już w pociągu wniosła na prośbę tego małego szpicla dodatkową opłatę za drugą klasę, żeby podtrzymać jego dobry nastrój, a może dlatego, że po prostu cieszyła się, że pozbędzie się tego człowieka na co najmniej dwa dni.

A gdy przeciskali się powoli razem z innymi odprowadzającymi przez barieryki, powiedziała cicho do Enna: – Poczekaj chwilę, Enno, usiądziemy sobie na trochę w poczekalni i zastanowimy się, co dalej.

Usiedli więc tak, żeby mieć na oku drzwi wejściowe. Poczekalnia nie była zatłoczona, przez dłuższy czas po nich nikt nie wchodził.

Pani Hete zapytała: – Enno, czy słuchałeś tego, co ci mówiłam? Myślisz, że ktoś nas śledził?

A Enno Kluge z typową dla siebie lekkomyślnością, gdy tylko minęło nagłe zagrożenie: – A skąd! Śledził? Myślisz, że ten idiota Barkhausen znalazłby kogoś, kto by go słuchał? Mowy nie ma! Nikt nie jest aż tak głupi!

Miała na końcu języka uwagę, że uważa owego Barkhausena z jego przebiegłością i podejrzliwością za znacznie inteligentniejszego od małego, tchórzliwego i lekkomyślnego mężczyzny u swego boku. Nic

jednak nie powiedziała. Przysięgła sobie rano, gdy się ubierała, że koniec z wszelkimi wyrzutami. Jej zadanie polegało już tylko na tym, żeby zapewnić Ennowi Klugemu bezpieczeństwo. Po wykonaniu tego zadania nie chce go już nigdy więcej widzieć.

Ogarnięty wciąż tą samą myślą, która dręczyła go od godziny, rzucił pełen zawiści: – Gdybym był na twoim miejscu, nigdy nie zapłaciłbym temu facetowi dwóch tysięcy stu marek. A do tego jeszcze dwieście pięćdziesiąt marek na koszty podróży. I jeszcze bilet i opłata dodatkowa. Dałaś mu ponad dwa tysiące pięćset, takiej świni! Nigdy bym tak nie zrobił!

Zapytała: – A co by z tobą było, gdybym tego nie zrobiła?

– Gdybyś to *mnie* dała dwa tysiące pięćset marek, to zobaczyłabyś, jak ja elegancko załatwiłbym tę sprawę! Możesz mi wierzyć, że Barkhausen zadowoliliby się pięcioma setkami!

– Przecież Gestapo obiecało mu tysiąc!

– Tysiąc? Koń by się uśmieł! Jakby ci z Gestapo rozdawali takie pieniądze! I to jeszcze takiemu małemu szpiclowi jak Barkhausen! Muszą mu tylko wydać rozkaz, a on musi robić, co chcą, za pięć marek dniówki! Tysiąc, dwa tysiące pięćset. No to nieźle cię oskubał, Hete!

Zaśmiała się drwiąco.

Zraniła ją jego niewdzięczność. Lecz nie miała ochoty wdawać się z nim w dyskusje. Powiedziała tylko nieco ostrym tonem: – Nie chcę już o tym rozmawiać! Nie chcę, rozumiesz? – Tak długo się w niego wpatrywała, aż spuścił swoje blade oczy. – Lepiej zastanówmy się teraz, co z tobą zrobimy.

– Ach, mamy na to jeszcze czas – powiedział. – On wróci najwcześniej pojutrze. Wróćmy teraz do sklepu, do tej pory na pewno coś wymyślimy.

– Nie wiem, właściwie to nie chciałabym zabierać cię z powrotem do sklepu, najwyżej po to, żeby cię spakować. Jestem taka niespokojna.

Może jednak ktoś nas śledził?

– Przecież ci mówię, że nie! Lepiej się na tym znam niż ty! A Barkhausen nie może mieć szpiega, bo on nigdy nie ma pieniędzy!

– Ale Gestapo mogło mu jakiegoś wyznaczyć!

– I szpicel z Gestapo przyglądałby się, jak Barkhausen odjeżdża do Monachium, a ja odprowadzam go na pociąg! Nie ma mowy, Hete!

Musiała przyznać, że ten argument był trafny. Ale niepokój pozostał. Zapytała: – A nie zwróciło twojej uwagi to z papierosami?

Nie pamiętał już. Musiała mu najpierw przypomnieć, jak Barkhausen, gdy tylko wyszli z domu, zaczął wszędzie szukać papierosów, przecież musiał mieć jakieś przy sobie. Próbował więc wycygnąć je od Hete i Enna. Ale oni też żadnych nie mieli, Enno wypalił wszystkie w nocy. Barkhausen upierał się jednak, że musi jakieś mieć, nie mógł wytrzymać, był przyzwyczajony do papieroska z rana. Szybko „pożyczył” od Hete dwadzieścia marek i zawołał jakiegoś starszego chłopca, który hałaśliwie bawił się na ulicy.

– Ty tam, słuchaj mały, nie znasz tu kogoś, co by można dostać fajki? Ale kartek na tytuń ni mam.

– Może i kogoś znam. A piniądze mata?

To był jasnowłosa, błękitnooki chłopiec w mundurku Hitlerjugend, ten, z którym Barkhausen rozmawiał, prawdziwa, jasnowłosa berlińska latorośl.

– No to dajta dwudziestaka, a ja przynieść..

– I zapomnisz wrócić! Nie, ide z tobą. To tylko chwilka, pani Häberle!

I obaj zniknęli w jakiejś kamienicy. Po chwili Barkhausen wyszedł sam i bez proszenia zwrócił pani Hete dwadzieścia marek.

– Nie mieli. Ten smarkacz chciał mię oczywiście okantować na te dwie dychy. Ale żem mu przywalił i leży se tera tam na podwórzu!

Poszli dalej, na pocztę i do kasy biletowej.

– No i co ty w tym widzisz dziwnego, Hete? Barkhausen jest taki jak ja. Jak go ssie, to gotów zaczepić na ulicy nawet jakiegoś generała, żeby go poprosić o peta!

– Ale potem nie powiedział już o papierosach ani słowa, mimo że żadnych nie zdobył! To jest dziwne. Chyba że coś kombinował z tym chłopakiem?

– A co miałby z nim kombinować, Hete? Przywalił mu, to pewne.

– A może to właśnie ten pętaś nas śledzi?

Enno Kluge spłoszył się na chwilę. Ale potem odparł z typową dla siebie lekkomyślnością: – Ależ ty sobie cuda wyobrażasz! Chciałbym mieć takie problemy jak ty!

Zamilkła. Ale niepokój wciąż w niej tkwił, więc uparła się, że teraz pójdą do sklepu tylko na chwilę, żeby zabrać jego rzeczy. Potem chciała z zachowaniem wszelkiej ostrożności ukryć go u swojej przyjaciółki.

Jemu zupełnie to nie pasowało. Czuł, że ona chce się go pozbyć. A on nie chciał odchodzić. Zapewniała mu bezpieczeństwo, dobrą wyżerkę i akurat tyle pracy, ile mu pasowało. I do tego miłość, ciepło i pociechę. A poza tym była kurą znoszącą złote jajka, Barkhausen właśnie oskubał ją na dwa tysiące pięćset marek, teraz kolej na niego!

– Ta twoja przyjaciółka – powiedział niezadowolony. – Co to za kobieta? Nie lubię mieszkać u obcych.

Hete mogła mu powiedzieć, że ta przyjaciółka to dawna współpracownica jej męża, że nadal po cichutku działa i że każdy prześladowany może się u niej schronić. Lecz nie ufała już teraz Ennowi, kilka razy widziała jego tchórzostwo, nie powinien zbyt wiele wiedzieć.

– Moja przyjaciółka? – odpowiedziała. – To taka kobieta jak ja. W moim wieku. Może parę lat młodsza.

– A co ona robi? Z czego żyje? – dopytywał się dalej.

– Nie wiem dokładnie, chyba jest gdzieś sekretarką. Poza tym jest

niezameżna.

– Jak jest w twoim wieku, to chyba byłaby już pora – odparł drwiąco. Wzdrygnęła się, lecz nic nie odpowiedziała.

– Nie, Hete – powiedział, nadając swojemu głosowi czuły ton. – Co miałbym robić u tej twojej przyjaciółki? My dwoje, sami, to przecież jest najpiękniejsze. Pozwól mi zostać u ciebie. Barkhausen wróci dopiero pojutrze, więc przynajmniej do tej pory!

– Nie, Enno! – odparła. – Chciałabym, żebyś robił teraz to, co powiem. Sama pójdę do domu i cię spakuję. Ty możesz poczekać w jakiejś knajpie. A potem razem pojedziemy do mojej przyjaciółki.

Chciał jeszcze oponować, ale w końcu się poddał. Poddał się, gdy ona – nie bez wyrachowania – powiedziała: – Będiesz też potrzebować pieniędzy. Włożę ci pieniądze do walizki, wystarczającą ilość, żebyś przynajmniej na razie nie biedował.

Perspektywa znalezienia wkrótce pieniędzy we własnej walizce (a przecież nie mogła mu dać mniej niż dała Barkhausenowi!), ta perspektywa skusiła go i przekonała. Gdyby został u niej przez te dwa dni, pieniądze miałyby dopiero pojutrze. On jednak wolał od razu się dowiedzieć, ile mu przeznaczyła.

Patrzyła smutnym wzrokiem, co sprawiło, że się opamiętał. Sam przyczynił się do tego, że umarły w niej resztki szacunku i miłości. Lecz ona pogodziła się z tym bez szemrania. Z doświadczenia od dawna wiedziała, że za wszystko w życiu trzeba płacić, a za większość rzeczy więcej, niż były warte. Najważniejsze było, żeby jej teraz posłuchał.

Gdy pani Hete Häberle zbliżała się do swojego domu, znowu ujrzała jasnowłosego, niebieskookiego chłopca, który szalał po ulicy ze zgrają rówieśników. Przestraszyła się. A potem przywołała go do siebie: – A co ty tu jeszcze robisz? – zapytała. – Musisz się bawić akurat tutaj?

– Dyc ja tu mieszkam! – odpowiedział. – To gdzie niby mam się

bawić?

Wypatrywała śladów uderzenia na jego twarzy, ale nic takiego nie zauważyła. Pętał najwyraźniej jej nie rozpoznał, podczas swojej rozmowy z Barkhausenem pewnie nie zwrócił na nią uwagi. W takim razie nie mógł być szpiclem.

– Mieszkasz tutaj? – zapytała. – Nigdy dotąd nie widziałam cię tu na ulicy.

– To moja wina, żeś paniusia ślepa?! – zapytał beczelnie. Gwizdnął przeraźliwie na palcach. Krzyknął w górę domu: – Matka, wyjrzyjta przez okno! Jest tu taka paniusia, co nie wierzy, że tu zezujesz! Matka, pozezuj no tu trochi!

Pani Hete ze śmiechem pobiegła do sklepu całkiem już przekonana, że jeśli chodzi o tego chłopca, to miała jakieś zwidy.

Ale przy pakowaniu znowu spowaźniała. Naszły ją wątpliwości, czy słusznie postępuje, wysyłając Enna do swojej przyjaciółki Anny Schönlein. Oczywiście Anna co dzień ryzykowała życie z powodu każdego nieznanego, którego przyjmowała pod swój dach. Ale pani Hete czuła, że w przypadku Enna Klugego podrzuca Annie prawdziwe kukułcze jajo. Choć Enno faktycznie wyglądał na przestępcę politycznego, a nie zwykłego, co potwierdził nawet Barkhausen, to jednak...

Był taki lekkomyślny, nie tyle z głupoty, ile z całkowitej obojętności wobec losów swoich bliźnich. W ogóle go nie interesowało, co się z nimi stanie. Zawsze myślał wyłącznie o sobie i byłby gotów codziennie przybiegać do niej, do Hete, nawet i po dwa razy, pod pretekstem, że za nią tęskni, ściągając w ten sposób niebezpieczeństwo na głowę Anny. Ona, Hete, miała nad nim władzę, ale Anna nie.

Hete Häberle z ciężkim westchnieniem wsuwa trzysta marek do koperty, którą wkłada do walizki. Tego dnia wydała więcej, niż zdołała oszczędzić przez dwa lata. Lecz poniesie jeszcze dalsze ofiary, obieca

Ennowi sto marek za każdy dzień, w którym nie wyściubi nosa z mieszkania jej przyjaciółki. Niestety, on jest właśnie taki, że ona może mu złożyć taką propozycję. Nie będzie urażony, najwyżej uda trochę urażonego w pierwszej chwili. Ale to zatrzyma go w domu, jest taki łasy na pieniądze.

Pani Hete wychodzi z domu z walizką w rękę. Jasnowłosy chłopiec nie bawi się już na ulicy, może jest teraz u swojej zezującej matki. Pani Hete idzie do knajpy na Alexanderplatz, gdzie ma się spotkać z Ennem.

ROZDZIAŁ 31.

Emil Barkhausen i jego syn Kuno-Dieter

Owszem, Barkhausen czuł się bardzo dobrze w tym wspaniałym pociągu pośpiesznym, w wytwornym przedziale drugiej klasy z oficerami, generałami i damami, które tak pięknie pachniały. W ogóle mu nie przeszkadzało, że sam nie jest ani elegancki, ani pięknie pachnący, a rzucane mu przez współpasażerów spojrzenia wcale nie są przyjazne. Barkhausen był przyzwyczajony do nieprzyjaznych spojrzeń. W jego pożałowania godnym życiu chyba nikt nigdy nie obdarzył go przyjaznym spojrzeniem.

Barkhausen napawał się tą krótką chwilą szczęścia, bo naprawdę była krótka. Nie musiała trwać aż do Monachium owa chwila szczęścia, nawet nie do Lipska, jak się początkowo obawiał, lecz tylko do Lichterfelde^[53], gdyż pociąg ten zatrzymywał się jeszcze w Lichterfelde. To był błąd w kalkulacji pani Hete. Wcale nie trzeba od razu jechać do Monachium, gdy ma się tam pieniądze do odebrania. Można to zrobić później, jak się już załatwi pilniejsze sprawy w Berlinie. A najpilniejszą sprawą było teraz powiadomienie Eschericha o Ennie i skasowanie pięciuset marek. Poza tym może w ogóle nie trzeba będzie jechać do Monachium, wystarczy napisać pocztę, żeby przesłali pieniądze do wypłaty tutaj, do Berlina. W każdym razie natychmiastowa wyprawa do Monachium nie wchodziła w rachubę.

Tak więc Emil Barkhausen, nie bez lekkiego żalu, wysiadł z pociągu w Lichterfelde. Odbył jeszcze tylko drobną, lecz ożywioną dyskusję z dyżurnym ruchem, który nie potrafił zrozumieć, że ktoś może się w

[53] Lichterfelde – poddzielnica na południu Berlina.

pociągu między Dworcem Anhalckim a Lichterfelde rozmyślić w kwestii podróży do Monachium. Ten cały Barkhausen w ogóle wydał się owemu człowiekowi w najwyższym stopniu podejrzany.

Barkhausen pozostał jednak niewzruszony: – Niech pan tylko zadzwoni na Gestapo, do komisarza Eschericha, a przekona się pan, kto ma rację, panie zawiadowco! Tyle że se pan narobisz trudności! Jestem tu służbowo!

W końcu zawiadowca w czerwonej czapce ze wzruszeniem ramion kazał mu zwrócić za bilet, było mu wszystko jedno. Dzisiaj wszystko jest możliwe, możliwe też, że takie podejrzane indywidua działają na zlecenie Gestapo. Tym gorzej!

Emil Barkhausen natomiast wyruszył na poszukiwanie syna.

Lecz nie znalazł go w sklepie zoologicznym Hete Häberle, mimo że sklep był otwarty, a klienci wchodzili i wychodzili. Ukryty za słupem ogłoszeniowym Barkhausen ze wzrokiem utkwionym w drzwi sklepu zastanawiał się, co się mogło wydarzyć. Czy Kuno-Dieter opuścił posterunek po prostu z nudów? A może Enno wyszedł, może znowu poszedł do knajpy Pod Przegrany Koniem? A może ten chuderlak już całkiem się wyniół, a właścicielka jest w sklepie sama?

Emil Barkhausen rozważał nawet, czy nie powinien pokazać się bezczelnie przechytrzonej pani Häberle i zażądać od niej informacji, gdy zagadnął go jakiś na oko dziewięcioletni urwis: – Pan słucha! Pan jest tatko Kuna?

– To ja! O co chodzi?

– Ma mi pan dać jedną markie!

– Po co miałbym ci dać markie?

– Cobym panu powiedział, co wim!

Barkhausen szybko chwycił chłopca. – Najpierw towar, potem pieniądze! – powiedział.

Lecz chłopak był szybszy od niego, prześlizgnął mu się pod ramieniem i zawołał: – Nie to nie! Zatrzymaj se pan te markie! – I z powrotem dołączył do bawiących się rówieśników, którzy szaleli na ulicy tuż przed sklepem.

Barkhausen nie mógł za nim pójść, nie chciał przecież zwracać na siebie uwagi. Wołał i gwizdał za chłopcem, przeklinał go jednocześnie ze swoją własną – tak niestosowną w owym momencie – oszczędnością. Lecz chłopak nie dawał się tak łatwo skusić; pojawił się obok Barkhausena dopiero dobry kwadrans później, ustawił się ostrożnie w pewnej odległości od rozgniewanego mężczyzny i obwieścił beczelnie: – Tera to kosztuje już dwie marki!

Barkhausen najchętniej złapałby pętaka i porządnie dał mu w skórę, lecz cóż miał robić? Chłopak trzymał go w szachu, bo on nie mógł za nim pobiec. – Dam ci jedną markie – odparł ponuro.

– Nie! Dwie marki!

– Dobra, dostaniesz dwie marki!

Barkhausen wyciągnął z kieszeni plik banknotów, znalazł dwumarkowy banknot, schował resztę i wyciągnął banknot w stronę chłopca.

Ten potrząsnął głową. – Ja pana znam! – powiedział. – Jak wezmę pieniądze, to mnie pan chyci. Nie, pan kładzie je na chodnik!

Z ponurą miną, lecz bez słowa Barkhausen zrobił, co chłopak kazał. – No? – powiedział, wyprostował się i cofnął o krok.

Chłopak powoli podchodził do banknotu, ani na chwilę nie spuszczał uważnego spojrzenia z Barkhausena. Gdy pochylał się po pieniądze, Barkhausen miał wielką ochotę złapać go i sprać. Zdołałby go chwycić, ale oparł się tej pokusie, mógł potem nie uzyskać żadnej informacji, a ten pętak pewnie tak by się darł, że zbiegłaby się cała ulica.

– No? – zapytał jeszcze raz, tym razem groźnym tonem.

Chłopiec odpowiedział: – Tera to ja mogie być świnia i znowu chcieć

od pana pieniędzy, a potem jeszcze raz. Ale ja taki nie jezdem. Ja wim, że mi pan chciał dać w skórę, ale ja to nie jezdem taka świnia! – A potem, gdy już należycie przedstawił swą wyższość moralną nad Barkhausenem, rzucił szybko: – Pan ma czekać w swoim domu na wiadomość od Kuna! – I już go nie było.

Bite dwie godziny, przez które Barkhausen musiał czekać w swojej suterenie na wiadomość od Kuna, wcale nie złagodziły jego gniewu, nie, wręcz go pogłębiły. Bachory wrzeszczały, a Otti nie szczędziła kąśliwych uwag o leniwych świniach, które siedzą cały dzień i nic nie robią, tylko palą papierosy i całą robotę zostawiają na głowie kobiecie.

Mógł wyciągnąć dziesięć czy pięćdziesiąt marek i zmienić paskudny humor Otti w najcudowniejszy przyjemny, ale nie chciał. Nie chciał znowu rozdawać pieniędzy, dopiero co zmarnował dwie marki na durną wiadomość, której sam mógł się domyślić. Był wściekły na Kuna-Dietera, że nasłał na niego tego małego spryciarza, który na pewno coś przekreśli! Mocno sobie postanowił, że Kuno-Dieter dostanie cięgi, od których wykręcił się tamten smarkacz.

A potem ktoś zastukał do drzwi i zamiast oczekiwanego posłańca od Kuna-Dietera pojawił się w nich cywil, w którym jednak łatwo można było rozpoznać byłego feldfebla^[54].

– Pan jest Barkhausen?

– Tak, o co chodzi?

– Ma się pan stawić u komisarza Eschericha. Niech się pan przygotuje, odprowadzę pana.

– Tera nie mogię – zaprotestował Barkhausen. – Czekam na posłańca. Niech pan przekaże komisarzowi, że złapałem rybkę.

– Mam pana zabrać do komisarza – odparł niewzruszenie były

[54] Feldfebel – niem. podoficerski stopień wojskowy, odpowiednik sierżanta (wachmistrza).

feldfebel.

– Nie tera! Nie pozwolę wam popsuć mi interesu! Nie wam, braciszku! – Barkhausen był rozgniewany, ale się opanował. – Niech pan powie komisarzowi, że mam tego ptaszka i że jeszcze dziś do niego zajrzę!

– Niech pan mi tu nie opowiada historyjek, tylko idzie ze mną! – powtórzył uparcie feldfebel.

– Na pamięć się pan wyuczył tego „Pan pójdzie ze mną” i nic innego nie potrafi pan z siebie wydusić? – wykrzyknął rozgniewany Barkhausen. – Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? W kółko tylko „Pan pójdzie ze mną!”, „Pan pójdzie ze mną!”. Nie możesz skumać, jak ci mówię, że czekam na wiadomość i muszę tu siedzieć, bo inaczej zajaczek wymknie mi się z sideł? To dla ciebie za trudne? – Popatrzył na swojego interlokutora nieco zziąjany. A potem dodał z kwaśną miną: – A tego zajaczkę mam złapać właśnie dla komisarza, rozumie pan już?

Były feldfebel odparł spokojnie: – Nic mi o tym nie wiadomo. Komisarz powiedział mi tak: Fritsche, przyprowadź Barkhausena. Więc niech pan wreszcie ze mną pójdzie!

– Nie! – powiedział Barkhausen – Za dumny jesteś jak dla mnie. Zostaje, chyba że chcesz mnie aresztować? – Poznał po nim, że nie może tego zrobić. – To się odwal! – wykrzyknął, zamykając mu drzwi przed nosem.

Trzy minuty później zobaczył, jak stary feldfebel drepcze przez podwórze, na nic mu się zdało to całe „Pan pójdzie ze mną”!

Lecz gdy tylko feldfebel zniknął w bramie wjazdowej kamienicy, Barkhausena ogarnął lęk przed skutkami, jakie może mieć jego bezczelne zachowanie wobec wysłannika potężnego komisarza. To wszystko przez tę złość na Kuna-Dietera. To bezczelność kazać własnemu ojcu czekać godzinami, może nawet do późna w nocy. Przecież wszędzie kręca

się jakieś urwisy, na każdym rogu można znaleźć kogoś, żeby posłać go z wiadomością! Ale już on pokaże temu Kunowi, co sądzi o jego zachowaniu, nie będzie sobie smarkacz bezkarnie robić takich żartów!

Barkhausen zaczął się wręcz rozkoszować fantazjami, jak to zleje chłopaka. Już widział siebie, jak bije to dziecięce jeszcze ciało, a na jego twarzy rozlał się uśmiech, lecz nie był to uśmiech opadającej wściekłości... Słyszał jego krzyki i położył mu dłoń na rozkrzyczanych ustach, podczas gdy druga biła dalej, biła i biła, aż chłopak cały drżał, a z jego ust dobywały się już tylko jęki...

Barkhausen mógł wyobrażać sobie takie sceny bez końca. Wyciągnął się przy tym na kanapie i westchnął lubieżnie.

Przeszkodził mu chłopak, posłaniec od Kuna-Dietera, który w końcu zastukał do drzwi. – Co jest? – zapytał krótko.

– Mam pana zaprowadzić do Kuna.

Tym razem był to starszy chłopiec, czternasto – czy piętnastoletni, w bluzie Hitlerjugend.

– Ale w pierwszej da mi pan piątaka.

– Piątaka! – ryknął Barkhausen, choć nie śmiał sprzeciwić się otwarcie temu drągałowi w brunatnej koszuli. – Piątaka! No, chłopcy, nieźle szastacie moimi pieniędzmi! – Zaczął grzebać między banknotami.

Wysoki chłopak z Hiderjugend z napięciem wpatrywał się w trzymany przez niego plik banknotów. – Wydałem na bilet – powiedział. – A zresztą myśli pan, że nie mam co robić, tylko marnować czas, żeby przyjeżdżać tutaj aż z zachodniej części miasta?

– A czas to pieniądz, tak? – Barkhausen wciąż nie znalazł banknotu o odpowiednim nominale. – Zachodnia część miasta, powiadasz, ale to sie nie zgadza! A co to według ciebie jest zachodnia część miasta? Może chodzi ci o centrum, to by jeszcze jakoś pasowało!

– No, jeśli Ansbacher StraÙe nie jest w zachodniej...

Chłopak zbyt późno pojął, że się wygadał. Barkhausen już zdążył schować banknoty. – Dziękuję! – roześmiał się drwiąco. – Nie musisz już więcej marnować swojego cennego czasu. Sam sobie poradzę. Najlepiej będzie pojechać metrem do Viktoria-Luise-Platz, prawda?

– Nie zrobi mi pan tego! Nie zrobi mi pan czegoś takiego! – powiedział smarkacz z Hitlerjugend, rzucając się na Barkhausena z zaciśniętymi pięściami. Jego ciemne oczy jaśniały gniewem. – Wydałem na bilet, ja...

– Zmarnowałeś swój cenny czas, to już wiem! – roześmiał się Barkhausen. – Spadaj, synu, własna głupota zawsze kosztuje najwięcej! – Nagle na nowo ogarnęła go wściekłość. – Czego jeszcze stoisz w moim mieszkaniu? Chcesz mnie pobić w moim własnym domu? Zjeżdżaj stąd, i to już, bo zaraz ci spuszczę manto!

Brutalnie wyciągnął rozgniewanego chłopaka z pokoju i zatrzasnął drzwi. A przez całą drogę, do chwili aż wysiedli z metra na Viktoria-Luise-Platz, raczył go na zmianę ironicznymi i gniewnymi uwagami. Chłopak nie odstępował go na krok, lecz choć aż pobladł z gniewu, to ani słowem nie reagował na wszystkie docinki.

Już na Viktoria-Luise-Platz, gdy wyszli na górę ze stacji metra, chłopak nagle puścił się biegiem i zaczął się szybko oddalać. Barkhausen musiał jak najprędzej podjąć pościg. Nie chciał, żeby chłopcy za długo ze sobą rozmawiali. Wcale nie był pewien, po czyjej stronie opowie się Kuno-Dieter, swojego ojca czy tego szelmy.

I faktycznie stali przed jednym z domów przy Ansbacher StraÙe. Chłopak z Hitlerjugend przemawiał żarliwie do Kuno-Dietera, który słuchał go ze spuszczoną głową. Gdy Barkhausen podszedł, posłaniec cofnął się o dziesięć kroków, pozwalając im swobodnie porozmawiać.

– Co ty sobie właściwie myślisz, Kuno-Dieter? – zaczął rozgniewany Barkhausen. – Źe bez końca będziesz mi nasyłać takich pętaaków, bezczelnych smarkaczy, którzy od razu żądają pieniędzy?

– Bez szmalu nikt nic nie robi, tato – odparł obojętnie Kuno-Dieter. – Sam przecie wiesz. I ja też chciałbym wiedzieć, co zarobię na tym interesie, wydałem przecie na bilet...

– Ciągłe ta sama śpiewka, że też nie przyjdzie wam do łbów nic innego! Nie, Kuno-Dieterze, teraz grzecznie powiesz wreszcie swojemu ojcu, co tu się dzieje, a potem dopiero zobaczysz, co ojciec dla ciebie zrobi. Twój ojciec nie jest taki, takiego ciągłego naciągania nie zniesie!

– Nie, tato – powtórzył Kuno-Dieter. – Boje się, że potem zapomnisz o nagrodzie. O forsie oczywiście. Po mordzie mnie obijesz, zamiast zapłacić. Dostałeś już kupę kasy za tę sprawę, a pewnie dostaniesz jeszcze więcej, tak myślę. Sterczy tu już dla ciebie cały dzień, bez żadnego jedzenia, więc też chce zobaczyć jakiś szmal. Pomyślałem sobie, że pięć dych...

– Pięć dych! – Barkhausenowi niemal zabrakło tchu, gdy usłyszał to beczelne żądanie. – Ja ci zara powiem, co ja ci dam. Dam ci pięć marek, dokładnie te pięć marek, które chciał tamten drażal, a ty się z nich bardzo ucieszysz! Nie jestem taki, ale...

– Nie, tato – powiedział Kuno-Dieter, hardo patrząc na Barkhausena swoimi błękitnymi oczami. – Zarobisz kupe szmalu na tym interesie, a ja odwalam za ciebie całą robotę, więc nie dam się zbyć pięcioma markami i tyle, bo inaczej nic ci nie powiem!

– A cóż ty mi możesz jeszcze powiedzieć! – Barkhausen roześmiał się drwiąco. – Że ten mały jest w tym domu, to już i tak wiem. A reszty sam się dowiem. Nie, jedź do domu i powiedz matce, żeby dała ci jeść! Taki całkiem durny to twój ojciec nie jest! Wy, bohaterowie!

– W takim razie idę na górę – odparł Kuno-Dieter zdecydowanym tonem – i powiem temu małemu, że go śledzisz. Wydam cię, tato!

– Ty przeklęty smarkaczu, ty...! – wykrzyknął Barkhausen i zamachnął się na syna.

Lecz ten już biegł, wbiegał w boczne wejście do kamienicy.

Barkhausen ruszył za nim, przemknął przez podwórze i dogonił go na schodach oficyny. Powalił na ziemię i zaczął bić leżącego i wierzgającego nogami syna. Było prawie tak, jak sobie to wcześniej wyobrażał na kanapie, tyle że Kuno-Dieter nie krzyczał, tylko zaciekle się bronił. To jeszcze bardziej rozgniewało Barkhausena. Z namysłem uderzył chłopaka w twarz, a potem kopał go w brzuch. – Zaraz się przekonasz, ty podlecule! – wydyszał, a przed oczami pojawiła mu się czerwona mgiełka.

Nagle poczuł, że coś chwyta go od tyłu, ktoś mocno przytrzymuje mu ramię. Coś złapało go za nogę, a potem za drugą. Obrócił się szybko. To był ten drągal z Hitlerjugend, to była cała banda pętaków, wyrostków, czterech czy pięciu chuliganów, którzy się na niego rzucili. Musiał zostawić Kuno-Dietera, musiał się bronić przed tymi pętakami, z których każdego mógłby powalić jedną ręką, ale w grupie mogli się okazać bardzo niebezpieczni.

– Banda przeklętych tchórzy! – zawołał, próbując się pozbyć chłopaka na plecach, uderzając nim o ścianę. Lecz oni oderwali mu stopy od ziemi. Przewrócili go.

– Kuno! – wydyszał. – Pomóż ojcu! Ta banda tchórzy...

Lecz Kuno nie pomógł ojcu. Właśnie wstał i to on pierwszy uderzył Barkhausena w twarz.

Z piersi mężczyzny wydobył się burczący pomruk, przypominający niemal głęboki jęk. A potem przetoczył się po ziemi, cały czas próbując uderzać uwieszonymi na nim pętakami o schody i ściany, zmiażdżyc ich i znowu wstać na nogi.

Teraz słychać było już tylko zdyszane oddechy i jęki walczących, odgłosy uderzeń, szuranie stóp... Walczyli bez słowa, z najdzikszą zaciekłością.

Jakaś starsza pani, która schodziła po schodach, zatrzymała się przerażona na widok walki toczącej się u jej stóp. Chwyciła się mocno

poręczy i zawołała bezradnie: – Ależ! Ależ nie...! Nie w naszej porządnej kamienicy!

Jej fiołkowa pelerynka zafalowała. A potem zdecydowała się i wydała z siebie okrzyk przerażenia.

Chłopcy oderwali się od Barkhausena i zniknęli. Mężczyzna usiadł i popatrzył na starszą panią dzikim wzrokiem.

– Co za banda! – wydyszał. – Chcieli pobić staruszka, a między nimi mój własny chłopak!

Na krzyk starszej pani otworzyło się kilkoro drzwi, kilku sąsiadów wysunęło się z nich lękliwie, szepcząc między sobą i zerkając na siedzącego mężczyznę.

– Oni się bili! – zapiszczała fiołkowa dama. – Oni się bili w naszej porządnej kamienicy!

Barkhausen się otrząsnął. Jeśli Enno Kluge tutaj mieszka, to najwyższa pora, żeby stąd zniknąć. W każdej chwili mógł się tu pojawić, ciekawy sprawdzić, co to za rwetes.

– Tylko trochi obsztorcowałem mojego chłopaka – wyjaśnił z krzywym uśmiechem wpatrującym się w niego w milczeniu ludziom. – Nie ma sprawy. Wszystko w porządku. Wszystko w najlepszym porządku.

Wstał i przeszedł przez podwórze, przez „ogródek”, z powrotem na ulicę, wygładzając sobie ubranie i zawiązując na nowo krawat. Po smarkaczach oczywiście nie było już ani śladu. Czekaj, czekaj, Kuno-Dieter, jeszcze mnie dziś wieczorem popamiętasz! Bić się przeciwko własnemu ojcu, pierwszemu uderzyć go w twarz! Żadna Otti na świecie niech nie próbuje stawać w jego obronie! Nie, ona też jeszcze może oberwać za to cholerne kukułcze jajo, które podrzuciła mu do gniazda!

Podczas gdy Barkhausen obserwuje kamienicę, jego gniew na Kuno-Dietera wciąż rośnie. A już niemal traci przytomność, gdy odkrywa, że te pętaki podczas walki ukradły mu z kieszeni cały plik banknotów. Zostało

tylko kilka marek w kieszonce kamizelki. Co za świnie, co to za przekłete obyczaje, żeby tak go orznać. Najchętniej z miejsca pobiegłby ich szukać, żeby zrobić z nich gulasz i odebrać swoje pieniądze!

I już rzuca się do biegu.

Lecz opanowuje się. Przecież nie może odejść! Musi tu stać, inaczej ucieknie mu jeszcze te pięćset marek! To oczywiste, że nigdy nie odzyska swoich pieniędzy od tych pęťaków, więc postara się uratować chociaż tę pięćsetkę!

Ogarnięty palącym gniewem wchodzi do niewielkiej kawiarni i dzwoni stamtąd do komisarza Eschericha. Potem wraca na swój posterunek obserwacyjny i niecierpliwie czeka na przybycie Eschericha. Ach, jakże jest niepocieszony! Zadał sobie przecież tyle trudu, a wszystko obraca się przeciwko niemu! Innym udaje się wszystko, za co się tylko wezmą, takiemu małemu bydlakowi jak Enno trafia się kobieta z pieniędzmi i pięknym sklepem, takie nic obstawia tylko konia i zaraz wygrywa, a on! Może robić, co chce, ale i tak nic mu się nie udaje. Tyle trudu zadał sobie z tą Häberle, cieszył się, że ma w końcu w kieszeni trochę pieniędzy – i już ich nie ma! Bransoletki Rosenthalowej też nie ma! Piękny włam, cały ten interes z bielizną – poszło! Za co się weźmie, to mu się nie udaje, nic mu nie wychodzi.

Pechowiec ze mnie i tyle! – wmawia sam sobie zgorzkniały. No, żeby chociaż komisarz przyniósł te pięćset marek! A Kuna to po prostu załłuke na śmierć! Już ja mu pokażę, będę go głodzić, aż zdechnie! Nigdy mu tego nie zapomnę!

Barkhausen powiedział komisarzowi przez telefon, żeby natychmiast przyniósł pieniądze.

– Zobaczmy! – odparł komisarz.

Co to znowu ma znaczyć? Czy on też chce mnie orznać...? Nie ma mowy!

Nie, w tej całej sprawie interesuje go jedynie kasa. Jak tylko ją dostanie, zwija się, a z Ennem będzie, co ma być! Tamten już go wcale nie obchodzi! I może rzeczywiście pojedzie potem do Monachium. Ma już tego wszystkiego tutaj dosyć! Nie wytrzyma dłużej. Kuno, który wali go po pysku i kradnie mu pieniądze – czegoś takiego jeszcze nie było, żeby tak własny syn!

Nie, ta Häberle ma rację, pojedzie do Monachium. Pod warunkiem, że Escherich przyniesie pieniądze, bo inaczej nie będzie miał za co kupić biletu. Ale komisarz, który nie dotrzymuje słowa? To przecież niemożliwe. A może jednak?

ROZDZIAŁ 32.

Wizyta u panny Anny Schönlein

Telefoniczna wiadomość od Barkhausena, że znalazł Enna Klugego w zachodniej części Berlina, wprawiła komisarza Eschericha w wielkie zakłopotanie. Mimowolnie odpowiedział: – Tak, jadę. Jadę natychmiast! – Już szykował się do wyjścia, gdy naszły go jednak wątpliwości.

Tak jest, a więc ma go, tego tak mocno pożądanego, tego ściganego od wielu dni. A więc ma tego typka, musi tylko zacisnąć dłoń i mocno przytrzymać. Podczas wytężonych, niecierpliwych poszukiwań cały czas myślał tylko o tym, że musi go złapać. Odpędzał od siebie każdą myśl o tym, co trzeba będzie zrobić ze schwytanym.

Ale to właśnie miało nastąpić. Tylko pojawiło się pytanie: Co tak właściwie ma zrobić z tym Ennem? Wiedział przecież, teraz znowu jasno to rozumiał, że Enno Kluge nie jest autorem kartek, wiedział to z całkowitą pewnością. Podczas poszukiwań mógł sobie mydlić oczy, rozmawiał nawet z asystentem Schröderem o tym, że Kluge z pewnością ma coś jeszcze na sumieniu.

Tak, coś innego owszem, ale nie to, nie pisanie tych kartek! Nigdy w życiu! Jeśli go arestuje i przywiezie tutaj, na Prinz Albrecht Straße, to nic nie powstrzyma Obergruppenführera przed przesłuchaniem Klugego osobiście, a wtedy wszystko się wyda, nie o kartkach, tylko o wyłudzonej podpisie na protokole, to jasne! Nie, nie wolno sprowadzać tutaj tego Klugego!

Ale z drugiej strony nie wolno zostawić Klugego na wolności, nawet pod stałą obserwacją, Prall nigdy się na to nie zgodzi. Nie da się już też

dłużej zbywać, nawet jeśli Escherich na razie zatai przed nim odnalezienie Klugego. Już kilka razy wyraźnie dał do zrozumienia, że przekaże całą sprawę Klabaternika komuś innemu, komuś sprytniejszemu! A komisarz nie mógł sobie pozwolić na taki blamaż. Poza tym zależało mu na tej sprawie, nabrała dla niego znaczenia.

Escherich siedzi przy swoim biurku i wpatruje się przed siebie, przygryza ukochane wąsy o barwie piasku. Przekłeta ślepa uliczka – mów sam do siebie. Przekłeta ślepa uliczka, w którą się sam wmanewrowałem! Cokolwiek zrobię, będzie źle, a jeśli tego nie zrobię, to dopiero będzie źle! Fatalna ślepa uliczka!

Siedzi tak i myśli. Czas mija, a komisarz Escherich wciąż siedzi i myśli. Ten Barkhausen – do diabła z tym Barkhausenem! Niech tam stoi i pilnuje tej kamienicy! Czasu mu nie brakuje! A jeśli tymczasem Enno mu zwieje, to po kawałku wyrwie mu wszystkie flaki! Pięćset marek, i to zaraz! W dupie ma te jego pięćset marek! Ten cały Enno, stu takich Ennów nie byłoby wartych pięciuset marek! W pysk walnie tego Barkhausena, tego przekłętego psa! Co go obchodzi ten Kluge, on potrzebuje autora kartek!

Lecz potem komisarz Escherich, gdy wciąż siedzi i myśli, zmienia zdanie w sprawie Barkhausena. W każdym razie wstaje i idzie do kasy. Każe wypłacić sobie pięćset marek („później się to rozliczy”) i wraca do swojego pokoju. Miał zamiar pojechać na Ansbacher StraÙe słu¿bowym samochodem i wziąć ze dwóch swoich ludzi, ale zmienia zdanie, nie potrzebuje ani samochodu, ani ludzi.

Mo¿e Escherich zmienił zdanie nie tylko w sprawie Barkhausena, mo¿e wpadł te¿ na jakiś pomysł w związku ze sprawą Enna Klugego. W każdym razie wyciąga teraz z kieszeni spodni słu¿bowy rewolwer, prawdziwą armatę, i wsuwa tam zamiast niego lekki pistolet, który pochodzi z niedawno przeprowadzonej konfiskaty. Już go wypróbował,

ten maluch doskonale leży w dłoni i świetnie się z niego strzela.

Chodźmy więc! Na progu pokoju komisarz zatrzymuje się i odwraca. Dzieje się coś dziwnego. Mimowolnie wykonuje w stronę pokoju pozdrawiający, pożegnalny gest. Żegnaj... Jakieś ciemne przeczucie, intuicja, których niemal się wstydy, że nigdy już nie zobaczy tego pokoju, tak jak go widzi teraz. Dotąd był urzędnikiem, który ściga ludzi, tak jak inni sprzedają znaczki pocztowe, porządnym, pilnym, działającym zgodnie z przepisami.

Lecz gdy dziś lub dopiero jutro rano wróci do tego pokoju, być może nie będzie już tym samym urzędnikiem. Będzie miał sobie coś do zarzucenia, coś, czego nie będzie się dało zapomnieć. Coś, o czym być może będzie wiedział tylko on, lecz to tym gorzej. Będzie wiedzieć o tym, lecz nigdy nie będzie mógł się z tego rozgrzeszyć.

Tak więc Escherich żegna swój pokój i wychodzi, na poły wstydy się tego gestu pożegnania. Jeszcze zobaczymy – uspokaja sam siebie. Wszystko może się potoczyć inaczej. Najpierw muszę porozmawiać z tym Klugem...

I on korzysta z metra, a gdy dochodzi do Ansbacher StraÙe, zapada już niemal zmierzch.

– Potrafi pan kazać na siebie czekać! – warczy Barkhausen wściewie na jego widok. – Cały dzień nic nie jadłem! Przyniósł pan moje pieniądze, panie komisarzu?

– Zamknij ryj! – syczy komisarz, co Barkhausen słusznie odbiera jako potwierdzenie. Serce znowu zaczyna mu lekko bić: kasa na widoku!

– To gdzie on tutaj mieszka, ten Kluge? – pyta komisarz.

– Nie mam pojęcia! – odpowiada Barkhausen od razu urażony, by uprzedzić ewentualne pretensje. – Nie mogie przecie wejść do tej kamienicy i o niego zapytać, bo przecie on mnie zna! No ale pewnie mieszka w oficynie, sam sie pan dowie, panie komisarzu. Ja swoja robota

zrobiłem, a teraz chce pieniądze.

Escherich nie zwraca na to uwagi, tylko pyta Barkhausena, dlaczego Enno mieszka teraz w zachodniej części miasta, jak trafił na jego ślad.

Barkhausen ma opowiadać ze szczegółami, a komisarz robi notatki na temat pani Hete Häberle, sklepu zoologicznego, wieczornej sceny z kłękaniem: tym razem komisarz wszystko zapisuje. Oczywiście raport, który składa Barkhausen, nie jest pełny, ale trudno tego oczekiwać. Nikt nie może wymagać od mężczyzny, żeby się przyznał do własnej porażki. Bo gdyby Barkhausen zdał sprawozdanie z tego, jak dobrał się do kasy tej Häberle, musiałby także opowiedzieć o tym, jak ją stracił. Musiałby też opowiedzieć o tych dwóch tysiącach marek dla niego, które jadą teraz do Monachium. Nie, tego nikt nie może od niego wymagać!

Gdyby Escherich był w nieco lepszej formie, zwróciłby uwagę na pewne niezgodności w raporcie swojego szpicla. Lecz Escherich wciąż jest mocno zafrapowany innymi sprawami i najchętniej odesłałby już stąd tego Barkhausena. Ale potrzebuje go jeszcze przez chwilę, więc mówi do niego: – Niech pan tu poczeka! – i wchodzi do kamienicy.

Nie idzie jednak od razu do oficyny, tylko udaje się do portierni we frontowej części kamienicy i zasięga tam informacji. Dopiero potem wchodzi w towarzystwie portiera do oficyny i zaczyna powoli wspinać się po schodach na czwarte piętro.

Tego, czy Enno Kluge jest w tym budynku, portier nie potrafił potwierdzić. Portier obsługuje tylko państwa z frontowej części domu, a nie tych z oficyny. Ale oczywiście zna wszystkich, którzy tam mieszkają, choćby dlatego, że rozdziela kartki żywnościowe. Niektórych zna dobrze, innych trochę gorzej. Jest na przykład ta panna Anna Schönlein z czwartego piętra, od razu można się domyślić, że to ona przyjęła tego człowieka. On jej i tak nie lubi, wiecznie nocuje u niej wszelkie możliwe tałatajstwo, a sekretarz pocztowy z trzeciego piętra pod nią jest

przekonany, że w nocy słucha zagranicznych audycji. Nie może przysiąc, ale będzie pilnie dalej nasłuchiwać. Tak, portier chciał już nawet z powodu tej Schönlein rozmawiać z lokalnym kierownikiem politycznym, ale równie dobrze może powiedzieć to teraz panu komisarzowi. Powinien najpierw sprawdzić u tej Schönlein, a dopiero gdyby się okazało, że tamtego człowieka naprawdę u niej nie ma, można popytać na innych piętrach. Ale ogólnie to tutaj mieszkają tylko przyzwoici ludzie, nawet z tyłu w oficynie.

– To tutaj! – szepcze portier.

– Niech pan tak stanie, żeby pana było widać przez wizjer – odpowiada szepcem komisarz.

– Niech pan coś powie, po co pan przyszedł, po resztki dla Opieki Społecznej^[55] albo na Pomoc Zimową.

– Załatwione! – mówi portier i dzwoni do drzwi.

Przez chwilę nic się nie dzieje, portier dzwoni po raz drugi i trzeci. Lecz w mieszkaniu panuje absolutna cisza.

– Nie ma jej w domu? – szepcze komisarz.

– Nie wiem! – mówi portier. – Ale nie widziałem jej jeszcze dzisiaj.

I dzwoni po raz czwarty.

Drzwi otwierają się znienacka, żaden z nich nie usłyszał wcześniej żadnego dźwięku. Staje przed nimi wysoka, chuda kobieta. Ma na sobie powypychane, spłowiałe spodnie, a na górze kanarkowożółty pulower z czerwonymi guzikami. Szczupłą twarz o ostrych rysach pokrywają czerwone plamy, jakie często widnieją na obliczach gruźlików. Jej oczy

[55] Narodowosocjalistyczna Opieka Społeczna (N.S.-Volkswohlfahrt, NSV)

– masowa organizacja zajmująca się pomocą społeczną, założona w roku 1932, uznana w roku 1933 przez Hitlera, od roku 1935 działała jako podlegająca NSDAP agenda o rasistowskim programie, która miała się zajmować kwestiami opieki społecznej oraz zapewniać wydajność narodu niemieckiego.

także błyszczą niczym w gorączce.

– O co chodzi? – pyta krótko, nie przejawiając żadnego lęku, gdy komisarz przysuwa się tak blisko drzwi, żeby nie dało się ich już zamknąć.

– Chciałbym zamienić z panią kilka słów, panno Schönlein. Jestem komisarz Escherich z Gestapo.

I znów ani śladu lęku. Kobieta tylko patrzy na niego tymi swoimi błyszczącymi oczami. A potem rzuca: – Niech pan wejdzie! – i wchodzi przed nim do mieszkania.

– Pan zostanie tutaj, przy drzwiach – szepcze komisarz do portiera. – A jeśli ktoś będzie chciał tu wejść albo wyjść, to mnie pan zawoła!

Komisarz wchodzi do zabałaganionego i zakurzonego pokoju. Prastare meble obite pluszem, z drewnianymi kolumnkami i kulami z czasów pradziadków. Aksamitne zasłony. Sztaluga z portretem brodatego mężczyzny, powiększona barwiona fotografia. W powietrzu zawisł dym z papierosów, kilka niedopałków leży w popielnicze.

– O co chodzi? – pyta ponownie panna Schönlein.

Stała przy stole, nie poprosiła też komisarza, żeby usiadł.

Mimo to komisarz siada i wyciąga z kieszeni pudełko papierosów, wskazując jednocześnie na portret. – A ktoś to jest? – pyta.

– Mój ojciec – mówi kobieta. I znów pyta: – O co chodzi?

– Chciałbym zapytać panią o kilka spraw, panno Schönlein – mówi komisarz i wyciąga w jej stronę papierosy. – Ależ niech pani usiądzie i poczęstuje się papierosem!

Kobieta odpowiada szybko: – Ja nie palę!

– Jeden, dwa, trzy, cztery – Escherich liczy niedopałki w popielnicze. – I do tego zapach tytoniu w pokoju. Ma pani gości, panno Schönlein?

Patrzy na niego bez strachu i lęku. – Nigdy nie przyznaję się do tego, że palę – mówi. – Lekarz zakazał mi palenia ze względu na moje płuca.

– A więc nie ma pani gości?

– A więc nie mam gości.

– Rozejrzę się po pani mieszkaniu – stwierdza komisarz, wstając. – Nie, proszę się nie fatygować. Dam sobie radę.

Przechodzi szybko przez oba pozostałe pokoje zagracone sofami, wertykami^[56], szafami, fotelami i kolumnkami. W pewnym momencie zatrzymuje się i nasłuchuje z twarzą zwróconą w kierunku szafy. Uśmiecha się przy tym. A potem wraca do panny Schönlein. Wciąż stoi przy stole, tak jak ją zostawił.

– Doniesiono mi – mówi, siadając – że często ma pani gości, gości, którzy zostają u pani na kilka dni, ale nigdy się nie meldują. Zna pani przepisy meldunkowe?

– Moi goście to tylko kuzyni albo kuzynki, którzy prawie nigdy nie zostają dłużej niż dwa dni. Wydaje mi się, że obowiązek meldunkowy powstaje dopiero po czwartym noclegu.

– Musi pani mieć bardzo liczną rodzinę, panno Schönlein – powiedział komisarz z namysłem. – Niemal każdej nocy biwakuje u pani jedna, dwie, a czasem nawet trzy osoby.

– To zdecydowanie przesada. Poza tym rzeczywiście mam bardzo liczną rodzinę. Sześcioro rodzeństwa, wszyscy mają po kilkoro dzieci.

– A pośród tych pani kuzynów i kuzynek są także dostojni starsi panowie i panie!

– Ich rodzice też mnie odwiedzają od czasu do czasu.

– Bardzo liczna i chętnie podróżująca rodzina... A poza tym chciałem jeszcze zapytać, gdzie stoi pani radiodbiornik, panno Schönlein? Nigdzie go nie zauważyłem.

Mocno zacisnęła usta. – Nie posiadam radiodbiornika.

– Jasne! – powiedział komisarz. – Jasne. To tak jak z tym, że nie

[56] Wertyko – bieliźniarka, szafka z półkami i szufladkami do przechowywania bielizny osobistej, pościelowej i stołowej.

przyznaje się pani do palenia. Ale muzyka z radia nie szkodzi płucom.

– Ale szkodzi przekonaniom politycznym – odpowiedziała z lekką ironią. – Nie, nie posiadam radia. Jeśli słyhać z mojego mieszkania muzykę, to tylko z przenośnego gramofonu, który stoi tam za panem na regale.

– I przemawia w obcych językach – dodał komisarz.

– Mam sporo zagranicznych płyt. Myślę, że to żadne przestępstwo, że mimo wojny puszcza je czasem moim gościom.

– Pani kuzynom i kuzynkom? Nie, to oczywiście żadne przestępstwo.

Wstał, wkładając ręce do kieszeni. Nagle jego ton przestał być drwiący, stał się ostry: – Jak pani myśli, co się stanie, jeśli ja teraz panią aresztuję, panno Schönlein, i ustawię tu w pani mieszkaniu taki malutki, tajny posterunek? Mój człowiek przyjmie wtedy pani gości i dokładnie przyjrzy się dokumentom pani kuzynów i kuzynek. Może jeden z gości przyniesie nawet radioodbiornik! Jak pani sądzi?

– Sądzę – odparła śmiało panna Schönlein – że od samego początku miał pan zamiar mnie aresztować. Jest więc zupełnie obojętne, co odpowiem. Chodźmy! Mogę chyba włożyć sukienkę zamiast tych domowych spodni?

– Jeszcze chwileczkę, panno Schönlein! – zawołał za nią komisarz.

Zatrzymała się z dłonią na klamce i odwróciła do niego.

– Jeszcze chwileczkę! Naturalnie, będzie jak najbardziej słuszne, jeśli przed naszym wyjściem uwolni pani tego pana w szafie. Już wcześniej, gdy przechodziłem przez pani sypialnię, odniosłem wrażenie, że cierpi z powodu braku powietrza. W szafie jest też pewnie mnóstwo naftaliny...

Czerwone plamy zniknęły z jej twarzy, wpatrywała się w niego błada jak płótno.

Potrząsnął głową. – Dzieciaki! Dzieciaki! – stwierdził z ironiczną dezaprobatą. – Ależ wy nam ułatwiacie sprawę! I wy chcecie być

spiskowcami? Zaszkodzić państwu tymi waszymi dziecinnymi figlami? Szkodzicie tylko sobie samym!

Wciąż się w niego wpatrywała. Usta miała mocno zaciśnięte, oczy lśniły gorączkowo, a dłoń wciąż spoczywała na klamce.

– Ma pani szczęście, panno Schönlein – kontynuował komisarz tonem lekkiej, pogardliwej wyższości – o tyle, że dziś wcale mnie pani osoba nie interesuje. Interesuje mnie dziś tylko ów pan w pani szafie. Być może, gdy już w biurze zastanowię się dokładniej nad pani przypadkiem, poczuję się zobowiązany złożyć raport na pani temat we właściwej jednostce. Jak powiedziałem, być może, jeszcze tego nie wiem. A może pani przypadek wyda mi się zbyt nieistotny, szczególnie biorąc pod uwagę pani kłopoty z płucami...

Nagle ona wyrzuca z siebie: – Nie chcę waszej łaski! Nienawidzę waszej litości! Mój przypadek nie jest nieistotny! Tak jest, regularnie udzielam schronienia prześladowanym z powodów politycznych! Tak jest, słucham zagranicznych audycji! No, to teraz pan już wie! Teraz nie może mnie już pan oszczędzać, mimo moich płuc!

– Dziewczyno! – odpowiedział drwiąco, patrząc niemal ze współczuciem na dziwaczną postać starej panny w wytartych spodniach i żółtym pulowerze z czerwonymi guzikami – pani ma problem nie tylko z płucami, ale też z nerwami! Pół godziny przesłuchania u nas na miejscu, a zdziwi się pani, jaką wrzeszczącą, nędną kupą gówna okaże się pani ciało! To jest bardzo nieprzyjemne, gdy człowiek to w sobie odkrywa, niektórzy nigdy nie potrafią przeboleć urażonego poczucia godności, wieszają się nawet.

Popatrzył na nią jeszcze raz i w zamyśleniu pokiwał głową. Stwierdził z pogardą: – I coś takiego nazywa siebie spiskowcem!

Wzdrygnęła się jak po uderzeniu batem, lecz nie odpowiedziała ani słowem.

– Ale przez naszą konwersację zupełnie zapomnieliśmy o pani gościu w szafie – kontynuował. – Chodźmy, panno Schönlein! Jeśli go szybko nie uwolnimy, to przeniesie się na tamten świat.

I rzeczywiście Enno Kluge, którego Escherich wyciągnął z szafy, o mało się nie udusił. Komisarz położył go na szezlongu i kilkakrotnie uniósł i opuścił ręce małego człowieczka, żeby świeże powietrze dostało mu się do płuc.

– A teraz – powiedział i spojrzał na kobietę, która stała bez słowa – a teraz, panno Schönlein, najlepiej będzie, jeśli zostawi mnie pani na kwadrans samego z panem Klugem. Niech pani sobie usiądzie w kuchni, z niej najtrudniej podsłuchiwać.

– Ja nie podsłuchuję!

– Tak, tak jak nie pali pani papierosów, a kuzynom i kuzynkom puszcza tylko muzykę z płyt! Nie, lepiej niech pani usiądzie sobie w kuchni. Zawołam panią, jak będę pani potrzebował!

Skinął na nią jeszcze raz i upewnił się, że faktycznie poszła do kuchni. A potem odwrócił się do pana Klugego, który siedział teraz na kanapie i lękliwie wpatrywał się w komisarza swoimi bezbarwnymi oczami. Łzy już zaczynały się toczyć po jego twarzy.

– No, no, panie Kluge – powiedział komisarz uspokajająco. – Tak bardzo się pan cieszy, widząc znowu starego komisarza Eschericha? A więc tęsknił pan za mną? Szczerze mówiąc, ja też za panem tęskniłem i bardzo się cieszę, że pana znalazłem. Teraz już tak szybko się nie rozdzielimy, kochany panie Kluge!

Łzy Enna płynęły strumieniami. Szlochał gwałtownie: – Ach, panie komisarzu, przecież pan mi obiecał, że mnie pan wypuści!

– A czy ja pana nie wypuściłem? – zapytał zdumiony komisarz. – To przecież nie oznacza, że już nigdy pana nie aresztuję, gdy się za panem stęsknię. A może mam jakiś nowy protokół do podpisania, panie

Kluge? Pan, jako mój dobry przyjaciel, nie odmówi mi chyba tak drobnej przysługi, co?

Enno zadrżał pod drwiącym, bezlitosnym spojrzeniem utkwionych w nim oczu. Wiedział, że te oczy wyciągną z niego wszystko, że zaraz wszystko mu wypała, a wtedy będzie zgubiony na zawsze, tak czy siak...

ROZDZIAŁ 33.

Escherich i Kluge idą na spacer

Było już całkiem ciemno, gdy komisarz Escherich wychodził z Ennem Klugem z oficyny przy Ansbacher StraÙe. Nie, pomimo tych płuc komisarz nie zdecydował się na potraktowanie przypadku panny Anny Schönlein jako nieistotnego. Ta stara panna gotowa była bez zastanowienia przyjąć do siebie każdego przestępcę, nie mając pojęcia o jego przeszłości. Enna Klugego na przykład nie zapytała nawet, jak się nazywa, ukryła go tylko dlatego, że przytargała go do niej jakaś jej przyjaciółka.

Tej pani Häberle też trzeba się będzie bliżej przyjrzeć. Co za nęda z tym narodem! Teraz, gdy prowadzona jest największa wojna o jego szczęśliwą przyszłość, nawet teraz wciąż się opiera. Gdziekolwiek się powęszy, tam cuchnie. Komisarz Escherich był głęboko przekonany, że w niemal każdym niemieckim domu odkryłby całą płataninę kłamstw i sekretów. Nie było prawie nikogo, kto miałby czyste sumienie, pominąwszy oczywiście towarzyszy partyjnych. Poza tym BoÙe broń, żeby miał prowadzić u jakiegoś partyjnego towarzysza takie śledztwo jak u tej Schönlein.

Cóż, w każdym razie zostawił na straÙy w mieszkaniu portiera. Wyglądał na człowieka godnego zaufania, poza tym też był członkiem partii. Trzeba będzie zadbać, żeby dostał jakieś niewielkie, ale dobrze płatne stanowisko. To sprawia, że tacy ludzie stają się bardziej czujni, wyostrza im wzrok i słuch. Nagradzać i karać to najlepszy sposób rządzenia.

Komisarz z Ennem pod rękę podchodzi do słupa, za którym tkwi

Barkhausen. Barkhausen wcale nie ma ochoty oglądać swojego byłego kumpla. Obchodzi słupek, żeby zejść mu z oczu. Lecz komisarz, który zresztą zawraca, przyłapuje go, a Emil i Enno stają naprzeciwko siebie.

– Bry wieczór, Enno! – mówi Barkhausen i wyciąga dłoń.

Lecz Kluge jej nie przyjmuje. Odrobina oburzenia pojawiła się teraz nawet w tym żalonym stworzeniu. Czuje nienawiść do Barkhausena, który namówił go na włamanie, a tylko go wtedy obili, a dziś rano wymusił tysiące, żeby potem i tak go wydać.

– Panie komisarzu – mówi Kluge żarliwym tonem – czy Barkhausen nie powiedział panu, że dziś rano szantażem wymusił od mojej przyjaciółki, pani Häberle, dwa tysiące pięćset marek? Miał mnie za to puścić wolno, a jednak...

Komisarz spotkał się z Barkhausenem tylko po to, żeby dać mu pieniądze i odesłać go do domu. Teraz jednak zostawia plik pieniędzy w kieszeni i z zadowoleniem słucha, jak Barkhausen odpowiada opryskliwie: – I nie puściłem cię wolno, Enno? A że ty jak ten osioł dajesz się zaraz potem znowu złapać, to ja już nic na to nie poradzę. Ja dotrzymałem obietnicy.

Komisarz mówi: – No, porozmawiamy sobie jeszcze o tym, Barkhausen. A teraz niech pan idzie do domu.

– Ale najpierw chcę moje pieniądze, panie komisarzu – żąda Barkhausen. – Obiecał mi pan pięć stów, jeśli znajdę panu Enna. Trzyma go pan za ramię, no to niech pan buli!

– Za ten sam towar nie dostaje się zapłaty dwa razy, Barkhausen! – zbywa go komisarz. – Skoro dostał pan już dwa tysiące pięćset marek!

– Ale ja wcale nie mam tych pieniędzy! – protestuje znów rozczarowany Barkhausen, niemal krzyżąc. – Wysłała je na poste restante do Monachium, żebyśmy nie mógł się z panem skontaktować!

– Mądra kobieta! – chwali komisarz. – Chyba że to był pański pomysł,

panie Kluge?

– On znowu kłamie! – krzyczy rozgoryczony Enno. – Do Monachium wysłała tylko dwa tysiące. Pięćset, a nawet więcej niż pięćset, dostał w gotówce. Niech pan mu sprawdzi kieszenie, panie komisarzu!

– Ukradzono mi je! Napadła na mnie banda wyrostków i zwinęła mi wszystkie pieniądze! Może mnie pan przeszukać od stóp do głów, panie komisarzu, mam tylko parę marek, które przypadkiem trzymałem w kamizelce!

– Panu nie można powierzyć żadnych pieniędzy, panie Barkhausen – mówi komisarz, kręcąc głową. – Nie umie się pan z nimi obchodzić. Żeby dać się okraść jakimś wyrostkom, taki duży mężczyzna!

Barkhausen znów zaczyna błagać, żądać, przekonywać, lecz komisarz nakazuje (są już na Viktoria-Luise-Platz): – A teraz pójdzie pan do domu, Barkhausen!

– Panie komisarzu, przecież pan mi obiecał...

– A jeśli natychmiast nie odjedzie pan stąd metrem, przekażę pana tamtemu szupo! Może pana natychmiast aresztować za wymuszenie.

Z tymi słowami komisarz podchodzi do szupo, a Barkhausen, ten wściekły Barkhausen, ten przestępca samochwała, któremu ktoś tuż przed zwycięstwem sprzątnął sprzed nosa nagrodę, znika z Viktoria-Luise-Platz. (Poczekaj tylko, Kuno-Dieterze, aż wrócę do domu!)

Komisarz faktycznie rozmawia z szupo, legitymuje się i każe mu aresztować pannę Annę Schönlein i odprowadzić na razie na komendę pod zarzutem: – No, powiedzmy na razie pod zarzutem słuchania wrogich audycji. I bez przesłuchań, wypraszam sobie. Jutro przyjdzie ktoś od nas i zabierze tę babę. Branoc, panie wachmistrzu!

– Heil Hitler, panie komisarzu!

– Tak – mówi komisarz, idąc Motzstraße w kierunku Nollendorfplatz. – I co teraz zrobimy? Głodny jestem, zwykle jem o tej porze posiłek. Wie

pan co, zapraszam pana na kolację. Chyba nie śpieszy się panu aż tak bardzo do nas na Gestapo. Obawiam się, że jedzenie u nas pozostawia wiele do życzenia, a nasi ludzie są tacy zapominalscy, że czasem przez dwa, trzy dni zupełnie nic nie przynoszą. Nawet wody. Nie najlepsza organizacja. Taa... to co pan na to, panie Kluge?

I za pomocą tego rodzaju gadki komisarz zaciąga zupełnie skołowanego Klugego do małej winiarni, gdzie bywa chyba częstym gościem. Komisarz je dużo, oprócz pysznego, obfitego posiłku z winem i wódeczką są też prawdziwa kawa, ciasto i papierosy. Escherich wyjaśnia przy tym bezwstydnie: – Niech pan tylko nie myśli, że ja za to płacę, Kluge! Wszystko idzie na rachunek Barkhausena. Zapłacę mianowicie z pieniędzy, które miał dostać. Czy to nie piękne, że napełnia pan sobie kałdun z nagrody, którą wyznaczono za złapanie pana? To się nazywa sprawiedliwość...

Komisarz gada i gada, ale chyba wcale nie jest taki pewny siebie, na jakiego wygląda. Niewiele zjadł, za to szybko i sporo wypił. Może jest w nim jakiś niepokój, może opanowała go zupełnie nietypowa dla niego nerwowość. Niby bawi się, lepiąc kulki z chleba, lecz potem nagle chwytą za kieszeń, w której tkwi pistolet, i rzuca szybkie spojrzenie na Klugego.

Enno siedzi przy stole dość apatycznie. Porządnie zjadł, prawie nic natomiast nie pił. Wciąż jest zupełnie skołowany, nie wie, co ma sądzić o komisarzu. Czy jest aresztowany czy nie? Enno nic nie rozumie.

I właśnie to mówi mu Escherich. – Siedzi pan tak sobie, panie Kluge – mówi – i dziwi się z mojego powodu. Oczywiście skłamałem, nie byłem aż tak głodny, chciałem tylko jakoś spędzić czas, zanim będzie po dziesiątej. Musimy się bowiem wybrać na mały spacer i wtedy się okaże, co mam z panem zrobić. Tak, to się o-ka-że...

Komisarz mówi coraz ciszej i wolniej, jakby się zamyślał, a Enno Kluge rzuca mu podejrzliwe spojrzenie. Za tym małym spacerkiem po

dziesiątej kryje się jakieś nowe szelmstwo. Ale jakie? I jak go uniknąć? Escherich pilnuje go jak diabli, Kluge nie może nawet sam pójść do toalety.

Komisarz kontynuuje: – Chodzi o to, że mogę skontaktować się z moim człowiekiem dopiero po dziesiątej. Mieszka w Schlachtensee^[57], rozumie pan, panie Kluge? O to mi chodzi, gdy mówię o małym spacerku.

– A co ja mam z tym wspólnego? Czy ja tego człowieka znam? Ja nie znam nikogo, kto by mieszkał w tamtej okolicy! Całe życie mieszkam we Friedrichshain...

– Myślę, że może jednak pan go zna. Chciałbym, żeby pan go sobie obejrzał.

– A jak go sobie obejrzę i się okaże, że go nie znam, to co wtedy? Co wtedy ze mną będzie?

Komisarz wykonuje lekceważący gest: – To się potem okaże. Ale ja myślę, że rozpozna pan tego człowieka.

Obaj milczą. A potem Enno Kluge pyta: – Czy to ma coś wspólnego z tą przekłętą historią z pocztówkami? Żałuje, że zem podpisał tamten protokół. Nie powinienem był wyświadczać panu tej przysługi, panie komisarzu.

– Doprawdy? Niemal uwierzyłem, że ma pan rację i że zarówno dla pana, jak i dla mnie byłoby lepiej, gdyby pan go nie podpisał, panie Kluge! – Patrzy na swego rozmówcę tak ponurym wzrokiem, że Enno Kluge na nowo zaczyna się bać. Nie uchodzi to uwadze komisarza. – No, no – mówi uspokajająco – jeszcze zobaczymy. Wypijmy jeszcze po kieliszeczku, a potem ruszamy. Chciałbym zdążyć potem na ostatni pociąg z powrotem do miasta.

Kluge wpatruje się w niego przerażony. – A ja? – pyta drżącymi

[57] Schlachtensee – dzielnica na południowo-zachodnich krańcach Berlina położona nad jeziorem o tej samej nazwie.

wargami. – Czy ja... czy ja mam tam zostać?

– Pan? – roześmiał się komisarz. – Pan oczywiście pojedzie ze mną, panie Kluge! Co się pan tak na mnie gapi przerażony? Przecież nie powiedziałem nic, co mogłoby pana wystraszyć. Oczywiście, że obaj razem wrócimy do miasta. O, jest kelner z naszą wódeczką. Panie ober, proszę poczekać, od razu oddamy panu kieliszki.

Chwilę później byli już w drodze na Dworzec Zoo. Pojechali kolejką miejską, a gdy wysiedli na przystanku Schlachtensee, była już tak ciemna noc, że w pierwszym momencie stanęli bezradnie na dworcowym placu. Z powodu zaciemnienia nie widać było żadnych świateł.

– W tych ciemnościach nigdy nie znajdziemy drogi – powiedział przestraszony Kluge. – Panie komisarzu, proszę, jedźmy z powrotem! Proszę! Wolę spędzić tę noc u was na Gestapo niż...

– Niech pan nie opowiada głupstw, Kluge! – przerwał mu brutalnie komisarz i mocno wsunął sobie pod ramię rękę chuderlaka. – Myśli pan, że jechałem tu przez pół nocy na spacer z panem, żeby zawrócić na kwadrans przed dotarciem do celu? – Już łagodniejszym tonem dodał: – Teraz widzę już całkiem dobrze. Musimy pójść tamtą boczną dróżką, tak najszybciej dojdziemy do jeziora...

Ruszyli w milczeniu, obaj ostrożnie stawiając stopy w poszukiwaniu niewidocznych przeszkód.

Gdy przeszli kawałek, powietrze przed nimi zaczęło jaśnieć.

– Widzi pan, Kluge – powiedział komisarz – Byłem pewien, że mogę polegać na swoim zmyśle orientacji. I proszę, już jesteśmy nad jeziorem!

Kluge milczał i w milczeniu ruszyli dalej.

To była bezwietrzna noc, wszędzie panował spokój. Nikogo nie spotkali. Gładka powierzchnia jeziora, której raczej się domyślali, niż rzeczywiście ją widzieli, zdawała się parować szarą jasnością, jakby oddawała najsłabszy odbłask światła schwytanego w ciągu dnia.

Komisarz odchrząknął, jak gdyby chciał coś powiedzieć, lecz milczał dalej.

Nagle Enno Kluge zatrzymał się. Jednym ruchem uwolnił rękę spod ramienia komisarza. Oświadczył, niemal krzycząc: – Nie pójdę dalej ani kroku! Jeśli chce mi pan coś zrobić, to może pan to zrobić tutaj, a nie za kwadrans! Nikt mi tutaj nie pomoże! Pewnie jest już północ!

Jakby dla potwierdzenia jego słów rozległo się nagle bicie zegara. Dźwięk ten zabrzmiał zaskakująco blisko i mocno pośród ciemnej nocy. Obaj mimowolnie zaczęli liczyć uderzenia.

– Jedenaście! – stwierdził komisarz. – Jest jedenasta. Do północy jeszcze godzina. Chodźmy, panie Kluge, musimy iść jeszcze pięć minut.

I znów chwycił rękę Klugego.

Lecz ten wyrwał mu się z zaskakującą siłą: – Powiedziałem, że nie pójdę ani kroku dalej i nie pójdę!

Głos łamał mu się ze strachu, więc zaczął krzyczeć. Jakiś spłoszony wodny ptak zerwał się spośród trzciny i odleciał ociężałym lotem.

– Niech pan tak nie krzyczy! – powiedział poirytowany komisarz. – Obudzi pan całe jezioro!

Lecz potem się opamiętał: – Już dobrze, niech się pan uspokoi. Zaraz wróci panu rozsądek. Chce pan tu gdzieś usiąść?

I znów sięgnął po jego ramię.

Enno uderzył wyciągniętą ku niemu rękę. – Nie pozwolę, żeby mnie pan trzymał! Niech pan robi ze mną, co chce, ale niech mnie pan już nie trzyma!

Komisarz odparł ostro: – Ze mną nie rozmawia się takim tonem, Kluge! Kim ty w końcu jesteś? Małym, brudnym i tchórzliwym psem!

Komisarzowi też zaczęły puszczać nerwy.

– A pan? – Kluge znowu krzyczał. – A kim pan jest? Mordercą pan jest, zwykłym skrytobójcą!

Sam przestraszył się tego, co właśnie powiedział. Wymamrotał: – Och, pan wybaczy, panie komisarzu, nie to miałem na myśli...

– To nerwy – stwierdził komisarz. – Musi pan zmienić tryb życia, Kluge, bo takiego pańskie nerwy nie wytrzymają. Usiądźmy sobie tam, na pomoście. Niech się pan nie boi, nie będę już pana trzymać, skoro tak się pan mnie boi.

Podeszli do pomostu. Drewno zatrzeszczało, gdy na niego weszli. – Jeszcze parę kroków – zachęcał Escherich. – Najlepiej usiądźmy na samym końcu. Lubię siedzieć w takim miejscu, gdy wokół mnie jest tylko woda...

Lecz Kluge znów zaczął protestować. Choć przed chwilą okazał odrobinę odwagi i zdecydowania, teraz zaczął nagle skomleć: – Nie pójdę dalej! Och, niech się pan nade mną zlituje, panie komisarzu! Niech pan mnie nie topi! Mogę od razu powiedzieć, że nie umiem pływać! Zawsze okropnie bałem się wody! Podpiszę panu każdy protokół! Pomocy! Pomocy! Po...

Komisarz chwycił chuderlaka i majtającego nogami poniósł na kraniec pomostu. Twarz Enna mocno przycisnęła sobie do piersi, tak mocno, że Kluge nie mógł krzyżeć. I tak doniósł go do końca pomostu i przytrzymał tuż nad wodą.

– Jeśli krzykniesz jeszcze raz, ty psie, to cię tam wrzucę!

Z gardła Enna wydobył się głęboki szloch. – Nie będę krzyżeć – powiedział szeptem. – Ach, niech już będzie, niech mnie pan tam wrzuci! Nie wytrzymam tego dłużej...

Komisarz posadził go na pomoście i usiadł obok niego.

– Ta... – powiedział. – Jak już się przekonałeś, że mogę cię wrzucić do jeziora, a jednak tego nie robię, to może zrozumiesz, że nie jestem mordercą, co, Kluge?

Kluge wymamrotał coś niezrozumiałego, głośno szcękając zębami.

– Ta... A teraz posłuchaj. Mam ci coś do powiedzenia. Ta historyjka o człowieku, którego miałeś rozpoznać tutaj, w Schlachtensee, to oczywiście kant.

– Ale po co?

– Czekaj. I wiem też, że nie masz nic wspólnego z autorem tych pocztówek. Sądziłem, że z tym protokołem będzie dobrze, że będę mieć przynajmniej dla moich przełożonych jakiś ślad, dopóki nie schwytam prawdziwego przestępcy. Ale nie jest dobrze. Teraz chcą ciebie, Kluge, ci ważni panowie z SS, i chcą cię przesłuchać swoimi metodami. Wierzą w tamten protokół, uważają cię za autora kartek albo chociaż za ich roznosiela. I wycisną z ciebie, swoimi metodami wycisną z ciebie wszystko, co będą chcieli, wycisną cię jak cytrynę, a potem pobiją cię na śmierć albo doprowadzą przed Trybunał Ludowy, a to wychodzi na to samo, tyle że męczarnie trwają parę tygodni dłużej.

Komisarz przerwał na chwilę, a przerażony na amen Enno przytulił się teraz, cały drżąc, do tego, którego dopiero co nazwał mordercą, jakby szukał u niego pomocy.

– Przecież pan wie, że to nie ja! – wyjąkał. – To najświętsza prawda! Nie może mnie pan do nich zabrać, ja tego nie wytrzymam, będę krzyczeć...

– Na pewno będziesz krzyczeć – potwierdził obojętnie komisarz. – Oczywiście, że tak. Ale to ich nie obchodzi, to ich tylko bawi. Wiesz, Kluge, oni posadzą cię na stołku i ustawią wielki reflektor tuż przed twój twarzą, a ty będziesz musiał cały czas patrzeć prosto w światło, aż będziesz zdychać od jasności i gorąca. A cały czas będą cię pytać, godzina za godziną będą cię wypytywać, będą się zmieniać, ale ciebie nikt nie zmieni, choć będziesz taki zmęczony. A gdy przewrócisz się z wyczerpania, kopniakami i batami zmuszą cię do wstania, i dadzą ci do picia słoną wodę, a gdy to wszystko nie zadziała, wykręcą ci wszystkie

stawy po kolei w każdym palcu. Będą polewać ci stopy kwasem...

– Niech pan przestanie, ach proszę, niech pan przestanie, nie mogę już tego słuchać...

– Będziesz musiał nie tylko o tym słuchać, ty będziesz musiał to wytrzymać, Kluge, jeden dzień, dwa, trzy, pięć, cały czas, dzień i noc, a oni będą cię przy tym tak głodzić, aż żołądek skurczy ci się do wielkości orzeszka, aż będziesz chciał umrzeć z tego bólu wewnątrz i na zewnątrz. Ale nie umrzesz, oni tak łatwo nie wypuszczają kogoś, kto trafił w ich łapska. Zamiast tego...

– Nie, nie, nie! – wykrzyknął mały Enno, zatykając sobie uszy. – Nie chcę tego słuchać! Już ani słowa! To już lepiej umrzeć od razu!

– Tak, ja też tak myślę – potwierdził komisarz. – To już lepiej umrzeć od razu!

Przez dłuższą chwilę panowała między nimi śmiertelna cisza.

A potem mały Enno Kluge powiedział nagle, wzdygając się: – Ale do wody nie chcę...

– Nie, nie – powiedział komisarz dobrotliwym tonem. – Nie będzie pan musiał, panie Kluge. Niech pan zobaczy, coś panu przyniosłem, niech pan tylko popatrzy, jaki piękny pistolecik. Wystarczy przystawić go sobie do czoła i nacisnąć, niech się pan nie boi, przytrzymam panu rękę, żeby nie drżała, a potem tylko zagina pan odrobinę palec... Nie poczuje pan żadnego bólu i będzie pan daleko od tych wszystkich męczarni i prześladowań, i w końcu będzie pan miał spokój...

– I wolność – powiedział Enno Kluge w zadumie. – Dokładnie w ten sam sposób przekonywał mnie pan, panie komisarzu, z tantym protokołem, wtedy też obiecywał mi pan wolność. Czy tym razem to będzie prawda? Jak myślisz?

– Ależ oczywiście, Kluge. To jedyna prawdziwa wolność, jaka jest możliwa dla nas, ludzi. Wtedy nikt już nie będzie mógł cię złapać i od

nowa straszyć ani dręczyć. Nikt nie będzie już mógł tego zrobić. Będziesz mógł śmiać się z nas wszystkich...

– A co przyjdzie potem, po tej wolności i spokoju? Czy potem jeszcze coś będzie? Jak myślisz?

– Nie sądzę, żeby jeszcze coś było, jakiś sąd czy piekło. Będzie tylko spokój i wolność.

– I po co ja w ogóle żyłem? Po co musiałem tu tyle wytrzymać? Nic przecież nie robiłem, nikomu nie sprawiłem radości, nigdy tak naprawdę nikogo nie lubiłem.

– Tja – powiedział komisarz – wielkim bohaterem to ty nie byłeś, Kluge. I szczególnie użytecznym człowiekiem też nie. Ale po co chcesz się teraz nad tym zastanawiać? Teraz jest już na to wszystko za późno, bez względu na to czy zrobisz to, co ci proponuję, czy też pójdziesz ze mną na Gestapo. Mówię ci, Kluge, już po półgodzinie będziesz na kolanach błagał o kulkę w łeb. Ale to potrwa wiele, wiele godzin, zanim zadręczą cię na śmierć...

– Nie, nie – powiedział Enno Kluge. – Nie chcę do nich. Daj mi ten pistolet do ręki. Dobrze go trzymam?

– Tak...

– I gdzie mam go sobie przystawić? Do skroni?

– Tak...

– I potem tylko położyć palec na cynglu. Będę ostrożny, nie chcę jeszcze teraz... Chciałbym jeszcze trochę z tobą porozmawiać...

– Nie musisz się bać, pistolet nie jest odbezpieczony...

– Wiesz, Escherich, że jesteś ostatnim człowiekiem, z którym rozmawiam? Potem będzie już tylko spokój, nigdy już nie będę mógł z nikim porozmawiać.

Wzdryga się.

– Jak przystawiłem sobie pistolet do skroni, to poczułem rozchodzące

się od niego zimno. Tak samo lodowate są pewnie spokój i wolność, które mnie potem czekają.

Pochylił się do komisarza i wyszeptał: – Obiecasz mi jedną rzecz, Escherich?

– Tak. O co chodzi?

– Ale musisz dotrzymać obietnicy!

– Zrobię to, jeśli tylko będę mógł.

– Nie pozwól mi wpaść do wody, jak już będę martwy, obiecaj mi to. Boję się wody. Pozwól mi leżeć tu, na suchym pomoście.

– Oczywiście. Obiecuję!

– Pięknie, to uściśnij mi dłoń, Escherich.

– Proszę!

– I nie oszukasz mnie, Escherich? Widzisz, ja jestem tylko małym, żalonym łotrem, to mało istotne, czy ktoś mnie oszukuje czy nie. Ale nie zrobisz tego?

– Na pewno nie, Kluge!

– Daj mi jeszcze raz ten pistolet, Escherich. Teraz jest odbezpieczony?

– Nie, jeszcze nie, dopiero jak mi powiesz.

– Dobrze go przystawiłem, tak? Teraz już prawie nie czuję zimna lufy, jestem tak samo zimny jak ona. Wiesz, że mam żonę i dzieci?

– Nawet rozmawiałem z twoją żoną, Kluge.

– Och! – Chuderlak był tak zaintrygowany, że szybko odstawił pistolet. – Jest w Berlinie? Chętnie bym z nią porozmawiał.

– Nie, nie ma jej w Berlinie – odpowiedział komisarz, przeklinając samego siebie za złamanie swojej zasady nieudzielania żadnych informacji. I od razu są skutki! – Wciąż jest u krewnych pod Ruppinem. I lepiej będzie, jeśli nie będziesz z nią rozmawiać, Kluge.

– Nie ma o mnie zbyt dobrego zdania?

– Nie, nie. Jest tylko na ciebie zła.

– Szkoda – powiedział chuderlak. – Szkoda. Właściwie to śmieszne, Escherich. Jestem kompletnym nieudacznikiem, którego nikt nie kocha. Za to nienawidzi mnie bardzo, bardzo wielu.

– Nie wiem, czy u twojej żony to nienawiść, myślę, że chce mieć od ciebie spokój. Przeszkadzasz jej...

– Pistolet jest wciąż nieodbezpieczony, komisarzu?

– Tak – odpowiada komisarz zdumiony, że Kluge, który przez ostatni kwadrans był całkiem spokojny, nagle znów zadaje nerwowe pytania. – Tak, wciąż jest nieodbezpieczony... Co do diabła?

Wylot lufy zapłonął tak blisko jego oczu, że z jękiem przewrócił się na pomost. Przekonany, że oślepl, przycisnął dłonie do oczu.

Kluge wyszeptał mu do ucha: – Wiedziałem, że jest odbezpieczony! Znowu chciałeś mnie oszukać! A teraz jesteś w moich rękach, teraz to ja mogę ci dać spokój i wolność... – Trzymając pistolet przy czole jęczącego, zachichotał: – Czujesz, jakie to zimne? To jest spokój i wolność, to jest lód, w którym zostaniemy pogrzebani, już na zawsze...

Komisarz wstał z jękiem. – Czy ty to zrobiłeś celowo, Kluge? – zapytał surowo, odrywając palące powieki od obolałych oczu. Miał wrażenie, że dostrzega człowieka obok siebie jedynie jako czarniejszą bryłę w ciemnościach nocy.

– Tak, celowo – zachichotał chuderlak.

– To była próba zabójstwa! – stwierdził komisarz.

– Przecież powiedziałeś, że broń jest nieodbezpieczona!

Komisarz miał już pewność, że z jego wzrokiem wszystko w porządku.

– Zaraz wrzucę cię do wody, ty hultaju! I to w obronie koniecznej! – I już chwycił małego za ramię.

– Nie, nie, proszę, nie! Błagam, nie to! Ja na pewno zrobię to drugie! Tylko nie do wody! Przecież przysiągłeś mi na wszystkie świętości...

Komisarz już trzymał go za ramię.

– Też coś! Koniec tego skomlenia! Zawsze brakowało ci odwagi! Do wody...!

Dwa wystrzały rozbrzmiały jeden po drugim. Komisarz poczuł, że mężczyzna, którego trzyma w rękach, przewraca się, zapada się w sobie niepowstrzymanie. Drgnął, widząc, jak martwy człowiek zsuwa się z brzegu pomostu do wody. Jego dłonie chciały go przytrzymać.

I wzruszywszy tylko ramionami, komisarz patrzył, jak ciężkie ciało uderza o wodę i natychmiast znika.

– Nawet lepiej – powiedział, oblizując wysuszone usta. – Mniej poszlak.

Przez chwilę stał jeszcze, zastanawiając się, czy powinien kopnąć do wody leżący na pomoście pistolet, czy lepiej nie. A potem zostawił go tam. Powoli zszedł z pomostu i ruszył po zboczach w stronę dworca.

Dworzec był zamknięty, ostatni pociąg odjechał. Komisarz z obojętnością rozpoczął długą pieszą wędrówkę w stronę Berlina.

Zegar znów zaczął bić.

Północ, pomyślał komisarz. Udało mu się. Północ. Ciekaw jestem, jak mu się podoba ten jego spokój, naprawdę jestem ciekaw. Może znowu czuje się oszukany? Podlec, mały, skamlący podlec!

CZEŚĆ TRZECIA
GRA OBRACA SIĘ
PRZECIWKO QUANGLOM

ROZDZIAŁ 34.

Trudel Hergesell

Hergesellowie jechali pociągiem z Erkner^[58] do Berlina. Tak jest, nie było już Trudel Baumann, uparta miłość Karla zwyciężyła, wyszła za niego, a teraz, w nieszczęsnym roku 1942, była w piątym miesiącu ciąży.

Po ślubie oboje zrezygnowali z pracy w fabryce mundurów. Po deprymującym doświadczeniu z Grigoleitem i Niemowlakiem nigdy już się tam dobrze nie czuli. On pracował teraz w zakładach chemicznych w Erkner, a Trudel dorabiała parę groszy w domu jako krawcowa. Z lekkim wstydem wspominali czasy swej nielegalnej działalności. Oboje doskonale rozumieli, że zawiedli. Oboje wiedzieli jednak także to, że nie nadawali się do tego rodzaju działalności, która wymagała całkowitego odsunięcia własnego ja. Teraz żyli już tylko swoim własnym domowym szczęściem i cieszyli się, oczekując na dziecko.

Gdy wyjeżdżali z Berlina, żeby przeprowadzić się do Erkner, mieli nadzieję, że będą tam mogli żyć w całkowitym spokoju, z daleka od partii i jej roszczeń. Jak wielu mieszczuchów błędnie wierzyli, że szpiclowanie tylko w Berlinie jest takie okropne, że na wsi, w małym miasteczku wciąż obowiązuje przyzwoitość. I jak wielu mieszczuchów szybko się przekonali, że właśnie w małych miasteczkach denuncjacje, wypytywanie i szpiegowanie są dziesięć razy gorsze niż w wielkim mieście. W małej miejscowości nie da się zniknąć w tłumie, każdy jest doskonale widoczny, jego osobiste sprawy szybko stają się powszechnie znane, rozmów z sąsiadami nie da się uniknąć, a jak takie rozmowy mogą

[58] Erkner – miasteczko w Brandenburgii położone na południowy wschód od Berlina.

zostać przekręcone, o tym dowiedzieli się już z przykrością kilka razy.

Ponieważ oboje nie należeli do partii, ponieważ oboje niechętnie partycypowali we wszelkich zbiórkach, ponieważ oboje wydawali się skłonni żyć wyłącznie dla siebie, a nie dla wspólnoty, ponieważ oboje woleli poczytać, zamiast pójść na jakiś wiec, ponieważ Hergesell z tymi swoimi długimi, ciemnymi, zawsze potarganymi włosami i błyszczącymi czarnymi oczami wyglądał jak prawdziwy socjalista i pacyfista (zdaniem towarzyszy partyjnych), ponieważ Trudel lekkomyślnie powiedziała kiedyś, że trochę jej żal tych Żydów – to już wkrótce uchodzili za politycznie podejrzanych, każdy ich krok był uważnie obserwowany, a każde słowo przekazywane dalej.

Hergesellowie mocno cierpieli z powodu atmosfery, która otaczała ich w Erkner. Wmawiali sobie jednak, że wcale się nie przejmują i że przecież nic nie może się im stać, bo przecież nie robili nic przeciwko państwu. – Myśli są wolne – mówili, lecz w istocie powinni byli wiedzieć, że w tym państwie nawet myśli nie były wolne.

Coraz częściej uciekali więc w szczęście swej miłości. Byli niczym dwoje kochanków, którzy podczas powodzi, pośród fal, pośród rozpadających się domostw, pomiędzy tonącymi bydłętami wczepili się w siebie i wierzą, że siłą bycia razem, siłą miłości umkną ogólnej zagładzie. Nie pojmowali jeszcze, że w wojennych Niemczech nie ma już prywatnego życia. Żadne wycofanie się nie ratowało przed tym, że każdy Niemiec należał do ogółu Niemców i musiał współcierpieć niemiecki los – podobnie jak coraz częściej spadające bomby, nie wybierając, spadały zarówno na sprawiedliwych, jak i niesprawiedliwych.

Hergesellowie rozdzielili się na Alexanderplatz. Ona miała dostarczyć sukienkę na Kleine Alexanderstraße, on natomiast miał obejrzyć wystawiony w ogłoszeniu na wymianę wózek niemowlęcy. Umówili się, że w południe spotkają się z powrotem na dworcu, i każde poszło

swoją drogą. Trudel Hergesell, która po początkowych uciążliwościach ciąży teraz, w piątym miesiącu, czuła już tylko nieznanie sobie dotąd szczęście i głębokie zaufanie do samej siebie, szybko doszła do Kleine Alexanderstraße i weszła do kamienicy.

Po schodach przed nią szedł jakiś mężczyzna. Widziała go tylko od tyłu, ale natychmiast rozpoznała wysoką postać o charakterystycznym sposobie trzymania głowy, usztywnionym karku i wysoko podciągniętych ramionach. To był Otto Quangel, ojciec jej poprzedniego narzeczonego, człowiek, któremu kiedyś zdradziła tajemnicę nielegalnej organizacji.

Mimowolnie przystanęła. Wiedziała, że Quangel nie zauważył jeszcze jej obecności. Wchodził po schodach bez pośpiechu, ale równym i szybkim krokiem. Szła za nim w odległości pół piętra, gotowa natychmiast się zatrzymać, gdyby Quangel zadzwonił do jednych z licznych drzwi na piętrach biurowca.

Lecz on nigdzie nie zadzwonił, zobaczyła za to, jak zatrzymał się przy oknie, wyjął z kieszeni jakąś kartkę i położył ją na parapecie. Gdy to robił, jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem obserwującej go Trudel. Lecz Quangel nie dał po sobie poznać, czy ją rozpoznał czy nie, tylko minął ją, schodząc po schodach, i nawet na nią nie spojrzął.

Gdy tylko zszedł niżej, pośpieszyła do okna i podniosła kartkę. Przeczytała tylko pierwsze słowa: „Czy dalej nie rozumiecie, że Führer haniebnie was okłamał, twierdząc, że Rosja zbroi się do ataku na Niemcy?”.

A potem pobiegła za Quanglem.

Dogoniła go, gdy wychodził z budynku, przysunęła się do jego boku i powiedziała: – Nie poznałeś mnie, ojcze? To ja, Trudel, dziewczyna Ottonka!

Odwrócił w jej stronę głowę, która nigdy nie wydawała jej się aż tak po ptasiemu ostra i zła jak w tym momencie. Przez chwilę myślała, że

będzie udawał, że jej nie rozpoznaje, lecz on skinął głową i powiedział: – Dobrze wyglądasz, Trudel!

– Tak – odpowiedziała, a jej oczy promieniały. – Czuję się też tak silna i szczęśliwa jak nigdy dotąd. Spodziewam się dziecka. Wyszłam za mąż. Nie jesteś zły, ojcze?

– Dlaczego miałbym być na ciebie zły? Z powodu zamążpójścia? Nie bądź głuptasem, Trudel, jesteś młoda, a od śmierci Ottonka wkrótce miną dwa lata. Nie, nawet Anna nie miałaby ci za złe tego, że wyszłaś za mąż, a ona przecież codziennie wspomina Ottonka.

– A jak mama się czuje?

– Tak jak zawsze, Trudel, tak jak zawsze. U nas, starych, nic się nie zmienia.

– Ależ tak! – powiedziała, zatrzymując się. – Ależ tak! – Jej twarz przybrała bardzo poważny wyraz. – Ależ tak, wiele się u was zmieniło. Pamiętasz, jak staliśmy wtedy na korytarzu fabryki mundurów, pod plakatami ze straceń? Wtedy mnie ostrzegłeś...

– Nie wiem, o czym mówisz, Trudel. Starzy ludzie mają słabą pamięć.

– Dziś to ja cię ostrzegam, tato – kontynuowała cicho, lecz bardzo żarliwym tonem. – Widziałam cię, jak kładłeś tę kartkę na klatce schodowej, tę straszną kartkę, którą mam teraz w torebce.

Patrzył na nią niewzruszony tymi swoimi zimnymi oczami, które jakby złowrogo błysnęły.

Szepnęła: – Tato, tu chodzi o twoje życie. Inni też mogą cię zobaczyć. Czy mama wie, że ty robisz coś takiego? Często to robisz?

Milczał tak długo, że myślała już, że wcale jej nie odpowie. Lecz potem powiedział: – Przecież wiesz, Trudel, że ja nic bez mamy nie robię.

– Och! – jęknęła, a w jej oczach pojawiły się łzy. – Tego się obawiałam. Wciągasz w to także mamę.

– Mama straciła syna. Jeszcze tego nie przeboleła, nie zapominaj o

tym, Trudel!

Jej policzki spłonęły czerwienią, jakby postawił jej jakiś zarzut. – Nie sądzę – wymamrotała – żeby Ottonek to zaakceptował, gdyby wiedział, co robi jego matka.

– Każdy idzie swoją drogą, Trudel – odparł chłodno Otto Quangel. – Ty idziesz swoją, a my swoją. Tak, idziemy swoją drogą. – Gwałtownie odrzucił głowę do tyłu, a potem znowu do przodu, zupełnie jak dziobiący ptak. – A teraz musimy się rozstać. Powodzenia z dzieciątkiem, Trudel. Pozdrowię mamę od ciebie, być może.

I odszedł.

Ale zaraz potem zawrócił. – Tej kartki – powiedział – nie możesz trzymać w torebce, rozumiesz? Połóżysz ją gdzieś, tak jak ja to zrobiłem. A mężowi nie powiesz o tym ani słowa, obiecujesz mi to, Trudel?

Skinęła w milczeniu głową, patrząc na niego z lękiem.

– A potem zapomnisz o nas. Zapomnisz o Quanglach na zawsze. Jeśli kiedykolwiek mnie jeszcze spotkasz, nie rozpoznasz mnie, zrozumiano?

I znów mogła tylko skinąć głową.

– A więc powodzenia – powtórzył i teraz już naprawdę odszedł, a ona miała mu przecież jeszcze tyle do powiedzenia.

Gdy Trudel odkładała kartkę Ottona Quangla, odczuwała wszystkie lęki przestępcy, który boi się zostać przyłapany. Nie mogła się zdecydować, czy przeczytać kartkę dalej. Tragiczny los spotkał i tę pocztówkę Ottona Quangla. Mimo że została znaleziona przez kogoś zaprzyjaźnionego, i ona nie spełniła swej misji. I ją wypisano daremnie, i w jej przypadku odbiorczym miała tylko jedno pragnienie, żeby się jej jak najszybciej pozbyć.

Gdy Trudel położyła kartkę dokładnie na tym samym parapecie, na którym położył ją wcześniej Otto Quangel (nawet nie przyszło jej do głowy, że mogłaby to zrobić w innym miejscu), wbiegła szybko po

schodach i zadzwoniła do kancelarii adwokackiej, gdzie pracowała sekretarka, dla której szyła sukienkę. Materiał zrabowany z Francji przesłał jej jakiś przyjaciel z SD^[59].

Podczas przymiarki Trudel czuła na zmianę zimno i gorąco, aż nagle zrobiło jej się ciemno przed oczami. Musiała się położyć w gabinecie adwokata – był na rozprawie – a potem wypić kawę, prawdziwą, doskonałą ziarnistą kawę (zrabowaną w Holandii przez kolejnego przyjaciela, tym razem z SS).

Lecz podczas gdy cały personel biurowy krzątał się wokół niej z troską – nietrudno było rozpoznać jej stan, ponieważ cały ciężar nosiła z przodu – w tym czasie Trudel Hergesell myślała: – On ma rację, nie wolno mi wspomnieć o tym Karlowi. Żebym tylko nie zaszkodziła dziecku, tak bardzo się zdenerwowałam. Ach, ojciec nie powinien tego robić! Czy on w ogóle nie myśli o tym, w jaki strach i kłopoty wpędza w ten sposób innych ludzi? Życie jest już przecież wystarczająco ciężkie!

Gdy w końcu schodziła po schodach, kartki już nie było. Odetchnęła z ulgą, lecz ta ulga nie trwała długo. Nie mogła przestać, tylko ciągle myślała o tym, kto tym razem znalazł kartkę, czy też przestraszył się tak jak ona i co z nią zrobił. Jej myśli krążyły cały czas wokół tego.

Na Alexanderplatz nie wróciła już tak lekkim krokiem, jakim go opuszczała. Miała zamiar załatwić jeszcze parę sprawunków, ale nie czuła się na siłach. Usiadła cichutko w poczekalni, licząc na to, że Karl zaraz nadejdzie. Dopiero wtedy minie strach, który wciąż tkwił w jej ciele, nawet jeśli nic mu nie powie. Sprawi to już sama jego obecność...

Uśmiechnęła się i zamknęła oczy.

Kochany Karl! – pomyślała. – Mój jedyny...!

I zasnęła.

[59] SD (Sicherheitsdienst, Służba Bezpieczeństwa) – organ służby bezpieczeństwa, wywiadu i kontrwywiadu w ramach SS.

ROZDZIAŁ 35.

Karl Hergesell i Grigoleit

Karl Hergesell nie dokonał wymiany na niemowlęcy wózek, nie, bardzo się za to zirytował. Wózek miał dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat, przedpotopowy model, chyba sam Noe wwiózł w nim na arkę swoje najmłodsze dziecko. A ta stara baba zażądała za niego funta masła i funta słoniny. Z niepojętym uporem obstawała przy tym, że „Wy na tej wsi to przecie macie wszystko! Po uszy siedzita w tłuszczu!”.

To czysta bezczelność mieć wobec ludzi takie żądania. Hergesell zapewnił ją, że Erkner nie jest żadną wsią i że nie dostają tam ani grama tłuszczu więcej niż w Berlinie. Poza tym on jest prostym robotnikiem i nie jest w stanie płacić lichwiarskich cen.

– To myśli pan – powiedziała tamta kobieta – że ja tak łatwo rozstanę się z wózkiem, co w niem spały obydwójce moich dzieci, jeśli nie dostane za niego czegoś ładnego? Chce mi pan pewnie położyć na stole parę niezbędnych marek? Nie, dziękuję, drogi panie, musi pan sobie gdzie indziej poszukać głupiego!

Hergesell, który nie wziąłby tego wózka za pięćdziesiąt marek, tej chybotzającej się na resorach bestii z wielkimi kołami, upierał się, że to bezczelność. Poza tym to karalne, bo żądanie w zamian za towar tłuszczu jest zabronione.

– Karalne! – stara kobieta prychnęła z pogardą przez nos. – Karalne! Niech pan spróbuje na mnie donieść, młody człowieku! Mój mąż jest starszym wachmistrzem na policji, dla nas nic nie jest karalne. A teraz niech pan jak najszybciej opuści moje mieszkanie. Nie pozwolę krzyzecz

na siebie we własnym mieszkaniu! Liczę do trzech, a jeśli pan wciąż tu będzie, to będzie naruszenie miru domowego i to ja na pana doniosę!

Jednakże Karl Hergesell, zanim wyszedł, dobitnie wyraził swoją opinię. Dokładnie wyjaśnił jej, co sądzi o takich wyzyskiwaczach, którzy chcą się utuczyć na trudnej sytuacji wielu Niemców. A potem poszedł, ale cały czas czuł złość.

I taki rozszłoszczony napotkał przypadkiem Grigoleita, człowieka z czasów, gdy jeszcze walczyli o lepszą przyszłość.

– No, Grigoleit – powiedział Hergesell, gdy weszła mu w drogę wysoka postać z wysokim, łysiejącym czołem, obładowana dwoma walizkami i aktówką. – No, Grigoleit, znowu w Berlinie? – Chwycił jedną z walizek. – Do pioruna, ależ to ciężkie! Pewnie idziesz na Alexa? Ja też tam idę, poniosę ci tę walizkę.

Grigoleit uśmiechnął się leciutko. – To pięknie, Hergesell, miło z twojej strony. Widzę, że nadal jesteś tym dawnym, chętnym do pomocy towarzyszem. Co porabiasz? I co porabia ta mała śliczna dziewczyna z tamtych czasów, jak ona się nazywała?

– Trudel, Trudel Baumann. Tak na marginesie to ożeniłem się z tą małą śliczną dziewczyną z tamtych czasów, a teraz spodziewamy się dziecka.

– Można się było tego spodziewać. Serdeczne gratulacje – Grigoleit nie wydawał się szczególnie zainteresowany zmianami w życiu Hergesella, choć dla Karla stanowiły one niegasnące źródło szczęścia.

– A co ty porabiasz, Hergesell? – dopytywał się dalej Grigoleit.

– Ja? Chodzi ci o pracę? Znowu pracuję jako elektrotechnik w zakładach chemicznych w Erkner.

– Nie, chodzi mi o to, co robisz tak naprawdę, Hergesell, dla naszej przyszłości.

– Nic, Grigoleit – odpowiedział Hergesell, odczuwając nagle coś na kształt winy. Dodał tytułem wyjaśnienia: – Widzisz, Grigoleit, młodo

się pobraliśmy i żyjemy dla siebie. Co nas obchodzi ten cały świat z tą głównianą wojną? Cieszymy się, że będziemy mieli dziecko. Bo widzisz, Grigoleit, to naprawdę coś. Jeśli postaramy się zachować przyzwoitość i wychować nasze dziecko na przyzwoitego człowieka...

– Będzie wam cholernie ciężko w tym świecie, który szykują nam brunatni panowie! Cóż, zostawmy to, Hergesell, po was nie można się było spodziewać niczego innego. Zawsze bardziej myśleliście łędwiami niż głową!

Hergesell zaczerwienił się z gniewu. Grigoleit wyrażał się o nim z taką pogardą. A przy tym sprawiał wrażenie, jakby nie miał na myśli nic obraźliwego, bo z zupełną obojętnością mówił dalej, nie zauważając nawet wzburzenia rozmówcy: – Ja pracuję dalej, i Niemowlak też. Nie, nie tu w Berlinie. Siedzimy teraz o wiele dalej na zachodzie, to znaczy, to znaczy ja nie siedzę, tylko ciągle jestem w drodze, udaję kogoś w rodzaju kuriera...

– I naprawdę spodziewacie się coś osiągnąć? Paru ludzi kontra ta olbrzymia maszyneria...?

– Po pierwsze, nie jest nas tylko paru. Każdy przyzwoity Niemiec, a jest ich jeszcze ze dwa, trzy miliony, przyłączy się do nas. Muszą tylko najpierw poradzić sobie ze swoim strachem. Teraz ich strach przed przyszłością, którą obdarzą nas brunatni bonzowie, jest wciąż mniejszy od strachu przed zagrożeniami teraźniejszości. Ale to się już wkrótce zmieni. Przez chwilę Hitler może jeszcze zwyciężać, ale potem przyjdą kontruderzenia, zawojuje się po prostu na śmierć. A i ataki lotnicze będą coraz intensywniejsze...

– A po drugie? – zapytał Hergesell, którego serdecznie nudziły wojenne prognozy, w jakich pogrążył się Grigoleit. – Po drugie...

– Po drugie, mój miły kotku, powinieneś wiedzieć, że tu wcale nie chodzi o to, że niewielu walczy przeciw wielu. Tylko o to, że kiedy już

człowiek uznał sprawę za słuszną, to musi za nią walczyć. Czy to ty dożyjesz zwycięstwa, czy też ktoś, kto zajął twoje miejsce, to jest zupełnie obojętne. Nie mogę założyć rąk i powiedzieć: To są co prawda świnię, ale co mnie to obchodzi?

– Tak – powiedział Hergesell. – Ale ty nie jesteś żonaty, nie musisz się troszczyć o żonę i dziecko...

– Och, psia krew! – wykrzyknął Grigoleit z obrzydzeniem. – Skończ z tą cholerną sentymentalną gadką! Sam nie wierzysz w ani jedno słowo ze swojego bełkotu! Żona i dziecko! A nie przyszło ci do głowy, ty idioto, że mógłbym się ożenić już ze dwadzieścia razy, gdyby mi zależało na założeniu rodziny?! Ale ja tego nie robię. Powtarzam sobie, że będę mieć prawo do prywatnego szczęścia dopiero wtedy, gdy na tym świecie będzie miejsce na takie szczęścia!

– Nasze poglądy bardzo się oddaliły! – mruknął Karl Hergesell na poły znudzony, na poły przygnębiony. – Nikomu nie ubywa przez to, że jestem szczęśliwy.

– Ależ tak, kradniesz! Kradniesz matkom synów, żonom mężów, dziewczętom chłopców, tak długo, jak tolerujesz to, że codziennie od kul giną ich tysiące, i nawet nie kiwniesz palcem, żeby powstrzymać to mordowanie. Wszystko to doskonale wiesz, a ja się zastanawiam, czy nie jesteś nawet gorszy od każdego odzianego w brunatną wełnę nazisty. Oni są za głupi, żeby wiedzieć, jaką zbrodnię popełniają. Ale ty wiesz i mimo to nic z tym nie robisz! To nie jesteś gorszy od nazistów? Oczywiście, że jesteś gorszy!

– Chwała Bogu, dotarliśmy do dworca – powiedział Hergesell, odstawiając ciężką walizkę. – Nie muszę już dłużej wysłuchiwać twoich połajanek. Gdybyśmy mieli zostać razem jeszcze dłużej, doszedłbyś do wniosku, że to nie Hitler, tylko ja, Karl Hergesell, tak właściwie rozpętałem tę całą wojnę.

– Bo tak właśnie jest! W przenośni oczywiście. Bo ściśle rzecz ujmując, to właśnie ta twoja obojętność w pierwszym rzędzie umożliwiła...

Teraz to Hergesell roześmiał się już głośno, a i ponury Grigoleit zdobył się na krzywy uśmiech, gdy popatrzył w jego roześmianą twarz.

– Cóż, zostawmy ten temat! – powiedział Grigoleit. – Nigdy nie dojdziemy do porozumienia. – Przesunął dłonią po swoim wysokim czole. – Ale tak właściwie, Hergesell, to mógłbyś mi wyświadczyć drobną przysługę.

– Chętnie, Grigoleit.

– Mam tu tę starą ciężką walizkę, którą pomogłeś mi nieść. Za godzinę muszę jechać dalej do Królewca, a tam jej wcale nie będę potrzebować. Nie wzięłbyś jej na razie do siebie na przechowanie?

– Wiesz co, Grigoleit – odparł Hergesell, z niechęcią zerkając na ciężką walizkę. – Już ci mówiłem, że mieszkam teraz w Erkner. To spory kawałek drogi. Dlaczego po prostu nie oddasz walizki do dworcowej przechowalni?

– Dlaczego? A dlaczego banany są krzywe? Bo nie ufam tym tutaj. Mam w niej całą swoją bieliznę, buty i najlepsze garnitury. A tutaj zawsze kradną. A poza tym jeszcze te bomby. Angole szczególnie chętnie zrzucają je na dworce. Wtedy straciłbym cały swój dobytek.

I naciska: – No zgódź się, Hergesell!

– Cóż, jeśli o mnie chodzi... Z tym że mojej żonie się to nie spodoba. Ale skoro to dla ciebie. Tylko wiesz co, Grigoleit, ja w ogóle nie chciałbym mówić żonie, że cię spotkałem. Zdenerwuje się, a to w jej stanie nie jest wskazane ani dla niej, ani dla dziecka, rozumiesz?

– Dobra, dobra. Rób, jak uważasz. Najważniejsze, żebyś ją dla mnie przechował. Mniej więcej za tydzień wpadnę do ciebie i odbiorę tę cegłę. Podaj mi wasz adres. Dobra, dobra! A więc do zobaczenia wkrótce, Hergesell!

– Do widzenia, Grigoleit!

Karl Hergesell wszedł do poczekalni, żeby się rozejrzeć za Trudel. Znalazł ją wciśniętą w ciemny kąt, z głową na oparciu ławki, w głębokim śnie. Patrzył na nią przez chwilę. Oddychała delikatnie. Jej pełne piersi delikatnie unosiły się i opadały. Usta miała lekko rozchylone, ale twarz bardzo bladą. Wyglądała na zatroskaną, a na czole miała drobne, jasne kropelki potu, jakby się za bardzo zmęczyła.

Popatrzył na ukochaną. A potem, nagle podejmując decyzję, chwycił walizkę Grigoleita i ruszył z nią w stronę przechowalni bagażu. Nie, teraz dla Karla Hergesella najważniejsze na świecie było to, żeby Trudel niczym się nie martwiła i nie denerwowała. Gdyby zabrał walizkę do Erkner, musiałyby opowiedzieć jej o Grigoleicie, a wiedział, że każde wspomnienie o tamtym „wyroku śmierci” bardzo ją denerwuje.

Gdy Hergesell wraca do poczekalni z kwitem z przechowalni w portfelu, Trudel już nie śpi i właśnie maluje sobie usta czerwoną szminką. Uśmiecha się do niego, troszkę blada, i pyta: – A cóż to za potężną walizę ciągnęłaś za sobą? Chyba nie było w niej wózka, co, Karli?

– Potężną walizę? – udaje zdziwionego. – Nie mam żadnej potężnej walizy! Dopiero przyszedłem, a z tego wózka to nic nie wyszło, Trudel.

Patrzy na niego zdumiona. Jej mąż ją okłamuje? Ale dlaczego? Jakże on ma przed nią tajemnice? Przecież wyraźnie widziała go tutaj, przy stole, z walizką, a potem zawrócił i ciągnąc ją za sobą, wyszedł z poczekalni.

– Ależ, Karli! – mówi nieco urażona. – Przecież przed chwilą widziałam cię tutaj stojącego przy stole z walizką!

– Skąd miałbym wziąć walizkę? – odpowiada nieco poirytowany. – Musiało ci się przyśnić, Trudel!

– Nie rozumiem, dlaczego nagle mnie oszukujesz! Nigdy dotąd tego nie robiliśmy!

– Nie oszukuję cię, wypraszam sobie! – Jest już bardzo rozdrażniony,

tak działa na niego nieczyste sumienie. Opanowuje się jednak i mówi spokojniejszym tonem: – Mówię ci przecież, że dopiero co przyszedłem. Nic nie wiem o żadnej walizce, Trudel, musiało ci się przyśnić!

– Tak, tak – odpowiada tylko, nie spuszczać z niego oczu. – Tak, tak. No dobrze, Karli. W takim razie musiało mi się przyśnić. Nie mówmy już o tym.

Spuszcza wzrok. Głęboko ją zabolalo, że ma przed nią jakieś sekrety, a ten ból staje się jeszcze bardziej palący przez to, że i ona ma przed nim swoje tajemnice. Obiecała Ottonowi Quanglowi, że nic nie powie mężowi o ich spotkaniu, nie wspominając o pocztówce. Ale to jej się nie podoba. Małżonkowie nie powinni mieć przed sobą żadnych tajemnic. A teraz i on jakieś przed nią ma.

Karl Hergesell też jest zawstydzony. To hańba, że tak bezwstydnie okłamuje swoją ukochaną, i jeszcze ją ofuknął za to, że powiedziała prawdę. Walczy ze sobą, czy jednak nie lepiej będzie powiedzieć jej o spotkaniu z Grigoleitem. Lecz postanawia, że nie. To by ją jeszcze bardziej zdenerwowało.

– Wybacz, Trudel – mówi, ściskając jej dłoń. – Wybacz, że cię zbeształem. Ale tak mnie rozżłościła historia z tym wózkiem. Posłuchaj...

ROZDZIAŁ 36.

Pierwsze ostrzeżenie

Napaść Hitlera na Rosję dostarczyła nowej pożywki dla gniewu Quangla na tego tyrana. Tym razem Quangel bardzo dokładnie śledził przygotowania do napaści. Nic go nie zaskoczyło, ani gromadzenie pierwszych oddziałów na „naszych granicach”, ani wymarsz. Z góry wiedział, że kłamią, ten cały Hitler, Goebbels, Fritzsche^[60], że każde ich słowo było wierutnym kłamstwem. Nikogo nie zostawili w spokoju, a w pełnym gniewu oburzeniu napisał na jednej z kartek: „Co takiego robili rosyjscy żołnierze, gdy Hitler na nich napadł? W karty sobie grali, nikt w Rosji nie myślał o wojnie!”.

Gdy podchodził teraz w warsztacie do grupki rozmawiających ze sobą osób, czasami żałował, że tak szybko się rozchodzą, jeśli rozmawiali o polityce. Chętnie posłuchałby teraz tego, co inni mówią o wojnie.

Lecz oni natychmiast popadali w ponure milczenie, gadanie stało się bardzo niebezpieczne. Stosunkowo niegroźnego stolarza Dollfuša już dawno zmieniono. Kim był jego następca, tego Quangel mógł się tylko domyślać. Jedenastu z jego ludzi, w tym dwóch mężczyzn, którzy od

[60] Hans Georg Fritzsche (1900-1953) – bliski współpracownik Goebbelsa, od roku 1933 kierownik działu wiadomości w Ministerstwie Propagandy i członek NSDAP, od roku 1938 kierownik działu prasy niemieckiej, a od 1942 szef departamentu radiowego Ministerstwa Propagandy, odpowiedzialny za kontrolę i cenzurę wszystkich wiadomości. W głównym norymberskim procesie zbrodniarzy niemieckich uniewinniony ze względu na brak bezpośredniego udziału w zbrodniach wojennych, w roku 1947 skazany na dziewięć lat obozu pracy, w roku 1950 zwolniony z obozu dla internowanych ze względu na dobre sprawowanie.

ponad dwudziestu lat pracowali w fabryce mebli, zniknęło bez śladu, prosto z pracy, albo nigdy już się rano nie pojawiło. Nigdy nie mówiono, gdzie są, a to był kolejny dowód na to, że kiedyś gdzieś powiedzieli o jedno słowo za dużo i dlatego wyłądownali w kaciecie.

Zamiast tych jedenastu pojawiły się nowe twarze, a stary majster często się zastanawiał, czy ta cała jedenastka to nie są szpiedzy, czy nie jest tak, że połowa załogi podsłuchuje drugą połowę i odwrotnie. W powietrzu czuć było zdradę. Nikt nie mógł już nikomu ufać, a w tej okropnej atmosferze ludzie zdawali się coraz bardziej na wszystko obojętnieć, stawali się niczym części maszyn, które obsługiwali.

Lecz czasem pośród tego otępienia strzelał w górę płomień straszliwego gniewu, tak ja wtedy, gdy jeden z robotników przycisnął rękę do piły, krzycząc: – Niech Hitler zdechnie! I naprawdę zdechnie, tak jak ja odpilowuję sobie rękę!

Z trudem oderwali tego szaleńca od maszyny i oczywiście nigdy więcej już o nim nie usłyszeli. Prawdopodobnie od dawna nie żyje, miejmy nadzieję! Tak, trzeba być cholernie ostrożnym, nie każdy stoi sobie tak spokojnie jak ten stary, otępiały wół roboczy Otto Quangel, którego interesowało tylko to, czy wyrobią dzienną normę trumien. Tak, trumien! Ze skrzyń na bomby przeszli na trumny, nędzne pudła z najtańszych, najcieńszych odpadów drewna, pomalowane na brązowo-czarno. Wyrabiali ich tysiące, dziesiątki tysięcy, pełne pociągi towarowe, dworce pełne pociągów, mnóstwo zapełnionych dworców!

Quangel, przyglądając się uważnie każdej maszynie, często myślał o tych wszystkich ludziach, których poniosą w tych trumnach do grobów, wymordowanych ludziach, bezcelowo wymordowanych ludziach, jeśli te trumny były przeznaczone dla ofiar bombardowań, czyli głównie dla starców, matek i dzieci... a tym bardziej jeśli kierowano je do kacetów, co tydzień parę tysięcy sztuk, dla ludzi, którzy nie potrafili lub nie chcieli

ukrywać swoich przekonań, każdego tygodnia kilka tysięcy trumien dla jednego kacetu. A może pociągi towarowe wyładowane trumnami wyruszają w daleką drogę na front, choć Otto Quangel raczej w to nie wierzył, bo cóż ich obchodzą martwi żołnierze! Martwy żołnierz jest dla nich wart tyle co martwy kret.

Zimne ptasie oko błyska w elektrycznym świetle ostro i złowrogo, głowa odchyła się do tyłu, wąskie usta są mocno zaciśnięte. Nikt nie domyśla się wzburzenia i odrazy, które zagnieżdżyły się w piersi tego człowieka, lecz on wie, że ma jeszcze wiele do zrobienia, wie, że został powołany do wielkiego zadania i nie pisze już kartek tylko w niedziele. Pisze je także w ciągu tygodnia, przed pracą. Od napaści na Rosję pisze też od czasu do czasu listy, które zabierają co prawda dwa dni pracy, ale musi jakoś dać upust swojemu gniewowi.

Quangel przyznaje sam przed sobą, że nie pracuje już z taką ostrożnością jak dawniej. Szczęśliwie wymyka im się od dwóch lat, nigdy nie padło na niego nawet najmniejsze podejrzenie, czuje się całkiem pewnie.

Pierwszym ostrzeżeniem jest dla niego właśnie spotkanie z Trudel Hergesell. Zamiast niej na schodach mógł stać i obserwować go ktoś inny, a wtedy on i Anna byliby skończeni. Nie, tu nie chodziło ani o niego, ani o Annę, chodziło tylko o to, żeby tę pracę wykonywać, dziś i każdego kolejnego dnia. Dla dobra tej pracy musiał znów stać się ostrożniejszy. To, że Trudel mogła przyglądać mu się na schodach podczas podkładania kartki, świadczyło o ogromnej lekkomyślności z jego strony.

A przy tym Otto Quangel nie miał pojęcia o tym, że w tym momencie komisarz Escherich posiadał już opis jego osoby z dwóch źródeł. Już dwukrotnie wcześniej obserwowano Ottona Quangla podczas podkładania kartek, za każdym razem była to jakaś kobieta, która potem z ciekawości podniosła pocztówkę, lecz nie dość szybko podniosła alarm, żeby dało się

schwytać przestępcę jeszcze w kamienicy.

Tak, komisarz Escherich posiadał już dwa opisy roznosiciela kartek. Szkoda tylko, że te opisy różniły się niemal pod każdym względem. Tylko co do jednego obie obserwatorki były zgodne, że twarz sprawcy wyglądała dziwnie, inaczej niż u innych ludzi. Lecz gdy Escherich prosił o dokładniejszy opis owej niezwykłej twarzy, okazywało się, że obie panie albo nie miały okazji dobrze jej się przyjrzeć, albo nie potrafiły swoich spostrzeżeń ubrać w słowa. Nie umiały powiedzieć nic więcej jak to, że sprawca wyglądał jak prawdziwy przestępca. Na pytanie, jak ich zdaniem wygląda prawdziwy przestępca, wzruszały ramionami i stwierdzały, że to chyba panowie sami powinni wiedzieć najlepiej.

Quangel długo się wahał, czy powinien opowiedzieć Annie o spotkaniu z Trudel, czy też lepiej nie. Postanowił jednak, że to zrobi. Nie chciał mieć przed nią żadnych tajemnic.

A poza tym ona też miała prawo znać prawdę, nawet jeśli ryzyko, że przez Trudel dojdzie do zdrady, było niewielkie. Anna powinna wiedzieć nawet o najmniejszym zagrożeniu. Opowiedział jej więc o tym spotkaniu, dokładnie tak, jak się odbyło, nie ukrywając swej lekkomyślności.

Znamienny był sposób, w jaki Anna zareagowała. Trudel, jej zamążpójście, to, że spodziewa się dziecka, to wszystko wcale jej nie interesowało, szepnęła za to wystraszona: – Ale pomyśl, Ottonie, gdyby tam stał ktoś inny, ktoś z SA!

Uśmiechnął się z lekceważeniem: – Ale nikt inny tam nie stał! A teraz znów będę bardzo ostrożny!

Lecz to zapewnienie nie mogło jej uspokoić. – Nie, nie – powiedziała zdecydowanym tonem. – Od tej pory to ja będę roznosić kartki. Sama. Na starą kobietę nikt nie zwróci uwagi. A ty, Ottonie, od razu rzucasz się ludziom w oczy!

– Przez te dwa lata nie zwróciłem na siebie uwagi, matko. Nie ma w

ogóle mowy, żebyś sama wykonywała najbardziej niebezpieczną robotę!
To byłoby tak, jakbym się chował za twoim fartuchem!

– No tak – odparła poirytowana. – Nie wyskakuj mi tutaj z tym dumnym męskim gadaniem! Co za bzdura, chować się za moim fartuchem! Ja wiem, że ty jesteś odważny, ale że jesteś nieostrożny, to dopiero teraz się dowiedziałam, i do tego się odnoszę. Możesz sobie gadać, co chcesz!

– Anno – powiedział, biorąc ją za rękę – nie możesz mi zarzucać w kółko tego samego błędu, jak robią to inne kobiety! Powiedziałem ci, że będę ostrożniejszy, a ty musisz mi uwierzyć. Nieźle sobie radziłem przez te dwa lata, dlaczego w przyszłości miałyby mi się nie powieść?

– Nie rozumiem – powiedziała z uporem – dlaczego nie mogę roznosić tych kartek. Przecież od czasu do czasu to robiłam.

– I dalej będziesz robić. Jak będzie ich za dużo albo jak dopadnie mnie rwa.

– Ale ja mam więcej czasu niż ty. I nie zwracam tak na siebie uwagi. I mam młodsze nogi. I nie chcę umierać tu ze strachu przez te wszystkie dni, gdy wiem, że to robisz.

– A jak jest ze mną? Myślisz, że będę siedzieć zadowolony w domu, wiedząc, że ty jesteś tam? Nie rozumiesz, że to byłby dla mnie wstyd, gdybyś ponosiła większość ryzyka? Nie, Anno, nie możesz tego ode mnie wymagać!

– Więc chodźmy razem. Dwie pary oczu widzą więcej niż jedna, Ottonie.

– We dwoje bardziej zwracalibyśmy na siebie uwagę, jedna osoba łatwo wtapia się w tłum. I ja nie myślę, że w takiej sytuacji dwie pary oczu widzą więcej niż jedna. Bo wtedy zawsze jedno liczy na drugie. A tak w ogóle, Anno, to nie bądź zła, denerwowałbym się, gdybym wiedział, że jesteś obok, i myślę, że z tobą byłoby tak samo.

– Ach, Ottonie – powiedziała. – Przecież wiem, że jeśli czegoś chcesz,

to tak będzie. Nie potrafię ci się sprzeciwić. Ale będę umierać ze strachu, wiedząc, jak wiele ryzykujesz.

– Ryzyko jest takie samo jak wcześniej, takie samo jak wtedy, gdy kładłem pierwszą kartkę na Neue Königstraße. Ryzyko jest zawsze, Anno, gdy ktoś robi to, co my. Chyba że chciałabyś, żebyśmy całkiem z tym skończyli?

– Nie! – zawołała głośno. – Nie, nie wytrzymałabym bez pocztówek dwóch tygodni! Po cóż innego jeszcze żyjemy? Przecież te kartki to nasze życie!

Uśmiechnął się ponuro i popatrzył na nią z posepną dumą.

– Widzisz, Anno – powiedział potem. – Taką cię lubię. My się nie boimy. Wiemy, co nam grozi, i jesteśmy gotowi, jesteśmy gotowi w każdej godzinie, lecz mamy nadzieję, że nastąpi to możliwie jak najpóźniej.

– Nie – powiedziała. – Nie. Ja zawsze sobie myślę, że to nigdy nie nastąpi. Przeżyjemy wojnę, przeżyjemy nazistów, a potem...

– Potem? – zapytał i on, gdyż nagle oboje ujrzeli przed sobą, po osiągnięciu w końcu zwycięstwa, zupełnie puste życie.

– Cóż – powiedziała – myślę, że wtedy też coś sobie znajdziemy, coś, o co warto będzie walczyć. Może już zupełnie otwarcie, bez takiego ryzyka.

– Ryzyko – powiedział – ryzyko jest zawsze, Anno, inaczej to nie byłaby walka. Czasem wiem, że mnie nie złapią, ale potem leżę godzinami i zastanawiam się, czy gdzieś nie tkwi niebezpieczeństwo, że może coś przegapiłem. Zastanawiam się i nic nie znajduję. A jednak to zagrożenie gdzieś jest, czuję to. O czym mogliśmy zapomnieć, Anno?

– O niczym – odparła. – O niczym. Jeśli będziesz ostrożny przy roznoszeniu kartek...

Zniechęcony pokręcił głową. – Nie, Anno – powiedział – nie to miałem na myśli. Niebezpieczeństwo nie tkwi na schodach ani przy pisaniu.

Niebezpieczeństwo jest zupełnie gdzie indziej, w miejscu, którego nie widzę. Kiedyś nagle obudzimy się i będziemy wiedzieć, że zawsze tam było, ale my go nie widzieliśmy. A wtedy będzie już za późno.

Wciąż go nie rozumiała. – Nie wiem, dlaczego nagle zaczęłeś się martwić, Ottonie – powiedziała. – Przecież wszystko przemyśleliśmy i wypróbowali po sto razy. Jeśli tylko będziemy uważać...

– Uważać! – wykrzyknął zniechęcony brakiem zrozumienia z jej strony. – Jak można uważać na coś, czego się nie widzi! Ach, Anno, nie rozumiesz mnie! W życiu nie wszystko da się wyliczyć!

– Nie, nie rozumiem cię – powiedziała, kręcąc głową. – Myślę, że niepotrzebnie się martwisz, ojcze. Myślę, że powinieneś w nocy więcej spać, Ottonie. Nie wysypiasz się.

Milczał.

Po chwili zapytała: – A wiesz, jak nazywa się teraz Trudel Baumann i gdzie mieszka?

Pokręcił głową. Powiedział: – Nie wiem i nie chcę wiedzieć.

– Ale ja chciałabym wiedzieć – odparła z uporem. – Chiałabym na własne uszy usłyszeć, że wszystko dobrze poszło z podłożeniem tamtej kartki. Nie powinieneś był jej tego zostawiać, Ottonie! Czy taka dziecina wie, co robi? Może położyła tę kartkę zupełnie otwarcie, a oni ją na tym przyłapali. A jak tylko taka młoda kobieta wpadnie w ich łapska, to od razu poznają nazwisko Quangel.

Potrząsnął głową: – Wiem, że ze strony Trudel nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo.

– Ale ja wolałabym to wiedzieć na pewno! – wykrzyknęła pani Quangel. – Pójdę do niej do fabryki i się dowiem.

– Nie pójdziesz, matko! Dla nas Trudel już nie istnieje. Nie, nic nie mów, zostaniesz tutaj. Nie chcę już o tym słyszeć ani słowa. – A potem, widząc, że wciąż się z nim nie zgadza, powiedział: – Uwierz mi, Anno,

wszystko jest w porządku, tak jak ci mówię. Nie rozmawiajmy już o Trudel, sprawa jest załatwiona. Ale – dodał ciszej – gdy tak leżę w nocy i nie śpię, to myślę sobie często, że my jednak nie wyjdziemy z tego cało, Anno.

Spojrzała na niego wielkimi oczami.

– A potem odmalowuję sobie to wszystko, co się wydarzy. Dobrze jest wyobrazić sobie coś takiego wcześniej, to potem nic już człowieka nie zaskoczy. Myślisz czasem o tym?

– Nie wiem, o czym ty właściwie mówisz, Ottonie – powiedziała Anna Quangel niechętnie.

Stał z plecami opartymi o półkę z książkami Ottonka, jedno ramię dotykało poradnika radioamatora należącego do chłopca. Patrzył na nią przenikliwym wzrokiem.

– Jak tylko nas aresztują, to od razu zostaniemy rozdzieleni, Anno. Być może zobaczymy się ze dwa czy trzy razy, podczas przesłuchania, procesu, może później jeszcze na pół godziny przed egzekucją...

– Nie! Nie! Nie! – krzyczała. – Nie chcę, żebyś o tym mówił! Uratujemy się, Ottonie, musimy się uratować!

Uspokajającym gestem położył swoją dużą, spracowaną dłoń na jej drobnej, cieplej i drżącej ręce.

– A jeśli się nie uratujemy? Czy będziesz wtedy czegoś żałować? Wolałabyś, żebyśmy nie zrobili czegoś, co zrobiliśmy?

– Nie, niczego nie będę żałować! Ale nie odkryją nas i uratujemy się, Ottonie, czuję to!

– Widzisz, Anno – powiedział, nie zwracając uwagi na jej ostatnie zapewnienie. – To właśnie chciałem usłyszeć. Nigdy niczego nie będziemy żałować. Będziemy trzymać się tego, co zrobiliśmy, nawet jeśli będą nas bardzo dręczyć.

Spojrzała na niego, próbując ukryć drżenie. Na próżno. – Ach,

Ottonie! – zawołała, szlochając. – Po co ty to mówisz? Ściągniesz tylko w ten sposób na nas nieszczęście. Nigdy dotąd tak nie mówiłeś!

– Nie wiem, dlaczego dziś muszę z tobą o tym porozmawiać – powiedział, odchodząc od półki. – Ale muszę, choć raz. Prawdopodobnie nigdy nie będę już z tobą o tym mówić. Ale raz musiałem to zrobić. Bo musisz wiedzieć, że będziemy wtedy w celach bardzo samotni, nie mogąc zamienić ze sobą słowa, a przecież przez ponad dwadzieścia lat nie rozstaliśmy się nawet na jeden dzień. Będzie nam bardzo trudno. Ale będziemy wiedzieć o sobie, że żadne się nie podda, że możemy na sobie nawzajem polegać, tak przez całe życie, jak i w godzinie śmierci. I będziemy też musieli samotnie umrzeć, Anno.

– Ottonie, mówisz tak, jakby to już się stało! A my przecież jesteśmy wolni i nikt nas nie podejrzewa. Moglibyśmy skończyć z tym każdego dnia, gdybyśmy tylko chcieli...

– A chcemy? Czy w ogóle możemy tego chcieć?

– Nie, nie mówię, że chcemy z tym skończyć. Ja tego nie chcę, wiesz przecież! Ale nie chcę też, żebyś mówił tak, jakby już nas złapali i jakby zostało nam już tylko umieranie. Nie chcę jeszcze umierać, Ottonie, chcę żyć z tobą!

– A kto chce umierać? – zapytał. – Przecież wszyscy chcą żyć, wszyscy, wszyscy, nawet najnędnniejszy robaczek woła o życie. I ja chcę jeszcze żyć. Lecz dobrze jest chyba, Anno, już w trakcie spokojnego życia pomyśleć o trudnym umieraniu, przygotować się do niego. Żeby człowiek wiedział, że będzie mógł umrzeć przyzwoicie, bez jęków i krzyków. To byłoby odrażające...

Przez chwilę panowała cisza.

A potem Anna Quangel powiedziała cicho: – Możesz na mnie polegać, Ottonie. Nie przyniosę ci wstydu.

ROZDZIAŁ 37.

Upadek komisarza Eschericha

Przez rok, który nastąpił po „samobójstwie” małego Enna Klugego, komisarz Escherich mógł prowadzić stosunkowo spokojne życie, nie był szczególnie nękany niecierpliwością swoich przełożonych. Wtedy, gdy ogłoszono tamto samobójstwo, gdy stało się ewidentne, że ten chuderlak uniknął w ten sposób wszystkich przesłuchań przez Gestapo i SS, przez gabinet Obergruppenführera Pralla przetoczyły się oczywiście burza za burzą. Ale to się z czasem uspokoiło, trop w końcu wystygł i teraz trzeba było czekać na nowy ślad.

Poza tym ten Klabaternik nie był już taki ważny. Tępa monotonia, z jaką wypisywał pocztówki o wciąż tej samej treści, których nikt nie czytał, nikt czytać nie chciał i które we wszystkich wzbudzały zakłopotanie lub strach, sprawiała, że wydawał się kimś śmiesznym i głupim. Mimo to Escherich wciąż pilnie wbijał chorągiewki w mapę Berlina. Z pewnym zadowoleniem zaobserwował, że na północ od Alexanderplatz jest ich coraz więcej – tam ptaszek musi mieć swoje gniazdo! I do tego to intrygujące zagęszczenie niemal dziesięciu chorągiewek na południe od Nollendorfpplatz – tam też Klabaternik musiał bywać regularnie, choćby w dużych odstępach czasu. Pewnego dnia to wszystko dokładnie się wyjaśni...

– Już do nas idziesz! Jesteś coraz bliżej, to nieuniknione! – chichotał komisarz, zacierając ręce.

A potem wracał do innych swoich zajęć. Były ważniejsze i pilniejsze przypadki. Bardzo aktualną sprawą był pewien szaleniiec, przekonany

nazista, jak sam się tytułował, który nie robił nic, tylko każdego dnia wysyłał ministrowi Goebbelsowi bardzo obraźliwy list, często o obscenicznej treści. Z początku listy te bawiły ministra, potem irytowały, w końcu wściekł się i zażądał ofiary. Jego próżność została śmiertelnie zraniona.

Cóż, komisarz Escherich miał szczęście, mógł załatwić sprawę „Świntucha”, jak go ochrzcił, w ciągu kwartału i jednego dnia. Autor listów, który nawiasem mówiąc rzeczywiście należał do partii, był nawet jej starym członkiem, został doprowadzony do pana ministra Goebbelsa, więc Escherich mógł odłożyć tę sprawę *ad acta*. Wiedział, że już nigdy nie usłyszy o Świntuchu. Minister Goebbels nigdy nie wybaczał doznanej urazy.

Potem były inne sprawy – przede wszystkim przypadek pewnego człowieka, który wysyłał do prominentów encykliki papieża i radiowe przemówienia Tomasza Manna, prawdziwe i sfalszowane. Sprytny facet, wcale nie było łatwo go złapać. Lecz w końcu Escherichowi udało się doprowadzić go do celi śmierci w więzieniu Plötze.

I ten mały prokurent, który nagle kompletnie oszalał, mianował się dyrektorem generalnym nieistniejącej stalowni i wypisywał poufne listy nie tylko do dyrektorów faktycznie istniejących zakładów, lecz także do Führera, w których to listach informował o alarmującym stanie niemieckiego przemysłu zbrojeniowego, podając szczegóły, które nie mogły zostać zmyślane. Cóż, akurat tego ptaszka stosunkowo łatwo było złapać. Krąg osób, które posiadały tego rodzaju informacje co autor listów, był dość wąski.

Tak, komisarz Escherich odniósł kilka znaczących sukcesów, w koleżeńskich kręgach przebąkiwano już, że wkrótce awansuje. To był całkiem pomyślny rok, ów okres od samobójstwa małego Klugego, komisarz był zadowolony.

Lecz potem nagle nadszedł czas, gdy przełożeni Eschericha znowu stali w milczeniu przed planem miasta poświęconym Klabaternikowi. Kazali wyjaśniać sobie znaczenie chorągiewek, w zamyśleniu kiwali głowami, gdy wskazywano ich nagromadzenie na północ od Alexanderplatz, kiwali głowami w jeszcze większym zamyśleniu, gdy Escherich pokazywał ową intrygującą grupkę na południe od Nollendorfplatz, a potem mówili: – A jakie ma pan tropy, panie Escherich? Jaki ma pan plan, żeby złapać tego Klabaternika? Od wkroczenia do Rosji bardzo się uaktywnił! W ostatnim tygodniu było chyba z pięć pocztówek i listów?

– Tak – powiedział komisarz. – A w tym tygodniu już są trzy!

– A więc jak ta sprawa stoi, Escherich? Niech pan pomyśli, jak długo on już je wypisuje, tak dalej być nie może! Przecież my nie prowadzimy tutaj urzędu statystycznego rejestrującego dowodzące zdrady stanu pocztówki, jest pan urzędnikiem śledczym, mój drogi! A więc jakie ma pan tropy?

Naciskany w ten sposób, komisarz skarżył się gorzko na głupotę tamtych dwóch kobiet, które widziały tego człowieka i nie zatrzymały go, widziały go, ale nie potrafiły opisać.

– Tak, tak, wszystko pięknie, mój drogi. Ale nie mówmy o głupocie świadków, tylko mówmy o tropach, które odkryła pańska mądra główka!

Na co komisarz znów prowadził panów przełożonych do mapy i szepcząc, pokazywał im, że na północ od Alexanderplatz wszędzie tkwią chorągiewki, oprócz pewnego niewielkiego rejonu, gdzie nie wbito ani jednej.

– I w tym rejonie kryje się mój Klabaternik. Nie podkłada tam kartek, bo jest zbyt znany, bo boi się, że zobaczy go jakiś sąsiad. To tylko kilka ulic, zwyczajni mieszkańcy. Tam się kryje.

– A dlaczego pozwala mu pan się tam kryć? Dlaczego już dawno nie zarządził pan rewizji przy tych paru ulicach? Musi go pan schwytać,

Escherich! Nie rozumiemy pana, zwykle jest pan naprawdę użyteczny, ale w tym przypadku robi pan głupstwo za głupstwem. Przejrzeliśmy sobie akta. Historia z tym Klugem, którego pan wypuścił pomimo złożonych przez niego zeznań! A pan w ogóle się nim nie interesował, tylko pozwolił mu popełnić samobójstwo, akurat wtedy, gdy najbardziej go potrzebowaliśmy! Głupstwo nad głupstwami, Escherich!

Komisarz Escherich, nerwowo podkręcając wąsa, pozwala sobie zwrócić uwagę, że Kluge z pewnością nie miał nic wspólnego z autorem kartek. Przed jego śmiercią i po jego śmierci pocztówki pojawiały się tak samo.

– Uważam jego zeznanie, że jakiś nieznajomy dał mu kartkę do podłożenia, za bezwarunkowo wiarygodne.

– No, skoro pan tak uważa! *My* uważamy za konieczne, żeby pan coś w końcu zrobił! Jest nam wszystko jedno co, ale chcemy widzieć efekty! Niech pan przeprowadzi najpierw rewizje na tych ulicach. Przekonamy się, co z tego wyniknie. Zawsze coś znajdujemy, teraz cuchnie wszędzie!

I znów komisarz Escherich z należnym uniżeniem daje do zrozumienia, że nawet jeśli w grę wchodzi tylko kilka ulic, to i tak trzeba będzie przeszukać niemal tysiąc mieszkań.

– To wzbudzi ogromne zaniepokojenie ludności. Ludzie i bez tego są wystarczająco nerwowi z powodu coraz intensywniejszych nalotów, a jeśli jeszcze damy im powód do narzekań! Co więcej, czego można się spodziewać po rewizji? Co mielibyśmy właściwie znaleźć? Przecież ten człowiek do swojej przestępczej działalności potrzebuje tylko obsadki (jest w każdym mieszkaniu), kałamarza (*ditto*)^[61], kilku kartek pocztowych (*ditto, ditto*). Nie miałbym pojęcia, jakie wskazówki dać moim ludziom co do tych rewizji, czego właściwie mieliby szukać. Chyba że czegoś, czego brakuje. Autor kartek z pewnością nie ma odbiornika radiowego.

[61] *Ditto* (łac.) – tak samo, jak wyżej.

Nigdy dotąd nie znalazłem na tych pocztówkach wskazówki, że uzyskuje informacje przez radio. Czasem jest wręcz źle poinformowany. Nie, naprawdę nie wiem, na czym miałyby się skupiać te przeszukania.

– Ależ najdroższy, nasz najlepszy komisarzu Escherich, my pana naprawdę nie rozumiemy! Zawsze ma pan tylko wątpliwości, za to ani jednej konkretnej propozycji działań! Musimy schwytać tego człowieka, i to szybko!

– I schwytały go – powiedział komisarz z uśmiechem – ale czy szybko? Tego nie mogę obiecać. Bądź co bądź nie sądzę, by pisał te kartki przez kolejne dwa lata.

Jęknęli.

– A dlaczego nie? Bo czas pracuje przeciwko niemu. Przyjrzyjcie się, panowie, tym chorągiewkom, jeszcze sto, a wyraźnie ujrzymy naszą piękną sztukę. To cholernie twardy i opanowany facet, ten mój Klabaternik, lecz i on musiał mieć szczęście. Samo opanowanie nie wystarcza, trzeba mieć też choć odrobinę szczęścia, a to sprzyjało mu dotąd we wręcz niepojęty sposób. Lecz to jest dokładnie tak jak w grze w karty, moi panowie, przez chwilę karty sprzyjają danemu graczowi, ale potem jest nagle po wszystkim. Nagle gra obraca się przeciwko Klabaternikowi, a my trzymamy w ręku wszystkie atuty!

– To wszystko brzmi bardzo pięknie i interesująco, Escherich! Elegancka kryminalistyczna teoria, rozumiemy to. Ale nas teoria tak bardzo nie interesuje, a z pańskich słów wynika, że mielibyśmy czekać ewentualnie jeszcze dwa lata, zanim zdecyduje się pan na działanie. Na to się nie zgadzamy, zamiast tego proponujemy, żeby przemyślał pan sobie tę całą sprawę gruntownie jeszcze raz i, powiedzmy, za tydzień przedstawił nam swoje propozycje. Wtedy zobaczymy, czy nadaje się pan do prowadzenia tej sprawy czy też nie. Heil Hitler, Escherich!

Jednakże Obergruppenführer Prall, który trzymał dotąd mordę na

klódkę ze względu na obecność wyższych rangą przełożonych, wpadł z powrotem do gabinetu Eschericha: – Ty głupcze! Ty idioto! Myśli pan, że pozwolę, żeby taki tępak jak pan dalej hańbił mój wydział? Ma pan jeszcze tydzień czasu! – Wściekły wymachiwał pięściami. – Niech niebiosy mają pana w opiece, jeśli przez ten tydzień też pan niczego nie wymyśli! Już ja panu pokazę! – I tak dalej, i tak dalej. Komisarz Escherich już wcale nie słuchał.

W owym wyznaczonym mu łaskawie tygodniowym terminie komisarz Escherich w taki sposób zajmował się sprawą Klabaternika, że w ogóle się nią nie zajmował. Już raz pozwolił swoim przełożonym wytrącić się z uznanej za słuszną taktyki wyczekiwania i od razu wszystko potoczyło się w złym kierunku, o czym najboleśniej przekonał się Enno Kluge.

Nie żeby ten Kluge jakoś szczególnie ciążył mu na sumieniu. Bezwartościowy, żaloszny beksa, nie miało żadnego znaczenia, czy żyje czy nie. Lecz z powodu tego małego bydlaka komisarz Escherich nasłuchiwał się tyłu krzyków i kosztowało go sporo wysiłku, żeby zamknąć raz otworzoną gębę. Tak, owej nocy, którą tak niechętnie wspominał, komisarz był bardzo zdenerwowany, a jeśli czegoś ten wysoki, szary, bezbarwny mężczyzna nienawdził, to właśnie bycia zdenerwowanym.

Nie, już więcej nie da się skusić na porzucenie postawy wytrwałej cierpliwości – nawet przez najwyższych rangą przełożonych. Co takiego mogło mu się stać? Potrzebowali swojego Eschericha, z wielu względów był dla nich po prostu niezastąpiony. Będą się wściekać i przeklinać, ale w końcu zrobią to, co jedynie słuszne: będą cierpliwie czekać. Nie, Escherich nie miał żadnych propozycji do złożenia...

To było pamiętne posiedzenie. Tym razem nie odbywało się w gabinecie Eschericha, tylko w sali pod przewodnictwem jednego z najwyższych dowódców. Oczywiście nie omawiano tylko sprawy Klabaternika, omawiano także wiele innych spraw z innych wydziałów.

Łajano, wrzeszczano, drwiono z pogardą. A potem przechodzono do następnej sprawy.

– Komisarzu Escherich, zechce nam pan przedstawić to, co ma pan do powiedzenia w sprawie autora pocztówek?

Komisarz zechciał. Przetawił krótkie sprawozdanie z wydarzeń oraz dotychczasowych ustaleń. Zrobił to doskonale, krótko, dokładnie, z polotem, gładząc się w zamyśleniu po wąsach.

Potem przewodniczący zadał pytanie: – A co pan proponuje, żeby załatwić tę zalegającą od dwóch lat sprawę? Od dwóch lat, komisarzu Escherich!

– Mogę zalecić jedynie dalsze cierpliwie oczekiwanie, nie ma innego sposobu. Lecz może warto przekazać sprawę do weryfikacji przez radcę kryminalnego Zotta?

Na sali przez chwilę panowała śmiertelna cisza.

A potem tu i ówdzie rozległ się drwiący śmiech. Jakiś głos zawołał: – Bumelant!

Inny: – Najlepiej coś spartolić, a potem obciążyć tym innych!

Obergruppenführer Prall z hukiem uderzył pięścią w stół: – Już ja ci pokażę, ty ścierwo!

– Proszę o całkowity spokój!

W głosie przewodniczącego słyhać było lekkie oburzenie. Zapanowała cisza.

– Właśnie mieliśmy tu do czynienia, moi panowie, z zachowaniem, które można porównać niemal z dezercją. Tchórzliwa ucieczka przed trudnościami, które nieuchronnie wiążą się z każdą walką. Żałuję. Escherich, zostaje pan zwolniony z dalszego uczestnictwa w niniejszym posiedzeniu. Poczeka pan na moje rozkazy w swoim służbowym pokoju!

Komisarz, błąd jak ściana (niczego takiego się nie spodziewał), uklonił się. A potem podszedł do drzwi, tam stuknął obcasami i wrzasnął,

wyrzucając ramię: - Heil Hitler!

Nikt nie zwracał na niego uwagi. Komisarz poszedł do swojego gabinetu.

Zapowiedziane rozkazy pojawiły się najpierw w postaci dwóch esesmanów, którzy wpatrywali się w niego ponurym wzrokiem, a jeden z nich rzucił groźnie: – Ma pan tu już nic nie ruszać, rozumiesz pan!

Escherich powoli odwrócił głowę w kierunku człowieka, który odezwał się do niego takim tonem. To było coś nowego. Nie żeby Escherich nie znał tego tonu, ale wobec niego nigdy go dotąd nie stosowano. Prosty człowiek, ten esesman. Musiało być źle z komisarzem Escherichem, skoro ktoś taki uderzał wobec niego w podobny ton.

Ordynarna twarz, płaski nos, silnie rozwinięty podbródek, skłonność do aktów przemocy, inteligencja rozwinięta w stopniu niedostatecznym, w stanie upojenia alkoholowego niebezpieczny, podsumował Escherich. Jak to powiedział tamten waśniak na górze? Dezercja? To śmieszne! Komisarz Escherich i dezercja! Ale to akurat w ich stylu, zawsze rzucali wielkie słowa, a potem nic się nie działo!

Do pokoju weszli Obergruppenführer Prall i radca kryminalny Zott.

A więc jednak przyjęli moją propozycję! Najrozsądniejsze, co mogli zrobić, a mimo to nie sądzę, żeby nawet ten sprytny pedant mógł wycisnąć coś nowego z tego materiału!

Escherich właśnie zamierza serdecznie powitać radcę kryminalnego Zotta, choćby po to, żeby pokazać, że nie jest ani trochę urażony przekazaniem mu sprawy, gdy czuje, jak obaj esesmani chwytają go brutalnie za boki, a ten o twarzy mordercy wrzeszczy: – Melduję: esesmani Dobat i Jacoby z aresztantem!

Aresztant? To chyba mam być ja? – myśli zdumiony Escherich.

A głośno mówi: – Panie Obergruppenführerze, chciałbym powiedzieć, że...

– Zamknijcie pysk temu ścierwu! – ryczy wściekle Prall, któremu prawdopodobnie też się oberwało.

Esesman Dobat wali Eschericha zaciśniętą pięścią w twarz. Ten czuje palący ból i obrzydliwy smak ciepłej krwi w ustach. A potem pochyla się do przodu i wypluwa na dywan kilka zębów.

I gdy to wszystko robi, zupełnie mechanicznie, nawet bólu nie czuje tak naprawdę, myśli sobie: Muszę to natychmiast wyjaśnić. Oczywiście jestem gotów na wszystko. Rewizje w całym Berlinie. Szpiedzy w każdej kamienicy, gdzie mieszkają adwokaci i lekarze. Zrobię wszystko, co chcecie, ale nie możecie mnie tutaj tak po prostu łać po pysku, mnie, doświadczonego śledczego odznaczonego krzyżem zasługi wojennej!

I gdy tak gorączkowo myśli, i mechanicznie stara się uwolnić z rąk esesmanów, cały czas próbując jednocześnie coś powiedzieć – choć w ogóle nie może mówić z powodu rozciętej górnej wargi i krwawienia z ust – w tym czasie Obergruppenführer Prall wyskakuje przed niego, chwytając go obiema rękami za kłapy i wrzeszczy: – No to mamy cię w końcu, ty zarozumiały mądralo! Zawsze ci się wydawało, że jesteś taki sprytny, gdy robiłeś mi te swoje przemądrzałe wykłady, co? Myślisz sobie może, że wcale nie zauważyłem, że uważasz mnie za głupca, a siebie za takiego mądrego, ha? No to mamy cię i już my ci pokażemy, zaraz się przekonasz!

Przez chwilę niemal nieprzytomny z gniewu Prall wpatruje się w zakrwawionego komisarza.

Krzyczy: – Plujesz mi tutaj na dywan tą swoją plugawą psią juchą, co? Zaraz ją połkniesz, ty psie, albo osobiście przywalę ci w ryj!

A komisarz Escherich – nie, żaloszny, przerażony człowieczek, który jeszcze przed godziną był potężnym komisarzem Gestapo, zmusza się z czołem zlanym potem, żeby przełknąć obrzydliwy strumień ciepłej krwi i nie ubrudzić dywanu, swojego własnego dywanu; nie, teraz to dywan radcy kryminalnego Zotta...

Obergruppenführer pożądlwym wzrokiem obserwował żalodne zachowanie komisarza. Teraz odwrócił się od Eschericha z pełnym złości „Też coś!” i zapytał radcę kryminalnego: – Będzie pan potrzebować jeszcze tego człowieka do wyjaśnień, panie Zott?

Było niepisaną zasadą, że starzy, oddelegowani do służby w Gestapo policjanci kryminalni trzymają się razem na dobre i na złe, podobnie jak razem trzymają się esesmani, często przeciwko kryminalnym. Nigdy nawet nie przyszłoby Escherichowi do głowy, żeby wydać SS kolegę, choćby obciążonego nie wiadomo jakimi winami. Staralby się raczej ukryć przed nimi nawet najbardziej haniebny czyn. A teraz patrzył, jak radca kryminalny, rzuciwszy mu krótkie spojrzenie, mówi zimno: – Tego człowieka? Do wyjaśnień? Dziękuję, panie Obergruppenführerze. Wolę sam sobie wszystko wyjaśnić!

– Odprowadzić go – wrzasnął Obergruppenführer. – I popędźcie go trochę, chłopcy!

I w przyspieszonym tempie Escherich został porwany przez dwóch esesmanów na korytarz, ten sam korytarz, na który równo rok temu posłał kopniakiem Barkhausena, śmiejąc się z udanego żartu. I z tych samych kamiennych schodów został zrzucony, w tym samym miejscu leżał, krwawiąc, tam gdzie krwawiąc, leżał Barkhausen. Przepędzono go kopniakami, zrzucono po piwnicznych schodach do bunkra...

Bolało go całe ciało, a potem nastąpiły kolejne ciosy. Rozebrać się z cywilnych ubrań, włożyć pasiak, bezwstydnym podział jego rzeczy pomiędzy esesmanów. A do tego ciągle razy, szturchańce, groźby...

Och, tak jest, komisarz Escherich wszystko to często oglądał przez ostatnie lata i nie widział w tym nic dziwnego ani niegodnego, bo to przydarzało się przecież przestępcom. I zgodnie z prawem. Lecz to, że teraz on, komisarz kryminalny Escherich, został zaliczony do wyjętych spod prawa zbrodniarzy, to nie mieściło mu się w głowie. Nie popełnił żadnego

przestępstwa. zaproponował tylko, żeby przekazać sprawę, wobec której żaden z jego przełożonych nie potrafił zaproponować nic użytecznego. To się wyjaśni, zabiorą go stąd z powrotem! Bez niego po prostu nie dadzą sobie rady! A do tej pory musi odpowiednio się zachowywać, nie wolno mu okazać lęku, nie może nawet pokazać po sobie, jak go boli.

Wrzucili do bunkra jeszcze jednego. Drobnego złodziejaska, jak się zaraz dowiedział, który miał pecha, bo chciał okraść damę pewnego wysokiego rangą przywódcy SA i na tym go przyłapali.

Wprowadzili go teraz, musieli już po drodze wziąć go w obroty, skamlące, cuchnące własnym gównem stworzenie, które wciąż próbuje na klęczkach objąć esesmanów za nogi: Niech przez wzgląd na Najświętszą Panią nic mu nie robią! Niech mają dla niego litość – kochany Pan Jezus im to wynagrodzi!

Esesmani ubawili się, kopiąc błagającego ich i obejmującego za nogi chuderlaka kolanami prosto w twarz. Wtedy złodziejasek zaczął tarzać się z krzykiem po ziemi, aż znowu zerknął na srogie twarze i wierząc, że w jednej z nich dostrzegł przebłysk litości, na nowo rozpoczął swoje inwokacje...

I z tym robakiem, z tym cuchnącym gównem tchórzem wszechpotężny komisarz Escherich został zamknięty w jednej celi.

ROZDZIAŁ 38.

Drugie ostrzeżenie

Pewnego niedzielnego poranka pani Anna powiedziała nieco lęklwym tonem: – Myślę, Ottonie, że powinniśmy zajrzeć do mojego brata Ulricha. Wiesz, teraz nasza kolej. Nie pokazywaliśmy się u Heffków od ośmiu tygodni.

Otto Quangel podniósł wzrok znad kartki. – Dobrze, Anno – powiedział. – To może w następną niedzielę. W porządku?

– Wolałabym, żeby udało ci się w tę niedzielę, Ottonie. Myślę, że oni się nas spodziewają.

– Dla nich każda niedziela jest przecież taka sama. Ci ostrożnie nie mają dodatkowej pracy tak jak my!

I roześmiał się drwiąco.

– Ale Ulrich miał w piątek urodziny – zaprotestowała pani Quangel. – Upiekłam mu ciasto, które chciałam mu zanieść. Oni na pewno na nas dzisiaj czekają.

– A ja chciałem dzisiaj oprócz tej kartki napisać także list – powiedział niezadowolony Quangel. – Tak sobie postanowiłem. Nie lubię zmieniać planów.

– Proszę, Ottonie!

– A nie możesz pójść sama, Anno, i powiedzieć im, że mam atak rwy? Raz już tak zrobiłaś!

– I właśnie dlatego, że już raz tak zrobiłam, wolałabym więcej tego nie robić – poprosiła Anna. – A skoro są jego urodziny...

Quangel popatrzył w proszącą twarz żony. Chciał pójść jej na rękę,

lecz tego dnia myśl o wyjściu z domu psuła mu humor.

– A ja chciałem dzisiaj napisać ten list, Anno! On jest naprawdę ważny. Mam pewien pomysł... Z pewnością wzbudzi wielki odzew. A poza tym, Anno, znam już wszystkie wasze opowieści z dzieciństwa, znam je na pamięć. U Heffków jest tak nudno. Nie mam z nim o czym rozmawiać, a twoja bratowa też tylko sztywno siedzi. Nie powinniśmy byli w ogóle zaczynać z tymi krewnymi, krewni to okropność. W zupełności wystarczy nas dwoje!

– Już dobrze, Ottonie – przyznała mu częściowo rację. – To niech dzisiejsza wizyta będzie naszą ostatnią. Obiecuję ci, że nigdy więcej nie będę cię o to prosić. Tylko jeszcze dzisiaj, skoro upiekłam ciasto, a Ulrich świętuje urodziny! Tylko ten jeden raz! Proszę, Ottonie!

– Dzisiaj wyjątkowo mi to nie pasuje – odparł.

Pokonany jednak jej błagalnym spojrzeniem, mruknął w końcu: – Już dobrze, Anno, zastanowię się. Jeśli do południa zdążę z dwiema kartkami...

Zdążył do południa z dwiema kartkami i około trzeciej Quangelowie wyszli z mieszkania. Chcieli pojechać metrem na Nollendorfplatz, lecz tuż przed Bülowstraße Quangel zaproponował swojej żonie, żeby wysiąść już przy tej ulicy, może uda się tam coś załatwić.

Wiedziała, że ma w kieszeni dwie kartki, natychmiast zrozumiała i skinęła głową.

Przeszli kawałek w dół Potsdamer Straße, lecz nie natrafili na odpowiedni budynek. Musieli potem skręcić w prawo, w Winterfeldtstraße, w przeciwnym razie odeszliby zbyt daleko od mieszkania szwagrostwa. I szukali dalej.

– To nie jest taka dobra okolica jak koło nas – stwierdził niezadowolony Quangel.

– A dziś jest niedziela – dodała ona. – Bądź bardzo ostrożny!

– Jestem ostrożny – odparł. I: – Tam wejść!

I już, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zniknął w kamienicy.

Dla Anny zaczęły się w tym momencie minuty czekania, a zawsze były to minuty udreki, kiedy bała się o Ottona, lecz nie mogła zrobić nic innego jak tylko czekać.

O Boże! – pomyślała, patrząc na budynek. – Ta kamienica wcale dobrze nie wygląda! Żeby się tylko udało! Może nie powinnam go była namawiać, żebyśmy tu przyjechali. Wcale nie miał na to ochoty, przecież wiedziałam. I to nie tylko z powodu tego listu, który chciał napisać. Jeśli coś mu się dzisiaj stanie, zawsze będę to sobie wyrzucać! O, idzie Otto...

Lecz to nie Otto wyszedł z budynku, tylko jakaś dama, która minęła Annę, uważnie jej się przyglądając.

Czy ona patrzyła na mnie podejrzliwie? Takie odniosłam wrażenie. Czy tam w środku coś się wydarzyło? Otto jest tam już tak długo, co najmniej dziesięć minut! Ach, też coś, przecież znam to z doświadczenia. Jak ktoś tak stoi i czeka przed budynkiem, to czas ciągnie mu się w nieskończoność. Chwała Bogu, teraz to naprawdę Otto!

Chciała do niego podejść – ale została na miejscu.

Otto bowiem nie wyszedł z kamienicy sam, towarzyszył mu jakiś bardzo wysoki pan w czarnym płaszczu z aksamitnym kołnierzem, z połową twarzy oszpeconą wielkim czerwonym znamieniem pokrytym zgrubiałymi bliznami. W rękę trzymał grubą czarną aktówkę. Nie mówiąc ani słowa, minęli Annę, której serce zamarło z przerażenia, i skierowali się w stronę Winterfeldtplatz. Ruszyła za nimi, choć nogi niemal odmówiły jej posłuszeństwa.

Co się tam stało? – zastanawiała się wystraszona. Kto to jest ten mężczyzna, który idzie z Ottonem? Czy to może być ktoś z Gestapo? Wygląda okropnie z tą plamą! Nie mówią ani słowa – o Boże, po co ja namawiałam Ottona. Udawał, że mnie nie zna, a więc jest w

niebezpieczeństwie! Ta nieszczęsna kartka!

Nagle Anna nie mogła się już dłużej powstrzymać. Nie mogła dłużej znieść dręczącej niepewności. Z niespotykanym u niej zdecydowaniem wyprzedziła obu mężczyzn i zatrzymała się. – Pan Berndt! – wykrzyknęła i podała Ottonowi dłoń. – Dobrze, że pana spotykam! Musi pan natychmiast do nas przyjść. Rura nam pękła i cała kuchnia jest zalana wodą... – Przerwała, zauważyła, że mężczyzna z płamą dziwnie się jej przygląda, jakoś tak drwiąco, pogardliwie.

Ale Otto powiedział: – Zaraz do państwa przyjdę. Muszę tylko zaprowadzić pana doktora do mojej żony.

– Mogę pójść sam – powiedział mężczyzna z płamą. – Mówił pan Von-Einem-Straße 17? Dobrze. Mam nadzieję, że wkrótce pan przyjdzie.

– Za kwadrans, panie doktorze. Będę najpóźniej za kwadrans. Na razie zamknę tylko główny kran.

A po dziesięciu krokach przycisnął do piersi ramię Anny z niezwykłą czułością. – Wspaniale to zrobiłaś, Anno! Nie miałem pojęcia, jak się go pozbyć! Jak wpadłaś na taki pomysł?

– Kto to był? Lekarz? Myślałam, że to ktoś z Gestapo i nie mogłam znieść dalszej niepewności. Zwolnij, Ottonie, cała się trzęsę. Wcześniej nie drżałam, ale teraz! Co się stało? Czy on coś wie?

– Nie. Możesz być spokojna. Nie wie nic. I nic się nie stało, Anno. Ale dzisiaj od wczesnego rana, gdy powiedziałaś mi, że powinniśmy pójść do twojego brata, nie mogę się pozbyć złych przeczuc. Myślałem, że to przez ten list, który postanowiłem napisać. I z powodu nudy u Heffków. Ale teraz już wiem: to dlatego, że cały czas miałem przeczucie, że dziś się coś wydarzy. Że dziś lepiej, żebym nie wychodził z domu...

– A więc coś się jednak stało, Ottonie?

– Nie, zupełnie nic. Mówiłem ci już przecież, że nic się nie stało, Anno. Wchodzę sobie po schodach i już mam położyć kartkę, już mam ją

w rękę, gdy ten wybiega nagle ze swojego mieszkania. Mówię ci, Anno, biegł tak szybko, że omal mnie nie przewrócił. Nie miałem czasu, żeby z powrotem schować kartkę. Co pan robi w naszym budynku? – zawołał do mnie od razu. Ale wiesz, że mam taki zwyczaj, żeby zapamiętać nazwisko któregoś z mieszkańców z sztyldów przy wejściu. Idę do doktora Bolla – mówię. To ja! – odpowiada. O co chodzi? Czy zachorował ktoś u pana w domu? – Cóż mi pozostało innego, jak skłamać? Powiedziałem mu, że jesteś chora, a on musi do nas przyjść. Chwała Bogu, że przypomniała mi się nazwa Von-Einem-Straße. Myślałem, że powie, że przyjdzie wieczorem albo jutro przed południem, ale on od razu zawołał: Doskonale! Akurat po drodze! Chodźmy, panie Schmidt! – Przedstawiłem się jako Schmidt, wiesz, to naprawdę popularne nazwisko.

– Tak, a ja nazwałam cię przy nim panem Berndtem! – wykrzyknęła przerażona Anna. – Na pewno zwrócił na to uwagę.

Quangel przystanął speszony. – To prawda – powiedział. – W ogóle o tym nie pomyślałem! Ale chyba nie zwrócił na to uwagi. Ulica jest pusta. Nikt za nami nie idzie. Na Von-Einem-Straße będzie oczywiście nas szukać na próżno, ale wtedy my już dawno będziemy siedzieć u Heffków.

Anna się zatrzymała. – Wiesz, Ottonie – powiedziała. – Teraz ja to powiem. Lepiej nie idźmy dzisiaj do Ulricha. Teraz to ja mam przeczucie, że dziś jest zły dzień. Pojedźmy do domu. Kartki rozniosę jutro.

Lecz on z uśmiechem potrząsnął głową. – Nie, nie, Anno, jak już tu jesteśmy, to załatwimy i tę wizytę. Przecież ustaliliśmy, że to ma być ostatnia. A poza tym nie chciałbym iść teraz na Nollendorfplatz. Możemy znowu spotkać tego lekarza.

– W takim razie daj mi chociaż te kartki! Nie chcę, żebyś chodził teraz wszędzie z nimi w kieszeni!

Po początkowym oporze wręczył jej obie pocztówki.

– To naprawdę nie jest dobra niedziela, Ottonie...

ROZDZIAŁ 39.

Trzecie ostrzeżenie

Lecz potem u Heffków zupełnie zapomnieli o swoich złych przeczuciach. Okazało się, że szwagrostwo rzeczywiście się ich spodziewają. Ciemnowłosa milcząca bratowa także upiekła ciasto, a gdy oba ciasta zostały zjedzone do zbożowej kawy, Ulrich Heffke postawił na stół flaszkę wódki, którą dostał od kolegów z zakładu.

Pili wolno z małych kieliszków, smakując nieużywany przez nich wszystkich napitek, a on sprawił, że stali się bardziej ożywieni i bardziej rozmowni niż zwykle. W końcu – gdy opróżnili całą butelkę – mały garbus o łagodnych oczach zaczął śpiewać. Śpiewał pieśni kościelne, chorały: *Patrz, świecie, życie święte i Wstąp do bram serca mego*^[62] – wszystkie trzynaście zwrotek.

Wyśpiewywał je dość wysokim falsetem, jego głos brzmiał czysto i nabożnie i nawet Otto poczuł, że przenosi się w czasy dzieciństwa, gdy takie pieśni jeszcze coś dla niego znaczyły, bo był człowiekiem prostej wiary. Wtedy życie było jeszcze proste, wierzył nie tylko w Boga, ale też w ludzi. Wierzył, że powiedzenia takie jak – „Miłuj nieprzyjaciół swoich” czy „Błogosławieni pokój czyniący” – że takie sentencje obowiązują także na ziemi. Od tamtej pory wiele się zmieniło, i to z pewnością nie na lepsze. W Boga nikt już nie wierzył. Niemożliwe, żeby dobry Bóg pozwalał na taką hańbę, jaka dzieje się teraz na świecie, a jeśli chodzi o ludzi, o te świnię...

Garbaty Ulrich Heffke śpiewał wysoko i czysto: – „Niech serce me

[62] Tytuły chorału i pieśni autorstwa Paula Gerhardta (1607-1676), niemieckiego duchownego luterańskiego, teologa i poety religijnego.

odczuje zbawienną Twą moc, co z sądu nas ratuje, gdy świeci w grzechu noc...”^[63].

Lecz gdy poproszono Quangłów, żeby zostali do kolacji, od razu odmówili. Tak, było bardzo miło, ale muszą już wracać do domu. Otto ma jeszcze coś do załatwienia. Zresztą to nie uchodzi choćby z powodu kartek żywnościowych, przecież sami wiedzą, jak jest. Wbrew wszelkim zapewnieniom Heffków, że nie, że jeden raz można, że nie w każdą niedzielę ma się urodziny i że wszystko jest już przygotowane, niech tylko zajrzą do kuchni – wbrew wszystkim tym zapewnieniom Quanglowie uparli się, że muszą już iść.

I rzeczywiście wyszli, choć Heffkowie byli bardzo urażeni.

Na ulicy Anna powiedziała: – Widziałeś, Ulrich się obraził, i jego żona też...

– Niech się obrażają, ile chcą! To przecież i tak była nasza ostatnia wizyta!

– Ale tym razem było miło, ty też tak uważasz, prawda, Ottonie?

– Pewnie. Oczywiście. Wódka się do tego przyczyniła...

– A Ulrich tak ładnie śpiewał, tobie też się podobało, co?

– Tak, bardzo ładnie. Śmieszny z niego facet. Jestem pewien, że co wieczór w łóżku modli się do miłosiernego Boga.

– Daj mu spokój, Ottonie! Ludziom pobożnym jest w dzisiejszych czasach łatwiej. Mają kogoś, do kogo mogą się zwrócić ze swoimi troskami. I wierzą, że całe to mordowanie ma jakiś sens.

– Dziękuję bardzo! – powiedział nagle rozłoszczony Quangel. – Sens! Przecież to wszystko jest bez sensu! Dlatego, że wierzą w niebo, to nic nie chcą zmienić na ziemi. Wiecznie się tylko płaszczą i chowają po kątach! W niebie wszystko będzie przecież znowu dobrze. Bóg wie, dlaczego to się dzieje. W dzień Sądu Ostatecznego wszyscy się tego

[63] Słowa pieśni *Wstąp do bram serca mego*.

dowiemy! Nie, dziękuję.

Quangel mówił szybko i ze złością. Zadziałał alkohol, do którego nie był przyzwyczajony. Nagle przystanął. – To jest ten dom! – powiedział. – Idę tam! Daj mi kartkę, Anno!

– O nie, Ottonie. Nie rób tego! Przecież ustaliliśmy, że dziś nic już więcej nie robimy. Przecież dzisiaj jest zły dzień!

– Już nie, teraz już nie. Daj mi tę kartkę, Anno!

Podawała mu ją z wahaniem. – Żeby tylko coś się nie stało, Ottonie. Tak bardzo się boję...

Lecz on nie zważał na jej słowa, już go nie było.

Czekała. Lecz tym razem nie musiała długo się martwić. Otto zaraz wrócił.

– No – powiedział, biorąc ją pod ramię. – Załatwione. Widzisz, jak łatwo poszło? Nie trzeba się przejmować takimi przeczuciami.

– Chwała Bogu! – powiedziała Anna.

Lecz nie uszli nawet kilku kroków w stronę Nollendorflplatz, gdy podbiegł do nich jakiś mężczyzna. W rękę trzymał kartkę Quangelów.

– To pan! To pan! – wołał w szaleńczej ekscytacji. – To pan położył tę kartkę na moim pięttrze! Widziałem pana! Policja! Halo! Szupo!

Krzyczał coraz głośniej. Ludzie zbiegli się wokół nich, a policjant z Szupo pośpiesznie przeszedł przez jezdnię.

Bez wątpienia gra obróciła się przeciwko Quanglom. Majster działał spokojnie przez ponad dwa lata, a teraz szczęście nagle go opuściło. Niepowodzenie za niepowodzeniem. Pod tym względem były komisarz Escherich miał rację: nikt nie może liczyć na nieustanne powodzenie, trzeba wkalkulować także pecha. Otto Quangel zapomniał o tym. Nigdy nie myślał o tych wszystkich drobnych, niekorzystnych przypadkach, w które obfituje życie, a których nie da się przewidzieć i z którymi trzeba się po prostu liczyć.

Tym razem przypadek wystąpił w postaci małego, mściwego urzędnika, który wykorzystał wolną niedzielę na szpiegowanie lokatorki z piętra wyżej. Żywił do niej urazę, gdyż rano długo spała, ciągle biegła w męskich spodniach, a wieczorami długo po północy puszczała radio. Podejrzewał, że przyjmuje w mieszkaniu „kawalerów”. Jeśli to prawda, obsmaruje ją przed całą kamienicą. Pójdzie do gospodarza i powie mu, że taka zdzira nie może dłużej mieszkać w przyzwoitym domu.

Już od ponad trzech godzin czekał cierpliwie pod drzwiami, patrząc przez wizjer, gdy zamiast lokatorki z góry zobaczył wchodzącego po schodach Ottona Quangla. Widział, na własne oczy widział, jak Quangel kładł kartkę na schodku. Robił tak czasami, gdy okna na klatce schodowej nie miały parapetów.

– Widziałem to, na własne oczy widziałem! – wołał podekscytowany urzędnik do wachmistrza, wymachując kartką. – Niech pan przeczyta, panie wachmistrzu! To przecież zdrada stanu! Należy mu się stryczek!

– Niech pan tak nie krzyczy! – odparł z naganą policjant. – Widzi pan przecież, że ten drugi pan jest zupełnie spokojny. Wcale nie ucieka. A więc było tak, jak mówi ten pan?

– Bzdura! – odparł z irytacją Otto Quangel. – Pomylił mnie z kimś. Właśnie byłem u szwagra na urodzinach, na Goltzstraße. Tu, na Maaßenstraße, nie wchodziłem do żadnego budynku. Niech pan spyta moją żonę...

Rozejrzał się wokół. Anna właśnie przeciskała się z powrotem przez gęsty krąg ciekawskich. Od razu pomyślała o drugiej kartce, którą miała w torebce. Musiała się jej natychmiast pozbyć, to było najważniejsze. Przesunęła się między ludźmi, spostrzegła skrzynkę pocztową i nie zwracając na siebie uwagi – wszyscy gapili się na wrzeszczącego oskarżyciela – wrzuciła do niej kartkę.

A teraz stała już przy mężu i uśmiechała się do niego, żeby mu dodać

otuchy.

Tymczasem policjant przeczytał kartkę. Zrobił się bardzo poważny, wsunął ją za wylóg rękawa. Słyszał o tych kartkach. W każdym rewirze nie raz, lecz z dziesięć razy zwracano im na nie uwagę. Mieli obowiązek zbadania choćby najdrobniejszego tropu.

– Obaj panowie pójdziecie ze mną na komisariat! – postanowił.

– A ja? – wykrzyknęła oburzona Anna Quangel, wsuwając rękę pod ramię męża. – Ja też idę! Nie pozwolę, żeby mój mąż poszedł sam!

– Macie rację, mamuśka! – powiedział jakiś głęboki głos z kręgu gapiów. – Z nimi nigdy nic nie wiadomo, pilnują swojego starego!

– Spokój! – krzyknął wachmistrz. – Spokój! Cofnąć się! Rozejść się! Nie ma się na co gapić!

Lecz publiczność była innego zdania, a policjant, który zrozumiał, że nie może jednocześnie pilnować trojga ludzi i rozpędzać tłumu składającego się z blisko pięćdziesięciu przechodniów, zrezygnował z wzywania ich do rozejścia się.

– Na pewno się pan nie myli? – zapytał podekscytowanego donosiciela.

– Czy ta pani też była na schodach?

– Nie, jej tam nie było. Ale na pewno się nie mylę, panie wachmistrzu!

– Znowu zaczął krzyżeć. – Widziałem go na własne oczy, już od trzech godzin siedziałem przy judaszu w drzwiach...

Piskliwy głos zawołał z przyganą: – Co za cholerny donosiciel!

– A więc państwo we trójkę pójdą ze mną! – zdecydował wachmistrz.

– Niech się państwo rozejdą! Przecież widzicie, że ci państwo chcą przejść! Co za ciekawscy! Tak, proszę, w tę stronę, mój panie!

Na komisariacie musieli poczekać pięć minut, zanim zostali wezwani do gabinetu naczelnika, wysokiego mężczyzny ze szczerą, ogorzałą twarzą. Kartka Quangla leżała na jego biurku.

Oskarżyciel powtórzył swoje zarzuty.

Otto Quangel zaprotestował. Złożył tylko wizytę szwagrowi przy Goltzstraße i nie wchodził do żadnego domu przy Maaßenstraße. Mówił bez zdenerwowania, stary majster sprawiał wrażenie opanowanego, nawet naczelnikowi wydał się korzystnym przeciwieństwem wrzeszczącego, wciąż podnieconego i plującego śliną oskarżyciela.

– Niech pan powie – powiedział do niego powoli naczelnik – dlaczego właściwie stał pan trzy godziny przy judaszu? Przecież nie mógł pan wiedzieć, że przyjdzie ktoś z taką kartką, prawda?

– Ach, w naszym domu mieszka taka jedna zdzira, panie naczelniku! Ciągłe lata w spodniach, całą noc puszcza radio. Chciałem sprawdzić, kogo sprowadza do mieszkania. A wtedy pojawił się ten człowiek...

– Nigdy nie byłem w tym budynku – powtórzył z uporem Quangel.

– A po co mój mąż miałby robić coś takiego? Myśli pan, że bym na to pozwoliła? – zawołała Anna. – Jesteśmy małżeństwem od ponad dwudziestu pięciu lat i nikt nigdy mojego męża o nic nie oskarżył!

Naczelnik rzucił okiem na nieruchomą ptasią twarz. O wszystko można by go podejrzewać! – przemknęło my przez myśl. Ale żeby wypisywał takie kartki?

Zwrócił się do oskarżyciela: – Jak się pan nazywa? Millek? Pracuje pan na poczcie, zgadza się?

– Starszy sekretarz pocztowy, panie naczelniku. Zgadza się.

– I pan jest tym panem Millkiem, od którego dostajemy średnio dwa donosy w tygodniu, że sprzedawcy oszukują na wadze, że w czwartek trzepali dywany, że ktoś załatwił się pod pana drzwiami i tak dalej, i tak dalej. To pan?

– Ludzie są tacy okropni, panie naczelniku! Wszystko robią mi na złość! Niech mi pan wierzy, panie naczelniku...

– I dziś po południu obserwował pan jakąś kobietę, którą określa pan mianem zdziry, a teraz donosi pan na tego człowieka...

Starszy sekretarz pocztowy zapewnił, że spełnia tylko swój obowiązek. Widział, jak ten mężczyzna kładzie kartkę, a ponieważ rzut oka na jej treść wystarczył, żeby wiedzieć, że chodzi tu o zdradę stanu, natychmiast za nim pobiegł.

– Tak, tak! – powiedział naczelnik. – Jedną chwileczkę...

Usiadł przy biurku, wziął kartkę i udawał, że czyta ją jeszcze raz, choć przeczytał ją już trzy razy. Zastanawiał się. Był przekonany, że ten Quangel to stary robotnik, którego zeznania są prawdziwe, Millek natomiast to piniacz, którego donosy jeszcze nigdy się nie sprawdziły. Najchętniej odesłałby całą trójkę do domu.

Mimo wszystko jednak znaleziono tę pocztówkę, tego nie dało się obejść, mieli przecież surowy rozkaz, żeby badać każdy, najmniejszy nawet ślad. Naczelnik nie zamierzał narobić sobie kłopotów. Nie miał zbyt wysokich notowań. Podejrzewano go o sentymentalizm, miał po kryjomu sympatyzować z aspołecznymi i Żydami. Musiał być bardzo ostrożny. A poza tym co złego stanie się temu człowiekowi i jego żonie, jeśli przekaze ich Gestapo? Jeśli są niewinni, wypuszczą ich po paru godzinach. A fałszywy donosiciel dostanie po łbie za niepotrzebną robotę, którą przez niego musieli wykonać.

Już miał dzwonić do komisarza Eschericha, gdy coś mu przyszło do głowy. Zadzwoił dzwonkiem i powiedział do policjanta, który się pojawił: – Zabierzcie tych dwóch panów i dokładnie ich przeszukajcie. Uważajcie tylko, żeby ich rzeczy się nie pomieszały. A potem przyslijcie mi tu kogoś, tę panią przeszukamy tutaj!

Lecz przeszukanie nie dało żadnych efektów, przy Quangule nie znaleziono nic obciążającego. Anna Quangel z westchnieniem ulgi pomyślała o kartce w skrzynce. Otto Quangel, który nic nie wiedział o pośpiesznej akcji przytomnej na umyśle żony, pomyślał: Ależ ta Anna jest sprytna. Co ona zrobiła z tamtą kartką? Przecież cały czas przy niej

byłem! Papiery Quangla także potwierdziły wszystkie podane przez niego dane.

W kieszeni Millka znaleziono natomiast gotowy, skierowany do komisariatu donos na niejaką panią von Tressow, zamieszkałą przy Maaßenstraße 17, która pomimo obowiązku trzymania psów na smyczy pozwala swojemu złośliwemu psu biegać luzem. Ten pies już dwa razy warczał na starszego sekretarza poczty. Boi się o swoje spodnie, które w tych wojennych czasach są nie do zastąpienia.

– Też ma pan problemy, człowieku! – stwierdził naczelnik. – Teraz, w trzecim roku wojny! Myśli pan, że nie mamy nic innego do roboty? Dlaczego sam nie podejdzie pan do tej pani i nie poprosi grzecznie, żeby wzięła psa na smycz?

– Nie zrobię tego, panie naczelniku! Zagadywać damę wieczorem na ulicy, o nie! Potem oskarżyłaby mnie o nieobyczajność!

– Wachmistrzu, zabierzcie stąd na razie całą trójkę. Chcę zatelefonować.

– Czy ja jestem aresztowany? – wykrzyknął gniewnie starszy sekretarz pocztowy Millek. – Złożyłem u was ważny donos, a wy mnie aresztujecie! Ja złożę skargę!

– Czy ktoś tu mówił o aresztowaniu? Wachmistrzu, pan zabierze całą trójkę!

– Kazaliście mi opróżnić kieszenie jak jakiemuś przestępcy! – wykrzykiwał dalej starszy sekretarz pocztowy, zanim zamknęły się za nim drzwi.

Naczelnik wziął telefon, wybrał numer i zgłosił się. – Chciałbym rozmawiać z komisarzem Escherichem – powiedział. – W sprawie tych pocztówek.

..... – Komisarza Eschericha nie ma! *Ex!*^[64] *Perdu!*^[65] – wykrzyknął mu do

[64] *Ex* (łac.) – były, dawny, dymisjonowany.

[65] *Perdu* (fr.) – przepadł, stracony.

ucha jakiś pyskaty głos. – Teraz tą sprawą zajmuje się radca kryminalny Zott!

– To niech mi pan da radcę kryminalnego Zotta, jeśli w niedzielne popołudnie można się z nim kontaktować.

– Ach, z nim zawsze można! Przekazuję telefon radcy!

– Tu Zott!

– Tu naczelnik Kraus. Panie radco, doprowadzono właśnie do nas człowieka, który ma rzekomo coś wspólnego z tymi pocztówkami. Orientuje się pan, o co chodzi?

– Oczywiście! Sprawa Klabaternika. Kim jest ten człowiek z zawodu?

– Stolarzem. Majstrem w fabryce mebli.

– W takim razie złapaliście nie tego! Ten właściwy pracuje przy tramwajach! Niech pan go wypuści, panie naczelniku! I już!

I tak Quangłowicze znów byli wolni, ku swemu ogromnemu zdumieniu, gdyż spodziewali się gruntownych przesłuchań i rewizji w mieszkaniu.

ROZDZIAŁ 40.

Radca kryminalny Zott

Radca kryminalny Zott, człowieczek ze sterzczącą bródką i sterzczącym brzuchem, przypominający bohatera opowieści Ernsta Theodora Amadeusa Hoffmanna^[66], istota ulepiona z papieru, kurzu z akt, atramentu i dużej dozy przenikliwości, był kiedyś pośmiewiskiem pośród funkcjonariuszy policji kryminalnej w Berlinie. Gardził tradycyjnymi metodami, prawie nigdy nie prowadził przesłuchań, a na widok trupa robiło mu się niedobrze.

Najchętniej siedział nad aktami innych, porównywał, szukał, wypisywał z nich wielostronicowe notatki – a jego konikiem było tworzenie do wszystkiego tabelek, niekończących się, drobiazgowo przemyślanych tabelek, z których wyciągał swe przenikliwe wnioski. Ponieważ radca kryminalny Zott swoją metodą, pracując wyłącznie głową, osiągnął parę zaskakujących sukcesów w przypadkach, które wydawały się beznadziejne, przyzwyczajono się do podsuwania mu wszelkich beznadziejnych spraw – jeśli Zott nic nie znajdzie, to już nikt nic nie znajdzie.

Tak więc propozycja komisarza Eschericha, żeby przekazać sprawę Klabaternika radcy kryminalnemu Zottowi, nie miała w sobie nic niezwykłego. Tyle że Escherich powinien był sprawić, żeby ta propozycja wyszła od jego przełożonych, złożona przez niego była po prostu

[66] Ernst Theodor Amadeus Hoffmann (1776-1822) – niemiecki poeta i pisarz romantyczny, prawnik, a także kompozytor i rysownik. Prekursor fantastyki grozy, autor m.in. *Dziadka do orzechów*, *Kota Mruczysława poglądów na życie*, *Panny de Scudery*.

bezczelnością, nie, tchórzostwem wobec wroga, dezercją...

Radca kryminalny Zott zamknął się na trzy dni z aktami sprawy Klabaternika i dopiero potem poprosił Obergruppenführera o rozmowę. Obergruppenführer, żądny zakończenia wreszcie tej sprawy, przyszedł do Zotta od razu.

– No, panie radco kryminalny, co tam znowu wywąchał nasz stary Sherlock Holmes? Jestem przekonany, że trzyma pan już tego człowieka za kołnierz. Ten osioł Escherich...

Nastąpiła długa litania przekleństw pod adresem Eschericha, który wszystko zepsuł. Radca kryminalny Zott wysłuchał jej z obojętnym wyrazem twarzy, nie zdradził swojego zdania w tej sprawie nawet skinieniem czy potrząśnięciem głową.

Gdy dym po kanonadzie wreszcie opadł, Zott powiedział: – Panie Obergruppenführerze, mamy więc tego autora kartek, prostego, raczej niewykształconego człowieka, który niewiele w swoim życiu pisał i któremu raczej z trudem przychodzi wyrażanie się na piśmie. Musi być kawalerem albo wdowcem, który mieszka zupełnie sam, w przeciwnym razie przez te dwa lata żona albo gospodyni już dawno przyłapałaby go na pisaniu i na pewno sprawa nabrałaby rozgłosu. A ponieważ o tej osobie nie zrobiło się głośno, chociaż można założyć, że na północ od Alexanderplatz sporo się mówi o tych kartkach, dowodzi to, że nikt nie widział go przy ich pisaniu. Z całą pewnością mieszka zupełnie sam. To musi być starszy człowiek – komuś młodszemu taka pisanina bez widocznych efektów szybko by się znudziła i już dawno zajęłaby się czymś innym. Nie posiada też odbiornika radiowego...

– Pięknie, pięknie, panie radco! – przerwał mu niecierpliwie Obergruppenführer Prall. – To wszystko opowiadał mi już dawno i dokładnie tak samo ten idiota Escherich. A ja potrzebuję nowych analiz, wniosków, które umożliwią mi aresztowanie tego człowieka. Widzę, że

ma pan tutaj jakąś tabelkę. Co to za tabela?

– Tak, mam tu tabelę – odpowiedział radca kryminalny, nie dając po sobie poznać, jak bardzo uraził go Prall, określając przenikliwie wyniki jego dedukcji jako przedstawione już wcześniej przez Eschericha. – Wyszczególniłem w niej godziny odkrycia kartek. Do tej pory znaleziono dwieście trzydzieści trzy kartki i osiem listów. Gdy przyjrzymy się bliżej tym godzinom, dojdziemy do następujących wniosków: po ósmej wieczorem i przed dziewiątą rano nigdy nie podłożono żadnej kartki...

– Przecież to jasne jak słońce! – wykrzyknął zniecierpliwiony Oberguppenführer. – Bo w tych godzinach bramy kamienic są zamknięte! Naprawdę nie potrzeba żadnych tabelek, żeby to wiedzieć!

– Chwileczkę, bardzo proszę! – powiedział Zott, a w jego głosie słychać już było prawdziwą irytację. – Jeszcze nie skończyłem przedstawiać moich wniosków. Poza tym bramy nie są otwierane dopiero o dziewiątej rano, lecz już o siódmej, a czasami nawet o szóstej. Kontynuując, osiemdziesiąt procent kartek podłożono w godzinach pomiędzy dziewiątą rano a dwunastą w południe. Nigdy nie podłożono żadnej kartki pomiędzy dwunastą a czternastą. Następne dwadzieścia procent kartek przypada na godziny od czternastej do dwudziestej. Z tego wynika, że autor kartek, na pewno będący też jednocześnie osobą, która je roznosi, jada regularnie pomiędzy dwunastą a czternastą, a to znaczy, że pracuje w nocy, w każdym razie nie przedpołudniami i rzadko po południu. Biorę jakieś miejsce znalezienia kartki, powiedzmy przy Alexanderplatz, stwierdzam, że kartkę podłożono około jedenastej piętnaście, biorę pod uwagę odległość, jaką człowiek może przejść w czterdzieści pięć minut, czyli do dwunastej, i rysuję za pomocą cyrkla okrąg wokół miejsca znalezienia, i zawsze natykam się na północy na tę wolną od chorągiewek przestrzeń. To dotyczy wszystkich miejsc znalezienia kartek, z pewnymi zastrzeżeniami spowodowanymi tym, że nie zawsze chwila znalezienia kartki jest

identyczna z chwilą jej podłożenia. Z tego wnioskuję, że po pierwsze, ten człowiek jest bardzo punktualny. Po drugie, nie lubi korzystać ze środków publicznego transportu. Mieszka w trójkącie, którego boki tworzą ulice Greifswalder, Danziger i Prenzlauer, a dokładniej w północnym kącie tego trójkąta, przypuszczalnie przy Chodowieckistraße, Jablonskistraße lub Christburger StraÙe.

– Całkiem niezłe, panie radco! – powiedział wciąż rozczarowany Obergruppenführer. – Zresztą przypominam sobie, że już Escherich wymieniał te ulice. Uważał jednak, że przeszukiwanie mieszkań nie ma sensu. A co pan sądzi o rewizjach?

– Chwileczkę, proszę – powiedział Zott i uniósł swą drobną dłoń, która przybrała żółtawą barwę chyba od tych wszystkich akt, na których dotąd spoczywała. Teraz był już naprawdę głęboko urażony. – Chciałbym dokładnie przedstawić panu moje wyniki, żeby sam mógł pan stwierdzić, czy zaproponowane przeze mnie działania będą celowe...

Chce się zabezpieczyć, cwany lis! – pomyślał sobie Prall. No czekaj, u mnie nie ma żadnych zabezpieczeń, a jeśli będę chciał cię zrugać, to z pewnością to zrobię!

– Gdy dłużej przyjrzymy się tej tabeli – kontynuował wykład radca kryminalny – to okaże się, że wszystkie kartki zostały podłożone w dni robocze. Z tego wyciągamy wniosek, że ów mężczyzna w niedziele nie wychodzi ze swojego mieszkania. Niedziela to dzień, w którym pisze kartki, co potwierdza fakt, że w większości są one znajdowane w poniedziałki lub wtorki. Ten mężczyzna śpieszy się, żeby pozbyć się z domu obciążających materiałów.

Człowieczek o sterczącym brzuchu unosi palec. – Jedyne wyjątek stanowi dziewięć kartek, które znaleziono na południe od Nollendorfplatz. Wszystkie podłożono w niedziele, w większości z niemal kwartalnym odstępem i zawsze późnym popołudniem lub wczesnym wieczorem. Z

czego wnioskujemy, że mieszka tam jakiś krewny autora kartek, może stara matka, której w regularnych odstępach czasu składa obowiązkową wizytę.

Radca kryminalny Zott przerwał na chwilę i spojrzał na Obergruppenführera przez swoje okulary w złotych oprawkach, jakby spodziewał się słów uznania.

Lecz ten stwierdził tylko: – To wszystko brzmi pięknie. I z pewnością jest bardzo przenikliwie. Na pewno wszystko się zgadza. Ale nie widzę, żeby to posuwało sprawę do przodu...

– A jednak trochę tak, panie Obergruppenführerze! – zaprotestował radca kryminalny. – Kazałbym oczywiście po cichu i bardzo ostrożnie przepytąć w domach przy wymienionych ulicach, czy nie mieszka tam człowiek odpowiadający moim wnioskom.

– To byłoby coś! – wykrzyknął z ulgą Obergruppenführer. – Czy jeszcze coś?

– Sporządziłem – powiedział radca kryminalny triumfalnym tonem, wyciągając drugą kartkę – sporządziłem jeszcze jedną tabelę, na której zazaczyłem na czerwono okręgi o średnicy kilometra wokół najważniejszych punktów, w których znaleziono kartki. Nie uwzględniłem ani miejsc znalezienia kartek przy Nollendorfplatz, ani przypuszczalnego miejsca zamieszkania. Gdy przyjrzałem się dokładniej tym jedenastu miejscom – bo jest ich jedenaście, panie Obergruppenführerze – dokonałem zaskakującego odkrycia, że wszystkie, bez wyjątku, znajdują się przy zajezdniach tramwajowych albo w ich pobliżu. Niech pan sam zobaczy, panie Obergruppenführerze! Tu! I tu! A ta zajezdnia jest tutaj – trochę na prawo, prawie poza kręgiem, lecz nadal w jego promieniu. I znowu tutaj – w samym środeczku...

Zott niemal błagalnie popatrzył na Obergruppenführera. – To nie może być przypadek! – powiedział. – W kryminalistyce nie ma takich

przypadków! Panie Obergruppenführerze, ten człowiek musi mieć coś wspólnego z tramwajami. Nie ma innej możliwości. Na pewno pracuje tam w nocy, a czasami także po południu. Ale nie nosi munduru, to wiemy z relacji obu świadków, pań, które widziały go, gdy podkładał kartkę. Panie Obergruppenführerze, proszę pana o pozwolenie na obsadzenie każdej z tych zajezdni dobrym agentem. Obiecuję sobie po tej akcji nawet więcej niż po przepytywaniu w kamienicach. Ale połączenie tych działań i dokładne ich przeprowadzenie z pewnością przyniesie efekty!

– Ale z pana chytry lis! – wykrzyknął Obergruppenführer równie radosnym tonem i walnął radcę kryminalnego w ramię tak, że mały człowieczek aż zgiął się wpół. – Stary, szczywany łotrze! To z zajezdniami jest znakomite. Ten cały Escherich to idiota! Powinien był na to wpaść. Oczywiście, że ma pan moje pozwolenie! Niech się pan trochę pośpieszy i za dwa, trzy dni zamelduje mi, że ten człowiek został schwytany! Chcę temu osłowi Escherichowi osobiście wrzasnąć prosto w pysk, jakim jest osłem!

Obergruppenführer wyszedł z pokoju z uśmiechem zadowolenia na ustach.

Radca kryminalny Zott, który został sam, zakasłał. Usiadł nad swoimi tabelami przy biurku, zerknął przez okulary na drzwi i zakasłał ponownie. Nienawidził tych wszystkich głośnych bezmózgich facetów, którzy potrafią tylko wrzeszczeć. A tego, który właśnie wyszedł z jego pokoju, nienawidził szczególnie, tego cholernego małpizona, który ciągle przypominał mu o Escherichu. „Escherich już tak mówił” albo „To wiem już od tego durnia Eschericha!”

A potem żartobliwie klepnął go w ramię, ale radca kryminalny nie znosił jakiegokolwiek cielesnego kontaktu. Nie, co za facet, ale cóż, trzeba po prostu czekać. Wcale tak mocno nie siedzieli w siodle ci wszyscy panowie, z trudem ukrywali za wrzaskami swój strach, że

pewnego dnia zostaną strąceni. Choć wydawali się tacy pewni siebie i dziarscy, w głębi ducha doskonale wiedzieli, że tak naprawdę są nikim i że nic mogą. I z takim półgłówkiem musiał się podzielić swoim wielkim odkryciem o zajezdniach, z człowiekiem, który nawet nie potrafił docenić przenikliwości, jaka była niezbędna do jego dokonania! Perły przed wieprze – wciąż ta sama śpiewka!

Potem jednak radca kryminalny wraca do swoich akt, tabelk i planów. Utrzymuje w głowie porządek, gdy zamyka jakąś szufladkę, to natychmiast zapomina o jej zawartości. Otwiera szufladkę z zajezdniami i zaczyna się zastanawiać, jakież to stanowisko piastuje autor kartek. Dzwoni do dyrekcji zakładów komunikacyjnych, do działu personalnego i każe podać sobie nieskończenie długą listę wszystkich zatrudnionych w BZK^[67]. Od czasu do czasu robi jakieś notatki.

Jego umysł przepełnia myśl, że autor kartek jest związany z tramwajami. Jest taki dumny z tego odkrycia. Byłby niezmiernie rozczarowany, gdyby przyprowadzono mu jako poszukiwanego przestępcę Quangla, majstra z fabryki mebli. Byłoby mu zupełnie obojętne, że przestępca został w końcu złapany, bardzo by go natomiast zabolowało, że jego piękna teoria okazała się błędna.

I dlatego, gdy dzień czy dwa później akcja poszukiwawcza zarówno w kamienicach, jak i w zajezdniach jest w pełnym toku, a naczelnik komisariatu informuje radcę kryminalnego, że być może złapali człowieka od pocztówek, dlatego pyta o jego zawód. Słyszy, że to stolarz, i dla niego wszystko jest jasne. To przecież musi być tramwajarz!

Sprawa załatwiona, słuchawka odłożona! I to tak zdecydowanie, że radca kryminalny nawet nie kojarzy, że ten rewir znajduje się przy Nollendorfplatz, że jest niedziela wieczór i że przy Nollendorfplatz przed

[67] BZK – Berlińskie Zakłady Komunikacyjne (niem. BVG – Berliner Verkehrsbetriebe).

chwilą znaleziono kolejną kartkę! Radca kryminalny nie zapamiętuje nawet numeru rewiru. To idioci, robią same głupoty – zapomnieć!

Moi ludzie dadzą mi znać jutro, najpóźniej pojutrze. A co robią policjanci Szupo, to zwykle szajs, przecież to nie jest policja kryminalna!

I tak już ujęci Quanglowie znów wychodzą na wolność...

ROZDZIAŁ 41.

Otto Quangel traci pewność

Tamtego niedzielnego wieczoru Quanglowie bez słowa pojechali do domu i bez słowa zjedli kolację. Pani Anna, która gdy zaszła taka potrzeba, wykazała się wielką odwagą i zdecydowaniem, pośpiesznie i ukradkiem wyplakała w kuchni łyż, o których Otto nie powinien nic wiedzieć. Teraz, już po, gdy wszystko mieli za sobą, pochwycił ją lęk. Niemal się nie udało, o mały włos, a byłoby po nich. Gdyby ten Millek nie był takim znanym pieniaczem. Gdyby nie miała możliwości pozbycia się pocztówki. Gdyby naczelnik komisariatu był innym człowiekiem – widać było po nim, że nie cierpi tego donosiciela! Tak, po raz kolejny im się udało, ale Otto już nigdy nie powinien narażać się na takie niebezpieczeństwo.

Wchodzi do pokoju, po którym krąży niespokojnie jej mąż. Nie zapalają światła, lecz on podniósł zasłony, świeci księżyc.

Otto chodzi tam i z powrotem i wciąż milczy.

– Ottonie!

– Tak?

Zatrzymuje się gwałtownie i patrzy na swoją żonę, która usiadła w rogu sofy, niemal niewidoczna w bladym, słabym świetle księżyca, które przenika do pokoju.

– Ottonie, uważam, że teraz najlepiej będzie zrobić przerwę. Nie mamy ostatnio szczęścia.

– Nie da się – odpowiada. – Nie da się, Anno. To zwróciłoby uwagę, gdyby nagle kartki przestały się pojawiać. Akurat teraz, gdy omal nas nie złapali, to szczególnie zwróciłoby uwagę. Oni nie są aż tak głupi,

dostrzegliby związek między nami a kartkami, które tak nagle przestały się pojawiać. Musimy działać dalej, czy tego chcemy czy nie.

I dodał surowo: – A ja chcę!

Ciężko westchnęła. Nie miała odwagi, żeby głośno przyznać mu rację, choć rozumiała, że tak jest. Szli drogą, na której nie można się było zatrzymać, kiedy się chce. Nie było odwrotu, nie było spokoju. Zawsze do przodu.

Po chwili namysłu powiedziała: – To pozwól mnie odtąd roznosić kartki, Ottonie. Tobie nie sprzyja teraz szczęście.

Rozgniewany odparł: – Nic nie poradzę na to, że jakiś donosiciel przez trzy godziny sterczy przy judaszu. Bardzo dokładnie się rozejrzałem, byłem ostrożny!

– Wcale nie mówię, Ottonie, że nie byłeś ostrożny. Powiedziałam tylko, że nie masz teraz szczęścia. I nic na to nie poradzisz.

On znów zmienia temat. – A co ty w ogóle zrobiłaś z drugą pocztówką? Schowałaś ją przy sobie?

– Nie dało się, za dużo było ludzi wokół. Nie, Ottonie, wrzuciłam ją do skrzynki pocztowej przy Nollendorfplatz, jak tylko zaczęło się to zamieszanie.

– Do skrzynki? Bardzo dobrze. Świetnie sobie poradziłaś, Anno. W nadchodzących tygodniach będziemy wrzucać kartki do skrzynek pocztowych, tam gdzie akurat będziemy, żeby ta jedna nie zwróciła nadmiernej uwagi. Skrzynki to niezły pomysł, na poczcie nie pracują przecież sami naziści. I ryzyko jest mniejsze.

– Proszę, Ottonie, pozwól odtąd mnie roznosić kartki – poprosiła jeszcze raz.

– Matko, nie powinnaś myśleć, że popełniłem błąd, któremu mogłaś zapobiec. To są właśnie te przypadki, których zawsze się obawiałem, a których nie można się ustrzec, bo nie da się ich przewidzieć. Co poradzę

na szpicla, który przez trzy godziny siedzi przy Judaszu? A ty możesz nagle zasłabnąć, przewrócić się i złamać nogę – zaraz przeszukają ci kieszenie i znajdą pocztówkę! Nie, Anno, przed przypadkami nie można się uchronić!

– Byłabym taka spokojna, gdybyś mnie przekazał roznoszenie! – zaczyna od nowa.

– Nie mówię nie, Anno. Powiem ci prawdę, nagle zacząłem czuć się niepewnie. Mam wrażenie, jakbym cały czas mógł patrzeć tylko w jedno miejsce, w którym przeciwnika akurat nie ma. I jakby wszędzie wokół mnie siedzieli wrogowie, a ja nie mogę ich dostrzec.

– Zrobiłeś się nerwowy, Ottonie. To trwa już zbyt długo. Żebyśmy mogli z tym skończyć choćby na parę tygodni! Ale masz rację, tak się nie da. Jednak od tej pory to ja będę roznosić kartki.

– Nie mówię nie. Proszę bardzo. Ja się nie boję, ale masz rację, zrobiłem się nerwowy. To przez te przypadki, których się nie spodziewałem. Sądziłem, że wystarczy, jeśli się to porządnie robi. Ale to nie tak, trzeba też mieć szczęście, Anno. Przez długi czas szczęście nam sprzyjało, teraz jest chyba trochę inaczej...

– Przecież udało się po raz kolejny – powiedziała uspokajającym tonem. – Nic się nie stało.

– Ale mają nasz adres, w każdej chwili mogą się do nas dobrać! Te przekłete kontakty z krewnymi, zawsze mówiłem, że nie warto.

– Nie bądź niesprawiedliwy, Ottonie. Co Ulrich Heffke ma z tym wspólnego?

– Oczywiście, że nic! Czy ktoś twierdzi inaczej? Ale gdyby nie on, nie składalibyśmy tam wizyty. Nie warto uzależniać się od ludzi, Anno. To tylko wszystko utrudnia. A teraz jesteśmy podejrzani.

– Gdybyśmy naprawdę byli podejrzani, Ottonie, toby nas nie wypuścili!

– Atrament! – mówi, zatrzymując się nagle. – Wciąż mamy w domu atrament! Atrament, którym wypisałem te kartki, i ten sam atrament jest u nas w kałamarzu!

Pobiegł, wylał atrament do zlewu. A potem zaczął się ubierać.

– Dokąd się wybierasz, Ottonie?

– Musimy się pozbyć kałamarza! Jutro kupimy jakiś inny atrament. Spal w tym czasie obsadkę, a przede wszystkim stare kartki i stary papier listowy, który jeszcze mamy. Wszystko trzeba spalić! Sprawdź każdą szufladę. W domu nic nie może zostać!

– Ależ, Ottonie, przecież nie jesteśmy podejrzani! Na wszystko jest czas!

– Właśnie że nie! Rób, co ci mówię. Wszędzie sprawdź i wszystko spal!

Wyszedł.

Gdy wrócił, był spokojniejszy – Wyrzuciłem kałamarz we Friedrichshain^[68]. Spaliłaś wszystko?

– Tak!

– Na pewno wszystko? Wszędzie sprawdziłaś i wszystko spaliłaś?

– Przecież ci mówię, Ottonie!

– Oczywiście, już dobrze, Anno! Ależ to komiczne, znowu czuję, jakbym nie mógł dostrzec wroga, tego, gdzie on naprawdę jest. Jakbym o czymś zapomniał!

Przesunął ręką po czole i popatrzył na nią w zadumie.

– Uspokój się, Ottonie, na pewno o niczym nie zapomniałeś, o niczym. W mieszkaniu nic już nie ma.

– A nie mam na palcach ani śladu atramentu? Wiesz, nie mogę mieć na sobie najmniejszej plamki atramentu, skoro już go w domu w ogóle

[68] Najstarszy w Berlinie park publiczny ze stawami, przy ulicy o tej samej nazwie (po wojnie znajdował się w Berlinie Wschodnim).

nie mamy.

Sprawdzili i faktycznie miał plamkę atramentu na prawym palcu wskazującym. Wytarła mu ją ręką.

– Widzisz, mówię ci, że zawsze coś się jeszcze znajdzie! To właśnie ci wrogowie, których nie dostrzegam. Cóż, może to była właśnie ta plamka atramentu, na którą nie zwróciłem uwagi, a która tak mnie dręczyła!

– Już jej nie ma, Ottonie, nie ma już niczego, o co musiałbyś się niepokoić!

– Bogu niech będą dzięki. Zrozum, Anno, nie boję się, ale nie chciałbym też, żebyśmy zostali odkryci zbyt wcześnie. Tak długo, jak to możliwe, chciałbym kontynuować moje dzieło. Jak się uda, to chciałbym jeszcze dożyć chwili, gdy to wszystko się zawali. Tak, chciałbym tego dożyć. Odrobinę i my się do tego przyczyniliśmy!

I tym razem to Anna go pociesza: – Tak, dożyjesz tego, oboje tego dożyjemy. Cóż się takiego stało? To prawda, że byliśmy w wielkim niebezpieczeństwie, ale... Mówisz, że szczęście się od nas odwróciło? Szczęście jest nam wierne, zagrożenie minęło. Jesteśmy tutaj.

– Tak – powiedział Otto Quangel. – Jesteśmy tutaj i jesteśmy wolni. Wciąż tak jest. I mam nadzieję, że będzie tak jeszcze długo, bardzo długo...

ROZDZIAŁ 42.

Stary towarzysz partyjny Persicke

Szpicel radcy kryminalnego Zotta, niejaki Klebs, miał oblecieć całą Jablonskistraße, szukając starego, samotnie mieszkającego mężczyzny, na którego zatrzymaniu tak bardzo Gestapo zależało. W kieszeni miał listę, na której wypisano dla każdej kamienicy i gdzie się dało także dla każdej oficyny nazwisko godnego zaufania towarzysza partyjnego, między innymi nazwisko Persickego.

Nawet jeśli tym przy Prinz-Albrecht-Straße bardzo zależało na schwytaniu poszukiwanego, to dla szpicla Klebsa była to rutynowa robota. Drobny, źle opłacany i źle odżywiony Klebs, z krzywymi nogami, niezdrową cerą i popsutymi zębami, przypominał szczura, a swoje sprawy załatwiał podobnie jak grzebiący w odpadkach gryzoń. Zawsze był gotów przyjąć kromkę chleba, wyżebrać coś do picia albo wypalenia, a jego jękliwy, skrzekliwy głos podczas takiej zebrany zaczynał poświstywać, jakby ten nieszczęśnik wydawał z siebie ostatnie tchnienie.

U Persicków otworzył mu stary Persicke. Wyglądał fatalnie, siwe włosy skołtunione, twarz nabrzmiała, oczy zaczerwienione, a cały chwiał się i kołysał niczym statek podczas ostrego sztormu.

– Czego chcesz?

– Zasięgnąć informacji, dla partii.

Szpicle mieli surowy zakaz powoływania się podczas zbierania informacji na Gestapo. Całe to wypytywanie miało wyglądać jak nic nieznaczące zbieranie informacji o członku partii.

Lecz na starego Persickego już samo nieszkodliwe wyrażenie

„zbieranie informacji dla partii” podziało niczym cios prosto w żołądek. Jęknął i oparł się o framugę drzwi.

Jego ogłupiały, zamroczony oparami alkoholu mózg odzyskał na sekundę przytomność, a wraz z nią przyszedł strach.

Potem wyprostował się i powiedział: – Wejdz!

Szczur ruszył za nim w milczeniu. Obserwował starego żywymi, bystrymi oczkami. Nic mu nie umknęło.

Pokój też wyglądał fatalnie. Poprzewracane krzesła, porozrzucane butelki, porozlewana wódka parowała z podłogi, cuchnąc. Na podłodze pognieciona narzuta. Zsunięty obrus. Pod lustrem, pokrytym pajęczyną pęknięć po uderzeniu, stos szklanych odłamków. Jedna firanka zasłonięta, druga oberwana. I wszędzie niedopałki papierosów i na wpół rozerwane paczki po tytoniu.

Klebs poczuł, jak swędzą go złodziejskie palce. Najchętniej natychmiast zaczęłyby to wszystko łapczywie zbierać: wódkę, tytoń, pety, ale też kieszonkowy zegarek z tamtej kamizelki wiszącej na krześle. Był jednak teraz wysłannikiem Gestapo, to znaczy partii. Usiadł więc grzecznie na stołeczku i zapiszczał wesoło: – Ach, jest tu coś i do wypicia, i do zapalenia! Ty to masz dobrze, Persicke!

Stary popatrzył na niego ciężkim, mętym wzrokiem. A potem gwałtownym ruchem przesunął przez stół w stronę gościa opróżnioną do połowy butelkę wódki. Klebs ledwo zdążył ją złapać, zanim się przewróciła.

– Znajdź sobie coś do zapalenia! – mruknął Persicke, rozglądając się po pokoju. – Na pewno coś gdzieś tu leży. – I dodał, bełkocząc: – Ale ognia ni mam!

– Nie martw się, Persicke! – zaświszczał Klebs uspokajająco. – Znajdę, co mi potrzeba. Na pewno masz w kuchni gaz i zapalniczkę.

Zachowywał się tak, jakby się znali od dawna. Jakby byli starymi

przyjaciółmi. Jakby to było oczywiste, przemknął na swoich krzywych nóżkach do kuchni, która wyglądała jeszcze gorzej niż pokój z powodu porozbijanych naczyń i poprzewracanych mebli, i faktycznie znalazł w całym tym bałaganie zapalniczkę do gazu i zapalił papierosa.

Od razu schował do kieszeni trzy napoczęte paczki papierosów. Jedna z nich została zalana wódką, ale to można wysuszyć. W drodze powrotnej Klebs zajrzał jeszcze do pozostałych dwóch pokoi, wszędzie panował brud i bałagan. Tak jak Klebs przypuszczał, stary był w mieszkaniu sam. Szpicel z zadowoleniem zatarł dłonie, ukazując żółto-czarne zęby. Z tego starego da się wyciągnąć więcej niż trochę wódki i parę papierosów.

Stary Persicke nadal siedział na tym samym krześle przy stole, dokładnie tam, gdzie zostawił go Klebs. Lecz przebiegły Klebs zauważył, że stary musiał tymczasem wstać, gdyż teraz stała przed nim pełna butelka wódki, której wcześniej nie było.

To znaczy, że gdzieś ma schowane więcej. Już my się dowiemy!

Klebs z żalonym piśnięciem opadł na swój stołeczek, dmuchnął gospodarzowi prosto w twarz kłębem papierosowego dymu, pociągnął łyk z butelki i zapytał niewinnie: – No, co cię tam trapi, Persicke? Dawaj, chłopie, ulżyj sobie! I to raz-dwa, bo się wykończysz!

Stary zadrżał, słysząc ostatnie słowa. Nie mógł pojąć, w jakim kontekście zostały wypowiedziane. Zrozumiał tylko tyle, że mowa jest o wykańczaniu.

– Nie, nie! – wymamrotał lękliwie. – Nie wykańczać, tylko nie wykańczać. Baldur przyjdzie i wszystko naprawi!

Szczur postanowił nie wyjaśniać na razie, kim jest Baldur, ów Baldur, który miał wszystko naprawić. – Tak, Persicke, jeśli tylko da się wszystko naprawić! – powiedział ostrożnie.

Rzucił okiem na twarz gospodarza, który jak mu się zdawało, patrzył na niego ponuro i podejrzliwie. – Ale oczywiście, dopiero gdy przyjdzie

Baldur... – stwierdził ugodowo.

Stary dalej patrzył na niego w milczeniu. Nagle powiedział, w jednym z owych przeblysków świadomości, które miewają od czasu do czasu pijacy, a język wcale już mu się przy tym nie plątał: – Kim pan właściwie jest? Czego pan ode mnie chce? Przecie ja pana w ogóle nie znam!

Szczur przyjrzał się uważnie oprzytomniałemu nagle gospodarzowi. W takim stadium pijacy często stają się kłótlivi i skłonni do bitki, Klebs zaś był drobnym człowieczkiem (i do tego tchórzem), a po starym Persickem nawet teraz, mimo widocznego upadku, znać było, że obdarzył swego Führera dwoma dorodnymi esesmanami i uczniem szkoły Napola.

Klebs próbował go naprowadzić: – Już panu mówiłem, panie Persicke. Może nie do końca pan zrozumiał. Nazywam się Klebs, przychodzę z ramienia partii, żeby zdobyć parę informacji...

Pięść Persickego huknęła o stół. Obie flaszki zaczęły się chybotać, Klebs pośpiesznie je uratował.

– Jak śmiesz, ty psie – krzyczał Persicke – mówić, że ja czegoś nie zrozumiałem? Mądrzejszy ode mnie jesteś, ty śmierzdielu? W moim własnym domu, przy moim własnym stole mówisz mi, że nie rozumiem, co mówisz. Ty żałosny śmierzdielu!

– Nie, nie, nie, panie Persicke! – zaseplenił szczur uspokajająco. – Nic takiego nie miałem na myśli. Drobne nieporozumienie. Pokój i przyjaźń. My, starzy towarzysze partyjni, zawsze zachowujemy spokój!

– Gdzie masz legitymację? Dlaczego wchodzisz do mojej chałupy i nie pokazujesz legitymacji? Wiesz, że partia tego zabrania!

Lecz w ten sposób Klebsa nie dało się zastraszyć. Gestapo zapewniło mu doskonałe, jak najbardziej legalne i kompletne papiery.

– Proszę, panie Persicke, niech pan sobie to wszystko spokojnie obejrzy. Wszystko się zgadza. Jestem uprawniony do zbierania informacji, a pan powinien mi pomóc, jeśli tylko może!

Stary popatrzył mętnym wzrokiem na papiery, które mu okazano. Klebs nie zamierzał mu ich wręczyć. Litery rozpląwały się Percickemu przed oczami, niezgrabnie postukał palcem: – To pan?

– Przecież pan widzi, panie Persicke! Wszyscy mówią, że bardzo tu jestem do siebie podobny! – I dodał pyszałkowato: – Tylko że ponoć wyglądam dziesięć lat młodziej. Nie wiem, nie jestem próżny. Nigdy nie patrzę w lustro!

– Schowaj to sobie! – warknął były szynkarz. – Nie bede tego tera czytać. Siadaj, napij się wódki, zapal, ale bądź cicho. Musze sie najpierw zastanowić.

Szczur Klebs uczynił, jak mu kazano, jednocześnie bacznie obserwując gospodarza, który zdawał się znowu popadać w odurzenie.

Tak, starego Persickego, który także pociągnął spory łyk ze swojej butelki, znów opuściła jasność umysłu, nieodparcie wciągały go z powrotem odmęty pijaństwa, a to, co nazwał zastanawianiem się, to było bezradne łamanie sobie głowy, szukanie czegoś, co już dawno wypadło mu z pamięci. Nawet nie wiedział, czego szuka.

Stary znalazł się w naprawdę trudnym położeniu. Najpierw jeden syn pojechał do Holandii, a potem drugi do Polski. Baldur został wysłany do szkoły Napola, ten ambitny smarkacz osiągnął swój pierwszy cel: został przyjęty do grona wybranych spośród członków niemieckiego narodu, został wyjątkowym uczniem samego Führera! Uczył się dalej, uczył się panować nie tyle nad sobą, ile nad innymi ludźmi, którzy nie osiągnęli tyle co on.

Ojciec został sam z żoną i córką. Od zawsze miał skłonność do picia, stary Persicke już w tej swojej knajpie, co to zbankrutowała, był swoim najlepszym klientem. Gdy zabrakło synów, a szczególnie nadzoru Baldura, Persicke zaczął pić, kompletnie się rozpił. Żona najpierw poczuła się nieswojo. Tę drobną, wystraszoną i płacziwą kobietę w domu pełnym

mężczyzn, w którym nigdy nie była nikim więcej jak darmową i bardzo źle traktowaną służącą, ogarnął lęk, skąd jej mąż bierze pieniądze na tyle wódki. Do tego doszedł strach przed wyzwiskami i złym traktowaniem przez pijaka, więc po kryjomu uciekła do krewnych, zostawiając ojca córcę.

Córka, łajdaczka, która należała do Związku Dziewcząt Niemieckich i była tam nawet jakąś przywódczynią, wcale nie była skłonna sprzątać brudów po starym i jeszcze dawać się za to źle traktować. Załatwiła sobie dzięki kontaktom posadę nadzorczym w kaciecie dla kobiet w Ravensbrück i wołała tam za pomocą ostrych psów i trzaskającego pejca przymuszać stare kobiety, które nigdy w życiu nie pracowały fizycznie, do wykonywania prac ponad ich siły.

Pozostawiony samemu sobie ojciec coraz bardziej się rozpijał. W biurze powiedział, że jest chory, nikt nie dbał o to, co je, pił tylko alkohol. Przez pierwsze dni kupował jeszcze od czasu do czasu chleb, ale pieniądze gdzieś mu się zapodziały albo ktoś mu je ukradł, w każdym razie stary Persicke już od wielu dni nic nie jadł.

Poprzedniej nocy bardzo się rozchorował, to jeszcze pamiętał. Nie pamiętał już, że wpadł w szal, rozbijał naczynia, przewracał szafki, że okrutnie przerażony wszędzie widział prześladowców. Quanglowie i stary radca sądowy Fromm stali pod drzwiami i dzwonili, dzwonili i dzwonili. Lecz on nawet nie drgnął, nie miał zamiaru otwierać swoim prześladowcom. Tam na zewnątrz stali wysłannicy partii, którzy chcieli od niego rozliczenia kasy, a wciąż brakowało ponad trzech tysięcy marek (a może i sześciu tysięcy, nawet w przebłyskach świadomości nie potrafił tej kwoty dokładnie określić).

Stary radca sądowy stwierdził chłodno: – Zostawmy tego szaleńca. Nie mam ochoty...

Tak zwykle miła, często wręcz kpiąca twarz przybrała bardzo zimny

wyraz. Starszy pan zszedł po schodach.

A Otto Quangel, bardzo niechętny angażowaniu się w cokolwiek, także powiedział: – Co się będziemy wtrącać? Tylko będziemy mieć przez to kłopoty! Słyszysz przecież, Anno, że jest pijany! Potem wytrzeźwieje.

Lecz Persicke, który przez następne dni niemal nic z tego nie pamiętał, Persicke nie wytrzeźwiał. Rano czuł się bardzo źle, tak się cały trząśł, że ledwo zdołał przytknąć brzeg butelki do ust. Ale im więcej wódki wypijał, tym mniej się trząśł, tym mniejszy był strach, który wciąż go falami ogarniał. Wciąż natomiast dręczyło go ponure przeczucie, że zapomniał o czymś, co koniecznie powinien sobie przypomnieć.

A teraz siedzi naprzeciwko niego ten szczur, cierpliwy, przebiegły, łapczywy. Szczurowi się nie śpieszy, dostrzegł okazję i postanowił ją wykorzystać. Szczur Klebs nie śpieszy się z raportem dla radcy kryminalnego Zotta. Temu zawsze zdąży nakłamać, dlaczego niczego się nie dowiedział. To była wyjątkowa okazja, której nie można było przepuścić.

I Klebs nie zamierzał dać jej umknąć! Stary Persicke był coraz bardziej zamroczony, i nawet jeśli z trudem bełkotał, to wybełkotaną informację też warto zdobyć.

Po godzinie Klebs wiedział wszystko, co trzeba, o malwersacjach starego; wiedział też, gdzie są butelki z wódką i tytoń. Resztką pieniędzy już była w jego kieszeni.

Teraz szczur jest już najlepszym przyjacielem starego. Pakuje go do łóżka, a gdy Persicke wyje, Klebs biegnie do niego i daje mu się napić tyle wódki, żeby znów był cicho. Tymczasem szczur pakuje pośpiesznie do dwóch walizek wszystko, co wydaje mu się cokolwiek warte. Piękna damska bielizna nieżyjącej pani Rosenthal znów zmienia właściciela i znów nie całkiem legalnie.

A potem Klebs ponownie daje się staremu porządnie napić, chwytą

walizki i wymyka się z mieszkania.

Gdy otwiera drzwi na korytarz, podchodzi do niego jakiś wysoki, kościsty mężczyzna o ponurej twarzy i mówi: – Co pan robi w mieszkaniu Persicków? Co pan z niego wynosi? Przecie przyszedł pan bez walyzek! Odpowie mi pan, co? Czy woli pan pójść ze mną na policję?

– Proszę, niech pan wejdzie – świszczę pokornie szczur. – Jestem starym znajomym i towarzyszem partyjnym pana Persickego. On to panu potwierdzi. Jest pan zarządcą domu, prawda? Panie zarządcu, mój przyjaciel, pan Persicke, jest mianowicie bardzo chory...

ROZDZIAŁ 43.

Barkhausen okpiony po raz trzeci

Obaj panowie zajęli miejsca w zabałaganionym salonie. Teraz to „zarządca domu” siedział na miejscu szczura, a Klebs na krześle Persickego. Nie, stary Persicke nie był w stanie udzielić żadnych informacji, lecz pewność, z jaką Klebs poruszał się po mieszkaniu, i spokój, z jakim rozmawiał z Persickem i dawał mu pić, nakazywały „zarządcy domu” pewną ostrożność.

Klebs znów wyciągnął swój powycierany portfel ze sztucznego tworzywa, który kiedyś był czarny, a teraz połyskiwał na rogach na rdzawoczerwono. Powiedział: – Może mógłbym panu zarządcy okazać moje dokumenty? Wszystko jest w porządku, zostałem upoważniony przez partię...

Lecz jego rozmówca nie chciał dokumentów, nie chciał też wódki, przyjął tylko papierosa. Nie, nie będzie teraz pić, za dobrze pamięta, jak wtedy u Rosenthalowej na górze Enno przez picie koniaku popsuł mu taki świetny interes. Nie popełni drugi raz tego samego błędu. Barkhausen, bo to nikt inny jak właśnie Barkhausen siedzi tam jako „zarządca domu”, zastanawia się, jak sobie poradzić ze swoim rozmówcą. Od razu przejrzał tego typka. Czy rzeczywiście jest znajomym starego Persickego czy nie, czy jest tutaj na zlecenie partii czy nie – wszystko jedno. Najważniejsze, że ten facet chce kraść! To, co ma w walizkach, to rzeczy kradzione – w przeciwnym razie nie wystraszyłby się tak na widok Barkhausena, w przeciwnym razie nie byłby taki lękliwy i usłużny. Nikt, kto ma prawe zamiary, przed nikim tak nie pełza, to Barkhausen wiedział z własnego

doświadczenia.

– Może teraz kieliszeczek, panie zarządco?

– Nie! – Barkhausen niemal wrzeszczy. – Niech pan się zamknie, muszę się nad czymś zastanowić...

Szczur zadrżał i zamilkł.

Barkhausen ma za sobą nieudany rok. Nie, nie dostał tamtych dwóch tysięcy marek przesłanych przez panią Häberle. Gdy poprosił na pocztce o ich przesłanie, poinformowano go, że pieniędzy tych zażądało dla siebie Gestapo jako pochodzących z przestępstwa, mogą go skontaktować z Gestapo. Nie, Barkhausen podziękował. Nie chciał mieć już nic wspólnego z tym niedotrzymującym słowa Escherichem, a Escherich też nigdy już nie posłał po Barkhausena.

Tu więc poniósł fiasko, lecz jeszcze gorsze było to, że Kuno-Dieter nie wrócił do domu. Z początku Barkhausen myślał jeszcze: No, poczekaj! Jak tylko wrócisz do domu! Delektował się scenami lania chłopaka, które sobie wyobrażał, a pełne lęku pytania Otti o to, gdzie jest jej ukochany synek, ordynarnie zbywał.

Lecz gdy potem mijały kolejne tygodnie, sytuacja bez Kuna-Dietera stawała się nie do zniesienia. Z Otti zrobiła się prawdziwa żmija, która uczyniła z jego życia piekło. Jemu było wszystko jedno, ten pętał mógł wcale nie wracać, tym lepiej, o jednego bezużytecznego żarłoka w domu mniej! Lecz Otti zachowywała się jak szalona z powodu ukochanego synka, zupełnie jakby nie mogła przeżyć bez Kuna-Dietera ani jednego dnia więcej, a przecież wcześniej i ona nie szczydziła mu połajanek i razów.

W końcu Otti całkiem oszalała, pobiegła na policję i oskarżyła własnego męża o zamordowanie syna. Na policji nie cackano się z takimi ludźmi jak Barkhausen, nie miał u nich dobrej opinii, miał wręcz jak najgorszą, więc od razu zamknęli go w areszcie Sądu Kryminalnego.

Trzymali go tam jedenaście tygodni, musiał pracowicie sklejać torebki i skubać takielunek, w przeciwnym razie obcinali mu porcje, którymi tak czy siak się nie najadał. Najgorsze jednak były noce, podczas których następowały ataki lotnicze. Barkhausen bał się koszmarnie ataków lotniczych. Widział kiedyś przy Schönhauser Allee pewną kobietę, w którą trafiła bomba fosforowa i już w niej utknęła. Barkhausen do końca życia nie zapomni tego widoku.

Bał się więc ataków, a kiedy dudniły coraz bliżej i ich huk wypełniał całe powietrze, a potem pierwsze uderzenia i ściana jego celi płonęła czerwono od łun dalekich i bliskich pożarów... Nie, nie wypuszczali aresztantów z cel, nie pozwalali im zejść do piwnicy, w której byliby bezpieczni, co za łotry! W takie noce w całym ogromnym areszcie Moabit panowała histeria, wieszali się na oknach i krzyczeli, och, jak oni krzyczeli! A Barkhausen krzyczał wraz z nimi! Wył jak zwierzę, chował głowę na pryczy, a potem biegł prosto na drzwi celi i walił o nie czaszką, aż oszołomiony przewracał się na ziemię... To była jego naragoza, dzięki której zdołał przetrwać owe noce!

Niemniej jednak po jedenastu tygodniach spędzonych w areszcie śledczym wracał do domu w niezbyt przyjaznym nastroju. Oczywiście niczego nie mogli mu dowieść, wszystko śmiechu warte; lecz mógł sobie oszczędzić tych jedenastu tygodni, gdyby Otti nie była takim ścierwem! I jak ścierwo ją potraktował, tę, która z tymi swoimi absztyfikantami żyła sobie wygodnie w jego mieszkaniu (regularnie opłacając czynsz), podczas gdy on musiał skubać liny i omal nie oszalał ze strachu.

Od tej pory w mieszkaniu Barkhausenów ciosy padały wręcz gradem. Przy najmniejszym piśnięciu walił, nieważne, co akurat trzymał w rękę, lał ją po pysku, to ścierwo cholerne, które sprowadziło na niego takie nieszczęście.

Lecz Otti także zaczęła się bronić. Nigdy nie było dla niego nic do

jedzenia, nigdy nie było pieniędzy ani papierosów. Tak wrzeszczała, gdy ją bił, że zbiegali się inni lokatorzy i wszyscy stawali przeciwko Barkhausenowi, choć wiedzieli doskonale, że z niej pospolita dziwka. A potem pewnego dnia, gdy garściami powyrywał jej włosy z głowy, zrobiła coś najpodlejszego. Zniknęła z mieszkania na zawsze i zostawiła go z pozostałą czwórką bachorów, a co do żadnego z nich nie był pewien swego ojcostwa. Niech to szlag trafi, Barkhausen musiał iść normalnie do pracy, inaczej wszyscy umarliby z głodu, a dom prowadziła teraz dziesięcioletnia Paula.

Kiepski rok, to był naprawdę przesrany rok! A do tego wciąż dręcząca go nienawiść do Persicków, którym nic nie potrafił ani nie mógł zrobić, bezsilna wściekłość i zazdrość, gdy po oficynie rozniosła się wieść, że Baldur idzie do szkoły Napola, a w końcu malutka, tłąca się delikatnie nadzieja, gdy obserwował pijaństwo starego Persickego – może, może jednak...

A teraz siedział w mieszkaniu Persicków, a tam na stołeczku pod oknem stał radioodbiornik, który Baldur zwinął starej Rosenthalowej. Barkhausen był blisko celu i teraz chodziło już tylko o to, jak się pozbyć tej pluskwy bez wzbudzania podejrzeń...

Oczy Barkhausena aż jaśnieją, gdy myśli o tym, jak Baldur by się wściekł, widząc go tutaj siedzącego przy stole. Sprytny lisek z tego Baldura, ale i tak nie dość sprytny. Cierpliwość jest czasem więcej warta niż spryt. I nagle Barkhausenowi przypomina się, jak naprawdę Baldur zamierzał postąpić z nim i z Ennem Klugem wtedy, gdy włamali się do mieszkania Rosenthalowej, to znaczy, to nie było takie prawdziwe włamanie, tylko praca na zlecenie...

Barkhausen wysuwa do przodu dolną wargę, podczas długiego milczenia obserwuje w zadumie swojego niecierpliwiejącego się już rozmówcę i mówi: – No to niech mi pan pokaże, co pan tam ma w tych

walzykach!

– Niech pan posłucha – próbuje protestować szczur. – Myślę, że to za duże wymaganie. Gdyby mój przyjaciel pan Persicke mi na to pozwolił, ale to przecież wykracza poza zakres pana uprawnień jako zarządcy domu...

– Ach, niech pan nie plecie! – mówi Barkhausen. – Albo pokażesz mi pan tutaj, co pan masz w tych walzykach, albo obaj pójdziemy razem na policje.

– Nie muszę tego robić – stwierdza piskliwie szczur – ale pokażę panu dobrowolnie. Z policją zawsze są tylko problemy, a skoro mój towarzysz partyjny Persicke teraz zachorował, to może minąć wiele dni, zanim będzie mógł potwierdzić moje słowa.

– Otwierać! Raz-dwa! – rzuca nagle dzikim głosem Barkhausen, a przecież pociągnął z butelki tylko jeden łyk.

Szczur Klebs patrzy na niego i nagle na twarzy szpicla pojawia się złośliwy uśmieszek. – „Otwierać! Raz-dwa!”. Przez ten okrzyk Barkhausen zdradził swoją żądzę. Przez ten okrzyk zdradził także, że nie jest zarządcą domu, a jeśli nawet jest, to takim, który ma nieuczciwe zamiary.

– No, kolego? – mówi nagle szczur zupełnie innym tonem. – To dzielimy się pół na pół?

Uderzenie pięścią zwała go na podłogę. Dla pewności Barkhausen wali jeszcze Klebsa dwa czy trzy razy nogą od stołka. No, przez godzinę będzie z nim spokój!

A potem zaczyna rozpakowywać i przepakowywać. I znów bielizna należąca niegdyś do państwa Rosenthalów zmienia właściciela. Barkhausen pracuje szybko, ale zupełnie spokojnie. Tym razem nikt nie stanie mu na drodze do sukcesu. Już prędzej wszystkich pozabija, choćby miał zapłacić za to głową! Nie da się kolejny raz wycyckać.

A potem, kwadrans później, po krótkiej walce z dwoma szupo, Barkhausen opuszcza mieszkanie Persicków. Jeszcze trochę szarpaniny i kopaniny i Barkhausen jest poskromiony i skuty.

– No! – stwierdził z zadowoleniem drobny pan Fromm, radca sądowy w stanie spoczynku. – I na tym, jak sędzę, już na zawsze zakończył pan swoją działalność w tym domu, panie Barkhausen. Będę pamiętał, żeby przekazać pańskie dzieci opiece społecznej. Ale to pewnie pana nie interesuje. A teraz, panowie, musimy jeszcze wejść do mieszkania. Mam nadzieję, panie Barkhausen, że nie zrobił pan czegoś naprawdę złego z tym malutkim człowiekiem, który wszedł po schodach przed panem. I pewnie znajdziemy też pana Persickego, panie wachmistrzu, ostatniej nocy miał atak *delirium tremens*.

ROZDZIAŁ 44.

Interludium: idylla na wsi

Była listonoszka Ewa Kluge pracuje na polu kartofli dokładnie tak, jak kiedyś o tym marzyła. Jest piękny, jak na pracę właściwie zbyt gorący wiosenny dzień, niebo jest jaskrawobłękitne i jest prawie bezwietrznie, zwłaszcza tutaj, w osłoniętym rogu pola przy lesie. W trakcie okopywania pani Ewa zdejmowała kolejne sztuki odzieży i teraz ma na sobie tylko bluzkę i spódnicę. Jej silne, gołe nogi są złotobrązowe, podobnie jak twarz i ręce.

Jej motyka natrafia na łobodę, rzodkiew świrzepę, osty, perz. Praca posuwa się powoli, pole jest bardzo zachwaszczone. Motyka często uderza też o kamień, wtedy dzwoni srebrzyście – to przyjemny dźwięk. Tuż przy skraju lasu Ewa Kluge natrafia na kępę krwawnicy – w tym zagłębieniu jest wilgotno, kartofle marnieją, ale krwawnica triumfuje. Właściwie zamierzała zjeść teraz śniadanie i sądząc po położeniu słońca, jest właśnie na to pora, lecz woli najpierw pozbyć się tej zarazy krwawnicy, zanim zrobi sobie przerwę. Pracuje intensywnie, usta ma mocno zaciśnięte. Nauczyła się tutaj na wsi gardzić chwastami, tym diabelstwem, dźga je motyką bez litości.

Lecz nawet gdy usta pani Ewy są mocno zaciśnięte, jej spojrzenie jest jasne i spokojne. W jej oczach nie ma już tego surowego, zawsze zatroskanego wyrazu jak przed dwoma laty w Berlinie. Zrobiła się spokojniejsza, przemogła się. Wie, że mały Enno nie żyje, pani Gesch napisała do niej z Berlina. Wie, że straciła obu synów – Maks zginął w Rosji, a Karlemann dla niej umarł. Nie ma jeszcze czterdziestu pięciu lat,

przed nią ciągle kawał życia, nie rozpacza, pracuje. Nie chce pozostałych lat życia tak po prostu przeczekać, chce coś robić.

Ma też coś, z czego cieszy się całymi dniami. To wieczory codziennie spędzane z zastępcą wiejskiego bakałarza. „Właściwy” nauczyciel, Schwoch, zajadły członek partii, niski i tusty szczekacz i donosiciel, który po stokroć ze łzami w oczach zapewniał, jak mu żal, że nie może pójść na front, tylko zgodnie z rozkazem Führera musi wytrwać na swojej wiejskiej placówce – ów „właściwy” nauczyciel Schwoch został jednak pomimo wszelkich zaświadczeń lekarskich powołany do Wehrmachtu. To było niecałe pół roku temu. Lecz droga na front musiała być trudna dla tego entuzjasty, gdyż na razie nauczyciel Schwoch wciąż tkwił jako pisarz w jakiejś izbie obrachunkowej. Pani Schwoch często jeździ do swojego męża z szynką i słoniną, lecz mąż nie zjada sam tych wszystkich tłustych pyszności. Udało się, teraz jej kochany Walter zostanie podoficerem, oznajmiła pani Schwoch po swojej ostatniej wycieczce ze słoniną. Podoficerem, choć zgodnie z rozkazem Führera awanse mogły być przyznawane wyłącznie w oddziałach walczących na froncie. Lecz takiego zagorzałego towarzysza partyjnego z szynką i słoninką rozkazy Führera oczywiście nie dotyczą.

Cóż, pani Kluge to obojętne. Wie dobrze, jak to wszystko wygląda, odkąd wystąpiła z partii. Tak jest, była w Berlinie. Gdy tylko odzyskała niezbędny spokój wewnętrzny, pojechała do Berlina i stawiała się w urzędzie pocztowym i przed sądem partyjnym. To nie były łatwe dni, zdecydowanie nie, wrzeszczano na nią, grożono jej, a podczas pięciodniowego aresztu nawet ją pobito i omal nie trafiła do kacetu – lecz w końcu ją wypuścili. Wróg państwa – cóż, jeszcze się pewnego dnia dowie, co to znaczy.

Ewa Kluge zlikwidowała swoje mieszkanie. Wiele rzeczy musiała sprzedać, gdyż na wsi udostępniono jej tylko jedną izbę, ale mieszkała teraz sama. Nie pracowała też już tylko dla szwagra, który najchętniej

dawały jej za to jedynie wyżywienie, a nie pieniądze, pomagała wszystkim rolnikom wokół. Pracowała nie tylko w polu i w gospodarstwie, najmowała się także jako opiekunka do chorych, szwaczka, ogrodniczka, postrzygaczka owiec. Miała zręczne dłonie, właściwie to nie było tak, jakby uczyła się czegoś nowego, lecz jakby przypominała sobie dawno niewykonywaną pracę. Wiejską robotę miała we krwi.

Lecz to skromne, acz spokojne życie, które urządziła sobie pośród całego tego upadku, nabrało prawdziwego światła i radości dopiero dzięki nauczycielowi w zastępstwie, panu Kienschäperowi. Kienschäper był wysokim, zawsze nieco pochylonym do przodu mężczyzną po pięćdziesiątce, o siwych rozwianych włosach i ogorzałej twarzy oraz młodych, śmiejących się błękitnych oczach. I tak jak Kienschäper oczarowywał dzieci z wioski tymi śmiejącymi się, błękitnymi oczami, wyprowadzając je z dziarskiego stylu wychowania swojego poprzednika w bardziej ludzkie obszary, i tak jak uzbrojony w sekator szedł przez ogródki rolników i uwalniał zdziczałe drzewa owocowe od zbędnych pędów i martwych gałęzi, wycinał rakowate narośle i smarował karboliną^[69] – w ten sam sposób uleczył rany Ewy, uwolnił od zgorzknienia, przyniósł jej spokój.

Nie dlatego, żeby dużo o tym mówił, Kienschäper nie był gadułą. Lecz gdy stał z nią w swojej pasiece i opowiadał o życiu pszczół, które namiętnie kochał, gdy spacerował z nią wieczorami po polu i pokazywał, jak źle uprawiane jest to pole i jak przy niewielkim nakładzie pracy można by je z powrotem użyźnić, gdy pomagał krowie się ocielić, naprawiał przewrócony płot, choć nikt go nie prosił, gdy siedział przy organach i grał delikatnie tylko dla niej i dla siebie, gdy po jego odejściu wszystko wydawało się uporządkowane i spokojne – to wszystko przynosiło Ewie więcej radości niż wszelkie słowa pociechy. Zmierzające ku schyłkowi

[69] Karbolina – środek owadobójczy uzyskiwany ze smoły węglowej.

życie w czasach pełnych nienawiści, łez i krwi, lecz spokojne i oddychające pokojem.

Nauczycielowa Schwoch, która była jeszcze bardziej narodowosocjalistyczna niż jej entuzjastycznie nastawiony do wojny mąż, oczywiście natychmiast znenawidziła owego Kienschäpera i czyniła na jego szkodę wszystko, co tylko jej nienawistny umysł potrafił wymyślić. Musiała zapewnić zastępcy swojego męża dach nad głową i wikt, lecz zawsze robiła tak, że Kienschäper nigdy nie dostawał śniadania przed wyjściem do szkoły, ciągle wszystko było przypalone, a w jego pokoju nigdy nie sprzątno.

Była jednak bezsilna wobec jego pełnego pogody spokoju. Mogła się gorączkować, burzyć, ślinić, źle o nim mówić, podsłuchiwać pod drzwiami do klasy, a potem składać donosy do rady szkolnej – niezmiennie rozmawiał z nią jak z niewychowanym dzieckiem, które pewnego dnia samo zrozumie swoje nieczne czyny. I w końcu Kienschäper zaczął jadać u Ewy Kluge, przeprowadził się do wsi, a tłusta i złośliwa Schwochowa mogła prowadzić swoją wojnę przeciwko niemu już tylko z daleka.

Pani Ewa Kluge i siwowłosa nauczyciel Kienschäper sami nie zauważyli, kiedy po raz pierwszy wspomnieli o tym, że tak właściwie to mogliby wziąć ślub. Może wcale o tym nie mówili. Samo tak wyszło. Nie śpieszyło im się też – pewnego dnia, kiedyś, jak przyjdzie pora. Dwoje starzejących się ludzi, którzy nie chcieli samotnie spędzać wolnego czasu. Nie, żadnych dzieci, już nigdy więcej – pani Ewa wzdrygała się na samą myśl. Ale za to przyjaźń, pełna zrozumienia miłość i przede wszystkim zaufanie. Ona, która w swoim pierwszym małżeństwie nigdy nie mogła ufać, która zawsze musiała prowadzić, chce się teraz ufnie dać prowadzić przez ten ostatni odcinek życia. Gdy było całkiem ciemno, gdy ona już całkiem straciła nadzieję, wtedy słońce jeszcze raz przebiło się przez chmury.

Krwawnica leży na ziemi, na razie wypleniona. Oczywiście odrośnie, to przecież taki chwast, który trzeba powyrywać z luźnej ziemi podczas orki, każdy ukryty pod powierzchnią skrawek korzonka wciąż będzie na nowo wypuszczać pędy. Lecz pani Ewa zna już teraz to miejsce, nie zapomni go, będzie tu przychodzić tak długo, aż krwawnica zostanie doszczętnie wypleniona.

Właściwie mogłaby teraz zjeść śniadanie, chyba już pora, jej żołądek to potwierdza. Lecz gdy zerka na odłożone w cień na skraju lasu chleb i butelkę z kawą, widzi, że nie zje śniadania, dzisiaj nie, jej żołądek musi się uspokoić. Bo ktoś już zabrał się do jedzenia, około czternastoletni chłopak, niewiarygodnie brudny i obdarty, połyka jej chleb, jakby umierał z głodu.

Jest tak zajęty zaspokajaniem apetytu, że nie zwraca uwagi na to, że motyka zamarła pośród chwastów. Wzdryga się dopiero, gdy kobieta staje tuż przed nim, i wpatruje się w nią swoimi wielkimi niebieskimi oczami pod kosmaconą czupryną jasnych włosów. Choć właśnie został przyłapany na kradzieży, a ucieczka na nic się już nie zda, chłopak nie patrzy z lękiem czy poczuciem winy, jego spojrzenie zdaje się wręcz wyzywające.

Przez ostatnie miesiące mieszkańcy wioski, pośród nich także pani Kluge, przyzwyczaili się do tych dzieci. Ataki lotnicze na Berlin były coraz intensywniejsze, a mieszkańcom kazano odsyłać dzieci na wieś. Prowincja została zalana dziećmi z Berlina. Co dziwne, niektóre z tych dzieci zupełnie nie potrafiły się przystosować do spokojnego życia na wsi. Miały tutaj spokój, lepsze jedzenie, spokojny sen, lecz nie wytrzymały, ciągnęło je z powrotem do wielkiego miasta. I zdecydowane wyruszały w drogę, boso, żebrząc o resztki jedzenia, bez pieniędzy, ścigane przez wiejskich żandarmów, szukały drogi z powrotem do niemal co noc płonącego miasta. Złapane i odesłane do swojej wiejskiej gminy,

pozwalają się tylko nieco odkarmić i znowu uciekały.

Ten tutaj, który z wyzywającym spojrzeniem zjadał chleb pani Ewy, najwyraźniej od dawna był w drodze. Kobieta nie pamiętała, kiedy ostatni raz widziała tak obszarpaną i brudną postać. We włosach miał źdźbła słomy, a w jego uszach można by posiać marchew.

– Smakuje? – zapytała pani Kluge.

– Pewnikiem! – powiedział, tym jednym słowem zdradzając swoje berlińskie pochodzenie.

Spojrzała na nią. – Chce mi pani przyłać? – zapytał.

– Nie – odparła. – Jedz spokojnie. Obejdę się ten jeden raz bez śniadania, a ty najwyraźniej jesteś głodny.

– Pewnikiem! – powtórzył. A potem dodał: – I potem mnie pani puści?

– Być może – odpowiedziała. – Ale może zgodzisz się, żebym cię najpierw umyła i doprowadziła do porządku twoje ubranie. Może znajdę nawet dla ciebie jakieś odpowiednie całe spodnie.

– Lepiej nie! – powiedział lekceważąco. – Sprzedam je zara, jak tylko będę głodny. Jak myślisz, ile ja już sprzedałem przez ten rok, co to se tak wędruję! Co najmniej pitnaście spodniów! I dziesięć par butów!

Popatrzył na nią z triumfem.

– A po co mi o tym mówisz? – zapytała. – Byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś wziął spodnie i nic mi nie mówił.

– A bo ja wiem – odparł obojętnie. – Może dlatego, co na mnie nie nawrzeszczałaś, że buchnąłem ci śniadanie. Nie lubie wrzasków.

– To już od roku jesteś w drodze?

– Nie tak długo. Zime żem przemieszkał u jednego karczmarza w jakiejś dziurze. Swinioki żem karmił i kufle do piwa mył, wszystko żem robił. Dobre to były czasy – powiedział zamyślony. – Dziwak z tego gospodarza. Ciągiem pijany, ale ze mną gadał, jakbym był taki jak on, taki sam stary i w ten deseń. Nauczyłem się pić wódkę i palić. Też lubisz

wódkę?

Pani Kluge postanowiła odłożyć na później wyjaśnienie kwestii, czy spożywanie alkoholu jest odpowiednim zajęciem dla czternastolatka.

– Ale ty potem znowu uciekłeś? Chcesz wrócić do Berlina?

– Nie – powiedział chłopak. – Ni wracam do swoich. Znudzi mi się.

– Ale twoi rodzice będą się o ciebie martwić. Przecież w ogóle nie wiedzą, gdzie się podziewasz!

– One? Martwić się? One się cieszą, co się mię pozbyli!

– A kim jest twój ojciec?

– On? Ach, wszystkim po trochu: alfons, szpicel i czasami też złodziej. Jak znajdzie coś do ukradzenia. Ino durny on jest, nigdy nie znajduje niczego do sensu.

– Aha – powiedziała pani Kluge, a po tych wyznaniach jej głos zabrzmiał nieco ostrzej. – A co na to twoja matka?

– Moja matka? Co niby miałyby na to? Przecie to dziwka!

Plask! No i jednak oberwał po pysku mimo jej obietnic.

– Nie wstydzisz się tak mówić o własnej matce? A fuj!

Urwis pomasował się po policzku z obojętną miną.

– Mocno – stwierdził. – Już więcej nie chcem.

– Nie wolno ci tak mówić o swojej matce! Rozumiesz? – powiedziała gniewnie.

– A czemu nie? – zapytał i odchylił się do tyłu. Najedzony, błogim wzrokiem popatrzył na swoją dobrodziejkę. – A czemu nie? Jak ona jest po prostu dziwka? Sama tak mówi. Jakbym nie chodziła na ulice – często tak mówiła – tobyśta wszystkie z głodu pomarli!”. Bo nas jest pińć rodzeństwa, ale każdy z innego ojca. Mój ma ponoć majuntek z kuźmi na Pomorzu. Chciałem go poszukać i go sobie obejrzyć. Musi być z niego niezły dziwak, Kuno-Dieter ma na imię. Z rakiem durnym imieniem na pewno nie ma wielu, pewnikiem go znajdě...

– Kuno-Dieter – powiedziała Kluge. – Ty też masz na imię Kuno-Dieter?

– Lepi mówić Kuno, Dietera można se darować!

– A więc, Kuno, powiedz, do której gminy zostałeś ewakuowany? Jak nazywa się wieś, do której przyjechałeś koleją?

– Nie zostałem ewakuowany! Zwiąłem od moich starych!

Położył się teraz na boku, brudny policzek oparł na równie brudnym przedramieniu. Patrzył na nią leniwym wzrokiem, chętny do pogawędki. – Opowiem ci, jak to wszystko było. No więc ten mój tak zwany ojciec, to wtedy, ponad rok temu, okantował mnie na pięć dych i do tego mnie złał. No to zebrałem paru kolegów, to znaczy właściwie nie kolegów, ino takich tam wyrostków, wiesz, no i napadliśmy wszystkie na ojca i trochi go spraliśmy. Dobrze mu tak, ten raz się przekonał, co nie zawsze jest tak, że duzi na małych! No i żeśmy mu jeszcze piniądze z kieszeni ukradli. Nie wiem, ile tego było, ci najwięksi spośród nas je podzielili. Ja żem dostał tylko dwie dychy i żem se powiedział tak: Spadaj stamtąd, ojciec spierze cię na amen albo odda do opieki. Idź na wieś, do gospodarzy. No to żem poszedł na wieś, do gospodarzy. I całkiem fajne życie żem miał od tamtej pory, to mogie szczerze powiedzieć!

Zamilkł i znów na nią spojrział.

Patrzyła na niego w milczeniu, myśląc o Karlemannie. Ten też za trzy lata będzie Karlemannem, pozbawionym miłości, wiary, ambicji, dbającym tylko o siebie.

Zapytała: – A ty, Kuno, jak myślisz, co z ciebie będzie? – I dodała: – Chcesz pewnie potem do SA albo do SS?

Odparł, przeciągając: – Do tych typków? W życiu! One są jeszcze gorsze niż ojciec! Na okrągło ino wrzeszczą i rozkazują! Nie, dziękuje za taki deser, to nie dla mnie!

– Ale może sprawiałoby ci to przyjemność, gdybyś to ty mógł

rozkazywać innym?

– A niby jak? Nie, to nie dla mnie. Wiesz co, a jak ty się właściwie nazywasz?

– Ewa, Ewa Kluge.

– Wiesz, Ewa, frajdę to by mi sprawiło auto. O takiej szewrolecie to ja by chciał wszystko wiedzieć, jak taki motor działa, jak to jest ze sprzęgłem i zapłonem – nie, niejakie to jest, to już trochi wiem, ale dlaczego to tak jest... To ja bym chciał wiedzieć, tylko że jezdem na to za głupi. Za często mnie lali po łbie, jak byłem mały, przez to tera u mnie taka słaba głowa. Nawet pisać dobrze nie umim!

– Ale ty wcale nie wyglądasz na takiego głupiego! Jestem pewna, że się nauczysz i pisać, a potem o tych silnikach.

– Nauka? Znowu iść do szkoły? Wała, nie ma mowy, na to to ja jezdem już za stary. Miałem już przecie dwie baby.

Wzdrygnęła się. Ale zaraz potem powiedziała śmiało: – I myślisz, że taki inżynier czy technik to już wszystko wie? Oni cały czas muszą się dokształcać, na uczelni albo na kursach wieczorowych.

– Przecie wiem! Przecie ja to wszystko wiem! Są takie ogłoszenia na słupach! Wieczorowe kursa dla zaawansowanych elektrotechników – nagle zaczął mówić bezbłędną niemczyzną. – Podstawy elektrotechniki.

– No proszę! – wykrzyknęła pani Ewa. – I ty uważasz, że jesteś na to za stary! Nie chcesz się więcej uczyć? Do końca życia chcesz być włóczęgą, który zimą myje kufle i rąbie drewno? To będzie klawe życie, ale za dużo frajdy to ty mieć nie będziesz!

Teraz znów szeroko otworzył oczy i popatrzył na nią badawczo, choć jednocześnie nieufnie.

– Pewnikiem chcesz, cobym wrócił do swoich i poszedł w Berlinie do szkoły? A może chcesz mnie oddać do opieki?

– Ani to, ani to. Postaram się, żebyś mógł zostać u mnie. A potem

sama cię będę uczyć i mój przyjaciel będzie cię uczyć.

Wciąż był nieufny. – A co ty z tego będziesz miała? Ja cię będę dużo kosztować, jedzenie, ubranie, ksionżki do szkoły i w ten desień.

– Nie wiem, czy ty to zrozumiesz, Kuno. Miałam kiedyś męża i dwóch synów, których straciłam. A teraz jestem całkiem sama, mam tylko tego jednego przyjaciela!

– Przecie możesz se zrobić jeszcze jedno dziecko!

Zaczerwieniła się, ona, starzejąca się kobieta, zaczerwieniła się pod spojrzeniem czternastoletniego chłopca.

– Nie, nie mogę mieć już dzieci – powiedziała i popatrzyła na niego zdecydowanym wzrokiem. – Ale ucieszyłabym się, gdybyś został kimś, inżynierem od aut albo konstruktorem samolotów. Ucieszyłoby mnie, gdyby udało mi się stworzyć kogoś z takiego chłopaka jak ty.

– Myślisz pewnikiem, że ze mnie to już zupełne ścierwo?

– Sam wiesz najlepiej, Kuno, że teraz z tobą dobrze nie jest!

– Masz racje. To prawda!

– I nie masz ochoty zostać kimś innym?

– Ochotę mam, tyle że...

– Tyle że co? Nie chcesz u mnie zamieszkać?

– Chcieć to chce, ale...

– Co znowu za ale?

– Myślę sobie, że szybko będziesz mnie mieć dość, a ja nie lubie, jak się mnie odsyła, wole sam odejść.

– W każdej chwili będziesz mógł odejść, nie będę cię zatrzymywać.

– Dajesz słowo?

– Daję słowo, obiecuję ci to, Kuno. Będziesz u mnie, ale będziesz wolny.

– Ale jak mam być u ciebie, to muszem być zameldowany, a wtedy i moje stare bedom wiedzieć, gdzie jezdem. Nawet jednego dnia nie

pozwolą mi u ciebie być.

– Jeśli twój rodzinny dom wygląda tak, jak mówiłeś, to nikt cię nie zmusi do powrotu. Może potem przeniesiemy na mnie prawa rodzicielskie i będziesz całkiem moim chłopcem...

Przez chwilę patrzą na siebie w milczeniu. Wydaje jej się, że w tym błękitnym, obojętnym spojrzeniu dostrzegła odległy blask. Ale potem on mówi, kładąc głowę na ramieniu i zamykając oczy: – No to dobrze. Tera chciałem sie trochi zdrzymnąć. Wracaj do tych swoich kartofelków!

– Ależ, Kuno! – woła. – Musisz przynajmniej odpowiedzieć na moje pytanie!

– Muszem? – zapytał sennym głosem. – Nikt nie musi nic musieć.

Przez chwilę patrzyła na niego z powątpiewaniem. A potem z łagodnym uśmiechem wróciła do pracy.

Pracowała dalej motyką, ale teraz robiła to bezmyślnie. Dwa razy przyłapała się na tym, że przecięła kłaczę ziemniaka. – Uważaj, Ewo! – powiedziała wtedy poirytowana sama do siebie.

Ale wcale przez to bardziej nie uważała. Myślała o tym, że chyba byłoby lepiej, gdyby nic nie wyszło z niej i tego zdeprawowanego chłopaka. Ile to miłości i pracy włożyła w Karlemanna, który nie był zdemoralizowanym dzieckiem – i na co zdali się ta miłość i praca? A teraz chciała całkowicie odmienić czternastoletniego urwisa, który gardził życiem i ludźmi? Co ona sobie ubzduriała? Poza tym Kienschäper na pewno się na to nie zgodzi...

Obejrzała się na śpiącego chłopca. Ale jego już tam nie było, w cieniu na skraju lasu leżały tylko jej rzeczy.

No i dobrze! – pomyślała sobie. – Dzięki temu nie muszę już podejmować decyzji. Zwiał! Tym lepiej!

I rozgniewana chwyciła za motykę.

Lecz zaraz potem spostrzegła Kuna-Dietera na drugim końcu

kartoflanego pola, jak pilnie wrywał chwasty, odkładając je na kupkę na skraju pola. Ruszyła przez bruzdy ziemi w jego stronę.

– Wypałeś się już? – zapytała.

– Nie mogę spać – powiedział. – Przez to twoje gadanie zgłupłem. Muszem pomyśleć.

– No to myśl! Ale nie myśl sobie, że musisz dla mnie pracować.

– Dla ciebie? – Pogarda, jaka zabrzmiała w wypowiedzianych przez niego słowach, była niezmierną. – Wyrwam chwasty, bo mi się przy tym lepiej myśli i dlatego, że mi to sprawia frajdę. Naprawdę! Dla ciebie? To znaczy za kilka kromek z masłem?

I pani Ewa Kluge znów wróciła do pracy z łagodnym uśmiechem. On to robił dla niej, nawet jeśli sam przed sobą nie chciał się do tego przyznać. Nie miała już teraz wątpliwości, że w południe pójdzie razem z nią, a w związku z tym wszelkie głosy napomnienia i ostrzeżenia, które się w niej odzywały, straciły znaczenie.

Skończyła pracę wcześniej niż zwykle. Znowu podeszła do chłopca i powiedziała mu tak: – Robię sobie teraz przerwę na obiad. Jeśli chcesz, Kuno, możesz pójść ze mną.

Wyrwał jeszcze parę chwastów, a potem popatrzył na oczyszczony skrawek pola. – Niezły kawałek udało mi się zrobić – stwierdził z zadowoleniem. – Oczywiście powyrwiałem tylko największe chwasty, do tych małych potrzeba motyki, wtedy zrobię więcej.

– Oczywiście – powiedziała. – Ty wyrwaj te duże, a ja zajmę się małymi.

Znów zerknęła na nią z ukosa, a ona zauważyła, że w tych błękitnych oczach pojawia się także szelmowski błysk.

– To miał być przytyk? – zapytał.

– Jak chcesz – odparła. – Nie musi być.

– No dobra!

Zatrzymała się w drodze powrotnej przy małym strumieniu o bystrym nurcie.

– Nie chciałabym cię zabierać do wioski, Kuno, kiedy tak wyglądasz – powiedziała.

Natychmiast zmarszczył czoło i zapytał podejrzliwie: – To znaczy, że sie mnie wstydzisz?

– Jeśli o mnie chodzi, to możesz iść tak – odpowiedziała. – Ale jeżeli chcesz mieszkać w tej wsi dłużej, to będziesz mógł i pięć lat chodzić w porządnym ubraniu, a chłopci i tak nigdy nie zapomną, w jakim stanie do nich przyszedłeś. Jak ubłocona świnia, będą mówić za dziesięć lat. Jak łązega.

– Masz rację – powiedział. – One takie właśnie są. No to idź i coś przynieś! A mnie może uda się w tym czasie troche tu obskrobać.

– Przyniosę mydło i szczotkę – zawołała jeszcze i pośpiesznie ruszyła drogą do wsi.

Później tego dnia, dużo później, już pod wieczór, gdy zjedli we trójkę kolację: pani Ewa, siwowłosa Kienschäper i zmieniony niemal nie do poznania Kuno-Dieter, a więc później tego dnia pani Ewa powiedziała: – Dzisiaj będziesz jeszcze spać na strychu, na sianie, Kuno. Jutro wyszykuję ci małą izbę, tylko muszą najpierw pozabierać z niej te swoje graty. Pięknie ci ją wyszoruję. Mebli mam dosyć.

Kuno tylko na nią popatrzył. – To ma znaczyć, że mam się stąd zmywać – powiedział – bo państwo chcą zostać sami. No dobra! Tyle że spać to ja jeszcze nie pójdę, Ewo. Nie jezdęm dzidzius. Obejrzę się najpierw te dziurę.

– Ale niech to nie będzie bardzo późno, Kuno! I nie pal na strychu!

– A skąd! Przecie to ja bym pierwszy wtedy wyciungnoł kopyta. No dobra! Miłej zabawy, młodziankowie, powiedział ojciec, a potem zrobił matce dzieciuka!

I pan Kuno-Dieter wyszedł. Idealny produkt narodowosocjalistycznego wychowania.

Pani Ewa Kluge uśmiechnęła się nieco zakłopotana. – Nie jestem pewna, Kienschäper – powiedziała – czy dobrze zrobiłam, przyjmując tego gagatka do naszej małej rodziny. Jest prawdziwym wyzwaniem, naprawdę!

Kienschäper się roześmiał. – Ależ, Ewuś – powiedział – przecież sama widzisz, że ten chłopak tylko udaje! Musi się przecież popisać! Choćby najgorszymi rzeczami. I szczególnie dlatego, że zauważył, że jesteś trochę przewrażliwiona...

– Wcale nie jestem przewrażliwiona! – krzyknęła. – Ale jak mi czternastolatek opowiada, że miał już dwie kochanki...

– ...no to właśnie jesteś przewrażliwiona, Ewuś. A poza tym co znaczą dwie kochanki, których z pewnością nie miał, tylko najwyżej one miały jego! Nic nie znaczą! Wolałbym oszczędzić ci, Ewuś, opowieści o tym, co wyprawiają ze sobą dzieciaki z tej skromnej, pobożnej wioski, przy nich Kuno-Dieter to szczere złoto!

– Ale te dzieci wcale o tym nie mówią!

– Bo mają nieczyste sumienie. A on nie ma wyrzutów sumienia, uważa to za naturalne, bo nigdy nie słyszał i nie widział nic innego. To wszystko. Ten chłopak ma dobre serce, za pół roku będzie płonął ze wstydu, gdy sobie przypomni, co ci mówił w swój pierwszy dzień tutaj. Odrzuci to, tak samo jak tę swoją berlińską gwarę. Zauważyłaś, że świetnie mówi poprawną niemiecką, tylko po prostu nie chce.

– Mam wyrzuty sumienia, zwłaszcza wobec ciebie, Kienschäper.

– Nie powinnaś ich mieć, Ewo. Ten chłopak mnie bawi i możesz być pewna, że może zostać, kim zechce. Nigdy nie będzie hitlerowcem. Może dziwakiem, ale nigdy człowiekiem partii, zawsze będzie chodził własnymi drogami.

– Daj Boże! – powiedziała Ewa. – Niczego więcej nie pragnę.

Miała niejasne poczucie, że ratując Kuna-Dietera, choć trochę zadośćuczyni haniebnym uczynkom popełnionym przez Karlemanna.

ROZDZIAŁ 45.

Upadek radcy kryminalnego Zotta

List naczelnika komisariatu był właściwie zaadresowany do pana radcy kryminalnego Zotta przy Tajnej Policji Państwowej w Berlinie. To nie oznaczało jednak wcale, że trafi bezpośrednio do rąk radcy kryminalnego Zotta. Przyniósł mu go jego przełożony Obergruppenführer SS Prall.

– O co tu chodzi, panie radco? – zapytał Prall. – Jest tu kolejna kartka od Klabaternika, a do niej doczepiona karteczka: „Zatrzymani zostali zwolnieni na telefoniczne polecenie radcy kryminalnego Zotta z Gestapo”. Jacy zatrzymani? Dlaczego nic mi o tym nie zameldowano?

Radca kryminalny zerknął przez swoje okulary na przełożonego: – Ach, tak! Już sobie przypominam. To było przedwczoraj albo jeszcze wcześniej. Już wiem, to było w niedzielę. Wieczorem. Między szóstą a siódmą, to znaczy między osiemną a dziewiętną, panie Obergruppenführerze.

I dumny ze swej doskonałej pamięci popatrzył na Obergruppenführera.

– I co tam się działo w niedzielę między osiemną i dziewiętną? Dlaczego byli jacyś zatrzymani? I dlaczego zostali zwolnieni? I dlaczego nic mi o tym nie zameldowano? To bardzo pokrzepiające, Zott, że pan sobie wszystko przypomina, ale ja też chciałbym poznać tę sprawę.

Rzucone bez tytułu nazwisko radcy zabrzmiało niczym pierwszy wystrzał armatni.

– Ależ to historia zupełnie pozbawiona znaczenia! – Radca kryminalny wykonał uspokajający gest swoimi pożółkłymi od akt rączkami. – Jakaś bzdura z komisariatu. Zatrzymali jako autora kartek czy

też ich roznosiela jakąś parkę, małżeństwo, oczywiście znowu totalna bzdura ze strony Szupo. Małżeństwo, a przecież wiemy, że ten człowiek z pewnością mieszka sam! I do tego, właśnie sobie przypomniałem, ten zatrzymany był z zawodu stolarzem, a przecież my wiemy, że musi pracować w tramwajach!

– Czy chce pan przez to powiedzieć, panie – odpowiedział Obergruppenführer, z trudem nad sobą panując (to „panie” było drugim, jeszcze ostrzejszym wystrzałem na tej wojnie) – chce pan przez to powiedzieć, że polecił pan wypuścić tych ludzi, nie zobaczywszy ich ani nie przesłuchawszy, tylko dlatego, że było ich dwoje zamiast jednego, i tylko dlatego, że ten człowiek podał się za stolarza? Panie!

– Panie Obergruppenführerze – odpowiedział radca kryminalny Zott, wstając. – My, znawcy kryminalistyki, pracujemy według określonego planu i nie odstępujemy od niego. Szukam samotnego mężczyzny, który ma coś wspólnego z tramwajami, a nie żonatego stolarza. Ktoś taki mnie nie interesuje. W związku z nim nie ruszę palcem.

– Jakby stolarz nie mógł pracować dla zakładów tramwajowych, choćby przy naprawie wagonów! – zaczął krzyczeć Prall. – Co za bałwaństwo!

Najpierw Zott zamierzał poczuć się urażony, lecz słuszna uwaga przełożonego kazała mu się zastanowić. – Faktycznie – powiedział zakłopotany – o tym faktycznie nie pomyślałem. – Zebrał się w sobie. – Ale ja szukam samotnego mężczyzny – powtórzył. – A tamten człowiek ma żonę.

– Nie ma pan pojęcia, jak podłymi bestiami potrafią być kobiety! – warknął Prall. Miał jednak jeszcze coś na podorędziu: – I pewnie nie pomyślał pan, panie radco kryminalny Zott (trzeci i najostrejszy wystrzał), także o tym, że tę kartkę podłożono w niedzielne popołudnie w pobliżu Nollendorfplatz, który podlega tamtemu komisariatowi!

Czyżby ten drobny, nieistotny fakt umknął pańskiej kryminalistycznej przenikliwości?

Tym razem radca kryminalny Zott był szczerze skonsternowany, jego kozia bródka zadrżała, a ciemne, przenikliwe oczy się zamglily.

– Jestem niezmiernie zakłopotany, panie Obergruppenführerze! Nie mogę uwierzyć, jak mogło mi się to przydarzyć? Cóż, nieco się zapędziłem. Ciągle myślałem tylko o tych zajezdniach tramwajowych, byłem taki dumny z tego odkrycia. Zbyt dumny...

Obergruppenführer wściekłym wzrokiem popatrzył na człowieczka, który z prawdziwą troską, choć bez płaszczenia się, wyznawał swoje grzechy.

– To był błąd z mojej strony, poważny błąd – kontynuował z zapalem radca kryminalny – żeby w ogóle przejść to dochodzenie. Ja się nadaję tylko do spokojnej pracy przy biurku, a nie do działań pościgowych. Kolega Escherich radzi sobie z tym dziesięć razy lepiej ode mnie. I do tego spotkało mnie jeszcze jedno nieszczęście – spowiadał się dalej. – Aresztowano mianowicie mojego człowieka, który miał zebrać informacje w jednej z kamienic. Klebs się nazywa. Poinformowano mnie, że rzekomo uczestniczył w kradzieży, w ograbianiu jakiegoś pijaczyny. Został też ciężko pobity. To jakaś koszmarna historia. On w trakcie rozprawy nie utrzyma języka za zębami, powie, że to my go wysłaliśmy...

Obergruppenführer Prall zadrzał z gniewu, lecz smutna powaga, z jaką mówił radca kryminalny Zott, oraz jego całkowita beztroska wobec własnego losu utrzymały go w ryzach.

– I jak pan sobie wyobraża kontynuowanie tej sprawy, panie? – zapytał lodowatym tonem.

– Proszę pana, panie Obergruppenführerze – poprosił Zott, unosząc dłonie w błagalnym geście – proszę pana, niech mnie pan uwolni! Niech mnie pan uwolni od tego zadania, któremu nie potrafię sprostać pod

żadnym względem! Niech pan sprowadzi komisarza Eschericha z jego celi, on zrobi to lepiej niż ja...

– Mam nadzieję – powiedział Prall, jakby nie usłyszał tego, co zostało właśnie powiedziane – mam nadzieję, że zanotował pan przynajmniej adresy obojga zatrzymanych?

– Nie! Kierowany moim ukochanym pomysłem, działałem z karygodną lekkomyślnością. Ale każę się połączyć z tamtym komisariatem, oni podadzą mi adresy i sprawdzimy...

– To niech się pan łączy!

Rozmowa była bardzo krótka. Radca kryminalny powiedział do Obergruppenführera: – Oni też nie zanotowali adresów. – A na gniewny gest przełożonego dodał: – To ja jestem winny, ja sam! Po rozmowie telefonicznej ze mną musieli uznać sprawę za ostatecznie załatwioną. To ja jestem winien temu, że nawet nie sporządzono notatki do akt!

– Więc nie mamy już teraz żadnego śladu?

– Żadnego!

– I co pan sądzi o swoim zachowaniu?

– Proszę o sprowadzenie komisarza Eschericha z piwnicy i zabranie mnie tam zamiast niego!

Obergruppenführer Prall przez chwilę patrzył na tego małego człowieczka bez słowa. A potem powiedział, trzęsąc się z wściekłości: – Wie pan, że wyślę pana do kacetu? Odważa się pan rzucić mi prosto w twarz taką propozycję i nie drży pan, i nie skomle ze strachu? Z takiej gliny jak pan są ulepieni czerwoni, bolszewicy! Przyznaje się pan do winy, ale zdaje się pan z niej dumny!

– Nie jestem dumny z mojej winy. Ale jestem gotów ponieść konsekwencje. I mam nadzieję, że uczynię to bez drżenia i skomlenia!

Obergruppenführer Prall uśmiechnął się pogardliwie na te słowa. Widział już wiele razy, jak godność upada pod ciosami esesmanów. Lecz

widział także wyraz oczu wielu dręczonych, spojrzenie, które pośród całej ich męki wyrażało chłodną, niemal drwiącą wyższość. I wspomnienie tego spojrzenia sprawiło, że zamiast zacząć wrzeszczeć i bić, powiedział tylko: – Pozostanie pan w tym gabinecie do mojej dyspozycji. Muszę najpierw sporządzić raport.

Radca kryminalny Zottskinął przytakująco głową, a Obergruppenführer Prall wyszedł.

ROZDZIAŁ 46.

Komisarz Escherich znów na wolności

Komisarz Escherich znów jest na stanowisku. Uznany za zmarłego, powstał do życia z piwnic Gestapo. Nieco poturbowany i wymiętoszony siedzi znów przy swoim biurku, a jego koledzy śpieszą z zapewnieniami o swojej sympatii. Zawsze w niego wierzyli. Zrobiliby dla niego wszystko, co w ich mocy. – Tylko wiesz, jak wyższe dowództwo postawi na kimś krzyżyk, to wtedy nikt z nas nic już nie może zrobić. Można sobie tylko przy tym sparzyć palce. No, przecież sam wiesz, Escherich, rozumiesz chyba.

Escherich zapewnia, że wszystko rozumie. Zmusza usta do uśmiechu, który wygląda dość nieszczęśliwie, prawdopodobnie dlatego, że Escherich nie nauczył się jeszcze uśmiechać z kilkoma brakującymi zębami.

A przy tym tylko dwie rozmowy związane z powrotem do służby zrobiły na nim wrażenie. Jedną z nich przeprowadził z radcą kryminalnym Zottem.

– Kolego Escherich – powiedział. – Nie zostanę zesłany do bunkra zamiast pana, choć zasłużyłem na to dziesięć razy bardziej niż pan. Nie tylko ze względu na błędy, które popełniłem, ale również dlatego, że zachowałem się wobec pana jak świnia. Moim jedynym usprawiedliwieniem jest to, że wierzyłem, iż pan źle pracował...

– Nie mówmy już o tym – powiedział Escherich ze swoim dziurawym uśmiechem. – Jeśli chodzi o sprawę Klabaternika, to jak dotąd wszyscy źle pracowali, pan, ja, wszyscy. To śmieszne, ale ja naprawdę nie mogę się doczekać, żeby poznać człowieka, który tymi swoimi kartkami sprowadził

tyłe nieszczęścia na bliźnich. To musi być niezły dziwak...

Popatrzył na radcę kryminalnego w zadumie.

Ten podał mu swoją drobną, poźółkłą od akt rączkę. – Niech pan źle o mnie nie myśli, kolego Escherich – powiedział cicho. – I jeszcze jedno. Stworzyłem nową teorię, że nasz sprawca ma coś wspólnego z tramwajami. Wszystko jest w aktach. Proszę, niech pan podczas swojego dochodzenia o niej nie zapomni. Byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby choć ten punkt moich rozważań okazał się trafny! Bardzo pana o to proszę!

I powiedziawszy to, radca kryminalny Zott udał do swojego oddalonego, cichego pokoju, by oddawać się już tylko swoim teoriom.

Drugą pamiętną rozmowę komisarz odbył oczywiście z Obergruppenführerem Prallem. – Escherich – powiedział przełożony podniesionym głosem – komisarz Escherich! Pan się już dobrze czuje?

– Doskonale! – odparł komisarz. Stał za swoim biurkiem, mimowolnie przykładając wyprostowane dłonie do ud, tak jak nauczył się tego w celi na dole. Choć komisarz bardzo z tym walczył, cały drżał. Uważnie obserwował przełożonego. Wobec tego człowieka czuł wyłącznie strach, nieprzytomny strach, on w każdej chwili mógł go odesłać z powrotem do piwnicy.

– Skoro czuje się pan już doskonale, Escherich – kontynuował Prall, który doskonale wyczuwał działanie swoich słów – to może pan też pracować. Zgadza się?

– Oczywiście, panie Obergruppenführerze!

– A skoro może pan pracować, Escherich, to może pan też złapać Klabaternika! Chyba pan potrafi?

– Oczywiście, panie Obergruppenführerze!

– I to jak najszybciej, Escherich!

– Oczywiście, panie Obergruppenführerze!

– No i widzi pan, Escherich – stwierdził łaskawie Obergruppenführer

Prall, napawając się przerażeniem podwładnego. – Jak dobrze robi taki krótki wypoczynek w naszym bunkrze! Tacy właśnie mają być moi ludzie! Już nie czuje się pan lepszy ode mnie, panie Escherich?

– Nie, panie Obergruppenführerze, na pewno nie. Na rozkaz, panie Obergruppenführerze!

– Już nie uważa pan, że jest najsprytniejszym psem w całym Gestapo i że wszyscy inni są ulepieni z psiego gówna? Już pan tak chyba nie uważa, Escherich?

– Rozkaz, nie, panie Obergruppenführerze, już tak nie uważam.

– Widzi pan, Escherich – kontynuował Obergruppenführer, dając uchylającemu się z lękiem Escherichowi mocny, ale żartobliwy prztyczek w nos – a gdy znowu poczuje się pan bardzo sprytny albo zacznie działać samowolnie, albo pomyśli, że Obergruppenführer Prall to tylko dumny jełop, to niech pan mi od razu powie. Wtedy ja natychmiast, zanim zrobi się z panem całkiem źle, wyślę pana na małą kurację do piwnicy. I jak?

Komisarz Escherich wpatrywał się bez słowa w swego przełożonego. Komisarz trząsł się tak bardzo, że nawet ślepy by zauważył.

– No i jak będzie, Escherich, powie mi pan od razu, jeśli znowu poczuje się pan wyjątkowo sprytny?

– Rozkaz, panie Obergruppenführerze!

– Albo gdy praca nie będzie się posuwać do przodu, żebym odrobinę pana przyspieszył?

– Rozkaz, panie Obergruppenführerze!

– No to się dogadaliśmy, Escherich!

Nagle przełożony podał dłoń skromnie pochylonemu komisarzowi, zupełnie go zaskakując. – Cieszę się, Escherich, że znów widzę cię na służbie. Mam nadzieję, że znowu będzie nam się doskonale pracować. Od czego więc ma pan zamiar zacząć?

– Od uzyskania od pracowników komisariatu przy Nollendorfpfplatz

dokładnego opisu podejrzanych. Wreszcie go dostaniemy! Człowiek, który zatrzymał oboje podejrzanych, być może przypomni sobie ich nazwiska. Będę także kontynuować akcję poszukiwawczą kolegi Zotta...

– Pięknie, pięknie. W każdym razie jest to jakiś początek. Proszę codziennie składać mi raport...

– Rozkaz, panie Obergruppenführerze!

Tak, to była druga rozmowa przy ponownym obejmowaniu stanowiska, która zrobiła na komisarzu kryminalnym Escherichu niejaki wrażenie. Poza tym w ogóle nie było po nim widać jego przeżyć, zwłaszcza gdy uzupełnił luki w uzębieniu. Koledzy uważali nawet, że Escherich zrobił się o wiele miłszy. A to dlatego, że zupełnie gdzieś zatracił ton drwiącej wyższości. Nie mógł się już czuć lepszy od nikogo.

Komisarz Escherich pracuje, prowadzi śledztwa, dokonuje przesłuchań, sporządza opisy podejrzanych, czyta akta, telefonuje, Escherich pracuje tak jak zawsze. Lecz nawet jeśli nic po nim nie widać, nawet jeśli ma nadzieję, że pewnego dnia znów będzie potrafił rozmawiać ze swoim przełożonym Prallem bez drżenia, Escherich wie, że nigdy już nie będzie taki jak kiedyś. Jest tylko maszynką do pracy, wykonuje ją rutynowo. Wraz z poczuciem wyższości zniknęła także radość z pracy, pycha była nawozem, który pomagał dojrzewać owocom jego pracy.

Escherich zawsze był pewny siebie. Zawsze wierzył, że jemu nic nie może się stać. Zakładał, że jest kimś zupełnie innym niż reszta. I Escherich musiał porzucić wszystkie te złudne przekonania o sobie, właściwie pożegnał się z nimi w kilka sekund, gdy esesman Dobat przyłożył mu pięścią w twarz, a on poznał, co to strach. Escherich w ciągu kilku dni tak dokładnie poznał strach, że nie zapomni go do końca życia. Wie, że może wyglądać, jak chce, wie, że może osiągnąć niemożliwe, może być szanowany i fetowany, lecz wie, że jest niczym. Jeden cios pięścią może przemienić go w skamłące, drżące, przerażone nic, niewiele lepsze niż

ten mały, cuchnący tchórzliwy złodziejasek, z którym przez wiele dni dzielił celę i którego żarliwie klepane modlitwy wciąż słyszy. Naprawdę niewiele lepsze. Nie, wcale nie lepsze!

Jedna rzecz podtrzymuje jednak komisarza Eschericha, a jest to myśl o Klabaterniku. Musi złapać tego człowieka, a potem będzie mu już wszystko jedno. Musi popatrzeć temu facetowi w oczy, musi porozmawiać z człowiekiem, który stał się przyczyną całego jego nieszczęścia. Chce mu powiedzieć prosto w twarz, temu fanatykowi, jakie nieszczęścia, kłopoty i trudności sprowadził na tylu ludzi. Zmiażdży go, tego wroga w ciemnościach.

Żeby go już tak dorwał!

ROZDZIAŁ 47.

Nieszczęsny poniedziałek

W ten poniedziałek, który okazał się tak fatalny dla Quangłów;
w ten poniedziałek, w osiem tygodni po przywróceniu Eschericha do służby;

w ten poniedziałek, gdy Emil Barkhausen został skazany na dwa lata, a szczur Klebs na rok;

w ten poniedziałek, gdy Baldur Persicke w końcu przyjechał ze swojej szkoły Napola do Berlina i odwiedził ojca w zakładzie dla uzależnionych;

w ten poniedziałek, gdy Trudel Hergesell spadła ze schodów na dworcu w Erkner i przez to poroniła;

w ów rozstrzygający poniedziałek Anna Quangel leżała w łóżku z ciężką gripą. Miała wysoką gorączkę. U jej boku siedział Otto Quangel, doktor już wyszedł. Kłócili się o to, czy tego dnia powinien pójść roznieść kartki czy też nie.

– Nie pójdziesz, przecież to ustaliliśmy, Ottonie! Kartki mogą poczekać dzień czy dwa, aż znowu stanę na nogi!

– Nie chcę trzymać ich w domu, Anno!

– To w takim razie już idę! – I Anna zaczęła się podnosić z łóżka.

– Zostajesz w łóżku! – Wcisnął ją z powrotem między poduszki. – Anno, nie bądź nierozsądna. Podłożyłem już sto, dwieście kartek...

W tym momencie zadzwonił dzwonek.

Wzdrygnęli się z przerażenia oboje niczym przyłapani na gorącym uczynku złodzieje. Quangel szybko schował dwie kartki, które leżały na narzucie.

– Kto to może być? – zapytała przestraszona Anna.

A on: – O tej porze? O jedenastej rano!

Zaczęła zgadywać: – Może u Heffków coś się stało? Albo to doktor wrócił?

Dzwonek zadzwonił ponownie.

– Pójdę sprawdzić – mruknął.

– Nie – poprosiła. – Zostań. Gdybyśmy wyszli z kartkami, też dzwoniłoby na darmo!

– Tylko sprawdzę, Anno!

– Nie, nie otwieraj, Ottonie! Proszę cię! Mam przeczucie, że jeśli otworzysz drzwi, wpuścisz do domu nieszczęście!

– Podejdę po cichu i zaraz dam ci znać.

Poszedł.

Leży rozgniewana i niecierpliwa. Że też on nigdy, ale to nigdy nie ustępuje i nigdy nie spełnia jej próśb! Popelnia błąd, nieszczęście czyha na zewnątrz, lecz akurat teraz, gdy jest tuż, tuż, on wcale go nie wyczuwa. I do tego nie dotrzymuje danego słowa! Słyszysz, jak otwiera drzwi i rozmawia z jakimś mężczyzną. A przecież obiecał jej, że najpierw da jej znać.

– No i co? Powiedz mi, Ottonie! Przecież widzisz, że umieram z niecierpliwości! Kim jest ten mężczyzna? Dlaczego jeszcze sobie nie poszedł!

– Nie ma się czym przejmować, Anno. To tylko posłaniec z fabryki. Majster z porannej zmiany miał wypadek, muszę go natychmiast zastąpić.

Nieco uspokojona opada z powrotem na poduszki. – I pójdziesz?

– Oczywiście!

– Przecież jeszcze nie jadłeś obiadu!

– Na pewno dostanę coś w stołówce!

– Weź sobie chociaż chleba!

– Tak, tak, Anno, o nic się nie martw. To niedobrze, że muszę cię na tak długo zostawić samą.

– O pierwszej i tak musiałbyś wyjść.

– Zaraz potem będę miał swoją zmianę.

– Ten człowiek czeka?

– Tak, pojedę od razu z nim.

– To wracaj prędko, Ottonie. Wróć dzisiaj tramwajem!

– Jasna sprawa, Anno. Wracaj do zdrowia!

Już wychodził, gdy zawołała: – Ach, proszę, Ottonie, pocałuj mnie jeszcze!

Wrócił, trochę zdziwiony i trochę zakłopotany tą nietypową dla nich potrzebą czułości. Przycisnął wargi do jej ust.

Przyciągnęła jego głowę do siebie i mocno go pocałowała.

– Głupia jestem, Ottonie – powiedziała. – Ciągłe się boję. To pewnie przez tę gorączkę. Ale idź już!

I tak się rozstali. Jako wolni ludzie mieli się już nigdy więcej nie zobaczyć. O kartkach w jego kieszeni żadne z nich w pośpiechu nie pomyślało.

Ale staremu majstrowi kartki zaraz się przypominają, gdy siedzi ze swoim towarzyszem w tramwaju. Sięga do kieszeni – są tam! Jest z siebie niezadowolony, powinien był o tym pomyśleć! Lepiej było zostawić je w domu, lepiej by było, gdyby jeszcze teraz wysiadł z tramwaju, żeby podrzucić je w jakiejś kamienicy. Lecz nie znajduje wymówki, która przekonałaby towarzyszącego mu człowieka. Musi więc zabrać kartki do zakładu, a to coś, czego nigdy dotąd nie robił, coś, czego nigdy robić nie powinien – tylko że teraz jest już za późno.

Stoi przy ustępie. Ma już kartki w ręku, chce je podrzeć i spuścić z wodą, lecz jego spojrzenie pada na to, co z takim trudem i przez wiele godzin wypisywał. Napisane słowa wydają mu się takie mocne,

efektywne. Szkoda byłoby zniszczyć taką broń. Jego oszczędność, jego „obrzydlive skąpstwo” uniemożliwiają mu ich zniszczenie, ale stoi za tym także jego szacunek dla pracy. Wszystko, co jest owocem pracy, jest święte. To grzech niepotrzebnie niszczyć efekty pracy.

Lecz nie może zostawić kartek w marynarce, którą nosi także w warsztacie. Wkłada je więc do swojej teczki, dokłada je do chleba, do termosu z kawą. Otto Quangel doskonale wie, że z boku jego teczki rozszedł się szew, już parę tygodni temu powinna trafić do kaletnika. Lecz ten jest nadmiernie obciążony pracą i burknął, że naprawa potrwa na pewno co najmniej dwa tygodnie. A na tak długo Quangel nie chciał jej oddawać i przecież na razie nic mu z niej nie wypadło. Beztrąsko wkłada więc kartki do teczki.

Idzie przez warsztat w stronę szafek na ubrania, powoli, rozglądając się tu i tam. To obca załoga, prawie nieznanne mu twarze, od czasu do czasu kiwa głową. Raz nawet podaje rękę. Ludzie przyglądają mu się ciekawie, wielu go zna. Ach tak, to jest ten stary Quangel, niezły z niego dziwak, ale jego załoga nigdy na niego nie narzeka, jest sprawiedliwy, trzeba mu to przyznać. A jak pędzi do roboty, wydobywa ze swoich ludzi wszystko, na co ich stać. A jednak nie, nikt z jego załogi nigdy na niego nie narzeka. Jak on komicznie wygląda, chyba ma głowę na zawiasach, tak śmiesznie nią kiwa. Cicho, już wraca, on nie znosi gadania, patrzy na każdego gadułę, jakby go miał wdeptać w ziemię.

Otto Quangel odstawił swoją teczkę do szafki, kluczyki ma w kieszeni. Dobrze, jeszcze jedenaście godzin i zabierze kartki z fabryki, i mimo że będzie wtedy noc, pozbędzie się ich, nie może ich zabrać z powrotem do domu. Anna byłaby gotowa wstać z łóżka, żeby je roznieść.

Z tą nową załogą Quangel nie może zająć swojego zwykłego stanowiska obserwacyjnego na środku sali – jak oni paplają i trajkoczą! Musi przechodzić od jednej grupki do drugiej, a nie wszyscy tu jeszcze

wiedzą, co oznacza jego milczenie lub spojrzenie. Niektórzy są nawet na tyle bezczelni, że chcą wciągnąć majstra do rozmowy. Całkiem długo to trwa, zanim robota furkocze tak, jak jest do tego przyzwyczajony, zanim uciszają się i w końcu pojmują, że tu mogą wyłącznie pracować.

Quangel zamierza właśnie udać się na swoje stanowisko nadzorcze, lecz zamiera w pół kroku. Szeroko otwiera oczy i wzdryga się: na ziemi przed nim, na pokrytej trocinami i ostrużynami podłodze warsztatu, leży jedna z dwóch jego kartek.

Swędzą go palce, chce natychmiast po kryjomu podnieść kartkę i dostrzeżę, że dwa kroki dalej leży druga. Nie uda mu się ich niepostrzeżenie podnieść. Raz po raz pada na majstra spojrzenie kogoś z robotników, a jeśli chodzi o kobiety, to ciągle się na niego gapią, jakby nigdy w życiu nie widziały mężczyzny.

Ach, też coś, po prostu podniosę je, nieważne, czy to zobaczą czy nie! Co ich to obchodzi! Nie, nie mogę tego zrobić, kartka leży tu już od dobrego kwadransa, to cud, że nikt jej jeszcze nie podniósł! Ale może ktoś już ją widział i szybko rzucił z powrotem, gdy tylko przeczytał. A jeśli teraz zobaczy mnie, jak ją podnoszę i chowam?

Zagrożenie! Zagrożenie! – słyszy Quangel w swojej głowie. Najwyższy stopień zagrożenia! Zostaw te kartki! Zachowuj się tak, jakbyś nic nie zauważył, niech znajdzie je ktoś inny! Idź na swoje miejsce!

Lecz nagle w Ottonie Quanglu zachodzi coś dziwnego. Już tak długo, już od dwóch lat pisze te kartki i je podrzuca, lecz nigdy nie widział efektów swoich działań.

Zawsze chował się w swojej ciemnej jaskini, a co się dzieje z kartkami, zamieszanie, jakie z pewnością wywołują, to wszystko wyobrażał sobie już po stokroć, ale nigdy tego nie doświadczył.

Chciałbym to choć raz zobaczyć, choć jeden jedyny raz! Co może mi się stać? Jestem tu jednym z osiemdziesięciu pracowników, wszyscy

są tak samo podejrzani jak ja, a nawet bardziej, bo mnie tu wszyscy od dawna znają jako stare zwierzę robocze i wiedzą, że trzymam się z dala od wszelkiej polityki. Zaryzykuję, muszę to choć raz przeżyć.

I zanim zdążył się opamiętać, woła jednego z robotników: – Ty tam! Podnieś to! Ktoś to musiał zgubić. Co to jest? Co się tak gapisz?

Wyjmuje robotnikowi kartkę z ręki, udaje, że ją czyta. Lecz nie jest w stanie jej przeczytać, nie jest w stanie odczytać swojego własnego pisma, zdań pisanych dużymi, blokowymi literami. Nie potrafi odwrócić spojrzenia od twarzy robotnika, który wpatruje się w kartkę. On też już nie czyta, lecz dłoń mu drży, a jego spojrzenie wyraża lęk.

Quangel wpatruje się w niego. A więc strach, nic tylko strach. Ten człowiek nawet nie doczytał kartki do końca, ledwie wyszedł poza pierwszą linijkę, a już obezwładnił go strach.

Jakiś chichot zwraca uwagę Quangla. Podnosi wzrok i widzi, że polowa warsztatu wpatruje się w dwóch mężczyzn, którzy podczas godzin pracy stoją sobie i czytają pocztówki... A może wyczuwają już, że stało się coś strasznego?

Quangel wyjmuje robotnikowi kartkę z dłoni. Musi dalej sam odgrywać to przedstawienie, ten człowiek jest tak wystraszony, że do niczego się nie nadaje.

– Gdzie tu jest przewodniczący Frontu Pracy? Ten w sztruksowych spodniach przy traku? Dobrze! Wracaj do pracy i żadnej paplaniny, bo popamiętasz!

– Słuchaj! – mówi Quangel do mężczyzny przy traku. – Chodźmy na chwilę na korytarz. Chcę ci coś dać. – A gdy stoją już obaj na zewnątrz: – Oto dwie pocztówki! Podniósł je z ziemi tamten człowiek z tyłu. Widziałem je. Myślę, że powinieneś przekazać je kierownictwu fabryki. Zgadza się?

Mężczyzna czyta. I on czyta zaledwie kilka zdań. – Co to jest? – pyta

przerażony. – Leżały u nas w warsztacie? O Boże, można przez to stracić życie! Kto, powiedziałaś, je podniósł? Czy widziałaś, jak je podnosił?

– Przecież mówię, że mu kazałem podnieść! Chyba ja je pierwszy zauważyłem. Chyba!

– O Boże, co ja mam z nimi zrobić? Cholerne gówno! Wyrzucę je po prostu do ustępu!

– Musisz je oddać dyrekcji, inaczej możesz zostać uznany za winnego. Człowiek, który je znalazł, nie będzie wiecznie milczał. Biegnij zaraz, a ja cię zastąpię przy traku.

Mężczyzna rusza niechętnie. Trzyma kartki w ręku tak, jakby paliły mu palce.

Quangel wraca do warsztatu. Ale nie może ustawić się od razu przy traku, wszyscy w warsztacie się niepokoją. Jeszcze nikt nie wie nic pewnego, ale wszyscy już wiedzą, że coś się wydarzyło. Pochylają ku sobie głowy, szepczą, i tym razem nie pomaga nieruchomy ptasi wzrok i milczenie majstra, żeby przywrócić spokój. Musi głośno zakląć, czego nie robił od lat, musi pogrozić karami, udać rozgniewanego.

A gdy uspokaja się w jednym rogu warsztatu, to tym głośniejsze robi się w innym, a kiedy już wszystko zdaje się wracać do niejakiego porządku, odkrywa, że dwie, trzy maszyny nie są w pełni obsadzone: zwiali do toalety! Wypłasza ich stamtąd, jeden ma czelność zapytać go: – Co to było, co pan tam czytał, majstrze? Czy to naprawdę była ulotka od Anglików?

– Zajmij się swoją robotą! – warczy Quangel i pogania pracowników przed sobą z powrotem do warsztatu.

A tam oni znowu trajkoczą. Łączą się w grupki, panuje niespotykany niepokój. Quangel chodzi tu i tam, przeklina, grozi, łaje – aż pot zalewa mu czoło...

A przy tym cały czas myśli. A więc to jest pierwszy efekt. Sam strach. Taki strach, że nawet nie czytają dalej! Ale to o niczym nie świadczy.

Wiedzą, że są obserwowani. A moje kartki zwykle znajdowali pojedynczy ludzie. Mogli w spokoju je przeczytać, przemyśleć, wtedy efekt był zupełnie inny. Głupi ten eksperyment zrobiłem. Zobaczmy, jak to się dalej potoczy. Właściwie to dobrze, że to ja jako majster znalazłem te kartki i oddałem, to mnie odciąży. Nie, właściwie nic nie ryzykuję. A nawet jeśli przeprowadzą u mnie w domu rewizję, to i tak nic nie znajdą. Anna na pewno się wystraszy – ale nie, zanim zrobią rewizję, zdążę wrócić do domu i przygotować Annę... Dwie po czternastej – powinna się zmienić załoga, teraz kolej na moją zmianę.

Ale nie ma zmiany załogi. Dźwięk dzwonka nie rozbrzmiewa w warsztacie, zmiennicy (właściwa załoga Quangla) nie pojawiają się, maszyny furkoczą dalej. Teraz to dopiero ludzie robią się niespokojni, coraz częściej przysuwają do siebie głowy, zerkają na zegarki.

Quangel musi zrezygnować z prób powstrzymania ich od gadania, jest tylko jeden przeciwko osiemdziesięciu, nie daje już rady.

Wtedy nagle pojawia się jakiś facet z biura, elegant w wyprasowanych w kant spodniach, z odznaką partyjną. Staje obok Quangla i woła pośród furkotu maszyn: – Załoga! Słuchać!

Wszystkie twarze zwracają się ku niemu, ciekawe, pełne oczekiwania, ponure, nieprzychylnie, obojętne.

– Ze szczególnych względów załoga pracuje na razie dalej. Dostaniecie wypłatę za nadgodziny!

Milknie, wszyscy się w niego wpatrują. Czy to już wszystko? Ze szczególnych względów! Oczekują czegoś więcej!

Ale on tylko krzyczy: – Załoga, pracować dalej!

I zwraca się do Quangla: – Proszę zadbać o absolutny spokój i pilną pracę! Kim jest człowiek, który podniósł te kartki?

– To ja je pierwszy zauważyłem, tak sędzę.

– Wiem. To tamten? Dobrze. Zna pan jego nazwisko?

– Nie. To nie jest moja załoga.

– To też wiem. Ach, niech pan jeszcze powie załodze, że na razie nie mogą wychodzić do toalety, nie wolno im wychodzić z warsztatu. Przy każdym drzwiach na zewnątrz stoi dwóch wartowników!

Wyprasowany w kant człowiek kiwa lekko głową do Quangla i wychodzi.

Quangel przechodzi od jednego stanowiska pracy do drugiego. Przez chwilę przygląda się pracy, rękom robotników. A potem mówi: – Na razie opuszczanie warsztatu i wychodzenie do toalety są zabronione. Przy każdym drzwiach na zewnątrz stoi po dwóch wartowników!

I zanim zdążą o cokolwiek zapytać, przechodzi do kolejnego stanowiska pracy i powtarza wiadomość.

Nie, teraz już nie musi zakazywać im rozmów, popędzać do pracy. Wszyscy pracują w milczeniu, z zaciętymi minami. Wszyscy wyczuwają niebezpieczeństwo, które grozi każdemu. Bo pośród tych osiemdziesięciu ludzi nie ma ani jednego, który kiedyś nie popełniłby jakiegoś występku przeciwko obecnemu państwu, i żeby to tylko słowem! Każdy jest w niebezpieczeństwie. Życie każdego jest zagrożone. Wszyscy się boją...

A tymczasem robią trumny. Składają trumny, które nie mogą zostać odebrane, w kącie warsztatu. Najpierw jest ich tylko kilka, ale z upływem kolejnych godzin robi się ich coraz więcej i więcej, piętrzą się, stos rośnie aż pod sufit, układają obok kolejno. Trumna na trumnie, dla każdego członka załogi, dla każdego członka narodu niemieckiego! Jeszcze żyją, lecz już zbijają swoje własne trumny.

Quangel stoi pośród nich. Cały czas porusza głową charakterystycznym urywanym ruchem. On też wyczuwa niebezpieczeństwo, lecz to go rozśmiesza. Nigdy go nie złapią. Pozwolił sobie na żart, rozwścieczył cały ten aparat, ale jest tylko starym, głupim i skąpym do obłędu Quanglem. Nigdy nie będą go podejrzewać? A on będzie walczyć dalej, nieustannie.

Aż drzwi otwierają się ponownie i wchodzi pan z zaprasowanymi w ostry kant spodniami. Za nim podąża inny mężczyzna, wysoki, szczupły, z wąsami w kolorze piasku, które delikatnie gładzi.

Praca natychmiast zamiera na wszystkich stanowiskach.

I gdy pan z biura krzyczy: – Załoga! Fajrant!

gdy z ulgą, lecz także z niedowierzaniem odkładają narzędzia,

gdy w ich pozbawionych blasku oczach znów powoli pojawia się światło,

w tym czasie wysoki mężczyzna z jasnym wąsem mówi: – Majstrze Quangel, aresztuję pana na podstawie mocnego podejrzenia o zdradę ojczyzny i zdradę stanu. Proszę spokojnie wyjść przede mną!

Biedna Anna – pomyślał Quangel i powoli, z wysoko uniesioną głową o ptasim profilu wyszedł z warsztatu przed komisarzem Escherichem.

ROZDZIAŁ 48.

Poniedziałek, dzień komisarza Eschericha

Tym razem komisarz Escherich działał szybko i bezbłędnie.

Gdy tylko został telefonicznie powiadomiony o tym, że znaleziono dwie pocztówki w obsadzonym osiemdziesiątką ludzi warsztacie fabryki mebli Krause i Spółka, od razu wiedział: to jest właśnie ta chwila, na którą czekał od tak dawna, Klabaternik zrobił w końcu od tak dawna wyczekiwany błąd. Teraz go dopadnie!

Pięć minut później wymógł już dosyć ludzi, by móc otoczyć cały teren fabryki, i pomknął kierowanym przez samego Obergruppenführera mercedesem do zakładu.

Choć Prall uważał, że należy natychmiast zabrać tych osiemdziesięciu ludzi z warsztatu i każdego z osobna przesłuchiwać tak długo, aż prawda wyjdzie na jaw, Escherich powiedział: – Natychmiast potrzebuję listy wszystkich pracujących w warsztacie razem z ich adresami. Jak szybko mogę ją otrzymać?

– W ciągu pięciu minut. Co z nimi będzie? Za pięć minut kończą pracę.

– Na koniec zmiany niech pan im powie, że muszą pracować dalej. Niech pan poda dowolną przyczynę. Każde drzwi do warsztatu obstawić dwoma wartownikami. Nikt nie może stamtąd wyjść. Niech się pan postara, żeby to wszystko wyglądało jak najbardziej naturalnie, należy unikać wzbudzania niepokoju wśród pracowników!

A gdy księgowy wchodzi z listą: – Autor kartek musi mieszkać przy Chodowieckistraße, Jablonskistraße albo Christburger Straße. Kto z tej

osiemdziesiątki mieszka przy którejś z nich?

Przeglądają listę: – Żaden! Ani jeden!

Szczęśliwy traf jakby znowu sprzyjał Ottonowi Quanglowi. Pracował z obcą zmianą, nie było go na liście.

Komisarz Escherich wysunął dolną wargę, schował ją z powrotem i dwa, trzy razy mocno przygryzł wąsy, które dopiero co gładził. Był tak pewien swego, że czuł teraz ogromne rozczarowanie.

Lecz poza maltretowaniem swoich ukochanych wąsów nie dał po sobie poznać owego rozczarowania, tylko stwierdził chłodnym tonem: – Omówmy teraz sytuację rodzinną każdego z pracowników. Który z panów może podać mi dokładne dane? Pan jest szefem kadr? Dobrze, zacznijmy więc: Abeking Hermann... Co pan wie o tym mężczyźnie?

To się ciągnęło w nieskończoność. Po pięciu kwadransach doszli dopiero do litery H.

Obergruppenführer Prall zapalał papierosy, które zaraz potem gasił. Zaczynał szeptem rozmowy, które zamierały po paru zdaniach. Wystukiwał palcami marszowe rytmy na szybach okien. Nagle zaczął ostrym tonem: – To idiotyzm! O wiele prościej byłoby przecież...

Komisarz Escherich nawet nie podniósł wzroku. Teraz w końcu opuścił go strach przed przełożonym. Musiał znaleźć tego człowieka, choć przyznawał, że niepowodzenie z adresami stanowiło sporą przeszkodę. Prall mógł się niecierpliwić, ile chciał, komisarz nie dopuści do masowych aresztowań.

– Proszę kontynuować!

– Kämpfer Eugen, to majster! – Proszę go pominąć, bardzo przepraszam. Akurat dziś rano o dziewiątej skaleczył sobie dłoń przy strugarce. Zamiast niego zmianą kieruje majster Quangel...

– A więc dalej: Krull Otto...

– Jeszcze raz proszę o wybaczenie. Majstra Quangla nie ma na liście

pana komisarza...

– Niech pan przestanie przeszkadzać! Jak długo mamy tu jeszcze siedzieć? Tu nie może chodzić o tego starego durnia Quangla!

Lecz Escherich, w którym znów zatliła się iskierka nadziei, spytał: – A gdzie mieszka ten Quangel?

– Musielibyśmy to sprawdzić, on nie należy do tej załogi.

– A więc niech pan każe to sprawdzić! I to szybko, dobrze? Prosiłem o pełną listę!

– Oczywiście, natychmiast to sprawdzimy. Ale mówię panu, panie komisarzu, że ten Quangel to tylko przygłupi stary człowiek, który pracuje zresztą w naszej fabryce od wielu lat. Znamy go na wylot...

Komisarz był innego zdania. Wiedział, jak bardzo mylą się ludzie, którym się wydaje, że znają swoich bliźnich na wylot.

– No i? – zapytał w napięciu powracającego pomocnika biurowego. – Mów!

Młody człowiek odpowiedział uroczystym tonem: – Majster Quangel mieszka przy Jablonskistraße numer...

Escherich zerwał się z miejsca. W niezwykłym jak na niego podnieceniu wykrzyknął: – To on! Mam Klabaternika!

A Obergruppenführer Prall wrzasnął: – Nic tylko brać tę świnię! A potem oćwiczyć, nic tylko oćwiczyć!

Podniecenie udzieliło się wszystkim.

– Ten Quangel! Kto był pomysłał. Ten Quangel? Ten stary dureń! To niemożliwe! Ale to on pierwszy zobaczył te kartki! Niezła sztuczka, skoro to on sam je podłożył! Ale kto jest takim idiotą, żeby na samego siebie zastawić pułapkę? Quangel! Nie może być!

A ponad wszystkimi głosami wrzask Pralla: – Nic tylko brać tę świnię! I oćwiczyć, oćwiczyć!

Pierwszy opanował się komisarz Escherich.

– Jeśli można, panie Obergruppenführerze! Chciałbym zaproponować, żebyśmy najpierw dokonali rewizji w mieszkaniu owego Quangła.

– Ale po co te ceregiele, Escherich? Może nam wtedy uciec!

– Z tego budynku nikt już teraz nie wyjdzie! A jeśli znajdziemy w jego mieszkaniu coś, co od razu go przekona, że jakiegokolwiek zaprzeczanie nie ma sensu? To oszczędzi nam mnóstwa roboty! Teraz jest na to odpowiedni moment! Teraz, gdy on i jego rodzina nie wiedzą jeszcze, że ich podejrzewamy..

– O wiele prościej byłoby jednak powoli wyrywać mu flaki, aż się przyzna. Ale niech będzie. Od razu dorwiemy też żonę! Tylko uprzedzam pana, Escherich, jeśli ten facet tymczasem wykręci jakiś numer, rzuci się pod maszynę albo coś, to znowu się do pana zabiorę! Chcę go widzieć na szubienicy!

– I zobaczy pan! Każę cały czas obserwować tego Quangła przez drzwi. Praca ma się toczyć dalej, moi panowie, aż wrócimy, myślę, że potrwa to godzinę...

ROZDZIAŁ 49.

Aresztowanie Anny Quangel

Gdy Otto Quangel wyszedł, Anna Quangel popadła w stan tępego odrętwienia, z którego jednak wkrótce się otrząsnęła. Pomacała narzutę w poszukiwaniu obu pocztówek, lecz ich nie znalazła. Zastanowiła się, lecz nie mogła sobie przypomnieć, żeby Otto je zabrał. Nie, przeciwnie, była już teraz pewna, że to ona ma je roznieść jutro albo pojutrze – tak ustalili.

Pocztówki muszą więc być gdzieś w mieszkaniu. Zaczyna więc poszukiwania, na zmianę rozpalają gorączka lub czuje lodowate zimno. Kręci się po mieszkaniu, szuka pośród bielizny, wpełza pod łóżko. Oddycha z trudem, czasem przysiada na skraju łóżka, bo już nie daje rady. Owija się kocem i patrzy przed siebie, już zupełnie zapomniała o pocztówkach. Lecz zaraz zrywa się ponownie i rozpoczyna poszukiwania od nowa.

I tak mijają jej godziny, aż dzwoni dzwonek. Zamiera. To był dzwonek? Kto to może dzwonić? Kto może czegoś od niej chcieć?

I znów zapada w gorączkowy półsen, z którego wyrrywają drugi dzwonek. Tym razem dzwoni długo, ostro, domagając się otwarcia drzwi. A potem słychać nawet walenie do drzwi pięściami. Słyszy okrzyki: – Otwierać! Policja! Otwierać natychmiast!

Anna Quangel uśmiecha się i uśmiechnięta kładzie się z powrotem do łóżka, dokładnie owijając się kocem. Niech sobie dzwonią i wołają! Jest chora, nie ma obowiązku im otwierać. Niech przyjdą kiedy indziej albo jak będzie Otto. Nie otworzy.

I znów dzwonenie, wołanie, walenie...

Co za małpiszony! To ma mnie zmusić do otwarcia drzwi? Mam ich wszystkich gdzieś!

Rozgorączkowana nie myśli ani o zagubionych kartkach, ani o niebezpieczeństwie, jakie oznacza wizyta policji. Cieszy się tylko z tego, że jest chora i dlatego nie musi otwierać.

A potem oni oczywiście są już w pokoju, pięciu czy sześciu mężczyzn – albo sprowadzili ślusarza, albo otworzyli drzwi wytrychem. Łańcuch nie był założony, z powodu choroby nie wstała, żeby go założyć po wyjściu Ottona. Akurat dziś, bo przecież zawsze zakłada łańcuch.

– Nazywa się pani Anna Quangel? Jest pani żoną majstra Ottona Quangla?

– Tak, drogi panie. Już od dwudziestu ośmiu lat.

– Dlaczego pani nie otworzyła, mimo że dzwoniliśmy i stukali?

– Bo jestem chora, drogi panie. Mam grypę!

– Niech nam tu pani nie odgrywa przedstawienia! – krzyczy grubas w czarnym mundurze. – Jest pani tak zdrowa jak mój zadek, tylko pani symuluje!

Komisarz Escherich próbuje gestem uspokoić swojego przełożonego. Nawet dziecko zorientowałoby się, że ta kobieta naprawdę jest chora. I może to dobrze, że jest chora. Ludzie często wygadują się w gorączce. Gdy jego ludzie rozpoczynają przeszukanie mieszkania, komisarz zwraca się do gospodyni. Bierze jej gorącą dłoń i mówi ze współczuciem: – Pani Quangel, niestety muszę przekazać pani złą wiadomość...

Milknij na chwilę.

– No? – pyta kobieta, lecz bez lęku.

– Musiałem aresztować pani męża.

Kobieta uśmiecha się. Anna Quangel tylko się uśmiecha. Z uśmiechem potrząsa głową i mówi: – Nie, drogi panie, niech mi pan nie opowiada takich rzeczy! Nikt nie aresztuje Ottona, on jest przyzwoitym człowiekiem.

– Pochyla się do komisarza i szepcze: – Wie pan, drogi panie, co myślę? Że to wszystko to tylko sen. Mam przecież gorączkę. Doktor powiedział, że to grypa, a w gorączce śnią się różne rzeczy. To wszystko mi się śni, pan, ten grubas na czarno i ci panowie przy komodzie, którzy grzebią w moje bieliznie. Nie, mój drogi panie, nie aresztował pan Ottona, to mi się tylko śni.

Komisarz Escherich odpowiada również szeptem: – Pani Quangel, teraz śni pani także o pocztówkach. Bo przecież wie pani o kartkach, które pisał pani mąż?

Ale aż tak bardzo gorączka nie zamąciła umysłu Anny Quangel, żeby nie zwróciła uwagi na słowo „pocztówki”. Wzdryga się. Na moment jej skierowany na komisarza wzrok staje się jasny i czujny. Lecz potem mówi, znów się uśmiechając i kręcąc głową: – Jakie znowu kartki? Mój mąż nie pisze żadnych kartek! Jeśli ktoś coś u nas pisze, to tylko ja. Ale już od dawna nic nie piszemy. Odkąd poległ mój syn, nic już nie piszemy. Tylko się panu śni, drogi panie, że mój Otto pisał jakieś kartki!

Komisarz zauważył jej wzdrygnięcie, ale wzdrygnięcie się to jeszcze żaden dowód. Mówi więc: – Widzi pani, i odkąd poległ wasz syn, piszecie kartki, oboje. Nie pamięta już pani pierwszej kartki?

I recytuje dość uroczystym tonem: – Matko! Führer zamordował mojego syna! Führer zamorduje też twoich synów, nie skończy, dopóki nie sprowadzi żałoby do każdego domu na świecie...

Słucha. Uśmiecha się. Mówi: – To napisała jakaś matka! Tego nie napisał mój Otto, tylko się panu tak śni!

A komisarz: – To napisał Otto, a ty mu to podyktowałaś. Przyznaj się!

Lecz ona potrząsa głową. – Nie, drogi panie! Nie potrafiłabym podyktować czegoś takiego, za słabą mam głowę...

Komisarz wstaje i wychodzi z sypialni. W salonie zaczyna razem ze swoimi ludźmi szukać przyborów do pisania. Znajduje kałamarz z

atramentem, obsadkę i stalówkę, którym uważnie się przygląda, oraz kartkę poczty polowej. Idzie z nimi z powrotem do Anny.

A ją tymczasem przesłuchał Obergruppenführer Prall, na swój sposób. Prall jest zdecydowanie przekonany, że całe to udawanie grypy i gorączki to zwykła bujda, ta kobieta symuluje. Ale nawet gdyby rzeczywiście była chora, to i tak w najmniejszym stopniu nie wpłynęłoby to na jego metody przesłuchań. Chwyta Annę Quangel za ramiona, ale tak, że ją to naprawdę boli, i zaczyna nią potrząsać. Jej głowa uderza o drewniane oparcie łóżka. Gdy tak podrywają i z powrotem ciska na poduszki ze dwadzieścia, trzydzieści razy, krzyczy jej z wściekłością w twarz: – Będziesz dalej kłamać, ty stara komunistyczna świniu? Nie wol-no kła-mać! Nie wol-no kła-mać!

– Nie! – bełkocze kobieta. – Niech pan tego nie robi!

– Powiedz, że to ty pisałaś kartki! Po-wiedz to na-tych-miast! Al-bo roz-wa-lę ci łeb, ty czerwona świniu!

I przy każdym słowie łomocze jej głową o oparcie łóżka.

Komisarz Escherich, z przyborami do pisania w dłoni, zerka spod drzwi z uśmiechem. A więc tak wygląda przesłuchanie przez Obergruppenführera! Jeśli pociągnie to jeszcze pięć minut, ta kobieta przez pięć dni nie będzie w stanie odpowiadać na żadne pytania. I żadne wymyślne tortury nie przywrócą jej świadomości.

Ale to może wcale nie jest takie złe. Jak napędzi jej trochę strachu i trochę ją zaboli, to wtedy prędzej uczepli się mnie, takiego kulturalnego człowieka!

Gdy Obergruppenführer spostrzega podchodzącego do łóżka komisarza, przerywa potrząsanie i mówi na w pół usprawiedliwiając się, a na w pół z wyrzutem: – Jest pan zbyt delikatny wobec takich kobiet, Escherich! Trzeba je ćwiczyć, aż zaczną kwiczeć!

– Z pewnością, panie Obergruppenführerze, oczywiście! Ale czy

mogę najpierw pokazać coś tej pani?

Zwraca się do chorej, która leży w łóżku z zamkniętymi oczami i z trudem oddycha: – Pani Quangel, niech pani posłucha!

Wydaje się, że nie słucha.

Komisarz chwyta ją i ostrożnie sadza. – No – przemawia łagodnie. – Niech pani otworzy oczy!

Otwiera je. Escherich dobrze przewidział. Po groźbach i potrząsaniu grzeczny i przyjazny głos miło brzmi w jej uszach.

– Przed chwilą powiedziała mi pani, że u was dawno nikt już nic nie pisał? Proszę, niech się pani przyjrzy tej stalówce. Dopiero co nią pisano, wczoraj, albo nawet dziś, atrament jest całkiem świeży! Widzi pani, można go zeszkrobać paznokciem!

– Nic z tego nie rozumiem! – mówi pani Quangel obojętnie. – Będzie pan musiał zapytać mojego męża, ja nic z tego nie rozumiem.

Komisarz Escherich uważnie się jej przygląda. – Pani doskonale rozumie, pani Quangel! – mówi nieco ostrzej. – Tylko nie chce pani rozumieć, ponieważ pani wie, że już się pani zdradziła!

– U nas nikt nic nie pisze – powtarza uparcie pani Quangel.

– A pani męża nie muszę już o nic pytać – kontynuuje komisarz. – On już się do wszystkiego przyznał. Pisał te kartki, a pani mu je dyktowała...

– No to chyba dobrze, że Otto się przyznał – mówi Anna Quangel.

– Walnij to bezczelne ścierwo w pysk, Escherich! – wrzeszczy nagle Obergruppenführer. – Co za bezczelność, żeby tak z nas tutaj kpić!

Lecz komisarz nie wali bezczelnego ścierwa w pysk, tylko mówi: – Złapaliśmy pani męża z dwiema pocztówkami w kieszeni. Nie mógł się ich wyprzeć!

Gdy pani Quangel słyszy wzmiankę o pocztówkach, których tak długo w gorączce szukała, znów wzdryga się z łękiem. A więc on je jednak ze sobą zabrał, a przecież ustalili, że to ona jutro albo pojutrze je podrzuci.

To nie w porządku z jego strony.

Coś musiało się stać z tymi kartkami, myśli z trudem. Ale Otto do niczego się nie przyznał, w przeciwnym razie nie robiliby tu rewizji i nie wypytywali mnie. Tylko że wtedy...

I głośno pyta: – A dlaczego nie przyprowadzicie Ottona tutaj? Nie wiem, o co chodzi z tymi pocztówkami. Dlaczego miałyby pisać pocztówki?

Kładzie się z powrotem na poduszki i zamyka usta i oczy, zdecydowana, że nie powie już ani słowa.

Komisarz Escherich przez chwilę patrzy w zamyśleniu na kobietę. Widzi, że jest wyczerpana. W tym momencie nic się z nią nie da zrobić. Odwraca się, woła dwóch ludzi i rozkazuje: – Przełóżcie tę kobietę na drugie łóżko, a potem dokładnie przeszukajcie to! Proszę, panie Obergruppenführerze!

Chce wyprowadzić swojego przełożonego z pokoju, nie ma ochoty na dalsze przesłuchanie w stylu Pralla. Bardzo możliwe, że w następnych dniach będzie potrzebował tej kobiety, a wtedy musi być choć trochę na siłach i z trzeźwym umysłem. Poza tym wygląda na to, że należy ona do tych nieczęsto spotykanych ludzi, których groźby cielesne czynią jeszcze bardziej upartymi. Biciem na pewno nic się z niej nie wydobędzie.

Obergruppenführer niechętnie odchodzi od kobiety. Chętnie pokazałby tej starej dziwce, co o niej sądzi. Najchętniej wyładowałby na niej swój gniew na całą tę skomplikowaną historię z Klabaternikiem. Ale skoro w pokoju są ci dwaj detektywi... A poza tym jeszcze dziś wieczór ta stara wiedźma i tak trafi do bunkra przy Prinz-Albrecht-Straße, wtedy będzie mógł z nią zrobić, co będzie chciał.

– Rozumiem, że aresztuje pan tę starą, Escherich? – zapytał w salonie.

– Oczywiście, że tak – odpowiedział komisarz, przyglądając się bezmyślnie swoim ludziom, którzy z pedantyczną dokładnością rozkładali każdą sztukę bielizny i składali ją z powrotem, długimi igłami kłuli

obicie sofy i ostukiwali ściany. Dodał: – Ale najpierw muszę zadbać o to, żeby była w stanie umożliwiającym prowadzenie przesłuchania. W tej gorączce ledwo cokolwiek do niej dociera. Musi najpierw zrozumieć, że jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. A wtedy zacznie się bać...

– Już ja ją nauczę strachu! – warknął Obergruppenführer.

– Nie w ten sposób. W każdym razie najpierw musi przestać gorączkować – poprosił Escherich i zmienił temat: – A co my tu mamy?

Jeden z jego ludzi zajął się paroma książkami, które stały w rzędzie na małej półce. Przetrzęsnął jedną z nich, a wtedy wypadło z niej coś białego i sfrunęło na podłogę.

Komisarz był najszybszy. To on podniósł ten kawałek papieru.

– Pocztówka! – wykrzyknął. – Zaczęta i niedokończona pocztówka!

I przeczytał: – Führerze, rozkazuj – my posłuchamy! Tak jest, staliśmy się stadem baranów, które nasz Führer może zapędzić na rzeź, gdzie chce! Zrezygnowaliśmy z myślenia...

Opuszcza kartkę, rozgląda się.

Wszyscy patrzą na niego.

– Mamy dowód! – stwierdza komisarz Escherich niemal z dumą. – Mamy sprawcę. Jest winny bez zastrzeżeń, żadnych wymuszonych zeznań, nie, czysty kryminalistyczny dowód. Opłaciło się czekać tak długo!

Rozgląda się. Jego blade oczy błyszczą teraz. To jest jego godzina, godzina, na którą czekał od tak dawna. Przez chwilę myślał o tej długiej, bardzo długiej drodze, którą przeszedł do tego miejsca. Od pierwszej kartki, którą przyjął z uśmiechem obojętności, aż do tej, którą właśnie trzyma w dłoni. Myślał o przybierającym strumieniu kartek, stale mnożących się chorągiewkach, myślał też o drobnym Ennie Klugem.

Znów stał z nim w celi komisariatu, znów siedział z nim nad ciemną wodą jeziora Schlachtensee. A potem padł strzał, a on sądził, że oślepnął na

zawsze. Zobaczył siebie, jak dwóch ludzi z SD zrzuca go ze schodów, krwawiącego, zdruzgotanego, podczas gdy drobny złodziejasek pełźnie na kolanach, wzywając tę swoją Najświętszą Panienkę. Przelotnie pomyślał także o radcy kryminalnym Zotcie – biedak, ta jego teoria o zajezdniach tramwajowych też okazała się fałszywa.

To była godzina dumy komisarza Eschericha. Uznał, że opłaciło się okazać cierpliwość i tyle znieść. Miał go, tego swojego Klabaternika, jak nazwał go na początku żartobliwie, lecz on stał się prawdziwym Klabaternikiem, który niemal rozbił statek życia Eschericha. Ale teraz go złapał, polowanie dobiegło końca, gra została rozegrana.

Komisarz Escherich podniósł wzrok jak ktoś, kto budzi się ze snu. Powiedział rozkazującym tonem: – Tę kobietę zabierze karetka. Dwóch ludzi w obstawie. Odpowiada pan za nią, Kemmel, żadnych przesłuchań, w ogóle zakaz rozmawiania. Za to natychmiast do lekarza. Za trzy dni po gorączce ma nie być śladu, przekażcie mu to, Kemmel!

– Rozkaz, panie komisarzu!

– Pozostali przywrócą porządek w mieszkaniu, ma być idealny. W której książce była ta kartka? Tej dla radioamatorów? Pięknie! Wrede, niech pan ją włoży z powrotem dokładnie tak, jak była. Za godzinę ma tu panować porządek, wróć tu jeszcze ze sprawcą. I nikogo z was ma tu nie być. Żadnego wartownika, nikogo! Zrozumiano?

– Rozkaz, panie komisarzu!

– Idziemy, panie Obergruppenführerze?

– Nie chce pan pokazać tej kobiecie znalezionej kartki, Escherich?

– Po co? Teraz, w gorączce, nie reaguje normalnie, a mnie zależy tylko na jej mężu. Wrede, widział pan gdzieś klucze do drzwi?

– W torebce tej kobiety.

– Dajcie mi je, dziękuję. To chodźmy, panie Obergruppenführerze!

Stojący przy swoim oknie poniżej radca sądowy Fromm patrzył za

odjeżdżającymi. Pokiwał głową. Później obserwował, jak wnoszą panią Quangel na noszach do karetki, jednak po wyglądzie towarzyszących jej mężczyzn poznął, że nie wybiera się ona do zwykłego szpitala.

– Jedno po drugim – powiedział cicho Fromm, radca sądowy w stanie spoczynku. – Jedno za drugim. Dom pustoszeje. Rosenthalowie, Persickowie, Barkhausenowie, Quanglowie, mieszkam tu już prawie sam. Połowa narodu zamyka drugą połowę, to już długo nie potrwa. Cóż, ja w każdym razie będę tu dalej mieszkał, mnie nie zamkną...

Uśmiecha się i kiwa głową.

– Im gorzej, tym lepiej. Tym wcześniej się to skończy!

ROZDZIAŁ 50.

Rozmowa z Ottonem Quanglem

Komisarzowi Escherichowi nie było łatwo przekonać Obergruppenführera Pralla, żeby zostawił go samego podczas pierwszego przesłuchania Ottona Quangla. Jednak w końcu mu się to udało.

Gdy razem z majstrem wchodził po schodach do jego mieszkania, zrobiło się już ciemno. Na schodach paliło się światło, Quangel zapalił je także, gdy weszli do pokoju. Skierował się do sypialni.

– Moja żona jest chora – mruknął.

– Pańskiej żony tu nie ma – powiedział komisarz. – Zabrano ją. Niech pan tu koło mnie usiądzie...

– Moja żona ma wysoką gorączkę, ma grypę – mruknął Quangel.

Widać było po nim, że wiadomość o nieobecności żony głęboko nim wstrząsnęła. Tępa obojętność, z którą się dotąd obnosił, zniknęła.

– Pańską żoną zajmuje się lekarz – powiedział komisarz uspokajającym tonem. – Myślę, że za dwa, trzy dni pozbędziemy się gorączki. Zleciłem transport karetką.

Quangel po raz pierwszy przyjrzał się uważniej swemu rozmówcy. Jego nieruchomy ptasi wzrok długo spoczywał na komisarzu. A potem Quangel skinął głową. – Karetka – powiedział. – Lekarz. To dobrze. Dziękuję panu. Słusznie pan postąpił. Nie jest pan złym człowiekiem.

Komisarz skorzystał z okazji. – Nie jesteśmy tacy źli, panie Quangel – powiedział – jak często się nas przedstawia. Robimy wszystko, żeby ułatwić aresztowanym życie. Chcemy przecież tylko stwierdzić, czy są winni. To jest nasza praca, tak jak pańską pracą jest zbijanie trumien...

– Tak – powiedział Quangel twardym głosem. – Tak, zbijacz trumien i ich dostawca, dokładnie tak!

– Chodzi panu o to – odparł Escherich z lekką drwiną – że ja dostarczam zawartość do trumien? Aż tak czarno widzi pan swoją sprawę?

– Ja nie mam żadnej sprawy!

– Och, ależ tak, coś tam jednak jest. Niech pan popatrzy na przykład na tę stalówkę, Quangel. Tak, to pańska stalówka. Atrament jest na niej jeszcze całkiem świeży. Co pan pisał nią dziś albo wczoraj?

– Musiałem coś podpisać.

– A co takiego musiał pan podpisać, panie Quangel?

– Wypisywałem zaświadczenie chorobowe dla mojej żony. Ona jest chora, ma grypę...

– A pańska żona powiedziała mi, że pan nigdy nic nie pisze. Wszystko, co się u was pisze, pisze tylko ona, tak powiedziała.

– I to prawda, co powiedziała moja żona. To ona wszystko pisze. Ale wczoraj ja musiałem, dlatego że miała gorączkę. Nic o tym nie wiedziała.

– Niech pan popatrzy, panie Quangel – kontynuował komisarz – jak ta stalówka drapie papier! To całkiem nowa stalówka, a już drapie. To dlatego, że ma pan taką ciężką rękę, panie Quangel. – Położył obie znalezione w warsztacie kartki na stole. – Niech pan zobaczy, na pierwszej kartce pismo jest jeszcze gładkie. Ale na drugiej, widzi pan, tutaj i tutaj, i też w tym B, stalówka zdiera już papier. No, panie Quangel?

– To są kartki – powiedział obojętnie Quangel – które leżały w warsztacie na podłodze. Powiedziałem temu w niebieskiej kurtce, żeby je podniósł. I on to zrobił. Rzuciłem okiem na te kartki, a potem od razu oddałem je przedstawicielowi Frontu Pracy. A on z nimi gdzieś poszedł. I nic więcej o nich nie wiem.

Quangel mówił to wszystko powoli i monotonnym głosem, trochę bełkocząc, jak stary, nieco ograniczony człowiek.

Komisarz zapytał: – Ale widzi pan, panie Quangel, że ta druga kartka pod koniec napisana została rozszczepioną stalówką?

– Ja się na tym nie znam. Z pewnością nie jestem uczony w piśmie, jak to się określa w Biblii.

Przez chwilę w pokoju panuje cisza. Quangel patrzy przed siebie na stół z twarzą pozbawioną wyrazu.

Komisarz spojrział na niego. Był przekonany, że ten człowiek nie jest tak powolny ani ociężały, jakim się teraz wydaje, tylko tak samo ostry, jak jego twarz, i tak samo szybki, jak jego wzrok. Komisarz uznał, że jego pierwszym zadaniem będzie wydobyć z niego owej ostrości. Chciał rozmawiać z przebiegłym autorem kartek, a nie z tym starym, ogłupiałym od roboty majstrem.

Po chwili Escherich zapytał: – A co to są za książki na tej półce?

Quangel powoli uniósł wzrok, popatrzył przez chwilę na komisarza a potem stopniowo przekręcał głowę, aż półka z książkami znalazła się w polu jego widzenia.

– Co to za książki? Stoi tam śpiewnik mojej żony i jej Biblia. A wszystkie pozostałe to chyba mojego syna, który poległ. Ja nie czytam książek i żadnych nie posiadam. Nigdy nie nauczyłem się dobrze czytać...

– Niech mi pan poda czwartą książkę od lewej, panie Quangel, tę w czerwonej oprawie.

Quangel powoli i ostrożnie wyjął książkę z półki, przeniósł ją uważnie niczym jajko na stół i położył przed komisarzem.

– Otto Runge, *Poradnik radioamatora majsterkowicza* – przeczytał komisarz słowa na okładce. – No, Quangel, nic nie przychodzi panu na myśl na widok tej książki?

– To książka mojego syna Ottona, który zginął – odpowiedział powoli Quangel. – Znał się na radiach. Wszyscy to wiedzieli, ci z zakładów wyrwali go sobie z rąk, znał się na tych wszystkich obwodach...

– I poza tym nic nie przychodzi panu na myśl w związku z tą książką, panie Quangel?

– Nie! – Quangel potrząsnął głową. – Ja nic nie wiem. Nie czytam książek.

– Ale może coś pan do nich wkłada? Niech ją pan otworzy, panie Quangel!

Książka otworzyła się dokładnie w miejscu, w którym była kartka.

Quangel wpatrywał się w słowa: „Führerze, rozkazuj – my posłuchamy.

Kiedy to napisał? To musiało być dawno, bardzo dawno temu. Gdzieś na początku. Ale dlaczego nie napisał tego do końca? Dlaczego ta kartka była w książce Ottonka?

I powoli zaświtało mu wspomnienie pierwszej wizyty szwagra, Ulricha Heffkego. Wtedy kartka została szybko schowana, a on dalej rzeźbił głowę Ottonka. Schowana i zapomniana zarówno przez niego, jak i przez Annę!

To było to niebezpieczeństwo, które cały czas przeczuwał! To był ten wróg w ciemnościach, którego nie potrafił dostrzec, ale którego obecność wyczuwał. To był ten błąd, który popełnił i którego nie można było przewidzieć...

Mają cię! – usłyszał w głowie głos. – Przegrałeś teraz własną głowę, ze swojej własnej winy. Teraz jesteś załatwiony.

I: Czy Anna się do czegoś przyznała? Na pewno pokazali jej tę kartkę. Ale Anna mimo to zaprzeczyła, znam ją przecież, i ja też tak zrobię. Co prawda Anna miała gorączkę...

Komisarz zapytał: – No, Quangel, nic pan nie powie? Kiedy napisał pan tę kartkę?

– Nic nie wiem o tej kartce – odpowiedział. – Nawet nie umiałbym czegoś takiego napisać, za głupi jestem!

– To skąd się wzięła ta kartka w książce pańskiego syna? Kto ją tam

włożył?

– Skąd mam to wiedzieć? – odparł Quangel niemal grubiańsko. – Może sam pan ją tam włożył albo któryś z pańskich ludzi! Często się przecież słyszy, jak to się stwarza dowody, gdzie ich wcale nie ma!

– Kartkę znaleziono w tej książce w obecności wielu wiarygodnych świadków. Pańska żona także przy tym była.

– No i co powiedziała moja żona?

– Gdy tylko znaleziono tę kartkę, od razu przyznała, że to pan ją napisał, a ona dyktowała. Widzi pan, Quangel, niech się pan już nie upiera. Niech pan się po prostu przyzna. Jeśli się pan teraz przyzna, i tak nie powie mi pan nic, czego już bym nie wiedział. Za to poprawi pan swoją sytuację, a także sytuację swojej żony. Jeśli pan się nie przyzna, będę musiał zabrać pana do nas na Gestapo, a w naszej piwnicy nie jest zbyt przyjemnie...

Na wspomnienie tego, co sam przeżył w tej piwnicy, głos komisarza lekko zadrżał.

Opanował się jednak i mówił dalej: – Jeśli się pan jednak przyzna, będę mógł od razu przekazać pana sędziemu śledczemu. Wtedy trafi pan do Moabitu, tam będzie pan dobrze traktowany, podobnie jak wszyscy inni aresztanci.

Lecz cokolwiek powiedziałby komisarz, Quangel trzymał się swoich kłamstw. Escherich popełnił mianowicie błąd, który przenikliwy Quangel natychmiast zauważył. Komisarz był pod takim wrażeniem ociężałości Quangla oraz informacji udzielonych mu o nim przez jego przełożonych, że nie uważał Quangla za autora kartek. On je według niego tylko pisał, a treść dyktowała mu żona...

A fakt, że to po raz kolejny powtórzył, był dla Quangla dowodem, że Anna do niczego się nie przyznała. Ten facet sobie to tylko wymyślił.

Quangel zaprzeczał więc dalej.

W końcu komisarz Escherich przerwał bezowocne przesłuchanie w mieszkaniu i pojechał wraz z Quanglem na Prinz-Albrecht-Straße. Miał nadzieję, że inne otoczenie, defilada esesmanów, cały ten groźny aparat, wystraszą prostego człowieka i uczynią go podatniejszym na jego namowy.

Znajdowali się w gabinecie komisarza, a Escherich przyprowadził Quangla przed mapę Berlina pokrytą czerwonymi chorągiewkami.

– Niech pan spojrzy, panie Quangel – powiedział. – Każda chorągiewka oznacza jedną znaną kartkę. Tkwi dokładnie w tym miejscu, gdzie została znaleziona. A gdy przyjrzy się pan tym miejscom – postukał palcem w mapę – zobaczy pan, że wokół jest chorągiewka przy chorągiewce, ale tutaj nie ma ani jednej. To jest mianowicie Jablonskistraße, przy której pan mieszka. Tam oczywiście nie podkładał pan kartek, tam jest pan znany...

Lecz Escherich zorientował się, że Quangel wcale go nie słucha. Na widok planu miasta ogarnęło go dziwne, niezrozumiałe wzburzenie. Jego oczy rozbłysły, a dłonie zaczęły drżeć. Niemal nieśmiało zapytał: – Ale przecież tu jest mnóstwo chorągiewek, ile ich może być?

– Mogę panu podać dokładną liczbę – odpowiedział komisarz, który pojął już, co tak wstrząsnęło jego rozmówcą. – Chorągiewek jest dwieście sześćdziesiąt siedem, dwieście pięćdziesiąt dziewięć kartek i osiem listów. A ile pan napisał, panie Quangel?

Mężczyzna milczał, lecz teraz nie było to milczenie z uporu, tylko efekt wstrząsu.

– I niech pan pomyśli jeszcze o czymś, panie Quangel – kontynuował komisarz, uświadamiając sobie swoją przewagę. – Wszystkie te listy i kartki zostały do nas dostarczone dobrowolnie. Żadnej z nich nie znaleźliśmy sami. Ludzie wręcz przybiegali do nas z nimi, jakby się paliło. Nie mogli się doczekać, kiedy się ich pozbędą, większość nawet nie przeczytała tych kartek...

Quangel wciąż milczał, lecz jego twarz drgała. Intensywnie myślał, spojrzenie nieruchomego, ostrego oka rozbłysło, zmieniło kierunek, opuściło się na ziemię i znów jak zaczarowane podniosło się na chorągiewki.

– I jeszcze jedno, Quangel. Czy pomyślał pan kiedyś o tym, ile strachu i biedy napytał pan ludziom przez te kartki? Ci ludzie umierali ze strachu, niektórzy zostali aresztowani, a o jednym wiem z pewnego źródła, że z powodu tych kartek popełnił samobójstwo...

– Nie! Nie! – wykrzyknął Quangel. – Tego nie chciałem! Tego nie zamierzałem! Chciałem, żeby było lepiej, żeby ludzie poznali prawdę, żeby wojna szybciej się skończyła, żeby to mordowanie w końcu ustało – tego chciałem! Ale nie chciałem siać strachu i lęku, nie chciałem, żeby było jeszcze gorzej! Biedni ludzie, a ja uczyniłem ich jeszcze biedniejszymi! Kto to był ten człowiek, który popełnił samobójstwo?

– Ach, taki jeden obibok, hazardzista, on jest nieważny, niech się pan nim nie dreczy!

– Każdy jest ważny. Ode mnie zażąda się obrachunku za jego krew.

– Widzi pan, panie Quangel – powiedział komisarz do stojącego obok niego ponurego mężczyzny. – Właśnie się pan jednak przyznał do popełnionego przez siebie przestępstwa, i nawet pan tego nie zauważył!

– Do przestępstwa? Nie popełniłem żadnego przestępstwa, przynajmniej nie takie, o jakim pan myśli. Moim przestępstwem jest to, że uważałem się za przebiegłego, że chciałem wszystko robić sam, a przecież wiem, że jeden nie znaczy nic. Nie, ja nie uczyniłem niczego, czego musiałbym się wstydzić, ale sposób, w jaki to zrobiłem, był zły. Za to zasługuję na karę i za to z ochotą umrę...

– No, tak źle to chyba nie będzie – rzucił komisarz pocieszającym tonem.

Quangel nie słuchał go. Powiedział sam do siebie: – Nigdy nie znałem

się na ludziach, inaczej bym wiedział.

Escherich zapytał: – Wie pan więc, panie Quangel, ile listów i kartek pan tak właściwie napisał?

– Dwieście siedemdziesiąt sześć kartek, dziewięć listów.

– ...czyli nie dostarczono nam wszystkiego osiemnastu sztuk.

– Osiemnaście sztuk, to moja praca z ponad dwóch lat, to cała moja nadzieja. Osiemnaście sztuk opłacone życiem, ale to wciąż osiemnaście sztuk!

– Niech pan tylko nie sądzi, panie Quangel – powiedział komisarz – że te osiemnaście sztuk zostało przekazanych dalej. Nie, znaleźli je ludzie, którzy sami mieli tyle na sumieniu, że nie odważyli się ich przynieść. I te osiemnaście sztuk pozostało bez żadnego odzewu, nigdy nic nie słyszeliśmy o ich oddziaływaniu wśród ludności...

– Więc nic nie osiągnąłem?

– Więc nic pan nie osiągnął, przynajmniej nic z tego, czego pan chciał! Powinien się pan jednak z tego cieszyć, Quangel, dzięki temu na pewno wyrok zostanie złagodzony! Może dostanie pan tylko piętnaście czy dwadzieścia lat więzienia!

Quangel zadrzał. – Nie – powiedział. – Nie!

– A co pan sobie tak właściwie myślał, Quangel? Pan, prosty robotnik, chciał walczyć z Führerem, za którym stoją partia, Wehrmacht, SS i SA? Z Führerem, który pokonał już połowę świata, a za rok, dwa pokona naszego ostatniego wroga? Przecież to śmieszne! Przecież od samego początku musiał pan wiedzieć, że to się nie może udać! To tak, jakby komar chciał walczyć ze słoniem. Tego nie potrafię zrozumieć, pan, taki rozsądny człowiek!

– Nie, nigdy pan tego nie zrozumie. To obojętne, czy walczy jeden, czy dziesięć tysięcy. Gdy jeden się zorientuje, że musi walczyć, będzie walczyć bez względu na to, czy ma towarzyszy czy nie. Ja musiałem

walczyć i zrobiłbym to jeszcze raz. Tylko inaczej, zupełnie inaczej.

Skierował swój spokojny już wzrok na komisarza: – A tak poza tym, to moja żona nie miała z tym nic wspólnego. Musi ją pan wypuścić!

– Teraz pan kłamie, Quangel! Pańska żona dyktowała te kartki, sama się przyznała.

– To pan teraz kłamie! Czy ja wyglądam na człowieka, który pozwala żonie coś sobie dyktować? Może jeszcze pan powie, że ona to wszystko obmyśliła? Ale to byłem ja, ja sam. To ja wpadłem na ten pomysł, to ja pisałem kartki, to ja je roznosiłem i domagam się kary! Ona nie. Moja żona nie!

– Przyznała się...

– Do niczego się nie przyznała! Nie chcę już słyszeć tych kłamstw! Niech pan nie oczernia przede mną mojej żony!

Przez chwilę stali naprzeciw siebie, mężczyzna o ostrym ptasim profilu i twardym spojrzeniu oraz bezbarwny, szarawy komisarz z wąsem w kolorze jasnego pieczywa i jasnymi oczyma.

A potem Escherich spuścił wzrok i powiedział: – Zawolałem teraz kogoś, spisujemy protokolik. Mam nadzieję, że pozostanie pan przy swoich zeznaniach?

– Tak.

– I jest pan świadom, co pana czeka? Wieloletnia kara więzienia, a może nawet śmierć?

– Tak jest, wiem, co zrobiłem. I mam nadzieję, że pan także wie, co pan robi, panie komisarzu?

– A co takiego robię?

– Pracuje pan dla mordercy i wciąż dostarcza pan mordercy nowe ofiary. Robi pan to dla pieniędzy, być może nawet pan nie wierzy w tego człowieka. Nie, na pewno pan w niego nie wierzy. Tylko dla pieniędzy...

I znów stoją naprzeciw siebie w milczeniu, i znów to pokonany

komisarz spuszcza po chwili wzrok. – Pójdę więc – mówi niemal z zakłopotaniem – i przyprowadzę pisarza.

Poszedł.

ROZDZIAŁ 51.

Komisarz Escherich

O północy komisarz Escherich wciąż, a może raczej znów, siedzi w swoim służbowym gabinecie. Siedzi całkiem w sobie zapadnięty, lecz choć wypił mnóstwo alkoholu, wciąż nie może zapomnieć o koszarnej scenie, w której musiał współuczestniczyć.

Tym razem jego wysoki rangą przełożony, odziany w czarny mundur byk Prall, nie miał dla swojego tak skutecznego, tak dzielnego i tak kochanego komisarza Krzyża Zasługi, lecz miał dla niego zaproszenie na małą uroczystość dla uczczenia zwycięstwa. Zjedli razem, wypili dużo mocnego armaniaku z wcale niemałych kieliszków, przechwalali się złapanym Klabaternikiem, a pośród ogólnego aplauzu komisarz Escherich musiał odczytać protokół z zeznaniem Quangla...

Ciężka i staranna kryminalistyczna robota rzucona przed świnię!

Lecz potem, gdy już nieźle się spili, sprawili sobie dodatkową rozrywkę. Uzbrojeni w butelki i kieliszki zeszli do celi Quangla, komisarz też musiał pójść. Chcieli jeszcze raz popatrzeć sobie na tego nedorzecznego dziwaka, który miał czelność walczyć z ukochanym Führerem!

Quangel leżał pod kocem na pryczy i mocno spał. Dziwna twarz, pomyślał Escherich, która nie odpręża się nawet podczas snu, która zawsze jest tak samo zamknięta i pełna troski, czy to na jawie, czy we śnie. Ale mimo to mężczyzna mocno spał...

Oczywiście, że nie pozwolili mu spać. Obudzili go szturchańcami, spędzili z pryczy. Stał tam przed ludźmi w czarno-srebrnych mundurach

w o wiele za krótkiej koszuli, koszuli, która nawet nie okrywała jego nagości, komiczna postać – jeśli nie patrzeć na jego głowę!

A potem wpadli na pomysł, żeby ochrzcić starego Klabaternika, i wylali mu na głowę butelkę wódki. Obergruppenführer Prall wygłosi krótką, rozkosznie pijacką mowę na temat Klabaternika, na temat tej świni, która wkrótce zostanie zarżnięta, a na koniec tej swojej przemowy rozbił na głowie Quangla kieliszek od wódki.

To był sygnał dla innych, wszyscy zaczęli rozbijać kieliszki na głowie starszego mężczyzny. Armaniak i krew spływały mu po twarzy. Lecz gdy to wszystko się działo, Escherich miał wrażenie, że Quangel nieustannie wpatruje się w niego spod potoków krwi i wódki, miał nawet wrażenie, że go słyszy: A więc to jest ta słuszna sprawa, dla której mordujesz! To są twoi siepacze! Tacy jesteście. Dobrze wiesz, co robisz. Lecz to ja odpowiem za przestępstwa, których nie popełniłem, umrę, a ty będziesz żyć – tak słuszna jest twoja sprawa!

Potem odkryli, że kieliszek Eschericha jest jeszcze cały. Rozkazali mu rozbić go na głowie Quangla. Tak, Prall musiał dwa razy ostrym tonem wydać mu rozkaz – „Chyba wiesz, Escherich, jak cię potraktuję, jeśli nie posłuchasz?” – więc Escherich też rozbił swój kieliszek na głowie Quangla. Cztery razy musiał uderzyć drżącą dłonią, zanim szkło pękło, a przez cały ten czas czuł na sobie ostre, drwiące spojrzenie Quangla, który w milczeniu znosił poniżenie. Ta komiczna postać w przykrótkiej koszuli była silniejsza i godniejsza niż wszyscy jej dręczyciele. A przy każdym uderzeniu, które wykonywał z rozpaczą i lękiem, komisarz Escherich czuł się tak, jakby uderzał w istotę swojego własnego ja, jakby jakiś topór podcinał korzenie drzewa jego życia.

Wtedy Otto Quangel nagle się przewrócił i tak go zostawili, leżącego na nagiej podłodze celi, nieprzytomnego i zakrwawionego. Zakazali też wartownikowi zajmowania się tą świnią i weszli na górę, żeby pić dalej,

świętować dalej, jakby dokonali nie wiadomo jak bohaterskiego czynu.

A teraz komisarz Escherich siedzi w swoim służbowym gabinecie przy biurku. Na ścianie naprzeciwko niego wciąż wisi mapa z czerwonymi chorągiewkami. Jego ciało jest kompletnie bezwładne, lecz on wciąż myśli klarownie. Tak, już po mapie. Jutro mogą ją zdjąć. A pojutrze powieszę nową mapę i zacznę polowanie na nowego Klabaternika. A potem na kolejnego. I jeszcze jednego. Jaki to wszystko ma sens? Czy po to jestem na tym świecie? Pewnie tak, ale skoro tak, to ja nic z tego świata nie rozumiem i nic nie ma sensu. Więc to naprawdę wszystko jedno, co robię...

Ode mnie zażąda się obrachunku za jego krew... Jak on to powiedział! A za jego krew ode mnie! Nie, spada na mnie także krew Enna Klugego, żalostnego fajtlapy, którego poświęciłem, żeby wystawić tego człowieka na pastwę pijanej hordy. On nie będzie skamlał jak tamten mały na pomoście, ten umrze z godnością...

A ja? Jak jest ze mną? Nowa sprawa, dzielny Escherich nie będzie tak skuteczny, jak oczekuje tego Obergruppenführer Prall, i znowu wyląduję w piwnicy. W końcu nadejdzie taki dzień, że mnie tam ześlą i już nigdy nie wypuszczą. Czy ja żyję po to, żeby na to czekać? Nie, ten Quangel ma rację, nazywając Hitlera mordercą, a mnie pomocnikiem mordercy. Zawsze było mi wszystko jedno, kto stoi przy sterze, po co toczy się ta wojna, jeśli tylko mogłem wykonywać moją pracę, polować na ludzi. A potem, gdy już ich dopadałem, było mi wszystko jedno, co się z nimi stanie...

Ale teraz nie jest mi obojętne. Mam już tego dosyć, brzydzi mnie dostarczanie tym ludziom kolejnych ofiar. Brzydzi mnie to, odkąd złapałem tego Quangla. Jak on tam stał i się na mnie patrzył. Krew i wódka spływały mu po twarzy, ale on cały czas na mnie patrzył! Ty to zrobiłeś, mówiło jego spojrzenie, to ty mnie zdradziłeś! Ach, gdyby to

było możliwe, poświęciłbym dziesięciu Ennów Kluge, żeby uratować tego Quangla, poświęciłbym cały ten budynek, żeby go uwolnić! Gdyby to było możliwe, odszedłbym stąd, zacząłbym robić coś takiego jak Otto Quangel, coś lepiej przemyślanego, ale chciałbym walczyć.

Ale to jest niemożliwe, nie puszczą mnie, coś takiego to dla nich dezercja. Sprowadziliby mnie z powrotem i znowu wrzucili do bunkra. A moje ciało wrzeszczy, gdy je dręczą, tak, jestem tchórzem. Jestem tchórzem jak Enno Kluge, nie jestem odważny jak Otto Quangel. Kiedy Obergruppenführer Prall na mnie wrzeszczy, drzę i drżąc, robię to, co mi każe. Rozbijam kieliszek na głowie jedyne go przyzwoitego człowieka, a każde uderzenie to garść ziemi sypana na moją trumnę.

Komisarz Escherich powoli wstał. Na jego twarzy widniał bezradny uśmiech. Podszedł do ściany, zaczął nasłuchiwać. O tej porze, w okolicach północy, w wielkim budynku przy Prinz-Albrecht-Straße panowała cisza. Słyszał tylko kroki wartownika na korytarzu, tam i z powrotem, tam i z powrotem...

Ty też nie wiesz, dlaczego tak biegasz tam i z powrotem, pomyślał Escherich. Pewnego dnia zrozumiesz, że zmarnowałeś sobie życie...

Chwycił mapę i zerwał ją ze ściany. Wiele chorągiewek upadło na podłogę, stukając szpileczkami. Escherich zgniótł mapę i rzucił ją na ziemię.

– Koniec! – powiedział. – Koniec! Koniec sprawy Klabaternika!

Powoli podszedł z powrotem do biurka, wysunął szufladę i pokiwał głową.

– Oto ja, prawdopodobnie jedyny człowiek, którego Otto Quangel nawrócił swoimi kartkami. Ale na nic ci się nie przydam, Ottonie Quangel, nie potrafię kontynuować twojego dzieła. Jestem zbyt tchórzliwy. Twój jedyny zwolennik, Ottonie Quangel!

Szybko wyciągnął pistolet i strzelił.

Tym razem nie zadrżał.

Wartownik, który wpadł do gabinetu, znalazł pod biurkiem niemal pozbawione głowy ciało. Ściany opryskane były krwią i drobinkami mózgu, z jednej z lamp zwisał, postrzępiony i lepki, jasny wąs komisarza Eschericha.

Obergruppenführer Prall się wściekł. – Dezercja! Wszyscy cywile to świnie! Każdy, kto nie nosi munduru, powinien trafić do bunkra, za drut kolczasty! Ale następcę tej świni Eschericha to już od początku wezmę w takie obroty, że w głowie nie postanie mu żadna inna myśl niż strach! Wciąż jestem zbyt łagodny, to mój zasadniczy błąd! Przyprawdźcie tu tę świnie, tego Quangla! Niech się przyjrzy temu paskudztwu i niech to posprząta!

I tak jedyny nawrócony przez Ottona Quangla przysporzył staremu majstrowi kilku ciężkich godzin w środku nocy

CZĘŚĆ CZWARTA
KONIEC

ROZDZIAŁ 52.

Anna Quangel na przesłuchaniu

Czternaście dni po aresztowaniu, podczas jednego z pierwszych przesłuchań, Annie Quangel, która wróciła do zdrowia, wymknęło się, że jej syn Otto był kiedyś zaręczony z niejaką Trudel Baumann. W tamtym momencie Anna nie rozumiała jeszcze, że podanie jakiegokolwiek nazwiska jest niebezpieczne, bardzo niebezpieczne dla wymienionej osoby. Gdyż krąg przyjaciół i znajomych każdego zatrzymanego sprawdzano z pedantyczną dokładnością, badano każdy ślad, żeby „całkowicie wypalić ropiejący wrzód”.

Przesłuchujący ją komisarz Laub, następca komisarza Eschericha, niski, przysadzisty mężczyzna, który uwielbiał swoimi kościstymi palcami smagać twarze przesłuchiwanym niczym batem, swoim zwyczajem najpierw pominął tę informację, nie zwracając na nią uwagi. Wypytywał Annę Quangel długo i śmiertelnie wyczerpująco o przyjaciół i pracodawców syna, pytał o rzeczy, których nie mogła wiedzieć, ale powinna, pytał i pytał, a równocześnie raz po raz smagał ją palcami po twarzy.

Komisarz Laub był mistrzem w tego rodzaju sztuce przesłuchań, wytrzymał dziesięć godzin bez zmiennika, więc i przesłuchiwana musiała tyle wytrzymać. Anna Quangel chwiała się ze zmęczenia na swoim stołku. Dopiero co przeżyta choroba, lęk o los Ottona, o którym nie miała żadnych wiadomości, wstyd, że otrzymuje razy niczym nieuważny uczeń, wszystko to sprawiało, że była rozkojarzona, nieostrożna, a komisarz Laub znowu ją uderzył.

Anna Quangel jęknęła cicho i ukryła twarz w dłoniach.

– Proszę zabrać ręce! – krzyknął komisarz. – Niech pani patrzy na mnie! I to już!

Uczyniła to, popatrzyła na niego wzrokiem pełnym lęku. Lecz nie był to lęk przed nim, tylko strach, że może okazać słabość.

– Kiedy po raz ostatni widziała pani tak zwaną narzeczoną pani syna?

– Dawno temu. Nie pamiętam już. Jak już pisaliśmy kartki. A to już ponad dwa lata... Och, niech już pan nie bije! Niech pan pomyśli o swojej własnej matce! Nie chciałby pan chyba, żeby ją bito.

Otrzymała dwa, trzy szybkie ciosy.

– Moja matka nie jest zdradliwym ścierwem jak pani! Jeszcze raz wspomni pani o mojej matce, to dopiero się pani przekona, jak potrafię bić! Gdzie ta dziewczyna mieszka?

– Nie wiem! Mój mąż wspomniał mi kiedyś, że wyszła za mąż! Na pewno się przeprowadziła.

– A więc to pani mąż ją widział. Kiedy to było?

– Nie pamiętam! Wtedy pisaliśmy już kartki.

– A ona robiła to z wami? Pomagała?

– Nie! Nie! – wykrzyknęła pani Quangel. Z przerażeniem zorientowała się, co narobiła. – Mój mąż – powiedziała pośpiesznie – spotkał Trudel przypadkiem na ulicy. A ona powiedziała mu, że wyszła za mąż i że nie pracuje już w fabryce.

– No i co dalej? A w jakiej fabryce pracowała?

Pani Quangel podała adres zakładu szyjącego mundury.

– I co dalej?

– To wszystko. To naprawdę wszystko, co wiem. Na pewno, panie komisarzu!

– I nie uważa pani tego za dziwne, że narzeczona syna nie odwiedza już wcale niedoszłych teściów, nawet po śmierci narzeczonego?

– Ale mój mąż zawsze taki był! Nigdy nie przyjmowaliśmy gości, a odkąd zaczęliśmy pisać kartki, w ogóle zerwał wszelkie kontakty.

– I znowu pani kłamie! Z Heffkami nawiązaliście kontakt, dopiero jak już zaczęliście z tymi kartkami!

– Tak, to prawda! Zapomniałam o tym. Ale Ottonowi to wcale nie pasowało, zgadzał się tylko dlatego, że to mój brat. Ale jak zawsze narzekał na więzy pokrewieństwa!

Popatrzyła na komisarza smutnym wzrokiem. Zapytała nieśmiało: – Czy ja mogę o coś zapytać, panie komisarzu?

Komisarz Laub warknął: – Niech pani pyta! Kto wiele pyta, uzyskuje wiele odpowiedzi.

– Czy to prawda... – umilkła. – Wydaje mi się, że wczoraj rano widziałam na korytarzu moją bratową... Czy to prawda, że Heffkowie też zostali aresztowani?

– I znowu pani kłamie! – Mocne uderzenie. I kolejne. – Pani Heffke jest zupełnie gdzie indziej. Z pewnością nie mogła jej pani widzieć. Ktoś to pani wygadał? Kto to pani wygadał?

Lecz pani Quangel potrząsnęła głową. – Nie, nikt. Widziałam bratową z daleka. Nie byłam pewna, czy to ona. – Westchnęła. – A więc Heffkowie też teraz siedzą, a oni przecież nic nie zrobili i o niczym nie wiedzieli. Biedacy!

– Biedacy! – zadrwił komisarz Laub. – O niczym, zupełnie o niczym nie wiedzieli! Wszyscy tak mówicie! Ale wszyscy jesteście przestępcami i jak długo będę komisarzem Laubem, tak długo będę wykręcać wam flaki z brzucha, dopóki nie powiecie prawdy! Kto jest z panią w celi?

– Nie wiem, jak się nazywa ta kobieta. Mówię do niej po prostu Berta.

– Jak długo Berta jest z panią w celi?

– Od wczorajszego wieczoru.

– A więc to ona wygadała pani o Heffkach. Niech pani to przyzna,

pani Quangel, bo inaczej sprowadzę Bertę tu na górę i będę ją bić w pani obecności tak długo, aż ona się przyzna.

Anna Quangel znów potrząsnęła głową. – Bez względu na to, czy powiem tak czy nie, panie komisarzu – powiedziała – sprowadzi pan Bertę tu na górę i będzie ją bić. Mogę tylko powiedzieć, że widziałam panią Heffke na dole, na korytarzu...

Komisarz Laub odwrócił się gwałtownie i głośno pierdnął Annie Quangel prosto w twarz. Potem odwrócił się z powrotem i z drwiącym uśmiechem popatrzył jej w twarz. – Niech pani sobie powącha – powiedział. – Mam tego mnóstwo, jak pani będzie taka sprytna! – I nagle zaczął wrzeszczeć: – Gówna jesteście! Wszyscy jesteście gówna! Pieprzone gówno! A ja nie spocznę, póki całe to gówno nie znajdzie się pod ziemią! Wszyscy tam traficie! Wszyscy! Ordynans, sprowadźcie na górę Bertę Kuppke!

Spędził godzinę na straszaniu i biciu obu kobiet, mimo że pani Berta Kuppke od razu przyznała, że opowiedziała pani Quangel o pani Heffke. Przebywała do tej pory w jednej celi z panią Heffke. Lecz to nie wystarczyło komisarzowi Laubowi. Chciał poznać dokładnie każde słowo, które ze sobą zamieniły, a one przecież tylko się sobie nawzajem skarżyły, jak to kobiety mają w zwyczaju. Lecz on wszędzie węszył spisek i zdradę stanu i nie przestawał bić i wypytywać.

W końcu zabrano wyjąką Kuppke do piwnicy, a Anna Quangel znów była jedyną ofiarą komisarza Lauba. Była już teraz tak zmęczona, że jego głos dobiegał do niej jakby z daleka, postać komisarza rozmywała się przed jej oczami, a uderzenia już wcale nie bolały.

– Co więc się takiego stało, że tak zwana narzeczona pani syna przestała do was przychodzić?

– Nic się nie stało. Mój mąż nie życzył sobie żadnych wizyt.

– Przecież zeznała pani, że zgadzał się na wizyty Heffków.

– Heffkowie byli wyjątkiem, bo Ulrich to mój brat.

– A dlaczego Trudel już do was nie przychodziła?

– Bo mój mąż sobie tego nie życzył.

– A kiedy to pani powiedział?

– Nie wiem! Panie komisarzu, ja już nie mogę. Niech mnie pan zostawi w spokoju na pół godziny. Choć na kwadrans!

– Dopiero jak mi to powiesz. Kiedy mąż zakazał tej dziewczynie odwiedzin?

– Gdy zginął mój syn.

– A jednak! I gdzie to się stało?

– U nas w mieszkaniu.

– A jaki podał powód?

– Że nie życzy sobie już kontaktów. Panie komisarzu, ja naprawdę już nie mogę. Choć dziesięć minut!

– No dobrze. Za dziesięć minut zrobimy przerwę. Więc jaki powód podał pani mąż, mówiąc, że Trudel nie może więcej przychodzić?

– Że nie życzy sobie dalszego kontaktu. Wtedy mieliśmy przecież zacząć to pisanie kartek.

– A więc jako powód podał jej to, że zamierza pisać pocztówki?

– Nie, o tym mój mąż nigdy z nikim nie rozmawiał.

– A więc co podał jej jako powód?

– Że nie życzy sobie dalszych kontaktów. Och, panie komisarzu!

– Jak tylko poda mi pani prawdziwy powód, natychmiast na dziś skończymy!

– Ale to jest prawdziwy powód!

– Nie, nieprawda! Przecież widzę, że pani kłamie. Jeśli nie powie mi pani prawdy, będę przesłuchiwać panią jeszcze przez dziesięć godzin. A więc co powiedział? Niech mi pani powtórzy słowa, które powiedział do Trudel Baumann.

- Już nie pamiętam. Był taki wściekły.
- A dlaczego był taki wściekły?
- Bo pozwoliłam Trudel Baumann spać u siebie.
- Ale powiedział jej to dopiero potem, czy też od razu ją odesłał?
- Nie, dopiero rano.
- I rano jej zakazał odwiedzin?
- Tak.
- Ale dlaczego był taki wściekły?

Pani Anna Quangel przemogła się. – Powiem to panu, panie komisarzu. Nikomu tym już nie zaszkodzę. Ukryłam wtedy w nocy u siebie starą Żydówkę, panią Rosenthal, która potem wyskoczyła z okna i się zabiła. Dlatego był taki wściekły i dlatego wyrzucił wtedy także Trudel.

– A dlaczego ta Rosenthal się u was ukryła?

– Bo bała się być całkiem sama w mieszkaniu. Mieszkała nad nami. Zabrali jej męża. Więc się bała. Panie komisarzu, obiecał mi pan...

– Zaraz, zaraz do tego dojdziemy. A więc Trudel wiedziała, że ukrywała pani u siebie Żydówkę?

– Przecież to nie jest zakazane.

– Oczywiście, że tak! Przyzwoity Aryjczyk nie przyjmuje u siebie żadnych żydowskich świń, a przyzwoita dziewczyna idzie i zgłasza coś takiego na policji. A co Trudel powiedziała na to, że macie w mieszkaniu Żydówkę?

– Panie komisarzu, ja już teraz nic więcej nie powiem. Przekręca pan każde moje słowo. Trudel w niczym nie zawiniła, ona o niczym nie wiedziała!

– Ale o tym, że śpi u was Żydówka, przecież wiedziała!

– To nie było nic złego!

– Jesteśmy odmiennego zdania. Jutro wezmę sobie tę Trudel.

– Och, Boże kochany, co ja znowu narobiłam! – rozszlochała się

Quanglowa. – Teraz sprowadziłam nieszczęście także na Trudel. Panie komisarzu, niech pan nic Trudel nie robi, ona jest w odmiennym stanie!

– No nie, i pani to teraz nagle wie, chociaż rzekomo nie widziała pani tej Trudel od dwóch lat! Skąd więc pani to wie?

– Przecież ja panu mówiłam, panie komisarzu, że mój mąż spotkał ją przypadkiem na ulicy.

– Kiedy to było?

– Kilka tygodni temu. Panie komisarzu, obiecał mi pan krótką przerwę. Małą przerwę, bardzo proszę. Ja już naprawdę nie mogę.

– Jeszcze tylko chwileczkę! Zaraz skończymy. Więc kto kogo zagadnął, Trudel czy pani mąż, skoro byli ze sobą skłócenii?

– Oni nie byli ze sobą skłócenii, panie komisarzu.

– Przecież pani mąż zakazał jej wstępu do waszego domu!

– Ale Trudel nie wzięła mu tego za złe, ona zna mojego męża!

– Więc gdzie się spotkali?

– Myślę, że przy Kleine Alexanderstraße.

– A co robił pani mąż przy Kleine Alexanderstraße? Przecież mówiła pani, że zawsze chodził tylko do fabryki i z powrotem.

– I tak było.

– Więc co miał do roboty przy Kleine Alexanderstraße? Może poszedł tam podłożyć kartkę, co, pani Quangel?

– Nie, nie! – wykrzyknęła przerażona i nagle pobladła. – To ja zawsze podkładałam kartki! Zawsze ja sama, on nigdy!

– Dlaczego pani tak pobladła, pani Quangel?

– Wcale nie zbłądłam. Nie, jednak tak. Bo jest mi niedobrze. Miał pan zrobić przerwę, panie komisarzu!

– Zaraz, jak tylko to sobie wyjaśnimy. A więc pani mąż podkładał kartkę i przy okazji spotkał Trudel Baumann? I co ona powiedziała na temat kartek?

– Przecież ona nic o nich nie wiedziała!

– Więc pani mąż, gdy spotkał Trudel, miał tę kartkę jeszcze w kieszeni czy też zdążył ją już gdzieś podłożyć?

– Już ją podłożył.

– Widzi pani, pani Quangel, coraz bardziej zbliżamy się do sedna. Niech mi pani jeszcze tylko powie, co Trudel Baumann powiedziała na tę kartkę, i na dzisiaj skończymy.

– Ona nie mogła przecież nic powiedzieć, on tę kartkę już wcześniej podłożył.

– Niech się pani zastanowi jeszcze raz! Przecież widać po pani, że pani kłamie. Jeśli się pani będzie przy tym upierać, jutro rano wciąż będzie pani tu siedzieć. Dlaczego chce się pani tak niepotrzebnie dręczyć? Jutro przecież powiem tej Trudel Baumann prosto w twarz, że wiedziała o pocztówkach, a ona od razu się przyzna. Dlaczego chce sobie pani narobić kłopotów, pani Quangel? Będzie pani zadowolona, jeśli doczołga się pani do pryczy. Więc jak to było, pani Quangel? Co Trudel Baumann powiedziała na temat pocztówek?

– Nie! Nie! Nie! – krzyknęła pani Quangel i zrozpaczona zerwała się z miejsca. – Nie powiem ani słowa więcej! Nikogo nie zdradzę! Może pan mówić, co pan chce, może mnie pan zabić: nic już nie powiem!

– Niech się pani uspokoi i usiądzie – powiedział komisarz Laub, zadając zrozpaczonej kobiecie kilka ciosów. – To ja decyduję o tym, czy może pani wstać. I decyduję też o tym, kiedy kończy się przesłuchanie. A teraz omówimy do końca sprawę Trudel Baumann. Skoro właśnie zeznała pani, że popełniła ona zdradę stanu...

– Niczego takiego nie zeznałam! – wykrzyknęła udręczona, zrozpaczona kobieta.

– Powiedziała pani, że nie chce zdradzić Trudel – stwierdził komisarz obojętnym tonem. – Więc nie odpuszczę, dopóki mi pani nie powie, co

takiego ma pani do zdradzenia.

– Nigdy tego nie powiem, nigdy!

– No proszę! Wie pani co, pani Quangel? Pani jest głupia. Chyba pani rozumie, że to, co chcę wiedzieć, gładko i bez trudu wyciągnę jutro z Trudel Baumann w pięć minut. Kobieta w ciąży nie wytrzyma długo takiego przesłuchania. Jak jej parę razy przyłożę...

– Nie wolno panu bić Trudel! Nie wolno panu! Och, dobry Boże, tak żałuję, że wymieniłam jej nazwisko!

– Ale je pani wymieniła! I ułatwi pani Trudel sprawę, jeśli wszystko pani wyzna! No więc jak, pani Quangel? Co Trudel powiedziała o tych kartkach?

A potem: – Mógłbym się tego dowiedzieć od tej Trudel, ale chcę, żeby to pani mi to teraz powiedziała. I nie odpuszczę! Przekona się pani, że dla mnie jest tylko gównem. Przekona się pani, że wszystkie pani postanowienia, żeby trzymać gębę na kłódkę, są dla mnie gówno warte. Przekona się pani, że nic pani nie jest warta z tą swoją gadką o lojalności i niezdradzaniu. Nic pani nie jest warta! To co, pani Quangel, założymy się, że w ciągu godziny usłyszę z pani ust, co Trudel ma wspólnego z pocztówkami?! Założymy się?

– Nie! Nie! Nigdy!

Ale oczywiście komisarz Laub dowiedział się, i nie trwało to nawet godzinę.

ROZDZIAŁ 53.

Przygnębieni Hergesellowie

Hergesellowie odbywali swój pierwszy spacer po poronieniu Trudel. Szli ulicą w kierunku Grünheide, potem jednak skręcili we Frankenweg i wędrowali brzegiem jeziora Flakensee w stronę śluzy w Woltersdorf.

Szli bardzo powoli, od czasu do czasu Karl zerkał na Trudel, która kroczyła obok niego ze spuszczoneym wzrokiem.

– Pięknie jest w lesie – powiedział.

– Tak, pięknie – odpowiedziała.

Chwilę później zawołał: – Zobacz, tam na jeziorze są łabędzie!

– Tak – odparła. – Łabędzie... – I tyle.

– Trudel – powiedział z troską – dlaczego nic nie mówisz? Dlaczego nic cię już nie cieszy?

– Cały czas myślę o moim martwym dziecku – szepnęła.

– Ach, Trudel – powiedział. – Będziemy jeszcze mieli mnóstwo dzieci!

Potrząsnęła głową. – Już nigdy nie będę mieć dziecka.

Zapytał z lękiem: – Doktor ci tak powiedział?

– Nie, doktor nie. Ale ja to czuję.

– Nie – zaoponował. – Nie wolno ci tak myśleć, Trudel. Jesteśmy jeszcze młodzi, możemy mieć jeszcze mnóstwo dzieci.

Znów potrząsnęła głową. – Myślę sobie czasem, że to była dla mnie kara.

– Kara! A za cóż to, Trudel? Cóż takiego zrobiliśmy, żeby tak nas ukarano? Nie, to był przypadek, to tylko zwykły, ślepy przypadek!

– To nie był przypadek, to była kara – powtórzyła z uporem. – Nie

wolno nam mieć dziecka. Zawszę powinnam pamiętać, kim zostałyby Klaus, gdyby dorósł. Jungvolk^[70] i Hitlerjugend, SA albo SS...

– Ależ, Trudel! – wykrzyknął zdumiony czarnymi myślami, którymi zadrezczała się jego żona. – Gdyby Klaus dorósł, już dawno byłoby po tym całym hitleryzmie. To długo nie potrwa, możesz być pewna!

– Tak – powiedziała. – A co myśmy zrobili dla lepszej przyszłości? Zupełnie nic! Nawet gorzej niż nic, porzuciliśmy słuszną sprawę. Ciągłe myślę o Grigoleicie i Niemowlaku... Dlatego zostaliśmy ukarani...

– Ach, ten podły Grigoleit! – powiedział z irytacją.

Był rozgniewany na Grigoleita, który wciąż jeszcze nie odebrał swojej walizki.

Hergesell już kilka razy musiał przedłużać kwit w przechowalni.

– Myślę – stwierdził – że Grigoleit od dawna siedzi. Inaczej coś byśmy o nim usłyszeli.

– Jeśli siedzi – upierała się – to my jesteśmy temu winni. To my porzuciliśmy go w potrzebie.

– Trudel! – wykrzyknął rozgniewany. – Zabraniam ci nawet myśleć takie głupstwa! Nie nadajemy się na spiskowców. Skończenie z tym było dla nas jedynym słusznym wyjściem.

– Tak – odparła gorzkim tonem – za to doskonale nadajemy się na tchórzy i dekwoników! Mówisz, że Klaus nie musiałyby należeć do Hitlerjugend. Ale nawet gdyby nie musiał i gdyby wolno mu było szanować i kochać swoich rodziców, to w jaki sposób my się do tego przyczyniliśmy? Co zrobiliśmy dla lepszej przyszłości? Nic!

..... – Nie wszyscy mogą się bawić w spiskowców, Trudel!

[70] Jungvolk – organizacja w ramach Hitlerjugend dla chłopców w wieku 10-14 lat, od roku 1939 przynależność do niej była obowiązkowa. Opierała się na ideologii nazistowskiej i koncepcji aryjskiej wyższości rasowej. Chłopców wychowywano w duchu lojalności wobec Hitlera, militarysty i tężyzny fizycznej.

– Nie. Ale można było robić coś innego. Skoro nawet ktoś taki, jak mój były teść Otto Quangel... – umilkła.

– No, co z tym Quanglem? Co o nim wiesz?

– Nie, lepiej nie będę ci tego mówić. Obiecałam mu to zresztą. Ale skoro nawet taki stary człowiek jak Otto Quangel pracuje na szkodę tego państwa, to uważam za hańbę, że my siedzimy z założonymi rękoma!

– Ale co my możemy zrobić, Trudel? Nic! Pomyśl o tej całej władzy, jaką ma Hitler, a my oboje jesteśmy przecież nikim! Nic nie możemy zrobić!

– Gdyby wszyscy myśleli tak jak ty, Hitler na zawsze utrzymałby się przy władzy. Ktoś musi zacząć z nim walczyć.

– Ale co my możemy zrobić?

– Co? Wszystko! Możemy pisać odezwy i przywieszać je na drzewach! Pracujesz w zakładzie chemicznym, jako elektryk możesz wchodzić do wszystkich pomieszczeń. Wystarczy tylko przestawić jakąś dźwignię albo poluzować śrubę w jakiejś maszynie, żeby zniszczyć efekty wielu dni pracy. Gdybyś ty to robił, gdyby robiło to jeszcze paruset innych, wtedy Hitler od razu odczułby braki w uzbrojeniu.

– Tak, a już po drugim razie dorwałiby mnie i raz-dwa na szubienicę!

– I to właśnie wciąż powtarzam: jesteśmy tchórzami. Myślmy tylko o tym, co będzie z nami, a nie o tym, co się stanie z innymi. Popatrz, Karli, zostałeś zwolniony z Wehrmachtu. Ale gdybyś musiał być żołnierzem, codziennie ryzykowałbyś życie i uważałbyś to za oczywiste.

– Ach, w wojsku i tak dostałbym jakąś spokojną posadkę!

– I pozwalałbyś, żeby inni umierali za ciebie! Dokładnie tak jak mówię. Jesteśmy tchórzami, nic nie jesteśmy warci!

– Te przekłete schody! – wybuchnął. – Gdyby nie doszło do tego poronienia, dalej byśmy sobie szczęśliwie żyli!

– Nie, to nie byłoby żadne szczęście, żadne prawdziwe szczęście, Karli!

Już kiedy byłam w ciąży z Klausem, cały czas myślałam o tym, co z niego wyrośnie. Nie zniosłabym tego, gdyby wyciągał prawicę w hitlerowskim pozdrowieniu, nie mogłabym patrzeć na niego, gdyby chodził w brunatnej koszuli. Gdyby znowu świętowano jakieś zwycięstwo, widziałyby jak jego rodzice potulnie wywieszają flagę ze swastyką, i wiedziałyby, że jesteśmy kłamcami. Cóż, przynajmniej to zostało nam oszczędzone. Nie powinniśmy byli mieć Klause, Karli!

Przez chwilę szedł obok niej w ponurym milczeniu. Wracali już do domu, ale nie patrzyli ani na jezioro, ani na las.

W końcu zapytał: – Więc ty naprawdę myślisz, że powinniśmy coś takiego robić? Że ja powinienem coś robić w zakładzie?

– Oczywiście – odparła. – Musimy coś robić, Karli, żebyśmy nie musieli tak bardzo się wstydzić.

Zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział: – Nic na to nie poradzę, Trudel, że nie mogę sobie wyobrazić, jak skradam się po zakładzie i psuję maszyny. To do mnie nie pasuje.

– Więc zastanów się, co do ciebie pasuje! Na pewno coś wymyślisz. To nie musi być od razu.

– A ty już się zastanowiłaś, co chcesz robić?

– Tak – powiedziała. – Znam pewną Żydówkę, która się ukrywa. Już dawno miała trafić do transportu. Ale jest u podłych ludzi i każdego dnia obawia się zdrady. Zabiorę ją do nas.

– Nie! – powiedział. – Nie. Nie rób tego, Trudel! Tak nas podsłuchują, że to natychmiast się wyda. No i pomyśl o kartkach żywnościowych! Przecież ona na pewno żadnych nie ma! A my nie możemy wyżywić z naszych dodatkowej osoby!

– Nie możemy? Naprawdę nie możemy trochę pogłódować, jeśli dzięki temu uratujemy człowieka przed śmiercią? Ach, Karli, jeśli tak to wygląda, to Hitler ma naprawdę łatwo. Wszyscy jesteśmy w takim razie

gównu warci i słusznie nas to wszystko spotyka!

– Przecież ją u nas zobaczą! W naszym małym mieszkaniu nie da się nikogo ukryć. Nie, nie pozwalam na to!

– Nie sądzę, Karli, żebyś musiał mi na coś pozwalać. To jest tak samo moje mieszkanie, jak twoje.

Zaczęli się o to żarliwie kłócić, to była pierwsza prawdziwa kłótnia w trakcie ich małżeństwa. Powiedziała, że przyprowadzi po prostu tę kobietę do domu, gdy on będzie w pracy, a on oznajmił, że od razu ją wyrzuci.

– W takim razie mnie też możesz od razu wyrzucić!

Szli dalej. Oboje rozgniewani, poirytowani, źli. Nie mogli zakończyć tego sporu, tu nie było miejsca na kompromis. Ona koniecznie chciała robić coś przeciwko Hitlerowi, przeciwko wojnie. On zasadniczo też chciał coś robić, ale to nie mogło wiązać się z ryzykiem, nie zamierzał narażać się na choćby najmniejsze niebezpieczeństwo. To z tamtą Żydówką to czyste szaleństwo. Nigdy na to nie pozwoli!

Szli w milczeniu ulicami Erkner z powrotem do domu. Milczeli z taką intensywnością, że przełamanie tego milczenia wydawało się coraz trudniejsze. Nie wzięli się pod rękę, szli obok siebie, nie dotykając się. Gdy raz przypadkiem musnęli się dłońmi, każde pośpiesznie cofnęło swoją rękę i jeszcze bardziej się od siebie odsunęli.

Nie zwrócili uwagi na to, że pod ich drzwiami stało duże, zamknięte auto. Weszli po schodach i nie zauważyli, że zza każdych drzwi są obserwowani z ciekawością lub lękiem. Karl Hergesell otworzył zamek w drzwiach mieszkania i przepuścił przodem Trudel. W korytarzu też jeszcze niczego nie zauważyli. Przestraszyli się dopiero wtedy, gdy ujrzeli w pokoju niskiego, przysadzistego mężczyznę w zielonej kurtce.

– Co jest? – powiedział oburzony Hergesell. – Co pan robi w moim mieszkaniu?

– Komisarz kryminalny Laub z Gestapo z Berlina – przedstawił się

mężczyzna w zielonej kurtce. Mimo że był w pokoju, miał na głowie myśliwski kapelusik z pędzelkiem.

– Pan Hergesell, zgadza się? Pani Gertruda Hergesell, z domu Baumann, zwana Trudel? Pięknie! Chciałbym zamienić teraz kilka słów z pańską żoną, panie Hergesell. Może zaczeka pan w tym czasie w kuchni?

Popatrzyli sobie z lękiem w pobladłe twarze. A potem Trudel nagle się roześmiała. – A więc do zobaczenia, Karli! – powiedziała, obejmując go. – Do zobaczenia! Ale byliśmy głupi, że się kłóciliśmy! A przecież zawsze wychodzi inaczej, niż się człowiek spodziewał!

Komisarz Laub odchrząknął upominająco. Pocałowali się. Hergesell wyszedł.

– Pożegnała się pani ze swoim mężem, pani Hergesell?

– Pogodziłam się z nim, pokłóciliśmy się.

– O co się państwo pokłócili?

– O wizytę mojej ciotki. On jest przeciwny, ja jestem za.

– I mój widok skłonił panią do ustąpienia? Podejrzane, wygląda na to, że ma pani nieczyste sumienie. Chwileczkę! Proszę tu zostać!

Słyszała, jak rozmawia w kuchni z Karlim. Karli prawdopodobnie poda inną przyczynę ich kłótni, to od samego początku źle się układa. Od razu pomyślała o Quangu. Ale to mało prawdopodobne, żeby Quangel kogoś zdradził...

Komisarz wrócił. Pocierając z zadowoleniem dłoń, powiedział: – Pani mąż powiedział, że kłócili się państwo o to, czy adoptować dziecko, czy nie. To pierwsze kłamstwo, na którym państwa przyłapałem. Bez obaw, w ciągu pół godziny usłyszycie od was mnóstwo kłamstw i na wszystkich was przyłapię! Poroniła pani?

– Tak.

– Troszkę w tym pani pomogła, co? Żeby Führerowi zabrakło żołnierzy, tak?

– Teraz to pan kłamie! Gdybym miała taki zamiar, nie czekałabym przecież do piątego miesiąca!

Do pokoju wszedł jakiś mężczyzna z karteczką w dłoni.

– Panie komisarzu, pan Hergesell właśnie chciał to w kuchni spalić.

– Co to jest? Kwit z przechowalni? Pani Hergesell, co to za walizka, którą pani mąż oddał na przechowanie na dworcu przy Alexanderplatz?

– Walizka? Nie mam pojęcia, nie wspomniał mi o tym ani słowem.

– Niech pan przyprowadzi Hergesella! Niech któryś natychmiast pojedzie autem na Alexanderplatz i przywiezie tu tę walizkę! – Trzeci mężczyzna wprowadził do pokoju Karla Hergesella. W całym mieszkaniu było więc pełno policji, na oślep wpadli w pułapkę. – Co to za walizkę oddał pan na przechowanie przy Alexanderplatz, panie Hergesell?

– Nie wiem, co jest w środku, nigdy do niej nie zaglądałem. Ta walizka należy do mojego znajomego. Powiedział, że w środku jest bielizna i ubrania.

– Bardzo prawdopodobne! I zapewne dlatego chciał pan spalić kwit, gdy zorientował się pan, że w mieszkaniu jest policja!

Hergesell zawahał się, a potem powiedział, zerkając na żonę: – Zrobiłem to, bo nie do końca ufam temu znajomemu. Tam mogłoby też być coś innego. Ta walizka jest bardzo ciężka.

– A co pańskim zdaniem mogłoby być w tej walizce?

– Może jakieś druki. Starłem się nad tym nie zastanawiać.

– A cóż to za dziwny znajomy, który sam nie może oddać swojej walizki do przechowalni? A może on się nazywa Karl Hergesell?

– Nie, nazywa się Schmidt, Heinrich Schmidt.

– A skąd pan zna tego tak zwanego Heinricha Schmidta?

– Ach, znam go od dawna, od co najmniej dziesięciu lat.

– A skąd przyszło panu na myśl, że to mogą być druki? Kto to w takim razie jest ten Emil Schulz?

– Heinrich Schmidt. Socjaldemokrata albo wręcz komunista. Dlatego przyszło mi do głowy, że w środku są druki.

– A gdzie pan się właściwie urodził, panie Hergesell?

– Ja? Tutaj, w Berlinie. W dzielnicy Moabit.

– A kiedy?

– 10 kwietnia 1920.

– Więc tego Heinricha Schmidta zna pan od co najmniej dziesięciu lat i wie się pan o jego orientacji politycznej! Miał pan wtedy jedenaście lat, panie Hergesell! Niech pan nie próbuje okłamywać mnie w taki głupi sposób, bo mogę się zrobić nieprzyjemny, a jak zrobię się nieprzyjemny, to od razu boleśnie to odczujecie!

– Nie skłamałem! Wszystko, co powiedziałem, to prawda.

– Nazwisko Heinrich Schmidt: pierwsze kłamstwo! Nieznajomość zawartości walizki: drugie kłamstwo! Powód przechowywania: trzecie kłamstwo! Nie, mój drogi panie Hergesell, każde wypowiedziane przez pana zdanie było kłamstwem!

– Nie, to wszystko prawda. Heinrich Schmidt wybierał się do Królewca, a ponieważ miał ciężką walizkę, która nie była mu w tej podróży potrzebna, poprosił mnie, żebym ją dla niego oddał na przechowanie. To cała historia!

– A potem zada sobie trud, żeby przyjechać do Erkner i wziąć od pana kwit, zamiast trzymać go w swojej kieszeni! Bardzo prawdopodobna jest ta cała pańska historia, panie Hergesell! No, na razie zostawmy tę sprawę. Myślę, że często będziemy sobie na ten temat rozmawiać, pan będzie tak uprzejmy i potowarzyszy mi w drodze na Gestapo. Jeśli chodzi o pańską żonę...

– Moja żona nic nie wie na temat tej całej historii z walizką!

– Ona też tak twierdzi. Ale już ja się dokładnie dowiem, co ona wie, a czego nie wie. Lecz skoro mam was, moje piękne skarby, tutaj tak

przytulnie razem... Znacie się z pracy w fabryce mundurów?

– Tak... – odpowiedzieli.

– No i jak tam było, co tam robiliście?

– Ja byłem tam elektrykiem...

– A ja kroiliśmy materiał na mundury...

– Bardzo pięknie, bardzo dobrze, pracowici z was ludzie. Ale kiedy akurat nie ciąłiście materiału na kawałki i nie rozwijaliście przewodów, to co robiliście, moi śliczni? Może stworzyliście tam sobie taką śliczną, malutką komórkę komunistyczną, wy dwoje i niejaki Jensch, zwany Niemowlakiem, oraz niejaki Grigoleit?

Oboje popatrzyli na niego pobladli. Skąd on mógł to wiedzieć? Wymienili bezradne spojrzenia.

– He, he! – zaśmiał się drwiąco Laub. – Chyba jesteście zaskoczeni, co? Byliście tam obserwowani, cała czwórka, i gdybyście się tak szybko nie rozdzielili, już wcześniej zawarlibyśmy znajomość. A pan w swoim zakładzie tutaj dalej jest obserwowany, panie Hergesell!

Byli tak zdumieni, że nawet nie pomyśleli o tym, żeby zaprotestować.

Komisarz przyglądał się im z namysłem, gdy nagle przysłała mu do głowy pewna myśl. – Do kogo należała więc wiadoma walizka, panie Hergesell? – zapytał. – Do Grigoleita czy do Niemowlaka?

– Ona... Ach, teraz to już wszystko jedno, skoro pan już wszystko wie, a więc Grigoleit mi ją wcisnął. Miał ją odebrać za tydzień, ale upłynęło już tyle czasu...

– Zniknął, ten wasz Grigoleit! Cóż, już ja go sobie znajdę... Oczywiście o ile jeszcze żyje.

– Panie komisarzu, chciałbym jednak oświadczyć, że moja żona i ja, odkąd wystąpiliśmy z komórki, nie udzielaliśmy się politycznie. Tak, doprowadziliśmy komórkę do rozpadu, zanim cokolwiek zostało zrobione. Zauważyliśmy mianowicie, że się do tego nie nadajemy.

– Ja też to zauważyłem! Ja też! – zadrwił komisarz.

Lecz Karl Hergesell kontynuował niezmiernie: – Od tamtej pory zajmowaliśmy się tylko pracą i nie robiliśmy nic przeciwko państwu.

– Poza tą walizką, niech pan nie zapomina o walizce, panie Hergesell! Przechowywanie komunistycznych druków to zdrada stanu, straci pan przez to głowę, mój drogi! No, pani Hergesell! Pani Hergesell! Czemu się pani tak denerwuje? Fabian, odsuń tę młodą damę od jej męża, ale delikatnie, Fabian, na miłość boską, Fabian, niech pan nie krzywdzi tego serduszka! Niedawno poroniła, ta słodka mała nie chce dostarczać Führerowi żołnierzy!

– Trudel! – poprosił Hergesell. – Nie słuchaj, co on mówi! W tej walizce wcale nie muszą być druki, tak tylko sobie kiedyś pomyślałem. Tam naprawdę mogą być bielizna i ubrania, Grigoleit nie musiał mnie okłamać!

– Słusznie, młody człowieku – pochwalił komisarz Laub. – Niech pan doda tej młodej damie trochę odwagi! Pozbierałaś się już, serduszko? Możemy sobie dalej rozmawiać? Przejdźmy teraz od zdrady stanu dokonanej przez Karla Hergesella do zdrady stanu dokonanej przez Trudel Hergesell, z domu Baumann...

– Moja żona nic o tym wszystkim nie wiedziała! Moja żona nigdy nie zrobiła nic wbrew prawu!

– Nie, nie, oboje zawsze byliście dzielnymi narodowymi socjalistami! – Nagle komisarza Lauba ogarnął gniew. – Wiecie, kim jesteście? Tchorzliwymi, komunistycznymi świniami jesteście! Szczurami jesteście, które grzebią w gównie!!! Ale ja was stamtąd wyciągnę, doprowadzę was oboje na szubienicę! Oboje na niej zawisniecie! Ty z tą walizką kłamstw! I ty z tym swoim poronieniem! Tyle razy skakałaś ze stołu, aż się udało! Tak było? Tak było? Mów!

Chwycił prawie nieprzytomną Trudel i zaczął nią mocno potrząsać.

– Niech pan zostawi moją żonę w spokoju! Niech pan jej nie dotyka!
– Hergesell chwycił komisarza. Dostał pięścią od Fabiana. Trzy minuty później siedział w kuchni w kajdankach, pilnowany przez Fabiana, wiedząc – z dziką rozpaczą w sercu – że Trudel jest w rękach dręczyciela bez jego wsparcia.

A Laub rzeczywiście dalej ją dręczył. Trudel, która odchodziła od zmysłów z lęku o Karliego, miała opowiedzieć o pocztówkach Quangla. Nie uwierzył w przypadkowe spotkanie, cały czas pozostawała w kontakcie z Quanglami, tchórzliwa, komunistyczna banda spiskowców, a jej mąż Karli też o tym wiedział!

– Ile kartek pani podłożyła? Co było na nich napisane? Co pani mąż na to?

I tak dręczył ją, godzina za godziną, podczas gdy bezradny Hergesell siedział w kuchni z rozpaczą w sercu.

W końcu nadjechało auto i wniesiono walizkę, żeby ją otworzyć.

– Fabian, niech się pan trochę pobawi przy tym zamku! – powiedział komisarz Laub. Karl Hergesell znalazł się z powrotem w pokoju, lecz był pod strażą. Oddzieleni od siebie na całą szerokość pokoju, Hergesellowie patrzyli na siebie bladzi i zrozpaczeni.

– Nieźle ciężka jak na bieliznę i ubrania! – stwierdził z ironią komisarz, podczas gdy Fabian próbował otworzyć zamek zakrzywionym drutem. – No, zaraz się przekonamy! Obawiam się, że to się może okazać dla państwa przykre, jak pan myśli, Hergesell?

– Moja żona nic nie wiedziała o tej walizce, panie komisarzu! – zapewnił ponownie Hergesell.

– Tak, a pan nic nie wiedział o tym, że pańska żona rozkładała na klatkach schodowych pocztówki o zdradzieckiej treści dla owego Quangla! Każdy małym zdrajcą stanu sam dla siebie! Wspaniałe małżeństwo, muszę przyznać!

– Nie! – zawołał Hergesell. – Nie! Nie robiłaś tego, Trudel! Trudel, powiedz, że tego nie robiłaś!

– A jednak się przyznała!

– Tylko jeden raz, Karli, i to był czysty przypadek...

– Zabraniam wam jakichkolwiek rozmów! Jeszcze jedno słowo i powędruje pan z powrotem do kuchni, Hergesell! A więc walizka otworzona. I co my tam mamy?

Razem z Fabianem stanął przed walizką tak, że Hergesellowie nie mogli dostrzec jej zawartości. Policjanci coś do siebie szeptali. A potem Fabian z trudem wyjął zawartość walizki. Mała maszyna, błyszczące śrubki, sprężyny, lśniące czernidło...

– Maszyna drukarska! – powiedział komisarz Laub. – Piękna maszynka drukarska do komunistycznych gadzinówek. To zamyka pańską sprawę, Hergesell. Na dziś i na zawsze!

– Nie wiedziałem, co jest w tej walizce – zaprotestował Karl Hergesell, lecz był tak przerażony, że jego sprzeciw zabrzmiał bardzo słabo.

– Jakby to miało jakieś znaczenie! Przecież miał pan obowiązek zameldować o swoim spotkaniu z owym Grigoleitem i przekazać walizkę! Kończymy już tutaj, Fabian. Spakujcie to z powrotem. Wiem dość, a nawet zbyt wiele. Pani też założcie kajdanki.

– Żegnaj, Karli! – zawołała Trudel Hergesell mocnym głosem.

– Żegnaj, najdroższa. Dałaś mi tyle szczęścia...

– Zrób coś, żeby się zamknęła! – krzyknął komisarz.

– Co jest, Hergesell, co to ma być?

Karl Hergesell wyrwał się swojemu strażnikowi, gdy przy przeciwległej ścianie pokoju silna pięść trafiła Trudel w usta. Choć był zakuty w kajdanki, udało mu się pociągnąć dręczyciela Trudel na ziemię. Zaczęli się tarzać po podłodze.

Komisarz tylko lekko skinął na Fabiana. Ten stanął nad walczącymi,

odczekał chwilę i uderzył Karla Hergesella trzy, cztery razy w głowę.

Hergesell jęknął, jego ciało drgnęło i zamarło nieruchomo u stóp Trudel. Patrzyła na niego z góry bez ruchu, z ust kapła jej krew.

Podczas długiej jazdy do miasta daremnie czekała, że się przebudzi, że będzie mogła jeszcze raz spojrzeć mu w oczy. Nie, nic.

Nic nie zrobili. A i tak byli zgubieni...

ROZDZIAŁ 54.

Najcięższe brzemię Ottona Quangla

Podczas tych dziewiętnastu dni, które Otto Quangel spędził w bunkrze Gestapo, zanim został przekazany sędziemu śledczemu przy Trybunale Ludowym, najtrudniejsze do zniesienia nie były wcale przesłuchania komisarza Lauba, mimo że ten człowiek dokładał wszystkich swych sił, a miał ich niemało, żeby złamać opór Quangla, jak to określał. Nie oznaczało to nic innego, jak używanie wszystkich złych mocy, żeby zmienić aresztowanego w przerażone, rozwrzeszczane nic.

Nie była to też stale przybierająca na sile, dręcząca troska o żonę Annę, tak bardzo męcząca Ottona Quangla. Nie widział swojej żony, nie otrzymywał od niej żadnych bezpośrednich wiadomości. Lecz gdy Laub podczas przesłuchania wymienił nazwisko Trudel Baumann, nie, teraz to Trudel Hergesell, wiedział, że jego żona dała się zastraszyć, że została przechytrzona, że wymusnęło jej się nazwisko, którego nigdy nie powinna była wymienić.

Później, gdy stało się jasne, że także Trudel Baumann i jej mąż zostali aresztowani, że złożyli zeznania, że zostali wciągnięci w ten wir, przez wiele godzin gniewał się w myślach na żonę. Przez całe życie zawsze dumą napawało go to, że jest człowiekiem, który żyje sam dla siebie, że nie potrzebuje innych i nigdy nie jest dla nich ciężarem, a teraz przez jego przewiny (gdyż czuł się całkowicie odpowiedzialny za Annę) dwoje młodych ludzi zostało wplątanych w jego sprawy.

Lecz gniew ów nie utrzymał się długo, przeważały smutek i troska o towarzyszkę życia. Gdy był sam, często wbijał paznokcie we wnętrza

dłoni, zamykał oczy, zbierał w sobie wszystkie siły, a potem myślał o Annie, próbował wyobrazić ją sobie w celi i przesłać jej strumień mocy, by dodać jej na nowo odwagi, żeby tylko nie zapomniała o swojej godności, żeby się nie upokarzała przed tym nikczemnikiem, który nie miał już w sobie niemal nic ludzkiego.

Owa troska o Annę była trudna do zniesienia, lecz daleko jej było do tego, co ciążyło mu najbardziej.

Najcięższym brzemieniem nie były też niemal codzienne wizyty pijanych esesmanów i ich dowódców, którzy wyładowywali swoją wściekłość, maltretując bezbronnego. Niemal co dzień gwałtownie otwierali drzwi do celi, wpadali do środka, oszaleli od alkoholu, opętani wyłącznie żądzą widoku krwi, przerażenia i upadku, pragnieniem napawania się słabością ludzkiego ciała. To także było bardzo trudne do zniesienia, lecz nie to było najgorsze.

Najgorsze było to, że nie był w celi sam, że miał w celi towarzysza, współtowarzysza niedoli, kogoś, kto powinien być tak samo winny, bliźniego. Był to bowiem człowiek, który wzbudzał w Quangu grozę, dzikie, plugawe zwierzę pozbawione serca i podszyte tchórzem, drżące i gwałtowne, człowiek, na którego Quangel nie mógł patrzeć, nie odczuwając głębokiej odrazy, a wobec którego musiał być uległy, gdyż człowiek ten był o wiele silniejszy od starego majstra.

Karl Ziemke, przez wartowników nazywany Karolkiem, było około trzydziestoletnim mężczyzną o atletycznej budowie ciała, z okrągłą niczym u buldoga głową, w której tkwiły bardzo małe oczka, oraz długimi, gęsto owłosionymi ramionami i dłońmi. Jego niskie, wypukłe czoło, z którego zawsze zwisał wiecheć skołtunionych włosów, żłobiły liczne poziome bruzdy. Odzywał się rzadko, a jeśli już, to było to wołanie o ratunek. Jak Quangel dowiedział się wkrótce z rozmów wartowników, Karolek Ziemke był wcześniej prominentnym członkiem SS, miał do

wykonania jakąś wyjątkową katowską misję, a ilu ludzi zgładziły jego owłosione łapy, tego nie dało się określić, bo i sam Karolek tego nie wiedział.

Jednak dla zawodowego mordercy Karolka Ziemke nawet w tych morderczych czasach mordowania było za mało, zaczął więc w okresach, gdy był pozbawiony zajęcia, popełniać mordy, których jego przełożeni nie zlecili. Nawet jeśli nie gardził przy tym pozbawianiem swoich ofiar pieniędzy i wartościowych przedmiotów, to jednak nie grabież była powodem jego zbrodni, lecz zawsze czysta żądza mordu. I w końcu go przyłapano, a ponieważ był tak niezdamny, że zabijał nie tylko Żydów, wrogów narodu i inną zwierzynę do odstrzału, lecz także nieskazitelnych Aryjczyków, a pośród nich nawet jednego towarzysza partyjnego, to siedział teraz w bunkrze i nie wiadomo jeszcze było, co z nim będzie.

Karolek Ziemke, który tak wielu bez najmniejszego drżenia serca posłał w objęcia śmierci, zaczął się lękać o własne cenne życie, a w jego głowie, w której myśli było tyle, co u pięciolatka, za to samych złych, pojawił się pomysł, że może się uratować przed konsekwencjami swych czynów, udając szaleńca. Wymyślił więc sobie w tym celu rolę psa. A może, co bardziej prawdopodobne, doradził mu ją któryś z kamratów, a on odgrywał tę rolę z konsekwencją dowodzącą, że bardzo mu ona odpowiada.

Zwykle biegał po celi zupełnie nagi na czworakach, czekał jak pies, jadł z miski jak pies i ciągle próbował gryźć Quangla w nogi. Albo żądał od starego majstra, żeby ten godzinami rzucał mu szczotkę, którą Karolek aportował, za co chciał być głaskany i chwalony. Albo Quangel musiał machać spodniami Karolka niczym skakanką, którą ten bez końca przeskakiwał.

Gdy majster nie okazywał wystarczającego zapału, „pies” atakował go, przewracał na ziemię i chwycił zębami za gardło jak prawdziwy pies, i

nigdy nie było pewności, czy ta zabawa nie przerodzi się w coś poważnego. Wartownicy mieli mnóstwo radości z zabaw Karolka. Często długo stali w drzwiach celi i zachęcali psa, szczuli go, a Quangel musiał to wszystko znosić. Gdy jednak przychodzili w pijackim gniewie, żeby rozładować go na zatrzymanych, rzucali Karolka na ziemię, a on rozpościerał ramiona i błagał ich, żeby wykopali mu flaki z jego nagiego ciała.

I Quangel był skazany na przebywanie z tym człowiekiem dzień po dniu, godzina za godziną, minuta po minucie. On, który zawsze żył tylko dla siebie, nie mógł spędzić w samotności nawet kwadransa. Nawet w nocy, gdy szukał pociechy we śnie, nie był bezpieczny. Jego dręczyciel kukał nagle przy jego łóżku, kładł mu łapsko na piersi i domagał się wody albo miejsca na pryczy Quangła. Ten musiał się przesunąć i aż trząsł się z odrazy do tego ciała, które nigdy nie było myte, które było owłosione jak ciało zwierzęcia, lecz nie miało w sobie nic z czystości i niewinności zwierzęcia. A potem Karolek szczełał cicho i zaczynał lizać Quangła po twarzy, a potem po całym ciele.

Tak, to było trudne do zniesienia, i Otto Quangel często zadawał sobie pytanie, dlaczego to właściwie znosi, skoro koniec jest przecież wiadomy, bliski koniec. Lecz był w nim jakiś opór przed zadaniem sobie śmierci, opuszczeniem Anny, której i tak już nie widywał. Był w nim bowiem jakiś opór przed ułatwieniem im tego, wyprzedzeniem wyroku. Powinni skazać go na śmierć, pozbawić życia za pomocą stryczka czy gilotyny, wszystko jedno. Nie powinni myśleć, że czuł się winny. Nie, nie chciał im niczego oszczędzić, więc i sobie nie oszczędził Karolka Ziemke.

I było to niezwykle, że wraz z upływem tych dziewiętnastu dni „pies” stawał mu się coraz bardziej oddany. Nie gryzł go już, nie przewracał i nie chwycił za gardło. Gdy kamraci z SS dawali mu jakiś lepszy kąsek, dzielił się nim i często godzinami leżał, trzymając swój wielki okrągły łeb na kolanach starego człowieka, z zamkniętymi oczami, cicho pomrukując,

podczas gdy palce Ottona przeczesały jego włosy.

Wtedy majster zastanawiał się często, czy to zwierzę, udając szaleństwo, rzeczywiście nie oszalało. Ale jeśli on był szalony, to jego „wolni” kamraci na korytarzach bunkra także. W takim razie to nic nie zmieniało, w takim razie oni wszyscy z tym swoim obłąkanym przywódcą i jego uśmiechającym się głupekowato Himmlerem byli rodzajem, który należało zetrzeć z powierzchni ziemi, by przetrwać mogli rozumni.

Gdy potem powiedziano, że Otto Quangel ma jechać z transportem, Karolek był bardzo nieszczęśliwy. Wył i skomlał, wmusił Quanglowi cały swój chleb, a gdy majster wyszedł na korytarz, żeby z uniesionymi rękami przycisnąć twarz do ściany, nagi mężczyzna na czworakach wyslizgnął się z celi, przykucnął przy nim i zawył cicho i żałośnie. To miało tę dobrą stronę, że brutalni esesmani nie potraktowali go tak brutalnie, jak innych więźniów wyznaczonych do transportu. Człowiek, który zdobył sobie oddanie takiego psa, ten człowiek o złej, obojętnej ptasiej twarzy zrobił wrażenie nawet na katowskich pomocnikach.

A gdy padła komenda „Odmaszerować!”, gdy pies Karolek został zapędzony z powrotem do swojej celi, twarz Quangla nie była już obojętna i zła, wtedy poczuł w sercu lekki ucisk, coś jakby żal. Mężczyzna, który przez całe życie przywiązał się tylko do jednej osoby, mianowicie do swojej żony, niechętnie rozstawał się z wielokrotnym mordercą, bestią, a nie człowiekiem.

ROZDZIAŁ 55.

Anna Quangel i Trudel Hergesell

Być może wynikało to z niedbalstwa, że po śmierci Berty do celi Anny Quangel trafiła akurat Trudel Hergesell. Być może jednak było tak, że dla komisarza Lauba obie kobiety nie miały zasadniczo żadnego znaczenia. Wyciśnięto z nich to, co wiedziały, czego dowiedziały się od swoich facetów, i załatwione. Prawdziwymi przestępcami zawsze byli mężczyźni, kobiety tylko się przy nich plątały, co nie przeszkadzało, by były tracone wraz ze swoimi mężami.

Tak, Berta umarła, ta Berta, która bez złych intencji zdradziła Annie obecność jej bratowej, ściągając przez to na siebie gniew komisarza Lauba. Zgasła niczym płomień, umierała w ramionach Anny Quangel, stawała się coraz słabsza i słabsza, i tylko coraz cichszym głosem błagała współtowarzyszkę niedoli, żeby nikogo nie wołała. Berta, jakkolwiek się nazywała i jakiegokolwiek popełniła przestępstwo, nagle umilkła. Z jej gardła dobyło się jeszcze kilkakrotne rżenie, gdy walczyła o oddech, a potem z jej ust popłynęła krew, lała się i lała, a zaciśnięte na ramionach Anny ręce rozluźniły się...

I tak leżała, bardzo blada i bardzo cicha, a zatroskana Anna zastanawiała się, czy nie ponosi winy za tę śmierć. Gdyby nie wspomniała komisarzowi Laubowi o swojej bratowej! A potem pomyślała o Trudel Baumann, Trudel Hergesell, i zadrżała. Ją to naprawdę zdradziła! Oczywiście, oczywiście, może się usprawiedliwiać. Skąd mogła wiedzieć, jakie nieszczęście wyniknie z niewinnej wzmianki o narzeczonej Ottonka! Ale poszło dalej, krok po kroku, i w końcu zdrada stała się oczywista, a

ona unieszczęśliwiła osobę, która była jej bliska, a być może nie tylko tę jedną osobę.

Gdy Anna myślała o tym, że będzie musiała popatrzeć Trudel Hergesell w oczy, że będzie musiała powtórzyć jej prosto w twarz swoje zdradzieckie słowa, drżała. Lecz naprawdę rozpaczała, gdy myślała o swoim mężu. Gdyż była przekonana, że ten sumienny, prawy człowiek nigdy nie wybaczy jej tej zdrady i że przed swą niechybną śmiercią straci swego jedyne go towarzysza.

Jak mogłam okazać się taka słaba, oskarżała się Anna Quangel, a gdy zabierano ją na przesłuchanie do Lauba, modliła się nie o to, żeby jej nie dręczył, tylko o siłę, by pomimo tortur nie powiedzieć niczego, co mogłoby obciążyć innych. I ta drobna, wątła kobieta uparła się dźwigać swą część brzemienia, a nawet więcej niż swoją część. Ona, tylko ona roznosiła pocztówki, poza jednym czy dwoma przypadkami, i tylko ona układała ich treść i dyktowała mężowi. To ona sama wymyśliła te pocztówki z powodu śmierci syna, to ona sama wpadła na ten pomysł.

Komisarz Laub, który z pewnością orientował się, że jej zeznania to kłamstwa, że ta kobieta nie była zdolna czynić rzeczy, do których się przyznawała – komisarz Laub mógł wrzeszczeć, grozić, dręczyć, ile chciał. Ona nie podpisze innego protokołu, nie cofnie niczego ze swoich zeznań, choćby po dziesięciokroć udowodnił jej, że się nie zgadzają. Laub za mocno przykręcił śrubę, był bezsilny. A gdy Anna wracała do piwnicy po takim przesłuchaniu, czuła ulgę, jakby odkupiła część swojej winy, jakby Otto mógł być z niej choć odrobinę zadowolony. I umacniała się w niej myśl, że może będzie mogła uratować Ottonowi życie, jeśli tylko weźmie na siebie całą winę...

Zgodnie z obyczajami więzienia Gestapo nie śpieszono się z zabraniem z celi Anny ciała zmarłej Berty. Być może to też był wynik niedbalstwa, a może celowe gnębienie. W każdym razie zmarła leżała już trzeci dzień

w wypełnionej obrzydliwie słodkim odorem celi, gdy otworzono drzwi i wepchnięto do środka akurat tę, której spojrzenia Anna tak bardzo się bała.

Trudel Hergesell zrobiła swój pierwszy krok wewnątrz celi. Jej oczy niemal niczego nie dostrzegały, była śmiertelnie wyczerpana, a lęk o wciąż nieprzytomnego Karliego, z którym przed chwilą brutalnie ją rozdzielono, omal nie pozbawił jej świadomości. Wydała z siebie cichy okrzyk przestachu, gdy poczuła w celi obrzydliwy odór zgnilizny, gdy ujrzała martwe ciało kobiety, które opuchnięte i pokryte plamami leżało na drewnianej pryczy.

Jęknęła: – Nie mogę już – a Anna Quangel uchroniła ofiarę swej zdrady przed upadkiem.

– Trudel! – szepnęła do ucha półprzytomnej. – Trudel, czy możesz mi wybaczyć? Wymieniłam twoje nazwisko, dlatego że byłaś narzeczoną Ottonka. A potem on tak mnie dręczył, że wszystko ze mnie wyciągnął. Ja sama już tego nie rozumiem. Trudel, nie patrz tak na mnie, proszę cię! Trudel, czy ty nie miałaś mieć dziecka? Czy to też zniszczyłam?

Gdy Anna Quangel to mówiła, Trudel Hergesell wysunęła się z jej objęć i cofnęła ku wyjściu z celi. Oparła się o okute żelazem drzwi i z pobladłą twarzą patrzyła na starą kobietę, która obserwowała ją spod przeciwległej ściany przez całą długość celi.

– To byłaś ty, mamó? – zapytała. – To ty to zrobiłaś?

I nagle wybuchła: – Ach, mnie naprawdę nie chodzi o mnie! Ale oni tak strasznie pobili mojego Karliego i ja nie wiem, czy on w ogóle odzyska przytomność. Może już nie żyje.

Łzy popłynęły jej z oczu, gdy zawołała: – A ja nie mogę przy nim być! Nic nie wiem i może będę tu siedzieć dzień po dniu i niczego się nie dowiem. On będzie już dawno martwy i pogrzebany, ale we mnie wciąż będzie żyć. I jego dziecka też już nie będę mieć, jakże zubożałam

tak nagle! Jeszcze kilka tygodni temu, zanim spotkałam tatę, miałam wszystko, co potrzebne do szczęścia. I byłam szczęśliwa! A teraz nic już nie mam. Nic! Ach, matko...

I nagle dodała: – Ale poronienie to nie była twoja wina, matko. Straciłam dziecko, zanim to się wydarzyło.

Nagle Trudel Hergesell pośpieszyła chwiejnym krokiem przez celę, złożyła głowę na piersi Anny i poskarżyła się: – Ach, matko, jaka ja jestem teraz nieszczęśliwa! Powiedz mi, że Karli to przeżyje!

A Anna Quangel pocałowała ją i szepnęła: – Będzie żył, Trudel, i ty też będziesz żyć! Przecież nie zrobiliście nic złego!

Przez chwilę stały objęte w milczeniu. Jedna wsparła się na miłości drugiej, obudziła się znów odrobina nadziei.

A potem Trudel potrząsnęła głową i powiedziała: – Nie, my też cało z tego nie wyjdziemy. Zbyt wiele się dowiedzieli. To prawda, co powiedziałaś, że właściwie nie zrobiliśmy nic złego. Karli przechowywał dla kogoś walizkę, nie wiedząc, co jest w środku, a ja podłożyłam dla taty pocztówkę. Ale oni mówią, że to zdrada stanu i że płaci się za to głowę.

– To na pewno powiedział ten Laub, co za okropny typ!

– Nie wiem, jak on się nazywa, ale to wszystko jedno. Oni wszyscy są tacy sami! Ci, którzy mnie tu przyjmowali też, wszyscy są siebie warci. Ale to może dobrze, że tyle się uzbierało, bo siedzieć latami w więzieniu...

– Ich panowanie nie będzie trwać latami, Trudel!

– Kto wie? A co zrobili Żydom i innym narodom, i to bezkarnie! Czy ty naprawdę wierzysz, matko, że Bóg istnieje?

– Tak, Trudel, wierzę. Otto nigdy by na to nie pozwolił, ale to jest moja jedyna tajemnica przed nim: wciąż wierzę w Boga.

– Ja nigdy w niego tak naprawdę nie wierzyłam. Ale byłoby pięknie, gdyby Bóg istniał, wtedy wiedziałabym, że Karli i ja po śmierci będziemy razem!

– Będziecie, Trudel. Popatrz, Otto też nie wierzy w Boga. Mówi, że wie, że wraz ze śmiercią wszystko się kończy. Ale ja wiem, że gdy umrzemy, będę z nim już na zawsze. Ja to wiem, Trudel!

Trudel spojrzała na pryczę z leżącą na niej nieruchomą postacią, bała się.

Powiedziała: – Ta kobieta tam nie wygląda dobrze! Boję się, jak na nią patrzę, taka opuchnięta i te plamy! Nie chciałabym tak leżeć, mammo!

– Leży tak już trzeci dzień, Trudel, wciąż jej nie zabrali. Wyglądała bardzo ładnie, jak umarła, taka spokojna i uroczyista. Ale teraz dusza już z niej uleciała, teraz leży tam niczym kawałek zepsutego mięsa.

– Powinni ją zabrać! Nie mogę na nią patrzeć! Nie chcę już wdychać tego smrodu!

I zanim Anna Quangel zdążyła temu zapobiec, Trudel podbiegła do drzwi. Załomotała rękami w żelazną blachę i zaczęła krzyczeć: – Otwierać! Otwierać natychmiast! Słyszycie!

To było zabronione, każdy hałas był zakazany, właściwie nawet rozmowy były zakazane.

Anna Quangel pośpieszyła do Trudel, mocno złapała ją za rękę, odciągnęła od drzwi i wyszeptwała przerażona: – Nie wolno tak robić, Trudel! To zakazane! Przyjdą i będą cię bić!

Lecz było już za późno. Trzasnął zamek w drzwiach i do środka wpadł bardzo wysoki esesman z uniesioną gumową pałką.

– Co się tak wydzieracie, dziwki? – ryknął. – Macie jakieś rozkazy do wydania, kurewska hołoto?

Obie kobiety patrzyły na niego z kąta wystraszone.

Nie podszedł do nich, żeby je bić. Opuścił pałkę i wymamrotał:

– Cuchnie tu jak w trupiarni! Jak długo ona tu leży?

To był młodziutki chłopak, twarz całkiem mu pobladła.

– Już trzeci dzień – powiedziała Anna. – Ach, niech pan będzie taki

dobry i sprawi, żeby ją stąd zabrano! Tu naprawdę nie da się oddychać!

Esesman wymamrotał coś i wyszedł z celi. Lecz nie zamknął za sobą drzwi, tylko je przymknął.

Po cichu zakradły się obie do drzwi, popchnęły je odrobinę, tylko odrobinę, i wdychały przez szparę wypełnione zapachem kloaki i środków dezynfekujących powietrze z korytarza, które zdawało im się balsamiczne.

A potem wycofały się, bo młody esesman nadchodził korytarzem.

– No! – powiedział, trzymając w dłoni jakąś karteczkę. – To bierzcie się za to! Ty, stara, weźmiesz ją za nogi, a ty, młoda, za głowę. I to już, chyba uniesiecie to truchło?!

Przy całej swojej surowości jego głos brzmiał niemal dobrodusznie, pomógł im też przy dźwiganiu.

Szli długim korytarzem, a potem minęli zamkniętą żelazną kratę, ich towarzysz pokazał wartownikowi karteczkę i zeszedł w dół po wielu metalowych schodach. Zrobiło się wilgotno, elektryczne światło lśniło ponuro.

– Tu! – powiedział esesman i otworzył jakieś drzwi. – To jest trupiarnia. Połóżcie ją tutaj, na pryczy. Tylko ją rozbierzcie. Ubrań brakuje. Wszystko się przyda!

Roześmiał się, lecz jego śmiech brzmiał jak wymuszony.

Kobiety wydały z siebie okrzyk przerażenia. Gdyż w tej prawdziwej trupiarni leżeli martwi mężczyźni i kobiety, wszyscy nadzy, tak jak przyszli na ten świat. Leżeli tam z poobijanymi twarzami, krwawymi sińcami, powykęcanyimi członkami, pokryci skorupą krwi i brudu. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby zamknąć im oczy, wpatrywali się przed siebie nieruchomo, a niektórzy zdawali się chytrze mrugać, jakby byli ciekawi i cieszyli się z kolejnej osoby, którą im tu przyniesiono.

A gdy Anna i Trudel drżącymi rękoma starały się możliwie jak

najszybciej rozebrać martwą Bertę z ubrań, nie mogły się powstrzymać od rzucania raz po raz okiem za siebie, na zbiorowisko trupów, na matkę, której długa, obwisła pierś wyszła już na zawsze, na staruszką, który z pewnością miał nadzieję, że po ciężko przepracowanym życiu umrze spokojnie we własnym łóżku, na młodą dziewczynę o białych ustach, stworzoną do dawania i przyjmowania miłości, na chłopca ze zmiażdżonym nosem i proporcjonalnym ciałem, które wyglądało niczym poźółkła kość słoniowa.

W pomieszczeniu panowała cisza, ubrania martwej Berty szeleściły cichutko w rękach obu kobiet. A potem zabręczała jakaś mucha i znów zapadła zupełna cisza.

Esesman stał z rękoma w kieszeniach i przyglądał się, jak obie kobiety pracują. Ziewnął, zapalił papierosa i powiedział: – Tak, tak, takie jest życie! – I znów zapadła cisza.

Potem, gdy Anna Quangel zawiązała ubrania w węzełek, rzucił: – To idziemy!

Lecz Trudel Hergesell położyła mu dłoń na czarnym rękawie i poprosiła: – Och, proszę, bardzo proszę! Niech mi pan pozwoli się tutaj rozejrzeć! Mój mąż, może on też leży tu na dole...

Patrzył na nią przez chwilę. I nagle powiedział: – Dziewczyno! Dziewczyno! Co ty tu robisz? – Powoli pokręcił głową. – W domu na wsi mam siostrę, musi być w twoim wieku. – Popatrzył na nią jeszcze raz. – To rozejrzyj się. Byle szybko!

Przeszła cicho pomiędzy trupami. Zaglądała we wszystkie martwe twarze. Niektóre były tak zniekształcone zadanyimi ranami, że nie dało się ich rozpoznać, lecz kolor włosów, znamię na ciele zdradzały, że to może być Karl Hergesell.

Wróciła bardzo blada.

– Nie, nie ma go tutaj. Jeszcze go nie ma.

Wartownik unikał jej wzroku. – Więc idziemy! – powiedział i przepuścił je przodem.

Lecz tak długo, jak miał tego dnia wartę na ich korytarzu, raz po raz otwierał drzwi, żeby do celi napłynęło czystsze powietrze. Przyniósł im także świeżą pościel na pryczę po zmarłej – a w tym pozbawionym litości piekle było to prawdziwe zmiłowanie.

Tego dnia przesłuchanie obu kobiet przez komisarza Lauba niewiele przyniosło. Pocieszyły się nawzajem i odczuły odrobinę życzliwości, nawet ze strony esesmana, były silne.

Lecz przyszło jeszcze wiele dni, a tamten esesman już nigdy nie miał warty na ich korytarzu. Pewnie go zmieniono, bo się nie nadawał, był za bardzo ludzki, żeby odbywać tu służbę.

ROZDZIAŁ 56.

Baldur Persicke składa wizytę

Baldur Persicke, dumny uczeń szkoły Napola, najbardziej udany potomek domu Persicków, załatwił swoje sprawy w Berlinie. Może w końcu jechać z powrotem i dalej kształcić się na pana świata. Znów sprowadził matkę z jej kryjówki u krewnych i surowo jej przykazał, żeby nie opuszczała już mieszkania, bo nie wiadomo, co może jej się przydarzyć. Odwiedził też swoją siostrę w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück.

Nie szczędził jej wyrazów uznania z powodu skutecznego poganiania do pracy starszych kobiet, a wieczorem brat i siostra z kilkoma innymi nadzorczykami z Ravensbrück i kilkoma kolegami z Fürstenbergu^[71] urządzili sobie soczystą orgietkę w kręgu najbliższych przyjaciół, z dużą ilością alkoholu, papierosów i „miłości”...

Lecz główne wysiłki Baldura Persickego koncentrowały się na załatwianiu poważniejszych interesów. Ojciec, stary Persicke, popełnił po pijaku parę głupstewek, ponoć w kasie brakowało pieniędzy, miał nawet stanąć przed sądem partyjnym. Lecz Baldur wykorzystał wszystkie swoje kontakty, przedstawiał zaświadczenia lekarskie, że ojciec cierpi na uwiad starczy, żebrał i groził, działał energicznie, ale z pokorą, skutecznie wykorzystał też odpowiednio włamanie, podczas którego pieniądze zostały ponownie skradzione – i w końcu najwierniejszy

[71] Fürstenberg – miasto w Brandenburgii nad rzeką Hawelą, w jego dzielnicy Ravensbrück znajdował się podczas II wojny światowej kobiecy obóz koncentracyjny, do którego trafiło 132 tysiące kobiet i dzieci wielu narodowości, głównie Polek (zamordowano ok. 92 tysięcy).

syn domu faktycznie doprowadził do tego, że cała ta cuchnąca sprawa została zakończona bez rozgłosu. Nie musiał nawet sprzedawać niczego z mieszkania, manko zaksięgowano jako kradzież. Ale oczywiście nie kradzież dokonaną przez starego Persickego, o nie, nie! Tylko kradzież dokonaną przez Barkhausena i współników, i już, a honor Persicków pozostał nieskalany.

I podczas gdy Hergesellom groziły razy i śmierć za przestępstwo, którego nie popełnili, członek partii Persicke został rozgrzeszony z popełnionego występku.

A więc wszystko to Baldur Persicke załatwił jak trzeba, tak jak można się było tego spodziewać. Może wrócić do swojej szkoły Napola, lecz najpierw chce jeszcze spełnić wynikający z poczucia przyzwoitości obowiązek, chce odwiedzić swojego ojca w lecznicy dla nałogowych pijaków. Poza tym chciałby zapobiec powtórzeniu się takiej sytuacji i zapewnić wylęknionej matce bezpieczeństwo w mieszkaniu.

Ponieważ jest Baldurem Persickem, natychmiast otrzymuje zezwolenie na odwiedziny i może nawet porozmawiać z ojcem sam na sam, bez nadzoru lekarza i pielęgniarki.

Baldur odkrywa, że stary bardzo podupał na wyglądzie, zapadł się w sobie niczym nadmuchiwana gumowa zabawka, którą ktoś przekłuł igłą.

Tak, dobre czasy zbankrutowanego szynkarza minęły, jest już tylko zjawą, lecz zjawą, która nie jest wolna od zachcianek. Ojciec zebrze u syna o coś do zapalenia, a syn kilka razy się waha („Ty stary przestępcu, wcale sobie na to nie zasłużyłeś”), lecz w końcu daje staremu papierosa. Gdy jednak stary Persicke błaga syna, by ten choć raz przeschmuglował dla niego flaszkę wódki, Baldur tylko się śmieje. Klepie ojca w wychudzone, drżące kolano i mówi: – To już się dla ciebie skończyło, ojcze! Wódki do wychlania nie dostaniesz już nigdy w życiu, za wiele głupich numerów mi przez nią wykreciłeś!

I podczas gdy ojciec patrzy złym okiem, zadowolony z siebie syn opowiada o całym trudzie, jaki sobie zadał, żeby wyciszyć sprawę owych głupich numerów.

Stary Persicke nigdy nie był wytrawnym dyplomatą, zawsze wprost wyrażał swoje zdanie i nigdy nie myślał o tym, co czują inni. Więc i teraz mówi:

– Zawsze była z ciebie samochwała, Baldur! Przecie wiedziałem, że ze strony partii nic mi nie będzie, przecie od piętnastu lat siedzę w tym kramie Hitlera! Nie, jeśli zadałeś sobie trud, to wyłącznie z własnej głupoty. Załatwiłbym to paroma zdaniem, gdybym tylko stąd wyszedł!

Ojciec jest głupi. Gdyby choć trochę synowi przypochlebił, podziękował mu i go pochwalił, Baldur Persicke prawdopodobnie byłby łaskawiej usposobiony. Lecz teraz głęboko zraniono jego próżność i rzuca tylko krótko: – Tak, gdybyś tylko stąd wyszedł, ojcze! Ale ty już nigdy nie wyjdiesz z tego domu wariatów, nigdy w życiu!

Na te bezlitosne słowa ojca ogarnia taki strach, że drży na całym ciele. Lecz opanowuje się i mówi: – Ciekawe, kto da radę mnie tu zatrzymać! Jak na razie to jestem wolny człowiek, a naczelny lekarz, doktor Martens, sam mi powiedział, że jeśli wytrzymam kolejne sześć tygodni kuracyi, to bede mógł wyjść. Bede już zdrowy.

– Nigdy nie będziesz już zdrowy, ojcze – mówi z drwiną Baldur. – Zawsze zaczynasz potem te swoje pijatyki. To już się zdarzyło wystarczająco wiele razy. Powiem to też potem lekarzowi naczelnemu i postaram się, żebyś został ubezwłasnowolniony!

– On tego nie zrobi! Doktor Martens bardzo mnie lubi, powiedział, że nikt nie umie opowiadać takich świństw jak ja! On mi tego nie zrobi. A poza tym obiecał mi solennie, że wypuści mnie za sześć tygodni!

– Gdy mu jednak opowiem, że właśnie chciałeś mnie namówić, żebym przeschmuglował dla ciebie flaszkę, to zmieni zdanie co do twojego

powrotu do zdrowia!

– Nie zrobisz tego, Baldurze! Jesteś przecie moim synem, a ja jestem twoim ojcem...

– I co z tego? Czyimś synem muszę być i uważam, że dostał mi się akurat jeden z najpodlejszych ojców.

Popatrzył na swego ojca z pogardą. A potem dodał:

– Nie, nie, ojcze, to już koniec, przyzwyczajaj się do myśli, że zostajesz tutaj. Na zewnątrz tylko wszystkich byś kompromitował!

Stary jest zrozpaczony. Mówi: – Matka nigdy na to nie pozwoli, na ubezwłasnowolnienie i na to, żebym został tu na zawsze!

– No, sądząc po tym, jak wyglądasz, długo to nie potrwa! – śmieje się Baldur i zakłada jedną nogę w elegancko odpasowanych bryczesach na drugą. Z zadowoleniem przygląda się wypracowanemu przez matkę połyskowi swoich oficerek. – A matka tak się ciebie boi, że nawet nie chce cię odwiedzić. Myślisz, że matka zapomniała, jak trzymałeś ją za szyję i dusiłeś? Matka nigdy ci tego nie wybaczy!

– W takim razie napisze do Führera! – wykrzyknął wzburzony stary Persicke. – Führer nie zostawi starego bojownika w potrzebie!

– A do czego ty się możesz Führerowi jeszcze przydać? Führer ma cię gdzieś, nawet nie zwróci uwagi na to, co nakradłeś! Poza tym nie potrafisz już nawet pisać tymi swoimi starymi, trzęsącymi się pijackimi rękoma, a zresztą nie wypuszczą stąd żadnego twojego listu, już ja o to zadbam! Szkoda byłoby papieru!

– Baldur, zmiłuj ty się nade mną! Przecie byłeś kiedyś małym chłopcem! W niedzielę chodziłem przecie z tobą na spacer. Pamiętasz, jak żeśmy się kiedyś wybrali do parku na Kreuzbergu^[72] i woda tam tak

[72] Kreuzberg – najwyższe naturalne wzniesienie w centrum Berlina (a także nazwa okręgu obok Friedrichshain). Znajduje się tam duży park (Viktoriapark) z wodospadem, stawami i łąkami.

pięknie spływała, na różowo i błękitno? Zawsze żem ci kupował kielbaski i cukierki, a jak miałeś jedenaście lat i odstawiłeś tamten numer z tym małym dzieckiem, to żem zadbał o to, cobyś nie wyleciał ze szkoły i nie trafił do poprawczaka! Kim byś był bez swojego starego ojca, Baldurze? Nie możesz mnie teraz zostawić w tym domu wariatów!

Baldur z obojętnym wyrazem twarzy wysłuchał jego długiego wywodu. A potem powiedział: – A więc teraz chcesz mi zagrać na uczuciach, ojcze? Dobrze kombinujesz. Tylko że na mnie to nie działa, powinieneś wiedzieć, że uczucia nic mnie nie obchodzą! Uczucia! Wolę dobrą kanapkę z szynką od wszystkich uczuć! Ale nie chcę być taki, dam ci jeszcze jednego papierosa, łap!

Lecz stary był zbyt zdenerwowany, żeby myśleć o paleniu. Zlekceważony papieros upadł na podłogę, pogłębiając irytację Baldura.

– Baldur! – Stary znów zaczął błagać. – Ty nie wiesz, jak tutaj jest! Tu pozwalają człowiekowi umierać z głodu, a pielęgniarki ciągle biją. I inni chorzy też mnie biją. Mam takie roztrzęsione ręce, że nawet nie mogę się bronić, a oni zabierają mi nawet tę odrobinę jedzenia...

Gdy stary tak błagał, Baldur przygotował się do wyjścia, lecz ojciec uczeplił się go, mocno trzymał się syna i coraz żarliwiej mówił: – I dzieją się tu o wiele gorsze rzeczy. Czasami naczelnny pielęgniarz daje chorym, którzy byli trochę za głośno, strzykawkę z takim zielonym czymś, nie wiem, jak to się nazywa. Oni potem zawsze wymiotują, jakby chcieli wyrzygać wszystkie wnętrzności, a potem już ich nie ma. Są martwi, Baldurze, chyba nie chcesz, żeby twój ojciec umarł w taki sposób, żeby wyrzygał sobie wszystkie wnętrzności, twój własny ojciec! Baldurze, bądź dobry, pomóż mi! Zabierz mnie stąd, ja tak się boję!

Lecz Baldur Persicke dość się już nasłuchał tych płaczów. Brutalnie uwolnił się od starego Persickego, wcisnął go w krzesło i powiedział: – No to powodzenia, ojcze! Pozdrowię od ciebie matkę. I pamiętaj, że tam

koło stołu wciąż leży papieros. Szkoda by go było!

Z tymi słowami nieodrodny syn swojego ojca, a obaj byli efektami hitlerowskiego wychowania, wyszedł.

Jednakże Baldur nie opuścił jeszcze zakładu dla nałogowych pijaków, tylko kazał się zameldować u naczelnego lekarza, doktora Martensa. Miał szczęście, lekarz naczelny był obecny i mógł z nim porozmawiać. Grzecznie przywitał gościa, a potem przez chwilę obaj uważnie mierzyli się wzrokiem.

Potem lekarz naczelny powiedział: – Widzę, że jest pan w szkole Napola, panie Persicke, chyba że się myłę?

– Nie, panie doktorze, jestem w szkole Napola – odpowiedział Baldur z dumą.

– Tak, dziś tak wiele robi się dla naszej młodzieży – stwierdził lekarz naczelny, kiwając głową z uznaniem. – Szkoda, że ja nie otrzymałem takiego wsparcia w młodości. Nie został pan jeszcze powołany do służby wojskowej, panie Persicke?

– Zwykły pobór raczej mnie ominie – odparł niedbale Baldur Persicke pogardliwym tonem. – Otrzymam w zarząd jakiś wielki obszar ziemski, Ukrainę albo Krym. Kilkadziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych.

– Rozumiem. – Lekarz skinął głową. – I teraz zdobywa pan niezbędną do tego wiedzę?

– Rozwijam swoje zdolności przywódcze – wyjaśnił skromnie Baldur. – Do wszystkich spraw merytorycznych będę dysponował podległym mi personelem. Ale ja będę tych ludzi mocno przyciskać. A iwanów będę ćwiczyć. Jest ich o wiele za dużo!

– Rozumiem. – Doktor Martens znów pokiwał głową. – Wschód to nasze przyszłe obszary osiedleńcze.

– Tak jest, panie doktorze, za dwadzieścia lat aż po brzegi Morza Czarnego i aż po Ural nie będzie już żadnych Słowian. To wszystko

będzie czysto niemiecka ziemia. Jesteśmy nowymi krzyżowcami!

Oczy Baldura błysnęły zza okularów.

– I to wszystko będziemy zawdzięczać Führerowi – stwierdził lekarz naczelny. – Jemu i jego zwolennikom!

– Jest pan w partii, doktorze Martens?

– Niestety nie. Prawdę mówiąc, mój dziadek popełnił głupstwo, typowa skaza, rozumie pan? – I pośpiesznie kontynuował: – Ale sprawę załatwiono i uporządkowano, moi przełożeni wstawili się za mną, uchodzę za czystego Aryjczyka. To znaczy, jestem nim. Mam nadzieję, że wkrótce będę mógł nosić znak swastyki.

Baldur siedział mocno wyprostowany. Jako czysty Aryjczyk czuł się o wiele lepszy od swojego rozmówcy, który musiał korzystać z bocznych ścieżek. – Chciałbym porozmawiać z panem o moim ojcu, panie doktorze – powiedział, a jego ton przypominał ton przełożonego.

– Och, z pana ojcem wszystko przebiega gładko, panie Persicke! Myślę, że za sześć, osiem tygodni będziemy mogli go wypisać jako zdrowego...

– Mojego ojca nie da się wyleczyć! – przerwał mu szorstko Baldur Persicke. – Mój ojciec pił, odkąd pamiętam. I jeśli wypuści pan go stąd przed południem jako wyleczonego, po południu zjawi się u nas już pijany. Już my znamy takie ozdrowienia. Moja matka i moje rodzeństwo pragną, by ojciec spędził tutaj resztę swojego życia. Ja także przyłączam się do tego życzenia, panie doktorze!

– Oczywiście, oczywiście! – zapewnił pośpiesznie lekarz. – Porozmawiam na ten temat z panem profesorem...

– To nie będzie potrzebne. Wiążące jest to, co my sobie tutaj ustalimy. Gdyby mój ojciec rzeczywiście trafił z powrotem do nas do domu, postaramy się, żeby jeszcze tego samego dnia został tutaj przywieziony, i to w stanie całkowitego upojenia alkoholowego! Tak wyglądałoby

pańskie pełne uleczenie, panie doktorze, i zaręczam panu, że skutki nie byłyby dla pana zbyt przyjemne!

Obaj popatrzyli na siebie przez szkła okularów. Lecz niestety lekarz naczelny był tchórzem i spuścił wzrok pod bezwstydnie beczelnym spojrzeniem Baldura. Powiedział: – Oczywiście, u pijaków, u alkoholików, niebezpieczeństwo nawrotu jest zawsze bardzo duże. A skoro pański ojciec, jak mi pan właśnie opowiedział, pił od zawsze...

– Przepił swoją knajpę. Przepijał wszystko, co zarobiła moja matka. A dziś przepiłby wszystko, co zarabia czwórka jego dzieci, gdybyśmy mu na to pozwolili. Mój ojciec zostaje tutaj!

– Pański ojciec zostaje tutaj. Na razie. Gdyby pan kiedyś podczas wizyty, może już po wojnie, odniósł mimo wszystko wrażenie, że pańskiemu ojcu wyraźnie się poprawiło...

Baldur Persicke znów wszedł lekarzowi w słowo. – Mój ojciec nie będzie już miał wizyt, nie będę go odwiedzać ani ja, ani moje rodzeństwo, ani nasza matka. Wiemy, że jest tu w dobrych rękach, to nam wystarczy. – Baldur spojrział na lekarza przenikliwie, wbił w niego swój wzrok. Podczas gdy dotąd mówił głośnym, niemal rozkazującym tonem, teraz powiedział cicho: – Mój ojciec wspomniał o pewnych zielonych strzykawkach, panie doktorze...

Lekarz naczelny lekko się wzdrygnął. – To środek wyłącznie wychowawczy. Używany tylko okazjonalnie w przypadku krnąbrnych młodszych pacjentów. Już sam wiek pańskiego ojca wyklucza...

I po raz kolejny mu przerwano. – Mój ojciec dostał już taki zielony zastrzyk.

Lekarz wykrzyknął: – To wykluczone! Niech pan wybaczy, panie Persicke, ale musiała zajść jakaś pomyłka!

Baldur odparł z naciskiem: – Mój ojciec opowiedział mi o tym zastrzyku. Opowiedział mi, że dobrze mu zrobił. Dlaczego dalej nie jest

leczony w ten sposób, panie doktorze?

Lekarz był okropnie zmieszany. – Ależ panie Persicke! To środek czysto wychowawczy! Pacjent potem wymiotuje godzinami, często całymi dniami!

– No i co z tego? Niech wymiotuje! Może lubi wymiotować! Mnie zapewniał, że zielony zastrzyk dobrze mu zrobił. Nie może się doczekać kolejnego. Dlaczego odmawia mu pan lekarstwa, które przynosi poprawę?

– Nie, nie! – powiedział szybko lekarz. I dodał, wstydząc się samego siebie: – To musi być jakieś nieporozumienie! Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby jakiś pacjent chciał zastrzyk z...

– Panie doktorze, kto rozumie pacjenta lepiej niż jego własny syn? I powinien pan wiedzieć, że jestem ukochanym synem mojego ojca. Byłbym panu naprawdę bardzo zobowiązany, gdyby pan już teraz, jeszcze w mojej obecności, wydał naczelnemu pielęgniarzowi, czy kto tam za to odpowiada, polecenie, żeby natychmiast podać mojemu ojcu taki zastrzyk. Pojechałbym wtedy do domu, że tak powiem, spokojniejszy, że spełniłem życzenie starego człowieka!

Poblady lekarz wpatrywał się w twarz swojego rozmówcy.

– Więc pan to mówi na poważnie? Mam to zrobić teraz, natychmiast? – wymamrotał.

– Ale czy moja decyzja pozostawia jakiegokolwiek wątpliwości, panie doktorze? Wydaje mi się, że jak na lekarza naczelnego jest pan zdecydowanie za miękki. Miał pan wcześniej całkowitą słuszność: powinien był pan chodzić do szkoły Napola i lepiej rozwinąć swoje zdolności przywódcze! – I dodał złośliwie: – Oczywiście przy pańskiej skazie pochodzenia są jeszcze inne możliwości kształcenia...

Po dłuższej przerwie lekarz powiedział cicho: – Pójdę więc teraz i zrobię pańskiemu ojcu zastrzyk...

– Ależ, proszę, doktorze Martens, dlaczego nie zleci pan tego

naczelnemu pielęgniarzowi? To chyba należy do jego obowiązków?

Lekarz siedział, tocząc w duchu wewnętrzną walkę. W pokoju znów panowała całkowita cisza.

A potem powoli wstał. – Powiadomię więc naczelnego pielęgniarza...

– Chętnie panu potowarzyszę. Bardzo mnie zainteresował pański zakład. Rozumie pan, selekcja nienadających się do życia, sterylizacja i tak dalej...

Baldur Persicke stał obok, gdy lekarz dawał naczelnemu pielęgniarzowi wytyczne. Pacjentowi Persickemu należy zaordynować taki a taki zastrzyk...

– Czyli zastrzyk na rzyganie, mój drogi! – odpowiedział łaskawie Baldur. – Ile pan tego zwykle podaje? Ach tak, no ale odrobina więcej też przecież nie zaszkodzi, co? Niech pan tu podejdzie, mam kilka papierosów. Proszę, niech pan weźmie sobie całą paczkę!

Naczelny pielęgniarz podziękował i odszedł, trzymając w dłoni strzykawkę pełną zielonej cieczy.

– No, ma pan tutaj niezłego byczka z tego naczelnego pielęgniarza! Mogę sobie wyobrazić, że jak wkracza do akcji, to aż wióry lecą. Mięśnie, mięśnie to połowa sukcesu, doktorze Martens! No, to jeszcze raz pięknie dziękuję, panie doktorze! Mam nadzieję, że kuracja dalej przebiegać będzie z powodzeniem. W takim razie: Heil Hitler!

– Heil Hitler, panie Persicke!

Wróciwszy do swojego gabinetu, lekarz naczelny Martens opadł ciężko na fotel. Czuł, że drży na całym ciele, a zimny pot zalewa mu czoło. Wciąż nie mógł się uspokoić. Wstał i podszedł do szafki z lekarstwami. Powoli naciągnął strzykawkę. Nie była to jednak zielona ciecz, choć okropnie zbierało mu się na wymioty, gdy myślał o całym świecie, a szczególnie o swoim życiu. Doktor Martens preferował morfinę.

Wrócił na fotel i wyciągnął wygodnie nogi, czekając na działanie

narkotyku.

Ależ ze mnie tchórz! – pomyślał. Aż się rzygać chce, taki tchórz! Ten podły, bezczelny pętał – prawdopodobnie jedyne wpływy, jakie posiada, to fakt, że jest wygadany. A ja się przed nim płaszczę. Choć wcale nie musiałem. Lecz wciąż ta przekłeta babka i to, że nie potrafię utrzymać języka za zębami! A przy tym była taką uroczą starszą damą i ja tak bardzo ją kochałem...

Zanurzył się we wspomnieniach i ujrzał przed sobą na powrót starszą panią o pięknej twarzy. W jej mieszkaniu wszędzie pachniało potpourri z płatkami róż i anyżkowymi ciasteczkami. Miała taką śliczną dłoń, postarzałą rączkę dziecka...

I to przez nią upokorzyłem się przed tym małym niegodziwcem! Ale myślę, panie Persicke, że jednak nie wstąpię do partii. Myślę, że jest na to za późno. I tak to wszystko z wami trwa już trochę za długo!

Zamrugał oczami, przeciągnął się. Oddychał z przyjemnością, znów czuł się dobrze.

Zaraz potem pójdę zajrzeć do tego Persickego. W każdym razie więcej zastrzyków już na pewno nie dostanie. Miejmy nadzieję, że to przeżyje. Zaraz do niego zajrę, tylko najpierw nacieszę się cudownym działaniem morfiny. Ale zaraz potem – słowo honoru!

ROZDZIAŁ 57.

Kolejny współlokator Ottona Quangla

Gdy Otto Quangel został wprowadzony przez strażnika do swojej nowej celi w areszcie śledczym, wysoki mężczyzna wstał od stołu, przy którym czytał, i stanął pod oknem celi w przepisowej postawie z rękoma wzdłuż szwu spodni. Lecz sposób, w jaki oddawał owe „honory”, zdradzał, że nie uważa ich za szczególnie konieczne.

Strażnik natychmiast machnął ręką. – Już dobrze, panie dochtórze – powiedział. – Ma pan nowego współlokatora!

– Pięknie! – stwierdził mężczyzna, który w oczach Ottona Quangla, w tym swoim ciemnym garniturze, sportowej koszuli i krawacie wyglądał raczej jak jeden z „panów” niż kolega z celi. – Pięknie! Nazywam się Reichhardt, jestem muzykiem. Oskarżony o komunistyczne knowania. A pan?

Quangel poczuł mocny uścisk jego chłodnej dłoni. – Quangel – powiedział z wahaniem. – Jestem stolarzem. Rzekomo popełniłem zdradę kraju i zdradę stanu. – Ej, panie! – zawołał doktor Reichhardt, muzyk, do strażnika, który właśnie zamierzał zamknąć drzwi. – Od dzisiaj będą dwie porcje, tak?

– Dobrze już, dobrze, panie dochtórze! – odpowiedział strażnik. – Przecie som wim!

I drzwi do celi zamknęły się.

Obaj przez chwilę bacznie się sobie przyglądali. Quangel był nieufny, niemal tęsknił za swoim psem Karolkiem w piwnicy Gestapo. Teraz miał dzielić celę z tym eleganckim panem, prawdziwym doktorem. Czuł się z

tym nieswojo.

W oczach owego „pana” pojawił się uśmiech. A potem powiedział: – Niech pan się zachowuje tak, jakby pan był tu sam, jeśli pan tak woli. Nie będę panu przeszkadzał. Dużo czytam, sam ze sobą gram w szachy. Gimnastykuję się, żeby utrzymać ciało w kondycji. Czasem trochę sobie podśpiewuję, ale bardzo cicho, bo to oczywiście zakazane. Czy to będzie panu przeszkadzać?

– Nie, to nie będzie mi przeszkadzać – odpowiedział Quangel. I niemal wbrew swej woli dodał: – Trafiłem tutaj z bunkra Gestapo, gdzie przez trzy tygodnie byłem zamknięty z szaleńcem, który cały czas biegał nago i udawał psa. Mało co będzie mi teraz przeszkadzać.

– Dobrze! – stwierdził doktor Reichhardt. – Co prawda byłoby jeszcze lepiej, gdyby muzyka choć trochę pana cieszyła. W tych murach to jedyny sposób zapewnienia sobie harmonii.

– Na tym się nie znam – odparł lekceważąco Otto Quangel. I dodał: – To eleganckie miejsce w porównaniu z tym, gdzie byłem, co?

Pan doktor znów usiadł przy stole i wziął do ręki książkę. Odpowiedział przyjaznym tonem: – Ja też przebywałem jakiś czas tam, gdzie pan. Tak, tutaj jest trochę lepiej. Przynajmniej nas nie biją. Strażnicy są zwykle tępi, ale nie całkiem schamieli. Jednak więzienie to więzienie, sam pan rozumie. Mam kilka udogodnień. Mogę na przykład czytać, palić, sprowadzać własne jedzenie, mieć własne ubrania i pościel. Ale jestem wyjątkowym przypadkiem, a areszt z udogodnieniami to wciąż areszt. Trzeba dojść do tego, żeby nie czuć już krat.

– I doszedł pan do tego?

– Chyba tak. Zwykle tak, ale nie zawsze. Zdecydowanie nie zawsze. Na przykład gdy myślę o mojej rodzinie, to wtedy nie.

– Ja mam tylko żonę – powiedział Quangel. – Czy w tym więzieniu jest też część dla kobiet?

– Tak, jest, ale my ich nigdy nie widzimy.

– Oczywiście, że nie. – Otto Quangel ciężko westchnął. – Moją żonę też wsadzili. Mam nadzieję, że też ją dzisiaj tutaj przywieźli. – I dodał: – Jest za delikatna na to, co musiała znosić w bunkrze.

– Miejmy nadzieję, że też tutaj jest – odparł przyjaźnie pan doktor. – Dowiemy się tego od pastora. Być może przyjdzie jeszcze dziś po południu. Poza tym może pan wziąć sobie obrońcę, jak pan już tu jest.

Skinął przyjaźnie głową do Quangla i dodał: – Za godzinę jest obiad. – Założył okulary i zaczął czytać.

Quangel patrzył na niego przez chwilę, ale pan doktor nie chciał już rozmawiać, tylko faktycznie pogрузzył się w lekturze.

Śmieszni są ci wytworni państwo! – pomyślał. Chciałem go jeszcze zapytać o tyle spraw. Ale skoro nie chce, to też dobrze. Nie będę jak pies, co to nie daje spokoju.

I nieco urażony zabrał się do ścielenia swojej pryczy.

Cela była bardzo czysta i jasna. Nie była też wcale mała, dało się zrobić trzy i pół kroku tam i znowu trzy i pół kroku z powrotem. Okno było uchylone, a powietrze świeże. Przyjemnie tu pachniało. Jak stwierdził później Quangel, ten przyjemny zapach pochodził z mydła i bielizny pana Reichhardta. Po cuchnącej, dusznej atmosferze bunkra Gestapo Quangel czuł się jak przeniesiony w jasne, wesołe miejsce.

Gdy pościelił swoje łóżko, usiadł na nim i popatrzył na swojego współlokatora. Pan doktor czytał. Dość szybko przewracał stronę za stroną. Quangel, który nie pamiętał, by od czasów szkolnych czytał jakąkolwiek książkę, pomyślał zdumiony: Co on tam tak czyta? Czy nie ma o czym myśleć, tutaj, w takim miejscu? Ja nie mógłbym tak spokojnie siedzieć i czytać! Cały czas myślę o Annie, jak do tego wszystkiego doszło i co będzie dalej, i czy wciąż dam radę zachowywać się przyzwoicie. On mówi, że mogę sobie wziąć adwokata. Ale adwokat kosztuje kupę

pieniędzy i po co mi on, skoro zostałem już skazany na śmierć? Przecież do wszystkiego się przyznałem! To taki wytworny pan, u niego wszystko wygląda inaczej. Od razu zauważyłem, jak tylko wszedłem, że strażnik zwraca się do niego per pan i doktorze. Ten to wiele nie nabroił, może sobie spokojnie czytać. Czytać i czytać...

Doktor Reichhardt tylko dwa razy przerwał swoją przedpołudniową lekturę. Za pierwszym razem, nie podnosząc wzroku, powiedział: – Papierosy i zapalki leżą w szafce, jeśli ma pan ochotę zapalić.

Lecz gdy Quangel odparł: – Ja w ogóle nie palę! Szkoda mi na to pieniędzy! – wrócił do czytania.

Za drugim razem Quangel wszedł na stółek i próbował wyrzeć na dziedziniec, z którego rozbrzmiewał miarowy szurgot wielu stóp.

– Teraz lepiej nie, panie Quangel! – powiedział doktor Reichhardt. – Teraz jest godzina rekreacji. Niektórzy funkcjonariusze zapamiętują sobie okna, z których ktoś wygląda. A potem ten ktoś trafia do ciemnicy o chlebie i wodzie. Zwykle wieczorem będzie pan mógł wyglądać przez okno.

A potem przyniesiono obiad. Quangel, który przyzwyczał się do paskudnie ugotowanego żarcia w bunkrze Gestapo, ze zdumieniem zobaczył, że tutaj dostali dwie wielkie miski z zupą oraz dwa talerze z mięsem, ziemniakami i zieloną fasolką. Lecz z jeszcze większym zdumieniem patrzył, jak jego współlokator nalewa sobie do umywalki trochę wody, dokładnie myje ręce, a potem je osusza. Doktor Reichhardt nalał świeżą wodę do umywalki i powiedział bardzo uprzejmie: – Bardzo proszę, panie Quangel! – i Quangel posłusznie też umył sobie ręce, choć przecież niczego brudnego nie dotykał.

A potem w niemal całkowitym milczeniu zjedli niezwykle smaczny, jak ocenił Quangel, obiad.

Trzy dni trwało, zanim majster pojął, że to jedzenie nie było zwykłym

wyżywieniem fundowanym aresztantom przez Trybunał Ludowy, lecz prywatnymi posiłkami pana doktora Reichhardta, którymi bez żadnych ceregieli dzielił się ze swoim współlokatorem. Tak samo był gotów dzielić się z nim wszystkim innym, papierosami, mydłem, książkami, wystarczyło, żeby Quangel tylko chciał.

A jeszcze kilka kolejnych dni trwało, zanim Otto Quangel pokonał nieufność, która zrodziła się w nim nagle wobec doktora Reichhardta w obliczu wszystkich tych przejawów sympatii. Kto cieszył się tak niesamowitymi przywilejami, musiał być szpiclem Trybunału Ludowego, ta myśl mocno w nim utkwiła. Ktoś, kto wyświadczał drugiemu tyle uprzejmości, musiał czegoś od niego chcieć. Miej się na baczności, Quangel!

Ale czego ten człowiek mógł od niego chcieć? W sprawie Quangla wszystko było jasne, przed sędzią śledczym Trybunału sucho i zwięźle powtórzył swoje zeznania, które złożył już wcześniej przed komisarzami Escherichem i Laubem. Opowiedział wszystko dokładnie tak, jak było, a jeśli akta nie zostały jeszcze przekazane celem wniesienia oskarżenia i ustalenia terminu procesu, to wyłącznie z tego powodu, że pani Anna z taki samym uporem utrzymywała, że tak właściwie to ona wszystko robiła, a jej mąż był tylko narzędziem w jej rękach. Lecz to wszystko w żadnym razie nie stanowiło powodu, by obdarzać Quangla drogimi papierosami i sycącym, ładnie podanym jedzeniem. Sprawa była jasna, u niego nie było co szpiegować.

W gruncie rzeczy Quangel przewyciężył swą nieufność wobec doktora Reichhardta dopiero pewnej nocy, gdy jego współlokator, ten wyniosły i wytworny pan, wyznał mu szeptem, że on też często odczuwa przeraźliwy strach przed śmiercią, czy to na gilotynie, czy na stryczku, i że czasem myśli o tym godzinami. Doktor Reichhardt wyznał też, że czasami tylko mechanicznie przewraca strony książki, a przed oczami ma

nie czarny druk, lecz szary betonowy dziedziniec więzienia, szubienicę z kołyszącym się na wietrze stryczkiem, który w trzy do pięciu minut przemienia zdrowego, silnego mężczyznę w ohydny, zbędny kawał truchła.

Lecz jeszcze straszliwsze niż taki koniec, który z każdym dniem nieuchronnie zbliżał się do doktora Reichhardta (podług jego mocnego przekonania), jeszcze straszliwsza była troska o rodzinę. Quangel dowiedział się, że Reichhardt ma z żoną troje dzieci, dwóch chłopców i dziewczynkę, najstarsze miało jedenaście lat, a najmłodsze cztery. I Reichhardt często czuł strach, przerażający, paniczny strach, że prześladowcy nie zadowolą się zamordowaniem ojca, tylko rozciągną swą zemstę także na niewinną żonę i dzieci, zabiorą ich do kacetu i powoli zamęcą na śmierć.

Wobec takich trosk nie tylko wyparowała nieufność Quangla, lecz wydał się on sobie w porównaniu z tym człowiekiem niemal uprzywilejowany. Martwił się tylko o Annę, i nawet jeśli jej zeznania były sprzeczne i nierozsądne, to on domyślał się dzięki nim, że Anna odzyskała siłę i odwagę. Pewnego dnia oboje będą musieli razem umrzeć, lecz to umieranie będzie łatwiejsze dzięki temu, że odbędzie się wspólnie, że nie zostawią na tym świecie nikogo, o kogo musieliby się lękać w godzinie śmierci. Cierpienia, które przeżywał doktor Reichhardt z powodu żony i trójki dzieci, były bez porównania większe. Będą mu towarzyszyć nawet w ostatniej sekundzie umierania, stary majster doskonale to rozumiał.

Czym doktor Reichhardt zawinił, że był tak pewien swej śmierci, tego Quangel nigdy się dokładnie nie dowiedział. Wydawało mu się, że jego współlokator nie działał jakoś szczególnie aktywnie przeciwko hitlerowskiej dyktaturze, nie spiskował, nie rozklejał plakatów, nie przygotowywał zamachów, tylko raczej żył po prostu zgodnie ze swoimi przekonaniem. Oparł się wszelkim narodowosocjalistycznym pokusom,

nigdy ani słowem, ani czynem, ani pieniędzmi nie wsparł ich zbiórek, za to często podnosił ostrzegawczy głos. Mówił jasno, że uważa drogę, którą pod takim przewodnictwem zmierza niemiecki naród, za zgubną, krótko rzecz ujmując, mówił wszystko to, co Quangel w kilku zdaniach nieporadnie wypisywał na pocztówkach, każdemu, czy to w kraju, czy za granicą. Gdyż nawet w ostatnich latach, latach wojny, doktor Reichhardt wyjeżdżał na koncerty za granicę.

Potrzeba było wiele czasu, żeby stolarz Quangel wyrobił sobie w miarę jasny obraz tego rodzaju pracy, jaką wykonywał doktor Reichhardt. A obraz ten nigdy nie stał się całkiem klarowny i w głębi duszy Quangel nigdy też nie uznał działalności Reichhardta za prawdziwą pracę.

Gdy pierwszy raz usłyszał, że Reichhardt jest muzykiem, pomyślał o grajkach, którzy przygrywali do tańca w kawiarenkach, a on uśmiechał się litościwie i z pogardą, że taką pracę może wykonywać silny mężczyzna o zdrowych członkach. To było dokładnie to samo co czytanie czegoś zbytecznego, to wymyślić mogli tylko wytworni państwo, którzy nie wykonywali żadnej sensownej pracy.

Reichhardt musiał obszernie i wciąż na nowo wyjaśniać staremu majstrowi, czym jest orkiestra i co robi dyrygent. Quangel nie mógł się tego nasłuchać.

– A potem staje pan z pałeczką przed swoimi ludźmi i sam na niczym nie gra...?

– Tak, tak właśnie jest.

– I tylko za to, że pan pokazuje, kiedy każdy ma zagrać i jak głośno, tylko za to dostaje pan tak dużo pieniędzy?

Tak, doktor Reichhardt obawiał się, że tak właśnie jest, że tylko za to dostawał tak dużo pieniędzy.

– Ale chyba potrafi pan sam grać, na skrzypcach albo pianinie?

– Tak, potrafię. Ale nigdy tego nie robię, przynajmniej nie przed

publicznością. Widzi pan, panie Quangel, to trochę tak jak u pana. I pan potrafi heblować i piłować, i wbijać gwoździe, ale sam pan tego nie robił, tylko nadzorował innych.

– Tak, żeby zrobili jak najwięcej. Czy pańscy ludzie grali szybciej i więcej dzięki temu, że pan tam tak stał?

– Nie, w rzeczy samej tak nie było.

Milczenie.

A potem Quangel nagle powiedział: – I ta muzyka... Widzi pan, kiedy my pracowaliśmy w naszych dobrych czasach, nie tylko nad trumnami, lecz nad meblami, kredensami, biblioteczkami i stołami, to robiliśmy coś, co dało się zobaczyć! Najlepsza stolarska robota, toczona i klejona, wytrzymałaby ze sto lat. Ale muzyka... Jak pan kończy, to z pańskiej pracy nie zostaje nic.

– Ależ tak, Quangel, zostaje radość w ludziach, którzy słuchają dobrej muzyki.

Nie, w tej kwestii nigdy nie doszli do pełnego porozumienia. W Quangule pozostała lekka pogarda dla działalności dyrygenta Reichhardta.

Lecz zrozumiał, że ten drugi jest człowiekiem uczciwym, prawdomównym, który w obliczu zagrożeń i lęków dzielnie żyje swoim życiem, zawsze uprzejmy, zawsze uczynny. Otto Quangel ze zdumieniem pojął, że uprzejmości, jakie wyświadczał mu Reichhardt, nie dotyczyły jego osoby, doktor wyświadczałby je każdemu innemu współlokatorowi, choćby nawet owemu „psu”. Przez kilka dni mieli w celi małego złodziejzaka, zepsute, zakłamanie stworzenie, i ten nicpoń korzystał z uprzejmości doktora z szyderczym śmiechem. Wypalił mu wszystkie papierosy, przehandlował jego mydło u dyżurnego, kradł chleb. Quangel najchętniej obiłby tę kreaturę, och, już stary majster doprowadziłby tego łobuza do porządku. Lecz doktor sobie tego nie życzył, wziął w obronę złodzieja, choć ten drwił z jego dobroci, uważając ją za słabość.

Gdy ten chłopak został w końcu zabrany z ich celi, gdy się okazało, że w niepojętej złośliwości podarł zdjęcie, jedyne zdjęcie żony i dzieci, jakie doktor posiadał, gdy doktor siedział smutny nad strzępkami owego zdjęcia, które nie dawały się z powrotem poskładać, i gdy rozgniewany Quangel powiedział: – Wie pan co, panie doktorze, wydaje mi się czasem, że pan jest naprawdę słaby. Gdyby mi pan od razu pozwolił porządnie zrugać tamtego szubrawca, nic takiego by się nie wydarzyło – wtedy dyrygent odpowiedział ze smutnym uśmiechem: – Czy my chcemy być tacy jak oni, Quangel? Oni przecież uważają, że nawrócą nas na swoje przekonania za pomocą bicia! Ale my nie wierzymy we władzę przemocy. Wierzymy w dobro, miłość, sprawiedliwość.

– Dobro i miłość dla takiej wrednej małpy!

– A wie pan, czemu był taki wredny? Wie pan, czy nie broni się teraz przed dobrem i miłością tylko dlatego, że się boi, że kiedy nie będzie już zły, będzie musiał żyć inaczej? Gdyby ten chłopak był tu z nami w celi jeszcze przez cztery tygodnie, na pewno zauważyłby pan poprawę.

– Ale człowiek musi też umieć być twardy, doktorze!

– Nie, wcale nie musi. Takie stwierdzenie to usprawiedliwienie dla braku serca, Quangel!

Niezadowolony Quangel pokręcił głową o ostrym, twardym ptasim profilu. Lecz już nie protestował.

ROZDZIAŁ 58.

Życie w celi

Przyzwyczajali się do siebie, stali się przyjaciółmi na tyle, na ile surowy, oschły człowiek, jakim był Otto Quangel, mógł się stać przyjacielem kogoś otwartego i dobrotliwego. Każdy ich dzień był, dzięki Reichhardtowi, dokładnie uporządkowany. Doktor wstawał bardzo wcześnie, obmywał całe ciało zimną wodą, gimnastykował się pół godziny, a potem sam sprzątał celę. Później, po śniadaniu, Reichhardt czytał przez dwie godziny, a potem przez godzinę chodził po celi tam i z powrotem, zawsze pamiętając o zdjęciu butów, żeby nie denerwować sąsiadów w celi pod nimi i nad nimi swoim nieustannym dreptaniem.

Podczas tego porannego spaceru, który trwał od dziesiątej do jedenastej, doktor Reichhardt podśpiewywał sobie. Zwykle nucił coś cichutko, gdyż po większości strażników nie można się było spodziewać niczego dobrego, a Quangel przyzwyczał się do słuchania tego nucenia. Choć nie znał się na muzyce, zauważył jednak, że to nucenie ma na niego wpływ. Czasami sprawiało, że stawał się wystarczająco odważny i silny, by znieść każdy los, a potem Reichhardt mówił: „Beethoven”. A czasami w jakiś niepojęty sposób nucenie doktora sprawiało, że czuł się lekki i wesoły jak nigdy w życiu, a wtedy Reichhardt mówił: „Mozart”, i Quangel zapominał o swoich troskach. A kiedy indziej głos doktora brzmiał ponuro i ciężko, przypominał ból w piersi Quangla i było tak, jakby znów jako chłopiec siedział z matką w kościele, mając całe życie przed sobą, i to było coś wspaniałego. A Reichhardt mówił: „Jan Sebastian Bach”.

Tak, Quangel, który nigdy nie doceniał muzyki, nie mógł się uwolnić

spod jej wpływu, nawet jeśli śpiewy i nucenia doktora nie były szczególnie wyrafinowane. Przyzwyczyił się do tego, że słucha go, siedząc na stołku, kiedy tamten chodzi tam i z powrotem, zwykle z zamkniętymi oczami, gdyż jego stopy znały wąską, krótką ścieżkę po celi. Quangel patrzył na twarz tego człowieka, tego wytwornego pana, z którym w świecie na zewnątrz nie miałyby o czym zamienić słowa, i czasem nachodziły go wątpliwości, czy na pewno prowadził swoje własne życie we właściwy sposób, w oddzieleniu od wszystkich innych, w odosobnieniu na własne życzenie.

Doktor Reichhardt mówił też czasami: – Nie żyjemy dla siebie, lecz dla innych. Tego, co robimy ze sobą, nie robimy ze sobą dla siebie, lecz dla innych...

Tak, nie było wątpliwości. Mając ponad pięćdziesiąt lat i z pewnością będąc bliski śmierci, Quangel zaczął się zmieniać. Nie podobało mu się to, bronił się przed tym, a jednak coraz wyraźniej zauważał, że się zmienia, nie tylko przez muzykę, lecz przede wszystkim przez przykład nucącego mężczyzny. On, który swojej Annie tak często nakazywał milczenie, który za najbardziej pożądanym stanem wokół siebie uważał ciszę, przyłapywał się na tym, że marzy, aby doktor Reichhardt odłożył w końcu książkę i znów coś do niego powiedział.

I zwykle jego życzeniu stawało się zadość. Nagle doktor odrywał wzrok od lektury i pytał z uśmiechem: – Tak, Quangel?

– Nic, panie doktorze.

– Nie powinien pan tyle siedzieć i się zamartwiać. Nie chciałby pan sobie może jednak poczytać?

– Nie, na to już dla mnie za późno.

– Być może ma pan rację. A co pan porabiał po pracy? Przecież taki człowiek jak pan nie mógł przez cały czas, gdy nie był pan w zakładzie, beczynnie siedzieć w domu!

– Pisałem te swoje pocztówki.

– A wcześniej, jak jeszcze nie było wojny?

Quangel musiał się najpierw porządnie zastanowić, co wcześniej robił. – Tak, tak, wcześniej to chętnie rzeźbiłem w drewnie.

A doktor odparł z namysłem: – Cóż, na to raczej nam nie pozwolą: noż! Nie możemy przecież pozbawić kata jego zarobku, Quangel!

Na to Quangel z wahaniem: – Jak to jest, doktorze, że zawsze gra pan w szachy sam ze sobą? Przecież można grać także w więcej osób?

– Tak, we dwóch. Miałby pan ochotę się nauczyć?

– Myślę, że jestem na to za głupi.

– Bzdura! Spróbujemy od razu.

I doktor Reichhardt zatrzasnął swoją książkę.

Tak to Quangel nauczył się grać w szachy. Ku swemu zaskoczeniu nauczył się tego bardzo szybko i bez żadnych trudności. I ponownie przekonał się, że jego dawny pogląd okazał się z gruntu fałszywy. Gdy widział w kawiarni, jak dwaj mężczyźni przesuwają przed sobą kawałki drewna, uważał to za nieco durne i dziecinne, nazywał to zbijaniem bąków, zabawą dla dzieci.

A teraz dowiedział się, że to przesuwanie drewnianych klocków może dawać coś na kształt szczęścia, jasność umysłu, głęboką, szczerą radość z pięknego posunięcia, odkrycie, że tak mało istotne jest, czy się wygrało, czy przegrało, że o wiele większa jest radość z pięknie rozegranej przegranej partii niż z rozgrywki, którą wygrał przez błąd ze strony doktora.

Gdy teraz doktor Reichhardt czytał, Quangel siedział naprzeciwko niego, mając przed sobą szachownicę z czarnymi i białymi figurami, z *Podręcznikiem gry w szachy* wydawnictwa Reclam autorstwa Dufresne'a obok, i ćwiczył otwarcia i końcówki. Potem przeszedł do odgrywania całych mistrzowskich partii, jego trzeźwy, jasny umysł zapamiętywał bez

wysiłku dwadzieścia, trzydzieści posunięć, więc dość szybko nadszedł dzień, w którym okazał się lepszym graczem.

– Szach i mat, panie doktorze!

– No i znowu mnie pan dopadł, Quangel! – powiedział doktor i pokłonił swojego króla przed przeciwnikiem. – Ma pan w sobie zadatki na bardzo dobrego szachistę.

– Myślę sobie teraz czasem, panie doktorze, ileż to ja mam zadatków, o których wcześniej nie miałem pojęcia. Dopiero kiedy pana poznałem, dopiero kiedy trafiłem do tego betonowego pudła, żeby umrzeć, dowiedziałem się, jak wiele przegapiłem w swoim życiu.

– Tak dzieje się z każdym. Każdy, kto musi umrzeć, a przede wszystkim każdy, kto musi umrzeć tak jak my, przedwcześnie, trapi się każdą zmitręzoną godziną swego życia.

– Ale w moim przypadku jest zupełnie inaczej, panie doktorze. Zawsze myślałem, że wystarczy, jeśli będę porządnie wykonywał swoją pracę i niczego nie przehulał. A teraz dowiaduję się, że mogłem robić całe mnóstwo innych rzeczy: grać w szachy, być miłym dla ludzi, słuchać muzyki, chodzić do teatru. Naprawdę, panie doktorze, gdybym mógł wyrazić przed śmiercią swoje ostatnie życzenie, chciałbym zobaczyć pana choć raz z pańską pałeczką podczas dużego koncertu symfonicznego, jak to pan określa. Ciekaw jestem, jak to wygląda i jakie wrażenie by to na mnie zrobiło.

– Nikt nie może robić w życiu wszystkiego, Quangel. Życie jest zbyt różnorodne. Za bardzo by się pan rozproszył. Wykonywał pan swoją pracę i czuł się pan spełnionym człowiekiem. Zanim pan tu trafił, niczego panu nie brakowało, Quangel. Pisał pan te swoje pocztówki...

– Ale one przecież na nic się nie zdały, panie doktorze! Myślałem, że padnę, jak komisarz Escherich powiedział mi, że z dwustu osiemdziesięciu pięciu kartek, które napisałem, dwieście sześćdziesiąt siedem trafiło w

jego ręce! Nie dostali tylko osiemnastu! A te osiemnaście też na nic się nie zdało!

– Kto wie? A pan przynajmniej stawiał opór złu. Nie przyłączył się pan do czynienia zła. Pan i ja, i wielu innych tu w tym budynku, i wielu, wielu innych w innych więzieniach, i dziesiątki tysięcy w kacetach – oni wszyscy wciąż stawiają opór, dziś, jutro...

– Tak, a potem odbiorą nam życie i co w takim razie dał ten nasz opór?

– Nam wiele, bo aż do śmierci czuliśmy, że jesteśmy przyzwoitymi ludźmi. A jeszcze więcej dał narodowi, który zostanie wyzwolony z woli Sprawiedliwego, jak napisano w Biblii. Widzi pan, Quangel, byłoby oczywiście sto razy lepiej, gdybyśmy mieli kogoś, kto powiedziałby nam: Musicie robić to i to, nasz plan jest taki a taki. Lecz gdyby w Niemczech był taki człowiek, nigdy nie doszłoby do tego, co się stało w 1933. Wszyscy musieliśmy działać w pojedynkę i pojedynczo nas wyłapywali, a każdy z nas będzie musiał umrzeć sam. Ale wcale nie jesteśmy sami, Quangel, wcale nie umieramy na próżno. Na tym świecie nic nie dzieje się na próżno, a ponieważ walczyliśmy z brutalną władzą o sprawiedliwość, w końcu mimo wszystko to my zwyciężymy.

– A co my będziemy z tego mieli, leżąc już w grobach?

– Ależ, Quangel! Wolałby pan żyć dla niesłusznej sprawy niż umrzeć za słuszną? Przecież nie ma innego wyboru ani dla pana, ani dla mnie. Ponieważ jesteśmy, kim jesteśmy, musieliśmy pójść tą drogą.

Długi czas milczeli.

A potem Quangel zaczął od nowa: – Te szachy...

– Tak, Quangel, co z nimi?

– Myślę sobie czasem, że źle robię, grając w nie. Przez wiele godzin mam tylko szachy w głowie, a przecież mam żonę...

– Myśli pan wystarczająco dużo o swojej żonie. Chce pan pozostać silny i dzielny. Wszystko, co podtrzymuje w panu dzielność i siłę, jest

dobrze, a to, co czyni pana słabym i wątpięcym, jak zamartwianie się, jest złe. Co da pańskiej żonie pańskie zamartwianie się? Lepiej będzie, jeśli pastor Lorenz znów będzie jej mógł powiedzieć, że jest pan dzielny i silny.

– Ale odkąd ona ma tę współlokatorkę, on nie może już rozmawiać z nią otwarcie. Pastor uważa, że ta kobieta to szpicel.

– Już pastor będzie umiał dać pańskiej żonie do zrozumienia, że dobrze się pan miewa i że czuje się pan silny. Do tego wystarczy przecież skinienie głowy czy spojrzenie. Pastor Lorenz zna się na tym.

– Chciałbym mu kiedyś dać list dla Anny – powiedział Quangel z zadumą.

– Lepiej niech pan tego nie robi. Nie odmówiłby, ale naraziłby pan jego życie na niebezpieczeństwo. Przecież pan wie, że mu nie ufają. Niedobrze by było, gdyby i nasz dobry przyjaciel wylądował w celi. I tak właściwie każdego dnia ryzykuje życie.

– Nie napiszę więc listu – powiedział Otto Quangel.

I nie uczynił tego, choć następnego dnia pastor przyniósł mu złą wiadomość, bardzo złą wiadomość, szczególnie dla Anny Quangel. Majster poprosił go tylko, żeby nie przekazywał na razie tej bardzo złej wiadomości jego żonie.

– Jeszcze nie teraz, bardzo proszę, pastarze!

A pastor mu to obiecał.

– Nie, jeszcze nie. Pan mi powie, jak nadejdzie pora, panie Quangel.

ROZDZIAŁ 59.

Dobry pastor

Pastor Fryderyk Lorenz, który niezmordowanie pełnił swą posługę w więzieniu, był człowiekiem w kwiecie wieku, to znaczy w okolicach czterdziestki, bardzo wysokim, o zapadniętej klatce piersiowej. Naznaczony gruźlicą, kasłał nieustannie, lecz ignorował chorobę, ponieważ praca nie pozostawiała mu czasu na zadbanie o własne ciało i uleczenie go. Jego bladą twarz o ciemnych oczach za okularami i wąskim, zgrabnym nosie zdobiły bokobrody, natomiast okolice ust zawsze były idealnie ogolone, ukazując wąskie i blade usta oraz mocny, zaokrąglony podbródek.

Był to człowiek, na którego codziennie czekały setki więźniów, jedyny przyjaciel, jakiego mieli w tym miejscu, który wciąż utrzymywał kontakt ze światem zewnętrznym, któremu zwierzali się ze swoich trosk i problemów i który pomagał im, ile tylko mógł, w każdym razie robił o wiele więcej, niż mu było wolno. Niestrudzenie chodził od celi do celi, nigdy nie zubożał na cierpienia innych, zawsze zapominając o własnym, wolny od lęku, jeśli chodziło o jego własną osobę. Prawdziwy duszpasterz, który nigdy nie pytał szukających pomocy o ich wyznanie, o ich wiarę, który modlił się z nimi, jeśli go o to prosili, a poza tym był dla nich jak brat.

Pastor Fryderyk Lorenz stoi przy biurku dyrektora więzienia, krople potu wystąpiły mu na czoło, policzki pokryły czerwone plamy, lecz mówi spokojnym tonem: – To siódmy spowodowany zaniedbaniem przypadek śmierci w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

– W akcie zgonu podano zapalenie płuc – protestuje dyrektor, nie odrywając jednak wzroku od wypełnianych przez siebie dokumentów.

– Lekarz nie dopełnia swoich obowiązków – mówi z uporem pastor, delikatnie stukając kostkami dłoni w biurko, jakby prosił o wejście do dyrektora. – Przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale on za dużo pije. I zaniedbuje pacjentów.

– Och, pan doktor jest zupełnie w porządku – odpowiada niedbale dyrektor, pisząc dalej. Nie wpuszcza pastora. – Chciałbym, żeby pan, pastarze, też był w porządku. Jak to jest, przekazał pan numerowi 397 gryps czy nie?

Teraz w końcu ich spojrzenia się spotykają, spojrzenie dyrektora o zacerwienionej i pokrytej bliznami twarzy oraz spojrzenie trawionego gorączką duchownego.

– To siódmy przypadek śmierci w ciągu dwóch tygodni – powtarza z uporem pastor Lorenz. – To więzienie potrzebuje nowego lekarza.

– O coś pana zapytałem, pastarze. Zechce mi pan łaskawie odpowiedzieć?

– Tak jest, przekazałem numerowi 397 list, a nie żaden gryps. To był list od jego żony, która zakomunikowała mu, że jego trzeci syn nie poległ, tylko trafił do niewoli. Stracił już dwóch synów, a trzeciego też uważał za zmarłego.

– Zawsze znajduje pan jakiś powód, żeby złamać więzienny regulamin, pastarze. Ale ja już dłużej nie będę tolerował tych gierk.

– Proszę o zmianę lekarza – powtarza uparcie pastor i znów cicho stukta w biurko.

– Też coś! – krzyczy nagle poczerwieniały dyrektor. – Niech pan mnie nie męczy tym swoim gadaniem! Doktor jest dobry i zostaje! A pan niech się postara przestrzegać więziennego regulaminu, bo jeszcze coś się panu przydarzy!

– Co mi się może przydarzyć? – zapytał pastor. – Mogę umrzeć. I umrę. I to wkrótce. Jeszcze raz proszę o zmianę lekarza.

– Jest pan wariatem, pastorze – odparł chłodno dyrektor. – Przypuszczam, że oszalał pan trochę przez te pańskie suchoty. Gdyby nie był pan takim nieszkodliwym głupcem – wariatem właśnie! – już dawno by pan wisiał. Lecz ja mam dla pana litość.

– Niech pan lepiej skieruje swą litość ku więźniom – odpowiedział pastor równie chłodnym tonem. – I postara się o świadomego swych obowiązków lekarza.

– Najlepiej niech pan zamknie drzwi z drugiej strony, pastorze.

– Czy mam pańską obietnicę, że postara się pan o innego lekarza?

– Nie, nie, do stu piorunów, nie! Idź pan do diabła!

Teraz dyrektor wpadł we wściekłość, zerwał się z biurka i zrobił dwa kroki w stronę pastora. – Czy mam pana wyrzucić siłą, tego pan chce?

– Nie wyglądałoby to dobrze w oczach więźniów w kancelarii. Jeszcze bardziej zachwiałoby to resztką szacunku, jakim wciąż darzą w panu autorytet państwa. Ale oczywiście, jak pan woli, panie dyrektorze!

– Wariat! – powiedział dyrektor, lecz uwaga pastora na tyle otrzeźwiła, że z powrotem usiadł na krześle. – Niech pan już idzie. Mam robotę.

– Najpilniejszym zadaniem jest sprowadzenie nowego lekarza.

– Myśli pan, że coś pan osiągnie tym swoim uporem? Osiągnie pan coś wręcz przeciwnego! Teraz już doktor na pewno zostanie!

– Pamiętam – powiedział pastor – że pewnego dnia i pan sam nie był do końca zadowolony z tego lekarza. To była noc, była burza. Posłał pan po innych lekarzy, wydzwaniał, ale nie przyjeżdżali. Pański sześćioletni Bertold miał ropne zapalenie ucha środkowego, płakał z bólu. Jego życie było zagrożone. Na pańską prośbę sprowadziłem więziennego lekarza. Był

pijany. Na widok umierającego dziecka do reszty stracił głowę. Wskazał na swoje drżące ręce, które uniemożliwiały jakąkolwiek interwencję chirurgiczną, i zalał się łzami.

– Pijany szubrawiec! – wymamrotał dyrektor, nagle pochmurniejąc.

– Wtedy pańskiego Bertolda uratował inny lekarz. Ale to, co wydarzyło się raz, może się powtórzyć. Chęłpi się pan tym, że nie jest chrześcijaninem, panie dyrektorze, lecz ja powiadam panu: Bóg nie pozwala z siebie kpić!

Dyrektor więzienia odparł z trudem, nie podnosząc wzroku: – Niech pan już idzie, pastorze.

– A lekarz?

– Zobaczę, co się da zrobić.

– Dziękuję, panie dyrektorze. Wielu będzie panu wdzięcznych.

Duchowny przeszedł przez więzienie w swojej znoszonej czarnej marynarce, której łokcie szaro połyskiwały, w wypchanych czarnych spodniach, w zamszowych butach o grubych podeszwach i z przekręconym czarnym krawatem, komiczna postać. Niektórzy strażnicy pozdrawiali go, inni ostantacyjnie odwracali głowy, gdy się zbliżał, a potem odprowadzali go podejrzliwym wzrokiem, kiedy tylko ich minął. Ale wszyscy zatrudnieni na korytarzach więźniowie obdarzali go spojrzeniem (gdyż nie wolno im było go pozdrowić), spojrzeniem pełnym wdzięczności.

Duchowny przeszedł przez wiele żelaznych drzwi, wszedł po żelaznych schodach, trzymając się żelaznej poręczy. Z jednej z cel dobiega go płacz, zatrzymuje się na chwilę, lecz potem potrząsa głową i rusza szybkim krokiem dalej. Przechodzi obitym żelazem piwnicznym korytarzem, po prawej i po lewej zieją otwarte drzwi do ciemnic, karnych cel, w jednym z pomieszczeń przed nim pali się światło. Pastor zatrzymuje się i zagląda do środka.

W ohydny, brudny pomieszczeniu siedzi przy stole mężczyzna

o szarej, ponurej twarzy i wpatruje się rybim wzrokiem w siedmiu ludzi, którzy drżąc żałośnie z zimna, stoją przed nim całkiem nadzy pod nadzorem dwóch wartowników.

– No, moje ślicznotki! – wrzeszczy mężczyzna. – Co wami tak trzęsie? Troszkę zimno, co? Och, wcale nie, czym jest zimno, dowiecie się dopiero, jak posiedzicie w bunkrze między żelazem a betonem, o chlebie i wodzie...

Milknie. Spozstrzegł milczącą, obserwującą postać w drzwiach.

– Starszy wachmistrzu – rozkazuje ponurym tonem. – Niech pan odprowadzi tych ludzi! Wszyscy są zdrowi i zdolni do przebywania w ciemnicy. Macie tu ten świstek!

Podpisał się pod listą i podał ją funkcjonariuszowi.

Więźniowie przechodzą obok pastora, rzucając mu żalosne spojrzenia, w których tli się jednak jeszcze cicha nadzieja.

Pastor czeka, aż ostatni z nich zniknie, i dopiero potem wchodzi do pomieszczenia, i mówi cicho: – A więc 352 też umarł. A ja przecież prosiłem pana...

– Co ja mogę zrobić, pastorze? Osobiście siedziałem przy nim dzisiaj dwie godziny i zmieniałem okłady.

– Musiałem to w takim razie przespać. Wydawało mi się, że całą noc przesiedziałem przy 352. I z jego płucami nic nie było, panie doktorze, to 357 miał zapalenie płuc. Zmarły Hergesell, czyli 352, miał złamanie czaszki.

– Powinien pan zająć moje miejsce – odparł z ironią tłusty mężczyzna. – A ja będę robić za duszpasterza.

– Obawiam się tylko, że byłby pan jeszcze gorszym duszpasterzem niż lekarzem.

Lekarz się roześmiał. – Uwielbiam, jak pan się robi bezczelny, pastorku. Mogę osłuchać pańskie płuca?

Pastor odparł niezmięszany: – Nie, nie może pan, zostawmy to lepiej innemu lekarzowi.

– Ale nawet bez badania mogę pana poinformować, że nie pociągnie pan dłużej niż parę miesięcy – kontynuował złośliwie lekarz. – Wiem, że od maja pluje pan krwią, nie, to już nie potrwa długo, zanim nastąpi pierwszy krwotok.

Na ten okrutny komunikat pastor może odrobinę bardziej popładł, lecz jego głos nawet nie zadrżał, gdy powiedział: – A jak długo potrwa, zanim ludzie, których pan właśnie kazał odprowadzić do ciemnicy, dostaną pierwszego krwotoku, panie radco medyczny?^[73]

– Ci ludzie są całkowicie zdrowi i zdolni do przebywania w ciemnicy zgodnie z orzeczeniem lekarskim.

– Tak naprawdę to nawet ich nie zbadano.

– Chce pan kontrolować, jak sprawuję swój urząd? Ostrzegam pana! Wiem o panu więcej, niż się panu wydaje!

– A wraz z moim pierwszym krwotokiem pańska wiedza na nic się nie przyda! Nawiasem mówiąc, mam go już za sobą...

– Co? Co pan ma za sobą?!

– Pierwszy krwotok, to było trzy czy cztery dni temu.

Lekarz wstał ociężale. – To niech pan pójdzie ze mną, pastorku, zbadam pana na górze w moim mieszkaniu. Postaram się, żeby pan natychmiast dostał urlop. Zawnioskujemy o możliwość wyjazdu do Szwajcarii, a dopóki go nie uzyskamy, wyślę pana do Turyngii.

Pastor, którego na wpuł pijany lekarz chwycił za ramię, stał nieporuszony. – A co stanie się tymczasem z ludźmi w ciemnicy? Dwóch z nich z pewnością nie jest w stanie znieść tamtejszej wilgoci, zimna i głodu, a całej siódemce taki pobyt wyrządzi długotrwałe szkody.

[73] Radca medyczny – urzędowe określenie lekarza w niemieckich służbach publicznych (np. w policji).

Lekarz odpowiedział: – Sześćdziesiąt procent ludzi w tym więzieniu zostaje skazanych na śmierć. Szacuję, że dalsze trzydzieści pięć procent zostaje skazanych na długoletnie kary więzienia. Co więc za różnica, czy umrą parę miesięcy wcześniej czy później?

– Ponieważ tak właśnie pan uważa, nie ma pan już prawa nazywać się lekarzem. Niech pan zrezygnuje ze stanowiska!

– Ten, kto mnie zastąpi, wcale nie będzie inny. Po co więc cokolwiek zmieniać? – Radca medyczny roześmiał się. – Chodźmy, pastorze, pozwoli pan, że pana zbadam. Wie pan przecież, że mam do pana słabość, mimo że wciąż agituje pan i podżega przeciwko mnie. Jest pan cudownym donkiszotem!

– Właśnie przed chwilą agitowałem i podżegałem przeciwko panu. Zwróciłem się do dyrektora o pańskie zwolnienie i otrzymałem częściową obietnicę.

Lekarz zaczął się śmiać. Poklepał pastora w ramię i zawołał: – Ależ to cudownie z pańskiej strony, pastorku, muszę od razu panu podziękować. Bo jeśli zostanę zastąpiony, z pewnością otrzymam lepszą posadę, zostanę starszym radcą medycznym i nie będę już musiał nic robić. Najszczerze wyrazy wdzięczności, pastorku!

– Niech pan ją okaże, zwalniając Krausa i Wendta z ciemnicy. Oni tego nie przeżyją. W ciągu ostatnich dwóch tygodni mieliśmy już siedem zgonów z powodu pańskiego niedbalstwa.

– Ależ z pana pochlebca! Ale nie mogę panu odmówić. Wyciągnę ich obu dzisiaj wieczorem. W tej chwili, tuż po złożeniu podpisu, wyglądałoby to nieco kompromitująco, nie sądzi pan, pastorze?

ROZDZIAŁ 60.

Trudel Hergesell, z domu Baumann

Przenosiny do aresztu śledczego rozdzieliły Trudel Hergesell i Annę Quangel. Trudel ciężko było rozstawać się z „matką”. Już dawno zapomniała, że to Anna przyczyniła się do jej aresztowania, nie, nie zapomniała, tylko wybaczyła. Co więcej, zrozumiała, że właściwie nie miała czego wybaczać. Podczas przesłuchań nikt nie mógł być niczego pewien, cwani komisarze potrafili niewinną wzmiankę zamienić w pułapkę, w którą człowiek nieuchronnie wpadał.

Teraz Trudel została bez matki, nie miała już nikogo, z kim mogłaby porozmawiać. Nie mogła mówić o szczęściu, które było kiedyś jej udziałem, o trosce o Karliego, która wypełniała całe jej serce. Jej nowa współlokatorka w celi była starszą, poślizniętą kobietą – obie znienawidziły się od pierwszego spojrzenia, a ta kobieta ciągle poszeptowała ze strażniczkami i nadzorczyńcami. Gdy w celi przebywał pastor, jej uwadze nie umknęło nawet jedno słowo.

Dzięki pastorowi Trudel dowiedziała się jednak czegoś o Karlim. Pani Hänsel, jej współlokatorka, akurat znowu poleciała do dyrekcji, z pewnością po to, żeby pograć swoimi plotkami jakiegoś nieszczęśnika. Pastor opowiedział Trudel, że jej mąż przebywa w tym samym więzieniu, ale jest chory, przez większość czasu nieprzytomny. W każdym razie przekazuje jej pozdrowienia od Karliego.

Od tej pory Trudel żyła nadzieją na kolejną wizytę pastora. Nawet gdy była przy tym Hänslowa, duchownemu zawsze udawało się przekazać jej wiadomość. Często siadali oboje pod oknem, na blisko zsuniętych

stołkach, a pastor Lorenz czytał jej rozdział z Nowego Testamentu, podczas gdy Hänslowa stała zwykle przy przeciwległej ścianie celi, uważnie ich obserwując.

Dla Trudel Biblia była czymś zupełnie nowym. Została wychowana w hitlerowskich szkołach bez religii i nigdy nie odczuwała potrzeb o charakterze religijnym. Bóg nie był dla niej żadnym pojęciem, Bóg był tylko słowem w takich wyrażeniach jak: „O mój Boże!”. Można by równie dobrze powiedzieć „O nieba!”, to przecież wszystko jedno.

Także teraz, gdy dowiedziała się z Ewangelii świętego Mateusza o życiu Chrystusa, powiedziała pastorowi, że nie rozumie, co się kryje pod pojęciem „Syn Boży”. Lecz pastor Lorenz tylko się na to łagodnie uśmiechnął i powiedział, że to nic nie szkodzi. Powinna zwrócić uwagę na to, jak ów Jezus Chrystus prowadził swoje życie na ziemi, jak kochał ludzi, nawet swoich wrogów. O „cudach” może myśleć, co chce, traktować je jak piękne bajki, powinna się jednak dowiedzieć, jak ten człowiek żył, skoro po niemal dwóch tysiącach lat jego ślad nieustannie promieniuje jako wieczny dowód tego, że miłość jest silniejsza od nienawiści.

Trudel Hergesell, która potrafiła równie mocno kochać, jak nienawidzić (i która podczas pobierania tej nauki z głębi serca nienawidziła stojącej trzy metry dalej pani Hänsel), Trudel Hergesell najpierw broniła się przed taką nauką. Wydawała jej się ona o wiele za łagodna. Więc to nie Jezus Chrystus uwrażliwił jej serce, lecz jego kapłan, pastor Fryderyk Lorenz. Gdy obserwowała tego mężczyznę, którego ciężkiej choroby trudno było nie zauważyć, gdy dzieliła się z nim swymi troskami, a on traktował je jak własne, gdy widziała, że on nigdy nie myśli o sobie, gdy odkryła jego odwagę, kiedy podczas czytania wsunął jej w dłoń karteczkę z wiadomością o Karlim, gdy potem słyszała, jak z donosicielką Hänsel rozmawia tak samo dobrotliwie i przyjaźnie jak z nią, a przecież wiedział o tej kobiecie, że w każdej chwili gotowa byłaby go zdradzić, wydać

katom, wtedy odczuwała coś na kształt szczęścia, głęboki spokój, który emanował z tego człowieka, człowieka, który nie chciał nienawidzić, lecz tylko kochać, kochać nawet najgorszych ludzi.

To nowe uczucie nie spowodowało co prawda, by Trudel Hergesell stała się dla Hänslowej wyrozumialsza, ale chyba zobojętniała, nienawiść nie była już dla niej taka ważna. Potrafiła podczas swoich wędrówek po celi przystanąć nagle przed Hänslową i zapytać: – Dlaczego pani to właściwie robi? Dlaczego każdego pani obmawia? Liczy pani na to, że dostanie mniejszą karę?

Zagadnięta w ten sposób Hänslową nie spuszczała z Trudel swoich żółtawych, złych oczu. I albo nic nie odpowiadała, albo mówiła: – Myśli pani, że nie widziałam, jak przyciskała pani biust do ramienia pastora? Co za podłość, żeby chcieć uwieść umierającego człowieka! Ale czekajcie, jeszcze was oboje przyłapię! Jeszcze was przyłapię!

Na czym dokładnie Hänslowa chciała przyłapać pastora i Trudel Hergesell, pozostawało niejasne. Trudel odpowiadała na tego rodzaju obelgi jedynie krótkim, drwiącym śmiechem, a potem bez słowa podejmowała niekończącą się wędrówkę po celi, nieustannie myśląc o Karlim. Nie dało się zaprzeczyć, że wiadomości o nim były coraz gorsze, nawet jeśli pastor przekazywał je w sposób ostrożny i delikatny. Jeśli mówił, że nie ma nic nowego, że jego stan się nie zmienił, to znaczyło, że Karli nie przekazał jej pozdrowień, a to z kolei znaczyło, że jest nieprzytomny. Ponieważ pastor nie kłamał, o tym Trudel też się już przekonała, nie przekazywał pozdrowień, jeśli go o to nie poproszono. Gardził tanią pociechą, która i tak pewnego dnia okazałaby się kłamstwem.

O tym, że z jej mężem jest źle, Trudel wiedziała także z przesłuchań przed sędzią śledczym. Nigdy nie odnoszono się do jego nowych zeznań, to ona miała wszystko powiedzieć, a przecież naprawdę nic nie wiedziała o walizce biednego Grigoleita, który na nich oboje (umyślnie?) ściągnął

nieszczęście. Nawet jeśli metody przesłuchań stosowane przez sędziego śledczego nie były tak bezdennie podle i brutalne jak metody komisarza Lauba, to cechował go taki sam upór jak Lauba. Trudel wracała z tych posiedzeń do celi zawsze kompletnie wyczerpana i zniechęcona. Ach, Karli, Karli! Żeby móc go zobaczyć choć jeden raz, posiedzieć przy jego przycy, potrzymać go za rękę, w zupełnej ciszy, bez jednego słowa!

Był taki czas, gdy sądziła, że go nie kocha, że nigdy nie będzie potrafiła go pokochać. A teraz była nim upojona, był powietrzem, którym oddychała, chlebem, który jadła, kocem, który ją ogrzewał. I był tak blisko, parę korytarzy, parę schodów, jedne drzwi – lecz na całym świecie nie było człowieka na tyle litościwego, by zaprowadził ją do niego ten jeden raz, ten jeden jedyny raz! Nawet ten suchotniczy pastor!

Wszyscy bali się o własne życie, nie mieli odwagi uczynić niczego poważnego, aby naprawdę pomóc bezradnej. I nagle nachodzi ją wspomnienie z trupiarni w bunkrze Gestapo, wysoki esesman, który zapala papierosa i zwraca się do niej „Dziewczyno, dziewczyno”, jej poszukiwania pośród ciał, po tym jak rozebrały z Anną martwą Bertę, i wydaje jej się, jakby to wtedy była ta dobra, miłosierna godzina, gdy mogła szukać Karliego. A teraz? Tylko drżące serce zamknięte pośród kamieni i żelaza! Samo!

Drzwi otwierają się o wiele wolniej i delikatniej, niż gdy to robią strażniczki, i słychać nawet pukanie. To pastor.

– Mogę wejść? – pyta.

– Ależ niech pan wchodzi, pastarze, proszę! – woła Trudel Hergesell z płaczem.

Podczas gdy pani Hänsel mruczy z pełnym nienawiści spojrzeniem: – Czego on tu znowu chce?

A wtedy nagle Trudel opiera głowę na wąskiej, unoszącej się w przyspieszonym tempie piersi duchownego, łyż jej płyną, ukrywa twarz

na jego piersi i błaga: – Pastorze, tak bardzo się boję! Musi mi pan pomóc! Muszę zobaczyć Karliego, tylko jeden raz! Czuję, że to będzie ostatni raz...

I ostry głos pani Hänsel: – Zamelduję o tym! Natychmiast o tym zamelduję!

A pastor gładzi ją pocieszającym gestem po głowie i mówi: – Tak, moje dziecko, powinna go pani zobaczyć, choć jeden raz!

A nią wstrząsa coraz głośniejszy szloch i wie, że Karli nie żyje, że nie na darmo szukała go w trupiarni, że to było jak przeczucie, jak ostrzeżenie.

I krzyczy: – On nie żyje! Pastorze, on nie żyje!

A on odpowiada, daje jej jedyną pociechę, jaką może dać przeznaczonym na zagładę, mówi: – Dziecko, on już nie cierpi. Tobie jest trudniej.

Słyszy go jeszcze. Chce to przemyśleć, dobrze zrozumieć, lecz robi jej się ciemno przed oczami. Światło gaśnie. Jej głowa opada.

– Niech pani pomoże, pani Hänsel! – prosi pastor. – Jestem zbyt słaby, żeby ją utrzymać.

A potem także na zewnątrz zapada noc, noc do nocy, ciemność do ciemności.

Trudel, owdowiała pani Hergesell, obudziła się i wie, że nie jest w swojej celi, i znów wie, że Karli nie żyje. Znów widzi go leżącego na wąskiej więziennej pryczy, z tak drobną i odmłodniałą twarzą, i myśli o twarzy dziecka, które urodziła, i obie twarze zlewają się, a ona wie, że straciła na tym świecie wszystko, i dziecko, i męża, i że już nigdy nie będzie kochać, nigdy nie urodzi dzieci, a wszystko to dlatego, że dla pewnego starego człowieka położyła na parapecie pocztówkę, że dlatego całe jej życie się rozpadło i życie Karliego, i że już nigdy nie będzie dla niej słońca, szczęścia i lata, i że nie będzie kwiatów...

Kwiaty na mój grób, kwiaty na twój grób...

I czując potworny ból, który coraz szerzej się w niej rozlewa, który mrozi ją niczym lód, ponownie zamyka oczy i pragnie z powrotem udać się w noc i zapomnienie. Lecz noc jest na zewnątrz, pozostaje tam, nie wchodzi w nią, za to ona nagle czuje gorąco... Z krzykiem zrywa się z łóżka i chce uciec, byle biec, byle uciec przed tym strasliwym bólem. Lecz chwytają czyjaś ręka...

Robi się jasno, i to znów jest pastor, który siedział przy niej, który ją mocno trzymał. Tak, to nieznajoma cela, to cela Karliego, ale oni już go zabrali, a mężczyzny, który leżał tu w tej celi z Karlim, też już nie ma.

– Dokąd go zabrali? – pyta, ciężko dysząc, jakby przebiegła długą drogę.

– Odmówię modlitwę przy jego grobie.

– Na co mu teraz pańskie modlitwy? Szkoda, że nie modlił się pan za jego życie, gdy był jeszcze na to czas!

– On ma już spokój, dziecko!

– Chcę stąd iść! – mówi gorączkowo Trudel. – Proszę, niech mnie pan puści z powrotem do mojej celi, pastorze! Mam tam jego zdjęcie, muszę je zobaczyć, teraz, natychmiast. Wyglądał zupełnie inaczej.

I mówiąc to, wie doskonale, że okłamuje dobrego pastora i że chce go oszukać. Bo nie ma żadnego zdjęcia Karliego i wcale nie chce wracać do celi, do pani Hänsel.

A przez głowę przelatuje jej myśl: Co prawda oszalałam, ale muszę się teraz odpowiednio zachowywać, żeby tego nie zauważył... Muszę jeszcze tylko przez pięć minut ukrywać szaleństwo!

Pastor prowadzi ją ostrożnie pod ramię z celi licznymi korytarzami i schodami z powrotem do kobiecego więzienia, a z wielu cel dochodzą do niej głębokie westchnienia – ci śpią, z innych nieustannie kroki – ci się martwią, a z jeszcze innych dochodzi ją płacz – ci cierpią, ale nikt nie cierpi tak mocno jak ona.

Lecz gdy pastor otworzył przed nią, a potem zamknął jakieś drzwi, nie bierze go już pod ramię i w milczeniu idą przez nocny korytarz z ciemnicami, z których pijany lekarz, wbrew złożonej obietnicy, nie uwolnił tamtych dwóch chorych, a potem wchodzi po wielu schodach do kobiecego więzienia, do Oddziału V, gdzie jest cela Trudel.

Tam na najwyższym korytarzu człapie w ich stronę wartowniczka i mówi: – Dopiero teraz, o jedenastej w nocy, przyprowadza pan tę Hergesell z powrotem, pastarze? Gdzie pan tak długo z nią był?

– Przez wiele godzin była nieprzytomna. Wie pani, mąż jej zmarł.

– Ach tak, i pan pewnie pocieszał tę młodą kobietę, pastarze? Bardzo pięknie! Pani Hänsel opowiadała mi, że ona bezwstydnie rzuca się panu na szyję. Takie nocne pocieszanie musiało być szczególnie urocze! Wpiszę to do księgi wartowniczej!

Lecz zanim pastor zdążył choć jednym słowem zaprotestować wobec tych pomówień, oboje zobaczyli, że pani Trudel, wdowa Hergesell, wspięła się na żelazną poręcz klatki schodowej. Stoi tam chwilę, trzyma się jeszcze mocno jedną ręką, odwrócona do nich plecami.

I wołają: – Stać! Nie! Błagam, nie!

I biegają ku niej, ich dłonie już po nią sięgają.

Lecz niczym pływaczka, która chce skoczyć na główkę, Trudel Hergesell rzuciła się już w dół. Słyszą furkot i szum, a potem głucho uderzenie.

I wtedy zapada śmiertelna cisza, gdy przechylają poblądłe twarze przez poręcz i niczego nie mogą dostrzec. Potem kierują się ku schodom.

W tym samym momencie rozpętuje się piekło.

Zupełnie jakby przez obite żelazem drzwi można było zobaczyć, co się wydarzyło. Z początku jest to jedynie jakiś histeryczny krzyk, lecz przenosi się on dalej, z celi do celi, z oddziału do oddziału, z jednej strony korytarzy na drugą, ponad otchłanią.

A gdy tak się przenosi, przeradza się w ryk, wycie, wrzask, jazgot, szął.

– Mordercy! Zabiliście ją! Kaci! Zabijcie od razu nas wszystkich!

Niektóre uwiesiły się na oknach i krzyczały na dziedziniec, więc i męskie skrzydła zostały wyrwane z podszytego lękiem snu i zapanowało szaleństwo, krzyki, plucie, ryki, mamrotanie i rozpacz.

Rozległa się skarga, skarga tysiąca, dwóch tysięcy, trzech tysięcy głosów, zwierzę wyrykiwało swą skargę tysiącem, dwoma tysiącami, trzema tysiącami paszcz.

I zadzwonił przeraźliwie dzwonek alarmowy, i zaczęli walić pięściami w żelazne drzwi, a oni uderzali w nie stołkami. Żelazne kraty opadły, trzaskając w zawiasach, i zostały znów uniesione, trzaskając na nowo. Miski z brzękiem poturlały się po podłodze, okrywy wiader załoskotały, i cały budynek, całe to ogromne więzienie zaczęło nagle cuchnąć niczym gigantyczna latryna.

I dyżurny personel naciągał mundury, i chwycił za gumowe pałki.

I drzwi do cel zostały gwałtownie rozwarte: Klik! Klak!

I głośno rozbrzmiał klaszczący, tępy dźwięk gumowych pałek na czaszkach, a wrzask stał się bardziej wściekły, wymieszał się z szurgotem kopiących stóp, wysokimi, zwierzęcymi krzykami epileptyków, idiotycznym wyciem żartownisiów i przenikliwymi sutenerskimi gwizdami...

I woda chlusnęła w twarze wdzierających się strażników.

A w trupiarni Karli Hergesell leżał nieruchomo ze swoją drobną, pełną spokoju twarzą.

A wszystko to było jedną dziką, paniczną, przerażającą symfonią odegraną na cześć Trudel, wdowy Hergesell, z domu Baumann.

Lecz ona leżała na dole, w połowie na linoleum, w połowie na brudnoszarej cementowej podłodze dolnego Oddziału I.

Leżała tam bez ruchu, a jej drobna, poszarzała dłoń, która miała w sobie jeszcze tyle dziewczęcości, była lekko rozwartą. Jej usta zabarwiła odrobina krwi, a zmatowiałe oczy patrzyły na nieznajome otoczenie.

Lecz jej uszy zdawały się słyszeć szalejący, unoszący się i opadający piekielny hałas, jej czoło było zmarszczone, jakby zastanawiała się nad tym, czy to jest ten spokój, który obiecywał jej dobry pastor Lorenz.

Ale skutek tego samobójstwa to więzienny duszpasterz Fryderyk Lorenz został zawieszony, a nie zapijaczony lekarz. Rozpoczęto wobec duchownego postępowanie. Gdyż przestępstwem i udzielaniem pomocy w przestępstwie jest, gdy pozwala się więźniowi samemu zdecydować o zakończeniu jego życia: do tego uprawnione jest wyłącznie państwo i jego urzędnicy.

Gdy urzędnik policji kryminalnej rani człowieka kolbą pistoletu tak mocno, że ten kona, albo gdy pijany lekarz pozwala umrzeć rannemu, wtedy wszystko jest w porządku. Lecz gdy duchowny nie zapobiegne samobójstwu, gdy przyznaje prawo do własnej woli więźniowi, któremu nie wolno już jej posiadać, wtedy popełnia przestępstwo i musi za to odpokutować.

Niestety pastor Fryderyk Lorenz, podobnie jak owa Hergesell, uniknął pokuty za swoje przewinienie, gdyż zmarł na skutek krwotoku, dokładnie w chwili, gdy miał zostać aresztowany. Pojawiło się także podejrzenie, że utrzymywał ze swoimi podopiecznymi niemoralne stosunki. Lecz on miał już spokój, jak by to sam określił, wiele zostało mu oszczędzone.

Stało się więc tak, że aż do głównej rozprawy Anna Quangel nie dowiedziała się o śmierci Trudel i Karla Hergesellów, gdyż następca dobrego pastora był zbyt strachliwy lub niechętny, by kontynuować przekazywanie wiadomości między więźniami. Ograniczał się wyłącznie do posług duszpasterskich, jeśli było na nie zapotrzebowanie.

ROZDZIAŁ 61.

Rozprawa główna: ponowne spotkanie

Nawet w najbardziej wyrafinowanym i najlepiej przemyślanym systemie zdarzają się błędy. Trybunał Ludowy w Berlinie, sąd, który nie miał nic wspólnego z ludem i do którego lud nie był dopuszczany nawet jako milczący widz, gdyż większość jego posiedzeń była tajna – ów Trybunał Ludowy był takim właśnie wyrafinowanym i doskonale przemyślanym systemem: zanim oskarżony wszedł na salę rozpraw, był już praktycznie osądzony i nic nie wskazywało na to, by oskarżony mógł na tej sali doświadczyć czegoś dobrego.

Tego ranka wyznaczono tylko jedną drobną sprawę: przeciwko Ottonowi i Annie Quanglom oskarżonym o zdradę kraju i zdradę stanu. Miejsca dla publiczności zapełniono zaledwie w jednej czwartej: kilka mundurów partyjnych, kilku prawników, którzy z niezbadanych przyczyn mieli ochotę przysłuchiwać się tej rozprawie, lecz głównie studenci prawoznawstwa, którzy chcieli się nauczyć, jak wymiar sprawiedliwości usuwa z tego świata ludzi, których wina polega na tym, że kochają swoją ojczyznę bardziej niż skazujący ich sędziowie. Wszyscy ci ludzie uzyskali wejściówki wyłącznie dzięki swoim „kontaktom”. Niewiadomym pozostaje, skąd wziął swoją wejściówkę drobny mężczyzna z kozią bródką i otoczonymi zmarszczkami, mądrymi oczami, radca sądowy w stanie spoczynku Fromm. W każdym razie siedział, nie zwracając na siebie uwagi, pośród innych, w pewnej odległości od nich, i z pochyloną twarzą raz po raz czyścił sobie okulary w złotych oprawkach.

Pięć przed dziesiątą Otto Quangel został wprowadzony przez szupo

na salę sądową. Odziano go w ubranie, które miał na sobie w chwili aresztowania w warsztacie, czysty, choć gęsto połatany codzienny strój, na którym ciemnoniebieskie łaty wyraźnie odznaczały się na tle spranego pierwotnego błękitu. Jego wciąż ostry wzrok przesunął się obojętnie od jeszcze pustych miejsc sędziów za barierką po publiczność, rozjaśnił się na chwilę na widok radcy sądowego, po czym Quangel usiadł na ławie oskarżonych.

Tuż przed dziesiątą drugi szupo wprowadził drugiego oskarżonego, Annę Quangel, i wtedy doszło do owego błędu: gdy tylko Anna Quangel zobaczyła swojego męża, bez wahania i nie zwracając najmniejszej uwagi na ludzi na sali, podeszła do niego i usiadła obok.

Otto Quangel szepnął, zasłaniając usta dłonią: – Nic nie mów! Jeszcze nie teraz!

Lecz blask jego oczu powiedział jej, jak bardzo się cieszy z tego spotkania.

Oczywiście regulamin owej szacownej instytucji w żaden sposób nie przewidywał, by dwoje oskarżonych, którzy od miesiący byli od siebie starannie izolowani, mogło na kwadrans przed rozpoczęciem rozprawy usiąść sobie razem i miło pogawędzić. Ale może było tak, że obaj szupo po raz pierwszy pełnili tego rodzaju służbę i zapomnieli o zasadach albo nie przykładali do tej akurat sprawy karnej większej wagi, albo ta para prostych, marnie odzianych starszych ludzi wydała im się zupełnie nieznacząca, dość, że nie sprzeciwili się, gdy Anna wybrała sobie miejsce do siedzenia, a przez kolejny kwadrans prawie nie zwracali uwagi na dwójkę oskarżonych. Rozpoczęły zajmującą rozmowę o uposażeniach, zawieszonym dodatku za pracę w nocy oraz nieuzasadnionych wysokich potrąceniach na podatek.

Publiczność również nie zwróciła uwagi na ten błąd, z wyjątkiem oczywiście radcy sądowego Fromma. Wszyscy okazali się niedbali i

niechlujni, nikt nie zganił owego błędu popełnionego na szkodę Trzeciej Rzeszy, a na korzyść dwojga zdrajców stanu. Proces, który obejmował tylko dwójkę oskarżonych z klasy robotniczej, nie robił w tym miejscu wielkiego wrażenia. Przyzwyczajono się tu do monstrualnych procesów, z trzydziestoma, czterdziestoma oskarżonymi, którzy zwykle nawet się nie znali, lecz ku swemu zaskoczeniu w trakcie procesu dowiadywali się, że wszyscy razem spiskowali i w związku z tym zostają także skazani.

Tak więc Quangel, po chwili uważnego rozglądania się wokół, mógł powiedzieć: – Tak się cieszę, Anno. Dobrze się czujesz?

– Tak, Ottonie, teraz znowu czuję się dobrze.

– Nie pozwolą nam długo siedzieć obok siebie. Ale nacieszmy się tą chwilą. Wiesz, co się teraz stanie?

Bardzo cicho: – Tak, Ottonie.

– Tak, wyrok śmierci dla nas obojga. To nieuniknione.

– Ale Ottonie...

– Nie, Anno, żadnych ale. Wiem, że próbowałaś wziąć całą winę na siebie...

– Kobiety nie potraktują tak surowo i może tobie uda się ująć z życiem.

– Nie, nie. Nie umiesz tak dobrze kłamać. Tylko przedłużysz rozprawę.

Powiemy prawdę, wtedy pójdzie szybko.

– Ale Ottonie...

– Nie, Anno, teraz żadnych ale. Przemyśl to. Nie będziemy kłamać.

Sama prawda...

– Ale Ottonie...

– Anno, proszę cię!

– Otto, ja chciałabym cię uratować, wiedzieć, że żyjesz!

– Anno, proszę cię!

– Ottonie, nie utrudniaj mi tego!

– Mamy wobec nich kłamać? Kłócić się? Robić dla nich

przedstawienie? Sama prawda, Anno!

Toczyła walkę z samą sobą. A potem się poddała, uległa mu tak jak zawsze. – Dobrze, Ottonie, obiecuję.

– Dziękuję, Anno. Bardzo ci dziękuję.

Zamilkli. Spuścili wzrok. Oboje wstydziła się okazywać wzruszenie.

Doszedł ich głos jednego z policjantów z tyłu: – I wtedy żem powiedział podporucznikowi, panie podporuczniku, powiedziałem, tak sobie pan ze mną poczyniać nie może, panie podporuczniku, powiedziałem...

Otto Quangel drgnął. Musi to zrobić. Gdyby Anna dowiedziała się podczas rozprawy – a musiałyby się dowiedzieć w trakcie rozprawy – byłoby o wiele gorzej. Skutki mogły być nieprzewidywalne.

– Anno – szepnęła. – Jesteś silna i odważna, prawda?

– Tak, Ottonie – odpowiedziała. – Teraz już jestem. Odkąd jestem przy tobie, taka właśnie jestem. Stało się coś złego?

– Tak, coś złego, Anno...

– Ale co, Ottonie? Powiedz mi! Zaczynam się bać, skoro nawet ty boisz się mi to powiedzieć.

– Anno, nie miałas już wiadomości od Gertrudy?

– Od jakiej Gertrudy?

– No, od Trudel!

– Ach, od Trudel! A co z Trudel? Nie, odkąd jesteśmy w areszcie śledczym, nie miałam od niej żadnych wiadomości. Bardzo mi jej brakowało, była dla mnie taka dobra. Wybaczyła mi, że ją zdradziłam.

– Przecież ty wcale nie zdradziłaś Trudel! Najpierw sam tak myślałem, ale potem zrozumiałem.

– Tak, ona też zrozumiała. Byłam tak oszołomiona podczas pierwszych przesłuchań przez tego okropnego Lauba, że nie wiedziałam, co mówię, ale ona zrozumiała. Wybaczyła mi.

– I chwala Bogu! Anno, bądź dzielna i silna! Trudel nie żyje.

– Och! – jęknęła tylko Anna, przykładając dłoń do serca. – Och!

A on dodał pośpiesznie, żeby mieć już to wszystko za sobą: – I jej mąż też nie żyje.

Tym razem na odpowiedź czekał długo. Siedziała tam, z twarzą schowaną w dłoniach, lecz Otto czuł, że nie płacze, że wciąż jest oszołomiona tymi strasznymi wieściami. I mimowolnie wypowiedział słowa, które dobry pastor Lorenz powiedział mu, przekazując tę wiadomość: – Nie żyją. Mają już spokój. Wiele zostało im oszczędzone.

– Tak! – powiedziała wtedy Anna. – Tak. Tak bardzo bała się o swojego Karliego, gdy nie było żadnych wieści, ale teraz ma już spokój.

Milczała długo, a Quangel nie naciskał, choć po zamieszaniu na sali zorientował się, że sąd wkrótce nadejdzie.

W końcu Anna zapytała cicho: – Czy oni oboje zostali... straceni?

– Nie – odparł Quangel. – On zmarł wskutek uderzenia, do którego doszło podczas aresztowania.

– A Trudel?

– Ona odebrała sobie potem życie – powiedział szybko Otto Quangel.

– Zeskoczyła z poręczy na piątym piętrze. Zmarła natychmiast, tak powiedział pastor Lorenz. Nie cierpiała.

– To się stało w nocy – przypomniała sobie nagle Anna Quangel – gdy było słychać krzyki w całym więzieniu! Teraz to wiem, och, to było okropne, Ottonie! – Ukryła twarz w dłoniach.

– Tak, to było okropne – powtórzył Quangel. – U nas też to było okropne.

Po chwili uniosła głowę i popatrzyła na Ottona. Usta wciąż jej drżały, lecz powiedziała: – Lepiej, że tak się stało. Gdyby siedzieli tu obok nas, to byłoby takie okropne. A tak mają już spokój. – I bardzo cicho: – Ottonie, Ottonie, my też mogliśmy tak zrobić.

Popatrzył na nią. A ona ujrzała w tych surowych, ostrych oczach

światełko, jakiego nigdy dotąd nie widziała, światałko drwiny, jakby to wszystko to była tylko jakaś gra, to, co ona teraz powie, i to, co się stanie, i ich nieuchronny koniec. Jakby nie warto było traktować tego z taką powagą.

A potem on powoli pokręcił głową. – Nie, Anno, nie zrobimy tego. Nie wymkniemy się, jakbyśmy byli przestępcami, którym udowodniono winę. Nie zwolnimy ich z tego wyroku. Nie my! – I zupełnie innym tonem: – Na to wszystko jest już za późno. Nie jesteś w kajdankach?

– Jestem – powiedziała. – Ale gdy szupo doprowadził mnie do drzwi, rozpiął mi łańcuch.

– Widzisz! – powiedział. – Nie udałoby się.

Przemilczał przed nią to, że i on był w więzach, odkąd wyprowadzono go z aresztu śledczego, w kajdankach na rękach, połączonych łańcuchem, i w kajdanach na nogach, połączonych żelazną sztabą. Podobnie jak u Anny, szupo dopiero pod drzwiami sali rozpraw zdjął mu te wszystkie ozdoby: rzeźne ofiary nie mogły umknąć państwu.

– Już dobrze – zgodziła się. – Ale jak myślisz, Ottonie, chyba stracą nas razem?

– Nie wiem – odparł wymijająco. Nie chciał jej okłamywać, chociaż wiedział, że każde będzie musiało umrzeć samotnie.

– Ale chyba stracą nas o tej samej godzinie?

– Na pewno, Anno, na pewno tak będzie!

Lecz wcale nie był tego taki pewien. Mówił dalej: – Ale nie myśl teraz o tym. Myśl tylko o tym, że musimy być silni. Jeśli przyznamy się do winy, wszystko pójdzie bardzo szybko. Jeśli nie będziemy stosować wykrętów i nie będziemy kłamać, dostaniemy wyrok może nawet w pół godziny.

– Tak, tak zrobimy. Ale, Ottonie, jak to tak szybko pójdzie, to zaraz znowu zostaniemy rozdzieleni i może już nigdy się nie zobaczymy.

– Na pewno jeszcze się przedtem zobaczymy, Anno. Tak mi powiedziano, będziemy mogli się jeszcze pożegnać. Na pewno, Anno!

– To dobrze, Ottonie, w takim razie będę miała coś, na co będę się mogła przez ten czas cieszyć. A teraz posiedzmy sobie razem.

Siedzieli razem już tylko przez minutę, gdyż odkryto błąd i oboje zostali posadzeni daleko od siebie. Musieli odwracać głowy, żeby się widzieć. Chwała Bogu, że to adwokat pani Quangel spostrzegł błąd, sympatyczny, siwy, nieco zatroskany pan, którego Trybunał wyznaczył na obrońcę z urzędu, ponieważ Quangel uparła się, że nie wyda ani grosza na tak daremną rzecz jak jej obrona.

Ponieważ to adwokat wykrył błąd, obyło się bez awantury. Także obaj szupo mieli wszelkie powody, by trzymać język za zębami, więc przewodniczący Trybunału Ludowego, sędzia Feisler, nigdy się nie dowiedział, że doszło do czegoś tak niewybaczalnego. Rozprawa trwałaby wtedy pewnie jeszcze dłużej.

ROZDZIAŁ 62.

Rozprawa główna: przewodniczący Feisler

Przewodniczący Trybunału Ludowego, najwyższy sędzia w Niemczech owych czasów, Feisler, wyglądał na człowieka wykształconego^[74]. Był według terminologii majstra Ottona Quangla wytwornym panem. Nosił tożę z powagą, a biret dodawał jego głowie godności, nie tkwił na niej niczym zbędna ozdoba, jak na głowach innych. Spojrzenie jego oczu było mądre, choć chłodne. Miał wysokie, piękne czoło, za to usta brzydkie, te usta o twardych, okrutnych, a jednocześnie lubieżnych wargach zdradzały męczyznę poządliwego, który korzystał z wszelkich uciech tego świata, zawsze każąc za to płacić innym.

I dłonie o długich, guzowatych palcach też były brzydkie, o palcach niczym szpony sępa – gdy zadawał szczególnie raniące pytanie, palce te zakrzywiały się, jakby grzebiąc w ciałach ofiar. I jego sposób mówienia też był brzydki. Ten człowiek nie potrafił mówić spokojnie i do rzeczy, dziobał swoje ofiary, znieważał je, wypowiadał się z przenikającą na wskroś drwiną. Brzydki człowiek, zły człowiek.

Odkąd Ottona Quangla postawiono w stan oskarżenia, rozmawiał kilka razy z doktorem Reichhardtem, swoim przyjacielem, o rozprawie głównej. Również mądry doktor Reichhardt był zdania, że koniec jest nieuchronny i Quangel powinien od razu przyznać się do wszystkiego,

[74] Nazwisko sędziego nawiązuje do postaci Rolanda Freislera (1893-1945) – prawnika, członka NSDAP, przewodniczącego Trybunału Ludowego od roku 1942, który przewodniczył ponad 1200 procesom politycznym, niemal zawsze kończącym się wyrokami śmierci. Jego ofiarami było między innymi rodzeństwo Sophie i Hans Schollowie oraz uczestnicy zamachu na Hitlera w Wilczym Szańcu.

niczego nie ukrywać i nie kłamać. Uprzedzi w ten sposób tamtych ludzi, nie będą mogli długo ciskać na niego gromów. Rozprawa będzie bardzo krótka, z pewnością zrezygnują z przesłuchiwania świadków.

Drobną sensacją wzbudziło to, że oboje oskarżeni na pytanie przewodniczącego, czy przyznają się do winy określonej w oskarżeniu, odpowiedzieli po prostu „Tak”. Gdyż owym „tak” wydali na samych siebie wyrok śmierci, czyniąc dalsze postępowanie zbędnym.

Przez chwilę zdumiony był także przewodniczący Feisler, obezwładniło go to niemal nigdy niesłyszane wyznanie.

Lecz potem się opamiętał. Zamierzał odbyć swoją rozprawę. Chciał widzieć tych dwoje robotników po uszy w gównie, chciał widzieć, jak wiją się pod jego ostrymi jak noże pytaniami. To „tak” na pytanie „winni?” świadczyło o dumie. Przewodniczący Feisler dostrzegł to w twarzach publiczności, na których widać było i zaskoczenie, i namysł, zamierzał więc oskarżonych tej ich dumy pozbawić. Mieli wyjść z tej rozprawy pozbawieni dumy i godności.

Feisler zapytał: – Zdaje pan sobie sprawę, że tym „tak” sam odmawia pan sobie prawa do życia, że sam siebie wyklucza pan z grona wszystkich przyzwoitych ludzi? Że jest pan podłym, zasługującym na śmierć zbrodniarzem, którego ścierwo zawiśnie na stryczku? Zdaje pan sobie z tego sprawę? Niech pan odpowie: tak albo nie!

Quangel powiedział powoli: – Jestem winny, zrobiłem to, co stwierdzono w oskarżeniu.

Przewodniczący zaatakował: – Ma pan odpowiadać „tak” albo „nie”! Jest pan podłym zdrajcą narodu czy nie? Tak czy nie!

Quangel popatrzył ostro na wytwornego pana naprzeciwko. Powiedział: – Tak!

– Tfu, do diabła! – wykrzyknął przewodniczący i splunął za siebie. – Tfu, do diabła! I ktoś taki nazywa siebie Niemcem!

Popatrzył na Quangla z głęboką pogardą, a potem skierował swój wzrok na Annę Quangel. – A pani? – zapytał. – Pani też jest taka podła jak pani mąż? Też jest pani nikczemną zdrajczynią narodu? Też hańbi pani cześć swego poległego na polu chwały syna? Tak czy nie?

Zatroskany siwy adwokat podniósł się pośpiesznie i powiedział: – Proszę pozwolić mi zwrócić uwagę, panie przewodniczący, że moja klientka...

Przewodniczący znów przypuścił atak. – Ukarzę pana, panie obrońco – powiedział – natychmiast pana ukarzę, jeśli jeszcze raz zabierze pan głos bez pytania! Niech pan siada!

Przewodniczący znów zwrócił się do Anny Quangel. – No, to jak to z panią jest? Odnajdzie pani w sobie resztki przyzwoitości, czy też woli pani być taka jak pani mąż, o którym już wiemy, że jest podłym zdrajcą narodu? Jest pani zdrajczynią narodu w czasach niedoli? Ośmieli się pani zhańbić własnego syna? Tak czy nie?

Wystraszona Anna Quangel z wahaniem zerknęła na męża.

– Ma pani patrzeć na mnie! Nie na tego zdrajcę stanu! Tak czy nie!

Cicho, ale wyraźnie: – Tak!

– Ma pani mówić głośno! Wszyscy chcemy usłyszeć, jak niemiecka matka nie wstydzi się okryć hańbą bohaterskiej śmierci własnego syna!

– Tak! – powiedziała głośno Anna Quangel.

– Niewiarygodne! – ryknął Feisler. – Przeżyłem tu różne smutne rzeczy i straszne też, lecz takiej hańby jeszcze nie widziałem! Nie powinniście zostać powieszani, tylko takie nieludzkie bestie jak wy powinny zostać poćwiartowane!

Przemawiał raczej do publiczności niż do Quanglów, uprzedzał mowę oskarżycielską oskarżyciela. Lecz opamiętał się w końcu (chciał mieć swoją rozprawę): – Lecz żmudny obowiązek najwyższego sędziego nie pozwala mi zadowolić się waszym przyznaniem się do winy. Choć

przychodzi mi to z trudem i choć wydaje się bezcelowe, obowiązek nakazuje mi sprawdzić, czy mimo wszystko nie występują tu jakieś okoliczności łagodzące.

I tak to się zaczęło, a potem trwało siedem godzin.

Tak, mądry doktor Reichhardt z celi pomylił się, a Quangel razem z nim. Nigdy by nie przypuszczali, że najwyższy sędzia narodu niemieckiego będzie prowadzić rozprawę z tak podłą i bezgraniczną nienawiścią. Było tak, jakby Quanglowie urazili osobiście jego, pana przewodniczącego Feislera, jakby był dotkniętym na honorze małym, zawistnym, niezdolnym do wybaczenia człowieczkiem i zależało mu tylko na tym, żeby śmiertelnie ranić przeciwnika. Było tak, jakby Quangel uwiódł córkę przewodniczącego trybunału, tak osobiste było to wszystko, tak nieziemsko dalekie od wszelkiej rzeczowości. Nie, obaj ogromnie się pomylili, Trzecia Rzesza miała dla tych, którzy najbardziej nią gardzili, wciąż nowe niespodzianki, była podlejsza od wszelkiej podłości.

– Oskarżony, świadkowie, pańscy ucziwi koledzy z pracy, zeznali, że był pan opętany wręcz obrzydliwym skąpstwem. Ile wynosiła pańska tygodniówka? – zapytał na przykład przewodniczący.

– Ostatnimi czasy przynosiłem do domu czterdzieści marek – odpowiedział Quangel.

– Czterdzieści marek, już po odliczeniu potrąceń, podatków i składek na Pomoc Zimową, kasę chorych i Front Pracy?

– Po odliczeniu.

– To niezły zarobek jak dla dwójki takich starych ludzi jak wy, co?

– Wystarczało nam.

– Nie, nie tylko wystarczało! Znów pan kłamie! Regularnie oszczędzaliście! Zgadza się czy się nie zgadza?

– Zgadza się. Zwykle coś odkładaliśmy.

– A ile mógł pan odłożyć co tydzień, tak średnio?

– Nie umiem tak dokładnie powiedzieć. Różnie to było.

Przewodniczący się rozgniewał: – Tak średnio, powiedziałem! Średnio! Nie rozumie pan, co to znaczy średnio? I pan się nazywa majstrem? Nawet liczyć nie umie! Wybornie!

Przewodniczącemu Feislerowi wcale nie wydawało się to wyborne, patrzył na oskarżonego z oburzeniem.

– Mam ponad pięćdziesiąt lat. Pracowałem dwadzieścia pięć lat. Różne to były lata. Przez pewien czas byłem bez pracy. Albo syn był chory. Nie potrafię powiedzieć, ile to było średnio.

– Tak? Nie potrafi pan? Ja panu powiem, dlaczego pan nie potrafi! Bo pan nie chce! To właśnie jest to obrzydliwe skąpstwo, od którego pańscy uczciwi koledzy odwracali się z odrazą. Boi się pan, że się dowiemy, ile pan nagromadził! No, ile tego było? Tego też nie potrafi pan powiedzieć?

Quangel toczył wewnętrzną walkę. Przewodniczący trybunału rzeczywiście trafił w jego słaby punkt. Ile oszczędzili, tego nie wiedziała nawet Anna. Lecz potem Quangel się przemógł. Zdecydował się to zrobić. Przez ostatnie tygodnie zdecydował się na tyle rzeczy, więc czemu i nie na to? Rozstał się z ostatnią rzeczą, która jeszcze łączyła go z życiem i powiedział: – Cztery tysiące siedemset sześćdziesiąt trzy marki!

– Tak – powtórzył przewodniczący i oparł się o swoje wysokie sędziowskie krzesło. – Cztery tysiące siedemset sześćdziesiąt trzy marki i sześćdziesiąt siedem fenigów! – Odczytał tę kwotę z akt. – I nie wstydzę się pan walczyć z państwem, które dało panu tyle zarobić? Zwalcza pan wspólnotę, która tak o pana dbała? – Uniósł się. – Nie ma pan pojęcia, czym jest wdzięczność. Nie ma pan pojęcia, czym jest honor. Jest pan zakałą! Trzeba pana wytępić!

I sępie pazury zaciskają się, a potem otwierają, i znów się zaciskają, jakby rozszarpał padlinę.

– Niemal połowę tych pieniędzy oszczędziłem przed zmianą władzy

– stwierdził Quangel.

Ktoś pośród publiczności roześmiał się, umilkł jednak natychmiast przerażony, gdy spoczął na nim rozgniewany wzrok przewodniczącego trybunału. Zakasłał zmieszany.

– Proszę o ciszę! Absolutną ciszę! A pan, oskarżony, jak będzie pan bezczelny, zostanie ukarany. Niech pan sobie nie myśli, że nie grozi już panu żadna inna kara. Jeszcze się pan może przekonać! – Przeszył Quangla przenikliwym spojrzeniem: – No, niech mi pan powie, oskarżony, na co tak właściwie pan oszczędzał?

– Na starość.

– Ach nie, na starość? Jakie to wzruszające! Ale to znowu kłamstwo. Przynajmniej odkąd zaczął pan pisać te pocztówki, wiedział pan, że późnej starości to pan nie dożyje! Sam pan tutaj przyznał, że od początku był pan świadom konsekwencji popełnianego przestępstwa. A mimo to dalej pan oszczędzał i wpłacał pieniądze do kasy oszczędnościowej. Na co to było?

– Zawsze liczyłem na to, że jakoś mi się uda.

– Co to znaczy, że jakoś się uda? Że zostanie pan uniewinniony?

– Nie, tak nie myślałem. Myślałem, że nie zostanie złapany.

– To widzi pan, że źle pan myślał. Lecz ja panu wcale nie wierzę, że pan tak myślał. Aż taki głupi to pan nie jest, jak pan się tu przedstawia. Nie mógł pan przecież myśleć, że będzie mógł latami bez przeszkód kontynuować swoją przestępczą działalność.

– Nie wierzę w nic, co ma trwać latami.

– Co to ma znaczyć?

– Nie wierzę, że ta Tysiącletnia Rzesza długo się utrzyma – powiedział Quangel, odwracając swoją ptasią głowę o ostrym profilu w stronę przewodniczącego.

Adwokat poniżej wzdrygnął się przerażony.

Wśród publiczności znów ktoś się roześmiał i zaraz zapanowało tam głośne szemranie.

– Co za świnia! – wykrzyknął ktoś.

Szupo za Quanglem poprawił sobie czako, a drugą ręką sięgnął do kabury.

Oskarżyciel zerwał się z miejsca i zaczął machać kartką papieru.

Pani Quangel popatrzyła z uśmiechem na męża i energicznie pokiwała głową.

Szupo za nią chwycił ją za ramię i boleśnie uściśnął. Udało jej się powstrzymać krzyk.

Jeden z sędziów wpatrywał się w Quangła z szeroko otwartymi ustami.

Przewodniczący zerwał się z miejsca: – Pan jest przestępcą! I idiotą! Zbrodniarzem! Śmie pan w tym miejscu mówić...

Opamiętał się ze względu na swoją godność.

– Natychmiast odprowadzić oskarżonego. Wachmistrzu, niech pan go wprowadzi! Trybunał zdecyduje o odpowiedniej karze...

Po kwadransie rozprawę podjęto na nowo.

Wielu zauważyło, że oskarżony z trudem idzie o własnych siłach. Pomyślano sobie, że pewnie już wcześniej wzięli go w obroty. Anna Quangel z trwogą pomyślała to samo.

Przewodniczący Feisler oznajmił: – Oskarżony Otto Quangel zostaje skazany na cztery tygodnie ciemnicy o chlebie i wodzie, przy czym co trzeci dzień będzie całkowicie pozbawiony jedzenia. Ponadto – dodał przewodniczący Feisler tytułem wyjaśnienia – oskarżonemu zostaną odebrane szelki, ponieważ, jak zameldowano, w czasie przerwy podejrzanie przy nich manipulował. Zachodzi podejrzenie próby samobójstwa.

– Musiałem do toalety.

– Stulcie pysk, oskarżony! Zachodzi podejrzenie próby samobójstwa.

Oskarżony będzie sobie musiał odtąd radzić bez szelek. Sam jest sobie winien.

Na sali znów się roześmiano, lecz tym razem przewodniczący rzucił w tamtą stronę niemal życzliwe spojrzenie, ubawiony własnym dowcipem. Oskarżony stał nieco przygarbiony, cały czas musiał przytrzymywać opadające spodnie.

Przewodniczący trybunału uśmiechnął się. – Kontynuujemy rozprawę.

ROZDZIAŁ 63.

Rozprawa główna: oskarżyciel Pinczer

Podczas gdy przewodniczącego Trybunału Ludowego Feislera każdy bezstronny obserwator porównałby do złośliwego posokowca^[75], to oskarżyciel odgrywał rolę małego, ujadającego pinczerka, który czeka na to, by ugryźć w łydkę ofiarę posokowca, kiedy jego wielki brat chwycił ją już za gardło. Oskarżyciel kilka razy podczas rozprawy przeciwko Quanglom próbował się rozszczekać, lecz zawsze natychmiast zagłuszało go ujadanie posokowca. Cóż zresztą takiego miał do wyszczekania? Przewodniczący trybunału od pierwszej chwili wykonywał robotę oskarżyciela, Feisler od pierwszej chwili naruszał podstawowy obowiązek sędziego, który powinien dążyć do prawdy. Był stronnicy w najwyższym możliwym stopniu.

Lecz po przerwie obiadowej, podczas której przewodniczący trybunału uraczył się obfitym, bezkarkowym posiłkiem, do którego podano także wino i wódkę, Feisler poczuł się trochę zmęczony. Po co w ogóle tyle zachodu? Przecież oboje są już martwi. Na dodatek teraz kolej na kobietę, żonę zwykłego robotnika – a kobiety były przewodniczącemu zasadniczo obojętne, z sędziowskiego punktu widzenia. Wszystkie kobiety są durne i nadają się tylko do jednego. Poza tym robią to, co każą im mężowie.

Feisler pozwolił więc łaskawie, żeby Pinczer wysunął się do przodu i podniósł jazgot. Z na wół przymkniętymi oczami oparł się o sędziowskie krzesło, głowę podparł sępimi szponami i pozornie uważnie słuchał, w rzeczywistości oddając się trawieniu.

[75] Posokowiec – pies myśliwski z grupy gończych o doskonałym węchu wyczulonym na krew zwierzęcą (posokę).

Pinczer ujął: – Wcześniej oskarżona zajmowała stanowisko w Związku Kobiet?

– Tak – odpowiedziała pani Quangel.

– I dlaczego pani zrezygnowała? Czy zażądał tego od pani mąż?

– Nie – odpowiedziała pani Quangel.

– Ach, więc nie zażądał tego od pani? Najpierw mąż rezygnuje ze stanowiska we Froncie Pracy, a dwa tygodnie później jego żona rezygnuje z funkcji w Związku Kobiet. Oskarżony Quangel, czy nie zażądaliście tego od swojej żony?

– Pewnie sama wpadła na ten pomysł, gdy dowiedziała się, że ja zrezygnowałem ze stanowiska.

Gdy Quangel stoi, cały czas musi przytrzymywać sobie spodnie.

Potem siada, gdyż oskarżyciel znów zwraca się do Anny Quangel. – A więc dlatego zrezygnowała pani ze stanowiska?

– Wcale z niego nie zrezygnowałam. Zostałam wyrzucona.

Pinczer zaczyna ująć: – Niech oskarżona uważa na słowa! Pani też może, tak jak mąż, zostać ukarana, jeśli będzie sobie za wiele pozwalać! Dopiero co przyznała pani, że zrezygnowała ze stanowiska.

– Nieprawda. Powiedziałam, że nie, że mój mąż mnie nie namawiał.

– Kłamie pani! Kłamie! Ma pani czelność kłamać wysokiemu trybunałowi i mnie prosto w twarz!

Wściekłe ujadanie. Oskarżona pozostaje przy swoim zdaniu.

– Proszę odczytać stenogram!

Stenogram zostaje odczytany i zostaje stwierdzone, że oskarżona miała rację. Poruszenie na sali. Otto Quangel z aprobatą patrzy na swoją Annę, która nie daje się zastraszyć. Jest z niej dumny.

Oskarżyciel Pinczer podwija na chwilę ogon i zezuje na przewodniczącego. Ten ziewa dyskretnie, zasłaniając usta sępiami szponami. Oskarżyciel postanawia porzucić stary trop i podjąć nowy.

– Oskarżona była już dość stara, gdy ożenił się z panią jej obecny mąż?

– Byłam przed trzydziestką.

– A wcześniej?

– Nie rozumiem.

– Niech pani nie zgrywa niewiniątka, chcę wiedzieć, jakie stosunki utrzymywała pani z mężczyznami przed zawarciem małżeństwa. Doczekam się?

Bezgraniczna ordynarność tego pytania sprawiła, że Anna Quangel najpierw się zaczerwieniła, a potem pobladła. Z błaganiem o pomoc w oczach odwróciła się w stronę starszego, zatroskanego obrońcy, który podniósł się z miejsca i powiedział: – Proszę o uchylenie tego pytania jako niedotyczącego sprawy!

Na co oskarżyciel: – Moje pytanie dotyczy sprawy. Wyrażono tu przypuszczenie, że oskarżona tylko biernie pomagała swojemu mężowi. Udowodnię, że pochodząc z motłochu, stoi na niskim poziomie moralnym i że można się po niej spodziewać każdej zbrodni.

Znudzony przewodniczący oświadczył: – Pytanie dotyczy sprawy i zostaje dopuszczone.

Pinczer ujada na nowo: – A więc z iloma mężczyznami utrzymywała pani stosunki przed zawarciem małżeństwa?

Wszystkie oczy zwrócone są na Annę Quangel. Niektórzy studenci na sali oblizują wargi, ktoś jęknął lubieżnie.

Quangel patrzy na Annę zatroskana, wie przecież, jak jest wrażliwa na tym punkcie.

Lecz Anna Quangel podjęła decyzję. Tak jak wcześniej jej Otto odrzucił wszelkie swoje zahamowania dotyczące ich oszczędności, teraz ona zamierzała zachowywać się bezwstydnie wobec tych bezwstydných ludzi.

Oskarżyciel zapytał: – A więc z iloma mężczyznami utrzymywała pani stosunki przed zawarciem małżeństwa?

A Anna Quangel odpowiada: – Z osiemdziesięcioma siedmioma.

Ktoś pośród publiczności parska śmiechem.

Przewodniczący budzi się z półdrzemki i niemal z zainteresowaniem patrzy na żonę robotnika, niewysoką kobietę o krępej budowie ciała, zaczerwienionych policzkach i pełnych piersiach.

Ciemne oczy Quangla załśniły, lecz zaraz potem nisko opuścił powieki. Na nikogo nie patrzył.

Oskarżyciel jąka się skonfundowany: – Z osiemdziesięcioma siedmioma? Dlaczego akurat z osiemdziesięcioma siedmioma?

– Nie wiem – mówi niewzruszona Anna Quangel. – Więcej nie było.

– Tak? – mówi zniechęcony oskarżyciel. – Ach tak!

Bardzo zmarkotniał, gdyż nagle uczynił z oskarżonej ciekawą postacią, co w żadnym razie nie było jego zamiarem. Podobnie jak większość obecnych on też jest przekonany, że ta kobieta kłamie, że miała najwyżej ze dwóch czy trzech kochanków, a może nawet żadnego. Można by ją ukarać za kpiny z sądu. Ale jak udowodnić, że taki miała zamiar?

W końcu podejmuje decyzję. Mówi zrzedliwym tonem: – Jestem przekonany, że oskarżona zdecydowanie przesadziła. Kobieta, która miała osiemdziesięciu siedmiu kochanków, nie spamiętałaby ich liczby. Odpowiedziałyby, że wielu. Ale ta odpowiedź dowodzi właśnie pani degeneracji. I jeszcze się pani obnosi ze swoim bezwstydem! Jest pani dumna, że była dziwką. A z dziwki stała się pani tym, kim zwykle stają się wszystkie dziwki, stała się pani stręczycielką. Stręczycielką swojego własnego syna.

Pinczerowi udało się jednak dogryźć Annie Quangel.

– Nie! – wykrzykuje Anna, unosząc ręce w błagalnym geście. – Niech pan tak nie mówi! Nigdy tego nie robiłam!

– Nie robiła pani tego? – ujada Pinczer. – A jak nazwie pani to, że wielokrotnie nocowała u siebie tak zwaną narzeczoną swojego syna? Może wypraszała pani wtedy syna z domu? Co? To gdzie spała ta Trudel? Przecież pani wie, że ona nie żyje, tak, wie to pani? Gdyby było inaczej, ta kobieta, która pomagała pani mężowi w przestępczej działalności, też siedziałaby tutaj na ławie oskarżonych!

Lecz wzmianka o Trudel dodaje pani Quangel odwagi. Mówi, lecz nie do oskarżyciela, tylko do trybunału: – Tak, chwała Bogu, że Trudel nie żyje, że nie musi przeżywać tej ostatniej hańby...

– Niech się pani natychmiast opamięta! Ostrzegam oskarżoną!

– To była dobra, przyzwoita dziewczyna...

– I spędziła pięciomiesięczny płód, bo nie chciała rodzić żołnierzy!

– Nie spędziła płodu, była nieszczęśliwa z powodu śmierci dziecka!

– Sama się do tego przyznała!

– Nie wierzę.

Oskarżyciel zaczyna wrzeszczeć: – Nie obchodzi nas tutaj, w co pani wierzy albo nie! Ale radzę oskarżonej jak najszybciej zmienić ton, bo jeszcze gorzko pani pożałuje! Zeznanie owej Hergesell zaprotokołował komisarz Laub. A komisarz policji kryminalnej nie kłamie!

Pinczer rozejrzał się groźnym wzrokiem po sali.

– A teraz jeszcze raz proszę oskarżoną, żeby powiedziała mi, czy jej syn utrzymywał intymne stosunki z tą dziewczyną?

– W takie sprawy matka się nie wtrąca. Ja ich nie szpiegowałam.

– Ale miała pani obowiązek ich pilnować! Skoro pozwalała pani na nieobyczajne zachowanie syna we własnym domu, jest pani winna stręczycielstwa, tak stanowi kodeks karny.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Wiem natomiast, że była wojna i mój syn mógł zginąć. W naszych kręgach jest tak, że jeśli dwoje młodych jest po zaręczynach albo prawie jak po zaręczynach, i do tego jest wojna, to

my się nie wtrącamy.

– Aha, więc teraz oskarżona się przyznaje! Wiedziała pani o niemoralnych stosunkach i tolerowała je pani! I określa to pani mianem niewtrącania się! Ale kodeks karny nazywa to stręczycielstwem, a matka, która coś takiego toleruje, jest nikczemną bezwstydnicą!

– Tak, doprawdy? W takim razie chciałabym wiedzieć – mówi Anna Quangel mocnym głosem bez cienia strachu – chciałabym wiedzieć, jak kodeks karny nazywa to, co robi Związek Dajek Niemieckich?^[76]

Żywiołowy śmiech...

– I to, co wyprawiają ci z SA ze swoimi dziewczynami...

Śmiech zamiera.

– I ci z SS. Ludzie mówią, że SS najpierw hańbi żydowskie dziewczyny, a dopiero potem je rozstrzelują...

Przez chwilę panuje kompletna cisza...

Lecz potem wybucha wrzawa. Ludzie krzyczą. Niektórzy wspinają się na barierki, chcąc się rzucić na oskarżoną.

Otto Quangel zrywa się z miejsca, gotowy pośpieszyć żonie na pomoc...

Policjant z Szupo i brak szelek uniemożliwiają mu to.

Przewodniczący stoi i stanowczo, lecz daremnie żąda spokoju.

Sędziowie rozmawiają głośno między sobą. Głupek ze stale otwartymi ustami potrząsa pięściami.

Oskarżyciel Pinczer ujada i ujada, ale nikt nie rozumie ani słowa...

Zraniono najświętsze uczucia narodu, obrażono SS, ulubione oddziały Führera, elitę germańskiej rasy!

W końcu wywlekają Annę Quangel z sali, wrzawa ucicha, a trybunał udaje się na naradę...

Pojawia się z powrotem po pięciu minutach:

[76] Drwiące określenie Związku Dziewcząt Niemieckich.

– Oskarżona Anna Quangel zostaje wykluczona z udziału w toczącej się przeciwko niej rozprawie. Od tej pory pozostanie w kajdankach. Na razie do ciemnicy. Chleb i woda co drugi dzień.

I rozprawa toczy się dalej.

ROZDZIAŁ 64.

Rozprawa główna: świadek Ulrich Heffke

Świadek Ulrich Heffke, wykwalifikowany robotnik, garbaty brat Anny Quangel, miał za sobą trudne miesiące. Sumienny komisarz Laub aresztował go wraz z żoną tuż po zatrzymaniu Quangelów, bez żadnego konkretnego podejrzenia, tylko dlatego, że był krewnym Quangelów.

Od tego momentu Ulrich Heffke żył w ciągłym strachu. Ten łagodny człowiek o prostym, skromnym umyśle, przez całe życie unikający konfliktów, został aresztowany przez sadystę Lauba, który dręczył go, bił i wrzeszczał. Był głodzony i upokarzany, krótko mówiąc, męczony na wszelkie diabelskie sposoby.

W efekcie garbusowi całkiem pomieszało się w głowie. Nasłuchiwał lękliwie, co dręczyciele chcą usłyszeć, a potem bez opamiętania dostarczał im obciążające nawet jego samego zeznania, na co oni natychmiast dowodzili ich niedorzeczności.

I potem dręczyli go od nowa w nadziei, że jednak dowiedzą się od tego małego garbusa o jakimś nowym, pozostającym dotąd w ukryciu przestępstwie. Gdyż komisarz Laub działał zgodnie z obowiązującą w owych czasach zasadą: każdy coś przeszkrobał. Trzeba tylko szukać wystarczająco długo, a na pewno coś się znajdzie.

Laub za nic nie mógł uwierzyć, że trafił na Niemca, który nie był członkiem partii, a mimo to nie słuchał zagranicznych audycji, nie prowadził defetystycznej szeptanej propagandy i nigdy nie łamał zarządzeń dotyczących żywności. Laub powiedział Heffkemu wprost, że on podrzucił pocztówki przy Nollendorfplatz dla swojego szwagra.

Heffke przyznał się, a po trzech dniach Laub udowodnił mu, że on, Ulrich Heffke, nie mógł ich podrzucić.

Komisarz Laub oskarżył więc Heffkego o zdradę tajemnicy zakładowej fabryki optycznej, w której pracował. Heffke przyznał się, a po tygodniu żmudnego dochodzenia Laub stwierdził, że w tej fabryce nie było żadnych tajemnic, które można by zdradzić. Nikt tam nie wiedział, do jakiej właściwie broni przeznaczone są poszczególne elementy, które produkują.

Heffke drogo opłacał każde fałszywe zeznanie, lecz nie nabierał przez to rozumu, tylko bał się coraz bardziej. Przyznawał się na oślep, żeby tylko mieć spokój, żeby uniknąć kolejnego przesłuchania, podpisywał każdy protokół. Podpisałby nawet wyrok śmierci na samego siebie. Był galareta, kupką strachu, która zaczynała się trząść już przy pierwszym słowie.

Komisarz Laub był na tyle bezczelny, że kazał tego nieszczęśnika przenieść do aresztu śledczego razem z Quanglami, choć nic w protokołach nie wskazywało na udział Heffkego w „zbrodni” popełnionej przez Quangłów. Lepiej mieć pewność, już sędzia śledczy sam sprawdzi, czy z Heffkego nie wyciśnie czegoś obciążającego. Ulrich Heffke wykorzystał wszechstronne możliwości aresztu śledczego w ten sposób, że przy pierwszej okazji się powiesił. Znalaziono go dosłownie w ostatniej chwili, odcięto i подарowano na nowo życie, które stało się dla niego zupełnie nie do zniesienia.

Od tego momentu garbusek musiał żyć w jeszcze gorszych warunkach: w jego celi całą noc paliło się światło, specjalnie wyznaczony wartownik co kilka minut zaglądał przez drzwi, ręce miał związane i niemal codziennie zabierano go na przesłuchanie. Choć sędzia śledczy też nie znalazł w aktach niczego, co obciążałoby Heffkego, to i tak był mocno przekonany, że ten garbus ukrywa jakieś przestępstwo, bo inaczej po co

próbowałyby popełnić samobójstwo? Niewinni tego nie robią! To właśnie durna taktyka Heffkego, by od razu potwierdzać każde oskarżenie, sprawiła, że sędzia śledczy musiał prowadzić uciążliwe przesłuchania i dochodzenia, z których wynikało potem, że Heffke nic nie zrobił.

Stało się więc tak, że Ulrich Heffke został zwolniony z aresztu śledczego dopiero na tydzień przed główną rozprawą. Wrócił do swojej wysokiej, ciemnej, zmęczonej żony, którą już dawno zwolniono. Przyjęła go w milczeniu. Heffke był zbyt roztrzęsiony, żeby iść do pracy. Często godzinami klęczał w kącie pokoju i przyjemnym, cichym falsetem śpiewał pieśni kościelne. Nie mówił prawie nic, za to w nocy dużo płakał. Mieli zaoszczędzone pieniądze, więc żona nie starała się zachęcić go do powrotu do pracy.

Już trzy dni po zwolnieniu Ulrich Heffke otrzymał wezwanie do stawienia się jako świadek na rozprawie głównej. Do jego osłabionego umysłu nie docierało, że jest wzywany tylko jako świadek. Z godziny na godzinę rosło jego zdenerwowanie, prawie nic nie jadł, za to śpiewał coraz dłużej. Nieustannie dręczył go lęk, że męczarnie, które dopiero co przetrwał, znowu się rozpoczną.

W noc przed rozprawą główną powiesił się po raz drugi, tym razem życie uratowała mu jego ciemnowłosa żona. Gdy tylko złapał oddech, porządnie go obija. Nie pochwałała jego stylu życia. Następnego dnia mocno chwyciła go pod ramię i pod drzwiami pokoju dla świadków przekazała woźnemu sądowemu, mówiąc: – On ma bzika! Musicie na niego uważać!

Ponieważ pokój dla świadków był już wypełniony, gdy padały te słowa – zaproszono przede wszystkim kolegów Quangla z pracy, kierownictwo fabryki, obie kobiety i sekretarza pocztowego, którzy widzieli go przy podkładaniu kartek, dwie damy z zarządu Związku Kobiet i tak dalej – ponieważ było tam już mnóstwo świadków, kiedy Anna Heffke

wypowiadała owe słowa, na małego człowieczka pilnie uważał nie tylko woźny sądowy, lecz także wszyscy świadkowie. Niektórzy próbowali skrócić sobie nudny czas oczekiwania drwinami z garbusa, lecz niewiele z tego wyszło. Z jego oczu wyzierał tylko strach. Ludzie byli zbyt dobrodusznymi, żeby mu go dodatkowo napędzać.

Garbus mimo strachu dobrze zniósł przesłuchanie przez przewodniczącego Feislera, po prostu dlatego, że mówił tak cicho i tak bardzo się trząśł, że najwyższemu sędziemu szybko znudziło się kontynuowanie przesłuchania takiego tchórze. Garbus ukrył się pośród innych świadków, mając nadzieję, że z nim już skończyli.

Lecz potem musiał patrzeć, jak oskarżyciel Pinczer przesłuchuje jego siostrę, jak ją dręczy, słuchał bezwstydnymi pytań, które zadawał Annie. W głębi duszy był oburzony, chciał wystąpić, chciał przemówić w obronie ukochanej siostry, chciał poświadczyć, że zawsze prowadziła się porządnie – lecz strach kazał mu się skulić, schować i pozostać tchórzem.

I tak obserwował, oszołomiony, rozdarty pomiędzy strachem i tchórzostwem a przyływami odwagi, dalszy ciąg rozprawy, aż nadszedł moment, w którym Anna Quangel obraziła Związek Dziewcząt Niemieckich, SA i SS. Widział zamieszanie, które wtedy wybuchło, a nawet sam swoją drobną, śmieszoną postacią przyczynił się do rozgardiaszu, gdyż wdrapał się na ławkę, żeby lepiej widzieć. Zobaczył, jak dwóch szupo wywleka Annę z sali.

Wciąż stał na ławce, gdy przewodniczący w końcu zdołał przywołać salę do porządku. Jego sąsiedzi zapomnieli o nim, nadal pochylali głowy ku sobie.

I wtedy wzrok oskarżyciela Pinczera padł na Ulricha Heffkego, zdumiony popatrzył na jego żalospną postać i zawołał: – Hej, wy tam...! Przecież pan jest bratem oskarżonej! Jak się pan nazywa?

– Heffke, Ulrich Heffke – odpowiedział oskarżycielowi jego asesor.

– Świadek Ulrich Heffke, to była pańska siostra! Żądam, żeby wypowiedział się pan na temat wcześniejszego życia Anny Quangel! Co pan o nim wie?

I Ulrich Heffke otworzył usta, a wciąż stał na ławce i jego oczy po raz pierwszy patrzyły bez strachu. Otworzył usta i swoim przyjemnym falsetem zaśpiewał:

Już się z tobą rozstawam zły świecie obłudny,
Twój postępek uznawani, grzeszny i niecudny.
W niebie raj i ochłoda, tam ja pragnę tego:
Tam jest wiernym nagroda od Boga samego?

Wszyscy byli tak zdumieni, że pozwolili mu spokojnie śpiewać. Niektórzy uważali nawet, że ta prosta pieśń jest ładna i kołysali głupio głowami do rytmu. Jeden z sędziów znów miał otwarte usta. Studenci mocno zacisnęli dłonie na ławkach, na ich twarzach widać było napięcie. Zatroskany siwy adwokat przekrzywił głowę i z namysłem dłużył w nosie. Otto Quangel skierował swój ptasi profil w stronę szwagra i po raz pierwszy poczuł, jak jego zimne serce bije dla tego biednego, małego człowieka. Co oni z nim zrobią?

Niech się w rany ukryję Twej zasługi krwawej,
Niech dostąpiwszy żyję w wiekuistej sławie,
Kto z łaski twej górnego pałacu na niebie
Doszedł, ten się ma z czego weselić u ciebie?

Podczas śpiewania drugiej zwrotki na sali znów zapanował niepokój. Przewodniczący coś szeptał, oskarżyciel przesłał jakąś karteczkę pełniącemu wartość oficerowi policji.

Lecz mały garbus na nic nie zwracał uwagi. Jego spojrzenie

skierowane było na sufit sali. A potem zawołał donośnie głosem pełnym ekstazy: – Nadchodzę!

Uniósł ręce, odepchnął się nogami od ławki, chcąc odlecieć...

Lecz potem nieporadnie spadł pomiędzy siedzących poniżej świadków, którzy przerażeni odskoczyli na boki, i poturlał się pomiędzy ławki...

– Wyprowadźcie stąd tego człowieka! – zawołał przewodniczący błagalnym tonem w stronę znów poruszonej sali. – Powinien go zbadać lekarz!

Ulricha Heffkego wyprowadzono z sali rozpraw.

– Jak widać, rodzina przestępców i szaleńców – stwierdził przewodniczący. – Cóż, należy takich wytepić.

I rzucił groźne spojrzenie Ottonowi Quangłowi, który przytrzymując sobie spodnie, wciąż wpatrywał się w drzwi, za którymi zniknął jego mały szwagier.

I oczywiście Ulrich Heffke został wytepiiony. Zarówno fizycznie, jak i umysłowo nie przedstawiał żadnej wartości, więc po krótkim pobycie w zakładzie za pomocą strzykawki sprawiono, że rzeczywiście rozstał się z tym obłudnym światem.

ROZDZIAŁ 65.

Rozprawa główna: obrońcy

Obrońca Anny Quangel, zatroskany, siwowłosa, starszy mężczyzna, który tak chętnie w chwilach zapomnienia dłubał w nosie, a przy tym wyglądał niewątpliwie na Żyda (nic mu jednak nie można było „udowodnić”, gdyż posiadał „czysto aryjskie” papiery), ów człowiek, który z urzędu został pełnomocnikiem prawnym tej kobiety, wstał, żeby wygłosić mowę obrończą.

Wyjaśnił, jak bardzo żałuje, że jest zmuszony wystąpić podczas nieobecności swojej klientki. Z pewnością zniewagi, jakie rzuciła pod adresem tak sprawdzonych instytucji partyjnych, jak SA czy SS, były godne pożałowania...

Wtrącenie oskarżyciela: – Zbrodnicze!

Tak jest, oczywiście, przytaknął oskarżycielowi, tego rodzaju zniewagi były w najwyższym stopniu zbrodnicze. Niemniej jednak, widząc przypadek brata jego klientki, nie można jej uznać za w pełni poczytalną. Przypadek Ulricha Heffkego, który z pewnością pozostaje żywo w pamięci wysokiego trybunału, udowodnił, że w rodzinie Heffków krąży widmo religijnego obłądu. Można słusznie założyć, nie sięgając nawet do opinii rzeczoznawcy medycznego, że chodzi tu o schizofrenię, a ponieważ schizofrenia należy do chorób dziedzicznych...

Tu oskarżyciel przerwał po raz drugi siwemu obrońcy, prosząc trybunał, by ten upomniał adwokata, żeby trzymał się sprawy.

Przewodniczący Feisler upomniał adwokata, żeby trzymał się sprawy. Adwokat odparł, że trzyma się sprawy.

Nie, nie trzyma się sprawy. Tu chodzi o zdradę kraju i zdradę stanu, a nie o schizofrenię i obłąd.

Adwokat znów zaprotestował. Skoro pan oskarżyciel ma prawo dowodzić moralnego upadku jego klientki, to on ma prawo mówić o schizofrenii. Prosi o decyzję sądu.

Trybunał wyszedł w celu podjęcia decyzji dotyczącej wniosku obrońcy. Następnie przewodniczący Feisler oznajmił: – Ani podczas wstępnego dochodzenia, ani w trakcie dzisiejszej rozprawy nie pojawiły się żadne oznaki zaburzeń umysłowych u Anny Quangel. Przypadek jej brata Ulricha Heffkego nie może zostać przywołany jako posiadający moc dowodową, ponieważ co do osoby świadka Heffkego lekarz sądowy nie wydał jeszcze orzeczenia. Bardzo możliwe, że w przypadku Ulricha Heffkego chodzi o niebezpiecznego symulanta, który chce pomóc swojej siostrze. Nakazuje się obronie, żeby trzymała się faktów związanych ze zdradą kraju i zdradą stanu, które są na porządku dziennym toczącej się rozprawy...

Triumfujące spojrzenie oskarżyciela Pinczera w stronę zatroskanego adwokata.

I zgaszone spojrzenie adwokata.

– Ponieważ wysoki trybunał nie pozwala mi – zaczął od nowa adwokat Anny Quangel – odnieść się do stanu umysłowego mojej klientki, pominę wszystkie punkty, które przemawiają za jej ograniczoną poczytalnością: zniewagi wobec własnego małżonka po śmierci syna, jej dziwne, pozwalające podejrzewać zaburzenia umysłowe zachowanie u żony Obersturmbannführera...

Pinczer zaczyna ujadać: – Wnoszę zdecydowany sprzeciw wobec tego, jak obrońca oskarżonej obchodzi zakaz trybunału. Pomija punkty, przez co tym mocniej je podkreśla. Wnoszę o podjęcie decyzji przez trybunał!

I znów trybunał udaje się na naradę, a po jego powrocie przewodniczący Feisler oznajmia złośliwie, że adwokat zostaje skazany za naruszenie postanowienia trybunału na karę pięciuset marek. Jeśli to się powtórzy, obrońcy zostanie odebrany głos.

Siwy adwokat kłania się. Wygląda na zmartwionego, jakby dręczyła go myśl, skąd ma wziąć te pięćset marek. Po raz trzeci rozpoczyna swoją przemowę. Stara się przedstawić młodość Anny Quangel, lata służby, a potem małżeństwo u boku człowieka, który jest zimnym fanatykiem, całe życie tej kobiety: – Nic tylko praca, troski, rezygnacja z siebie, podporządkowanie się surowemu mężowi. I ten człowiek zaczyna nagle pisać pocztówki o zdradzieckiej treści. Z rozprawy jasno wynika, że to mąż wpadł na ten pomysł, a nie żona. Wszystkie zaprzeczające temu stwierdzenia mojej klientki podczas wstępnego dochodzenia należy przypisać błędnie pojętej ofiarności...

Adwokat podnosi głos: – Co pani Anna Quangel mogła zdziałać przeciwko zbrodniczej woli swojego małżonka? Co mogła zrobić? Miała za sobą życie pełne służebności, nauczyła się wyłącznie posłuszeństwa, nigdy nie stawiała oporu. Była tworem swojego męża, była mu posłuszna...

Oskarżyciel nadstawia uszu.

– Wysoki trybunale! Nie da się w pełni ocenić czynu, nie, współudziału w czynie tej kobiety. Tak jak nie można ukarać psa, który na rozkaz swojego pana poluje na cudzym terenie na zające, tak samo nie można w pełni pociągnąć tej kobiety do odpowiedzialności za współudział. Również z tego powodu chroni ją paragraf 51 ustęp 2...

Oskarżyciel ponownie mu przerywa. Ujada, że adwokat znów naruszył zakaz trybunału.

Obrońca protestuje.

Oskarżyciel odczytuje z notesu: – Według stenogramu obrona powiedziała, co następuje: Również z tego powodu chroni ją paragraf 51

ustęp 2. Słowa „również z tego powodu” w oczywisty sposób odnoszą się do sugerowanej przez obronę choroby umysłowej w rodzinie Heffków. Wnoszę o decyzję sądu!

Przewodniczący Feisler zapytuje obrońcę, do czego odnosiły się jego słowa „również z tego powodu”?

Adwokat wyjaśnia, że jego słowa odnosiły się do powodów, które przedstawi w dalszej części swojej obrony.

Oskarżyciel krzyczy, że nikt nie powołuje się w swojej mowie na coś, co jeszcze nie zostało powiedziane. Odnieść można się tylko do czegoś, co jest znane, a nie do czegoś nieznanego. Słowa pana adwokata stanowią jedynie kiepską wymówkę.

Obronca nie zgadza się z zarzutem, że stosuje kiepską wymówkę. Poza tym można się w swojej mowie jak najbardziej odwoływać do czegoś, co dopiero zostanie przedstawione, to znana sztuczka oratorska, żeby wzbudzić zainteresowanie czymś, co dopiero nastąpi. Jak powiedział na przykład Marek Tulliusz Cynceron w swojej słynnej trzeciej filipice...

O Annie Quangel zupełnie zapomniano. Teraz to Otto Quangel patrzył na nich z otwartymi ze zdumienia ustami.

Toczyła się gorączkowa dysputa. Sypano cytatami w łacinie i starogreckim.

W końcu trybunał znów udał się na naradę, a po powrocie przewodniczący Feisler oznajmił ku ogólnemu zaskoczeniu (gdyż większość publiczności zapomniała w trakcie uczonej dysputy o jej przyczynie), że z powodu kolejnego naruszenia postanowienia trybunału adwokatowi oskarżonej zostaje odebrany głos. Oficjalna obrona Anny Quangel zostaje przekazana obecnemu przypadkiem na sali asesorowi Lüdeckemu.

Siwy obrońca uklonił się i opuścił salę posiedzeń. Wyglądał przy tym na jeszcze bardziej zatroskanego niż zwykle.

„Obecny przypadkiem” asesor Lüdecke wstał i przemówił. Nie miał zbyt dużego doświadczenia, nie przysłuchiwał się też uważnie, był onieśmielony w obliczu trybunału, poza tym był mocno zakochany i nie potrafił rozsądnie myśleć. Mówił przez trzy minuty, poprosił o uwzględnienie okoliczności łagodzących (o ile wysoki trybunał nie jest innego zdania, bo w takim razie prosi o uznanie swojej prośby za niebyłą) i usiadł z powrotem. Był bardzo czerwony na twarzy i wyglądał na zakłopotanego.

Udzielono głosu obrońcy Ottona Quangla.

Ten wstał. Był jasnowłosy i bardzo zarozumiały. Podczas rozprawy ani razu nie zabrał głosu, nie robił żadnych notatek, blat stołu przed nim był zupełnie pusty. Podczas tej wielogodzinnej rozprawy zajmował się niemal wyłącznie delikatnym pocieraniem swoich różowych, wypielegnowanych paznokci i uważnym im się przyglądaniem.

Teraz jednak przemówił; z togą na wpół odsłoniętą, jedną rękę trzymał w kieszeni, a drugą wykonywał oszczędne gesty. Ów obrońca nie znosił swojego klienta, uważał, że jest on odrażający, ograniczony, niewiarygodnie wstrętny i do tego odpychający. A Quangel niestety zrobił wszystko, by wzmocnić niechęć swojego obrońcy, choć bowiem doktor Reichhardt usilnie mu to odradzał, nie udzielił swojemu adwokatowi żadnych informacji. Nie potrzebował adwokata.

Teraz więc przemawiał adwokat doktor Stark. Jego nosowy, powolny sposób mówienia mocno kontrastował z dobitnymi wyrażeniami, których używał.

Powiedział: – My wszyscy, którzy zgromadziliśmy się w tej godzinie na tej sali, rzadko widzimy obraz tak głębokiej ludzkiej niegodziwości, jak miało to dziś miejsce. Zdrada kraju, zdrada stanu, prostytutka, stręczycielstwo, aborcja, skąpstwo – czy istnieje jakieś ludzkie przewinienie, którego mój klient nie miałby na sumieniu, przestępstwo,

w którym by nie uczestniczył? Wysoki trybunale, moi państwo, nie jestem w stanie bronić takiego zbrodniarza. W tym przypadku składam tożę obrońcy i ja sam, obrońca, stoję się oskarżycielem, i podnoszę głos, by napomnieć: niech najsurowszej sprawiedliwości stanie się zadość. Mogę przytoczyć jeszcze słynne zdanie: *Fiat iustitia, pereat mundus!*^[77]. Żadnych okoliczności łagodzących dla tego zbrodniarza, który nie zasługuje nawet na miano człowieka!

Z tymi słowami obrońca ukłonił się ku ogólnemu zaskoczeniu i usiadł, uważnie podciągając spodnie nad kolanami. Rzucił badawcze spojrzenie na swoje paznokcie i zaczął delikatnie je pocierać.

Po krótkiej chwili zdumienia przewodniczący zapytał oskarżonego, czy ma coś do powiedzenia na swoją obronę. Tylko gdyby łaskawie zechciał się streszczać.

Otto Quangel powiedział, przytrzymując sobie spodnie: – Nie mam nic do powiedzenia na swoją obronę. Ale chciałbym szczerze podziękować mojemu adwokatowi za obronę. W końcu zrozumiałem, co to znaczy, gdy ktoś jest lewnikiem, a nie prawnikiem.

I Quangel usiadł pośród gwałtownego wzburzenia obecnych na sali. Adwokat przerwał polerowanie paznokci, wstał i oznajmił niedbale, że rezygnuje z wniesienia sprawy przeciwko swojemu klientowi, gdyż ten udowodnił jedynie po raz kolejny, że jest niepoprawnym przestępcą.

I to był moment, w którym Quangel się roześmiał, po raz pierwszy od swojego aresztowania, nie, od niepamiętnych czasów, roześmiał się wesoło i beztrąsko. Nagle obezwładnił go komizm sytuacji, w której banda zbrodniarzy naprawdę chciała napiętnować jego jako przestępcę.

Przewodniczący ostro zrugął oskarżonego z powodu jego niestosownej

[77] *Fiat iustitia, pereat mundus!* (łac.) – Sprawiedliwości musi stać się zadość, choćby świat miał zginąć! – sentencja przypisywana św. Augustynowi lub XVI-wiecznemu cesarzowi rzymsko-niemieckiemu Ferdynandowi.

wesołości. Zastanawiał się, czy nie zastosować wobec Quangla jeszcze ostrzejszych kar, lecz przypomniał sobie, że już nałożył na oskarżonego wszystkie możliwe kary i pozostało mu jeszcze tylko wyrzucenie go z sali rozpraw, i uznał, że kiepsko to będzie wyglądało, jeśli ogłosi wyrok pod nieobecność obojga oskarżonych. Postanowił więc, że okaże wyrozumiałość.

Trybunał udał się na naradę w sprawie wyroku.

Długa przerwa.

Większość publiczności wyszła, jak w teatrze, żeby wypalić papierosa.

ROZDZIAŁ 66.

Rozprawa główna: wyrok

Zgodnie z przepisami obaj szupo, którzy pilnowali teraz Ottona Quangla, powinni podczas przerwy w rozprawie odprowadzić więźnia do małej celi, używanej jako poczekalnia w takich właśnie momentach. Lecz ponieważ sala niemal całkowicie opustoszała, a prowadzenie więźnia z wiecznie opadającymi spodniami przez liczne korytarze i schody było dość uciążliwe, uznali, że mogą zlekceważyć ów przepis i zostali. Stali w pewnej odległości od Quangla, rozmawiając między sobą.

Stary majster oparł głowę na rękach i na kilka minut zapadł w rodzaj półsnu. Siedmiogodzinna rozprawa, podczas której ani na chwilę nie pozwolił sobie na utratę koncentracji, wyczerpała go. Obrazy niczym cienie przesuwały mu się przed oczami: szponiasta dłoń przewodniczącego Feislera, która otwiera się i zamyka, obrońca Anny z palcem w nosie, mały garbus Heffke, kiedy chciał odlecieć, Anna, która z płonącymi policzkami powiedziała „z osiemdziesięcioma siedmioma” i w której oczach widać było przy tym takie poczucie wyższości, jakiego nigdy u niej nie widział, i jeszcze wiele innych obrazów, jeszcze... wiele... innych... obrazów...

Jego głowa jeszcze mocniej oparła się o ręce, był tak zmęczony, że musiał się zdrzemnąć, choć na pięć minut...

Położył więc jedno ramię na stole i oparł na nim głowę. Odetchnął błogo. Tylko pięć minut głębokiego snu, chwilką zapomnienia.

Lecz zaraz się poderwał. Na sali było coś, co zaburzało tak wytęskniony przez niego spokój. Szeroko otwartymi oczami rozejrzał się wokół i jego spojrzenie padło na radcę sądowego w stanie spoczynku Fromma, który

stał przy poręczy oddzielającej publiczność i zdawał się dawać mu znaki. Quangel już wcześniej widział starszego pana, jego czujnej uwadze nic raczej nie mogło umknąć, lecz z powodu wielu intensywnych wrażeń tego dnia nie zainteresował się szczególnie byłym sąsiadem z Jablonskistraße.

Teraz jednak radca stał przy barierce i dawał mu znaki.

Quangel rzucił okiem na obu szupo. Stali jakieś trzy kroki od niego, żaden na niego nie patrzył i obaj zdawali się głęboko zatopieni w ożywionej rozmowie. Quangla właśnie dobiegły słowa: – No to chwytam tego faceta za kark...

Majster wstał, chwycił spodnie obiema rękoma i krok za krokiem ruszył przez całą długość sali w stronę radcy.

Ten stał wciąż przy barierce, lecz teraz wzrok trzymał spuszczonej, jakby nie chciał widzieć zbliżającego się więźnia. A potem, gdy Quangla dzieliło od niego już tylko kilka kroków, odwrócił się szybko, przeszedł między rzędami krzeseł i skierował się do drzwi wyjściowych. Zostawił jednak na poręczy barierki małą białą paczuszkę, mniejszą nawet niż szpulka nici.

Quangel doszedł do barierki, chwycił rulonik i najpierw ukrył go w dłoni, a potem w kieszeni spodni. To było coś twardego. Odwrócił się i zobaczył, że obaj jego strażnicy nadal nie zauważyli jego nieobecności. Potem trzasnęły drzwi dla publiczności i radcy sądowego już nie było.

Quangel rozpoczął powrotną wędrówkę na swoje miejsce. Był zdenerwowany, sercemocno mu biło, wydawało mu się nieprawdopodobne, że ta przygoda może się dobrze skończyć. I co tak ważnego chciał mu przekazać stary radca, że był gotów tak wiele ryzykować?

Quangel był już tylko kilka kroków od swojego miejsca, gdy nagle zobaczył go jeden ze strażników. Wzdrygnął się przerażony, rzucił zdumione spojrzenie na puste miejsce Quangla, jakby chciał się przekonać, że oskarżony naprawdę już tam nie siedzi, a potem wrzasnął

niemal ze strachem: – Co pan tam robisz?

Drugi szupo też się odwrócił i wbił wzrok w Quangla. W pierwszej chwili zdumienia stali jak słupy soli, w ogóle nie pomyśleli o tym, żeby przyprowadzić więźnia z powrotem na jego miejsce.

– Chciałem wyjść do toalety, panie wachmistrzu! – powiedział Quangel.

Lecz gdy uspokojony policjant zawarczał jeszcze: – To nie wolno se samemu człapać! To trzeba się natychmiast meldować, nie wiesz pan! – gdy policjant to mówił, Quangel pomyślał nagle, że chce mieć tak jak Anna. Niech sobie ogłaszają wyrok bez obojga oskarżonych, będą mieć o wiele mniejszą przyjemność.

On, Quangel, wcale nie był go ciekawy, przecież już go znał. Poza tym bardzo chciał się dowiedzieć, co takiego ważnego przekazał mu stary radca.

Obaj policjanci dotarli do Quangla i chwycili go za ręce, którymi przytrzymał spodnie.

Quangel popatrzył na nich zimnym wzrokiem i powiedział: – A Hitler żeby zdechł!

– Co? – Byli zupełnie zaskoczeni, nie wierzyli własnym uszom.

A Quangel wtedy szybko i bardzo głośno: – A Hitler żeby zdechł! I Göring żeby zdechł! I ten łajdak Goebbels żeby zdechł! I Streicher^[78] żeby zdechł!

[78] Juliusz Streicher (1885-1946) – członek NSDAP, organizator pogromów i bojkotów Żydów, od roku 1923 wydawca antysemickiego tygodnika „Der Stürmer”, istotnego elementu nazistowskiej propagandy. Gauleiter, od roku 1933 członek Reichstagu, od 1934 Gruppenführer SA, w roku 1935 uczestniczył w tworzeniu ustaw norymberskich, w roku 1940 z powodu nadużyć pozbawiony przez sąd partyjny stanowisk, zachował jednak urząd Gauleitera i pozostał wydawcą „Stürmera”. Skazany na śmierć w norymberskim procesie zbrodniarzy wojennych i stracony.

Cios pięścią w podbródek uniemożliwił mu dalsze odmawianie owej litanii. Obaj szupo wywlekli nieprzytomnego Quangla z sali.

I stało się tak, że przewodniczący Feisler musiał jednak ogłosić wyrok bez obojga oskarżonych. Nadaremnie najwyższy sędzia łaskawie darował więźniowi obrazę adwokata. Quangel miał rację. Ogłoszenie wyroku podczas nieobecności oskarżonych nie sprawiło przewodniczącemu żadnej przyjemności, nawet najmniejszej. A przygotował sobie tak pięknie sformułowane obelgi.

Feisler wciąż jeszcze mówił, gdy Quangel otworzył oczy w celi służącej za poczekalnię. Bolał go podbródek, bolało go całe ciało, z trudem przypominał sobie, co się wydarzyło. Ostrożnie pomacał dłonią w kieszeni. Chwała Bogu, paczuszka wciąż tam była.

Usłyszał kroki strażnika na korytarzu, potem ucichły, a zamiast nich rozległ się od drzwi cichy odgłos tarcia: z wizjera odsunięto pokrywę. Quangel zamknął oczy, leżał dalej tak, jakby był wciąż nieprzytomny. Po zdającej się trwać w nieskończoność chwili znów dał się słyszeć cichy odgłos tarcia w drzwiach, a potem wreszcie od nowa kroki wartownika...

Wizjer został zamknięty, przez następne dwie, trzy minuty wartownik na pewno już tu nie zajrzy.

Quangel szybko sięgnął do kieszeni i wyjął z niej rulonik. Zdjął nitkę, którą był obwiązany, odwinął papierek, który osłaniał szklaną fiolkę, i odczytał napisane na maszynie litery: – Kwas pruski^[79], zabija bezboleśnie w kilka sekund. Włożyć do ust. Żoną też się zajmujemy. Zniszczyć karteczkę!

Quangel uśmiechnął się. Dobry staruszek! Wspaniały staruszek! Zaczął żuć karteczkę, aż zrobiła się całkiem mokra i wtedy ją połknął.

Z ciekawością obejrzał ampułkę, przyjrzał się przezroczystej cieczy.

[79] Kwas pruski – cyjanowodor, silnie toksyczny nieorganiczny związek chemiczny w postaci bezbarwnej cieczy o zapachu gorzkich migdałów.

Szybka, bezbolesna śmierć, powiedział do siebie. Och, gdybyście tylko wiedzieli! I Anną też się zajmą. Pomyślał o wszystkim. Dobry staruszek!

Wsunął szklaną fiolkę do ust. Popróbował. Stwierdził, że najłatwiej ukryć ją między policzkiem a zębami trzonowymi, tak jak kołeczek czy prymkę tytoniu, który zużyło wielu robotników w warsztacie stolarskim. Pomacał się po policzku. Nie, nie wyczuwał specjalnego zgrubienia. A jeśli cokolwiek zauważą, zanim zdołają mu to odebrać, rozgryzie i zmiażdży fiolkę w ustach.

Quangel znów się uśmiechnął. Teraz był naprawdę wolny, teraz nie mieli już nad nim żadnej władzy!

ROZDZIAŁ 67.

Dom umarłych

Otto Quangel mieszka teraz w domu umarłych w Plötzensee. To właśnie pojedyncza cela domu umarłych jest jego ostatnim mieszkaniem na tym świecie.

Tak, ma teraz pojedynczą celę. Dla skazanych na śmierć nie ma już współlokatorów, nie ma doktora Reichhardta, nie ma nawet „psa”. Skazani na śmierć mają za towarzyszkę jedynie śmierć, tak nakazuje prawo.

Skazani na śmierć zamieszkują cały ten budynek, są ich tuziny, a może i setki, cela przy celi. Na korytarzu zawsze stukają kroki strażnika, zawsze słychać szczęk, a przez całą noc na dziedzińcach szczekają psy.

Lecz w celach zjawy są ciche, w celach panuje spokój, nie słychać żadnego dźwięku. Ależ ci kandydaci do umierania są cisi! Zwiezieni ze wszystkich zakątków Europy, mężczyźni, chłopcy, niemal dzieci, Niemcy, Francuzi, Holendrzy, Belgowie, Norwegowie, dobrzy ludzie, słabi ludzie, źli ludzie, o rozmaitych temperamentach, od choleryka przez sangwinika aż po melancholika. Lecz w tym budynku wszelkie różnice się zacierają, wszyscy stają się cisi, są duchami samych siebie. Quangel bardzo rzadko słyszy w nocy płacz, a potem znów cisza... cisza... cisza...

Zawsze lubił ciszę. Przez ostatnie miesiące musiał prowadzić życie, które całkowicie kontrastowało z jego stylem bycia: nigdy nie był sam i na okrągło zmuszano go do rozmów, a on tak przecież nienawidził wszelkiej gadaniny. A teraz znów, po raz ostatni, powrócił do swojego stylu życia, do ciszy i cierpliwości. Doktor Reichhardt był dobry, wiele go nauczył, lecz teraz, tak blisko śmierci, wołał być bez doktora Reichhardta.

Od doktora Reichhardta przejął prowadzenie regularnego trybu życia w celi. Na wszystko jest pora: na staranne umycie się, odrobinę ćwiczeń gimnastycznych, które podpatrzył u współlokatora, zawsze godzina spaceru przed południem i po południu, dokładne sprzątniecie celi, jedzenie, sen. Tu też są książki do czytania, co tydzień przynoszą mu do celi sześć książek, lecz pod tym względem się nie zmienił, nawet na nie nie patrzy. Nie będzie przecież na stare lata zabierać się do czytania.

Lecz od doktora Reichhardta przejął jeszcze coś. Podczas spacerów nuci pod nosem. Przypomina sobie stare dziecięce piosenki, ludowe przyspiewki, piosenki ze szkoły. Przypominają mu się z najwcześniejszego dzieciństwa, układają wers po wersie – ależ on ma pamięć, że pamięta to wszystko po ponad czterdziestu latach! A do tego jeszcze wiersze: *Pierścień Polikratesa, Rękojmia, O, radości, iskro bogów, Król olch*^[80]. Ale *Pieśni o dzwonie* nie potrafi sobie całej przypomnieć. Może nigdy nie nauczył się wszystkich wersów, nie pamięta już...

Spokojne życie, lecz większą część dnia zajmuje praca. Tak, tutaj musi pracować, musi przebrać określoną ilość grochu, wybrać ziarna stoczone przez robaki, wyrzucić połamane połówki, podobnie jak nasiona chwastów i czarnoszare ziarna wyki. Chętnie wykonuje tę pracę, jego palce pilnie sortują godzina po godzinie.

I dobrze, że przydzielono mu akurat taką pracę, dzięki niej jest syty. Gdyż minęły już ostatecznie te dobre czasy, gdy jadał potrawy doktora Reichhardta. To, co dostarczają mu do celi, jest paskudnie ugotowane, wodnista papka, wilgotny, lepki chleb z dodatkiem kartofli, które potem ciężą mu na żołądku.

Lecz na to pomagają groch. Niewiele może uszczknąć, gdyż przypadająca na niego ilość jest zawsze ważona, ale może wziąć akurat tyle, by w miarę zaspokoić głód. Moczą groch wodzie, a gdy już napęcznieje, wrzuca go

[80] Wszystkie utwory autorstwa Fryderyka Schillera.

do zupy, żeby trochę się ogrzał, i potem go żuje. W ten sposób poprawia swoją dietę, którą można podsumować tak: za mało do życia, za dużo, by umrzeć.

Podejrzewa właściwie, że nadzorcy, inspektorzy pracy wiedzą, co robi, że kradnie groch, ale nic nie mówią. A nie mówią nic nie dlatego, że chcą chronić skazanych na śmierć, lecz dlatego, że zobojętnieli, stępieli w tym budynku, w którym każdego dnia obserwują tyle nędzy.

Nic nie mówią, choćby po to, żeby oni nic nie mówili. Nie chcą słyszeć żadnych skarg, przecież nic nie mogą zmienić, poprawić, tu wszystko toczy się utartymi szlakami. Są tylko kółeczkami w maszynie, kółeczkami z żelaza, ze stali. Gdyby żelazo zmiękło, kółeczko musiałoby zostać wymienione, nie chcą, żeby ich wymienili, chcą dalej być kółeczkami.

Dlatego nie mogą nikogo pocieszać, nie chcą, są tacy, jacy są: obojętni, zimni, pozbawieni śladu współczucia.

Najpierw, gdy Otto Quangel został przeniesiony z nakazanej mu przez przewodniczącego Feislera ciemnicy do tej celi, myślał, że to będzie na dzień czy dwa, myślał, że oni bardzo chcą jak najszybciej wykonać na nim wyrok śmierci, pasowałoby mu to.

Lecz potem stopniowo dowiadywał się, że na wykonanie wyroku można czekać tygodniami, miesiącami, tak, czasem nawet i rok. Naprawdę, są tacy skazani na śmierć, którzy od roku czekają na egzekucję, którzy każdego wieczoru kładą się spać i nie wiedzą, czy tej nocy ze snu nie obudzi ich pomocnik kata; każdej nocy, w każdej godzinie, z jedzeniem w ustach, przy przebieraniu grochu, gdy siedzi się na wiadrze z nieczystościami, zawsze mogą się otworzyć drzwi, czyjaś ręka machnie i jakiś głos powie: – Chodź! Już pora!

Jakieś niezmierzone okrucieństwo tkwi w tym przedłużanym o dni, tygodnie, miesiące strachu przed śmiercią, bo nie są to tylko prawnicze formalności, nie są to tylko prośby o ułaskawienie, wobec których musi

najpierw zapaść decyzja i które powodują opóźnienia. Niektórzy twierdzą też, że kat ma za dużo pracy, że już nie daje rady. Ale kat pracuje tylko w poniedziałki i czwartki, w pozostałe dni nie. Jeździ po kraju, w całych Niemczech odbywają się egzekucje, kat pracuje też poza miastem. Ale czemu dochodzi do tego, że jeden ze skazanych w tej samej sprawie zostaje stracony siedem miesięcy wcześniej niż drugi? Nie, tu znów w grę wchodzi okrucieństwo, sadyzm. W tym budynku nikogo się brutalnie nie bije i nikogo się fizycznie nie torturuje, tutaj trucizna niezauważenie przesiąka do cel, nie chcą nawet na chwilę uwolnić tych dusz z kleszczy śmiertelnego lęku.

W każdy poniedziałek i czwartek w domu umarłych panuje niepokój. Duchy krążą już w nocy, przykucają przy drzwiach, ich członki drżą, nasłuchują, co się dzieje na korytarzach. Jeszcze słychać kroki wartownika, jest dopiero druga nad ranem. Lecz już wkrótce... Może to już dziś. I błagają, modlą się: jeszcze tylko te trzy dni, jeszcze tylko te cztery dni do następnego dnia straceń, wtedy się chętnie poddam, byle nie dziś! I błagają, modlą się, żebrzą.

Zegar wybija czwartą. Kroki, brzęk kluczy, mamrotanie. Kroki zbliżają się. Serce zaczyna walić, pot zalewa całe ciało. Nagle w zamku drzwi szczęka klucz. Spokojnie, spokojnie, otwierają przeciw celę obok, nie, jeszcze jedną dalej! To jeszcze nie twoja kolej. Krótkie, zduszone: „Nie! Nie! Pomocy!”. Szurgot stóp. Cisza. Regularny rytm kroków wartownika. Cisza. Czekanie. Czekanie pełne strachu. Nie wytrzymam tego...

I po niekończącym się czasie, po otchłani pełnej strachu, po nieznośnie długim oczekiwaniu, które trzeba było jednak znieść, znów zbliża się mamrotanie, odgłos wielu stóp, brzęk kluczy... Jest coraz bliżej, bliżej i bliżej. O Boże, jeszcze nie dzisiaj, jeszcze tylko te trzy dni! Cofnąć się! Klucz w zamku – u mnie? Och, u ciebie! Nie, to sąsiednia cela, kilka wymamrotanych słów, a więc zabierają sąsiada. Zabierają go, kroki się

oddalają...

Czas powoli się rozsypuje, odrobina czasu rozpada się powoli na nieskończenie wiele drobnych odłamków. Czekanie. Nic tylko czekanie. I kroki wartownika na korytarzu. O Boże, dzisiaj biorą celę za celę, ty jesteś następny. Ty – jesteś – następny! Za trzy godziny będziesz trupem, to ciało będzie martwe, te nogi, które wciąż cię dźwigają, martwe kołki, ta dłoń, która pracowała, głaskała, pieściła, grzeszyła, nie będzie niczym więcej jak zgniłym kawałkiem mięsa! To niemożliwe, a jednak to prawda!

Czekanie, czekanie, czekanie! I nagle czekający dostrzega przez okno celi świt, słyszy, jak dzwoni dzwonek na pobudkę. Nadszedł dzień, nowy dzień pracy – a on po raz kolejny został oszczędzony. Ma jeszcze trzy dni czasu, cztery dni czasu, jeśli jest czwartek. Szczęście uśmiechnęło się do niego! Oddycha z ulgą, w końcu może odetchnąć z ulgą, może w ogóle go oszczędzą. Może nadejdzie wielkie zwycięstwo, a wraz z nim amnestia, może zostanie ulaskawiony i karę zamienią mu na dożywotnie więzienie!

Godzina oddechu pełnego ulgi!

I strach znów wraca, zatrawa te trzy, cztery dni. Tym razem skończyli tuż przed moją celą, w poniedziałek zaczną ode mnie. Och, co ja mam zrobić? Przecież nic nie mogę...

I wciąż od nowa, wciąż od nowa, dwa razy na tydzień, przez wszystkie dni tygodnia, w każdej sekundzie – strach!

I miesiąc za miesiącem – śmiertelny strach!

Czasem Otto Quangel zastanawiał się, skąd on to wszystko wie. Przecież z nikim właściwie nie rozmawiał i nikt właściwie nie rozmawiał z nim. Kilka suchych słów strażnika: – Za mną! Wstawać! Pracować szybciej! – Może jeszcze sformułowane raczej samymi ustami niż rzeczywiście wyszeptane podczas napełniania misek jedzeniem słowa: – Dziś siedem straceń. – I to wszystko.

Lecz jego zmysły tak niesamowicie się wyostrzyły. Odgadywały to,

czego nie widział. Jego uszy słyszały każdy dźwięk na korytarzu, każdy urywek rozmowy zmieniających się wartowników, przekleństwo, krzyk – wszystko się przed nim odsłaniało i nic się przed nim nie ukryło. A potem w trakcie nocy, długich nocy, które zgodnie z regulaminem trwały trzynaście godzin, lecz które wcale nie były nocami, gdyż w jego celi światło zawsze musiało być zapalone, wtedy czasami zbierał się na odwagę: wspinał się na okno, nasłuchiwał w noc, przeciskając się przez zaciemniającą roletę. Wiedział, że wartownicy na dziedzińcu w dole, ze swoimi nieustannie szczekającymi psami, mają rozkaz strzelać do każdej twarzy, która ukaże się w oknie i nierzadko takie strzały padały – ale mimo to ryzykował.

I stał tam na stołku, czuł rześkie nocne powietrze (już samo to powietrze wynagradzało każde ryzyko), a potem słuchał szeptów od okna do okna, najpierw pozbawionych sensu słów: – Znowu mają Karla! – Albo: – Kobieta z 347 stała dziś na dole cały dzień – lecz z czasem rozumiał wszystko. Z czasem wiedział, że w celi obok niego siedzi człowiek z kontrwywiadu, który ponoć zaprzedał się wrogowi i już dwa razy próbował popełnić samobójstwo. A w celi za nim siedzi robotnik, który przepalał dynamy w zakładzie elektrycznym, komunista. A strażnik Brennecke dostarczał papier i końcówki ołówków i szmuglował też listy z paki, jeśli ktoś z zewnątrz dobrze mu posmarował, pieniędzmi, a jeszcze lepiej żywnością. A... A... Wieści za wieściami. I w domu umarłych mówi się, oddycha, żyje, nawet w domu umarłych nie gaśnie nieprzewyciężona potrzeba ludzi, żeby się ze sobą kontaktować.

Lecz nawet jeśli Otto Quangel był gotów – od czasu do czasu – ryzykować życie, żeby posłuchać, jeśli jego zmysły nigdy nie nużyły się wyczekiwaniem na jakąś zmianę, to tak całkiem do nich nie należał. Czasem zauważali, że i on stoi na tle okna w nocy, ktoś szepnął: – No, jak to z tobą jest, Ottonie? Prośba o ułaskawienie już wróciła? – (Wiedzieli

o nim wszystko). Lecz on nie odpowiadał ani słowem, nigdy się nie przyznał, że i on nasłuchuje. Nie należał do nich, nawet jeśli nałożono na niego taką samą karę, on był zupełnie inny.

A to, że był zupełnie inny niż oni, nie wynikało wcale z tego, że był odludkiem jak dawniej, nie wynikało wcale z jego potrzeby spokoju, która dotąd oddzielała go od innych ludzi, nie wynikało wcale z jego niechęci do gadania, która wcześniej zamykała mu usta – lecz wynikało z owej małej szklanej fiolki, którą dał mu radca sądowy Fromm.

Owa fiolka z przezroczystym roztworem kwasu pruskiego czyniła go wolnym. Inni, współtowarzysze w cierpieniu, musieli pójść ostatnią, gorzką drogą. On miał wybór. Mógł umrzeć w każdej chwili, wystarczyło, by tylko chciał. Był wolny. On, tu w domu umarłych, za kratami i murami, on, trzymany w kajdanach i na łańcuchach, on, Otto Quangel, stolarz w stanie spoczynku, majster w stanie spoczynku, kierownik warsztatu w stanie spoczynku, małżonek w stanie spoczynku, ojciec w stanie spoczynku, buntownik w stanie spoczynku – on stał się wolny. Oni do tego doprowadzili, to oni sprawili, że stał się wolny jak jeszcze nigdy w życiu. On, posiadacz szklanej fiolki, nie bał się śmierci. Śmierć była przy nim w każdej godzinie, była jego przyjaciółką. On, Otto Quangel, nie budził się w poniedziałki i czwartki na długo przed czasem i nie nasłuchiwał ze strachem pod drzwiami. Nie należał do nich, nie całkiem. Nie musiał się dręczyć, gdyż miał przy sobie koniec wszystkich udręek.

Życie, które prowadził, było dobre. Podobało mu się. Nie był nawet pewien, czy kiedykolwiek skorzysta ze szklanej ampułki. Może lepiej będzie poczekać do ostatniej chwili? Może jednak będzie mógł zobaczyć się ostatni raz z Anną? Czy nie słuszniej postąpi, nie oszczędzając im tej hańby?

Lepiej, żeby go stracili, lepiej, o wiele lepiej! Chciał wiedzieć, jak się to odbywa – czuł, że mu się to należy, że to jego obowiązek wiedzieć,

jak oni to robią. Uważał, że do czasu, aż sznur zaciśnie mu się na gardle lub gilotyna opadnie mu na szyję, powinien wszystko wiedzieć. Nawet w ostatniej sekundzie mógł jeszcze splatać im psikusa.

A w tej pewności, że nic już nie może mu się stać, że tu, chyba po raz pierwszy w życiu, może być całym sobą, niczego nie udając, w owej pewności odnalazł spokój, pogodę ducha, radość. Jego starzejące się ciało nigdy nie czuło się tak dobrze jak w owych tygodniach. Jego ostre ptasie spojrzenie nigdy nie patrzyło tak przyjaźnie jak w celi śmierci więzienia Plötze. Jego duch nigdy nie wędrował tak wolny jak tutaj.

Dobre jest takie życie!

Miał nadzieję, że Annie też wiedzie się dobrze. Stary radca Fromm był człowiekiem, który dotrzymuje danego słowa. I Anna będzie ponad wszelkie prześladowania, i Anna będzie wolna, uwięziona, ale wolna...

ROZDZIAŁ 68.

Prośby o ulaskawienie

Otto Quangel dopiero od kilku dni siedział w ciemnicy – zgodnie z postanowieniem Trybunału Ludowego – i marzył straszliwie w małej klatce z żelaznych sztab, która najbardziej przypominała wąziutką klatkę dla małp w zoo – gdy otworzyły się drzwi, zapalono światło i jego adwokat, doktor Stark, stanął w drzwiach pomieszczenia, w którym zbudowano klatkę, i popatrzył na swojego klienta.

Quangel wstał powoli i odwzajemnił spojrzenie.

A więc ten wymuskany i odprasowany pan przyszedł do niego raz jeszcze, z tymi swoimi różowymi paznokciami i niedbałym, rozwlekłym sposobem mówienia. Prawdopodobnie po to, żeby popatrzeć, jak zbrodniarz cierpi.

Lecz Quangel i tam trzymał w ustach ampułkę z cyjankiem, ów talizman, który pozwalał znieść zimno i głód, więc spokojnie, tak, wręcz z pogodną wyższością, popatrzył na „wytwornego pana”, on, obszarpaniec, drżący z chłodu i z palącym od głodu żołądkiem.

– No? – zapytał w końcu Quangel.

– Przyniosłem panu wyrok – powiedział adwokat, wyciągając z teczki jakiś dokument.

Lecz Quangel go nie wziął. – To mnie nie interesuje – powiedział. – Przecież wiem, że to wyrok śmierci. Moja żona też?

– Pańska żona też. I nie ma możliwości apelacji.

– Dobrze – odparł.

– Ale może pan złożyć prośbę o ulaskawienie – powiedział adwokat.

- Do Führera?
 - Tak, do Führera.
 - Nie, dziękuję.
 - Więc woli pan umrzeć?
- Quangel się uśmiechnął.
- Nie boi się pan?
- Quangel się uśmiechnął.

Adwokat po raz pierwszy ze śladem zainteresowania popatrzył w twarz swojego klienta i powiedział: – W takim razie ja złożę w pana imieniu prośbę o ułaskawienie.

- Po tym, jak domagał się pan mojego skazania!?
- Jest taki zwyczaj, że przy każdym wyroku śmierci składa się prośbę o ułaskawienie. To należy do moich obowiązków.

- Do pańskich obowiązków. Rozumiem. Podobnie jak obrona. Cóż, przypuszczam, że pańska prośba o ułaskawienie będzie równie nieskuteczna, niech pan sobie daruje.

- Mimo to ją złożę, nawet wbrew pańskiej woli.
- Nie jestem w stanie pana powstrzymać.

Quangel siada z powrotem na pryczy. Czekał, aż tamten skończy z tą swoją głupią paplaniną i sobie pójdzie.

Lecz adwokat nie wyszedł, tylko po długiej chwili milczenia zapytał: – Niech pan mi powie, dlaczego właściwie pan to robił?

- Co robiłem? – zapytał obojętnie Quangel, nawet nie patrząc na wymuszanego adwokata.

- Dlaczego pisał pan te pocztówki. Przecież na nic się nie zdały, a pan straci przez nie życie.

- Bo jestem głupi. Bo nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Bo spodziewałem się większego odzewu. Dlatego!

- I nie żałuje pan? Nie jest panu żal, że straci pan życie z powodu

takiego głupstwa?

Na adwokata padło ostre spojrzenie, dawne, dumne i ostre ptasie spojrzenie. – Ale ja przynajmniej zachowałem przyzwoitość – powiedział. – Nie brałem w tym udziału.

Adwokat długo patrzył na siedzącego w milczeniu skazańca. A potem powiedział: – Myślę sobie teraz jednak, że mój kolega, który bronił pańskiej żony, miał rację. Oboje jesteście szaleńcami.

– Uważa pan, że to szaleństwo, gdy człowiek płaci dowolną cenę za to, by móc zachować przyzwoitość?

– Mógł pan ją zachować także bez tamtych pocztówek.

– Wtedy to by było milczące przyzwolenie. A ile pan zapłacił za to, że stał się pan takim wytwornym panem z pięknie odprasowanymi spodniami, polakierowanymi paznokciami i zakłamanymi mowami obrończymi? Ile pan za to zapłacił?

Adwokat milczał.

– Widzi pan! – powiedział Quangel. – A będzie pan za to płacić coraz więcej i może pewnego dnia będzie pan musiał oddać za to głowę, dokładnie tak jak ja, ale pan oddają za brak przyzwoitości!

Adwokat wciąż milczał.

Quangel wstał i roześmiał się. – Widzi pan – śmiał się. – Dobrze pan wie, że ten za kratami jest przyzwoity, a ten przed nimi to łajdak, że zbrodniarz jest wolny, a przyzwoity człowiek skazany na śmierć. Nie jest pan prawnikiem, nie bez powodu nazwałem pana lewnikiem. I pan chce złożyć za mnie prośbę o ułaskawienie – ach, niech pan już idzie!

– Ale ja złożę za pana tę prośbę – oświadczył adwokat.

Quangel nie odpowiedział.

– A więc do widzenia! – powiedział adwokat.

– Wątpię, chyba że przyjdzie pan na moją egzekucję. Serdecznie zapraszam!

Adwokat wyszedł.

Był zuchwały, twardy, zły. Ale miał na tyle rozumu, żeby przyznać sam przed sobą, że ten drugi jest lepszym człowiekiem.

Prośbę o ułaskawienie złożono, jako przyczynę podając obłąd, co miało skłonić Führera do okazania łaski, lecz адвокат dobrze wiedział, że jego klient wcale nie jest obłąkany.

Także w sprawie Anny Quangel od razu złożono prośbę o ułaskawienie do Führera, ale ta prośba nie pochodziła z miasta Berlina, nadeszła z małej, ubogiej wioski w Brandenburgii, a podpisano ją: rodzina Heffków.

Rodzice Anny Quangel dostali list od jej szwagierki, żony ich syna Ulricha. Ów list zawierał same złe wiadomości, a spisano je bez ogródek, w krótkich, twardych zdaniach. Ich syn Ulrich został uznany za obłąkanego i siedzi w Wittenau, a winni temu są Otto i Anna Quanglowie. Ci natomiast zostali skazani na śmierć, ponieważ zdradzili swój kraj i swojego Führera. Takie właśnie są wasze dzieci, hańbą jest nosić nazwisko Heffke!

Bez słowa, nie mając odwagi spojrzeć sobie w oczy, oboje staruszkowie siedzieli w swojej małej, ubogiej izbie. List przynoszący hiobowe wieści leżał pomiędzy nimi. Lecz i na list nie mieli odwagi spojrzeć.

Ci drobni robotnicy rolni całe życie musieli się płaszczyć przed surowymi zarządcami wielkiego majątku, trudny był ich los: dużo pracy, niewiele radości. Radością były dzieci, z dzieci wyrosli porządni ludzie. Stali się kimś więcej niż ich rodzice, nie musieli się tak męczyć, Ulrich, brygadzysta w zakładach optycznych, i Anna, żona majstra stolarskiego. To, że prawie nie piszą, że się nie pokazują, to starym niemal nie przeszkadzało, tak zachowują się wszystkie ptaki, które wyfruwają z gniazda. Najważniejsze, że wiedzieli przecież, że ich dzieciom dobrze się powodzi.

A teraz taki cios, taki bezlitosny cios! Po chwili stary robotnik rolny wyciąga przez stół swoją spracowaną, wyschniętą dłoń: – Matko!

I nagle starszycy łzy zaczynają płynąć z oczu: – Ach, ojczyźnie! Nasza Anna! Nasz Ulrich! I oni mieli zdradzić naszego Führera! Nie mogę w to uwierzyć, nigdy w to nie uwierzę!

Przez trzy dni byli tak zmieszani, że nie byli w stanie podjąć żadnej decyzji. Bali się wychodzić z domu, nie odważyli się patrzeć ludziom w oczy ze strachu, że wieść o ich hańbie już się rozniosła.

A potem, czwartego dnia, poprosili sąsiadkę, żeby zajęła się ich zwierzętami i wyruszyli w drogę do miasta Berlina. Gdy tak wędrowali smaganą wiatrem szosą, zgodnie z wiejskim obyczajem najpierw mężczyzna, a kobieta krok z tyłu, byli niczym dzieci, które zabłądziły w wielkim świecie, dla których wszystko stanowi zagrożenie: uderzenie wiatru, spadająca sucha gałąź, przejeżdżające auto, szorstkie słowo. Byli całkowicie bezradni.

Po dwóch dniach wędrowali tą szosą z powrotem, jeszcze drobniejsi, jeszcze bardziej przygarbieni, jeszcze bardziej zrozpaczeni.

W Berlinie niczego nie osiągnęli. Synowa obrzuciła ich tylko obelgami. Nie wolno im było zobaczyć się z synem Ulrichem, ponieważ to nie była „pora odwiedzin”. Jeśli chodzi o Annę i jej męża, nikt nie był w stanie im dokładnie powiedzieć, w którym więzieniu przebywają. Nie odnaleźli swoich dzieci. A Führer, ukochany Führer, od którego oczekiwali pomocy i pociechy i którego kancelarię udało im się rzeczywiście odnaleźć, Führer był nieobecny w Berlinie. Przebywał w kwaterze głównej, zajęty mordowaniem synów, nie miał czasu pomagać rodzicom, którzy mieli stracić swoje dzieci.

Powiedziano im, że mogą jedynie złożyć podanie.

Nie mieli odwagi, żeby komuś zaufać. Bali się wstydu. Oni, członkowie partii od wielu lat, mieli córkę, która zdradziła Führera. Nie mogliby tu dłużej żyć, gdyby to się wydało. A musieli przecież żyć, żeby uratować Annę. Nie, nie mogli nikogo poprosić o pomoc w pisaniu prośby

o ułaskawienie, ani nauczyciela, ani burmistrza, ani nawet pastora.

Więc z trudem, podczas wielogodzinnych rozmów, rozmyślań i pisania drżącą ręką, kreślą prośbę o ułaskawienie. Została napisana, a potem przepisana i jeszcze raz przepisana na czysto, a zaczynała się tak:

„Mój najukochańszy Führerze!

Zrozpaczona matka prosi cię na kolanach o życie swojej córki. Złe wobec ciebie postąpiła, ale ty jesteś tak wielki, ty okażesz jej swoją łaskę. Wybaczysz jej...”.

Hitlerze, który stałeś się Bogiem, Bogiem Wszechświata, wszechpotężnym, łaskawym, przebaczącym! Dwoje starych ludzi – tam szaleje wojna, zabijając miliony, a oni w niego wierzą, nawet gdy wydaje ich córkę w ręce kata, oni w niego wierzą, żadna wątpliwość nie zakrada się do ich serc, prędzej ich córka jest zła niż Bóg-Führer!

Nie mają odwagi, by wysłać list ze swojej wioski, razem wędrują do miasta powiatowego, żeby nadać go na poczcie. Jako adresata wpisują: „Do rąk własnych naszego najukochańszego Führera...”.

A potem wracają do domu, do swojej izdebki, i czekają, wierząc, że ich Bóg jest łaskawy...

Okaze łaskę!

Poczta przyjmuje zarówno zakłamanie podanie adwokata, jak i bezradną prośbę dwojga zrozpaczonych rodziców i przesyła je dalej, choć nie dostarcza do Führera. Führer nie chce czytać takich prośb, nie interesują go. Jego interesuje wojna, niszczenie, mordowanie, a nie zapobieganie mordowaniu. Podania trafiają do kancelarii Führera, otrzymują swoje numery, zostają zarejestrowane, a potem odcisnięta zostaje na nich pieczęć: *Przekazano do ministra sprawiedliwości Rzeszy. Zwrot tylko, jeśli skazany jest członkiem partii, co nie wynika z prośby o ułaskawienie...*

Podzielona na dwoje łaska, jedna łaska dla towarzyszy partyjnych i

inna łaska dla towarzyszy narodowych.

W Ministerstwie Sprawiedliwości Rzeszy podania znów są rejestrowane, nadawane im są numery, opatrywane są kolejną pieczęcią: *Do zarządu więzienia w celu zaopiniowania.*

Poczta przekazuje prośby po raz trzeci i po raz trzeci otrzymują one swoje numery i zostają zarejestrowane. Ręka sekretarza kreśli zarówno na podaniu w sprawie Anny, jak i Ottona Quangla, oszczędne słowa: *Prowadzenie zgodne z regulaminem. Brak powodów do ułaskawienia. Zwrot do Ministerstwa Sprawiedliwości Rzeszy.*

I znów łaska podzielona na dwoje: ci, którzy łamią regulamin, i ci, którzy go przestrzegają, nie dają powodu do ułaskawienia. Natomiast gdy ktoś wyróżnił się szpiegowaniem, zdradą lub złym traktowaniem swoich współtowarzyszy niedoli, ten, być może, je otrzyma.

W Ministerstwie Sprawiedliwości rejestrują powtórne nadejście podań i przybijają stempel: *Odmowa*, a dzielna panna od rana do wieczora wystukuje na maszynie: *Państwa prośba o ułaskawienie została odrzucona... została odrzucona... odrzucona... odrzucona... odrzucona...* I tak przez cały dzień, i przez wszystkie dni.

I pewnego dnia funkcjonariusz oznajmia Ottonowi Quanglowi: – Pańska prośba o ułaskawienie została odrzucona.

Quangel, który nie składał żadnej prośby o ułaskawienie, nie mówi ani słowa, szkoda zachodu.

Natomiast staruszkom odmowę poczta przynosi do domu, więc po wsi roznosi się plotka: – Heffkowie dostali pismo z Ministerstwa Sprawiedliwości Rzeszy.

I nawet gdy staruszkowie milczą, wystraszeni i drżący uparcie milczą, burmistrz ma swoje sposoby na dotarcie do prawdy i wkrótce do żałoby starych ludzi dołącza hańba...

Drogi łaski!

ROZDZIAŁ 69.

Najtrudniejsza decyzja Anny Quangel

Annie Quangel było trudniej niż jej mężowi: była kobietą. Tęskniła za rozmową, współczuciem, odrobiną czułości – a teraz cały czas była sama, od rana do nocy zajęta rozplątywaniem i zwijaniem sznurka, którego całe worki wstawiano jej do celi. Choć jej mąż tak rzadko podtrzymywał ich wspólnotę słowami albo czynami, ta odrobina wydawała jej się teraz rajem, tak, obecność samego milczącego Ottona byłaby dla niej błogosławieństwem.

Dużo płakała. Ciężki, długi pobyt w ciemnicy odebrał jej siłę, tę odrobinę rozpalonej na nowo dzięki ponownemu spotkaniu z Ottonem siły, która uczyniła ją tak zdecydowaną i dzielną podczas rozprawy głównej. Za bardzo głodowała, za bardzo marzła, nawet teraz, w tej pustej pojedynczej celi. Nie mogła, tak jak jej mąż, wzbogacić skąpego menu surowym grochem, nie nauczyła się, tak jak on, nadawać każdemu dniu sensownego podziału, zmiennego rytmu, który pozwalał odczuwać coś na kształt radości, gdy po pracy następowała godzina spaceru albo zadowolenia ze świeżo umytego ciała.

Anna Quangel też nauczyła się nasłuchiwać nocami przy oknie celi. Ale nie stawała przy nim od czasu do czasu, robiła to każdej nocy. I szeptała, mówiła przy oknie, opowiadała swoją historię, wciąż pytała o Ottona, o Ottona Quangla... O Boże, czy naprawdę nikt tutaj nie wie, gdzie on jest, co u niego słychać, Otto Quangel, tak, starszy majster, ale wciąż krzepki, wygląda tak i tak, pięćdziesiąt trzy lata – przecież ktoś musi to wiedzieć!

Nie zauważyła, a może nie chciała zauważyć, że stała się uciążliwa dla innych z tym swoim wiecznym dopytywaniem się, ciągłymi opowieściami. Tutaj każdy miał swoje własne troski.

– Zamknij w końcu mordę, ty tam, numer 76, wiemy już przecież wszystko, co tam gadasz!

Albo tak: – Ach, to znowu ta z tym swoim Ottonem, Otto tu, Otto tam, wszędzie Otto, co?

Albo jeszcze ostrzej: – Jak nie zamkniesz w końcu ryja, wsypiemy cię! Inni też chcą coś powiedzieć!

A potem Anna Quangel wpełzała późno w nocy pod koc, zasypiała jeszcze później, więc następnego ranka nie wstawała na czas. Strażniczka łąła ją i straszyla od nowa ciemnicą. Późno zabierała się do pracy, zbyt późno. Musiała się śpieszyć, a potem niweczyła cały swój wysiłek, bo wydawało jej się, że słyszy na korytarzu jakiś dźwięk, więc nasłuchiwała pod drzwiami. Pół godziny, godzinę. Ona, która kiedyś była spokojną, uprzejmą, opiekuńczą kobietą, zmieniła się przez zamknięcie w odosobnieniu tak bardzo, że wszystkich irytowała. Ponieważ ciągle sprawiała strażniczkom kłopoty i one były dla niej nieuprzejme, zaczynała z nimi kłótnie, twierdziła, że dostaje najmniej jedzenia, i do tego najgorszego, za to najwięcej pracy. Już kilkakrotnie podczas tych słownych potyczek ogarniało ją takie wzburzenie, że zaczynała krzyczeć, po prostu wrzeszczeć z bezradności.

A potem sama przerażona milkła. Myślała o drodze, którą przeszła aż do tej pustej celi śmierci, myślała o swoim domu przy Jablonskistraße, którego już nigdy nie zobaczy, przypominała sobie synka Ottona, jak rósł, jego dziecięcą paplaninę, pierwsze szkolne troski, malutką rączkę, która z nieporadną czułością sięgała jej twarzy – ach, ta dziecięca rączka, która powstała w jej łonie, z jej ciała i krwi, już dawno rozpadła się na proch, utracona na zawsze. Myślała o nocach, gdy Trudel spała w jej łóżku, gdy

godzinami szeptała, ze swym kwitnącym, młodym ciałem obok niej, o surowym ojcu, który spał w drugim łóżku, o Ottonku i ich planach na przyszłość. Lecz i Trudel została utracona.

A potem myślała o wspólnej pracy z Ottonem, o walce, którą we dwoje prowadzili bez rozgłosu przez ponad dwa lata. Przypomniały jej się niedziele, gdy siedzieli razem przy stole w pokoju, ona w kącie kanapy, cerując pończochy, a on na swoim krześle, z przyborami piśmiennymi przed sobą, jak razem układali zdania, razem oddawali się marzeniom o wielkim sukcesie. Stracone, minęło, wszystko stracone, wszystko minęło! Sama w celi, przed nią już tylko bliska, pewna śmierć, żadnego znaku od Ottona, może już nigdy nie zobaczy jego twarzy – sama aż do śmierci i sama w grobie...

Godzinami chodzi po celi tam i z powrotem, nie może tego znieść. Zapomniała o pracy, kłębki szpagatu leżą wciąż pomieszane i poplątane na ziemi, odpycha je niecierpliwie nogą – a gdy wartowniczką wieczorem otwiera celę, nic nie jest zrobione. Padają ostre słowa, ale ona już wcale nie słucha, mogą z nią zrobić, co chcą, mogą ją jak najszybciej stracić – tym lepiej!

– Uważajcie, co wam powiem – mówi strażniczka swoim koleżankom. – Ona wkrótce znikuje, zawsze trzymajcie w pogotowiu kaftan bezpieczeństwa. I często do niej zaglądnijcie, jest gotowa powiesić się w biały dzień, powiesi się raz-dwa, a potem to my będziemy mieć kłopoty!

Lecz tu nadzorczyńni się myliła. Anna Quangel wcale nie myśli o tym, żeby się powiesić. To, co trzyma ją przy życiu, to, co sprawia, że nawet ta nędzna egzystencja wydaje jej się warta przeżycia, to myśl o Ottonie. Nie może sobie przecież tak odejść, musi czekać, może dostanie od niego wiadomość, może pozwolą jej choćby tuż przed śmiercią zobaczyć się z nim jeszcze raz.

A potem pewnego dnia pośród tych wszystkich ponurych dni zdaje

się, że szczęście się do niej uśmiechnęło. Wartowniczką otwiera nagle drzwi do celi: – Wychodzić, Quangel! Odwiedziny!

Odwiedziny? Kto to może być? Nie mam przecież nikogo, kto mógłby mnie tu odwiedzić. To Otto! To musi być Otto! Czuję, że to Otto!

Rzuca okiem na wartowniczkę, tak bardzo chciałaby zapytać ją o swojego gościa, ale to jest akurat ta strażniczką, z którą ciągle się kłóci, nie może jej zapytać. Idzie za nią, drżąc na całym ciele, nic nie widzi, nie wie, dokąd idą, nie pamięta już o tym, że wkrótce będzie musiała umrzeć – wie tylko, że idzie do Ottona, do jedyne go człowieka na całym świecie...

Wartowniczką przekazuje więźniarkę nr 76 wachmistrzowi, prowadzą ją do pokoju, który przedzielony jest kratami na pół, po drugiej stronie krat stoi mężczyzna.

I cała radość opada z Anny Quangel, gdy widzi tego człowieka. To nie jest Otto, to tylko stary radca sądowy Fromm. I ten człowieczek stoi tam, patrzy na nią swoimi błękitnymi, otoczonymi siateczką zmarszczek oczami i mówi: – Chciałem do pani zajrzeć, pani Quangel.

Nadzorujący ich funkcjonariusz stanął zamyślony przy kracie, przygląda się im. A potem odwraca się znudzony i podchodzi do okna.

– Szybko! – szepcze radca, podając jej coś przez kratę.

Instynktownie to chwyta.

– Niech pani to schowa! – szepcze radca.

A ona chowa biały rulonik.

List od Ottona – myśli, a jej serce znów zaczyna swobodnie bić. Nie jest już rozczarowana.

Funkcjonariusz znów się odwrócił i patrzy teraz spod okna na nich oboje.

W końcu Anna wypowiada kilka słów. Nie wita radcy sądowego, nie dziękuje mu, zadaje tylko pytanie o jedną jedyną rzecz, która ją jeszcze

na tym świecie interesuje: – Czy widział się pan z Ottonem, panie radco?

Starszy pan kiwa swoją mądrą głową. – Nie ostatnio – odpowiada. – Ale od przyjaciół słyszałem, że dobrze mu się wiedzie, bardzo dobrze. Wspaniale się trzyma.

Zastanawia się i po krótkim wahaniu dodaje:

– Myślę, że mogę panią od niego pozdrowić.

– Dziękuję – szepcze Anna. – Bardzo dziękuję.

Jego słowa wywołują w niej przeróżne odczucia. Skoro go nie widział, to nie może też mieć od niego listu. Ale nie, wspomniął o przyjaciółkach, może dostał list przez tych przyjaciół? A słowa: „Wspaniale się trzyma” napawają ją dumą i szczęściem... I to pozdrowienie od niego, to pozdrowienie pośród kamiennych cel i żelaznych krat, ta wiosna między murami! O, cudownie, cudownie, cudowne jest życie!

– Ale pani nie wygląda dobrze, pani Quangel – stwierdza stary radca.

– Tak? – pyta nieobecna duchem i nieco zaskoczona. – Ależ ze mną wszystko dobrze. Bardzo dobrze. Niech pan to powie Ottonowi. Proszę, niech pan mu to powie! Niech pan nie zapomni, pozdrowić go ode mnie. Będzie go pan przecież widział?

– Myślę, że tak – odpowiada z wahaniem. Ten mały, porządny pan jest taki pedantyczny. Ma opory, żeby powiedzieć umierającej kobiecie najdrobniejsze kłamstwo. Ona nie ma pojęcia, jakich podstępów musiał użyć, jakie intrygi musiał uknuć, żeby uzyskać pozwolenie na te odwiedziny! Musiał użyć wszystkich swoich znajomości! Dla świata Anna Quangel jest już przecież martwa, więc czy można odwiedzać zmarłą?

Lecz nie ma odwagi jej powiedzieć, że on w tym życiu nigdy już nie zobaczy Ottona Quangla, że wcale nie miał od niego żadnych wiadomości, że skłamał, przekazując pozdrowienie, by dać tej do cna zdruzgotanej kobiecie choć odrobinę odwagi. Czasem nawet umierających trzeba

okłamywać.

– Ach! – mówi ona nagle z ożywieniem i – patrzcie! – jej blade, zapadnięte policzki rumienia się. – Niech pan powie Ottonowi, gdy go pan zobaczy, że ja całymi dniami o nim myślę, w każdej godzinie, i że jestem przekonana, że go jeszcze zobaczę, zanim umrę...

Strażnik patrzy przez chwilę w zdumieniu na starzejącą się kobietę, która mówi teraz jak młoda, zakochana dziewczyna. W starym piecu diabeł pali! – myśli i znów podchodzi do okna.

Ona nic nie zauważyła, gorączkowo mówi dalej: – I niech pan też powie Ottonowi, że mam taką ładną celę tylko dla siebie. U mnie wszystko dobrze. Ciągłe o nim myślę i dzięki temu jestem taka szczęśliwa. Wiem, że nic nas nigdy nie rozdzieli, ani mury, ani kraty. Jestem przy nim w każdej godzinie dnia i nocy. Niech mu pan to powie!

Kłamie, och, jak kłamie, żeby tylko powiedzieć Ottonowi coś dobrego! Chce zapewnić mu spokój, spokój, jakiego nie zaznała nawet przez godzinę, odkąd znalazła się w tym budynku.

Radca sądowy zerka na strażnika, który wygląda przez okno, i szepcze: – Niech pani nie zgubi tego, co pani dałem! – gdyż pani Quangel sprawia wrażenie, jakby zapomniała o całym świecie.

– Nie, nic nie zgubię, panie radco. – I nagle dodaje cicho: – A co to jest?

A on odpowiada jeszcze ciszej: – Trucizna, pani mąż też to ma.

Anna kiwa głową.

Funkcjonariusz przy oknie odwraca się. Upomina ich: – Tutaj można rozmawiać tylko głośno, bo inaczej zaraz skończymy. Poza tym – spogląda na zegarek – czas odwiedzin i tak kończy się za półtorej minuty.

– Tak – mówi ona z namysłem. – Tak – i nagle wie, jak to powiedzieć. Pyta: – I myśli pan, że Otto wkrótce wyjedzie? Jeszcze przed tą swoją wielką podróżą? Tak pan uważa?

Jej twarz jest teraz tak pełna bóleści i niepokoju, że nawet tępy funkcjonariusz domyśla się, że chodzi tu o coś zupełnie innego, niż mówią. Już chce ingerować, lecz patrzy na tę starzejącą się kobietę i tego pana z siwą szpicbródką, który według pozwolenia na odwiedziny jest radcą sądowym... W przyplýwie wielkoduszności funkcjonariusz znów zaczyna patrzeć przez okno.

– Cóż, trudno powiedzieć – odpowiada ostrożnie radca.

– Z podrózkami też nie jest teraz łatwo. – A potem szybko i szeptem: – Niech pani czeka do ostatniej chwili, może jeszcze go pani przedtem zobaczy. Tak?

Kiwa głową, Anna znów kiwa głową.

– Tak – odpowiada głośno. – Tak będzie chyba najlepiej.

A potem stoją oboje naprzeciwko siebie w milczeniu, nagle czują, że nie mają sobie już nic więcej do powiedzenia. Koniec. Minęło.

– Cóż, chyba muszę już iść – mówi stary radca.

– Tak – odszeptuje ona. – Chyba już czas.

I wtedy – strażnik już się odwrócił i patrzy na nich ponaglająco z zegarkiem w dłoni – panią Quangel ogarnia nagły impuls. Przyciska ciało do kraty, szepcze z głową przyłożoną do metalu: – Proszę, proszę... Może jest pan ostatnim przywoitym człowiekiem na świecie, z którym się widzę. Proszę, panie radco, niech mnie pan pocałuje! Zamknę oczy i będę sobie myślała, że to Otto...

Nimfomanka! – myśli strażnik. Ma zostać stracona, a wciąż się jej zachciewa! I to takiego starego...

Lecz radca mówi łagodnym, przyjaznym głosem: – Nie bój się, dziecko, nie bój się...

A jego stare, wąskie wargi dotykają delikatnie jej suchych, popękanych ust.

– Nie bój się, dziecko. Ma pani spokój przy sobie.

– Wiem – szepcze. – Bardzo panu dziękuję, panie radco.

A potem jest już z powrotem w swojej celi, sznurki leżą w nieładzie na podłodze, a ona chodzi tam i z powrotem, niecierpliwie kopiąc je w rogi celi, jak w swoje najgorsze dni. Przeczytała karteczkę, zrozumiała jej treść. Wie już, że i ona, i Otto mają teraz broń, że w każdej chwili mogą odrzucić to żalosne życie, gdy stanie się już całkiem nie do zniesienia. Nie musi już pozwalać się dręczyć, może skończyć ze sobą teraz, dokładnie w tej chwili, gdy wciąż jest w niej odrobina radości z tych odwiedzin.

Drepcze, rozmawia ze sobą, śmieje się, płacze.

Pod drzwiami podsłuchują. Mówią: – Teraz to już naprawdę wariuje. Kaftan bezpieczeństwa gotowy?

Kobieta w środku nic nie zauważa, toczy swoją najcięższą walkę. Znowu widzi przed sobą starego radcę Fromma, jego twarz była taka poważna, gdy mówił, że może poczekać do ostatniej chwili, może jednak pozwolą jej jeszcze raz zobaczyć męża.

I ona się zgodziła. Oczywiście, że tak trzeba, musi czekać, ćwiczyć cierpliwość, to może trwać jeszcze miesiącami. Lecz choćby miały to być tylko tygodnie, tak trudno jest wciąż czekać. Przecież zna siebie, znowu będzie rozpaczać, długo płakać, popadać w ponury nastrój, wszyscy są dla mnie tacy niedobrzy, ani jednego dobrego słowa, żadnego uśmiechu. Czas stanie się nie do wytrzymania. Wystarczy tylko trochę się pobawić, językiem i zębami, to nie musi być tak od razu na poważnie, tak tylko sobie popróbuj – i już się stanie. Pójdzie jej tak łatwo, zbyt łatwo!

Tak właśnie będzie. W którejś godzinie poczuje słabość, zrobi to, i w momencie, w którym to zrobi, w tej króciutkiej chwili między swoim działaniem a śmiercią pożałuje tego tak, jak jeszcze nigdy niczego w swoim życiu nie żałowała. Pozbawiła się perspektywy zobaczenia go raz jeszcze, bo była słaba i tchórzliwa. Przekazą mu wiadomość o jej śmierci, a on dowie się, że go opuściła, że go zdradziła, że stchórzyła. I będzie nią

gardził, jedyny człowiek, na którego uznaniu zależało jej na tym świecie.

Nie, musi tę nieszczęsną fiolkę natychmiast zniszczyć. Jutro rano może być za późno, kto wie, w jakim nastroju obudzi się następnego dnia.

Lecz w drodze do cebrzyka zatrzymuje się...

I znów podejmuje swoją wędrówkę. Nagle przypomniała sobie, że musi umrzeć i to, w jaki sposób. Słyszała podczas nocnych rozmów przy więziennych oknach, że to nie będzie szubienica, jak się spodziewała, tylko gilotyna. Chętnie jej opisali, jak przywiążą ją do stołu twarzą w dół, jak będzie patrzeć w kosz wypełniony do połowy trocinami, i w te właśnie trociny za kilka sekund spadnie jej głowa. Odsonią jej kark i poczuje na nim chłód ostrza gilotyny, jeszcze zanim zaczną opadać. Potem świat będzie się stawał coraz głośniejszy, zagrzmi jej w uszach niczym trąby Sądu Ostatecznego, a potem jej ciało będzie już tylko drgającym czymś, plującym szerokimi strugami krwi z kikuta szyi, a głowa w koszu będzie się może gapić na tryskający krwią kark, wciąż będzie mogła patrzeć, czuć, cierpieć...

Tak jej opowiadali i tak to sobie setki razy wyobrażała i o tym czasem śniła, a z wszystkich tych okropieństw może ją uwolnić jedno zagryzienie zębów na szklanej ampułce! I to miałyby zrobić, pozbawić się wybawienia? Ma wybór między lekką śmiercią a ciężką – i ma wybrać ciężką śmierć tylko dlatego, że się boi, że okaże słabość, że umrze przed Ottonem?

Potrząsa głową, nie okaże słabości. Da radę poczekać do ostatniej chwili. Zobaczysz się jeszcze z Ottonem. Wytrzymała lęk, który ogarniał ją zawsze, gdy Otto podkładał pocztówki, wytrzymała strach podczas aresztowania, przetrwała tortury komisarza Lauba, przeżyła śmierć Trudel – będzie umiała jeszcze trochę poczekać, kilka tygodni czy kilka miesięcy! Wszystko zniosła, więc i to zniesie! Oczywiście, że przechowa truciznę aż do ostatniej chwili.

Wędruje tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Lecz dopiero co podjęta decyzja nie przynosi jej ulgi. Od nowa ogarniają ją wątpliwości, a ona od nowa toczy z nimi boje, i znów postanawia, że teraz, natychmiast, od razu zniszczy truciznę. I znów tego nie robi.

Tymczasem przyszedł wieczór i zapadła noc. Z celi zabrano niewykonaną robotę i oznajmiono jej, że z powodu lenistwa zabierają jej na tydzień materac i że przez tydzień będzie dostawać tylko chleb i wodę. Ale ona prawie nie słucha. Cóż ją obchodzi, co oni mówią?

Jej zupa na kolację stoi nietknięta na stole, a ona wciąż drepcze tu i tam, śmiertelnie wyczerpana, niezdolna do klarownego myślenia, ofiara własnych wątpliwości: Zrobić to? Nie robić?

Teraz bawi się językiem fiołką z trucizną, którą ma w ustach, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, właściwie tego nie chcąc, delikatnie zaciska zęby, zaciska je na szkle, zęby ostrożnie zwierają się jeszcze mocniej...

I nagle wysuwa ampułkę z ust. Wędruje po celi i próbuje, sama już nie wie, co robi – a na zewnątrz czeka już na nią gotowy kaftan bezpieczeństwa...

A potem, już w środku nocy, odkrywa raptem, że leży na swojej drewnianej pryczy, na twardych deskach, przykryta cienkim kocem. Drży z zimna na całym ciele. Czyżby spała? Czy fiołka wciąż tam jest? A może ją połknęła? Nie ma jej już w ustach!

Zrywa się w szalonym strachu, siada... i uśmiecha się. Jest, trzyma ją w dłoni. Podczas snu trzymała ją w ręce. Uśmiecha się, po raz kolejny została uratowana. Nie musi umierać tamtą inną, straszliwą śmiercią...

I gdy tak siedzi, marznąc, myśli o tym, że od tej pory każdego dnia, który nastanie, będzie musiała toczyć tę koszmarną walkę pomiędzy wolą a słabością, tchórzostwem a odwagą. I o tym, jak niepewny jest wynik tej walki...

A pośród zwątpienia i rozpaczony słyszy łagodny, dobrotliwy głos: Nie bój się, dziecko, tylko się nie bój...

I nagle Anna Quangel wie: Teraz się zdecyduje! Teraz mam na to siłę!

Podkrada się do drzwi, nasłuchuje dźwięków z korytarza. Zbliżają się kroki wartowniczkii. Staje pod ścianą naprzeciwko i gdy już wie, że jest obserwowana przez wizjer, zaczyna powoli chodzić po celi. Nie bój się, dziecko...

Dopiero gdy jest zupełnie pewna, że wartowniczka poszła dalej, wspina się na okno. Jakiś głos pyta: – Czy to ty, 76? Miałaś dzisiaj odwiedzin?

Nie odpowiada. Nie będzie już odpowiadać. Jedną ręką przytrzymuje się zasłony do zaciemniania, a drugą wystawia na zewnątrz, trzymając w palcach szklaną ampułkę. Przyciskają do ściany z kamienia, czuje, jak cieniutka szyjka pęka. Wylewa truciznę w głąb dziedzińca.

Gdy wraca do środka celi, obwąchuje sobie palce: pachną mocno gorzkimi migdałami. Myje ręce i kładzie się na pryczy. Jest śmiertelnie zmęczona, czuje się tak, jakby umknęła groźnemu niebezpieczeństwu. Szybko zasypia. Śpi głęboko i bez snów. Budzi się wypoczęta.

Od tej nocy numer 76 nie dawał już powodów do narzekania. Była spokojna, pogodna, pracowita i uprzejma.

Już niemal nie myślała o swojej ciężkiej śmierci, myślała tylko o tym, że musi przynieść chlubę Ottonowi. A czasami, w trudnych chwilach, znów słyszała głos starego radcy sądowego Fromma: Nie bój się, dziecko, tylko się nie bój.

Nie bała się. Już nie.

Pokonała strach.

ROZDZIAŁ 70.

Już czas, Quangel

Jest jeszcze noc, gdy strażnik otwiera drzwi do celi Ottona Quangla.

Quangel, obudzony z głębokiego snu, mrugając oczami, patrzy na wysoką czarną postać, która weszła do jego celi. Natychmiast strząsa z siebie resztki snu, a jego serce bije szybciej niż zwykle, bo zrozumiał, co oznacza ta duża milcząca postać, która stoi pod drzwiami.

– Już czas, pastorze? – pyta, od razu sięgając po ubranie.

– Już czas, Quangel! – odpowiada duchowny. I pyta: – Jest pan gotowy?

– W każdej chwili jestem gotowy – odpowiada Quangel i dotyka językiem fiolki ukrytej w ustach.

Zaczyna się ubierać. Wszystko robi spokojnie, bez pośpiechu.

Przez chwilę obaj w milczeniu mierzą się wzrokiem. Pastor jest młodym jeszcze, grubokościstym mężczyzną o prostej, trochę głupkowatej twarzy.

Nic z niego nie będzie, stwierdza Quangel. To nie to, co dobry pastor.

Pastor widzi przed sobą wysokiego, zniszczonego pracą mężczyznę. Nie podoba mu się ta twarz o ostrym ptasim profilu, nie podoba mu się lustrujące spojrzenie ciemnych, zadziwiająco okrągłych oczu, nie podobają mu się też wąskie, blade usta o zaciśniętych wargach. Lecz duchowny opamiętuje się i mówi najbardziej przyjaznym tonem, na jaki go stać: – Mam nadzieję, że pogodził się pan z tym światem, panie Quangel?

– A czy ten świat pogodził się ze sobą, pastorze? – odpowiada

pytaniem Quangel.

– Niestety jeszcze nie, panie Quangel, Niestety jeszcze nie – odpowiada duchowny, starając się nadać swojej twarzy wyraz troski, której wcale nie odczuwa. Pomija tę kwestię i pyta dalej: – Ale z Panem Bogiem się pan pojednał, panie Quangel?

– Nie wierzę w Pana Boga – odpowiada krótko Quangel.

– Słucham?

Pastor wydaje się wręcz przerażony tym obcesowym stwierdzeniem.

– Cóż – kontynuuje – skoro nie wierzy pan w osobowego Boga, to może jest pan panteistą, zgadza się, panie Quangel?

– A co to jest?

– No, przecież to oczywiste... – Pastor próbuje wyjaśnić coś, co nawet dla niego samego nie jest do końca jasne. – Dusza świata, rozumie pan. Wszystko jest Bogiem, rozumie pan? Pańska dusza, pańska nieśmiertelna dusza powróci do wielkiej duszy świata, panie Quangel!

– Wszystko jest Bogiem? – pyta Quangel. Skończył się już ubierać i stoi przy pryczy. – Hitler też jest Bogiem? To mordowanie wszędzie wokół to Bóg? I pan jest Bogiem? I ja?

– Źle mnie pan zrozumiał, chyba celowo źle mnie pan zrozumiał – odpowiada rozdrażniony duchowny. – Ale nie jestem tutaj, panie Quangel, żeby dyskutować z panem o kwestiach religijnych. Przyszedłem, żeby przygotować pana na śmierć. Umrze pan, panie Quangel, w ciągu kilku godzin. Jest pan gotowy?

Zamiast odpowiedzieć, Quangel pyta: – Czy znał pan pastora Lorenza z aresztu śledczego przy Trybunale Ludowym?

Pastor, znów zbity z tropu, odpowiada poirytowany: – Nie, ale słyszałem o nim. Chyba wolno mi powiedzieć, że Pan wezwał go do siebie w odpowiedniej chwili. Przynosił hańbę naszej profesji.

Quangel uważnie przyjrzał się duchownemu i powiedział: – To

był bardzo dobry człowiek. Wielu więźniów będzie o nim pamiętać z wdzięcznością.

– Tak! – wykrzyknął pastor z nieskrywanym gniewem. – Bo folgował waszym żądzom! To był bardzo słaby człowiek, panie Quangel. Sługa Boży musi być wojownikiem w tych wojennych czasach, a nie ugodowym słabeuszem! – Znów się opamiętał. Pośpiesznie zerknął na zegarek i powiedział: – Mam dla pana jeszcze tylko osiem minut, panie Quangel. Muszę zanieść duchową pociechę jeszcze kilku pańskim towarzyszom niedoli, którzy podobnie jak pan wyruszą dziś w swoją ostatnią drogę. Pomódlmy się teraz...

Duchowny, ów grubokościsty, prosty chłop, wyciągnął z kieszeni białą chustkę i ostrożnie zaczął ją rozwijać.

Quangel zapytał: – Czy zanosi pan też duchową pociechę kobietom, które mają zostać stracone?

Drwina zawarta w jego słowach była tak dobrze ukryta, że pastor wcale jej nie zauważył. Rozłożył śnieżnobiłą chustkę na podłodze celi i odpowiedział obojętnym tonem: – Dziś nie ma straceń kobiet.

– A może pan pamięta – pytał dalej uparcie Quangel – czy w ostatnim czasie był pan u niejakiej Anny Quangel?

– Anna Quangel? To pańska żona? Nie, na pewno nie. Zapamiętałbym. Mam niezwykle dobrą pamięć do nazwisk...

– Mam jedną prośbę, pastorze...

– To niech pan mówi, panie Quangel! Wie pan, że mam mało czasu!

– Proszę, żeby pan nie mówił mojej żonie, gdy nadejdzie pora, że zostałem stracony przed nią. Niech jej pan, proszę, powie, że umrę w tej samej godzinie co ona.

– To byłoby kłamstwo, panie Quangel, a ja jako sługa Boży nie mogę łamać jego ósmego przykazania.

– Więc nigdy pan nie kłamie, pastorze? Jeszcze nigdy w życiu pan nie

skłamał?

– Mam nadzieję – powiedział pastor zmieszany lustrującym go z ironią spojrzeniem więźnia. – Mam nadzieję, że mimo wszelkich swych słabości zawsze starałem się przestrzegać Bożych przykazań.

– I te Boże przykazania wymagają od pana, żeby odmówił pan mojej żonie pociechy, że umrze w tej samej godzinie co ja?

– Nie mogę dawać fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu, panie Quangel!

– Szkoda, szkoda! Rzeczywiście nie jest pan taki jak dobry pastor.

– Słucham? – wykrzyknął duchowny, a w jego głosie słychać było i zdumienie, i groźbę.

– Pastora Lorenza w więzieniu zawsze nazywaliśmy dobrym pastorem – wyjaśnił Quangel.

– Nie, nie! – zawołał rozgniewany pastor – Wcale nie pragnę takiego nadanego przez was chlubnego miana! Nazwałbym je wręcz mianem niegodnym! – Opanował się. Z płasnięciem opadł na kolana, dokładnie na białą chusteczkę. Wskazał miejsce obok siebie na ciemnej podłodze celi (gdyż białej chustki starczyło tylko dla niego): – Niech pan też uklęknie, panie Quangel, pomodlimy się!

– Przed kim mam uklęknąć? – zapytał zimno Quangel. – Do kogo mam się modlić?

– Och! – wyrzucił z siebie poirytowany pastor. – Niech pan znowu z tym nie zaczyna! Już i tak zmarnowałem na pana o wiele za dużo czasu! – Klęcząc, popatrzył na mężczyznę o surowej, złej twarzy. Wymamrotał: – Wszystko jedno, spełnię swój obowiązek. Pomodlę się za pana!

Pochylił głowę, złożył dłonie i zamknął oczy. A potem wysunął głowę do przodu, szeroko otworzył oczy i nagle wrzasnął tak głośno, że Quangel aż się wzdygnął przestraszony: – O Panie mój i Boże! Wszchemogący, wszchewiedzący, miłośniwy, sprawiedliwy Boże, sędzio dobrego i złego!

Leży tu przed Tobą w prochu grzesznik, błagam Cię, zechciej w swym miłosierdziu zwrócić swe oczy na tego człowieka, który popełnił wiele występków, pokrzepić go na ciele i duszy i łaskawie wybaczyć mu wszystkie jego grzechy...

Kłęczący pastor krzyczał coraz głośniejsze: – Przyjmij jako ofiarę niewinną śmierć Jezusa Chrystusa, Twojego umiłowanego syna, jako zapłatę za jego występki! On także został ochrzczony w Jego imieniu, obmyty i oczyszczony w Jego krwi. Wybaw go więc od cierpienia i udręki ciała! Ukróć jego ból, oszczędź mu wyrzutów sumienia! Obdarz go błogosławionym powrotem do życia wiecznego!

Duchowny ściszył głos do tajemniczego szeptu: – Wyślij swe święte anioły, by towarzyszyły mu na zgromadzenie wybranych przez Ciebie, w imię Jezusa Chrystusa, Pana naszego.

I pastor znów głośno wykrzyknął: – Amen! Amen! Amen!

Wstał, ostrożnie poskładał białą chustkę i zapytał, nie patrząc na Quangła: – Chyba mogę sobie darować pytanie, czy jest pan gotowy na przyjęcie najświętszego sakramentu?

– Zdecydowanie, pastarze.

Pastor z wahaniem wyciągnął dłoń w stronę Quangła.

Quangel potrząsnął głową, zakładając ręce na plecach.

– To też może sobie pastor darować! – powiedział.

Pastor, nie patrząc na niego, podszedł do drzwi. Odwrócił się jeszcze raz, rzucił przelotnie okiem na Quangła i powiedział: – Niech pan weźmie ze sobą na miejsce stracenia te słowa, List do Filipian, rozdział 1, wiersz 21: „Dla mnie bowiem żyć – to Chrystus, a umrzeć – to zysk”.

Drzwi zatrzasnęły się, poszedł.

Quangel odetchnął.

ROZDZIAŁ 71.

Ostatnia droga

Gdy tylko duchowny wyszedł, do celi wszedł niski, krępy mężczyzna w jasnoszarym garniturze. Rzucił szybkie, badawcze i mądre spojrzenie na twarz Quangła, a potem podszedł do niego i powiedział: – Doktor Brandt, lekarz więzienny. – Potrząsnął przy tym ręką Quangła i przytrzymując ją w swojej dłoni, powiedział: – Mogę zbadać pańskie tętno?

– Proszę bardzo! – powiedział Quangel.

Lekarz liczył powoli. A potem puścił rękę Quangła i stwierdził z uznaniem: – Bardzo dobrze. Doskonale. Twardy z pana człowiek.

Zerknął szybko na drzwi, które zostały półotwarte, i zapytał szeptem: – Czy mogę coś dla pana zrobić? Podać jakiś środek odurzający?

Quangel pokręcił głową. – Pięknie dziękuję, panie doktorze. Dam sobie radę.

Dotknął językiem ampułki. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie powinien przekazać Annie czegoś przez tego lekarza. Ale nie, ten pastor i tak wszystko jej opowie...

– A coś innego? – zapytał szeptem lekarz. Od razu spostrzegł wahanie Quangła. – Może przekazać list?

– Nie mam tu nic do pisania. Ach nie, zostawmy to. W każdym razie dziękuję panu, panie doktorze, jeszcze jeden człowiek! Chwała Bogu, że nawet w takim budynku jak ten nie wszyscy są źli.

Lekarz skinął ponuro głową, ponownie podał Quangłowi dłoń, zastanowił się i powiedział: – Mogę panu tylko powiedzieć: niech pan zachowa swą odwagę.

I szybko opuścił celę.

Wszedł strażnik, a za nim więzień niosący miskę i talerz. W misce parowała gorąca kawa, a na talerzu leżały posmarowane masłem kromki chleba. Obok dwa papierosy, dwie zapaliki i kawałek draski.

– No – powiedział strażnik. – Widzi pan, niczego nie skąpimy. I wszystko bez kartek!

Roześmiał się, a dyżurny posłusznie zaśmiał się razem z nim. Widać było, że nie pierwszy raz pozwalają sobie na ów „żarcik”.

W nagłym, zaskakującym porywie gniewu Quangel powiedział: – Zabierzcie to stąd! Nie chcę waszego katowskiego posiłku!

– Nie trzeba mi dwa razy powtarzać! – stwierdził strażnik. – Poza tym ta kawa to tylko zbożówka i to nie masło, tylko margaryna...

I Quangel znów został sam. Posprzątał łóżko, zdjął pościel i położył ją obok drzwi, a potem podniósł przymocowaną do ściany pryczę do góry. Następnie zajął się swoją toaletą.

Wciąż się mył, gdy do celi wszedł jakiś mężczyzna z dwoma chłopcami.

– Niech pan sobie daruje tę toaletę – powiedział głośno mężczyzna. – My teraz pana pierwszorzędnie ogolimy i uczeszymy! Dalej, chłopcy, pośpieszcie się trochę, mamy opóźnienie! – I przeproszającym tonem do Quangła: – Pański poprzednik za długo nas zatrzymał. Niektórzy nie potrafią się opamiętać i nie rozumieją, że ja nic nie mogę zmienić. Jestem mianowicie berlińskim katem...

Wyciągnął rękę do Quangła.

– No, przekona się pan, że ani się nie będę ociagać, ani nikogo dręczyć. Jak wy nie robicie trudności, to i ja ich nie robię. Zawsze mówię moim chłopakom: „Chłopcy – mówię – jeśli ktoś zachowuje się nierozsądnie, rzuca się, wrzeszczy, krzyczy, to i wy zachowujcie się nierozsądnie. Chwyćcie go, za co się da, choćbyście mu mieli przy okazji powyrywać

jądra!”. Ale z rozsądnymi ludźmi, takimi jak ty, zawsze bardzo delikatnie!

– Cały czas gadając, przejechał maszynką do strzyżenia po głowie Quangla, aż wszystkie jego włosy znalazły się na podłodze celi. Drugi pomocnik kata zrobił pianę z mydła i zgolił Quangłowi brodę. – No – stwierdził zadowolony kat. – Siedem minut! Nadrobiliśmy czas. Jeszcze paru takich rozsądnych i będziemy punktualni jak kolej. I proszącym tonem do Quangla: – Bądź tak miły i sam to pozamiataj. Nie masz takiego obowiązku, ale wiesz, mamy bardzo mało czasu. Dyrektor i oskarżyciel mogą nadejść w każdej chwili. Nie wrzucaj włosów do kubła, rozłóż ci tu gazetę; zawiń je i połóż obok drzwi. Taki drobny dodatkowy zarobek na boku, rozumiesz?

– A co zrobisz potem z moimi włosami? – zapytał zaintrygowany Quangel.

– Sprzedam perukarzowi. Na peruki zawsze jest popyt. Nie tylko dla aktorów, ale w ogóle. No, w takim razie pięknie dziękuję. Heil Hitler!

I oni wyszli, dzielni chłopcy, można by wręcz powiedzieć, że znają się na swojej robocie, nie dałoby się z większym opanowaniem szlachtować choćby świń. A mimo to Quangel uznał, że łatwiej znieść tych grubiańskich, pozbawionych serca chłopaków niż pastora. Katowi przecież nawet bez wahania podał dłón.

Quangel właśnie spełnił prośbę kata, żeby posprzątać celę, gdy drzwi znów się otwały. Do środka w towarzystwie kilku mundurowych weszli gruby mężczyzna z rudym wąsem na nalanej bladej twarzy, dyrektor więzienia, jak się zaraz okazało, oraz stary znajomy Quangla, oskarżyciel z rozprawy głównej, ten, który ujadał jak pinczer.

Dwóch mundurowych chwyciło Quangla i przyciągnęło do ściany celi, gdzie zmusili go do stanięcia na baczność. A potem stanęli obok niego.

– Otto Quangel – wykrzyknął jeden z nich.

– Ach tak! – zaczął ujadać Pinczer. – Przypominam sobie przecież tę twarz! – Zwrócił się do dyrektora. – Sam załatwiłem mu wyrok śmierci! – stwierdził z dumą. – Bezwstydnym z niego człowiekiem. Myślał, że może pyskować sądowi i mnie. Ale już my ci pokazaliśmy, ty łobuzie! – jazgotał dalej, zwróciwszy się do Quangla. – Pokazaliśmy ci, nie? No i jak się miewasz? Już nie jesteś taki bezczelny, co?

Jeden z mundurowych obok Quangla szturchnął go w bok. – Odpowiadać! – szepnął rozkazującym tonem.

– Ach, pocałujcie mnie wszyscy! – odpowiedział znudzony Quangel.

– Co? Jak? – wzburzony oskarżyciel przeskakiwał z nogi na nogę. – Panie dyrektorze, żądam...

– Też coś! – powiedział dyrektor. – Niech pan zostawi tych ludzi w spokoju! Widzi pan przecież, że to spokojny człowiek! Prawda, że jest pan spokojny?

– Oczywiście! – odpowiedział Quangel. – Niech mnie zostawi w spokoju. Wtedy ja też zostawię go w spokoju.

– Protestuję! Żądam...! – wrzeszczał pinczer.

– Czego takiego? – zapytał dyrektor. – Czego może pan teraz jeszcze żądać? Przecież nie możemy mu zrobić nic więcej jak go stracić, a on to doskonale wie. Niech więc pan zaczyna i odczyta mu wyrok!

W końcu Pinczer uspokoił się, wyjął akt i zaczął go czytać. Czytał szybko i niewyraźnie, przeskakiwał zdania, mylił się i skończył raptownie: – No, to pan już wie!

Quangel nie odpowiedział.

– Sprowadźcie tego człowieka na dół! – powiedział rudobrody dyrektor i obaj wartownicy mocno chwycili Quangla pod ramiona.

Wyswobodził się rozgniewany.

Chwycili go jeszcze mocniej.

– Niech idzie sam! – rozkazał dyrektor. – On nie będzie robił żadnych

trudności.

Wyszli na korytarz. Stało tam mnóstwo ludzi, w mundurach i w cywilu. Nagle utworzył się pochód, którego centralnym punktem był Otto Quangel. Na czele szli wachmistrzowie. Potem pastor, który miał teraz na sobie sutannę z białym kołnierzykiem i mamrotał coś do siebie niezrozumiale. Za nim szedł Quangel otoczony chmarą strażników. Mimo to mały doktor w jasnym garniturze trzymał się blisko niego. Potem szli dyrektor i oskarżyciel, za nimi znów mundurowi i cywile, z których część uzbrojona była w aparaty fotograficzne.

Pochód przesuwiał się słabo oświetlonymi korytarzami i metalowymi schodami pokrytymi śliskim linoleum przez cały dom umarłych. A tam, gdzie przechodził, z cel dobiegał jęk przypominający stłumione stęknienie z głębi piersi. Nagle jakiś głos zawołał donośnie z jednej z cel: – Powodzenia, towarzyszu!

A Otto Quangel automatycznie odpowiedział głośno: – Powodzenia, towarzyszu! – Dopiero po chwili pomyślał, jak bezsensowne było życzenie powodzenia komuś idącemu na śmierć.

A teraz otworzono drzwi i wyszli na dziedziniec. Nocny mrok wciąż unosił się między murami. Quangel szybko popatrzył w prawo i w lewo, jego wyostrzonej uwadze nic nie umknęło. Widział w oknach więziennych cel krąg wielu bladych twarzy, towarzyszy, tak jak on skazanych na śmierć, którzy wciąż żyli. Jakiś wilczur wybiegł pochodowi naprzeciw z głośnym szczekaniem, strażnik zagwizdał na niego i pies, warcząc, wycofał się. Żwir chrzęścił pod licznymi stopami, wyglądało na to, że w dziennym świetle jest lekko żółtawy, ale teraz, w blasku elektrycznych lamp, wydawał się białawoszary. Ponad murem widniał niewyraźny zarys bezlistnego drzewa. Powietrze było chłodne i mroźne. Quangel pomyślał: Za kwadrans nie będę już marzył. Śmieszne!

Dotknął językiem szklanej ampułki. Lecz było jeszcze za wcześnie...

Dziwne, choć tak wyraźnie widział i słyszał wszystko, co działo się wokół niego, w najdrobniejszym szczególe, to i tak wszystko to wydawało mu się takie nierzeczywiste. Ktoś mu to kiedyś opowiadał. Leżał w swojej celi i śnił o tym. Tak, to niemożliwe, żeby on tędy fizycznie szedł, a oni wszyscy, którzy tu z nim szli, z tymi swoimi twarzami pełnymi obojętności, surowości, poządlowości czy smutku, by oni wszyscy byli bezcieleśni. Ten żwir był żwirem, który mu się śnił, a szurgot stóp, chrzęst kamyczków pod podszewkami – to były dźwięki ze snu...

Przeszli przez jakieś drzwi i weszli do pomieszczenia, które było tak jasno oświetlone, że Quangel z początku zupełnie nic nie widział. Strażnicy po bokach popchnęli go nagle do przodu, obok klęczącego duchownego.

Podszedł do niego kat ze swoimi dwoma pomocnikami. Wyciągnął ku niemu dłoń.

– A więc nie miej mi za złe! – powiedział.

– Nie, cóż miałbym mieć za złe? – odpowiedział Quangel, automatycznie podając mu rękę.

Gdy kat zdejmował Quangelowi marynarkę i odcinał mu kołnierzyk koszuli, ten spojrział do tyłu na tych, którzy mu towarzyszyli. W jaskrawym świetle widział tylko wieniec białych twarzy, które wszystkie zwrócone były ku niemu.

To mi się śni, pomyślał, a jego serce zaczęło mocniej bić.

Z miejsca dla publiczności oderwała się jakaś postać, a gdy podeszła, Quangel rozpoznał małego, skłonnego do pomocy lekarza w jasnoszarym garniturze.

– No? – zapytał lekarz z bladym uśmiechem. – Jak się czujemy?

– Zawsze spokojnie! – powiedział Quangel, gdy związywano mu rękę na plecach. – W tej chwili mocno bije mi serce, ale zakładam, że to za pięć minut minie.

I uśmiechnął się.

– Niech pan poczeka, dam panu coś! – powiedział lekarz, sięgając do torby.

– Niech pan się nie trudzi, doktorze – odpowiedział Quangel. – Zostałem dobrze zaopatrzony...

I na chwilę jego język pokazał ukrytą między wąskimi wargami szklaną ampułkę...

– Tak, cóż! – stwierdził zmieszany lekarz.

Odwrócili Quangla. Stał teraz przed długim stołem, który przykryto gładkim, sztywnym i czarnym materiałem przypominającym ceratę. Ujrzał rzemienie, klamry, a przede wszystkim dostrzegł ostrze, szerokie ostrze. Wydawało mu się, że wisi nad stołem bardzo wysoko, groźnie wysoko. Lśniło srebrystoszarą, przylgłało mu się złościwie.

Quangel westchnął leciutko...

Nagle obok niego stanął dyrektor i zamienił kilka słów z katem. Quangel cały czas wpatrywał się w ostrze. Słuchał nieuważnie: – Przekazuję panu, jako katowi miasta Berlina, niejakiego Ottona Quangla, żebyście przeprowadzili go z życia do śmierci za pomocą gilotyny, jak nakazano prawomocnym wyrokiem Trybunału Ludowego...

Jego głos brzmiał nieznośnie głośno. Światło też było zbyt jasne...

Teraz, pomyślał Quangel. Teraz...

Lecz nie zrobił tego. Łechtąła go straszliwa, dręcząca ciekawość...

Jeszcze tylko parę minut, pomyślał. Muszę się jeszcze dowiedzieć, jak to jest na tym stole...

– No dalej, chłopie! – upomniał go kat. – Nie przedłużaj już tego. Za dwie minuty będzie po wszystkim. A nawiasem mówiąc, pamiętałeś o włosach?

– Leżą przy drzwiach – odpowiedział Quangel.

Po chwili Quangel leżał na stole, czuł jak przywiązują mu stopy.

Stalowy uchwyt opuścił się na jego plecy i mocno przycisnął ramiona do materaca...

Cuchnęło wapnem, mokrymi trocinami, cuchnęło środkami dezynfekującymi... Lecz przede wszystkim cuchnęło czymś, czymś obrzydliwie słodkim, co zagłuszało wszystko inne...

Krew... – pomyślał Quangel. – Cuchnie krwią...

Usłyszał, jak kat szepnął cicho: – Teraz!

Lecz choć szepnął to tak cicho, jak nie potrafiłby żaden inny człowiek, Quangel jednak usłyszał, usłyszał to „Teraz!”.

I usłyszał też szumiący dźwięk...

Teraz! – pomyślał i on, a jego zęby chciały zagryźć się na ampułce z cyjankiem...

I wtedy zemdlilo go, strumień wymiocin wypełnił mu usta, porwał ze sobą ampułkę...

O Boże – pomyślał – czekałem za długo...

Szum przeszedł w świst, a świst stał się przesywającym krzykiem, który musiało być słycać aż pośród gwiazd, aż u tronu Boga...

A potem ostrze z trzaskiem złamało mu kark.

Głowa Quangla wpadła do kosza.

Przez chwilę leżał zupełnie nieruchomo, jakby to bezgłowe ciało dziwiło się figlowi, który mu właśnie splatano. A potem naprężyło się, wił się między rzemieniami i stalowymi uchwytami, pomocnicy kata rzucili się na niego, żeby go przycisnąć.

Żyły na rękach trupa robiły się coraz grubsze i grubsze, a potem wszystko się zapadło. Słycać było tylko krew, syczącą, szumiącą, spływającą głucho krew.

Trzy minuty po opuszczeniu ostrza blade lekarz ogłosił nieco drżącym głosem śmierć straceńca.

Uprzątnięto zwłoki.

Nie było już Ottona Quangla.

ROZDZIAŁ 72.

Ponowne spotkanie Anny Quangel

Kolejne miesiące nadchodziły i mijały, zmieniały się pory roku, a pani Anna Quangel wciąż siedziała w swojej celi i czekała na ponowne spotkanie z Ottonem Quanglem.

Czasem strażniczka, której ulubienicą była teraz pani Anna, mówiła jej: – Wydaje mi się, pani Quangel, że oni zupełnie o pani zapomnieli.

– Tak – odpowiadała uprzejmie więźniarka numer 76. – Tak się prawie wydaje. O mnie i o moim mężu. A jak się miewa Otto?

– Dobrze! – odpowiadała pośpiesznie strażniczka. – Przekazuje pozdrowienia.

Wszystkie zgodnie ustaliły, że nie pozwolą, żeby ta dobra, zawsze taka pilna kobieta, dowiedziała się o śmierci męża. Regularnie przekazywały jej pozdrowienia od niego.

I tym razem niebiosy okazały się łaskawe dla pani Anny: żadna zbędna gadanina, żaden świadom swych obowiązków pastor nie zniszczył jej wiary w to, że Otto Quangel żyje.

Niemal cały dzień siedziała przy swojej małej maszynie dziewiarskiej i robiła skarpety, skarpety dla żołnierzy gdzieś tam, działa je dzień za dniem.

Czasami cicho przy tym śpiewała. Była teraz mocno przekonana, że ona i Otto nie tylko się jeszcze zobaczą, nie, oni będą jeszcze długo ze sobą żyć. Albo naprawdę o nich zapomniano, albo potajemnie ich ułaskawiono. To nie mogło już długo trwać, a wtedy będą wolni.

Choć bowiem strażniczki tak niewiele o tym mówiły, Anna Quangel

i tak się domyślała: na wojnie nie działa się dobrze, a wiadomości z tygodnia na tydzień stawały się coraz gorsze. Domyślała się też po tym, że jedzenie było coraz gorsze, że coraz częściej brakowało materiałów do pracy, że wymiana ułamanego elementu maszyny dziewiarskiej trwała tygodniami, że wszystkiego zaczynało coraz bardziej brakować. A jeśli na wojnie szło źle, to tym lepiej dla Quangelów. Wkrótce będą wolni.

Siedzi więc i dzieje. Wrabia w te skarpety swoje marzenia i nadzieje, które nigdy się nie spełnią, życzenia, których nigdy wcześniej nie miała. Odmalowuje sobie zupełnie innego Ottona niż ten prawdziwy, u którego boku przeżyła swoje życie, Ottona pogodnego, zadowolonego, czułego. Stała się niemal młodą dziewczyną, którą czeka pełne wiosennej radości życie. Czy czasem nie marzy nawet o tym, żeby mieć jeszcze dzieci? Ach, dzieci...!

Odkąd Anna Quangel zniszczyła fiolkę z cyjankiem, odkąd postanowiła, po najcięższej walce, że wytrzyma do kolejnego spotkania z Ottonem, mogło się z nią dziać, co chciało – od tej pory była wolna, stała się młoda i radosna. Pokonała samą siebie.

I jest teraz wolna. Nieustraszona i wolna.

Jest taka także podczas coraz cięższych nocy, które wojna przyniosła teraz nad miasto Berlin, gdy wyją syreny, gdy samoloty w coraz gęściejszych chmarach ciągną nad miasto, bomby spadają, miny rozdzierająco wy ją i wszędzie płoną pożary.

Również podczas takich nocy więźniowie pozostają w swoich celach. Nikt nie ma odwagi zaprowadzić ich do schronów, z obawy przed buntem. Krzyczą w swoich celach, wariują, proszą i błagają, szaleją ze strachu, lecz korytarze są puste, nie stoi tam już żaden wartownik, żadna litościwa dłoń nie otwiera drzwi do cel, personel więzienny siedzi w schronach przeciwlotniczych.

Anna Quangel nie czuje lęku. Jej mała okrągła maszyna terkozce i

terkocze, dzieje rząd za rządem. Wykorzystuje te godziny, podczas których i tak nie może spać, na robienie skarpet. A podczas dziania marzy. Marzy o ponownym spotkaniu z Ottonem i podczas takiego właśnie marzenia z ogłuszającym hukiem wpada mina, która zamienia tę część więzienia w popiół i gruz.

Pani Anna Quangel nie miała nawet czasu, żeby się obudzić z marzenia o ponownym spotkaniu z Ottonem. Już przy nim jest. Jest w każdym razie tam, gdzie on. Gdziekolwiek to jest.

ROZDZIAŁ 73.

Chłopiec

Lecz nie chcemy kończyć tej opowieści śmiercią, jest ona poświęcona życiu, niepokonanemu życiu, zawsze na nowo triumfującemu nad hańbą i łzami, nad nędzą i śmiercią.

Jest lato, jest wczesne lato roku 1946.

Chłopiec, już niemal młody mężczyzna, przechodzi przez zagrodę brandenburskiej osady.

Spotyka starszą kobietę. – No, Kuno – pyta ona. – Co tam dzisiaj?

– Wybieram się do miasta – odpowiada chłopiec. – Mam odebrać nasz nowy pług.

– No – mówi ona – to napiszę ci jeszcze, co możesz mi przywieźć, o ile uda ci się to zdobyć!

– Jeśli tylko będzie, to już na pewno zdobędę! – woła on ze śmiechem. – Przecież wiesz, mam!

Patrzą na siebie roześmiani. A potem ona idzie do domku, do swojego męża, starego nauczyciela, który już dawno osiągnął wiek emerytalny, a mimo to wciąż uczy dzieci – jak tego najmłodszego.

Chłopiec wyprowadza z szopy konia o imieniu Toni, ich całą dumę.

Pół godziny później Kuno-Dieter Barkhausen jest już w drodze do miasta. Lecz nie nazywa się już Barkhausen, zgodnie z prawem i z zachowaniem wszelkich formalności został adoptowany przez małżeństwo Kienschäperów, gdy stało się jasne, że z wojny nie wrócą ani Karl, ani Max Kluge. Przy okazji usunięto też Dietera. Kuno Kienschäper brzmi doskonale i zupełnie wystarczy.

Kuno pogwizduje zadowolony, podczas gdy gniadosz Toni powoli wlecze się na słońcu wyjeżdżoną polną drogą. Niech się Toni nie śpieszy, do południa i tak będą z powrotem.

Kuno patrzy na pola po prawej i po lewej, badawczym, fachowym okiem ocenia stan zasiewów. Dużo się nauczył tutaj na wsi i – chwała Bogu! – równie dużo zapomniał. O mieszkaniu w suterenie z Otti, nie, o tym prawie nigdy nie myśli, tak samo jak o trzynastoletnim Kunie-Dieterze, który był właściwie bandytą, nie, tego wszystkiego już nie ma. Odłożył też jednak marzenia o zakładzie motoryzacyjnym, na razie chłopcu wystarcza, że podczas orki we wsi może mimo swego młodego wieku prowadzić ciągnik.

Tak, zrobili wielkie postępy, ojciec, matka i on. Nie są już zależni od krewnych, w zeszłym roku dostali ziemię, są samodzielni, mają Toniego, krowę, prosiaka, dwa barany i siedem kur. Kuno potrafi kosić i orać, ojciec nauczył go, jak siać, a matka, jak motykować. Cieszy się życiem, już on rozwinięte ich gospodarke, tak właśnie robi!

Pogwizduje.

Na skraju drogi prostuje się jakaś zaniedbana, wysoka postać w obdartym garniturze, ze zniszczoną twarzą. To nie jest żaden nieszczęsny uciekinier, to degenerat, włóczęga, lump. Zapijaczony głos skrzeczy: – Hej, chłopcze, zabierz mnie do miasta!

Kuno Kienschäper wzdryga się na dźwięk tego głosu. Chciałby wycisnąć z zadowolonego Toniego galop, lecz na to jest już za późno, więc mówi ze spuszczoną głową: – Siadaj, nie, nie tu przy mnie! Z tyłu możesz sobie usiąść!

– Dlaczego nie przy tobie? – chrypi wyzywająco mężczyzna. – Za mało jestem jak dla ciebie wytworny?

– Barania głowo! – woła Kuno z udawanym grubiaństwem. – Bo tam z tyłu na słomie będziesz miał miętko!

Mężczyzna poddaje się, burcząc coś pod nosem, i włązi na tył wozu, a Toni zaczyna sam z siebie kłusować.

Kuno opanował pierwszy strach, że musiał zabrać na wóz swojego ojca, no nie, akurat Barkhausena musiał zabrać na wóz z przydrożnego rowu, akurat jego, akurat jego! Ale może to wcale nie był przypadek, może ten Barkhausen tu na niego czekał, i dobrze wie, kto go wiezie.

Kuno zerka przez ramię na mężczyznę z tyłu wozu.

Ten wyciągnął się na słomie i mówi teraz, jakby wyczuwając spojrzenie chłopca: – Mógłbyś mi powiedzieć, czy nie mieszka tu gdzieś chłopak z Berlina, mniej więcej szesnaście lat? Musi mieszkać gdzieś tutaj...

– Tu w okolicy mieszka wielu berlińczyków! – odpowiada Kuno.

– Zauważyłem! Ale ten chłopak, o którym mówię, to szczególnie przypadek. Jego wtedy podczas wojny wcale nie ewakuowano, on uciekł od swoich rodziców! Słyszałeś może o takim chłopaku?

– Nie! – kłamie Kuno. A po chwili pyta: – To pan nie wie, jak ten chłopak się nazywa?

– Wiem, Barkhausen...

– Tutaj w okolicy nie ma żadnego Barkhausena, wiedziałbym coś o tym.

– Śmieszne! – mówi mężczyzna, udaje, że się śmieje, i boleśnie szturcha chłopaka pięścią między łopatkami. – A ja bym przysiągł, że jakiś Barkhausen siedzi na tym wozie!

– To złożyłby pan fałszywą przysięgę! – odpowiada Kuno, a teraz, gdy ma już pewność, jego serce bije miarowym, chłodnym rytmem. – Bo ja się nazywam Kienschäper, Kuno Kienschäper...

– No nie, coś takiego! – mówi zdumiony mężczyzna. – Ten, którego szukam, też ma na imię Kuno, ino dokładnie Kuno-Dieter...

– Ja się nazywam Kuno Kienschäper – mówi chłopak. – A zresztą gdybym wiedział, że na moim wozie siedzi jakiś Barkhausen, to

odwróciłbym bat i okładał go nim tak długo, aż zleciałby z mojego wozu!

– No nie, coś takiego! Coś takiego! Czy to możliwe? – dziwi się włóczęga. – Chłopic, który bije i spycha z wozu swojego własnego ojca?

– A jakbym się już pozbył tego Barkhausena – kontynuuje bezlitośnie Kuno Kienschäper – to pojechałbym do miasta na policje i powiedział im tak: Uważajcie na takiego jednego! Kręci sie tu po okolicy człowiek, który umie tylko lenić się, kraść i szkodzić, siedział w więzieniu, to przestępca, to ktoś dla was!

– Nie zrobiłbyś czegoś takiego, Kuno-Dieter – wykrzykuje naprawdę wystraszony Barkhausen. – Nie ściągnąłbyś mi glin na kark! Tera, gdy w końcu wyszedłem z ciupy i naprawdę się poprawiłem? Mam zaświadczenie od pastora, że naprawdę się poprawiłem, nie zabieram się już wcale za nic zabronionego, przysięgam ci! Ale pomyślałem, skoro ty masz majuntek i obrastasz tłuszczem, to może pozwolisz swojemu staremu ojcu trochi u siebie wypocząć! Ze mną wcale nie jest dobrze, Kuno-Dieterze, coś zalega mi w piersiach, powinienem trochi wypocząć...

– Już ja znam to twoje wypoczywanie! – woła zirytowany chłopak. – Wiem, że jeśli wpuszczę cie do naszego domu choćby na jeden dzień, rozgościsz się i nigdy już się ciebie nie pozbędziem, a wraz z tobą do domu ściągną niezgoda, nieszczęście i pasożytnictwo. Nie, zejdziesz tera zara z mojego wozu, zanim naprawdę odwrócę bat!

Chłopak zatrzymał wóz i zeskoczył z niego. Stał tam teraz, z batem w zaciśniętej dłoni, gotowy na wszystko, by bronić spokoju swojego nowego domu.

Wieczny pechowiec Barkhausen zajęczał: – Nie zrobisz tego! Przecie nie uderzysz swojego własnego ojca!

– Nie jesteś moim ojcem! Sam mi to kiedyś wystarczająco często powtarzałeś!

– To był tylko taki żart, Kuno-Dieterze, zrozum wreszcie!

– Ja nie mam ojca! – krzyknął rozwścieczony chłopak. – Mam matkę i zaczynam wszystko od nowa. A jeśli przychodzą ludzie z dawnych czasów i mówią to czy tamto, to bije ich tak długo, aż zostawiają mi w spokoju! Nie pozwolę, żebyś mi zepsuł moje życie!

Stał tam tak groźnie z uniesionym batem, że stary naprawdę się wystraszył. Zlazł z wozu i stanął na drodze z tchórzliwym wyrazem twarzy.

Odparł groźnym, choć podszytym tchórzostwem tonem: – Mogie ci poważnie zaszkodzić...

– Na to żem właśnie czekał! – woła Kuno Kienschäper. – Po błaganiach przychodzą groźby, zawsze tak z tobą było! Ale ja ci mówię, ja ci przysięgam: prosto stąd pojedę na policje i zgłoszę, że mi groziłeś, że podpalisz nasz dom...

– Ale ja przecie nic takiego nie mówiłem, Kuno-Dieterze!

– Ale pomyślałeś o tym, widziałem to w twoich oczach! Taki właśnie jesteś! I pamiętaj, że za godzinę policja ruszy twoim śladem! Więc lepiej się pośpiesz!

Kuno Kienschäper stał tak jeszcze długo, aż obdarta postać zniknęła pośród łąnów zboża. A potem poklepał gniasza Toniego po szyi i powiedział: – I co, Toni, nie pozwolimy komuś takiemu znowu zepsuć sobie życia? Zaczęliśmy wszystko od nowa. Jak matka wsadziła mnie do wody i własnymi rękami zmyła ze mnie cały brud, to dałem sobie wtedy słowo: Od tej pory sam zadbam o swoją czystość! I dotrzymam go!

Przez kolejne dni matka Kienschäperowa dziwiła się czasami, że chłopaka nie można się pozbyć z zagrody. Zwykle pierwszy szedł do pracy w polu, a teraz nie chciał nawet przestawić krowy na łące. Ale nie powiedziała, i chłopak też nic nie powiedział, a gdy nadeszła pełnia lata i zaczęły się żniwa, chłopak jednak poszedł w pole ze swoją kosą...

Bo co człowiek posiał, to musi zebrać, a chłopak zasiał dobre ziarno.

DANE BIOGRAFICZNE AUTORA

21.7.1893 Rudolf Ditzen urodził się w Greifswaldzie jako trzecie dziecko sędziego ziemskiego Wilhelma Ditzena i Elżbiety Ditzen.

1899 powołanie ojca do Rady Sądu Kamery w Berlinie, przenosiny rodziny do Berlina.

1909 powołanie ojca do Rady Sądu Rzeszy w Lipsku, przenosiny rodziny do Lipska, poważny wypadek rowerowy.

1911 nauka w gimnazjum w Rudolstadt, Rudolf ciężko ranny podczas próby podwójnego samobójstwa, zatuszowanego jako pojedynek, w którym zginął jego przyjaciel Hanns Dietrich von Necker.

1912 pobyt w zakładzie dla nerwowo chorych w Tannenfeld w Saksonii.

1913 studia w szkole rolniczej w Posterstein w Saksonii

1914 zgłasza się jako ochotnik do wojska, lecz ze względów zdrowotnych zostaje zwolniony po kilkunastu dniach

1915 skarbnik w majątku Heydebreck na Pomorzu Tylnym.

1916 praca w Izbie Rolniczej w Szczecinie, a potem w Towarzystwie Uprawy Ziemniaka w Berlinie.

1917 kuracja odwykowa w Carlsfeld koło Brehny w Saksonii, praca w charakterze kasjera (skarbnika) w różnych majątkach, między innymi w Meklemburgii, Szlezwiku-Holsztynie, na Pomorzu Przednim i na Śląsku.

1919 ponowna kuracja odwykowa w Tannenfeld.

1920 *Der junge Goedeschal* pod pseudonimem Hans Fallada.

1923 *Anton und Gerda*. Za sprzeniewierzenie skazany na kilkumiesięczną karę więzienia; do rozpoczęcia odbywania kary sekretarz majątku w Radach (Radachów) koło Drossen (Ośno Lubuskie).

1924/25 trzy miesiące aresztu sądowego w Greifswaldzie, po

zwolnieniu rachmistrz w Gudderitz na Rugii i w Lübgust (Lubogoszcz) na Pomorzu.

1926 z powodu kolejnej defraudacji skazany na karę dwóch i pół roku więzienia w Więzieniu Centralnym w Münsterze.

1928 adresowanie kopert w Hamburgu, członek SPD (Socjaldemokratycznej Partii Niemiec), zaręczyny z Anną Issel.

1929 akwizytor ogłoszeń w Neumünsterze, lokalny reporter w „General-Anzeiger”, 5 czerwca ślub z Anną Issel, reporter sądowy podczas procesu współpracowników radykalnego czasopisma „Landvolk”

1930 zatrudnienie w wydawnictwie Rowohlt. Narodziny syna Ulricha

1931 *Bauern, Bonzen, Bomben*. Przenosiny do Neuenhagen pod Berlinem.

1932 *Kleiner Mann – was nun? (I cóż dalej, szary człowieku?)*, wyd. polskie 1937), współpraca z różnymi czasopismami.

1933 przenosiny do Bercknbrück. Jedenaście dni aresztu po denuncjacji. Zakup posiadłości w Carwitz pod Feldbergiem. Narodziny córki Lore.

1934/35 *Wer einmal aus dem Blechnapf frisst (Czyż nie ma powrotu?)*, wyd. polskie 1936); *Wir hatten maiein Kind (Gdybyśmy mieli dziecko)*, wyd. polskie 1937); *Das Märchen vom Stadtschreiber, der aufs Landflog*.

1936 *Altes Herz geht auf die Reise; Hoppelpoppel, wo bist du?*

1937 *Wolf unter Wölfen (Wilk pośród wilków)*, wyd. polskie 1938).

1938 *Der eiserne Gustav (Żelazny Gustaw)*, wyd. polskie 1967); *Geschichten aus der Murkelei*.

1939 *Kleiner Mann, großer Mann – alles vertauscht*.

1940 *Der ungeliebte Mann*. Narodziny syna Achima.

1941 *Ein Mann will hinauf: die Frauen und der Träumer* (także pod tytułem *Ein Mann will nach oben*); *Der mutige Buchhändler* (także pod tytułem *Das Abenteuer des Werner Quabs*)

1942 *Damals bei uns daheim; Zwei zarte Lämmchen weiß wie Schnee; Die Stunde eh du schlafen gehst*

1943 *Heute bei uns zu Haus; Der Jungherr von Strammin* (także pod tytułem *Junger Herr ganz groß*). Na zlecenie Urzędu Pracy Rzeszy podróż w randze majora na zaanektowane obszary Czechosłowacji i do okupowanej Francji.

5.07.1944 rozwód z Anną Ditzen, po zajęciu z bronią palną przymusowy pobyt w zakładzie dla nerwowo chorych w Altstrelitz, tu powstaje rękopis *Der Trinker* razem z dziennikiem więziennym 1944 (pierwsze wydanie pod tytułem *In meinem fremden Land* 2009, wyd. polskie *W moim obcym kraju* 2011); *Fridolin, der freche Dachs*.

1945 ślub z Ursulą Losch. Pod koniec wojny obsadzony przez Armię Czerwoną jako burmistrz Feldbergu, załamanie i pobyt w szpitalu, przenosiny do Berlina, zlecenia dla „Tägliche Rundschau”, przenosiny na ulicę Eisenmengerweg w dzielnicy Pankow.

1946 ponowne pobyty w szpitalu, praca nad *Der Trinker* (wyd. nowiej wersji 1950/1953, *Pijak*, wyd. polskie 1957); *Der Alpdruck* (wyd. 1947) oraz *Jeder stirbt für sich allein* (wyd. 1947, wyd. polskie: *Każdy umiera w samotności* w tłumaczeniu Jerzego Rawicza 1950).

5.02.1947 Rudolf Ditzen (Hans Fallada) umiera w Berlinie.

POSŁOWIE

Czy kiedyś zdarzyło się coś podobnego? Ponad sześćdziesiąt lat po śmierci niemieckiego autora jego powieść staje się międzynarodowym wydarzeniem, przebojem internetowej księgarni Amazon i bestsellerem w dwudziestu krajach. Ostatnia powieść Hansa Fallady, dawno już za granicą zapomnianego, zdobywa nieoczekiwanie szerokie rzesze czytelników od Nowego Jorku po Amsterdam i od Londynu po Tel Awiw. Zaczęło się od ponownego jej odkrycia przez zafascynowanego starym tłumaczeniem wydawcę z francuskiego wydawnictwa Denoël, potem zachwyciły się nią osoby odpowiedzialne za program wydawniczy wydawnictwa Penguin, a następnie efektowną kampanię przeprowadziło niewielkie, lecz znakomite amerykańskie wydawnictwo Melville House. Opowieść Fallady o buncie prostych ludzi przeciwko nazistowskiemu reżimowi porusza obecnie umysły czytelników na całym świecie.

To, że w owej ponurej epoce w Niemczech obok pojedynczych wybitnych postaci krajowej opozycji wobec Hitlera istniała także taka forma oporu, jest bez wątpienia intrygującym odkryciem w obliczu panującego od lat pośród międzynarodowej społeczności przekonania o biernym i kolektywnym uczestnictwie niemieckiego społeczeństwa w nazistowskim systemie. Do tego dochodzi ogromne zainteresowanie świata berlińską metropolią, która jest nie tylko jednym z równorzędnych bohaterów powieści, lecz w obcojęzycznych wydaniach pojawia się także w tytułach, takich jak *Alone in Berlin*. To nieprzypadkowe nawiązanie do noweli Christophera Isherwooda pt. „Goodbye To Berlin” z roku 1939, której teatralną wersję wielokrotnie wystawiano, a w roku 1972 sfilmowano jako słynny *Kabaret*. Tam także miasto jest fascynującym bohaterem, choć rzecz dzieje się niemal dekadę wcześniej, na początku

lat trzydziestych. Jedyne w swoim rodzaju przedstawienie wczesnych lat czterdziestych przez Falladę stanowi jednak tak niezwykle zjawisko, że warto przyrzeć się bliżej okolicznościom powstania powieści oraz historii jej oryginalnego tekstu.

Na początku września 1945 roku Rudolf Ditzen (prawdziwe nazwisko Hansa Fallady) przeprowadził się z Feldbergu w Meklemburgii do podzielonego na cztery sektory Berlina. Właśnie zakończył pobyt w klinice w Neustrelitz. Praca na stanowisku burmistrza Feldbergu, na którym obsadziła go na początku maja Armia Czerwona, była zbyt trudnym wyzwaniem. Jego nadszarpnięte zdrowie nie pozwoliło stawić czoła nieufności ze strony ludności oraz sporom z komendantem. Ditzen od wczesnej młodości był nałogowcem, zażywał morfinę, kokainę, alkohol, nikotynę, tabletki nasenne. Po rozwodzie z Anną („Suse”) ożenił się w lutym 1945 roku z młodszą o trzydzieści lat wdową Ursulą („Ullą”) Losch, która także będąc uzależniona od morfiny, trafiała później do zakładów leczniczych niemal jednocześnie z nim. Fallada miał nadzieję, że w Berlinie rozpocznie nowe życie, epoka narodowego socjalizmu, kiedy uchodził za „autora niepożądanego”, już się zakończyła. Najpierw zamieszkał wraz z Ullą w jej mieszkaniu w dzielnicy Schöneberg w sektorze amerykańskim, a od listopada na ulicy Eisenmengerweg w dzielnicy Pankow należącej do sektora kontrolowanego przez Sowieców. Dom z ogrodem we wschodniobерlińskiej dzielnicy prominentów zawdzięczał Fallada wstawiennictwu poety i przyszłego ministra kultury Johannes R. Bechera, którego poznał w październiku.

Przyjaźń łącząca Bechera i Falladę miała charakter dość ambiwalentny. Fallada chwalił „niezrównaną uczynność” Bechera, Becher cenił talent Fallady jako „wspaniałego opowiadacza, gawędziarza”, choć dostrzegał zagrożenia płynące z jego konfliktowej osobowości. Zbliżone biografie również mogły mieć pewne znaczenie dla ich relacji, gdyż także

Becher pochodził z ukształtowanej przez wilhelmińską tradycję rodziny prawników, także był uzależniony od morfiny i jako młodzieniec też przeżył próbę podwójnego samobójstwa, która zakończyła się tragicznie dla ukochanej. Lecz Becher dbał o Falladę przede wszystkim ze względu na swój projekt kulturowo-polityczny. Gdy w czerwcu 1945 roku wrócił z wygnania z Moskwy, starał się motywować artystów i pisarzy do zaangażowania się w tworzenie nowej kultury. Zwracał się z tym szczególnie do autorów, którzy nie wyemigrowali, a jednocześnie nie dali się zaanektować przez reżim narodowosocjalistyczny. Becher był współzałożycielem i pierwszym przewodniczącym Stowarzyszenia Kulturalnego na rzecz Demokratycznej Odnowy Niemiec. Fallada zgadzał się z jego programem i już w pierwszych tygodniach pobytu w Berlinie wyraził zainteresowanie współpracą ze Stowarzyszeniem oraz założonym przez nie w 1945 roku wydawnictwem Aufbau.

I choć Fallada nie był tego świadom, od tego właśnie zaczęła się historia jego powieści *Każdy umiera w samotności*. Stowarzyszenie Kulturalne zdobyło przez Ottona Winzera, radcę miejskiego odpowiedzialnego za oświatę w Berlinie Wschodnim, akta z procesów straconych bojowników ruchu oporu i poszukiwało autorów, którzy napisaliby coś na ten temat. To Becher wpadł na pomysł, żeby zaznajomić Falladę z procesem berlińskiego małżeństwa, które w latach 1940-1942 na kartkach pocztowych i w listach rozpowszechniało wezwania do buntu przeciwko reżimowi narodowosocjalistycznemu, a potem zostało stracone. Heinz Willmann, sekretarz generalny Stowarzyszenia i współzałożyciel wydawnictwa Aufbau, na polecenie Bechera przyniósł Falladzie akta z procesu małżeństwa Ottona i Elizy Hamplów. Lecz Fallada odmówił. On sam poddał się nurtowi wydarzeń i nie zamierzał udawać lepszego, niż był. Pod naciskiem Bechera Willmann odbył jednak z Falladą kolejną rozmowę, podczas której zwrócił mu uwagę na wyjątkowość tego

przypadku, w którym nie chodziło o działanie wynikające ze świadomego politycznego zaangażowania, lecz o indywidualną inicjatywę dwojga niepozornych, żyjących w odosobnieniu osób. Becher nie pomylił się co do psychologicznych zainteresowań Fallady. Tym razem wziął on akta i po ich lekturze napisał dla czasopisma „Aufbau” esej *O istniejącym jednak oporze Niemców przeciwko hitlerowskiemu terrorów?*, który stanowił pierwsze podejście do tego tematu. Tekst prezentuje zasadniczo autentyczny przebieg zdarzeń, zawiera już jednak własne interpretacje oraz dodane fikcyjne postaci i wydarzenia; są tam już późniejsze powieściowe nazwiska głównych bohaterów. Z opisu Fallady można jednak wnioskować, że nie udostępniono mu pełnych akt. Zakładał on na przykład, że podczas zakłamanego procesu także zawarte w uzasadnieniu wyroku stwierdzenie, że Hamplowie wzajemnie się obwiniali, jest nieprawdą. Z zachowanych próśb o ułaskawienie złożonych przez skazanych i ich rodziny wynika jednak, że ci głęboko zrozpaczeni ludzie w obliczu groźby śmierci rzeczywiście mieli nadzieję uzyskać w ten sposób szansę ratunku. Rodzice Elizy próbowali nawet skłonić Hitlera do rewizji wyroku śmierci wydanego na ich rzekomo zwiedzioną przez małżonka córkę, wysyłając skierowany do niego osobiście list wraz z 300 markami załączonymi jako prezent urodzinowy.

To, co przede wszystkim zainteresowało Falladę w sprawie Hamplów, opisał on w swoim eseju następująco: „Oboje małżonkowie Quangel, dwoje pozbawionych znaczenia istot z północnego Berlina [...] podejmuje pewnego dnia roku 1940 walkę przeciwko gigantycznej maszynierii nazistowskiego państwa, i tak rodzi się groteska: słoń czuje się zagrożony przez mysz”. W zdaniu zamykającym esej autor nie pozostawia wątpliwości, że napisze na ten temat powieść. I tak już 18 października 1945 roku wydawnictwo Aufbau mogło zawrzeć z Fallada umowę na projekt, który nosił roboczy tytuł: *W imieniu narodu niemieckiego!* (ściśle

tajne). Później dodano podtytuł *Każdy umiera w samotności*. Dzień później zawarto z czasopismem „Neue Berliner Illustrierte” umowę na przedruk powieści w odcinkach.

Lecz Fallada wciąż odkładał pracę nad powieścią. Pisał opowiadania dla „Tägliche Rundschau”, z którym luźno współpracował, towarzyszył Becherowi na uroczystościach, wygłosił w Staatstheater w Schwerinie mowę na temat procesów norymberskich, a od stycznia do marca 1946 roku poddawał się kuracji odwykowej, podczas której rozpoczął nowy projekt, powieść *Der Alpdruck*. To, co jemu, maniakalnemu pisarzowi, utrudniało umówioną pracę, opisał w końcu w liście do dyrektora wydawnictwa Aufbau, Kurta Wilhelma. Opisał swój dyskomfort i wątpliwości dotyczące projektu powieści, który „im dłużej trwał, tym mniej” mu smakował. „Z jednej strony z powodu całkowitej beznadziejności materiału: dwoje starszych ludzi, walka od początku bez żadnych szans, zgorzknienie, podłość, żadnych uniesień. A z drugiej strony całkowity brak młodzieży, a wraz z nią perspektyw na przyszłość”. Choć znalazł sposób, żeby przemycić tam trochę młodzieży, to: „Najistotniejsza w przypadku Hamplów jest właśnie ta samotna walka dwójki starszych ludzi, ich całkowity brak powiązań z coraz dzikszym nazistowskim otoczeniem. Szmuglując młodzież, zafałszuje się ten materiał. A więc, krótko i zwięźle, nie smakuje mi to i byłoby naprawdę zupełnie wymuszone”.

Fallada rzuca się w wir pracy nad *Alpdruck*, powieścią z kluczem o autobiograficznym charakterze, którą oparł na swoich doświadczeniach z okresu od kwietnia 1945 do lipca 1946 roku. Pisał ją dalej w szpitalu, gdzie leżał po załamaniu nerwowym od maja do lipca. Dopiero gdy w sierpniu ukończył tę powieść, znów sięgnął do materiałów procesowych, którymi zainteresowała się także DEFA. 21 października poinformował Kurta Wilhelma, że dobrze mu ta powieść idzie, i poprosił o papier do wykonania pięciu egzemplarzy maszynopisu. Objętość powieści szacował

na 600 do 800 stron. Jako tytuł proponował teraz *Państwo Quanglowie* albo samo *Quanglowie*.

30 października przesłał Kurtowi Wilhelmowi streszczenie, które przygotował dla DEFA, żeby ten mógł się „pomału przygotować” na to, co go czeka, a 5 listopada wysłał Wilhelmowi „wedle życzenia owe brednie”, dla których wymyślił nowy tytuł (prawdopodobnie chodziło o ten ostateczny). 17 listopada nadeszła druga część wraz z zapowiedzią trzeciej i czwartej. „Będę potem – pisał Fallada do Wilhelma – w pól żywy, ale mimo to cieszę się, że napisałem tę książkę, to w końcu znów Fallada! W każdym razie nie chcę teraz przechodzić od razu do dużej powieści (zdobycie Berlina), tylko mam pewien pomysł na śliczne opowiadanko do pańskiej serii młodzieżowej – dla odpoczynku!”. I faktycznie Fallada przesłał zakończenie do wydawnictwa 24 listopada. Powieść liczącą 866 stron maszynopisu napisał w cztery tygodnie.

Pomimo całej dumy z wykonanej pracy, przyznał się swojej byłej żonie także do trudności: Dopiero wraz z tą powieścią udał mu się „znów prawdziwy Fallada od czasów *Wilka pośród wilków*”. I to, jak pisał, „mimo że ten materiał wcale mi nie leżał: nielegalna działalność w czasach Hitlera. Oboje bohaterów ścięto”. Być może dlatego Fallada wprowadził wiele epizodów, które dały mu możliwość przedstawienia szerszego spektrum ludzkich zachowań. Z jednej strony ścieżki komisarza Eschericha prowadzą w scenerię szpicli i denuncjatorów, hazardzistów i oszustów. Z drugiej strony jest świat Quaglów, w który mimo całej izolacji wplatają się losy innych: Hergesellów, Żydówki Rosenthalowej, radcy sądowego Fromma. Postaci tej powieści przeżywają swą codzienność w najbardziej ponurej epoce w historii Niemiec, są skazane na atmosferę zastraszenia, lęku, zdrady, wzajemnego szpiegowania. Jak sobie z tym radzą, to właśnie temat Fallady. I znów – niczym „wilk pośród wilków” – kulisy tworzy Berlin: ulice i place, podwórza kamienic, knajpy.

Miasto jest zawsze obecne. W charakterystycznym dla Fallady stopieniu tego, co indywidualne, z tym, co miejskie, przedstawia on jednocześnie realistyczny i przekonujący obraz życia „zwykłych ludzi” w nazistowskim Berlinie.

Później Fallada zajął się przeróbkami powieści *Alpdruck*, które zasugerowała mu recenzja redaktora wydawnictwa Aufbau Paula Wieglera, poza tym musiał się zająć korektą nowego wydania *Geschichten aus der Murkelei*. Na początku grudnia przeżył kolejne załamanie nerwowe i został skierowany do kliniki Charité. Prawdopodobnie 22 grudnia napisał stamtąd do Kurta Wilhelma i poprosił o rozmowę, także w związku z ewentualnymi zmianami w powieści, którą Wilhelm, nie wiedząc jeszcze o kolejnym pobycie Fallady w klinice, natychmiast mu obiecał.

W ostatnim dniu roku Wilhelm napisał do Fallady, że tymczasem nadeszły krytyczne opinie o powieści, których – „ze względu na nasze bliskie i osobiste kontakty” – nie zamierza przed nim ukrywać. Kontynuuje: „Nawet jeśli w różny sposób przekroczono granice obiektywnej krytyki współczesnej powieści, to jednak tu i tam słusznie wskazano pewne nieścisłości, które powinny zostać uwzględnione podczas ostatecznej redakcji; podczas czytania z pewnością dojdzie pan do tego samego wniosku. Może to nawet dobrze, jeśli przed oddaniem do druku «wyglądzimy» to czy owo miejsce w powieści, gdyż nie należy niepotrzebnie ułatwiać recenzentom z gazet i czasopism taniej krytyki rozmaitego sortu, i w tym względzie z pewnością podzieli pan moje zdanie”.

W styczniu 1947 Fallada i jego żona, która także przebywała w klinice Charité, wrócili na kilka dni do swojego mieszkania, jednak 10 stycznia oboje zostali przewiezieni do szpitala w dzielnicy Pankow. Wilhelm, który najwidoczniej nic o tej tragedii nie wiedział, napisał do Fallady jeszcze więcej listów, by upomnieć się o zwrot korekt *Murkelei* i *Alpdruck*

i żeby potwierdzić, że udało mu się zorganizować dla Fallady dostawę węgla. Nie otrzymał już odpowiedzi, Fallada zmarł 5 lutego z powodu ostrej niewydolności serca.

W archiwum wydawnictwa Aufbau znajduje się przygotowany do składu pełny maszynopis powieści, który musi być jednym z pięciu wspomnianych przez Falladę egzemplarzy. Zawiera odręczne poprawki i skreślenia, w przeważającej części autorstwa redaktora Paula Wieglera, który w pierwszych wydaniach widnieje jako odpowiedzialny za redakcję. Wiegler, który wcześniej był między innymi kierownikiem działu powieści w wydawnictwie Ullstein, należał do współzałożycieli wydawnictwa Aufbau oraz czasopisma „Sinn und Form”. Fallada spotkał go ponownie w październiku 1945 i to przez niego poznał Bechera.

Wiegler dysponował recenzjami, które dyrektor wydawnictwa Wilhelm przesłał Falladzie 31 grudnia 1946 wraz ze swoim komentarzem. W swoim ostatnim liście do Fallady z 27 stycznia Wilhelm pytał go, czy przeczytał recenzje. Nie otrzymał odpowiedzi. Nawet jeśli Fallada się z nimi zapoznał, trudno byłoby spodziewać się z jego strony jakiegokolwiek reakcji, gdyż większość czasu spędzał w szpitalu, a w krótkich okresach pomiędzy szpitalnymi pobytami borykał się z załamaniami swoimi i swojej żony.

Recenzje te zostały z jednej strony sporządzone jako podsumowujące „Uwagi do powieści Fallady”, które opatrzone nazwiskami autorów, a z drugiej obejmowały krytyczne uwagi do poszczególnych akapitów. Kwestia, kto zlecił napisanie tych recenzji i dlaczego, pozostaje otwarta. Możliwe także, że zostały zlecone przez redakcję „Neue Berliner Illustrierte”, zwłaszcza że zwracają uwagę na szczególne uwarunkowania powieści wydawanej w odcinkach. Jeśli chodzi o pozwolenie na druk, którego w owym czasie na wszystkie książki wydawnictwa Aufbau udzielała Radziecka Administracja Wojskowa, nie miały one

prawdopodobnie żadnego znaczenia.

Wszystkie opinie są negatywne. Zarzuca się, że w powieści brakuje postaci pośrednich, że bohaterowie są tylko albo czarni, albo biali, że rodzina Persicków jest zupełnie przerysowana, że to błąd, że nie ma w niej ani jednej przyzwoitej osoby, że w tej powieści nie ma żywych ludzi, za to zawiera ona zbyt wiele przypadków i nieprawdopodobieństw, że niemiecka rzeczywistość została przemilczana; krótko mówiąc – według najbardziej krytycznej oceny – jest to „sutenerska powieść w politycznej otoczce. Z czymś takim nikt w Niemczech nie chce mieć nic wspólnego”.

Uwaga Wilhelma, że recenzje „w różny sposób przekroczyły granice obiektywnej krytyki współczesnej powieści”, odnosiła się zarówno do takich zarzutów, jak i do wykazu określonych historycznych i logicznych nieścisłości. Wilhelm rozumiał, że autorowi nie chodziło o rzeczywiste „prawdziwy” obraz, tylko o zmysłowe wrażenie, o przekazanie atmosfery. W tym względzie Falladę najwyraźniej niezbyt interesowało, czy pani Häberle mogła znać godziny odjazdów pociągów do Monachium, czy zawałona obowiązkami recepcjonistka była w stanie obserwować wędrowniki Enna do toalety, czy zebrania zakładowe kończyły się okrzykiem „Heil Hitler” czy nie, czy to Hitler pochodził z nieprawego łoża, czy raczej jego ojciec. Lista reklamacji jest długa. Redaktor Wiegler niektórych z tych uwag nie uwzględnił, prawdopodobnie szczególnie wówczas, gdy korekta zanadto wygładziłaby charakterystyczny gawędziarski styl Fallady.

Niemal zawsze natomiast Wiegler konsekwentnie ingerował, zmieniając treść powieści, w miejscach dotyczących kwestii politycznych. W chwili powstawania powieści w strefach okupacyjnych Niemiec obowiązywały wciąż ustanowione przez aliantów procedury denazyfikacji, w ramach których badano i ewentualnie karano uwikłanie w reżim nazistowski. Jednocześnie Becher w ramach swojej kulturowo-

politycznej koncepcji wydawnictwa Aufbau stawał na ideę pojednania i upierał się przy angażowaniu przedstawicieli wewnętrznej emigracji, do której należał także Fallada. W tym kontekście jest całkiem możliwe, że chciano zaprezentować właśnie jego książkę, przedstawiającą ludzi, którzy mogli służyć jako wzór i ideał. Bohaterowie tacy jak Anna i Otto Quangelowie, którzy na dodatek byli wzorowani na postaciach autentycznych, nasuwali się sami. I z powieścią stało się dokładnie to, czego Fallada starał się uniknąć. Jego literackie wyczucie kierowało się na rzeczywistość oraz głębokie ludzkie konflikty epoki nazizmu i celowo nie chciał przedstawiać Quangelów jako ludzi nieobciążonych, tylko jako biernych uczestników, którzy wyzwalają się z owej postawy. Podkreślał to w swoim eseju i potwierdza to także pierwotna wersja powieści. Tu oboje Quangelowie są zgodni, że posadę Ottona jako majstra w fabryce mebli zawdzięczają „Führerowi”. I zgodnie z wolą autora Anna Quangel miała być nie tylko wielbicielką Führera, lecz także członkinią nazistowskiego Związku Kobiet, w którym dobrowolnie objęła niewielką funkcję (w recenzjach zwrócono uwagę, że w roku 1940 nie mogła pełnić takiej funkcji w opisany sposób). Wiegler wykreślił wszystkie odniesienia do dawnego uwielbienia Anny dla Hitlera i do jej stanowiska w Związku Kobiet. Dotyczy to nie tylko drobnych fragmentów tekstu, lecz przede wszystkim rozdziału 17, który przedstawia Annę Quangel jako osobę niezwykle pewną siebie i błyskotliwą. Z tego rozdziału został tylko początek, który włączono do pierwotnego rozdziału 18.

Wiegler uczynił także anonimową komórkę oporu, do której należała Trudel Hergesell. Wykreślił przymiotnik „komunistyczny”, prawdopodobnie z powodu nieludzkiego wyroku towarzyszy wobec Trudel. Wykreślił akapity, w których listonoszka Ewa Kluge przedstawiona jest jako członkini partii. Zgodnie z krytyką recenzentów, zrelatywizował celową sprzeczność w postaci sędziego Fromma, który nie jest już

nazywany „Krwawym Frommem” czy też „Katem Frommem”, żeby nie umniejszać „sympatii dla antyfaszystowskiego sędziego”.

Prawdopodobnie do koncepcji redakcyjnej Wieglera należało także wykreślenie wulgarnych wyrażań czy drastycznych opisów, takich jak śmierć Eschericha, w duchu kulturowo-politycznej poprawności. Dlaczego jednak zmienił nazwisko denuncjatora „Barkhausen” na „Borkhausen”, trudno dziś stwierdzić.

Powieść ukazała się w roku śmierci Fallady w redakcji Wieglera i w tej wersji była później wydawana zarówno w kraju, jak i za granicą. Obecne, prezentowane po raz pierwszy wydanie powieści w jej oryginalnej postaci, z wszelkimi „uchybieniami” względem poprawności, zgodności z faktami i dobrego smaku, pokazuje jej surowość i dosadność, a jednocześnie intensywność, i o nie prawdopodobnie Falladzie chodziło. Bo nie ze środka, lecz właśnie z marginesów społeczeństwa pochodzi właściwe przesłanie jego powieści: że nawet najmniejszy akt oporu ma znaczenie.

Almut Giesecke

DO OBECNEGO WYDANIA

Obecne wydanie opiera się na maszynopisie, który posłużył do druku pierwszego wydania powieści (Aufbau-Verlag 1947). Znajduje się on w archiwum wydawnictwa Aufbau (Biblioteka Państwowa w Berlinie, Pruskie Dziedzictwo Kultury, Depozyt 38).

Pierwotną wersję tekstu przywrócono, usuwając m.in. skreślenia dokonane przez redaktora Paula Wieglera, z wyjątkiem nielicznych przypadków, gdy miały one wyraźne uzasadnienie stylistyczne. Ponadto uwzględniono następujące skreślenia: usunięcie myślników przy przytaczaniu myśli bohaterów oraz myślników na końcach zdań, zmniejszenie liczby wykrzykników i pytańników, a także często występujących wielokropków oraz usunięcie kropek w skrótach takich, jak SS, SA.

Pozostawiono także poprawki, które odnosiły się do pomyłek autora dotyczących nazwisk postaci, podobnie jak uzupełnienia brakujących słów. Uwzględniono pojedyncze poprawki dotyczące regionalizmów lub archaizmów w języku niemieckim.

Niemiecki tekst nowego wydania dostosowano pod względem interpunkcji i ortografii do zasad reformy pisowni z 2006 roku.

A.G.